

ks. Kazimierz Panuś

---



---

# WIELCY MÓWCY KOŚCIOŁA

wydawnictwo  
**unum**



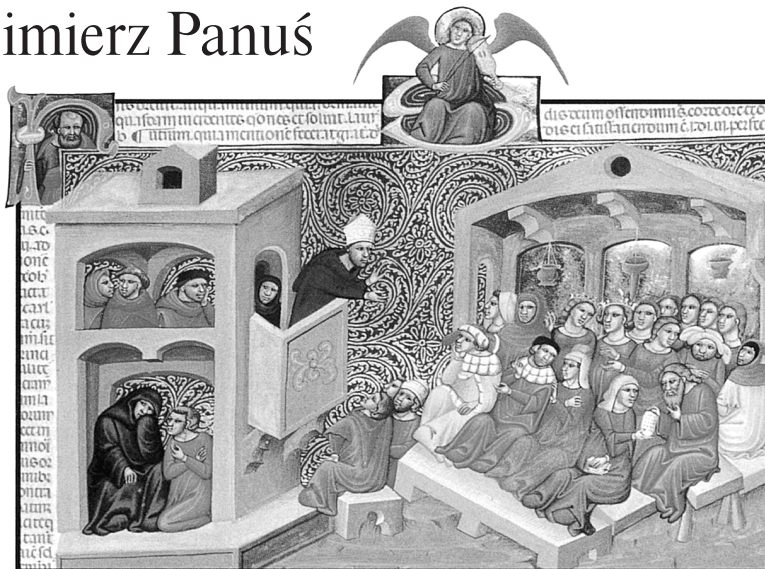


# WIELCY MÓWCY KOŚCIOŁA

*Kolegom mojego rocznika święceń  
w jubileuszowym 25. roku kapłaństwa*



ks. Kazimierz Panuś



# WIELCY MÓWCY KOŚCIOŁA

Wydawnictwo UNUM  
Kraków 2004

Redaktor prowadzący  
Teresa Piech

Projekt okładki  
Jadwiga Mączka

Na okładce

*Kaznodzieja wzywający do sakramentu pokuty i przemiany życia*  
– fragment iluminacji z *Tractatus de poenitentia*  
w *Dekrecie* Gracjana przepisany w Bolonii ok. 1340-1360  
(Paryż, Biblioteka Narodowa, f° 286)

Wydanie publikacji dofinansował  
Komitet Badań Naukowych.

Copyright © 2004 by Wydawnictwo UNUM

ISBN 83-89256-44-4

Polskie Towarzystwo Teologiczne  
Sekcja Wydawnicza Wydawnictwo UNUM  
31-002 Kraków, ul. Kanonicza 3  
tel. (12) 422 56 90, e-mail: [unum@ptt.net.pl](mailto:unum@ptt.net.pl)  
<http://www.ptt.net.pl/unum>



# Wstęp

Od dawna wiadomo, że historia – jeśli ma kogoś zainteresować – nie może być tylko zbiorem formuł, sloganów czy statystyk. Można ją pojąć i polubić przede wszystkim przez spotkanie z ludźmi, którzy na niej odcisnęli swoje ślady – dobre czy złe, wyraźne czy zatarte. „Jedynym przedmiotem godnym historycznych badań są ludzie” – pisał nie tak dawno znakomity uczony Jean Leclercq († 1993).

Reguła ta sprawdza się także w przypadku historii kaznodziejstwa. Teologicznie zorientowana współczesna homiletyka oczekuje od historii kaznodziejstwa odpowiedzi na szereg pytań wypływających z istoty kaznodziejstwa. Jeśli oznacza ono dziś urzeczywistnianie się Kościoła przez posługę słowa w określonym kontekście historycznym to nie dziwi, iż uwaga tej homiletyki skupiona jest na pytaniach: Jak poszczególni kaznodzieje w kontekście ówczesnej świadomości Kościoła rozumieli swoją posługę słowa? Na ile dostrzegali, należycie interpretowali i uwzględniali w swej posłudze cały kontekst życia i działalności Kościoła swego czasu? Czy i w jakim stopniu stosowane przez nich środki służyły owemu urzeczywistnianiu się Kościoła przez słowo?

W wydanym w Krakowie, w latach 1999-2001, trzytomowym *Zarysie historii kaznodziejstwa w Kościele katolickim*, autor niniejszej publikacji starał się odtworzyć rozwój tego kaznodziejstwa, a zwłaszcza przedstawić na podstawie dokumentów ów myślowy postęp, jaki na przestrzeni dziejów dokonał się w Kościele w stosunku do głoszenia słowa Bożego. Zaznaczone zostały w nim główne fazy tego postępu, ukazane preferencje każdej z epok. Tylko w kontekście ogólnych idei, ocen i upodobań można zrozumieć style, rodzaje ekspresji, a również i treść oraz wybór tematów podejmowanych przez mistrzów ambony.

Niniejsza publikacja, pozostając z poprzednią w bliskiej łączności, prezentuje sylwetki dwudziestu pięciu wybitnych kaznodziejów Kościoła powszechnego, którzy – zdaniem autora – wnieśli istotny wkład w głoszenie Ewangelii Chrystusowej. Mówcy ci to wielkie osobowości kaznodziejskie, bohaterzy wiary, nierzadko kanonizowani święci: biskupi, zakonnicy, kapłani diecezjalni. Pełniejsze spo-

tkanie z nimi umożliwia załączony do każdej sylwetki, reprezentatywny dla niej, tekst kaznodziejski. Autor pragnie, by książka ta była dobrą popularyzacją, a nie „ciężkim” dziełem naukowym, dlatego też najistotniejsze wskazówki bibliograficzne zamieszcza jedynie w końcowej części publikacji. Nie ma też w tym opracowaniu mistrzów polskiej ambony, gdyż będzie im poświęcony kolejny tom.

Wielcy mówcy Chrystusowego Kościoła są niczym kamienie milowe wyznaczające na długie lata, niejednokrotnie nawet wieki, kierunki poszukiwań nowych form kaznodziejskich i owocnego przekazu słowa Bożego. W ślad za nimi szli inni, często bezimienni głosiciele prawdy Bożej. Przywołując wielkich mistrzów ambony, od początków chrześcijaństwa do końca XX wieku, autor pragnie szczególną uwagę poświęcić kaznodziejom czasów nowożytnych i najnowszych. Wysiłki i badania wybitnych polskich patrologów przybliżyły bowiem w dużej mierze sylwetki i teksty wielu ojców Kościoła. Dlatego też z epoki patrystycznej proponowane jest w tej książce jedynie spojrzenie na dwóch największych mówców starożytności chrześcijańskiej: św. Jana Chryzostoma z chrześcijańskiego Wschodu i św. Augustyna z chrześcijańskiego Zachodu.

Wieloletni brak zainteresowań kazniami przez ośrodki badawcze, przez historyków, filologów i badaczy kultury sprawił, iż nadal nawet wykształconemu Polakowi niewiele mówią tak ważni dla kaznodziejstwa niemieckiego kaznodzieje jak: Jan Tauler, Abraham a Sancta Clara, Paul Wilhelm von Kepler czy Michael von Faulhaber, dla kaznodziejstwa francuskiego: Jacques-Bénigne Bossuet, Henryk Lacordaire, Henryk Pinard de la Boullaye czy Noël Quesson, dla kaznodziejstwa angielskiego: John Henry Newman, dla kaznodziejstwa hiszpańskiego: św. Wincenty Ferrer czy św. Jan z Avili, dla kaznodziejstwa włoskiego: św. Wawrzyniec z Brindisi, Paweł Segneri Starszy czy św. Leonard z Porto Maurizio, dla kaznodziejstwa portugalskiego: Antonio Vieira, dla kaznodziejstwa węgierskiego: Ottokár Prohászka, dla kaznodziejstwa amerykańskiego: Fulton John Sheen. Z tymi i z innymi wielkimi mówcami Kościoła będzie się można spotkać na kartach tej książki. Warto także podkreślić, iż Czytelnik polski ma po raz pierwszy okazję zapoznać się z kazniami św. Jana z Avili i Abrahama a Sancta Clara. Dotąd bowiem ci charyzmatyczni mówcy skutecznie unikali *szkiełka i oka* polskich badaczy.

Nigdy nie przebrzmiały nakaz misyjny Jezusa Chrystusa: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” (Mk 16, 15) przyświecał w ciągu wieków wysiłkom niezliczonych mówców, którzy czynili wszystko, aby wypowiedzieć „jako Dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa i wydobyć na światło, czym jest wykonanie tajemniczego planu, ukrytego przed wiekami w Bogu, Stwórcy wszechrzeczy” (Ef 3, 8-9). Będąc ludźmi swoich czasów, w pojęciach i upodobaniach estetycznych swojej epoki ciągle na nowo wyrażali oni tę samą podstawową prawdę o Bogu, który tak „umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3, 16).



---

Oddając do rąk Czytelnika niniejszy tom autor wychodzi naprzeciw rosnącym zapotrzebowaniom na tego rodzaju opracowania, wielokrotnie sygnalizowanym przez seminaria duchowne i wydziały teologiczne, gdzie historia kaznodziejstwa z racji swojej istoty powinna być przedmiotem badań i przedmiotem dydaktyki. Trzeba wyrazić radość, iż nad kazaniem, jako cennym materiałem źródłowym, coraz częściej w zgodnym zainteresowaniu pochylają się nie tylko teologowie, ale i historycy, filologowie, badacze kultury, profesorowie i studenci, osoby świeckie i duchowne. Można więc żywić nadzieję, iż to spojrzenie na dwudziestu pięciu wielkich mówców Kościoła przyczyni się do głębszego zrozumienia kaznodziejstwa, jego umiłowania i do prowadzenia dalszych nad nim badań.







Święty Jan Chryzostom  
(349-407)



# Złote usta

**D**oceniając zdumiewającą skuteczność kaznodziejską Jana z Antiochii, najwybitniejszego kaznodziei Kościoła greckiego w starożytności chrześcijańskiej, nadano mu już w VI wieku miano *Chryzostom*, czyli *Złotousty*.

## Wybitny uczeń

Miastem, w którym Jan przyszedł na świat, prawdopodobnie w 349 roku, i z którym był związany przez prawie 50 lat swojego życia, była – założona 300 lat przed Chrystusem przez jednego z generałów Aleksandra Wielkiego, Seleukosa I Nikatora – Antiochia Syryjska (obecnie Antakya w południowej Turcji, stolica prowincji Hatay). Miasto, położone w przepięknym zakolu rzeki Orontes, stanowiło kluczowy administracyjny i militarny ośrodek rzymskiego Wschodu; toczyło się w nim prężne życie intelektualne i kulturalne.

Chrześcijanie, którzy stanowili większość mieszkańców, nie bez dumy przypominali, że w Antiochii działali apostołowie Piotr i Paweł i że to właśnie tutaj, według *Dziejów Apostolskich* (11, 26), wyznawcy Chrystusa po raz pierwszy zostali nazwani „chrześcijanami”. Pod koniec I wieku biskupem tego miasta był słynny męczennik św. Ignacy. Sobór nicejski w 325 roku uznał biskupstwa w Rzymie, w Aleksandrii i w Antiochii za posiadające szczególny prymat. Najbardziej okazałą świątynią miasta był zbudowany w IV wieku, na planie ośmiokąta, Wielki Kościół, zwany też Złotym Kościołem.

Rodzice Jana, Sekundos i Antuza, wywodzący się z dobrych rodów osiadłych w mieście, byli chrześcijanami. Pomimo tego Jan nie został ochrzczony w dzieciństwie. Ojciec Jana zmarł wkrótce po narodzinach syna. Dwudziestoletnia Antuza zdecydowanie odrzuciła ewentualność ponownego wejścia w związek małżeński i sama podjęła trud prowadzenia domu i wychowania dzieci. Wzbudziło to podziw otoczenia.

Matka zatroszczyła się także o jak najlepsze wykształcenie dla swego syna. Po szkole podstawowej, gdzie uczono dzieci czytania, pisania i prostej arytmetyki, Jan przeszedł do szkoły średniej, w której zdobywał gruntowną znajomość klasycznej literatury greckiej, zwłaszcza poetów, ale również prozaików i mówców. Jej czterema głównymi filarami byli: Homer, Eurypides, Menander i Demostenes. Chłopiec ćwiczył się nie tylko w gramatyce i składni, ale oczekiwano od niego recytowania z pamięci długich fragmentów i umiejętności ich komentowania. Najważniejszym etapem edukacji Jana była jednak szkoła retoryki, w której jego nauczycielami byli filozof Andragacjusz i sławny retor pogański Libaniusz. Zaszczepił on w swoim wychowanku troskę o klasyczną czystość greckiego stylu i elegancję wystąpienia. W szkole retoryki Jan doskonale poznał najbardziej podziwianych autorów klasycznych. Największy wpływ wywar-



li na niego: Demostenes, Platon i Homer. Rozprawy i kazania Jana dostarczają wielu dowodów na to, że znał on gruntownie i umiał wykorzystywać, jeśli wymagała tego sytuacja, wszystkie chwytorytorskie i stylistyczne. W IV wieku były one pracowicie wdrażane w szkołach retoryki. Talent oratorski miał zresztą docenić sam jego wielki nauczyciel. Kiedy bowiem przed jego śmiercią przyjaciele zastanawiali się, kto powinien objąć po nim katedrę retoryki, Libaniusz odpowiedział: „Jan, o ile go jeszcze nie zagarnęli dla siebie chrześcijanie”.

Tymczasem Jan marząc o karierze cywilnej był w tym czasie wytrwałym bywalcem sal sądowych, śledzącym z zainteresowaniem prowadzone tam sprawy oraz żarliwym miłośnikiem teatru. Zmianę przyniósł dopiero wpływ, jaki zaczął na niego wywierać biskup Melecjusz, który wówczas kierował Kościołem w Antiochii. Zwrócił on uwagę na uzdolnionego młodego człowieka. Był wielce zauroczony pięknem jego charakteru i zachęcił go do ciągłego przebywania w swoim towarzystwie. Ta bliskość skłoniła Jana do przyjęcia chrztu. Stało się to prawdopodobnie na Wielkanoc 368 roku. Od tego czasu Jan wraz z Teodorem, późniejszym biskupem Mopsuestii) pobierał nauki teologiczne od Diodora, późniejszego biskupa Tarsu. Kolejne trzy lata spędził Jan u boku Melecjusza w roli osobistego pomocnika, po czym został wyznaczony na urząd lektora. W Kościołach wschodnich był to najniższy stopień duchowny. Na przełomie 371 i 372 roku władze kościelne podjęły próbę wyświęcenia Jana na diakona, ten jednak, czując się niegodnym, opuścił miasto i poświęcił się życiu ascetycznemu, najpierw pod kierunkiem starego eremity, a następnie samotnie w górach niedaleko Antiochii. Po kilku latach dolegliwości zdrowotne zmusiły Jana do powrotu do Antiochii, gdzie w 381 roku został diakonem. Był wtenczas u szczytu swego intelektualnego i duchowego rozwoju. Pięć lat później, w 386 roku, już po śmierci Melecjusza, biskup Flawian wyświęcił Jana na kapłana.

### Oddany kaznodziejstwu kapłan w Antiochii

Podstawowym obowiązkiem Jana jako kapłana było głoszenie kazań. Odpowiadało to jego zamiłowaniom i zdolnościom. Kazanie – jedno, a czasem kilka – głoszone po odczytaniu Ewangelii podczas mszy niedzielnej, w główne święta, a także, jak się wydaje, w piątki i soboty oraz w dni powszednie w czasie wielkiego postu i w tygodniu wielkanocnym przed nabożeństwem wieczornym, czyli nieszporami, a także podczas specjalnych uroczystości. Ponadto zadaniem kapłana było organizowanie nauk dla kandydatów przygotowujących się do przyjęcia chrztu, a także uczestniczenie w ceremonii bądź samodzielne udzielanie tego sakramentu. Przez prawie 12 lat, od 386 do 397 roku, Jan wyróżniał się więc w Antiochii jako wiodący kaznodzieja, budując tym samym swoją niezrównaną reputację. Będąc osobistym pomocnikiem prawie osiemdziesięcioletniego wówczas biskupa Flawiana głosił kazania w Złotym Kościele oraz we wszystkich świątyniach odwiedzanych przez biskupa w ramach jego posługi.

Pierwsze w swej długiej karierze kaznodziejskiej kazanie Jan wygłosił w dniu swoich święceń. Zachowało się ono do naszych czasów. Rozpoczął go od wyrażenia niedowierzania, że zwyczajny młodzieniec, zupełnie niedoświadczony w publicznym przemawianiu, wyniesiony został do tak wielkiej godności. Następnie z pokorą zapewniał, że jako człowiek obciążony grzechem nie ośmieliłby się poświęcić tych pierwszych owoców swej wymowy Bogu, choć tego właśnie by pragnął. Może jednak chwalić Boga opiewając jednego z Jego przyjaciół. W ten sposób podjął główny temat kazania, jakim była panegiryczna pochwała Flawiana. Wysławiał zatem pogardę biskupa dla wystawnego życia i bogactwa, jego całkowitą samokontrolę, wyrzeczenia, czujną opiekę nad Kościołem i jego cnoty. Strata Melecjusza pozostawiła jego lud niepoczyszonym, ale Flawian wydaje się Melecjuszem przywróconym z objęć śmierci. Kończąc, błagał wiernych o modlitwę – zarówno za Flawiana, jak i za siebie, niegdyś żyjącego samotnie, a obecnie stojącego przed nimi w pełnym świetle z tym przyniatającym jarzmem złożonym na ramionach.

Według obowiązujących w czwartym wieku standardów kazanie Jana było małym arcydziełem. Jan wykorzystał w nim zasób środków wypracowanych przez *enkomiasty*, starożytny rodzaj literacki, zmodyfikowany przez mówców chrześcijańskich. Flawian w żaden sposób nie czuł się zażenowany przesadnymi komplementami, co więcej wszyscy słuchacze z upodobaniem smakowali starannie ułożone okresy i wymyślne powtórzenia, wyszukane słownictwo oraz umiejętne użycie toposów.

Od swej pierwszej mowy wygłoszonej w dniu święceń Jan oddał Bogu w ofierze najwspanialszy z posiadanych talentów: dar wymowy. Wiele z kazań wygłoszonych przez Jana w tym okresie zachowało się do naszych czasów. Ich świeżość i często nieformalność zdają się sugerować, że przetrwały zasadniczo w tym kształcie, w jakim zostały wygłoszone. Kazania notowali na bieżąco stenografowie, a następnie Jan sam korygował je przed opublikowaniem. Podziw i zdumienie budził Jan wstępujący na ambonę bez żadnego skrawka papieru, aby omówić na poczekaniu dany temat. Było to coś, czego nigdy wcześniej nie widziano. Fakt improwizowania potwierdza szereg zawartych w kazaniach czynionych na bieżąco wtrętów, takich jak upominanie rozmawiających bądź nieuważnych, uwagi na temat pogody, odpowiedzi na wybuchy aplauzu, a nawet ostrzeżenia przed kieszonkowcami.

Wkrótce po święceniach kapłańskich Jana rozpoczął się wielki post. Wielki antiocheńczyk został wybrany, by wygłosić cykl homilii opartych na Księdze Rodzaju. Czytania z tej księgi przed nieszporami w ciągu tygodnia należały już do zwyczaju. Na ich kanwie podejmowano rozważania dotyczące pewnych zażyłych lub kontrowersyjnych aspektów doktryny lub interpretacji. Przetrwało osiem tych kazań, choć Jan musiał ich wygłosić o wiele więcej.

Do najbardziej misternych kazań Jana należały te, które wygłaszał bądź podczas uroczystości ku czci świętych lub męczenników, bądź z okazji wiel-

kich świąt kościelnych. Kazania te nie tylko ilustrują jego oratorskie zdolności, ale rzucają również intrygujące światło na przejawy chrześcijańskiego poświęcenia, do których Jan pragnął zachęcać. Wszystkie te mowy są mocno osadzone na Piśmie Świętym.

W kolejnych 8 kazaniach z lat 386-387 Jan kierował ostrze swej krytyki przeciw Żydom, którzy zapraszali na swoje święta ludzi z zewnątrz, także chrześcijan. Wobec wielkiej infiltracji judaizmu do gmin chrześcijańskich Jan ostrzegał przed udziałem w żydowskich świętach i przed żydowskimi zwyczajami. Napęca między tymi dwiema społecznościami były wciąż żywe. W czasie rządów cesarza Juliana szokujące dla społeczności chrześcijańskiej były wstępne rokowania przeprowadzone z Żydami, a zwłaszcza energicznie podjęty przez imperatora w 363 roku program odbudowy – pod auspicjami państwa – świątyni w Jerozolimie, zburzonej przez Rzymian w 70 roku, i ponownego rozpoczęcia żydowskiego rytuału składania ofiar. Chrześcijanie odbierali to jako bluźnierczą próbę nie tylko przywrócenia wiary, którą chrześcijaństwo – w ich pojęciu – wypełniło, a więc i zastąpiło, ale także wykazania nieprawdziwości zapisanych w Ewangeliach słów Chrystusa, które interpretowano jako przepowiednię, że świątynia nigdy nie zostanie odbudowana. Podejrzenia chrześcijan miały uzasadnienie, gdyż jednym z głównych motywów działań Juliana było obalenie chrześcijaństwa i udowodnienie, że Jezus nie był istotą boską. Kazania Jana przeciw Żydom pokazują, jak realne było wciąż niebezpieczeństwo w tak pluralistycznym mieście, jakim była Antiochia, gdzie Żydzi i chrześcijanie natykali się na siebie w codziennym życiu, a Żydzi, najwyraźniej, chętnie widzieli chrześcijan na swych uroczystościach.

Do tego rodzaju mów należą sławne mowy *O posągach* wygłoszone w pamiętnym dla Antiochii roku 387. Okoliczności ich wygłoszenia były tragiczne. Antiocheńczycy, udręczeni podatkami i drożyzną, stracili cierpliwość, wylegli na ulice i potłukli posągi cesarskie zdobiące forum. Była to zbrodnia obrazy majestatu, za którą groziła kara śmierci. Po dokonaniu tego czynu na miasto padło przerażenie. Spodziewano się surowej kary. Bogacze i senatorowie zaczęli opuszczać miasto, natomiast z pustyni przybyli do miasta mnisi, by solidarnie wspomóc moralnie mieszkańców Antiochii. Stary biskup Flawian pospieszył do cesarza błagać o litość nad miastem. Wkrótce przybyli wysłańcy cesarscy z drakońskimi karami, a oczekiwano nowych sankcji. W tej atmosferze lęku i grozy Jan wygłosił 21 mów *O posągach*, w których pocieszał mieszkańców Antiochii, dodawał im otuchy, wzywał do pokuty, ale przede wszystkim podtrzymywał na duchu wobec spodziewanych represji. Jan okazał się mistrzem w sztuce politycznego kazania. Między nim a słuchaczami zapełniającymi szczelnie Wielki Kościół nawiązały się więzy serdecznego zrozumienia i przyjaźni, trwające do końca jego życia. W ostatnim kazaniu wygłoszonym w Wielkanoc mógł zakomunikować, że biskup Flawian uzyskał w Konstantynopolu od cesarza całkowitą amnestię dla miasta. Kazania te, których słuchali nawet poganie, potwier-

dziły pozycję Jana jako najważniejszego kaznodziei w Antiochii i pomogły mu zdobyć uwagę szerszej publiczności, spoza syryjskiej stolicy.

## Bezkompromisowy biskup Konstantynopola

Nowy rozdział w życiu Jana rozpoczął się w 397 roku, kiedy to na rozkaz cesarza Arkadiusza został podstępem uprowadzony do Konstantynopola i ustanowiony następcą zmarłego patriarchy Nektariusza. 26 lutego 398 roku sakry biskupiej musiał udzielić mu patriarcha aleksandryjski Teofil. Ten dumny i żądny władzy hierarcha uważał to za osobistą porażkę, której nigdy Janowi nie darował. Pomiędzy Antiochią i Aleksandrią istniała bowiem od dawna rywalizacja. Teofil szykował więc na stolicę konstantynopolitańską swojego kandydata; tymczasem musiał konsekrować niechcianego antiocheńczyka.

Sytuacja kościelna w Konstantynopolu przedstawiała się fatalnie. Miasto miało przez kilkadziesiąt lat biskupów ariańskich. Pierwszego po przerwie biskupa katolickiego Grzegorza z Nazjanzu wprowadziło wojsko. Jego następcą, a poprzednikiem Chryzostoma został wyznaczony Nektariusz, wówczas jeszcze poganin. Był to cieszący się życiem arystokrata, lubiący dostatek i bogactwo. Po przyjęciu chrztu i biskupstwa niewiele się zmienił. Na tronie zasiadał słaby cesarz Arkadiusz, na którego wpływ wywierali bądź to ambitna i intrygująca żona Eudoksja, bądź to potężni eunuchowie jak Eutropiusz.

Prostoduszny Jan przybywający do stolicy z Antiochii znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Objąwszy biskupstwo zabrał się do reformy. Najpierw zlikwidował wystawny pałac Nektariusza, sprzedał jego wspaniałe zastawy, a uzyskane w ten sposób pieniądze rozdał ubogim. Następnie podjął reformę kleru: odesłał biskupów przebywających bezczynnie na dworze cesarskim do diecezji, kler zapędził do pracy w duszpastersko zaniedbanym Konstantynopolu i okolicy, niegodnych zawiesił w czynnościach, mnichom nakazał zamieszkać w klasztorach i naprawdę oddać się modlitwie i ascezie. Reformę kleru podjął również i poza stolicą. W tym celu wyjechał do Efezu, gdzie zdeponował biskupów symoniackich, a próbował osadzić nowych, godnych. Nawał pracy nie pozwalała mu już przemawiać tak często jak w Antiochii, a jego homilie są coraz mniej dopracowane.

Następną grupą społeczną, którą sobie skutecznie zraził, był dwór i bogacze. Dostrzegając biedę panującą w mieście Jan gwałtownie potępił wystawność i bogactwo. Błagał posiadaczy ziemskich, by zamiast wydawać pieniądze na łaźnie i teatry stolicy, pomyśleli o zbudowaniu kościołów i zorganizowaniu duszpasterstwa w swych posiadłościach, gdzie, często nawet w pobliżu Konstantynopola, panowało pogaństwo. Sam natomiast zbierał pieniądze gdzie tylko się dało, by zorganizować przytułki, szpitale i ochronki. Niemożność rozliczenia się z sum rozdanych ubogim stała się przyczyną postawienia mu zarzutu kradzieży. Najbiedniejsi byli więc jedyną grupą, która uwielbiała Jana, chociaż należy przyznać, że znalazł on także ludzi pomocnych zarówno pośród duchownych,



jak i arystokracji. Wspierała Jana bogata wdowa Olimpia, a wielu duchownych poparło go zwłaszcza w pracy misyjnej wśród ariańskich Gotów.

Działalność Jana wywoływała jednak coraz mocniejszy sprzeciw. Jego prostolinijność i zupełny brak zmysłu dyplomatycznego były powodem wielu niepotrzebnych napięć. Na ambonie wymykały mu się nierozważne słowa, zwielokrotnione następnie przez plotkę. Zapewne niektórych z konfliktów można by uniknąć, gdyby był bardziej giętki. Do walki z Janem przystąpił, początkowo go popierający, potężny minister Eutropiusz. Swoimi wpływami doprowadził on do zlikwidowania przez cesarza prawa azylu w kościołach. Jak na ironię, wkrótce potem nastąpił jego upadek, a on sam szukał ratunku nie gdzie indziej, lecz w kościele. Wobec potężnego niegdyś eunucha uczonego jako błagalnik u stopni ołtarza Jan wygłosił 17 stycznia 399 roku sławną mowę o marności tego świata, którą do dziś uważa się za jedną z najbardziej porażających. Odznacza się ona stylistyczną doskonałością, elegancją układu oraz umiejętnym połączeniem oburzenia, patosu i religijnej siły. Przewodnią myśl mowy była bliska sercu Jana: „Marność nad marnościami i wszystko marność” (Koh 1, 2). To przesłanie, zilustrowane dobitnie odwróceniem losu Eutropiusza, powinno być głęboko wryte w świadomości każdego. Chcąc zyskać współczucie słuchaczy dla znieawidzonego ministra, Jan najpierw karci go za otaczanie się gronem pasożytów i pochlebców, za wydawanie – wbrew wszelkim jego radom – pijackich przyjęć i organizowanie konnych wyścigów, za rozrzutność i puszenie się bogactwem. W godzinie zagrożenia wszyscy go opuścili; jedynie Kościół, który prześladował, przychodzi mu z pomocą. Jan pyta retorycznie: „Gdzie jest świetny strój konsula? Gdzie jaśniejące pochodnie? Gdzie oklaski i tańce, i biesiady, i uroczyste zebrania? Gdzie wieńce i kotary? Gdzie wrzawa miasta i powitalne okrzyki w cyrku i pochlebstwa w teatrach? Wszystko to przeminęło. Wicher zerwawszy się nagle, postrzącał liście i pokazał nam drzewo ogołocone i już od samego korzenia wstrząśnięte, a napór podmuchu był taki, że groził potarganiem włókien drzewa i wyrwaniem go z korzeniami. Gdzie teraz udawani przyjaciele? Gdzie biesiady i uczty? Gdzie rój pasożytów i czyste wino, wlewane przez cały dzień do pucharów, i różnorodne wymysły kucharzy i owi słuźalcy władzy, którzy wszyscy czynili i mówili, aby się przypodobać? Nocą to było wszystko i marą senną, i z nadejściem dnia zniknęło”.

Po Eutropiuszu władzę nieograniczoną przejęła cesarzowa Eudoksja, która potępienie zbytku kobiet przez Jana przyjęła jako osobistą aluzję i rozpoczęła szykany wobec biskupa. Do akcji wkroczył także patriarcha Teofil. Mając w Konstantynopolu usprawiedliwić się z różnych skarg, które podnosili przeciwko niemu mnisi żyjący na Pustyni Nitrijskiej, przerzucił winę na Jana i przystąpił do kontruderzenia. Pretekstem stało się przyjęcie przez niego przybyłych do Konstantynopola mnichów egipskich, wygnanych przez Teofila. Patriarcha aleksandryjski uznał to za osobistą obrazę. Przybył więc do stolicy i zgromadził wszystkich niezadowolonych do Dębu, posiadłości pod Konstantynopolem. W sierpniu 403 roku

na synodzie „Pod dębem”, w którym wzięło udział 36 biskupów, Teofil odbył sąd nad Janem i postanowił – ponieważ trzy razy odmówił on przybycia na synod – złożyć go z urzędu biskupiego. Z kolei cesarz skazał Jana na wygnanie.

Wielki antiocheńczyk przyjął te ataki ze spokojem, choć czasami widoczne są w jego homiliach z tych dni ból i oburzenie. W pełnej godności *Mowie przed wygnaniem* (*Sermo antequam iret in exsilium* – PG 52. 427-432) biskup przygotowywał zaniepokojonych wiernych na to dramatyczne zdarzenie. Prosił, by zamiast trwożyć się i buntować, podnosili go na duchu swoimi modlitwami. Podkreślał niezwykłość Kościoła popartą obietnicą Chrystusa: „Ja jestem z wami przez wszystkie dni” (Mt 28, 20). W słowach mądrych i szlachetnych prosił lud, by był posłuszny prawnie wyznaczonemu i konsekrowanemu bez przymusu biskupowi, gdyż Kościół potrzebuje pasterza. Stwierdzał: „Wiele fal mnie otacza i morze strasznie się burzy, lecz nie boję się zatonięcia, bo stoję na skale. Niech morze szaleje! Skąły rozbić nie zdoła! Niech się podnoszą fale! Jezusowej łodzi zatopić nie są zdolne. Czegóż mam się lękać? powiedz mi! Śmierci? Moim życiem jest Chrystus, a śmierć zyskiem. Może wygnania? Pańska jest ziemia i co ją napęlnia. Może utraty majątku? Nic nie przynieśliśmy na świat, i pewną jest rzeczą, że nic wynieść nie możemy. Postrachy tego świata lekceważę, a z dóbr jego się śmieję. Ubóstwa się nie boję, bogactwa nie pragnę; śmierci się nie lękam, o życie nie proszę, chyba dla waszego postępu w cnocie”. Jan został zesłany do Bitynii. Ponieważ jednak nieszczęśliwy wypadek, który przytrafił się w pałacu, wprowadził głęboko przesadną cesarzową w przerażenie, przeto już następnego dnia Jan został odwołany z wygnania. Powrócił więc entuzjastycznie witany przez lud i cesarzową.

Jednakże ta sielanka nie trwała długo. Gdy cesarzowa wystawiła sobie przed katedrą wspaniałą srebrny posąg i urządziła przed nim hałaśliwe zabawy, które zakłóciły nabożeństwo, Jan wystąpił z gwałtownym potępieniem tego. Cesarzowa poczuła się dotknięta tym kazaniem, nastąpiło nowe pogorszenie stosunków z dworem; a przeciwnicy biskupa mogli znów wystąpić przeciwko niemu. Wiedząc o tym Teofil podsunął rozwiązanie: wedle kanonu synodu w Antiochii z 341 roku, Jan objął nieprawnie stanowisko, którego pozbawił go synod, pełni więc nieważnie swoją funkcję. Cesarz, z podpuszczenia żony, zakazał Janowi dalszej działalności. Na nic zdały się protesty Jana. W noc wielkanocną przerwano przy pomocy wojska uroczystości chrzcielne i usiłowano zamordować Jana. Próba złożenia Jana z urzędu biskupiego przez ponownie zwołany synod wprawdzie się nie powiodła, ale biskupi, jego przeciwnicy, 9 czerwca 404 roku uzyskali od cesarzowej nowy dekret banicyjny, którego Jan posłuchał, aby zapobiec zamieszkom.

Najpierw miejscem wygnania była mała miejscowość Kukuza, w górach Taurus, stosunkowo niezbyt odległa od Antiochii. Dawni przyjaciele z Antiochii i Konstantynopola wysyłali mu pomoc, tak że Jan z wygnania mógł zorganizować misję wśród pogan Fenicji. Przyjaciele z Konstantynopola utrzymywali z nim korespondencję; niezmordowana Olimpia spieszyła mu z pomocą. Listy

z wygnania do różnych ludzi stanowią piękny dokument hartu ducha, spokoju i życzliwości Jana. Na wygnaniu powstają również jego traktaty: *Nikt nie może szkodzić sobie samemu, jak tylko ten, co sam sobie szkodzi* oraz *O Opatrzności*, stanowiący jakby podsumowanie doświadczeń jego życia. Zaleca w nim czytanie Pisma Świętego i konfrontowanie go z życiem. Wypadki życia bowiem i Pismo mają jednego autora – Boga. Ponadto miłość Boża przekracza wszelką ludzką miłość – jej przejawami jest zarówno chwała, jak i krzyż.

Trzy lata później na miejsce wygnania Jana został wyznaczony odległy Pityont, na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. Dla biskupa rozpoczął się ostatni etap wędrówki w letnim skwarze Anatolii. 13 września Jan z eskortą dotarł do Komany Pontyjskiej. W nocy spędzonej w kaplicy miał widzenie miejscowego męczennika św. Bazyliskosa, który dodawał mu odwagi i zapewniał, iż jutro będą już razem. Skrajnie wycieńczony Jan nie był w stanie iść dalej. Zmarł 14 września 407 roku. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział to dziękczynienie, obecne – jak notuje pierwszy biograf Chryzostoma Palladiusz, biskup Helenopolis – przez całe życie na jego ustach i w którym zawierało się jedno z jego najgłębszych przekonań: „Chwała Bogu za wszystko”.

Wygnanie i śmierć Jana Chryzostoma wywołały ogromne oburzenie w świecie chrześcijańskim. Sam Jan zwrócił się o pomoc do papieża Innocentego, do biskupa Chromacjusza z Akwilei i Weneriusza z Mediolanu. Ich starania pozostały bezskuteczne. W Konstantynopolu wybrano nowego biskupa Arsacjusza, a po jego śmierci, która wkrótce nastąpiła, Attyka, jednego z zażartych wrogów Jana, który zwalczał joannitów pielęgnujących pamięć Jana. Wymazano imię Jana z dyptychów, czyli spisów ludzi, za których się modlono w Konstantynopolu i Aleksandrii. W reakcji na to papież Innocenty I zerwał na pewien czas więź kościelną z tymi stolicami biskupimi. Rehabilitacja Jana nastąpiła dopiero w 438 roku, po śmierci jego wrogów. Wtedy to sprowadzono ciało Jana do Konstantynopola. Naprzeciw orszaku wyszedł cesarz Teodozjusz II, położył głowę na trumnie i w cichej modlitwie błagał Jana o przebaczenie dla swoich rodziców. Dzisiaj doczesne szczątki Jana spoczywają w Bazylice św. Piotra na Watykanie.

## Orator i pisarz

Jan Chryzostom jest przede wszystkim kaznodzieją i duszpasterzem. Jakkolwiek jego pisarska spuścizna jest bogatsza niż wszystkich pozostałych pisarzy wschodnich, to dominują w niej homilie i mowy, często zapisane przez stenografów, a następnie opublikowane, choć są też teksty kazań, które prawdopodobnie były tylko napisane, a nie zostały wygłoszone. Jeśli chodzi o treść tych pism, to stanowią one bogaty materiał nie tylko dla teologów, lecz także dla historyków kultury.

Jan objaśniał wiele ksiąg biblijnych. Starał się wydobyć historyczny sens tekstu biblijnego kierując się zasadami szkoły antiocheńskiej. Żaden z ojców Kościoła nie przedłożył tak gruntownej, a zarazem tak praktycznej wykładni

tekstu świętego jak Jan. Nawet dzisiaj czyta się jego homilie nie tylko z pożytkiem i przyjemnością, lecz często – z egzegetycznego punktu widzenia – także z pełną aprobatą, co nie zawsze można powiedzieć w wypadku kazań innych ojców, nie wykluczając Augustyna.

Z komentarzy do ksiąg Starego Testamentu najważniejsze są dwie serie homilii do Księgi Rodzaju: wspomniane wyżej z 386 roku oraz 67 wygłoszonych prawdopodobnie w 388 roku. Jan wygłosił także szereg homilii komentujących 58 wybranych Psalmów oraz Księgę Izajasza.

Z nowotestamentowych homilii należy wymienić przede wszystkim 90 homilii do Ewangelii według św. Mateusza. To o nich, tylko na podstawie lektury tekstu wielki myśliciel i erudyta – św. Tomasz z Akwinu, miał się wyrazić, że nie oddałby ich za cały Paryż. Ponadto mamy 7 homilii do Ewangelii według św. Łukasza (16, 19-31); 88 homilii do Ewangelii według św. Jana oraz trzy serie homilii do Dziejów Apostolskich. Chryzostom był gorącym entuzjastą apostoła Pawła. Na jego cześć wygłosił 7 mów pochwalnych, zaś jego homilie do listów św. Pawła obejmują wykład wszystkich listów Pawłowych. Za najlepsze i najbardziej dopracowane uważa się 32 homilie Jana oparte na Liście do Rzymian.

Z kazań okolicznościowych należy wymienić przede wszystkim wspomniane już 21 mów o posągach, 2 kazania o przemijalności i nicości wszelkiego ziemskiego szczęścia wygłoszone z powodu obalenia ministra Eutropiusza oraz *Mowę o niezwykłości Kościoła*, wygłoszoną krótko przed udaniem się na wygnanie w 403 roku. W swoich mowach pochwalnych na cześć świętych Starego Testamentu, męczenników, biskupów Kościoła antiocheńskiego wysławiał m.in. Hioba, Eleazara, braci Machabeuszy, męczenników Romana, Barlaama, Pelagię, biskupów Ignacego, Babilasa, Eustacjusza, Melecjusza i swego nauczyciela Diodora z Tarsu. Cele dogmatyczno-polemiczne przyświecają 12 homiliom o niepojętości Boga i o równości w istocie Syna i Ojca skierowanym przeciw anomejczykom. Jak już wspomniano, w 8 kazaniach ostrzegał przed udziałem w żydowskich świętach. Wygłosił też 3 kazania o szatanie, 9 o pokucie, 1 przeciw zabobonom noworocznym, 1 przeciw igrzyskom i teatrowi. Dla historii liturgii ważnych jest 12 katechez dla katechumenów w Antiochii. Z kazań na święta kościelne należałoby wymienić: kazanie na święto Bożego Narodzenia (386), w którym zaznacza, że święto to zaledwie przed 10 laty dotarło z Rzymu do Antiochii; kazanie na święto Objawienia Pańskiego (Epifanię), Wielkanoc i Wniebowstąpienia Chrystusa.

W dorobku Jana znajdują się także rozprawy. Najbardziej znany i poczytny jego utwór nosi tytuł: *O kapłaństwie*. Powstał on w 386 roku. Jan porusza tytułowy problem w formie fikcyjnego dialogu z bliżej nie znanym Bazylim. Do tego gatunku literackiego sięgało w starożytności wielu pisarzy. Do doskonałości doprowadził go już Platon. Spośród pisarzy chrześcijańskich sięgnął do niego już św. Justyn Męczennik († 167) pisząc swą słynną apologię *Dialog z Żydem Tryfonem*, w III wieku uczynił to Metody z Olimpu tworząc dialog *Aglaofon czyli*

o *zmartwychwstaniu*, a w wieku IV Grzegorz z Nyssy snując swoje rozważania o duszy i zmartwychwstaniu w formie dialogu z siostrą Makryną. Tak więc podejmując rozważania o kapłaństwie w formie dialogu Jan nie był nowatorem. Właściwym tematem tego pisma jest wielkość i odpowiedzialność kapłaństwa, zwłaszcza urzędu biskupiego. W rozprawie *O próżności i o wychowaniu dzieci* Jan najpierw zwięźle ukazuje obserwowane w Antiochii zgubne skutki, spowodowane luksusem i rozwiążnością, a następnie mówi, że poprawę można by osiągnąć tylko przez właściwe wychowanie dzieci, którym zajmuje się w dalszych swych wywodach. W kilku rozprawach zaleca życie monastyczne i staje w jego obronie: dwom zaprzyjaźnionym mnichom poświęca dwie księgi *O pokucie i skrusze*; trzy księgi kieruje *Przeciw zwalczającym życie monastyczne*. Listem *Do Teodora po jego upadku* skłonił swego przyjaciela Teodora, późniejszego biskupa Mopsuestii, do powrotu do klasztoru. Tematem pism *O dziewictwie*, *Do młodej wdowy*, *O niezawieraniu ponownego związku* są zachęty do życia ascetycznego i jego pochwały. W trzech pismach pocieszających: *Do Stagirusza dręczonego przez diabła* oraz wspomnianych już *Nikt nie może szkodzić sobie samemu, jak tylko ten, co sam sobie szkodzi* i *O Opatrzności* rozważa sens i znaczenie cierpienia i doświadczeń, jakie spadają na człowieka.

W 236 listach, pochodzących z czasu drugiego wygnania, adresowanych do ponad stu odbiorców, Jan chce przede wszystkim pocieszyć swoich zwolenników i przyjaciół, zwłaszcza tych prześladowanych, i powiadomić ich o swoim położeniu. Najważniejszymi są: 17 listów adresowanych do swej najwierniejszej zwolenniczki w Konstantynopolu, wdowy i diakonisy Olimpiii oraz 2 listy do papieża Innocentego I. Nieautentyczna jest natomiast przypisywana Janowi tzw. *Liturgia Chryzostoma*, jeszcze dzisiaj przez większość dni roku używana w Kościołach greckokatolickich.

Dzieło Jana Chryzostoma jest ogromne. W *Patrologii* Migne'a zajmuje 17 wielkich tomów i jest najrozleglejszą spuścizną jednego z ojców. Na Zachodzie dorównywał mu tylko Augustyn z Hippony. Na Wschodzie chrześcijańskim Jan cieszył się wielką popularnością. Zaliczono go do czterech głównych nauczycieli Kościoła, obok świętych Atanazego, Bazylego i Grzegorza z Nazjanzu.

### Złotousty kaznodzieja

W homiliach, które Jan głosił do wiernych, używał krótkich i prostych zdań, pytań i odpowiedzi, głoszony tekst obrazował przykładami z Biblii. Niekiedy dla ożywienia stosował interesujące dygresje, przez co czasem rozrywał kompozycyjną zwartość mów. Oprócz prostego stylu attycystycznego, jakim zwykle posługiwał się w homiliach, w mowach okolicznościowych używał także stylu azjańskiego, bogatszego i patetycznego. Stąd też styl tych mów jest podniosły, często obrazowy, pełen ozdób retorycznych; zdania ułożone są w długie, starannie rozczłonkowane periody o rytmicznych klauzulach iloczynowych i akcentowych.



Kazania Jana wzbudzały wielki entuzjazm u miłujących piękno języka greckiego. Do mistrzostwa Jana przyczyniło się gruntowne wykształcenie literackie, jakie dał mu Libanisz, a także godna uwagi ciągłość greckiego systemu edukacyjnego, który przez setki lat skupiał uwagę na tych samych, znakomitych tekstach. Błędem byłoby jednak upatrywanie źródła sukcesu Jana jako popularnego kaznodziei wyłącznie w jego języku, ponieważ stosunkowo niewielu spośród jego uważnych słuchaczy było znawcami literatury. Największą rolę musiała z pewnością odegrać niezwykła jasność stylu, prostota i plastyczność jego obrazowania i, co najważniejsze, pewność, z jaką potrafił on instynktownie, jako mówca obdarzony rzadką charyzmą, poruszać serca i sumienia swych słuchaczy. Jan mówił bowiem bardzo długo, nieraz po dwie godziny, przemawiając od pulpitu, aby mieć bardziej bezpośredni kontakt ze słuchaczami. Współczesnym uczonym jego kazania często wydają się nieznośnie długie, pozbawione logicznego układu, podzielone na części tak, jak przechodzi on w nich od jednego tematu do innego. Według nich mamy tu do czynienia z typową dla Jana makrologią, czyli wielosłowiem. Jednakże tłumów, które wsłuchiwały się w słowa płynące z ust kaznodziei, nie zniechęcały, jak się zdaje, owe techniczne uchybienia. Magnetyzowało je bowiem przekonanie i pasja, które pulsowały w każdym fragmencie kazań.

Kazania Jana ożywiały po mistrzowsku w nie wplecione obrazy i porównania, nawiązania do współczesnych okoliczności i interesujące dygresje. Gdy zapadał zmrok i zaczynało się zapalanie lamp, ludzie śledzili tę czynność przestając słuchać kaznodziei. Dostrzegł to Jan i zareagował: „Uważajcie przecież i zaniechajcie roztargnienia! Dlaczego to mówię? Mówimy do was o Piśmie Świętym, a wy nie patrzycie na nas tylko na lampy i ich zapalacza! Jaka to wielka lekkość patrzeć na lampiarza zamiast na kaznodzieję. I ja zapalam światło, światło Pisma Świętego, a na moim języku płonie lampa świętej nauki”.

Kazania Jana pełne są przykładów z życia. Przed słuchaczami przesuwiał on barwny obraz codzienności. Tylko w jednym *Kazaniu na Zielone Świątki* można spotkać takie porównania kaznodziejskie Jana z Antiochii: „Jak ze zjawieniem się słońca pierzchają ciemności, zwierzęta kryją się, zbójcy uciekają; tak ze zjawieniem się Piotra znikły ciemności, uciekli szatani”. [...] „Jak ogień, ogarnąwszy miękką glinę, uczyni z niej twardą cegłę, tak i ogień Ducha Świętego złą duszę, choćby była bardziej miękka od gliny, uczyni twardszą od żelaza”. [...] „Miłość jest korzeniem, źródłem i matką wszelakich dóbr. Bo jak korzeń wypuszcza liczne gałęzie, cnoty, gdyż jak źródło, rodzi rozliczne strumienie – i jak matka, bo tuli do łona uciekających się do niej”.

Po przemówieniu wybuchały entuzjastyczne oklaski, które Jan tak podsumował: „Wierzcie mi: gdy przemawiam i otrzymuję oklaski to będąc człowiekiem (dlaczego nie mam wyznać prawdy?) cieszę się z tego i pozwalam na to. Ale gdy potem wrócę do domu i rozważam, że ci, co klaskali, nie odnieśli żadnej korzyści albo stracili ją, na skutek klaskania i pochwał, wtedy doznaję bólu, wzdycham



i płacząc czując się jak ten, co mówił na próżno, mówię sobie: cóż z mojego całego mozołu, jeśli słuchacze nie chcą z moich słów odnieść żadnego pożytku?”.

Struktura typowej dla Jana homilii egzegetycznej miała pewien stały schemat. Pierwsza część zawierała zwięzłą egzegezę danego fragmentu Pisma Świętego, opierającą się, wedle zasad szkoły antiocheńskiej, na sensie wyrazowym fragmentu. Druga część to wyciągnięcie z niego treści moralnej. Jan był bowiem przede wszystkim moralistą i rzadko wdawał się w skomplikowane rozważania dogmatyczne. Uważał, że najpierw trzeba poznać prawdę, ale jako wielbiciel św. Pawła wiedział dobrze, że do tego potrzebna jest łaska. W swojej nauce moralnej Jan podkreślał zwłaszcza, za św. Pawłem i Janem, znaczenie miłości bliźniego, wyrażonej w szczególny sposób w miłości ku ubogim. Jako kapłan miał codzienny kontakt z ludźmi. Będąc realistą unikającym doktrynerstwa, całe życie się uczył, korygując swoje poglądy i działalność. Przemawiał z mocą, atakował ostro grzechy ludzkie, miał jednak zrozumienie dla grzesznika, któremu głosił przebaczenie.

Wpływ św. Jan Chryzostoma na kaznodziejstwo był znaczący. Idąc za preferencjami szkoły antiocheńskiej w kierunku dosłownego, a nie alegorycznego odczytywania sensu Pisma Świętego zrobił bardzo dużo, by rozwinąć drugą lub mieszaną formę homilii, w której fragment biblijny był najpierw wyjaśniany wersem po wersecie, a później jego centralna myśl była traktowana jako jeden temat rozwinięty w kazanie tematyczne.

## Nauczyciel kaznodziejstwa

Jan z Antiochii nie był teoretykiem tej miary, co Augustyn, który w *De doctrina christiana* dał wyraz swym poglądom na wymowę kościelną. Chryzostom tylko ubocznie podjął ten problem, gdy w IV i V księdze swego dialogu *O kapłaństwie* (IV, 3 – V, 8) podawał kapłanowi uwagi o zadaniach mówcy kościelnego. Jako że jednym z obowiązków kapłańskich jest głoszenie słowa Bożego, dlatego też w dialogu Jan zamieścił wiele cennych uwag na ten temat.

Chryzostom rzuca nowe światło na cele wymowy. Wszyscy bowiem mówcy żyjący przed nim zmierzali tylko do tego, by słuchacza przekonać. Tak pojmowali cel wymowy Grecy i Rzymianie, dla których *persuasio* było głównym zadaniem mówcy. Podzielał to stanowisko także Augustyn. Tymczasem Jan z Antiochii zwraca uwagę na potrzebę uwzględnienia w wymowie pierwiastka etycznego, skłonienia słuchaczy ku dobru etycznemu. Mówca – zdaniem Jana – „ma tak mówić, aby lud poszedł za nim i naśladował go”. Ponieważ zaś całe życie mówcy kościelnego ma być – jak o tym mówi w dziele *O kapłaństwie* – wprzęgnięte w służbę wiekuistego Dobra, przeto słuchacze, idąc za nim i jemu będąc posłuszni, idą równocześnie za najwyższym Dobrem i Prawdą.

Kapłan ma obowiązek być wymownym. Sprawuje on bowiem opiekę nie nad uprawą pszenicy i jęczmienia, hodowlą wołów i owiec, lecz nad samym Cia-

łem mistycznym Chrystusa. Komu więc zostało ono powierzone, ten powinien uczynić wszystko dla jego zdrowia i piękności, aby tego powabu i wdzięku nie naruszała jakakolwiek zmarszczka, plama, lub inna skaza. Lekarze wynaleźli wprawdzie rozliczne lekarstwa i przyrządy, by chorych leczyć. Gdy jednak zachoruje mistyczne Ciało pozostaje jeden tylko środek, jedna droga do wyzdrowienia – słowo pouczające. „Oto środek, oto pokarm, oto najlepsza temperatura powietrza; ono zajmuje miejsce lekarstw, ognia i żelaza; czy należy palić, czy ciąć, koniecznie go użyć trzeba; gdy ono nic nie pomoże, wszystko inne daremne. Przez nie nawet obumarłą duszę wskrzeszamy, rozpaloną łagodzimy, w przesadzie powstrzymujemy, braki uzupełniamy – słowem czynimy wszystko, co jest potrzebne do zdrowia duszy” (IV, 3).

Wymowa potrzebna jest do obrony prawdy objawionej. „Wymową musimy się obwarować, byśmy nie byli wystawieni na pociski nieprzyjaciół, lecz abyśmy raczej sami w nich godzili” (IV, 3). Tylko dar czynienia cudów mógłby zastąpić brak wymowy. A nawet i przy cudach wymowa nie jest bez pożytku. „Gdyby kto był tak uzbrojony w miecz ducha i puklerz wiary, że potrafiłby cuda działać i dziwami zatkać usta bezbożników, obszedłby się wprawdzie bez pomocy słowa, ale i wtedy nie byłoby ono bez pożytku, lecz owszem nawet bardzo potrzebne”.

Jan Chryzostom powraca często do swego wzoru, jakim jest św. Paweł i wykazuje, że więcej zrobił on słowem niż zdziałanymi przez siebie cudami. Jak pokazują Dzieje Apostolskie, Żydów i Greków pobił wymową, Areopagitę wraz z żoną nawrócił kazaniem, znane są jego dysputy z epikurejczykami i stoikami, a Likaonczycy za boga go ogłosili. Wszystko to stało się nie przez cudowne znaki, lecz dzięki wymowie (IV, 5). Ponieważ kaznodzieje chrześcijańscy nie posiadają apostoelskiej mocy czynienia cudów, tym bardziej potrzebują doskonałego opanowania daru wymowy. Osiąga się go pracą. Jan z Antiochii podkreśla, że im człowiek jest zdolniejszy, tym więcej powinien pracować nad swoim talentem, bowiem wymowność daje mówcy nie natura, lecz praca. Pracy nad sztuką wymowy domaga się od kaznodziei przede wszystkim wzniosły cel – chwała Boża (V, 7). Należy dobrze przygotować się do przemówień, również z tego względu, że nie zawsze będzie się miało przychylnie usposobienie słuchaczy. Jeśli mówca nie przygotowuje się do przemówienia należycie, słuchacze zaraz to zauważą, uchybienia i błędy podchwycą i zapamiętają na zawsze. Mowa jednak nie powinna być retoryczną deklamacją, a sam mówca powinien szukać pożytku wiernych, a nie swojego uznania.

## Wielki retor i moralista

Jana Chryzostom nie był na pewno teologiem tej miary co Grzegorz z Nazjanzu czy Grzegorz z Nyssy, których subtelne rozważania pchnęły teologię na nowe tory; nie był jak św. Atanazy niewzruszonym świadkiem wiary w bóstwo Syna Bożego; nie był też genialnym organizatorem życia religijnego, jak św. Ba-

zyli Wielki. Jan był natomiast pierwszym naprawdę wielkim retorem chrześcijańskim. W świecie starożytnym, w którym istniał kult pięknego słowa, chrześcijanie mieli kompleks niższości wobec wielkości kultury pogańskiej. Pisarze chrześcijańscy podejmowali więc retoryczne czy poetyckie próby naśladowania antyku. Jan Chryzostom nie potrzebował tego. On po prostu był retorem i to, co było najlepsze w świecie starożytnym stało się jego własnością i jego naturą. Stąd brał się ogromny entuzjazm chrześcijan: oto wreszcie mamy prawdziwego mówcę, dorównującego największym mówcom starożytnym, z jego ust płynnie wymowa, jakiej nie słyszano od czasów Cycerona i Demostenesa.

Z teologicznego punktu widzenia Jan był wielkim moralistą. Nawet obecne tu i ówdzie w jego twórczości rozważania dogmatyczne służyły do wyciągnięcia wniosków moralnych. W swych poglądach był on wprawdzie typowym przedstawicielem szkoły antiocheńskiej, ale nigdy nie zdarzyło się mu przekroczyć granic ortodoksji, jak to uczynili jego mistrz Diodor lub Teodor, późniejszy biskup Mopsuestii. Jego nauka moralna oparta jest na Biblii, z niej wypływa i do niej nieustannie nawiązuje. Jeśli w niej spotykamy elementy filozofii starożytnej, to są one jej podporządkowane. Jan w swych homiliach wykląda całą moralność chrześcijańską, a nie tylko jakiś jej wycinek i uzupełnia ją w swych traktatach. Nie jest to jednak moralność dla niewielkiej grupki. Jan przedstawia naukę Chrystusa ogółowi wiernych w Antiochii czy Konstantynopolu. Podaje zawsze szczytny ideał, ale umie go tak sprecyzować, by był przystępny również dla zwyczajnego człowieka. A robi to nie jako teoretyk, ale jako wypróbowany kierownik duchowy i duszpasterz, dobrze osadzony w realiach życia, zawsze gotów poddać swe poglądy koniecznej rewizji. Cechowała go głęboka miłość do tych, do których przemawiał; potrafił zyskać sobie sympatię i zaufanie słuchaczy. Między tym kaznodzieją a słuchaczami w Antiochii czy w Konstantynopolu nawiązywała się więź przyjaźni, która przetrwała trudne doświadczenia.

Należy się cieszyć, iż Kościół zalicza do grona świętych takich ludzi, jak Jan Chryzostom, ludzi, którzy nigdy nie szli na kompromis z władzą i z pieniądzem, którzy potrafili stanąć po stronie biednych. Spośród wszystkich ojców Kościoła greckiego Jan Chryzostom jest najbardziej znany i najbardziej popularny, a spośród wszystkich ojców greckich i łacińskich najbardziej wymowny. Ale chyba nie wymowność przede wszystkim zjednała mu popularność i sympatię słuchaczy. Zadecydowały o tym zalety jego charakteru, pogoda usposobienia, dobroć, wytrwałość w głoszeniu prawdy Bożej, a więc to, co określamy mianem świętości osobistej. Gdy zaś z tymi walorami zespolił się znakomity talent oratorski i żarliwość kaznodziejska, zaistniały wszelkie warunki ku temu, by właśnie Jan mógł się stać patronem wszystkich kaznodziejów.

św. Jan Chryzostom

## *Kazanie na Epifanię*

1. Wszyscy dziś radujecie się – a ja jestem smutny. Spoglądając bowiem na ten, jak morze daleko i szeroko sięgający, tłum wiernych, na ten przebogaty skarb świętego Kościoła, zdaję sobie równocześnie sprawę z tego, że gdy tylko minie święto, ten tłum się na długo rozejdzie i nie będzie go można znów wnet ujrzeć. Ta myśl napętnia me serce boleścią i smutkiem. Dlaczego Kościół, który zrodził tyle dzieci, może się nimi cieszyć tylko w święta a nie w czasie każdego liturgicznego zgromadzenia? Co to za święta radość by była, co za woń, co za cześć dla Pana Boga i korzyść dla dusz, gdybyśmy podczas każdego nabożeństwa widzieli pełny kościół, jak dziś. Lecz jeśli żeglarze wyciągają swe siły, by podróż przez szerokie morze prędko doprowadzić do końca, to my niestety musimy patrzeć, jak na pełnym morzu tu i tam błądzimy, stale żeglując po wzburzonych falach doczesnych zajęć, pędzeni po rynkach i salach sądowych, a w kościele zjawiamy się ledwie raz lub dwakroć w roku!

Czyż nie wiecie, że według Bożego planu kościoły winny być tym w miastach, czym porty są na morzu? Do nich należy uciekać przed burzami życia, aby znaleźć spokój i bezpieczeństwo. Bo w nich nie musimy się lękać rozhukanych fal, napadów zbójców, zdradzieckich zasadzek, orkanu, złości drapieżnych zwierząt. Kościół jest przystanią, która zasłania przed wszystkimi niebezpieczeństwami, jest przystanią w duchowym znaczeniu, przystanią dla dusz. Możecie to poświadczyć, bo gdy ktoś z was wglądnie teraz w swe wnętrze, znajdzie w nim wielki pokój. Nikogo tu nie dręczy gniew, nie rozpala namiętność ani zawiść, nie nadyma pycha i próżna chwała. Ujarmiliśmy wszystkie te dzikie zwierzęta. Słowa Pisma Świętego, które się tu słyszy i które padają w serce, jak boska melodia łagodzą namiętności. Czyż zaprzestanie wytrwałego i regularnego uczęszczania do kościoła, matki wszystkich wiernych – gdzie czerpiemy mądrość i zażywamy pokoju duszy – nie jest wielkim nieszczęściem? Gdzież lepiej spędzisz czas i znajdziesz pożyteczniejsze miejsce zebrań?

Cóż ci przeszkadza tu przybyć? Mówisz, że ubóstwo nie pozwala ci uczestniczyć w tym wspólnym zebraniu. Lecz czy to słuszna wymówka? Siedem dni ma tydzień i tymi siedmioma dniami Bóg się z nami podzielił. Nie zatrzymał dla siebie większej, a nam nie oddał części mniejszej, nawet równo nie podzielił się z nami, nie wziął dla siebie trzech i nie trzy dni nam oddał, lecz tobie dał sześć, sobie zaś zatrzymał tylko jeden. A jednak nie chcesz tego zrozumieć i w tym jednym dniu nie chcesz całkowicie wstrzymać się od zajęć ziemskich, nie wstydzisz się, że dzień ten spędzasz jak złodziej, co okrada kościół! Kradniesz bowiem ten uświęcony i na wysłuchanie Boskiego słowa przeznaczony dzień, aby wykorzystać go do zajęć świeckich. Po cóż mówię o całym dniu? Ofiaruj Panu choć małą cząstkę tego dnia, podobną do skromnej jałmużny, jaką ofiarowała wdowa! Jak ona dała dwa grosze i tym zyskała sobie upodobanie Boże tak i ty poświęć Bogu dwie godziny, a tak pójdziesz do domu z zyskiem, który zrównoważy dni tysiąc. Jeśli tak nie uczynisz, bacz, byś nie stracił owoców całego roku za to, że ci żal odjąć małą cząstkę dnia od ziemskiego zysku.

Jeśli wzgardzimy Bogiem, to i On nam odejmie zebrane już dary. Tym groził kiedyś Żydom, gdy zaniedbali troskę o świątynię: „Przyniosłem dobra w wasze ręce, odrzuć je” (Ag 1, 3) – mówi Pan. Jeśli tylko raz lub dwakroć w roku przyjdiesz do nas, powiedz, ile możemy cię pouczyć o prawdach, które przecież koniecznie znać należy – o duszy, ciele, nieśmiertelności, królestwie niebieskim, karze, piekle, miłosierdziu Bożym, przebaczeniu, pokucie, chrzcie, od-

puszczeniu grzechów, stworzeniu nieba i ziemi, naturze człowieka, aniołach, złości odrzuconych duchów, zasadzkach szatana, życiu chrześcijańskim, przykazaniach, prawdziwej wierze, błędach heretyków? O tym wszystkim i o wielu innych rzeczach winien wiedzieć chrześcijanin, a zapytany o nie zdać sprawę. A wy, którzy tylko raz do roku, i to tak od niechcienia, tu się gromadzicie, nie z pobożności, lecz tylko ze zwyczaju, nie potraficie nauczyć się tych prawd nawet w bardzo małym zakresie. A czy można się cieszyć, że tylko ci chrześcijanie przyswoili sobie całą wiedzę, którzy tu regularnie przychodzą?

Wielu z was tu obecnych ma sługi i dzieci. Powierzywszy je nauczycielowi, surowo zabraniaacie im przychodzić do domu, skoro postaraliście się im o ubranie, utrzymanie i inne potrzebne rzeczy. Czyniecie to, aby przez stałe przebywanie u nauczyciela lepiej i dokładniej poznały jego sztukę i by żadna troska nie przeszkadzała im w nauce. Czy więc sądzicie, że tu – gdzie chodzi nie o zwyczajną i prostą sztukę, lecz o największą ze wszystkich sztuk: jak podobać się Bogu i zdobyć niebo – nauczyć się mimo niestałości i lekkomyślności? Jest to wielkie nieporozumienie! Nauczenie się tego wymaga wiele wysiłku i uwagi. Posłuchaj, co Pan mówi: „Uczcie się ode mnie, iż jestem cichy i pokornego serca!” (Mt 11, 29). A co mówi prorok: „Pójdźcie, dzieci, słuchajcie mnie – bojaźni Pana nauczę was!” (Ps 33, 12). I znów: „Przybywajcie i poznajcie iż ja jestem Panem!” (Ps 45, 11). Kto chce sobie przyswoić chrześcijańską mądrość, ten musi na to poświęcić wiele czasu i trudu.

2. Oczywiście, nie chcę tylko czynić wyrzutów tym, którzy często są nieobecni. To, co powiedziałem, winno wystarczyć do wyrwania ich z obojętności. Przejdźmy teraz do kilku myśli o dzisiejszej uroczystości. Wielu bowiem chrześcijan obchodzi święta, nie znając ich nazwy, początku i powstania. Wszyscy wiedzą, że uroczystość dzisiejsza nazywa się „Objawienie”. Co to za objawienie i czy chodzi tu o jedno, czy o dwa objawienia – nie wiedzą. Wstyd, że rokrocznie obchodzą święto i zupełnie nie zdają sobie sprawy z jego przedmiotu i przyczyny.

Najpierw tedy muszę wam powiedzieć, że mamy nie jedno, lecz dwa objawienia Pana. Pierwsze już się dokonało, drugie dokona się w wielkiej wspaniałości na końcu świata. Słyszeliście o obydwu z listu św. Pawła do Tytusa. O tym, które już się dokonało, mówi: „Ukazała się łaska Boga przynosząc zbawienie wszystkim ludziom, pouczając nas, abyśmy wyrzekli się bezbożności i światowych pragnień, trzeźwo, sprawiedliwie i pobożnie żyli na tym świecie” (Tt 2, 11-12). Potem mówi o przyszłym: „Oczekując świętej nadziei i objawienia wspaniałości naszego wielkiego Boga i Zbawiciela Jezusa Chrystusa”. O tym objawieniu powiada prorok: „Słońce zamieni się w ciemność i księżyc w krew, zanim dzień Pański przyjdzie, wielki i błyszczący” (Jl 2, 31).

Czemu jednak jako objawienie Pana obchodzi się nie dzień Jego narodzenia, lecz dzień chrztu? Bo dzień dzisiejszy jest tym, w którym przez chrzest uświęcił Chrystus naturę wody. Dziś woda się uświęciła, dziś starają się wszyscy zaczerpnąć jej o północy, aby ją troskliwie przynieść do domu i przez cały rok przechowywać. Dzieje się jawny cud, że tak zaczerpnięta woda nie psuje się, lecz przez rok, często nawet przez dwa lub trzy lata, pozostaje świeża, nie psuje się i po upływie długiego czasu podobna jest do zaczerpniętej ze źródła. Czemuż ten dzień zwie się świętem Objawienia? Ponieważ nie w dniu narodzenia, lecz dopiero przy chrzcie wszyscy poznali Pana. Dotąd bowiem tylko nieliczni o Nim wiedzieli. O tym, że tłum Go nie znał i nie wiedział, kim jest, powiedział Jan Chrzciciel. Oto jego słowa: „W pośrodku was stanął, którego wy nie znacie” (J 1, 26). Cóż zresztą dziwnego, że Go wielu nie znało, skoro sam Chrzciciel aż do tego dnia Go nie znał? Powiedział bowiem: „I ja Go nie znałem, lecz ten, który mnie posłał, abym chrzcił wodą,



rzekł do mnie: «Gdy ujrzysz tego, na którego Duch zstępuje i na nim spocznie, ten chrzci w Duchu Świętym» (J 1, 33). Z przytoczonych słów widać podwójne objawienie Pana.

Ale można skądinąd jeszcze wnosić, dlaczego Chrystus przystąpił do chrztu i co to jest za chrzest, do którego przystąpił. I o tym trzeba wiedzieć. Wyjaśnię wam jedno i drugie. Jaki zatem chrzest przyjął? Z odpowiedzi na to pytanie poznamy powód Jego chrztu. Obmycie było w zwyczaju u Żydów. Oczyszczało ono z plam cielesnych, a nie od grzechowego brudu duszy. Gdy ktoś dopuścił się cudzołóstwa, kradzieży lub innego tego rodzaju grzechu, obmycie takie nie mogło uwolnić go od winy. Ale gdy ktoś dotknął zwłok ludzkich, spożył zakazane pokarmy, wrócił od cuchnącego trupa, przebywał z trędowatym, ten musiał się obmyć, ponieważ do wieczora był nieczysty, a stawał się czysty dopiero po obmyciu. Powiedziano bowiem: „Ma swe ciało obmyć w czystej wodzie i być nieczystym do wieczora, a potem będzie czysty” (Kpł 15, 7). Nie był to właściwy grzech ani nieczystość, lecz Bóg przez tego rodzaju przepisy i ćwiczenia wychowywał niedoskonałych jeszcze Żydów do większej pobożności i przygotowywał ich zawczasu do zachowania ważniejszych przykazań.

3. Oczyszczenia żydowskie uwalniały nie od grzechów, lecz tylko od cielesnego brudu. Nasz chrzest, przeciwnie, daleko więcej znaczy, zawiera bowiem wielkie bogactwo łaski. Uwalnia z grzechów, czyni duszę czystą i wyposaża ją w dary Ducha Świętego. Chrzest Jana stał daleko wyżej niż obmycia Żydów, z drugiej jednak strony nie miał tego znaczenia, co nasz chrzest. Był jakby pomostem między jednym a drugim rodzajem oczyszczenia. Jan nie zobowiązywał swych słuchaczy do przestrzegania cielesnych obmyć, nie przeceniał ich, natomiast wzywał do odwracania się od grzechu i do dążenia do cnoty, do opierania nadziei zbawienia na dobrych uczynkach, a nie na obmyciach i oczyszczaniach.

Nie mówił: Pierz swe szaty, obmywaj ciało, a będziesz czysty. A jak mówił? „Przynoście owoce godne pokuty!” (Mt 3, 8). Dlatego chrzest Jana więcej znaczył niż obmycia żydowskie, mniej jednak aniżeli nasz chrzest. Chrzest Jana bowiem nie mógł dać Ducha Świętego ani zapewnić przebaczenia przez łaskę. Wzywał do pokuty, lecz nie miał mocy odpuszczania grzechów. Dlatego Jan powiedział: „Ja chrzczę was wodą, ale On chrzcili będzie w Duchu i ogniu”. Z tego wynika, że sam nie chrzcili Duchem Świętym.

Cóż jednak znaczą słowa „w Duchu Świętym i w ogniu” (J 3, 11)? Przypomnij sobie dzień, w którym apostołom zjawiły się rozdzielone języki jakby z ognia i usiadły na każdym z nich (por. Dz 2, 3). To, że chrzest Jana był niedoskonały, bo nie udzielał ani darów Ducha Świętego, ani przebaczenia grzechów, wynika też z następujących słów. Paweł spotkał kilku uczniów i zapytał ich: „Czy otrzymaliście Ducha Świętego, gdyście przyjęli wiarę?”. Ci odpowiedzieli: „Nawet nie słyszeliśmy, że jest Duch Święty”. On zapytał: „Jaki więc chrzest przyjęliście?”. Odparli: „Chrzest Janowy”. Wtedy Paweł wyjaśnił: „Jan udzielił wam chrztu pokuty i mówił do ludu, aby wierzyli w tego, który przyjdzie po nim, to znaczy w Jezusa”. Usłyszawszy to, dali się ochrzcić w imię Pana Jezusa. A gdy Paweł włożył na nich ręce, zstąpił na nich Duch Święty (por. Dz 19, 2-3). Wiesz, jak niedoskonały był chrzest Jana? Gdyby taki nie był, Paweł nie chrzcili by tych uczniów po raz drugi, rąk nie włożyłby na nich. Czyniąc jednak jedno i drugie, wskazał, że chrzest apostołski ma wyższą godność, a chrzest Janowy jest o wiele niższy.

Poznaliśmy różnice między obu rodzajami chrztu. Muszę jeszcze wyjaśnić, dlaczego Chrystus kazał się ochrzcić i który chrzest przyjął. Nie był to ani chrzest według rodzaju oczyszczeń żydowskich, które przedtem były w użyciu, ani nasz chrzest, który dopiero potem został nakazany. Bo po pierwsze nie dawał odpuszczenia grzechów – czyż Chrystus potrzebowałby tego, skoro nie



miał żadnego grzechu? „Nie popełnił grzechu i nie znalazła się zdrada w ustach Jego” (1 P 2, 22). I jeszcze: „Kto z was dowiedzie mi grzechu” (J 8, 46). Po drugie Jego ciało nie było pozbawione Ducha Świętego; jakby to było możliwe, skoro Duch Święty je utworzył? Jeśli więc Jego ciało ani nie było pozbawione Ducha Świętego, ani nie podlegało grzechowi, czemu kazał się ochrzcić?

Wpierw musimy się dowiedzieć, jaki chrzest Chrystus przyjął, bo wtedy stanie się nam jaśniejszy powód Jego chrztu. Jaki więc chrzest otrzymał? Nie żydowski i nie nasz, lecz Janowy. Dlaczego? Abyś i ty z istoty i charakteru tego chrztu dowiedział się, że ani wina grzechowa, ani brak łaski Ducha Świętego nie były powodem chrztu Chrystusa. W obu wypadkach chrzest Janowy był nieskuteczny – nie mógł on zmazać grzechu, jak to już powiedziałem. Z tego wynika, że Pan nie dlatego przyszedł nad Jordan, tzn. nie po odpuszczeniu grzechów, ani nie po to, by otrzymać Ducha Świętego. Aby zaś nikt nie sądził, że Pan przyszedł jako pokutnik, jak czynili to inni, Jan uprzedził takie myśli swoimi słowami. Gdy więc do wszystkich mówił: „Czyńcie owoce godne pokuty!” (Mt 3, 8. 14), posłuchaj, co powiedział do Pana: „Winienem być ochrzczony przez Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie?”. Rzekł tak, aby wskazać, że Jezus nie musiał, jak masy ludu, przyjść do niego i że bynajmniej nie w tym samym, co one, celu chrzest przyjmuje, ale że jest o wiele większy i nieporównanie czystszy niż sam Chrzciiciel.

Dlaczego więc Pan dał się ochrzcić, skoro nie był to ani chrzest pokuty, ani nie zmywał grzechów, ani też nie dawał łask Ducha Świętego? Z dwóch innych powodów. O jednym wspomniał uczeń, na drugi wskazał sam Chrystus w słowach skierowanych do Jana. Jaką Jan podaje przyczynę chrztu? Miało być ludziom pokazane, że Jan, jak wyraził się i Paweł, udzielał chrztu pokuty, aby mogli uwierzyć w Tego, który po nim przyszedł. To właśnie miał sprawić chrzest Janowy (Czy można było lepiej wezwać do wiary w Chrystusa?). Czy miał Jan ze Zbawicielem chodzić po wszystkich domach i przed każdymi drzwiami wołać: „Ten jest Synem Bożym”? Dałoby to sposobność do krytyki jego świadectwa i byłoby rozwlekłe. Czy miał iść z Nim do synagogi i tam na Niego wskazać? Zlekceważono by jego świadectwo. Tu zaś okoliczności były tego rodzaju, że musiały wzniesić świadectwo Jana ponad wszelkie podejrzenie: kiedy lud ze wszystkich miast zebrał się nad Jordanem i stał na brzegach rzeki, wtedy przyszedł i Jezus, aby się ochrzcić, a równocześnie otrzymał świadectwo z nieba przez głos Ojca i objawienie się Ducha Świętego pod postacią gołębic. Stąd i Jan powiedział: „A jam Go nie znał” (J 1, 31), aby wiarygodnym uczynić swe świadectwo. Ponieważ według ciała byli krewnymi – bo o matce Jana powiedział anioł do Maryi: „Oto Elżbieta, twa krewna, i ona poczęła syna” (Łk 1, 36); tak więc jeśli matki, to i synowie byli ze sobą spokrewnieni. Ponieważ byli krewnymi, należało unikać nawet pozorów, że Jan świadczy na korzyść Chrystusa z racji pokrewieństwa. Dlatego dołączyło się pełne łaski zrządzenie Ducha Świętego, żeby Jan całą swą młodość spędził na pustyni, aby nie wyglądało, że dane przez niego świadectwo opiera się na przyjaźni lub jakiejś zмовie, i aby tym łatwiej mógł wystąpić jako świadek, którego sam Bóg pouczył. Powiedział przeto: „A ja Go nie znałem”. – Jak miałeś Go poznać? – „Lecz Ten, który mnie posłał, abym chrzcił wodą, rzekł do mnie”: – Co ci powiedział? – „Gdy ujrzysz męża, na którego zstępuje Duch jako gołębicą i na nim spoczywa, Ten jest, który chrzci w Duchu Świętym” (J 1, 33). Widzisz więc, że Duch Święty nie dlatego jakoby teraz dopiero zstąpił na Pana, lecz objawił się w tym celu, aby z góry wskazać nań jakby palcem i w ten sposób wszystkich zapoznać z tym, o którym Jan mówił w swym kazaniu. Dlatego właśnie Pan przystąpił do chrztu.

Ale jest jeszcze drugi powód, o którym wspomniał sam Pan. Cóż to za powód? Gdy Jan powiedział: „Ja winienem być przez Ciebie ochrzczony, a Ty przychodzisz do mnie?”, Pan odpowie-

dział: „Niech tak się stanie, bo potrzeba nam wypełnić wszelką sprawiedliwość” (Mt 3, 14-15). Patrz, jak pobożnie nastawiony sługa, jak pokorny jest Pan! Cóż jednak znaczy wypełnić wszelką sprawiedliwość? Sprawiedliwość polega na wypełnieniu wszystkich przykazań. W tym znaczeniu powiedziano: „Obydwa byli sprawiedliwi, że chodzili według przykazań Pana, nienagannie” (Łk 1, 6). Wszyscy ludzie byli obowiązani wypełniać sprawiedliwość, ale nikt jej nie wypełniał doskonale, dlatego przyszedł Chrystus i wypełnił sprawiedliwość.

4. Jak to – zapyta jednak ktoś – czyż przyjęcie chrztu może oznaczać sprawiedliwość? Sprawiedliwość polegała na posłuszeństwie prorokowi. Jak Pan dał się obrzezać i złożył ofiarę, zachowywał szabat, przestrzegał zwyczajów świątecznych, tak też dodał do tego wszystkiego to, czego brakowało: posłuchał proroka, który udzielał chrztu. Było zgodne z wolą Bożą, by wszyscy wtedy dali się ochrzcić. Posłuchaj słów Jana: „Który [Bóg] mnie posłał, aby chrzcić w wodzie” (J 1, 33). Łukasz powiedział: „Cały lud i celnicy wielbili sprawiedliwego Boga, przyjmując chrzest Jana, faryzeusze zaś i uczeni w Prawie wzgardzili postanowieniem Bożym, bo nie dali się przez niego ochrzcić” (Łk 7, 29-30). Skoro więc sprawiedliwość polega na posłuszeństwie względem Boga, a Bóg posłał Jana, aby ochrzcił lud, to i Chrystus – dając się ochrzcić – wypełnił przykazanie, jak też wypełniał wszystkie inne przepisy Prawa.

Wyobraź sobie przepisy Prawa jako dwieście denarów! Taki dług miał uiszczyć nasz rodzaj. Nie spłaciłszy go. Jak długo dług ciążył na nas, śmierć panowała nad nami. Gdy przyszedł Chrystus, znalazł nas w stanie niewoli. Spłacił więc dług, wypełnił nasze powinności i nas nie mogących płacić zbawił. Nie powiedział: „Uczynię to czy tamto”, lecz: „Wypełnię całą sprawiedliwość”. „Ja – powiedział – Panu, który potrafi spłacić, spłacę zamiast tych, którzy nie potrafią tego uczynić”.

Oto powód Jego chrztu. Należało wskazać, iż wypełnił całe Prawo. Ta przyczyna staje w rzędzie z tymi, które już omówiłem. Ta też okoliczność wyjaśnia, dlaczego Duch Święty zstąpił z nieba pod postacią gołębic. Gdzie człowiek jedna się z Bogiem, tam objawia się gołębicą. Do arki Noego przyleciała gołębicą z gałązką oliwną jako obrazem dobroci Bożej i ocalenia po potopie. Podobnie tu przychodzi Duch Święty pod postacią gołębic (ale nie cielesnej gołębic – trzeba o tym pamiętać), aby oznajmić ziemi Boże zmiłowanie i wskazać, iż człowiek, jeśli ma w nim panować Duch Boży, winien być bez winy, dobry, wolny od złych uczynków. Chrystus też mówi: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jako to dziecię, nie wejdziecie do Królestwa niebieskiego” (Mt 18, 6). Arka pozostała na ziemi, aż ustał potop. Ta arka symbolizuje czyste i bez skazy ciało Pana. Gdy gniew Boży minął, wstąpiło ono do nieba i panuje teraz po prawicy Ojca.

Skoro wspominałem o ciele Pana, muszę wam jeszcze coś o nim powiedzieć na zakończenie. Wiem, że wielu z was wedle zwyczaju przystąpi w tę uroczystość do świętego stołu. Lecz zanim ktoś przyjmie komunię świętą, najpierw powinien oczyścić duszę i dopiero wtedy przystąpić do świętej ofiary. Mówiłem wam o tym już niejednokrotnie. Kto jest nieczysty i obciążony winą, ten nawet w święto nie powinien uczestniczyć w tym przeświątym Ciele. Kto zaś jest czysty i zmył swe grzechy przez gorliwą pokutę, ten i w święto, i kiedy indziej jest godny brać udział w Boskich tajemnicach i zasługuje na radość z darów Bożych. Niestety, niektórzy to jednak lekceważą. Widząc, że zbliża się uroczystość, jak gdyby ich pędziło i choćby byli obciążeni tysiącem grzechów, uczestniczą w świętych tajemnicach, na które wskutek nieprawości nie powinni nawet spoglądać. Tych, których jako takich znam, sam usunę; nieznanym mi zaś pozostawiam wyroki Boga, który zna głębię serc wszystkich (por. Łk 16, 15).

Przynajmniej temu błędowi, któremu wszyscy ulegają, chcę dziś się przeciwstawić. Cóż to za błąd? Oto nikt nie zbliża się z świętą trwożą, lecz każdy w gniewie, złości, z niechęcią, krzykiem i wyzwiskami, potrącając drugich, przystępuje w nieporządku i tłoku. Nieraz wam to już wypominałem i nie zaprzestanę czynić tego nadal. Czyż widzieliście, jaki porządek panuje na igrzyskach olimpijskich, gdy sędzia w urzędowym stroju, z wieńcem na głowie, z łaską w ręce przechodzi na forum? Co za cisza, gdy potem herold wzywa wszystkich do milczenia! Czyż nie jest nierozumną rzeczą, że cisza panuje tam, gdzie święci triumfy szatan, a zgiełk i hałas, gdzie do nieba wzywa Chrystus? Na rynku – milczenie, w kościele – hałas, na środku morza – spokój, a w przystani – burza! Czemu tak podniecony jesteś, człowiecze? Gdzie pędzisz? Czy cię wzywają pilne obowiązki? Jakże to? Czy w tej chwili myślisz o swych zajęciach? Czy uważasz, że jesteś na ziemi? Któż jest tak kamiennego serca, aby sądził, że jest między ludźmi, a nie wśród aniołów, z którymi wzniosłeś ową świętą pieśń i zaśpiewałeś ów wzniosły hymn? Orłami nazwał nas Pan, mówiąc: „gdzie jest padlina, tam zbiorą się i orły” (Łk 17, 37). Tak nas nazwał, byśmy przebywali w niebie, byśmy się wznosili w górę na skrzydłach ducha. A my pelzamy po ziemi, jedząc pył jak węże.

Chcę wam jeszcze powiedzieć, skąd pochodzi zgiełk i hałas? Stąd, że w czasie nabożeństwa nie zamknęliście drzwi i że nie powstrzymujemy was, abyście nie odchodzili przed ostatnim dziękczynieniem i nie szli do domu, co jest oznaką małego szacunku. Co czynisz, człowiecze? Gdy Chrystus jest obecny i aniołowie są przy Nim, gdy zastawiono świętą ucztę, do której tylko z głęboką czcią można się zbliżać, gdy twoi bracia jeszcze idą do świętych tajemnic, ty już odchodzisz! Zaproszony na zwyczajne przyjęcie, nie odważysz się, choćbyś już był syty – gdy inni jeszcze siedzą przy stole – odejść od przyjaciół; a gdy tu święci się niezwykle tajemnicie Chrystusa i trwa jeszcze święta ofiara, czy już w połowie opuścisz wszystko i odejdziesz? Któż uzna to za godne przebaczenia? Kto zdoła się usprawiedliwić? Jeśli chcecie, wskażę wam, w czyje ślady wstępują ci, którzy odchodzą przed zakończeniem świętej uczy i po niej nie odmawiają dziękczynienia? Jest to może przykre, co chcę powiedzieć, lecz muszę to uczynić z powodu wkradającego się u wielu niedbalstwa. Judasz właśnie po uczestnictwie w ostatniej wieczerzy w oną noc, gdy jeszcze wszyscy siedzieli przy stole, oddalił się i wyszedł. Jego naśladują ci, którzy wychodzą przed ostatnim dziękczynieniem. Gdyby był nie wyszedł, nie dopuściłby się zdrady; gdyby był nie opuścił współuczestników, nie zginałby; gdyby się był nie znalazł poza owczarnią, wilk by go nie pożarł; gdyby się nie oddalił od pasterzy, nie stałby się łupem dzikich zwierząt. Judasz wcześniej udał się do Żydów, apostołowie zaś razem z Panem wyszli po odśpiewaniu psalmu. Widzisz, że to, co się wtedy stało, to za każdym razem dzieje się tutaj przy ostatniej modlitwie po świętej ofierze.

Pomyślmy o tym teraz i rozważmy to w obawie przed karą. Chrystus daje ci swe ciało, a ty nie chcesz Mu ni słowem się wywdzięczyć? Czyż Mu nie podziękujesz za to, coś otrzymał? Gdy spożyjesz zwykły pokarm, wstawszy od stołu odmawiasz modlitwę, a gdy ci dano pokarm duchowy, który o wiele przewyższa wszelkie widzialne i niewidzialne stworzenie, choć jesteś człowiekiem, czyli słabą istotą, nie chcesz słowem i czynem złożyć dziękczynienia. Zasługuje to na surową karę. Nie mówię o tym, by siebie stawiać jako przykład, lecz byście w swoim czasie zastanowili się nad tym i zachowali porządek. Ta uczta zwie się i jest tajemnicą, a gdzie święci się tajemnicę, tam winno panować milczenie. Przystępujemy więc do tej świętej ofiary w głębokim milczeniu, w należyтым porządku i ze czcią, byśmy sobie zjednali jeszcze większą miłość Bożą, oczyścili z grzechu swe dusze i zdobyli wieczne dobra. Obyśmy to wszystko otrzymali za łaską i miłosier-

---

dziem Pana naszego Jezusa Chrystusa, z którym Ojcu i Duchowi Świętemu cześć, chwała i uwielbienie teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Cytat za: św. Jan Chryzostom, *Kazanie na Epifanię*, [w:] *Starożytne teksty chrześcijańskie. Kazania i homilie na święta pańskie i maryjne*, praca zbior. pod red. L. Gładyszewskiego, Lublin 1976, tłum. Wojciech Kania, s. 79-85.





Święty Augustyn z Hippony  
(354-430)





# Karmię was tym, czym sam żyję

W tym samym czasie, kiedy na Wschodzie cesarstwa błyszczała gwiazda wymowy Jana Chryzostoma, wykształconego na wzorach greckich, na Zachodzie lśnił wielki Augustyn, wychowanek kultury rzymskiej. W noc paschalną, 23 kwietnia 387 roku, przez posługę biskupa Mediolanu Ambrożygo wszedł on do grona ochrzczonych. Kościół przyjął syna, o którym mówią wieki. Na temat jego osoby, działalności i myśli ukazało się już około 50 tysięcy publikacji. Liczba ta stale rośnie, gdyż dołącza się do niej rokrocznie od 300 do 500 nowych opracowań.

## W poszukiwaniu światła życia

Augustyn urodził się 13 listopada 354 roku w Tagaście (Souk-Ahras, w Algierii), małym numidyjskim miasteczku, na granicy dzisiejszej Algierii i Tunezji. Jego rodzina wywodziła się ze średniego mieszczaństwa i posiadała niewielki majątek ziemski. Ojciec Augustyna, Patrycjusz, był poganinem i na chrześcijaństwo nawrócił się dopiero tuż przed śmiercią; za to matka, Monika, była gorliwą chrześcijanką. Sam Augustyn – zgodnie z życzeniem rodziców – pozostał katechumenem, aż do czasu, gdy – jak stwierdza w *Confessiones (Wyznania)* – „zabłyśnie mu jakieś pewne światło, według którego będzie mógł kroczyć naprzód” (V, 14).

Augustyn był umysłem żywym, naturą uczuciową, wrażliwą, uczniem niezdyscyplinowanym, zbyt pewnym swoich zdolności. Naukę rozpoczął w szkole w swojej rodzinnej Tagaście, później słuchał wykładów gramatyka w Madaurze, gdyż chciał zostać retorem. Nie lubił greki, dlatego też nie poruszył go Homer. Natomiast głęboki oddźwięk w jego wrażliwości znalazł Wergiliusz. Płakał nad śmiercią Dydony, która zabiła się z miłości do Eneasza. W 371 roku dzięki pomocy mecenasa, który ufundował mu stypendium, kontynuował studia z retoryki i prawa w Kartaginie. W mieście tym żył z nieznaną z imienia kobietą, która w 372 roku dała mu syna Adeodata.

W latach 372-373 w swe sidła zagarnęli Augustyna uczniowie Manesa. Wyjaśniali oni paradoksalność i nieład świata odwołując się do dualistycznej zasady Dobra i Zła, która nim kieruje. Od dwóch wieków ta wywodząca się z Persji religia rozlała się po krajach śródziemnomorskich i często skutecznie rywalizowała z chrześcijaństwem. Początkowo Augustyn był słuchaczem pełnym entuzjazmu, potem powoli wyzwolił się z tej bezładnej mitologii, w której dostrzegł brak ścisłości doktrynalnej i moralną rozwiązłość. Jako dwudziestolatek rozpoczął trwającą 13 lat karierę profesora. Wykonywał ten zawód najpierw w Tagaście, później w Kartaginie, w Rzymie i w końcu w 384 roku w Mediolanie, jednej z ówczesnych stolic cesarstwa rzymskiego. Zrobił więc błyskotliwą karierę. Był uwielbianym i podziwianym przez uczniów profesorem. Przemawiała do nich jego wysoka kultura, mistrzostwo słowa, przenikliwość umysłu i serca.

Jednakże ten młody intelektualista przeżywał głęboki kryzys duchowy. W Mediolanie poznał biskupa Ambrożego. Zachwycony urokiem jego wymowy chodził na kazania. Przyznaje: „Chciwie łowiłem jego słowa, samej zaś treści nie byłem ciekaw, a nawet nią gardziłem. Czarowała mnie jego wymowa” (*Wyznania* V, 13). Jednakże wraz z pięknym słowem przenikała do serca młodego retora Ewangelia. Stopniowo zapadała w nim decyzja zostania chrześcijaninem. Wiele do myślenia dała mu lektura *Życia Antoniego pustelnika*, dziełka napisanego przez św. Atanazego. Odśloniło ono przed Augustynem ideał życia monastycznego. Decydującym krokiem była chwila szczególnej łaski Bożej, której dostąpił, gdy szukając samotności, przebywał w ogrodzie swego domu w Mediolanie. W *Wyznaniach* szczegółowo o tym opowiada (VIII, 12). Z sercem rozdartym sprzecznymi uczuciami modlił się, wołając w swoim zagubieniu: „Ależ Panie, jak długo jeszcze?”. Nagle usłyszał głos dziecięcy, śpiewający jakby refren: „*Tolle lege* – bierz, czytaj”. Chwycił książkę, otworzył List do Rzymian św. Pawła i czytał w milczeniu słowa, na które najpierw padł jego wzrok: „nie w ucztach i pijaństwie, nie w rozpuście i rozwiązłości, nie w zwadzie i zazdrości. Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa, a nie ulegajcie staraniom o ciało i jego pożądliwości” (Rz 13, 13).

Po tym przeżyciu Augustyn wraz z matką, synem i kilkoma przyjaciółmi usunął się na wieś do posiadłości swego przyjaciela w Cassiacum, 30 km na północ od Mediolanu. Jak już wspomniano, w noc paschalną 387 roku przyjął chrzest z rąk biskupa Ambrożego.

## Kapłan głosicielem słowa Bożego

W końcu 388 roku Augustyn dotarł do rodzinnych stron. Sprzedał posiadłości odziedziczone po ojcu, zgromadził wokół siebie przyjaciół, z którymi na wzór świętych Bazylego i Grzegorza prowadził życie mniszę, dzieląc czas między ascezę i pogłębianie swego filozoficznego i zarazem religijnego powołania. Ten szczęśliwy okres jego życia trwał trzy lata (388-391).

Zmianę przyniósł mu w 35 roku życia przypadkowy pobyt w Hipponie (dzisiejsza Annaba w Algierii). Stary biskup Waleriusz zaproponował zebranym w kościele, żeby wybrali mu do pomocy, zwłaszcza w głoszeniu kazań, kapłana. Dostrzeżono obecność Augustyna. Wybuchł jednogłośnie krzyk: „Augustyn księdzem”. Daremnie kandydat protestował i wrywał się. Otrzymał prawo głoszenia kazań i wyjaśniania Ewangelii w obecności biskupa. To nowe zajęcie skierowało go do studiów nad Pismem Świętym i Tradycją, ku problemom teologicznym i duszpasterskim.

Kaznodziejstwo chrześcijańskie zyskało w osobie Augustyna wielkiego mistrza. Do głoszenia słowa Bożego predysponowała go wielka kultura intelektualna i przygotowanie retoryczne byłego profesora tej dziedziny. Powołanie Augustyna, wówczas kapłana, do głoszenia kazań miało jednak charakter pre-

cedensu. W tym czasie na Zachodzie kaznodziejstwo było zarezerwowane tylko dla biskupów. Pierwszy biograf Augustyna Possydiusz podkreśla, iż pozwolenie głoszenia Ewangelii w obecności biskupa było sprzeczne z ówczesnymi zwyczajami przyjętymi w Kościele północnej Afryki i spotkało się z krytyką innych biskupów. Jednakże inicjatywa Waleriusza została ukoronowana sukcesem. Augustyn dowiódł, że jest prawdziwym mistrzem. Stopniowo inni biskupi afrykańscy zaczęli iść w ślady Waleriusza. Co więcej, dowodem uznania dla Augustyna jako kapłana było zaproszenie go do wygłoszenia kazania w czasie synodu biskupów Afryki Północnej, 8 października 393 roku.

W 396 roku Augustyn został następcą Waleriusza na stolicy w Hipponie, drugim co do znaczenia mieście Afryki, ustępującym jedynie Kartaginie. Jako biskup również pozwalał kapłanom głosić kazania w swojej obecności (zob. *Sermo* 20), a także podczas swoich częstych nieobecności, spowodowanych zaangażowaniem w sprawę Kościoła północnoafrykańskiego. Poza tym nie przestawał podkreślać potrzeby rozwijania tej nowej praktyki. W *Sermo* 137, 13 stwierdzał: „Kaznodziejstwo jest powierzone biskupowi lub kapłanowi”. W krótkim liście (*Epistola* 41) napisanym około 397 roku, Augustyn i jego przyjaciel Alipiusz, biskup Tagasty od końca 394 roku, wyrażają Aureliuszowi z Kartaginy swoje zadowolenie w tej sprawie i proszą go, by przekazał podległemu mu duchowieństwu kazania wygłoszone przez ich kapłanów. W ten sposób upowszechnił się na Zachodzie zwyczaj głoszenia słowa Bożego nie tylko przez biskupów, ale także przez kapłanów.

### *Vox Verbum*

Augustyn pragnął być w pierwszym rzędzie, według pięknego określenia zawartego w jego *Sermo* 288, głosem Słowa (*Vox Verbum*). Potwierdza to Possydiusz: „Aż do ostatniej choroby głosił nieustannie w kościele słowo Boże, z gorliwością, z odwagą, z jasnością i z bystrością umysłu” (*Vita Augustini* 31, 4). W tych słowach pierwszego biografu zawiera się niejako streszczenie prawie czterdziestoletniej posługi głoszenia słowa Bożego przez Doktora łaski. Pomimo wątłego zdrowia i słabego głosu Augustyn przemawiał wiele. Nie tylko w Hipponie, ale we wszystkich kościołach Afryki, dokąd był zapraszany albo gdzie znalazł się przejazdem, zwłaszcza w Kartaginie.

Współczesna krytyka naukowa uznaje za autentyczne 559 kazań przekazanych pod imieniem Augustyna. Poszukiwania naukowców poszerzają tę spuściznę. W roku 1990 nastąpiło spektakularne odkrycie 27 nowych kazań Augustyna w Bibliotece Miejskiej w Moguncji (*Mainzer Stadtbibliothek*). Wciąż jest to jednak znikoma część faktycznej liczby kazań, jakie wygłosił on przez prawie czterdziestoletni okres, kiedy był kapłanem i biskupem. Zakładając, że Augustyn przemawiał w każdą sobotę i niedzielę, nazbierałoby się tych kazań ponad 4 tysiące. Tymczasem wiadomo, że często głosił przez kilka kolejnych dni, a nawet

dwa razy dziennie. Dlatego szacuje się ogólną liczbę kazań wygłoszonych przez Augustyna na około 8 tysięcy. Zachowane teksty można podzielić na trzy grupy: komentarze do Ewangelii i do Pierwszego Listu św. Jana, komentarze do Psalmów i kazania różne, które także dzieli się na trzy działy: komentarze do Pisma Świętego, kazania w ciągu roku liturgicznego i kazania okolicznościowe.

Augustyn zdawał sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności za przekaz Bożej prawdy. Pod koniec życia, dokonując przeglądu swojego dorobku, tak o tym pisał w *Retractationes (Sprostowania)*: „Ktoregoż bowiem ze swoich wiernych nie przerazi Chrystus słowami: „Z każdego bezużytecznego słowa, które wypowiedzą ludzie, zdadzą sprawę w dzień sądu” (Mt 12, 36). Dlatego też apostoł Jakub powiada: „Każdy człowiek winien być chętny do słuchania, powolny do mówienia” (Jk 1, 19), a gdzie indziej: „Niech zbyt wielu z was nie uchodzi za nauczycieli, moi bracia, bo wiecie, iż tym bardziej surowy czeka nas sąd. Wszyscy bowiem często upadamy. Jeśli kto nie grzeszy mową, jest mężem doskonałym” (Jk 3, 1-2). „Nie przypisuję sobie takiej doskonałości nawet teraz, kiedy jestem starcem, o ileż bardziej kiedy jako młodzieniec zacząłem pisać albo przemawiać do ludu. Udziałem moim było to, że gdziekolwiek znalazłem się, musiałem mówić do ludzi; niezmiernie rzadko mogłem milczeć i posłuchać innych, ażeby być chętnym do słuchania, a powolnym do mówienia” (*Prolog 2*).

Przez prawie 40 lat Augustyn niestrudzenie łamał „chleb słowa” dla tych, których mu Bóg powierzył. Niewielu kaznodziejów w całej historii potrafiło tak jak Augustyn wiązać uwagę słuchaczy. Wpływu, jaki wywierały jego słowa, nie da się wytłumaczyć samym tylko jego geniuszem czy sztuką oratorską, ani nawet jego wyjątkową wrażliwością, która pozwalała mu w sposób wręcz bezpośredni złączyć się ze słuchaczami i przeczynać ich reakcje. Jego słowa wypływały z serca, wyrażały to, czym sam żył. Podkreślał: „Karmię was tym, czym sam żyję” (*Sermo 329, 3*), a w innym kazaniu dodawał: „Podaję wam pokarm, dzięki któremu żyję sam, na wasz stół stawiam pokarmy, którymi ja sam się sycę. Ja jestem sługą, a nie panem domu” (*Sermo 399, 4*).

Głoszenie słowa Bożego stanowiło dla biskupa Hippony nie tylko radość, ale także nieustanne udręczenie. Nierzadko zdarzało się, że był zmuszony przerwać kazanie z powodu zmęczenia lub całkowitej utraty głosu. Nie był on ani Janem Kapistranem OFM († 1456), który swym głosem zagłuszyłby rzymską Piazza Navona, ani Abrahamem a Sancta Clara OESA († 1709), dla którego nawet kościół dworski Hofkirche w Wiedniu nie był za duży. Wielokrotnie Augustyn uskarżał się na bóle w piersiach, na chrypkę i przeziębienie. Martwiło go także, iż nie może się dostatecznie poświęcić studiom. „Nikt bardziej ode mnie nie umiłowałby bezpiecznego spokoju i spokojnej kontemplacji. Nie ma nic lepszego, nie ma nic słodsze go nad wgłębianie się w boski skarbiec z dala od zgiełku świata. Rzecz to słodka, rzecz to dobra. Natomiast głoszenie kazań, ganieńie, poprawianie, budowanie, zwracanie uwagi na potrzeby każdego stanowią wielki ciężar, wielkie brzemie, wielki trud. Kto nie uciekłby przed tym trudem? Jednak Ewangelia przeraża mnie. *Terret me Evangelium*” (*Sermo 399, 4*). A kiedy już przema-

wiał, nagły kontrast między blaskiem prawdy, która jaśniała we wnętrzu, a brakiem adekwatności słowa brzmiącego na zewnątrz stanowił dodatkowy powód udręki. Ale może właśnie z tej udręki, z tego napięcia wewnętrznego, zrodził się jeden z najbardziej fascynujących aspektów wymowy augustyńskiej.

### Autor podręcznika kaznodziejstwa

Augustyn, jako jedyny z ojców Kościoła, opracował traktat poświęcony kaznodziejstwu ujętemu od strony warsztatowej. W IV księdze dzieła *De doctrina christiana* (*O nauce chrześcijańskiej*), ukończonego w 427 roku, zawarł on poglądy na wymowę kościelną oraz przedstawił zasady przekazu prawd wiary na ambonie. Biskup Hippony zastrzega się wprawdzie na początku tej księgi, że nie będzie podawał zasad retorycznych wykładanych w szkołach świeckich. „Pragnę rozwiać obawy czytelników, którzy może sądzą, że podam zasady retoryki, jakich wyuczyłem się i nauczałem w szkołach świeckich: ostrzegam ich, by nie spodziewali się i nie domagali tego ode mnie w tym lub innym dziele, nie dlatego, że nie dają żadnego pożytku, ale jeśli nawet go przynoszą, należy ich uczyć się osobno, kiedy ktoś poczciwy poświęci się temu studium” (IV, 2). Mimo tych zastrzeżeń w dalszym toku swego wykładu homiletycznego Augustyn nie potrafił jednak całkowicie uwolnić się od wpływów antycznej retoryki. Jasno odrzucając sofistykę, autor *De doctrina christiana* sięgnął do prac Cyce-rona i jego doktryny retorycznej, adaptując do chrześcijańskiego kaznodziejstwa trzy cycerońskie cele: pouczenie, sprawienie przyjemności i przekonanie (*docere, delectare, movere*) oraz odpowiadające im pojęcia stylu pouczającego, wpływającego na uczucia (afektywnego) i przekonującego.

Czerpiąc natchnienie z Cyce-rona Augustyn rozróżnia trzy rodzaje wymowy: prostą, kwiecistą, patetyczną, którym odpowiadają trzy style odmienne: prosty, umiarkowany i wzniosły. Biskup potrafił stosować wszystkie trzy i z całą naturalnością przechodził od jednego do drugiego.

Chociaż nie gardził źródłami i zasadami wymowy starożytnej, utrzymywał, że zasadą wymowy świętej jest Pismo Święte. Z niego (i z dzieł św. Cypriana i św. Ambrożego) przytaczał przykłady na każdy z trzech rodzajów stylu. Świętym oratorem jest dla niego ten, „kto tłumaczy i naucza Pisma Świętego” (IV, 4, 6). Ktoś taki powinien być w stanie przemawiać mądrze i wymownie. A skoro nie potrafi wymownie, niechaj przynajmniej przemawia mądrze. „Człowiek bowiem mówi mniej lub bardziej mądrze w miarę postępu w znajomości Pisma Świętego. Nie mówię, że chodzi tu o to – ciągnie dalej – by dużo czytać i uczyć się na pamięć, lecz by je należycie rozumieć i poznać sens... oczyma serca przeniknąć ich sedno” (IV, 5, 7). Ażeby przemawiać, należy umieć słuchać. Dlatego też „na próżno będzie zewnątrz głośił słowo Boże ten, kto nie słucha wewnątrz” (*Sermo* 179, 1). Z tego nakazu rodzi się nienasycone pragnienie badania Pisma Świętego oraz wybitnie biblijny charakter jego kaznodziejstwa. Jest mistrzem, a czuje



się uczniem. Pragnie karmić innych przy tym samym stole, przy którym sam się posila. „Z tej kazalnicy przemawiamy do was jako nauczyciele, jesteście jednak współuczniami przy tym jedynym Mistrzu” (*Enarrationes in Psalmos* 126, 3).

O powodzeniu kazania decydują – zdaniem autora *De doctrina christiana* – nie tylko zdolności krasomówcze i mądrość kaznodziei, ale jego osobowość i sposób życia. Jeżeli kaznodzieja żyje nienagannie, to nawet treściowe i formalne usterki w kazaniu nie zrażą doń wiernych. Głosiciel słowa Bożego musi się wszechstronnie przygotować do swoich zadań, aby potrafił przedstawiać prawdę, dobierać argumenty, przy pomocy których zdoła rozwiązać wątpliwości słuchaczy i nakłonić ich do uległości wobec prawdy Bożej. Należy przemawiać pięknie i mądrze, ale to drugie jest o wiele ważniejsze od pierwszego. Zajmując się techniką bezpośredniego przygotowania i wygłoszenia, Augustyn wyprzedzał nowożytne rozróżnienie pomiędzy homiletyką materialną i formalną. W gruntownej dyskusji na temat całości podstaw teorii kaznodziejstwa torował drogę dla wielu późniejszych rozpraw.

Traktat *De doctrina christiana* był w Kościele przez długie wieki podstawą wykształcenia kaznodziejskiego kleru i wzorem dla teoretyków kaznodziejstwa. Sama zaś homiletyka stanowiła część składową retoryki jako nauki o krasomówstwie. Świadczą o tym takie nazwy jak: *ars praedicandi*, *ars concionandi*, *ars praedicatoria*, *retorica ecclesiastica* itp. Prace z zakresu teorii kaznodziejstwa były raczej zbiorami praktycznych wskazówek o sposobie układania i wygłaszania kazań.

## Mistrz interpretacji i przekazu orędzia chrześcijańskiego

Augustyn nie ukrywał przed swoim ludem niczego, co odkrył podczas rozmyślenia nad księgami świętymi. Dla niego nie istniała podwójna i odmienna nauka: jedna dla prostaczków, a druga dla uczonych. Źródło prawdy chrześcijańskiej jest tylko jedno i powinno ono być dostępne dla wszystkich, żeby wszyscy mogli ugasić pragnienie. Dlatego też tematy omawiane w kazaniach są takie same jak te, które przedstawiał w swoich *opuscula in libris*, również i w tych najbardziej specjalistycznych. Są to zagadnienia poruszane tak w *De Trinitate* (*O Trójcy Świętej*), w *De civitate Dei* (*O państwie Bożym*), w *De Genesi ad litteram imperfectus liber* (*Niedokończony dosłowny wykład Księgi Rodzaju*), jak i w pismach polemicznych. Tematy te odnoszą się do wszystkich działów teologii i problemów stawianych w Biblii: problemy trynitarne, chrystologiczne, eklezjologiczne, eschatologiczne, moralne, ascetyczne, mistyczne. Często podyktowane zostały przez konieczność polemiczną, czasem zostały wybrane świadomie dla zbudowania wiernych, ażeby uradować ich zgłębieniem niewyczerpalnych bogactw prawdy.

Kazania są cennym komentarzem, a często niezmiernie pożytecznym objaśnieniem większych dzieł. Konieczność bycia zrozumianym przez lud prosto skłaniała Augustyna do precyzji językowej, do wykładu obszernego podanego z najdrobniejszymi szczegółami, do częstego posługiwania się żywymi obrazami i niezapomnianymi przykładami. Innymi słowy, Augustyn potrafił



w swoich kazaniach być jednocześnie analitykiem i syntetykiem: analitykiem, żeby oddać głębię myśli, syntetykiem, żeby ująć ją w formuły niejednokrotnie tak charakterystyczne, że zdają się być przysłowiami. Oto jeden z przykładów. W kazaniach i w dziele *De Trinitate* znajdują się te same zagadnienia dotyczące Trójcy Świętej: nierozdzielność w działaniu *ad extra*, pochodzenie osób boskich, wzajemne relacje między nimi, wyjaśnienie psychologiczne, transcendencja i kontemplacja mistyczna tajemnicy, przymioty osób wewnątrz Trójcy Świętej oraz objawienia Jej w historii zbawienia. Podstawowym bowiem zadaniem chrześcijanina w tym życiu jest leczyć oczy naszego serca, aby mogły widzieć Boga (*Sermo* 88; PL 38, 542: „*Tota igitur opera nostra, fratres, in hac vita est, sanare oculum cordis, unde videatur Deus*”).

Oprócz *De Trinitate* dziełem najważniejszym dla poznania teologii augustyńskiej dotyczące tego zagadnienia są *Homilie na Ewangelię św. Jana* (*In Joannis Evangelium tractatus*). Wydaje się, że stwierdza to sam Augustyn, który w ostatniej, XV księdze tego dzieła, cytuje długi urywek z *Homilii* 99, 8-9, właśnie w kwestii szczególnie trudnej i subtelnej (*O Trójcy Świętej* XV, XXVII, 48). To samo odnosi się również i do innych tematów, jak wcielenie, Kościół, wolna wola i łaska, przeznaczenie.

Warto podkreślić, iż w kazaniach spotyka się wzloty mistyczne i poetyckie, których, z wyjątkiem *Wyznań*, nie ma w innych dziełach. Augustyna ożywiało zarówno tekst święty, jak i obecność ludzi. W tym czasie odsłaniał swój umysł, odkrywał swe najgłębsze myśli, wraz z ludem, który go słuchał i który unosił ku Bogu. Idąc za słowami ewangelisty, Augustyn wznosi się na najwyższe szczyty medytacji teologicznej i podporządkowane im szczyty medytacji filozoficznej. Do zrozumienia Ewangelii św. Jana służy mu również i Plotyn. Miejsca najwznioślejsze i najbardziej trudne zamiast zniechęcić, pobudzają jego umysł i rozpalają pragnienie poznania. W takich przypadkach jest rzeczywiście wzniosły, ponieważ potrafi być zarazem głęboki i jasny, oryginalny i prosty. Należy zajrzeć do homilii na temat *Prologu* – zwłaszcza pierwszej, w którym wznosi się do kontemplacji Słowa i wyjaśnia, w jaki sposób w Nim znajdują życie rzeczy, które życia nie posiadają. *Homilie na Ewangelię św. Jana* łączą się z wyjaśnieniem Pierwszego Listu, a ściślej pierwszych wierszy Pierwszego Listu św. Jana. Jest to w sumie dziesięć kazań w mistrzowski sposób podejmujących ten sam temat – miłość.

Myśl Augustyna kieruje się ku liryce psalmów. Od chwili nawrócenia stały się one przedmiotem jego medytacji i codzienną formą modlitwy. Psalmi, które wychwalają Boga i składają Mu dziękczynienie, które upominają człowieka i zwracają się doń z wezwaniem, spotykają w sercu Augustyna żywy odzew (*Wyznania* 9, 4). Zostawszy kapłanem, zamierzał skomentować je w całości celem przyjścia z pomocą wiernym, którzy znali je na pamięć i śpiewali w kościele i w domu; chciał, by pojęli ich znaczenie i rozsmakowali się w ich pięknie. Ten wykład psalmów w kazaniach, od pierwszych miesięcy kapłaństwa aż do późnych lat biskupstwa, zrodził ogromne dzieło, największe w spuściźnie augustyńskiej: *Enarrationes in Psalmos*.

Zostały tam poruszone wszelkie tchnienia życia i pobożności chrześcijańskiej, od leżącego w przepaści grzesznika, błagającego o miłosierdzie, aż po spoczywającego na szczytach kontemplatora, który wychwala Boga i przed Nim wykrzykuje z weselem. Ażeby ożywić kazanie, uczynić je aktualniejszym, a komentarz bardziej przenikliwym, sięgał do interpretacji chrystologicznej i odnosił ją do Psalmów, gdzie słyszy się – jak to on stwierdza – głos Chrystusa i Kościoła, Chrystusa w Kościele i Kościoła w Chrystusie. Interpretacja ta opiera się na nauce drogiej dla biskupa Hippony, która w *Enarrationes in Psalmos* znajduje szeroki i często powtarzany wyraz jako doktryna o całym Chrystusie (*Christus totus*). We wstępie do komentarza do Psalmu 98 powie: „Obecnie cały nasz wysiłek, przy czytaniu psalmów, proroków czy Prawa, które w całości zostały napisane przed przyjściem w ciele Pana naszego Jezusa Chrystusa, trzeba kłaść na to, żeby dostrzegać i rozumieć w nich Chrystusa. Razem zatem z nami zwróćcie uwagę, umiłowani, na niniejszy psalm i tu także doszukujmy się Chrystusa”.

We wspomnianym już traktacie *De doctrina christiana*, obok badania Pisma Świętego Augustyn zaleca mówcy kościelnemu modlitwę. „Zanim zostanie mówcą, niechaj będzie módłcą” (*De doctrina christiana* 4, 15, 32: „*Primum orans quam orator*”). Sam przygotowywał się przez rozmyślanie i modlitwę. Przemawiając, prosił na początku wiernych o modlitwę w jego intencji, by był w stanie spłacić dług wobec nich i by radował się przekonany, że już się za niego modlili. W takich przypadkach zdarzały mu się improwizacje. Wówczas powierzał się fali myśli podsunętych mu przez tekst święty i rozwodził się nad ideami, jakie wykształciły się w nim i stały mu się najdroższe. Zdarzało mu się to, kiedy inny biskup prosił go o kazanie i podsuwał mu temat odmienny od tego, jaki sobie sam przygotował, albo kiedy kantor intonował inny psalm niż ten, który on wskazał, albo też przejmował sam inicjatywę i intonował psalm zgodnie z własnym upodobaniem.

W takich przypadkach dopatrywał się znaku woli Bożej; pozostawiał temat przygotowany, a podejmował ten, jaki mu został podsunęty. „Przygotowałem się do objaśnienia psalmu krótkiego i powiedziałem lektorowi, żeby go zaśpiewać; być może, był czymś innym zajęty i zanucił inny. Wolę iść raczej za wolą Bożą, ukazaną w tej pomyłce lektora, niż za swoją, mówiąc do was to, co przygotowałem” (*Enarrationes in Psalmos* 138, 1). „Choćbyśmy specjalnie do was najmilszy przemówienia nie przygotowali, jednak z wewnętrznego nakazu Pana musimy z wami to zagadnienie poruszyć. [...] My bowiem nie możemy nakazać czytelnikowi wczytywania się w słowa Psalmu” (*Sermo* 352, 1). Improwizacja nie umniejszała jakości kazania.

## Zatroskany o słuchacza

Kaznodziejstwo augustyńskie nie gardzi środkami retorycznymi, pragnie jednak przede wszystkim prowadzić rozmowę zrozumiałą dla ludu, który żyje

w harmonii z pasterzem i wraz z nim poszukuje, raduje się i boleje. Trafnie wyraził to w słynnym zdaniu: „Dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem” (*Sermo* 340, 1). Dialog z audytorium służył Augustynowi nie tylko do tego, aby swe kazanie ukształtować w sposób żywy i łatwiejszy do przyjęcia, lecz także pomagał mu lepiej zrozumieć potrzeby jego wspólnoty.

Również i język kazań augustyńskich zawiera wiele wyrażen ze swojskiego żargonu, kiedy było to podyktowane względami jasności lub większej skuteczności. „Wolę zostać skrytykowany przez gramatyków niż być niezrozumianym przez lud”. Dlatego mówi: *fererat* zamiast *feratur*, *ossum* zamiast *os*, *sanguinibus* w miejsce *sanguine* itp. (*Enarrationes in Ps.* 36; *Sermo* 3, 6; 50, 19; 123, 8; *In Io. Ev.* 2, 14). Często także posługiwał się podobnie brzmiącymi wyrazami, grą słów, wyrażeniami chropawymi. Wszystko to dzisiaj może męczyć. Dla Augustyna jednak był to środek pożyteczny i ekspresyjny dla osiągnięcia celu kazania, aby w umyśle słuchaczy wpoić prawdę.

Lud słuchał go z uwagą, chciwie, inteligentnie; reagował, przerywał, oklaskiwał. Mówca ze swej strony wykorzystywał reakcję na pożyteczną dygresję, nie pozwalał jednak odwieść się od idei przewodniej. Oklaski nie rozpraszały go, nawet jeśli były częste i długie. Był mówcą wymagającym. Podkreślał: „Nie chcę poklasku, ale dobrego sprawowania się” (*Sermo* 311, 4). „Nie chcę pochwał ze strony tych, którzy postępują źle; brzydzę się tym, gardzę; sprawia mi to ból, a nie radość... Oklaskujecie mnie, a ja stawiam sobie pytanie, jak żyją ci, co mnie oklaskują” (*Sermo* 339, 1). Kiedy był to znak, że lud go rozumiał, cieszył się i pobudzało go to do kontynuowania zagadnienia trudnego, na przykład tematu o Trójcy Świętej (*Sermo* 52). Kiedy zaś widział, iż tylko część słuchających oklaskiwała go dodawał kolejne wyjaśnienia: „Ci wśród was, którzy bili brawo, zrozumieli mnie, ale dla tych, którzy jeszcze nie zrozumieli, pozwólcie, że objaśnię to, co powiedziałem” (*Sermo* 335A, 2). Stenografowie odnotowali wiele takich sytuacji, w których kaznodzieja zatrzymywał się, by ponownie wyjaśnić poruszone kwestie. Augustyn nie ukrywał także, że pochwały stanowiły dla niego pokusę. „Jeśli powiem, że nie chcę być chwalonym przez tych, co prowadzą życie dobre, kłamię... Ani całkowicie tego nie chcę, ani zupełnie nie odrzucam. Nie chcę tego w całej pełni, żeby nie narazić się na niebezpieczeństwo pochwał ludzkich, nie odrzucam też całkowicie, żeby nie okazać się niewdzięcznym dla tych, do których się zwracam w kazaniu” (*Sermo* 399, 1).

Skutki głoszonych przez Augustyna kazań były rozliczne i często natychmiastowe. Sam opowiadał, że w Hipponie spowodował zaprzestanie urządzania święta zwanego *laetitia*, które w rzeczywistości przekształcało się w niegodziwą hulankę (*Epistola* 29) oraz przypominał historię „wielkiej bandy” (*caterva*) w Cezarei w Mauretanii (*De doctrina christiana* IV, 24, 53). Possydiusz wspomina o nieoczekiwanym nawróceniu Fermusa (*Vita Augustini* 15, 1-7). Wierni czuli, że słowa mówcy przenika szczerą i bezinteresowną miłość, ożywiająca pasterza. „Czego chcę, czego pragnę, za czym tęsknię, dlaczego przemawiam? Czemu tutaj siedzę? Czemu żyję? Jeśli nie dlatego, żebyśmy wszyscy żyli z Chrystusem? [...] Oto

moja zachcianka, moja cześć, moja sława, moja radość, moje włości [...] nie chcę być zbawionym bez was” (*Sermo* 17, 3).

### Silniejszy od zawieruch dziejowych

Północna Afryka, najbogatsza prowincja Zachodu, stanowiła kuszący kęsek dla chciwego bogactw i żadnego zbytku Genzeryka, króla Wandalów. On to na czele hordy liczącej osiemdziesiąt tysięcy wojowników, do których dołączyli awanturnicy z innych plemion, Alanowie i Goci, przekroczył Cieśninę Gibraltarską i bez większego trudu posuwał się długim, słabo zaludnionym wybrzeżem Mauretanii. Rzymska władza w Afryce rozsypała się jak domek z kart. Przez lato 429 i wiosnę 430 roku Wandalowie opanowali Mauretanię i Numidię. Brak jest świadectw oporu stawianego przez ludność. Katolickie gminy nie skupiły się wokół swych biskupów, jak to miało miejsce w Hiszpanii, aby stawić opór i nękać barbarzyńców. Co więcej, sami pasterze w panice uciekali przed burzycielami rzymskiego świata. Przybywali do Hippony, która była miastem warownym, a Bonifacjusz, namiestnik Afryki, zarządził jej obronę. Był między nimi i Possydusz. Wandalowie otoczyli miasto, a ich flota blokowała je od strony morza.

W ostatnich miesiącach życia Augustyn patrzył, jak przemoc niszczy pracę całego jego życia w Afryce. Wciąż sprawny umysłowo i fizycznie, pojawiał się nadal w kościele wypełnionym zdemoralizowanymi ludźmi, obywatelami świętej niegdyś społeczności rzymskiej. Bogacze, których do niedawna dzieliła od zwykłych ludzi bariera olbrzymiego zbytku, mieszały się teraz z żebrakami, którzy ich nienawidzili. Wandalowie zrównali torturami i żądaniami okupu bogatych z biednymi. Był to dobry temat dla moralisty, jednak nie na nim skupił swą uwagę Augustyn. W roku 410 podczas zdobycia Rzymu przez Wizygotów Alaryka, Augustyn mówił wielokrotnie i konsekwentnie o nie oszczędzającym nikogo karaniu Bożym, o wartości cierpienia, o nieuniknionym rozpadzie wszystkiego, co materialne. Teraz, znalazłszy się w samym środku morza nieszczęść, wypowiadał się zgoła odmiennie. Nagłe najeście hord wojennych na prowincję cieszącą się dobrobytem uświadomiło ludziom nie to, że ten świat jest obmierzły i niepewny, lecz po prostu to, jak bardzo kochają życie. Doświadczali tego, kiedy trwożnie sięgali do nagromadzonych pieniędzy i oddawali cały dobytek tym, którzy ich nękali, kiedy wreszcie docierali do bezpiecznych murów Hippony, bez grosza przy duszy, ale pełni radości, że jeszcze żyją. Dzięki katastrofie odkryli bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wartość życia. Augustyn znakomicie odczytał stan ducha tych ludzi. Przypominał im, iż na tym właśnie polegał heroizm męczenników: „Oni naprawdę kochali to życie, a jednak kładli je na szalę [...]. Ja wiem, że pragniecie zachować życie. Nie chcecie umierać. I chcielibyście przejść od tego życia do tamtego w taki sposób, żebyście nie powstawali znów jako martwi, lecz pełni życia i przeistoczeni. To jest to, czego pragniecie. Jest to najgłęb-

sze z ludzkich uczuć: w tajemniczy sposób dusza sama tego pragnie i instynktownie pożąda” (*Sermo* 344, 4).

W sierpniu 430 roku chwyciła Augustyna silna gorączka. Wiedział, że nadszedł jego kres. Pragnął umrzeć w samotności. Ostatnie swe dni poświęcił na modlitwę i medytację nad czterema psalmami pokutnymi. Augustyn umarł i został pochowany 28 sierpnia 430 roku. Rok później załoga Hippony została ewakuowana, a miasto częściowo spalone. Biblioteka Augustyna jakimś cudem uniknęła zniszczenia. Dzięki temu także i dzisiaj, czytając spisane kazania Augustyna, odbieramy coś z jego wielkiej duszy. Żeby jednak odczuwać cały ich urok, trzeba go było posłuchać w bezpośrednim zetknięciu, stać blisko niego. Zapewnia o tym Possydiusz: „Myślę, iż najwięcej skorzystali odeń ci, którzy mogli bezpośrednio widzieć i słuchać go, gdy przemawiał w kościele, a jeszcze więcej nawet ci, którym dane było poznać sam sposób jego życia wśród ludzi” (*Vita Augustini* 31, 9). Nie sposób nie wierzyć tym słowom.

Augustyn jako kaznodzieja nie dorównywał stylem Grzegorzowi z Nazjanzu, ani kwiecistej wyobraźni Jana Chryzostoma, ani artystycznej powadze Ambrozego, ani rzymskiej majestatyczności Leona Wielkiego. Odznaczał się za to czymś więcej niż oni wszyscy: głębią myśli, pewnością i ciętością słowa, bezpośredniością i ciepłą uczuciowością wykładu, podniosłością poezji i mistyki.

św. Augustyn

## Kazanie 34: *O nowej pieśni i o nowym życiu*

1. Zachęceni jesteśmy do tego, aby śpiewać Panu nową pieśń. Nowy człowiek zna nowe pieśni. Śpiew jest objawem wesołości. Jeśli wnikliwiej to rozpatrzmy, stwierdzimy, że to sprawa miłości. Nową pieśń umie śpiewać ten, kto nauczył się kochać nowe życie. Do tego, jakie ma być to nowe życie, musimy być pobudzeni przez nową pieśń. Do jednego królestwa należy wszystko: nowy człowiek, nowa pieśń, nowy Testament. Nowy człowiek więc śpiewając pieśń nową i przy tym należeć będzie do nowego porządku.

2. Nie ma człowieka, który by nie kochał; lecz nasuwa się pytanie co kocha. Nie namawiamy, aby nie kochać, ale żeby wybrać to, co mamy kochać. Lecz cóż wybieramy, jeżeli w pierwszej kolejności nie zostaniemy wybrani? Nie kochamy przecież, dopóki nie jesteśmy kochani. Posłuchajcie Jana Apostoła. Jest to Apostoł, który spoczywał na piersiach Pana i na ostatniej wieczerzy niebiańskie pił tajemnice. Przyjmując Krew Chrystusową wypowiedział te wzniosłe słowa: „Na początku było Słowo” (J 1, 1; 13, 23). Wzniosła to pokora, a przy tym trzeźwe upojenie. Był on wielkim przepowiadaczem, to znaczy kaznodzieją. Objawił, co wysłał z serca Bożego, powiedział nam: „Że nie my umiłowaliśmy Boga, ale On pierwszy umiłował” (1 J 4, 10). Wiele daje to człowiekowi, gdy może powiedzieć: „My umiłowaliśmy Boga”. Kto? Kogo? Ludzie Boga, śmiertelni nieśmiertelnego; grzesznicy sprawiedliwego; ułomny niewzruszonego, stworzenie Stwórcę. Umiłowaliśmy, bo „On pierwszy umiłował nas”. Stąd więc człowiek powinien kochać Boga. Nie znajdziesz więc wyjaśnienia, dlaczego Bóg „pierwej umiłował człowieka”. Dał siebie byśmy Go miłowali. Posłuchajcie tego, co mówi apostoł Paweł: „Miłość Boga rozlana jest w sercach naszych”. Gdzie? W jaki sposób? „Przez Ducha Świętego, który jest nam dany” (Rz 5, 5).

3. Mając bowiem tak wielką ufność, kochajmy Boga przez Boga. Owszem dlatego, że Duch Święty jest Bogiem – kochajmy Boga przez Boga. Cóż bowiem więcej mam powiedzieć ponadto co powiedziałem, kochajmy Boga przez Boga? Cóż mogę więcej powiedzieć: „Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który nam jest dany”. Wynika z tego, że Duch Święty jest Bogiem, ani nie możemy kochać Boga, jak tylko przez Ducha Świętego; kochajmy przeto Boga przez Boga. Taki bowiem wypływa z tego wniosek. Posłuchajmy jeszcze, co jaśniej o tym mówi św. Jan: „Bóg jest miłością, a kto trwa w miłości, w Bogu trwa, a Bóg w nim” (1 J 4, 8, 16). Mało to jest powiedzieć, że miłość z Boga pochodzi. Któż z nas odważyłby się powiedzieć to, co powiedziane jest o Bogu: „Bóg jest miłością”. Tak powiedział ów, który poznał to, co posiadał. Jakże więc wyobrażnia ludzka i niestała w zdaniu myśl wyobraża sobie Boga. W sercu swoim stwarza sobie obraz, ukazując go takim, jaki może wymyślić; a nie taki, jaki by należało wytworzyć. Czy takim jest Bóg? Nie, lecz taki jest. Jakimi więc zasadami rozporządzasz? Jakie człony układasz? Jak tworzysz miłą postać? Jak wyobrażasz sobie piękność ciała? „Bóg jest miłością”. Jaka jest więc barwa miłości? Jakie zasady, jakie kształty? Nic z tych przymiotów nie widzę, a jednak kochamy.

4. Śmiem powiedzieć moi kochani: myślmy o tym na niskościach, co osiągniemy na wysokościach. Miłość ziemską i nieczystą, dotyczy piękna cielesnego, czyż nie upomina nas, abyśmy wzniesli się do rzeczy wyższych i bardziej czystych. Kocha jakiś bezwstydnny i lubieżny człowiek najpiękniejszą kobietę: nawet porusza go piękno cielesne, lecz pożądana jest głęboka wzajem-



ność miłości. Jeśli bowiem usłyszysz on, że owa niewiasta nienawidzi go, czyż cały ów żar i zapal do jej pięknego ciała nie wygasa, i czy on natychmiast nie usuwa się od tego, do czego dążył i czy nie odwraca się? Nawet sam zaczyna nienawidzić, co przed tym tak miłował! Czyż kształty jej zmieniły się? Czyż nie ma tego wszystkiego, co pociągało przedtem? Jest tam, a przecież pałało się miłością do tego, co się widziało, ale z serca ustąpiło to, czego się nie widziało – miłość. Jeśli zaś pozna, że wzajemnie jest miłowany, dlaczego tym gwałtowniej nie zapłonie? Widzi ona jego, widzi ją on, miłości nikt nie widzi, a jednak kocha ten sam, który nie widzi.

5. Wzniescie się do tej upadającej pożądlivości, abyście stale przebywali w najpromienniejszej miłości. Boga nie widzisz, ale kochaj, a będziesz Go widział. Jak wiele godnych potępienia pożądlivości kocha się, chociaż ich nie ma. Chciwie pożąda się, żeby stale posiadać? Czy może dlatego kocha się złoto, żeby je posiadać? Wielu kocha złoto, choć go nie posiada. Czy nie znaczy to mieć obfite i kosztowne nagrody, które liczni kochają, chociaż ich nie mają? Czy jest to samo, kochać sławę, czy być sławnym? Wielu nie mających sławy robi wszystko, ażeby ją zdobyć i wreszcie krótko przed śmiercią osiągają to, co pragnęli posiadać. Bóg się nam cały ofiaruje w nagrodę. Woła do nas, kochajcie mnie, a będziecie mnie posiadali; ponieważ nie będziecie mnie mogli kochać, jeśli nie posiadziecie mnie.

6. O bracia, o synowie, o katolickie latorośle, o święte i niebiańskie nasiona, o odrodzeni w Chrystusie, o narodzeni dla nieba. Słuchajcie mnie z głębi i przeze mnie. „Śpiewajcie Panu nową pieśń”. Oto mówisz: śpiewam. Śpiewasz, wyraźnie nawet śpiewasz, Słucham, lecz życie twoje daje świadectwo przeciw językowi twojemu. Śpiewajcie głosem, śpiewajcie sercem waszym, śpiewajcie ustami, śpiewajcie obyczajami: „Śpiewajcie Panu nową pieśń”. Szukajcie tego, co zaśpiewać o tym, którego kochacie. Bez wątpienia tym, których kochasz, chcesz śpiewać. Szukasz jego chwały, którą będziesz opiewał. Słyszeliście „Śpiewajcie Panu nową pieśń”. Czy szukacie Jego chwały? „Chwała Jego w Kościele świętych”. Chwałą śpiewaka jest przedmiot jego śpiewu. Czy chcecie Bogu dać chwałę? Wy bądźcie tym, co się o was mówi. Chwałą Jego będziecie, jeżeli dobrze żyć będziecie. Chwała Jego bowiem nie polega na pięknie synagogi żydowskiej, ani na bezmyślności pogańskiej, ani nie polega na błędach heretyckich, ani na oklaskach teatralnych. Pytacie więc gdzie jest? Uważajcie, jesteście Jego chwałą. „Chwała Jego w Kościele świętych”. Pytasz się z czego miałbyś się radować kiedy śpiewasz? „Niech raduje się Izrael z tego, że uczynił go”. A stąd nie znajdziesz innej radości jak tylko z Boga.

7. Zapytajcie samych siebie moi bracia, przeskukajcie ukryte zakamarki waszych serc. Zważcie starannie, ile wam daje miłość i pomnóżcie to, co znajdziecie. Miejcie staranie o ten skarb, bo jest on waszym wewnętrznym bogactwem. O wszystkich innych rzeczach mających wysoką cenę, mówimy, że są nam drogie i mamy słusność. Jakie jest jednak znaczenie tych powyższych wyrażeń: To mi jest droższe od tego? Co znaczy droższe jeśli nie bardziej cenne? Jeśli jednak to, co najcenniejsze jest najdroższe, co, bracia, jest droższe od miłości? Jaka będzie jej cena? Czym możemy za nią zapłacić? Cena pszenicy to wasze pieniądze, cena ziemi, to wasze srebro, cena perły, to wasze złoto. Ale cena miłości, to wy sami, Gdy staracie się o nabycie ziemi czy perły, to szukacie i znajdujecie u siebie konieczną zapłatę, gdy jednak chcecie mieć miłość, to musicie szukać i musicie znaleźć ją w sobie. A dlaczego boicie się oddać siebie? A właśnie wtedy siebie utracicie, gdy się nie oddacie. Sama miłość poucza nas o tym ustami Mądrości. Wyrzekła Ona to, żeby was uwolnić od obawy przed tym słowem: „Dajcie siebie”. Ten bowiem, kto by chciał kupić waszą ziemię powiedziałby: daj mi złoto twoje, a gdyby chciał kupić co innego, powiedziałby: daj mi twoje srebro. A posłuchajcie, co rzekła Miłość ustami Mądrości: „Synu daj mi serce swoje” (Prz 23, 26). „Daj mi”, powiedziała nam. A co? „Synu, daj

mi serce”. Gdy to serce zależało od ciebie i nie należało do ciebie, wszystko szło źle. Dajesz się uwieść próżnościom, miłości zgubnej i dręczącej. Zabierz je stamtąd. Ale gdzie je zaniesiesz? Gdzie je złożysz? „Daj mi serce” – mówi Mądrość. Gdy będzie we mnie, nie utracisz go. Patrz teraz, czy Ten, który rzekł: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej myśli twojej”, czy zgadza się On zostawić wam choćby to, czym byście mogli kochać samych siebie? Cóż pozostanie twemu sercu, by kochało samo siebie? Cóż ci pozostaje z twej duszy? Co ci zostaje z twej myśli? „Ze wszystkiego serca” – mówi Bóg. Ten, który cię stworzył, wymaga całego ciebie od ciebie.

Lecz z tego powodu nie bądź smutny, jakby nic nie zostało w tobie, ażebyś nie miał powodów do radości. „Niech raduje się Izrael nie z siebie, lecz z tego, który go stworzył”.

8. Zapewne w ten sposób odpowiesz mi; jeśli nic nie zostało, co miałbyś kochać; skądże mogę samego siebie kochać? Przecież z całego serca swego, z całej myśli swojej, z całej duszy, z wszystkiej myśli postanawiam kochać tego, który mnie stworzył. W jakim więc sposób mogę kochać bliźniego swego jak siebie samego. To znaczy, że bliźniego powinieneś kochać z wszystkiego serca twego i wszystkiej myśli twojej. W jaki sposób? „Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego” (Mt 22, 39). Boga należy kochać z całego serca jak siebie. Bliźniego jak siebie samego. Jak siebie kochać, jak bliźniego? Czy chcesz usłyszeć, jak masz siebie kochać? Jak ukochasz z całego serca Boga, podobnie możesz kochać i siebie. Czy sądzisz, że to doda coś Bogu, jeśli będziesz Go kochał? I czy przyjdzie co z tego Bogu, jeśli będziesz Go kochał? A jeśli nie będziesz Go kochał, czy to umniejszy Jego sławy? Gdy będziesz Go kochał, ty na tym zyskasz. Ty za to dostaniesz się tam, gdzie na wieki nie zginiesz. Lecz odpowiesz mi, czy to jest możliwe, abym siebie nie kochał? Odpowiem ci, że wtedy nie kochasz siebie, kiedy nie kochasz Boga, który cię stworzył. Lecz gdy nienawidzisz siebie, zdawać ci się będzie, że kochasz siebie. „Lecz kto miłuje nieprawość ma w nienawiści duszę swoją” (Ps 10, 6).

9. Zwróćmy się z czystym sercem ku Panu, Bogu naszemu, Ojcu Wszechmogącemu, a o ile pozwala nam na to słabość nasza, składajmy Mu obfite dziękczynienia; błagajmy gorąco Jego dobroć nieskończoną, ażeby w miłosierdziu swoim zechciał wysłuchać prośb naszych; mocą swoją oddalił z myśli naszych i czynów nieprzyjaciela dusz; pomnożył w nas wiarę, rządził umysłem naszym i dawał mu zbawienne natchnienia, doprowadził nas wreszcie do wiekuistego szczęścia, przez Jezusa Chrystusa, Syna Jego, Pana naszego, który żyje z Nim w jedności Ducha Świętego po wszystkie wieki wieków.

Cytat za: św. Augustyn, *Wybór mów. Kazania świąteczne i okolicznościowe*, tłum. ks. Jan Jaworski, PSP, t. 12, Warszawa 1973, s. 222-227.



Święty Bernard z Clairvaux SOCist.  
(1090-1153)



# Kaznodzieja z Jasnej Doliny

**D**oniosłą rolę w kaznodziejstwie średniowiecznym odegrał św. Bernard z Clairvaux. Ta jedna z najbardziej dominujących w tym czasie osobowości porównywana bywa niekiedy ze św. Augustynem i św. Tomaszem z Akwinu.

## Magnetyczna siła osobowości

W Bernardzie harmonijnie łączyła się ogromna wrażliwość i wielka uczuciowość z żelazną wolą. Podobnie jak Jan Chryzostom († 407) przeżył głęboko śmierć swej ukochanej matki Antuzy, tak Bernardem mocno wstrząsnęło odejście Alety. Szybko zrozumiał, że dla jego nieugiętej i namiętnej natury istnieją tylko dwie możliwe drogi: albo zatopić się w przyjemnościach ziemskich zaspokajając swe ambicje, albo całkowicie powierzyć się Bogu jako Jego rycerz. Wkrótce wybrał tę drugą drogę. Postanowił zostać zakonnikiem, lecz nie w bogatym i ważnym wtedy Cluny, lecz w najmniejszym i najbiedniejszym klasztorze, jaki można było znaleźć. Dlatego skierował swe kroki do Cîteaux (Cistercium), gdzie żyła garstka przymierających głodem mnichów zakonu cysterskiego założonego w 1098 roku przez św. Roberta z Molesmes. Nie widząc żadnych perspektyw rozwoju mieli oni już porzucić klasztor, gdy w 1112 roku zjawił się 22-letni Bernard z prośbą o przyjęcie do ich wspólnoty. Stefan Harding, trzeci z kolei opat Cîteaux, szybko zrozumiał, że przybył prawdziwy szalenciec Boży, który zapewni zakonowi przyszość.

We wszystkich działaniach Bernarda objawiała się niezrównana, magnetyczna siła jego osobowości. Już do Cîteaux nie przybył sam. Towarzyszyło mu 4 braci i 25 przyjaciół, których potrafił przekonać do życia zakonnego. W trzy lata później udał się z polecenia Hardinga, aby założyć klasztor w Clairvaux (łac. *Clara Vallis* = Jasna Dolina). Odtąd Clairvaux na stałe związało się z jego imieniem. Był tu opatem przez 38 lat, aż do końca swego życia. W ciągu tego okresu nie tylko zarządzał swoim klasztorze, lecz założył 63 inne, kierował zaś 160; zreformował życie klasztorne, kładąc szczególny nacisk na kontemplację. Pod jego wpływem reformy dokonali benedyktyni: Piotr Czcigodny w Cluny oraz opat Suger, w klasztorze Saint-Denis koło Paryża.

Miał wiele przymiotów, które predestynowały go na przywódcę – szlachetne urodzenie, wielka odwaga moralna i duchowa, wybitny talent literacki i retoryczny, brak świeckich ambicji i przyziemnych pragnień, ogromna pewność siebie i niezłomna wola, szczerłość idąca w parze z wielką taktyczną zręcznością oraz autentyczna miłość do swoich współbraci, bez żadnej jednak pobłażliwości czy nawet umiarkowania, kiedy zwalczał to, co uważał za złe. Cieszył się niekwestionowanym autorytetem, nazywano go „niekoronowanym władcą” Europy. Efekty jego działań są ogromne.

Prowadził niezwykle obszerną korespondencję. Był doradcą papieży, królów i książąt. Wywierał również wpływ na stosunki kościelne nawet w Polsce, o czym świadczy jego korespondencja z biskupem krakowskim Mateuszem Cholewą. Brał udział w wielu sporach teologicznych, m.in. przyczynił się do potępienia na synodzie w Reims w 1148 roku błędów Gilberta de la Porrée; zwalczał herezję apostolików i występował przeciwko arystotelesowskiej dialektyce w teologii Piotra Abelarda. W tym wirze zajęć potrafił prowadzić intensywne życie kontemplacyjne, osiągając szczyty mistycznego zjednoczenia z Bogiem. Był wierny zdaniu, które sam wypowiedział w jednym ze swych kazań: „Granica miłości jest miłość bez granic”. W dwadzieścia jeden lat po śmierci został kanonizowany przez papieża Aleksandra III. W 1830 roku papież Pius VIII nadał mu tytuł doktora Kościoła (*doctor mellifluus*, czyli *doktor miodopłynny*).

Bernard z Clairvaux to człowiek wyjątkowy. Po śmierci, jak i za życia, zawsze był różnie oceniany, ale jako kaznodzieja i pisarz, jako człowiek czynu i jako święty zajmuje trwałe miejsce wśród największych imion w historii Europy.

## Mistrz słowa

Bernard zasłynął jako jeden z największych kaznodziejów chrześcijańskich. Jego głos rozbrzmiewał we Francji, Niemczech i Włoszech. Owocem jego posługi słowa są liczne kazania. Do naszych czasów zachowało się ich ponad trzysta. Są one zgrupowane w kilku zbiorach:

1. *Sermones de tempore* (PL 183, 35-360). Zbiór ten obejmuje 86 mów na różne uroczystości roku liturgicznego, m.in. 4 homilie na adwent. Bernard wyjaśnia w nich sens obchodzenia kościelnych uroczystości.

2. *In Psalmum 90*. W 17 mowach wyjaśnia w okresie wielkiego postu Psalm 90.

3. *Sermones de sanctis* (PL 183, 360-536). Są to mowy pochwalne na cześć świętych czczonych w Clairvaux. W tej grupie znajduje się m.in. 11 mów o Najświętszej Maryi Pannie. Zbiór ten zawiera nadto 6 kazań na rocznicę dedykacji kościoła.

4. *Sermones de diversis* (PL 183, 537-748). Zbiór ten obejmuje 125 kazań, rozwijających na różne okazje cytaty z Pisma Świętego.

5. *Sermones super Cantica Cantorum* (PL 183, 785-1197). To 86 mów komentujących w sensie alegoryczno-mistycznym dwa pierwsze rozdziały księgi *Pieśni nad pieśniami*. Bernard omawia w nich systematycznie wszystkie stadia życia duchowego prowadzące do tzw. unii mistycznej. Dzieło to stanowi główne źródło do poznania mistyki Bernarda, a także życia zakonnego w Clairvaux.

## Wielki czciciel Maryi

Opat z Jasnej Doliny to największy czciciel Matki Chrystusowej w okresie średniowiecza. Jego głównymi dziełami maryjnymi są: traktat *De laudibus Mariae* (cztery homilie na temat *Missus est*); trzy homilie na święto Oczyszczenia



czenia, trzy homilie na Zwiastowanie, jedna na Narodzenie Maryi (słynne kazanie o wodociągu – *De aquaeductu*), pięć na Wniebowzięcie, jedna na oktawę Wniebowzięcia (*Super Signum Magnum*), jedna na Obrzezanie i Ofiarowanie, jedna na adwent oraz list 174 do kanoników w Lyonie, na temat nowego święta Poczęcia. Pewną liczbę wzmianek, mniej lub bardziej obszernych, znajdujemy w różnych innych dziełach. Tradycja kościelna przypisuje mu autorstwo modlitw, ważnych w procesie upowszechnienia prawdy o pośrednictwie Maryi, jak słynna modlitwa *Memorare* (*Pomnij, o najdobrotliwsza Panno Maryjo...*) oraz antyfony *Salve Regina* (*Witaj Królowo...*).

W Matce Chrystusa widział Bernard pośredniczkę łask. Skoro przez Maryję Chrystus przyszedł na świat, to również przez nią człowiek może dojść do Chrystusa. Pośrednictwo Maryi jest wynikiem jej ścisłej łączności z Chrystusem i Jego zbawczym dziełem. W jednym ze swych najważniejszych kazań – *Sermo de aquaeductu*, Bernard nazywa Maryję „wodociągiem” łaski, pośredniczką między Chrystusem a nami. „Jezus Chrystus nie może nic odmówić swojej Matce, a Ojciec Niebieski niczego nie może odmówić swojemu Synowi” (*Sermo de aquaeductu*).

Duchowość maryjna Bernarda ma cechy liturgiczne. Widział on Maryję czynną w planach zbawienia i starał się wykazać ważność, jaką dla życia chrześcijan ma nabożeństwo do niej jako Matki Boga. Duchowość ta ma dwa bieguny, którymi są tajemnica wcielenia, na które Maryja wyraża zgodę, i tajemnica wniebowzięcia. Maryja znajduje się w najistotniejszym punkcie spotkania Boga z nami. Dzięki swej pokorze staje się Matką Boga i jednocześnie Królową, Władczynią świata, niebieską Pośredniczką u Pośrednika, Matką ludzi, „drabiną grzeszników”, bramą nieba. Bernard dobrze tłumaczy podziw, jaki w wiekach przeszłych towarzyszył zamyśleniu się nad wielkością Maryi. Nie uważał jednak, aby rzeczą konieczną było dodawać do korony przywilejów Maryi jeszcze jeden kwiat, mianowicie kwiat Niepokalanego Poczęcia; myślał bowiem, że Ona nie potrzebuje „fałszywego zaszczytu”, którym Kościół powszechny nie uważał do owego czasu za obowiązek Ją obdarzyć.

Wysławiając najdoskonalszą świętość Maryi Bernard gorąco apelował do słuchaczy o stałą pamięć o Matce Chrystusa w różnych okolicznościach życia. W drugiej homilii do słów *Super missus est* (PL 183, 70-71) tak to wyraża: „O ktokolwiek jesteś i widzisz, jak na drodze życia miotają tobą nawałnice i burze, pozbawiony upragnionego pokoju ziemskiego, nie odwracaj spojrzenia od tej Gwiazdy promiennej! Inaczej przepadniesz w odmętach! Kiedy porywają cię wichury pokus, jeśli spadasz na ostre kamienie cierpień – spoglądaj na Gwiazdę, wzywaj Maryję. Jeżeli tobą miotają nawałnice pychy, a może wygórowanej miłości własnej, a może zazdrości spoglądaj na Gwiazdę, wzywaj Maryję. Jeżeli gniew, albo chciwość, albo cielesna ponęta wstrząśnie kruchą łódką twojej duszy – podnieś wzrok do Maryi. Gdy cię przyciska ogrom grzechów, dręczą wyrzuty sumienia, przeraża groza sądu Bożego, ogarnia smutek, rozpacz – pomyśl o Maryi! W niebezpieczeństwach, w udrękach, w wątpliwo-

ściach – pamiętaj o Maryi! Błagaj Maryję! Niech Ona nigdy nie schodzi z twoich ust, ani też z twojego serca! Abyś jednak mógł liczyć na Jej potężną opiekę, nie zapomnij naśladować Jej życia! Idąc za Nią, nie zejdziesz na manowce. Wzywając Jej obrony, nie popadniesz w rozpacz. Mając Ją w myśli, nie pobłądzisz. Gdy Ona cię podtrzymuje, nie upadniesz. Gdy wstawia się za tobą; nie potrzebujesz się lękać. Jej ramieniem wsparty, wytrwasz. Krocząc przy Niej, nie doznasz znużenia. Gdy łaskę ci wyświadczy, dojdiesz do celu”.

Dante Alighieri, opisując w swym wielkim poemacie pt. *Boska Komedia* raj niebieski, wziął sobie za przewodnika w świecie pozagrobowym nie kogo innego, tylko Bernarda z Clairvaux i przez jego usta wielbi Matkę Najświętszą. Obaj wpatrują się z podziwem w jaśniejące oblicze Maryi, najbardziej podobne do Chrystusa. W usta dostojnego starca poeta wkłada słowa ku czci Chwalebnej Dziewicy: „Córko swego Syna” – *figlia del tuo figlio* (*Raj*, XXXIII, 1-3). Czy matka może być córką swego syna? Czy nie ma tu sprzeczności? Nie! Maryja była i prawdziwą Matką Chrystusa, ale zawsze pozostała Jego Córką duchową. Nikt z ludzi tak głęboko nie rozumiał Chrystusa i nie szedł Jego śladami tak wiernie, jak Maryja-Córa duchowa swego Syna. Kto się zapatrzy w Maryję i za Nią pójdzie, ten znajdzie Chrystusa. Opat z Clairvaux od najmłodszych lat wpatrywał się w Matkę Bożą i przez Nią zdążył do Chrystusa.

### Kaznodzieja w służbie wielkiej polityki światowej

Wraz z Bernardem na niespotykaną dotąd skalę wkroczyła na ambone wielka polityka. Sam kaznodzieja stał się mężem stanu i to tak wpływowym, iż z jego słowem liczył się papież, cesarz niemiecki, król francuski i księżęta. Z szeregu wydarzeń politycznych, w których Bernard słowem kaznodziejskim zmieniał oblicze Europy, należy przypomnieć dwa doniosłe fakty: sprawę antypapieża Anakleta i wyprawę krzyżową.

#### a. obrońca jedności Kościoła

Po śmierci papieża Honoriusza II (1230) w pośpiechu, zaraz po pogrzebie, część kardynałów obwołała jego prawowitym następcą Grzegorza Papeschiego, który przyjął imię Innocentego II (1130-1143). Kilka godzin później pozostali kardynałowie wybrali Piotra Pierleone jako Anakleta II. Anaklet natychmiast odprawił nabożeństwo dziękczynne w kościele Najświętszej Maryi Panny na Zatybrzu i zajął Wieczne Miasto. Innocenty II opuścił Rzym. Ścigany coraz natarczywiej przez zbrojne oddziały Anakleta, uciekł na północ kraju, a następnie schronił się we Francji.

Nietrudno zauważyć, że od samego początku zawiązania się akcji tego smutnego dramatu, trwającego w sumie osiem pełnych lat, sytuacja ogólna przedstawiała się o wiele pomyślniej dla Anakleta II. Był on panem pałacu laterańskiego, rezydował i celebrował w Bazylice św. Piotra, miał też za sobą cały Rzym

i wojsko. Co do strony formalnej wyborów, to po obu stronach istniały pewne nieścisłości, z których też zrodziły się niebawem dalsze ostre kontrowersje.

Wobec zaistniałej sytuacji każda ze stron konfliktu zabiegała o poparcie opata z Jasnej Doliny. W imieniu Innocentego II uczynił to kardynał-kanclerz Emeryk. Błagał Bernarda, by wyszedł z klasztoru i aktywnie włączył się do walki o zwycięstwo jego elekta i przywrócenie jedności Kościoła. Do Clairvaux przybyli też wysłannicy Anakleta, ale Bernard odprawił ich z miejsca stwierdzając stanowczo, iż nigdy nie nazwie tego człowieka Ojcem Świętym.

We wrześniu 1130 roku zebrał się w Étampes wielki synod panów duchownych i świeckich. Bernard wziął w nim udział i przedstawił publicznie racje przemawiające na korzyść Innocentego II. On, a nie kto inny, jest prawdziwym i ważnie obranym papieżem. Przede wszystkim wybór Innocentego nastąpił wcześniej – różnica czasu była wprawdzie minimalna, ale znacząca. Po wtóre, za Innocentym przemawia jego powaga i osobista świętobliwość, znajomość i ukochanie spraw kościelnych, bezinteresowność całego życia, czystość opinii, wielkie wyrobienie ascetyczne i kulturalne, czego absolutnie nie można było powiedzieć o Anaklecie. Dlatego też Bernard uważał go za antypapieża, niegodnego sprawowania jakiegokolwiek stanowiska w Kościele Bożym.

W obecności króla Ludwika VI, książąt i biskupów zapadła decyzja synodu w Étampes: Innocenty II jest prawowitym i jedynym papieżem Kościoła świętego, zaś Anaklet – uzurpatorem, antypapieżem i wrogiem. Na ogół wszyscy wasale kapetyńskiej rodziny królewskiej, z wyjątkiem księcia Wilhelma Akwitańskiego, przyjęli argumentację Bernarda i wypowiedzieli się oficjalnie po stronie Innocentego II. Książę Wilhelm, mający dawne porachunki polityczne z królem Ludwikiem VI i Stolicą Apostolską, na przekór wszystkim stanął po stronie Anakleta. W zawziętości swej posunął się nawet do otwartego prześladowania biskupów wiernych Innocentemu. Dowiedziawszy się o tym, Bernard udał się do Akwitanii, by osobiście przekonać zbuntowanego księcia o słuszności stanowiska ojców synodu w Étampes. Wilhelm początkowo opierał się twardo, ale wymowa, gorliwość i zapał religijny Bernarda zrobiły na nim wielkie wrażenie. Opowiedział się więc za Innocentym II i przyrzekł złożyć mu homagium. Żadną jednak miarą nie chciał zgodzić się na powrót biskupów wypędzonych ze swych stolic.

Przed ostatnią swą rozmową z księciem Wilhelmem Bernard postanowił odprawić w jego intencji uroczystą mszę świętą przed łaskami słynącym ołtarzem Matki Boskiej w Couldre. Wielki tłum wiernych wypełnił po brzegi świątynię. Kiedy Bernard ukazał się w towarzystwie biskupów z Chartres i Poitiers, wierni uniesieni entuzjazmem oddali mu cześć. Książę Wilhelm, jako wyklęty znajdował się jeszcze przed drzwiami kościoła. Po udzieleniu pocałunku pokoju, Bernard zdobył się na nieoczekiwany manewr – jeden z tych, jakimi zdobywał niejednokrotnie trudne pozycje przeciwników. Wziął Najświętszy Sakrament i przeciskając się przez tłum rozmodlonych wiernych, udał się do księcia. Wśród głębokiej ciszy i nastroju niezwykłości zwrócił się do księcia, aby przyjął wypędzo-

nego biskupa i przekazał mu pocałunek pokoju. Księżę wykonał posłusznie rozkaz opata. W kościele podniósł się okrzyk radości. Bernard skończył mszę świętą i gorąco dziękował Bogu za łaskę nawrócenia zatwardziałego księcia.

Ostatecznie, po dziewięciu latach zmagañ Bernard doprowadził do uznania Innocentego II za prawowitego papieża, a tym samym do zakończenia schizmy. Stało się to na dziesiątym soborze powszechnym na Lateranie w roku 1139.

#### b. kaznodzieja wyprawy krzyżowej

Bramy wielkiej polityki otwały się znów przed Bernardem w związku z ogłoszeniem w 1145 roku drugiej wyprawy krzyżowej. Zarówno papież Eugeniusz III (uczeń Bernarda i jego współbrat zakonny), jak i król francuski Ludwik VII widzieli w opacie z Jasnej Doliny jedyną osobę zdolną do jej zorganizowania. Miał on zapalić chrześcijaństwo płomienną myślą wojny z niewiernymi i raz na zawsze ustalić chrześcijańskie panowanie w Ziemi Świętej. Liczono na to, iż ustaną walki wewnętrzne, kiedy cała energia ludzka zostanie skierowana ku wyższym ideałom wiary. Eugeniusz III nie posiadał jednak zdolności kaznodziejskich i nie był zdolny porwać tłumów, tak jak to uczynił Urban II. Głóścicielem krucjaty będzie więc nie kto inny, lecz największy kaznodzieja Europy, powszechnie cieszący się już opinią świętości – Bernard z Clairvaux. Pierwszego marca 1146 roku papież wydał bullę *Universis fidelibus Dei* i posłał ją do Vézelay, gdzie wokół wspaniałej, trzynawowej romańskiej bazyliki św. Marii Magdaleny dominującej nad Burgundią gromadziło się francuskie rycerstwo.

Wielkanocny poranek 31 marca 1146 roku był pełen szumnego rozgwaru, ruchu i uroczystej niezwykłości. Miasto leży na rozległym wzgórzu. Tłumy okolicznych mieszkańców i przybyłych zbrojnych zapełniły zbocza, a z dalekich dróg przybywały wciąż nowe, barwne zastępy. Tęcza chorągwi, różnorodność strojów, błyszczące w słońcu miecze, pancerze, kopie, szyszaki, poruszanie się niezliczonej ilości zgromadzonych stwarzało wrażenie wielkiej wędrówki narodów, które zatrzymały się na chwilę w miejscu, by pomodlić się, wysłuchać słowa Bożego i rozkazów do dalszego, zwycięskiego marszu... Wspaniała romańska budowla oblana blaskiem wschodzącego słońca wyglądała jak wielki okręt na wzburzonym morzu. Kołysały się sztandary herbowe, w oczach tlił się zapal. Przybył już król Ludwik z żoną Alienorą; przybyli biskupi, książęta i panowie świeccy.

Po mszy świętej dostojny orszak królewski zasiadł na przygotowanym nieopodal katedry podwyższeniu, z którego można było objąć wzrokiem to wielkie morze głów ludzkich. Bernard z Clairvaux, wyznaczany przez papieża i króla na organizatora wyprawy krzyżowej, rozpoczął kazanie. Najpierw czytał bullę Eugeniusza III przedstawiającą upadek łacińskiego królestwa Edessy, obraz prześladowań chrześcijan na Wschodzie i wezwanie do powstrzymania ekspansji islamu. Potem Bernard rozpoczął swoje kazanie. Mówił o doniosłym zadaniu chrześcijańskiego świata i wielkim honorze tych, których Opatrzność Boża wzywa do wykonania planów Kościoła świętego. Słowo za słowem wzmacniało

się i rosło, potężniało i zmieniało w płomienny okrzyk zapału: „Edessa! Edessa wzywa jękiem konających braci! Jakże nie ratować ich; nie ratować jednocześnie honoru Francji, czci Kościoła? Jakże nie korzystać ze wspaniałej okazji pokuty i odpuszczenia grzechów? W tej szlachetnej wyprawie i walce zabłyśnie i rozkwitnie cześć rycerstwa chrześcijańskiego na wieki! Rycerze będą awangardą niezliczonych pielgrzymek ludu Bożego wędrujących do Jerozolimy ziemskiej, a przez nią – do wiecznej. Więc wszyscy mają podążać tam w pokorze ducha, w pokucie, w ubóstwie, jak przystoi prawdziwym pielgrzymom. Nie należy więc zabierać żadnych rzeczy zbytkownych, kosztownych szat i klejnotów – celem wyprawy jest wszakże Golgota, grób Chrystusowy, wyblaganie wolności wiary”. Płomienne kazanie Bernarda wzruszyło do głębi słuchaczy i wstrząsnęło ich sumieniami. Napięte do ostateczności uczucia religijne wybuchły nagle głośno dwoma prostymi okrzykami: „Dajcie krzyże! Bóg tak chce!”.

Krzyże przygotowano już wcześniej w przewidywaniu, że skutek tego wielkiego przedsięwzięcia może być tylko taki, jakiego sobie życzyli jego organizatorzy. Ale krzyży płóciennych i sukiennych zabrakło niebawem. Bernard niewiele myśląc, zdjął wierzchnią szatę – kukullę i targając z niej wąskie paski, podawał rycerzom. Entuzjazm ogarnął zebranych na ten widok i wokół Białego Opatu utworzył się krąg ludzi z wyciągniętymi rękami, pragnących otrzymać cenną pamiątkę od świętego kaznodziei. Brali więc krzyże przywódcy wojskowi i duchowni, biskupi i opaci, potem rycerze i lud prosty.

Ogromny ruch ogarnął teraz wszystkie ziemie lenne królestwa francuskiego. Bernard pracował bez wytchnienia. Przemawiał, zachęcał, zapalał. Gdzie nie potrafił stanąć osobiście, słał listy pełne żaru: do rycerstwa burgundzkiego, lotaryńskiego, flandryjskiego, angielskiego, niemieckiego, nawet do Czech i Moraw... Nie chciał stanąć na czele wyprawy jako jej wódz naczelny, natomiast czuł odpowiedzialność za wszystko jako jej organizator. Liczba krzyżowców rosła z dnia na dzień. Opustoszały miasta i wsie. Z trudnością tylko można było spotkać młodego, zdolnego do walki mężczyznę. Ożyła więc tradycja pierwszej krucjaty i duch jej zwycięstwa.

Wiadomo było, że bez udziału cesarza niemieckiego wyprawa mająca charakter wojny powszechnej nie rokowała nadziei powodzenia. Tymczasem cesarz Konrad III zwlekał z decyzją. Celem zjednania opornego monarchy Bernard wybrał się więc do Niemiec. Rezultat pierwszego spotkania nie zadowalał Bernarda. Cesarz wskazywał na niepewną sytuację w kraju, wymawiał się klęską nieurodzaju, jakkolwiek nie przekreślał możliwości wzięcia udziału w wyprawie w terminie późniejszym. Biały Opat zaczął więc działać w Niemczech. Była to żmudna pielgrzymka w rejonie Renu. Miasta Krotzingen, Heitersheim, Stieng, Schliengen, Bazylea, Rheinfelden, Säckinggen, Schaffhausen, Stein nad Renem i Konstancja witały go z wyrazami najwyższej czci i uznania. Wierni na czele z biskupami wychodzili do bram miejskich. Co najważniejsze, żar wymowy Bernarda zjednywał nowych zwolenników krucjaty.



Jeśli to było tylko możliwe, Bernard głosił krucjatę płynąc wodami Renu. Po obu stronach rzeki zbierały się tłumy wiernych, spragnionych widoku słynnego cystersa. Od czasu do czasu statek zatrzymywał się, a mówca wygłaszał swój gorący apel „w imię papieża i Chrystusa”: „Ratujcie Ziemię Świętą!”. Zwykle uderzał w najczulszą strunę honoru rycerskiego. Kazania Bernarda, podobnie jak we Francji, spotykały się z żywym odzewem, mimo iż przemawiał przy pomocy tłumacza. Wyciągały się ręce po krzyże poświęcone przez Bernarda, rozlegało się wołanie: „Bóg tak chce!”.

Dnia 24 grudnia 1146 roku miasto Spira (dzisiejsze Speyer) w zachodniej części Niemiec, w Nadrenii-Palatynacie, przeżywało wielką uroczystość koronacji cesarskiej Konrada III. Przy tej okazji odbył się tu zjazd możnowładców i rycerstwa niemieckiego. Po dokonaniu uroczystej ceremonii Bernard wygłosił kazanie, zachęcając do udziału w wyprawie krzyżowej cesarza i dostojników państwowych. We wstrząsających słowach przedstawił sytuację chrześcijan palestyńskich. Mimo tego cesarz pozostał nieporuszony. Biały Opat nie uległ jednak zniechęceniu i nie ustąpił. 27 grudnia odprawił uroczystą sumę pontyfikalną dla całego dworu cesarskiego. Z Jerozolimy dotarły właśnie niepokojące wiadomości: mahometanie, ośmieleni opieszałością i słabością militarną chrześcijan, coraz głębiej wdzierali się na pozycje obronne Królestwa Jerozolimskiego. Bernard przemawiał z całą gorliwością, na jaką tylko zdobyć się potrafił w tej chwili, wołając o natychmiastową pomoc dla Palestyny. Droga do celu wprawdzie nie jest bliska i łatwa, owszem daleka i najeżona trudnościami, ale skoro „Bóg tak chce” i rozjaśnia ją cudami swego posłańca – jakże można pozostać bez odpowiedzi? Kto z ludzi odważy się sprzeciwić woli Boga? Oprócz tego – dowodził Bernard – niebezpieczeństwo może wkrótce dotrzeć do państw europejskich, a stanie się to niechybnie, jeżeli upadną fortece chrześcijańskie w Ziemi Świętej. Nie tylko uczucia religijne, ale po prostu interesy polityczne domagają się rychłej i realnej decyzji. Oczy wszystkich zwróciły się teraz na Konrada III. Bernard użył znów jednego z tych sposobów, jakie jemu tylko były właściwe i zapewniały zwykle skuteczność wszystkim jego przedsięwzięciom. W czasie nabożeństwa odwrócił się do ludu, przeszedł przez otwarte szeregi, zbliżył się do łoża cesarza i głosem podniesionym zadał pytanie: „Cesarzu! Cóż jeszcze miałem uczynić dla ciebie, czego nie uczyniłem?” – Jest to oczywiście aluzja do licznych łask odebranych od Boga, do świeżo odprawionej koronacji, która doszła do skutku wśród wielkich, ale szczęśliwie przezwyciężonych trudności politycznych. Bernard wyliczył szereg dalszych dobrodziejstw Bożych, o jakich cesarz nie może zapomnieć, by nie stać się niewdzięcznikiem. To właśnie wdzięczność każe wystąpić w charakterze obrońcy. Jeden jest Kościół święty: ten sam w Niemczech, co i w Palestynie – należy więc bronić go i zasłaniać ramieniem zbrojnym, do czego cesarz jest powołany z tytułu swej godności – nie tylko w granicach imperium, lecz gdziekolwiek wymagają tego interesy wiary świętej.



Jak przed laty książę Wilhelm Akwitański, tak podobnie Konrad III przeżył chwilę niesłychanego napięcia duchowego i wewnętrznego wstrząsu. Przerwał Bernardowi wołając: *Paratus sum! Paratus sum!* – Jestem gotów! Grzmiące okrzyki wiernych odpowiedziały na ową gotowość cesarza z największym wzruszeniem i entuzjazmem. Rycerze podnieśli miecze. W oczach zalśniły łzy. Bernard z Clairvaux przypiął do płaszcza monarchy wielki krzyż i podał mu chorągiew – znak wodzostwa wyprawy krzyżowej. Zabrzmiało potężne *Te Deum laudamus*.

W taki oto sposób Bernard wysyłał rycerstwo Francji i Niemiec na II wyprawę krzyżową. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, by dobrze ją przygotować. Odbył tyle podróży, wygłosił tyle mów, udzielił tylu rad. W całej rozciągłości włączył w to wielkie zamierzenie słowo kaznodziejskie. A mimo to wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Co prawda zdziesiątkowane przez muzułmanów wojska cesarza Konrada III i króla Ludwika VII dotarły do Jerozolimy, ale fatalna decyzja uderzenia na dobrze ufortyfikowany muzułmański Damaszek doprowadziła do ostatecznej klęski i konieczności odwrotu. Jedną z przyczyn nieudanej wyprawy była też ciągnąca za wojskiem druga armia zwyczajnych pątników, kobiet i dzieci, którzy chcieli zobaczyć Grób Chrystusowy. Wodzowie krucjaty, podobnie jak i sam Bernard, nie zdawali sobie sprawy z tego niebezpieczeństwa. Cały ogromny wysiłek poszedł na marne. Resztką zniechęconych, rozgoryczonych i zmęczonych do ostatka rycerzy wracały do ojczyzny. Głęboką żałobą okryła się Francja i Niemcy. Możemy sobie wyobrazić, co przeżywał wtenczas główny organizator krucjaty. Przeciwno Bernardowi zwróciły się teraz ciężkie oskarżenia. To przecież on, a nie kto inny, gorąco zachęcał do wyprawy. Gdzież są jego słowa? Gdzie obietnice? Gdzie należy szukać winnych tej straszliwej tragedii? W ciszy celi klasztornej opat przeżywał chwile niewymownego bólu, cierpienia i upokorzenia.

## Nowatorstwo kaznodziejskie Bernarda z Clairvaux

Nowatorstwo Bernarda w dziedzinie kaznodziejstwa polegało jeszcze na wyjściu z głoszeniem słowa Bożego poza mury świątyni. Oficjalne dokumenty Kościoła nie sprzyjały temu. Nie dowierzano bowiem prezenterom relikwii i obawiano się heretyków; jedni i drudzy przemawiali do tłumów poza kościołami. Herezję wietrzono także u tych, którzy nauczali potajemnie, podczas zebrań mniej lub bardziej sekretnych. Jednakże niezwykle napływ słuchaczy podczas zwoływania krucjaty zmusił kaznodziejów do wyjścia poza obręb świątyni.

W ten sposób przemawiał Bernard z Clairvaux w Vézelay do tysięcy rycerzy zebranych na wzgórzu wokół bazyliki św. Magdaleny. Aby wszyscy słyszeli, sięgnął po najstarszy sposób nagłośnienia. Co 100-150 metrów umieszczał ludzi, którzy donośnym głosem powtarzali jego słowa. Kolejną formą głoszenia Ewangelii w plenerze były – jak wspomniano wyżej – brzegi Renu. Przypominało to nieco nauczanie samego Chrystusa, gdyż Bernard nauczał z łodzi do tłumów zgromadzonych nad brzegiem.

Kaznodziejstwo w plenerze uprawiali dotąd jedynie kaznodzieje wędrowni. Bernard miał doskonały wzór tego rodzaju przepowiadania w działalności jednego z najśłynniejszych kaznodziejów jedenastowiecznej Francji – Roberta z Arbrissel († 1117); być może nawet go słuchał. Jego słowa zataczała szerokie kręgi, o czym świadczy choćby fakt, że papież Urban II przybył specjalnie do Angers, aby go posłuchać (1096). Porwany jego wymową nazwał go „kaznodzieją apostołskim” i pozwolił mu podjąć kaznodziejstwo wędrowne. Otoczony wielką rzeszą uczniów, mężczyzn i kobiet, niczym Orfeusz, wędrował z nimi przez lasy i pustkowia, aż dotarł do Fontevraud (Fontevrault), gdzie założył w 1101 roku wielki kompleks klasztorny.

Głoszenie słowa Bożego w plenerze pozwalało dotrzeć do słuchaczy, którzy nie przyszliby posłuchać kazania w kościele. Te względy sprawiły, iż słynni mówcy – wzorem Bernarda – od XIII do XV wieku, zwłaszcza franciszkanie i dominikanie, zaczęli nauczać poza świątynią w miejscach często uczęszczanych. Tę nadzwyczajną ambonę stawiano na rynkach miast, placach targowych, a nawet mostach. W ten sposób głosił często kazania Bertold z Ratzbony († 1272). Do tych wszystkich wymienionych miejsc głoszenia słowa Bożego doszło stopniowo jeszcze jedno wyjątkowe – przykościelny cmentarz. To nowe miejsce głoszenia kazań miało wiele zalet. Cmentarze posiadały często kaplice, mogły pomieścić tłum ludzi, a przede wszystkim oddziaływały swoją dodatkową scenerią na wyobraźnię człowieka. Średniowiecze odkryło bowiem potęgę tematu eschatologicznego w kazaniu i z predylekcją się nim posługiwało. Często też kazania te łączono z przedstawieniami teatralnymi mającymi lepiej uzmysłwić omawianą problematykę. W sztuce odbiciem tego będą malowidła przedstawiające taniec śmierci (*danses macabres*). Zresztą do dziś trudno znaleźć lepsze miejsce do poruszenia tematów przemijania i życia wiecznego niż cmentarz. Pozostałością tych doświadczeń są dzisiejsze procesje i kazania na cmentarzu w uroczystość Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny.

Podsumowując kaznodziejstwo Bernarda, zwłaszcza to kierowane do wielkich swoich czasów, należy zauważyć, iż atakował on z pasją i zwalczał bezlitośnie przeciwnika, aby ostatecznie zakończyć spór w pokoju i przyjaźni. Potrafił po mistrzowsku posługiwać się sztuką perswazji i stosować metody, które dla wielu wydawały się przykre, a nawet podstępne, ale umiał też porwać słuchaczy tym, co sam nazywał „błyskiem” znaków i cudów. Był ogniem, cudownym znakiem, a zarazem człowiekiem wielkiej szlachetności i miłości. Za życia nienawidziło i lękało się go wielu, a jednocześnie z pasją broniono go i podziwiano. Historycy znajdowali, i wciąż znajdują, w jego działalności powody do krytyki i oskarżeń, ale nikt nie odmawia mu kaznodziejskiego geniuszu.

św. Bernard z Clairvaux

## Kazanie 1: *O samym tytule Księgi Pieśni nad Pieśniami*

1. Do was, bracia, trzeba mówić o czym innym, albo przynajmniej w odmienny sposób niż do ludzi świeckich. Im bowiem mleko daje do picia, a nie pokarm stały (por. 1 Kor 3, 2) ten, który w swoim nauczaniu jest jak Apostoł. Święty Paweł bowiem uczy własnym przykładem, że duchowym należy przedstawiać rzeczy trudniejsze, mówiąc: „Głosimy to nie uczonymi słowami ludzkiej mądrości, lecz pouczeni przez Ducha, przedkładając duchowe sprawy tym, którzy są z Ducha”. Oraz: „Głosimy mądrość między doskonałymi” (1 Kor 2, 13; 2, 6) – a ufam, że tacy właśnie jesteście; chyba że na próżno zajmujecie się już od dawna sprawami nieba, na próżno ćwiczyacie umysł i rozważacie Prawo Pańskie dniem i nocą. Tak więc przygotujcie gardła nie na mleko, lecz na chleb. Jest chleb u Salomona, i to nadzwyczaj świeży i smaczny. Mówię o księdze, która nosi tytuł Pieśń nad Pieśniami. Jeśli się zgadzacie, to niechaj go wniosą i połamią.

2. Jeśli się nie mylę, z łaski Boga nauczyliście się już dobrze dzięki słowom Eklezjastesa rozpoznawać marność tego świata i gardzić nią. A co z Księgą Przysłów? Czyż nauka, która się tam znajduje, nie wpłynęła w znacznym stopniu na poprawę i ukształtowanie waszego życia i obyczajów? A zatem, skoro zakosztowaliście tamtych dwóch, które tak samo wydobyl dla was ze [swej] skrzyni przyjaciół (Łk 11, 5), zbliżcie się, by spróbować tego trzeciego chleba, a doświadczycie być może czegoś jeszcze mocniejszego. Istnieją dwa główne albo przynajmniej najpotężniejsze grzechy, które toczą walkę przeciwko duszy, a są to próżna miłość świata i nadmierna miłość siebie samego. Potrafią im się przeciwstawić dwie [wymienione wyżej] księgi – pierwsza ostrzem dyscypliny usuwa każdą nieprawość obyczajów i poskramia porywy ciała; druga dzięki światłu rozumu wychwytuje czujnie w każdej chwale tego świata obłudę marności i oddziela ją wyraźnie od jądra niezmiennej prawdy. Co więcej – ponad wszelkie ludzkie nauki i doczesne pragnienia wynosi bojaźń Bożą i przestrzeganie Jego przykazań. Słusznie zresztą. Bowiem ta pierwsza [cnota] stanowi początek drogi do prawdziwej mądrości; druga jest tej drogi kontynuacją, pod tym wszakże warunkiem, że prawdziwa i doskonała mądrość oznacza dla was unikanie zła i czynienie dobra. Nikt przecież nie może skutecznie wystrzegać się zła, jeśli nie lęka się Boga, ani też nikt nie zdoła dokonać żadnego dobrego dzieła, jeśli nie przestrzega przykazań.

3. Kiedy więc pokona się już te dwa grzechy za pomocą owych dwu ksiąg, wtedy godzi się przystąpić do lektury tego świętego i natchnionego dzieła. Jako że jest ono owocem obydwu [wyżej wymienionych], należy się w nie zagłębiać z najwyższą uwagą i czujnością. A zatem niegodnie do świętej lektury przystępują ci, którzy nie ujarzmili [wcześniej] ciała poprzez wytrwałe wysiłki oraz naukę i nie podporządkowali go duchowi. Powinni także wpierv wzgardzić nużącym przepychem tego świata. Podobnie jak światło na próżno dotyka ślepych, zamkniętych oczu, tak „człowiek zmysłowy nie pojmuje tego, co jest z Bożego Ducha” (1 Kor 2, 14). Zwłaszcza że „Święty Duch karności ujdzie przed obłudą” (Mdr 1, 5), którą jest życie niewstrzemięzliwe. I nie będzie miał nigdy nic wspólnego z marnością tego świata, ponieważ jest Duchem prawdy (J 14, 17). Cóż bowiem ma wspólnego ten, który stoi ponad mądrością, z mądrością tego świata, która jest głupstwem u Boga (1 Kor 3, 19), albo z mądrością ciała, która sama w sobie nieprzyjaciółką

jest Boga (Rz 8, 7)? Myślę, że przyjaciel, który do nas przybył, już nie będzie miał powodu przeciw nam szemrać, gdy spożyje również ten trzeci chleb<sup>1</sup>.

4. Lecz któż go połamie? Obecny jest ojciec rodziny. Rozpoznajecie Pana przy łamaniu chleba. Któż inny bowiem potrafi lepiej to uczynić? W żadnym razie nie jestem skłonny sobie bezpodstawnie tego przypisywać. Nie patrzcie na mnie tak, jakbyście tego ode mnie oczekiwali. Bowiem i ja jestem jednym z oczekujących, sam zebrzę wraz z wami o pokarm dla mej duszy i pożywkę dla ducha. Sam w rzeczywistości biedny i ubogi, [pochylając się] nad tajemniczą głębią tej księgi, kołaczę do tego, który drzwi otwiera i nikt już ich nie zamknie (Ap 3, 20; 3, 7). Ocy wszystkich zwracają się ku Tobie z nadzieją, Panie. Maluczcy prosili o chleb, a nie ma nikogo, kto by im go połamał. Mamy nadzieję, że Ty to uczynisz w swojej łaskawości. O najświętszy, połam Twój chleb dla łaknących, moimi rękoma – jeśli uznasz je za godne – lecz Twoimi siłami.

5. Proszę, powiedz nam, przez kogo, o kim i do kogo powiedziane zostało: „Niechaj mnie pocałuje pocałunkiem ust swoich?” (Pnp 1, 1). Skąd wzięło się tak nagle i gwałtowne rozpoczęcie księgi? Autor bowiem rozpoczyna ją bez uprzedzenia, tak jakby już wcześniej wprowadził pierwszego rozmówcę; to jemu odpowiada ta nieznaną kobietą, która domaga się pocałunku. A z kolei ona, jeśli żąda lub spodziewa się od kogoś pocałunku, dlaczego mówi wyraźnie o pocałunku ust, i to „ust swoich”, tak jakby całujący podawali [do pocałunku] co innego niż usta, albo też cudze usta? Tak, że nawet nie mówi: „Niechaj mnie pocałuje swymi ustami”, ale inaczej, w sposób niespotykany: „Niechaj mnie pocałuje pocałunkiem ust swoich”. Doprawdy, wdzięczna to księga, która rozpoczyna się od pocałunku, a tak miła postać Pisma skutecznie zachęca i ńęci do lektury tak, że miło jest dociekać nawet z wysiłkiem tajemnic, które się w nim kryją, a trud poszukiwań nie nuży być może tak bardzo, gdy łagodzi go słodycz pięknej formy. Kogóż nie skłoni do najwyższej czujności taki wstęp bez wstępu oraz nowatorski styl w prastarej księdze? Wynika z tego jasno, że to dzieło nie mocą ludzkiego umysłu, ale za sprawą Ducha Świętego tak zostało skomponowane, że choć trudno je zrozumieć, to jednak miło jest je rozważać.

6. Lecz cóż – czy pominiemy tytuł? Nie wolno opuścić ani joty (Mt 5, 18), skoro nakazano nam pozbierać nawet ułamki, aby nic nie zginęło (J 6, 12). Tytuł brzmi tak: „Rozpoczyna się Księga Pieśni nad Pieśniami Salomona”. Zwróćcie uwagę przede wszystkim na to, że imię Czyniącego Pokój, to jest Salomona, dobrze współgra z początkiem księgi, która rozpoczyna się od znaku pokoju – od pocałunku; a równocześnie zauważcie, że dzięki takiemu rozpoczęciu tylko pokojowo nastawione umysły zapraszane są do zrozumienia tego pisma, i to takie, które już zdołały uwolnić się od grzesznych namiętności i burzliwych niepokojów.

7. Dlatego też nie sądzicie, że nazwano ją bez przyczyny Pieśnią nad Pieśniami, a nie po prostu Pieśnią. Czytałem przecież wiele pieśni zawartych w Piśmie Świętym, a nie pamiętam, żeby którakolwiek z nich nosiła taką nazwę. Izrael zaśpiewał Panu pieśń, gdyż wytrącił On faraonowi miecz [z ręki] i pozbawił go zaprzęgu, gdy w cudowny sposób przeprowadził lud przez rozdzielone wody morza i uwolnił z niewoli. A jednak to, co zaśpiewał lud, nie nazywa się „Pieśń nad Pieśniami”, lecz

<sup>1</sup> Zdaniem J. Leclercq’a, *Les sermons sur le Cantique des Cantiques – ont-ils été prononcés?*, [w:] *Recueil d’études sur saint Bernard et ses écrits*, t. 1, Roma 1962, jest to aluzja do Bernarda z Porto, który już wcześniej zachęcał Bernarda z Clairvaux do rozpoczęcia pracy nad egzegezą *Pieśni nad Pieśniami*.

– jeśli dobrze pamiętam – „Pieśń Izraela ku czci Pana” (Wj 15, 1). Śpiewała także Debora (Sdz 5, 1) i Judyta (Jdt 16, 1); śpiewała matka Samuela (1 Krl 2, 1). Niektórzy prorocy także śpiewali, ale nie słyszałem, żeby któryś z nich nazwał swoją pieśń „Pieśnią nad Pieśniami”. W zasadzie po chwili zastanowienia stwierdzicie z pewnością, że wszyscy oni śpiewali dla jakiegoś pożytku własnego lub tych, którzy ich otaczali: na przykład, aby wyprosić zwycięstwo czy ocalenie w niebezpieczeństwie, albo też gdy otrzymali jakieś upragnione dobrodziejstwo. Tak więc zazwyczaj każdy śpiewał w swojej sprawie, aby okazać wdzięczność za Bożą dobroć, podobnie jak zostało to napisane: „Będzie Cię słał, gdy mu wyświadczysz łaskę” (Ps 49 [48], 19). Lecz jak wiadomo, król Salomon – człowiek, który posiadał wyjątkową mądrość, szeroko brzmiącą sławę, bogactwa, bezpieczeństwo i pokój, nie potrzebował żadnej z tych rzeczy i nie dlatego chciał śpiewać, by je osiągnąć. Nie wydaje mi się też, by samo Pismo dawało coś takiego do zrozumienia. Tak więc Salomon natchniony przez Boga opiewał łaskę miłości Chrystusa i Kościoła oraz misterium [ich] wieczystych zaślubin, dając przez to wyraz pragnieniom czystej duszy. Przepełniony radością ułożył pieśń weselną pięknie brzmiącą, a jednak nie pozbawioną ukrytego sensu przenośnego. Zasłonił przy tym swą twarz, gdyż bez wątpienia nie mniej wtedy jaśniała niż oblicze Mojżesza (Wj 3, 16). W owych czasach bowiem nie było nikogo, lub niemal nikogo, kto potrafiłby z odkrytą twarzą rozważać tę chwalebłą tajemnicę. Tak więc sądzę, że pieśń ta obdarzona takim właśnie tytułem ze względu na swą doskonałość, słusznie otrzymała niezwykły tytuł – „Pieśń nad Pieśniami”, podobnie jak ten, do którego jest skierowana, nosi wyjątkowe miano – Król królów i Pan panów (1 Tm 6, 15).

9. Wspomnijcie na własne doświadczenia – czy i wy, gdy wiara wasza osiągnęła zwycięstwo nad światem i wydostaliście się z jeziora łez, ze smutku żałoby, nie śpiewaliście Panu pieśni nowej, gdyż uczynił cuda? A gdy sprawił, że stopy wasze stanęły [pewnie] na skale i pokierował waszymi krokami, gdy otrzymaliście nowe życie – sądzę, że również wtedy na waszych ustach znalazła się pieśń nowa, pieśń dla naszego Boga. Gdy ukorzyliście się, nie tylko przebaczył wam winy, ale i obiecał nagrodę. Czy wtedy, radując się nadzieją przyszłych dóbr, tym bardziej nie śpiewaliście Panu na drogach, ponieważ wielka jest Jego chwała? Kiedy zaś staje się dla was jasny fragment Pisma Świętego, który do tej pory był ciemny i niezrozumiały, wtedy z pewnością godzi się, by uszu Pana dosięgnął głos uczującego, który wywyższa Go i wychwala za otrzymaną łaskę spożywania niebiańskiego chleba. Również w codziennych potyczkach staczanych z ciałem, światem oraz szatanem, i w próbach, których nie brak w każdej godzinie życia pobożnego sługi Chrystusa, gdyż życie człowieka podobne jest wojnie (Hi 7, 1), raz po raz przekonujecie się, że trzeba codziennie od nowa układać pieśń w podzięce za osiągnięte zwycięstwa. Jakże ma nie rozbrzmiewać, wedle słów Proroka, dziękczynienie i głos chwały (Iz 51, 3), ilekroć uda się przezwyciężyć pokusę albo powściągnąć złe skłonności, albo uniknąć grożącego niebezpieczeństwa czy uprzedzić zakusy wroga? Podobnie gdy jakaś zakorzeniona i zastarzała namiętność duszy raz i na zawsze zostaje uzdrowiona, czy też gdy dzięki łasce Boga osiągniemy upragnioną cnotę, o którą wielokrotnie się modliliśmy – jak wtedy nie błogosławić Bogu za te Jego dary przy każdym otrzymanym dobrodziejstwie? Inaczej zostanie okrzyknięty niewdzięcznym w dzień sądu ten, kto nie będzie mógł powiedzieć: „Twoje ustawy stały się dla mnie pieśniami na miejscu mego pielgrzymowania” (Ps 119 [118], 54).

10. Myślę, że wy sami znacie już dobrze to, co w psalterzu nazywane jest nie „Pieśnią nad Pieśniami”, ale „Pieśniami Stopni”. Przecież każdy z was, w zależności od tego, jakich uniesień dostąpił w swym sercu, musi wydobyć [stamtąd] inną pieśń dla chwały Pana, który to sprawił. Nie wiem,

jak inaczej mogłaby się [zrealizować prawda głoszona przez] werset: „Okrzyki radości i wybawienia w namiotach ludzi sprawiedliwych” (Ps 118, 15), albo jak inaczej można odpowiedzieć na taką oto przepiękną i słuszną zachętę Apostoła: „przemawiajcie do siebie wzajemnie w psalmach i hymnach i pieśniach pełnych ducha, śpiewając i wysławiając Pana w waszych sercach” (Ef 5, 19).

11. Lecz istnieje pieśń, która swą wyjątkową szlachetnością i wdziękiem znacznie przewyższa te, o których wspomnieliśmy oraz wszystkie pozostałe: i słusznie nazywa się ją „Pieśnią nad Pieśniami”, ponieważ jest ona owocem wszystkich innych. Jedynie namaszczenie Ducha uczy takiej pieśni, przyswaja się ją jedynie przez zetknięcie z nią. Ci, którzy tego doświadczyli, niechaj to sobie przypomną, ci, którzy nie doświadczyli, niech zapłoną pragnieniem nie tyle poznania, co zakosztowania jej; nie jest ona bowiem głosem [wydobywającym się z] ust, ale radością serca, nie dźwiękiem warg, ale radosnym poruszeniem; harmonią nie tonów, lecz pragnień. Nie słyhać jej na zewnątrz i nie brzmi wśród pospólstwa: tylko ta, która śpiewa, słyszy – i ten, któremu ona śpiewa, to jest oblubieniec i oblubienica. Jest to pieśń prawdziwie weselna, która opowiada o czystych i rozkosznych uściskach dusz, o zgodności obyczajów i przymierzu uczuć we wzajemnej miłości.

12. Nie powinna jej śpiewać ani słuchać dusza młoda i niedojrzała w wierze, która dopiero co odwróciła się od tego świata, lecz taka, która jest już nieco starsza i wyćwiczona w mądrości; z łaski Boga dorosła już na tyle, by osiągnąć wiek stosowny do małżeństwa, nie jeśli chodzi o przeżyte lata, ale pod względem zasług. Jaka zaś powinna być dusza odpowiednia do niebiańskich zaślubin z Oblubieńcem, opiszemy dokładniej w swoim czasie. Lecz nadchodzi pora, kiedy ubóstwo i przepisy Reguły nakazują nam rozejść się do pracy rąk. Jutro, w imię Pana, kontynuować będziemy to, cośmy zaczęli mówić na temat pocałunku, dzisiejsze zaś kazanie wyjaśniło nam tytuł [omawianej] księgi.

Cytat za: św. Bernard z Clairvaux, Kazanie pierwsze: *O samym tytule Księgi Pieśni nad Pieśniami*, przekład A. Haberko, „Terminus” 1 (2002), s. 193-199.





Święty Antoni z Padwy OFM  
(1195-1231)



# Nauczyciel Ewangelii

Wiekii XII i XIII to szczytowy okres średniowiecznego chrześcijaństwa, jego „południe”, jak powie wybitny mediewista Leopold Génicot. Na zachodzie Europy była to epoka klasztorów i gotyckich katedr powstających z cudu skrzyżowania ostrołuków, jak Saint-Denis pod Paryżem, w szalony sposób pomyślana i mądrze wykonana. W ogromnych, gotyckich świątyniach człowiek miał znaleźć w formie wizualnej swoje przeznaczenie, skrót swojej wiedzy o Bogu i o świecie, przykłady świętych bohaterów i ostrzeżenie przed duchowymi niebezpieczeństwami. Katedra, ta „Biblia w kamieniu”, była też po trosze „kazaniem w kamieniu”; wspierała lub uzupełniała kaznodziejów, opowiadając na nowo wiele z głoszonych w niej kazań.

## Nowe kaznodziejstwo

W pełnym średniowieczu dokonuje się epokowa zmiana w kaznodziejstwie. Następuje bowiem przejście z języka łacińskiego na języki narodowe i z kazań dla inteligencji na kazania do całego ludu. Odnowie przepowiadania towarzyszyło ożywienie życia sakramentalnego, szczególnie zalecana przez sobór laterański IV praktyka sakramentu pokuty. Reforma soboru miała się szybko spełnić w sposób szczególny przez apostoła Biedaczyny z Asyżu, którego papież Innocenty III widział we śnie jako tego, który swymi słabymi ramionami podtrzymuje upadającą bazylikę na Lateranie.

W łonie Kościoła mnożyli się bowiem heretycy. Lekarstwo na bolączki tych czasów widziano w kaznodziejstwie. Stąd to św. Dominik założył Zakon Kaznodziejski, by przeciwdziałać waldensom i katarom. Franciszkanie w pierwszym okresie swojej działalności kaznodziejskiej, jeszcze za życia św. Franciszka, posiadali pozwolenie na nauczanie *per modum exhortationis*, czyli na głoszenie prostych nauk z zakresu pokuty; nauczanie doktrynalne było zastrzeżone wykształconym teologom.

Św. Franciszek z Asyżu jako pierwszy ze wszystkich prawodawców życia zakonnego dał swym braciom w *Regule* nakaz przepowiadania ewangelicznego. Wyprawiał ich na tysiące dróg świata chrześcijańskiego i misyjnego, by głosili pokutę, pokój i przebaczenie słowem prostym i serdecznym, popartym przykładem świętego życia. Popularne i przystępne kaznodziejstwo franciszkańskie, wolne od skrepowań zasadami *artis praedicandi* i całego aparatu scholastycznej argumentacji, zyskiwało na znaczeniu. Miało ono na celu przede wszystkim poruszyć wolę i uczucia; nie tyle dowodzić i argumentować, ile pociągać do pokuty i poprawy życia. Na wielu średniowiecznych miniaturach można oglądać ten związek: na pierwszym planie kaznodzieja głosi słowo Boże, w dali inny spowiada tak przygotowanych penitentów. Środkiem do osiągnięcia tych

założeń były rozmaite elementy narracyjne w postaci legend z życia świętych, przykłady z życia codziennego ludzi, z historii, z życia zwierząt i świata natury. Treść kazania przetkana dużą ilością motywów narracyjnych budziła większe zainteresowanie słuchaczy, niż trudne kazania doktrynalne.

W przechodzeniu z kaznodziejstwa czysto pokutnego na bardziej teologiczne w zakonie minorytów znamienitą rolę odegrał św. Antoni z Padwy.

### Portugalczyk włoskim świętym

Antoni urodził się około roku 1195 w Lizbonie. Jego rodzice, Maria i Marcin, nadali mu na chrzcie świętym imię Fernando. Chłopiec uczęszczał prawdopodobnie do szkoły przykatedralnej w Lizbonie. Tam też w młodym wieku wstąpił do Zakonu Kanoników Regularnych św. Augustyna. Około 1211 roku przeniósł się do klasztoru w Coimbrze, gdzie uzupełniał swe wykształcenie, studiując zwłaszcza Pismo Święte i dzieła ojców Kościoła. Około roku 1219 otrzymał święcenia kapłańskie.

W roku 1220, gdy usłyszał o bohaterstwie pierwszych męczenników franciszkańskich, postanowił przyłączyć się do braci mniejszych. Już jako franciszkanin osiadł w Olivarez przy tamtejszym kościółku pod wezwaniem św. Antoniego Pustelnika. Wtedy poprosił przełożonych o zmianę imienia z Fernando na Antoni.

Zgodnie ze swoim pragnieniem został wysłany na misje do Maroka. Poważna choroba zmusiła go jednak do powrotu. W 1221 roku udał się na kapitułę generalną do Asyżu, skąd prowincjał Gracjan wysłał go do Monte Paolo koło Forli. Antoni prowadził tam pustelniczy tryb życia. W sierpniu 1223 roku Antoni wygłosił pierwsze kazanie. W następnym roku miał prawdopodobnie zostać lektorem teologii w Bolonii, gdzie powstało pierwsze zakonne studium generalne. Został jednak kaznodzieją wędrownym. W latach 1224-1225 przeciwdziałając albigensom głosił kazania we Francji: w Montpellier, Arles, Tuluzie, Limoges i Bourges; w Le Puy pełnił obowiązki gwardiana, w Limoges sprawował urząd kustosa; był także prowincjałem Romanioli. W latach 1221-1230 głosił kazania w północnych Włoszech i organizował akcje charytatywne.

Najlepiej udokumentowanym okresem życia Antoniego jest czas, który spędził w Padwie. Pracował tam jako kaznodzieja. Do historii przeszły zwłaszcza jego kazania wygłoszone w tym mieście w Wielkim Poście w 1231 roku. Gromadziły się wokół niego ogromne tłumy ludzi, którzy pragnęli gruntownej przemiany swego życia. Antoni piętnował w kazaniach między innymi takie grzechy, jak lichwa i więzienie dłużników, którzy nie byli w stanie zwrócić pożyczonych pieniędzy. Jemu zawdzięcza się ustawę, według której dłużnik stosownie do prawa kościelnego obciążony jest długami tylko na majątku, a nie na osobie. W ten sposób duchowny złagodził niesprawiedliwość ówczesnego prawa, za co liczni biedacy byli mu szczególnie wdzięczni. Antoni starał się również doprowadzić do zakończenia trwających wówczas walk między gwelfami a gibelinami. W tym celu

osobiście jeździł do Werony. Wycieńczony pracą zmarł 13 czerwca 1231 roku. W niespełna rok później – 30 maja 1232 roku – został w Spoleto kanonizowany przez papieża Grzegorza IX. Uznanie, jakim cieszył się w ciągu wieków Antoni z Padwy jako mistrz życia wewnętrznego sprawiło, iż papież Pius XII ogłosił go w 1946 roku doktorem Kościoła (*Doctor evangelicus*).

Od XIII wieku uważa się Antoniego za „świętego od cudów”. Powszechnie jest czczony jako orędownik przy poszukiwaniu rzeczy zagubionych. Pod koniec XIX wieku rozpowszechnił się zainicjowany w 1886 roku w Tuluzie zwyczaj «chleba św. Antoniego» jako jałmużny dla ubogich, składanej jednocześnie ku czci Świętego dla uzyskania jego wstawiennictwa.

Zdumiewa i zastanawia popularność św. Antoniego, jaką cieszy się do dziś w całym świecie, a w szczególności we Włoszech i mieście, z którym związane zostało jego imię – Padwie. Jako obcokrajowiec w Italii i we Francji nie mógł urzekać językiem, stylem. Działał natomiast swoją osobą, świętością życia. Słuchacze uważali go za proroka; szła za nim sława charyzmatyka i cudotwórcy, co tak wiele znaczyło dla ludzi średniowiecza.

## Kaznodzieja wędrowny

Antoni pragnął głosić Ewangelię w Afryce. Udał się nawet do Maroka, nie potrafił jednak znieść tamtejszego klimatu i zachorował. Po powrocie trafił do środkowych Włoch. Tam dopiero jego przełożeni zorientowali się, że Antoni jest wybitnym kaznodzieją. Natychmiast więc skierowano go do pracy duszpasterskiej w północnej Italii, a potem we Francji. Głosząc słowo Boże, miał zwalczać mnożące się wówczas błędne poglądy teologiczne.

Ostatecznie Antoni znalazł swoje prawdziwe powołanie: został w **ę d r o w n y m k a z n o d z i e j ą**. Zapatrzony w najwspanialszy wzór Boskiego Kaznodziei, starał się czynić podobnie. Jezus bowiem w rzeczy samej był wędrownym kaznodzieją i jako taki od świtu do późnego wieczoru służył człowiekowi przez swoje słowo i czyny. Nie czekał, aż ten przyjdzie do Niego. Wychodził mu na przeciw. Szukał go w synagogach i w świątyni, w domach i warsztatach pracy, na polach i nad jeziorem. W swojej trosce o człowieka Jezus spotykał się z faryzeuszami i ludźmi, którzy byli społecznie napiętnowani (celnicy, jawnogrzesznicy...). Był wierny słowom, które odnotował ewangelista św. Marek: „Pójdźmy gdzie indziej do sąsiednich miejscowości, abym i tam mógł nauczać, bo na to wyszedłem. I chodził po całej Galilei, nauczając w ich synagogach i wyrzucając złe duchy” (Mk 1, 38-39). Jakkolwiek apostołska działalność Antoniego jest słabo udokumentowana, przypadała ona z pewnością na trzecie dziesięciolecie trzynastego wieku. Różnił się on w postudze kaznodziejskiej od swoich współbraci franciszkanów. Przewyższał ich znacznie wykształceniem. Do swego zakonu wprowadził system teologiczny św. Augustyna. Dzięki Antoniemu kaznodziejstwo franciszkańskie przeżyło doniosły zwrot. Nie było już tylko

prostym napominaniem do życia cnotliwego. Antoni potrafił głosić Ewangelię, ponieważ przez całe lata studiował Pismo Święte. Był utalentowanym mówcą; skutecznie głosząc ludowi Dobrą Nowinę pociągał za sobą wielu.

Służba Boża ograniczała się wówczas tylko do mszy świętej i jedynie w Wielkim Poście albo w wielkie święta głosiło się kazania. Antoni docenił rangę kazania i dlatego zasługi tego franciszkańskiego kaznodziei trzeba oceniać podwójnie. Nieprzypadkowo atrybutem Antoniego oprócz lilii, książki i serca jest także płomień. Kazanie pojęte jako wydarzenie jest kluczem do głębszego zrozumienia znaczenia Antoniego. On właśnie odkrył na nowo dynamikę słów.

Naturalnie nie wszyscy słuchacze byli mu od razu przychylni, gdyż kazania jego były zbyt ostre, a słuchacze zbyt zatwardziali. Człowiek nie porzuca chętnie swego wygodnego często życia. Antoni występował z całych sił przeciw rozleniwieniu ludzkich serc i nie zniechęcał się żadnymi odmowami. Nieustrudzenie rozbrzmiewały jego energiczne słowa. Nie operował on czystą retoryką, moc jego kazań wypływała z pokładów o wiele głębszych.

Antoni umiał swoje kazania przedstawiać obrazowo. Wiedząc, iż kazania abstrakcyjne nie dotrą do słuchacza łączył swoje nauczanie z typową dla franciszkanów *actio*. Dobrze obrazuje to legenda o kazaniu na pogrzebie pewnego lichwiarza. Na myśl przewodnią mowy żałobnej Antoni wybrał tekst: „Gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje” (Mt 6, 21). Przepelniony miłością do prawdy, powiedział: „Ten oto zmarły ukochał nie Boga, ale pieniądze. Serca też nie miał w piersi, lecz w skrzyni z pieniędzmi”. Krewni, przerażeni tymi słowami otwarli kufer z pieniędzmi i stwierdzili ze zdziwieniem, że serce nieboszczyka leży w środku. Z pewnością Antoni nie brał swoich wywodów dosłownie, ale sens legendy artystycznie przedstawionej w witrażu w kaplicy św. Antoniego w dolnym kościele św. Franciszka w Asyżu jest prawdziwy i stale aktualny. Według niej pieniądź czyni człowieka zimnym i bez serca.

### Walka z herezją katarską: nawracał słowem, a nie mieczem!

Antoni rozwinął wielką działalność kaznodziejską w okolicy Rimini. Katarzy, z którymi przyszło mu walczyć, nie mieli najmniejszej ochoty słuchać jego kazań. Od czasów arianizmu świat chrześcijański nie przeżył tak poważnego kryzysu jak herezja katarów. Zbyt często zapomina się, że wprowadzenie inkwizycji było odpowiedzią na niezwykle niebezpieczną sytuację: herezja katarów niczym rak toczyła Europę średniowieczną.

Ów neomanichejski ruch, który swymi korzeniami sięga X wieku, rozwinął się wraz z ożywieniem kontaktów ze Wschodem, tak iż w początkach XIII wieku powstał Kościół heretycki. Jego doktryna jest prosta, a raczej uproszczona: Bóg nie stworzył świata materialnego; jest on dziełem boga zła. Wszystko, co wiąże duszę z materią, jest złem. Zakwestionowana została rzeczywistość sakramentalna Kościoła. Zdaniem katarów małżeństwo jest źródłem zła, a Ko-



ściół widzialny przejawem szatana. Kataryzm był elitarny: tylko część wiernych, „doskonali”, realizowali ideał całkowitego uniezależnienia się od materii; pozostali musieli się pocieszyć nadzieją, że otrzymają od nich *consolamentum* (coś w rodzaju bierzmowania) w godzinie śmierci. Niebezpieczeństwo katarskie nie jest mitem, a o silnym zakorzenieniu się herezji świadczy bierny lub gwałtowny opór, na jaki natrafiali inkwizytorzy mimo pomocy władz świeckich, a niekiedy i poparcia ludności.

W ciągu kilku lat Kościół utworzył cały arsenał prawny i wyposażył się w instrument represyjny nieznany dotąd w świecie chrześcijańskim: komisje nadzwyczajne, działające wyłącznie na podstawie mandatu papieskiego i zastępujące wszelkie inne władze kościelne, pozywające duchownych i świeckich i sądzące nawet zmarłych. Powszechnie było stosowanie kary śmierci, zawieszenie wszelkich gwarancji prawnych, posługiwanie się przy przesłuchaniach torturami, objęcie hańbiącymi karami dzieci itp. Konieczność pilnego działania, wpływ prawa rzymskiego z jego pojęciem obrazy majestatu, swoiste współzawodnictwo pomiędzy papieżem a władcami świeckimi mogą wyjaśniać brutalność reakcji, ale jej nie usprawiedliwiają.

Zresztą hierarchia kościelna szybko zrozumiała, iż jest to błędny krok. Nie czekając na ostateczne wytepienie herezji, papieże zmniejszyli naciski na inkwizycję, odwołując tych jej przedstawicieli, którzy chcieli nadal prowadzić walkę przy użyciu wszelkich środków. Stopniowo dochodzenia w sprawie występków przeciw wierze i karanie winnych powróciły do ram prawodawstwa kościelnego. Biskup diecezjalny, odpowiedzialny za wiarę w swej diecezji, odnalazł swe miejsce w instancjach inkwizycji, zaczęto znów uznawać prawo do obrony, wprowadzono okres oczekiwania, w czasie którego heretycy, wyrażający zgodę na podporządkowanie się po wysłuchaniu nauk na temat doktryny katolickiej, nie byli pozywani przed sąd, kara śmierci została zastrzeżona dla recydywistów. We wszystkich innych przypadkach stosowano różne kary, jak odbycie pielgrzymki, odmawianie modlitw, noszenie oznak niesławny, czasowa lub dożywotnia kara więzienia. Przypominano także o tym, że herezja tylko wówczas winna być ścigana, jeżeli była agresywna i publiczna.

W tym kontekście lepiej rozumiemy sytuację, w jakiej znalazł się Antoni. Katarzy, z którymi przyszło mu walczyć, najchętniej przepędziliby natrętnego kaznodzieję, nie żałując mu kijów jak zrobili już wcześniej z jednym z biskupów. Praca nie była więc łatwa. Warto o tym pamiętać, aby nie wyobrażać sobie, że Antoni odnosił same tylko zwycięstwa. Podobnie było w Rimini. Antoni przeszedł przez miasto. Nie znajdując chętnych słuchaczy powziął pewną myśl. Otóż skierował się ku morzu. Rimini ma piękną plażę, która dzisiaj tak cieszy turystów. Wtedy posłużyła za miejsce niezwykłego kazania. Utrwała je opowieść znajdująca się w *Kwiatkach św. Franciszka* (rozdz. 40): „Otóż kiedy święty Antoni bawił raz w Rimini, gdzie było wielkie mnóstwo heretyków, chcąc ich nawrócić do światła prawdziwej wiary i na drogę cnoty, kazał

do nich przez dni wiele i rozprawiał o wierze Chrystusa i o Piśmie Świętym. Atoli, kiedy oni nie tylko nie godzili się na święte słowa jego, lecz zatwardziali i oporni nawet go słuchać nie chcieli, poszedł święty Antoni dnia pewnego, z Bożego natchnienia, na brzeg rzeki, nie opodał morza, i stojąc na brzegu między morzem a rzeką jał przemawiać sposobem kazania do ryb w imię Boże: «Słuchajcie słowa Bożego, ryby morskie i rzeczne, bowiem heretycy niewierni nie chcą go słuchać». Kiedy to rzekł, przyplłynęło doń nagle do brzegu takie mnóstwo ryb wielkich, małych i średnich, że nigdy, ani w morzu, ani w rzece, nie widziano takiej ilości. A wszystkie dzierżyły głowy ponad wodą, patrzyły uważnie w twarz świętego Antoniego, w największym spokoju, łagodności i porządku. Z przodu i bliżej brzegu zajęły miejsce rybki mniejsze, a za nimi ryby średnie, a w tyle dopiero, gdzie woda głębsza była, ryby wielkie.

Kiedy więc ryby uszeregowały się w takim porządku i następstwie, święty Antoni zaczął głosić uroczyście i rzekł: «Siostry moje, ryby, jesteście wielce obowiązane, wedle możności waszej, dziękować Stwórcy naszemu, że dał wam żywioł tak szlachetny na mieszkanie wasze. Albowiem, wedle upodobania, macie wody słodkie i słone. I dał wam wiele kryjówek dla ochrony przed burzami. Dał wam też żywioł czysty i przejrzysty, i pokarm, którym żyć możecie. Bóg, Stwórca wasz uprzejmy i dobrotliwy, stworzywszy was, przykazał wam rósć i mnożyć się, i udzielił wam błogosławieństwa swego. Potem, kiedy potop nastąpił powszechny, kiedy wszystkie inne zwierzęta zginęły, was tylko ustrzegł Bóg od szkody. Nadto dał wam płetwy, byście pływać mogły, gdzie wam się podoba. Dane wam było, z rozkazu Bożego, ocalić proroka Jonasza, a potem, trzeciego dnia, zdrowego i całego na brzeg wyrzucić. Wyście przyniosły grosz czynszowy Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, który ubogi będąc nie miał czym płacić. Wyście pokarmem były króla wiecznego, Jezusa Chrystusa, przed zmartwychwstaniem i po nim, moc tajemnicy osobliwej. Za to winnyście wszystkie bardzo chwalić i błogosławić Boga, który wam tyle wyświadczył dobrodziejstw, więcej niż innym stworzeniom». Podczas tych i tym podobnych słów i nauk świętego Antoniego zaczęły ryby otwierać pyszczki i pochylać głowy, chwalać Boga tymi i innymi czci oznakami, wedle swojej możliwości.

Wówczas święty Antoni, widząc taką cześć ryb dla Boga, Stworzyciela swego, rozradował się w duchu i rzekł głosem wielkim: «Błogosławiony Bóg wieczny, gdyż bardziej Go czczą ryby wodne niż ludzie heretycy. I pilniej słuchają słowa Jego nierozumne zwierzęta niż ludzie niewierni». A im dłużej święty Antoni przemawiał, tym bardziej rosło ryb mnóstwo, a żadna nie ruszyła się z miejsca, które zajęła.

Na ten widok zaczęła zbierać się ludność miasta, a wśród innych przybyli też wspomniani heretycy. Skoro ujrzeli cud tak przedziwny i jawny, skruszeni w sercu swoim, padli do nóg świętego Antoniego, by słuchać słowa jego. Wówczas święty Antoni zaczął głosić o wierze katolickiej i kazał tak szlachetnie, że nawrócił wszystkich heretyków. I wrócili do prawdziwej wiary Chrystuso-

wej. Kiedy się to stało, uwolnił święty Antoni ryby błogosławieństwem Bożym. I wszystkie oddaliły się wśród przedziwnych ruchów radości, tak samo i lud.

Potem bawił święty Antoni w Rimini dni wiele i głosił kazania, i zebrał wielkie żniwo dusz”<sup>2</sup>.

Byłoby nieporozumieniem widzieć w tej opowieści jedynie imitację Franciszkowego kazania do ptaków. Inna jest tu motywacja. Historia ta ukazuje najpierw stosunek Antoniego do niemego stworzenia. Już Franciszek pozostawał z naturą w wewnętrznej zażyłości. Przemawiał do niej jak do siostr i braci. Ta piękna cecha franciszkanizmu wraz z ubóstwem i pokorą jest typową dla tej społeczności zakonnej. Franciszkańska miłość do natury nie ma nic wspólnego ani z marzycielstwem, ani z panteizmem, ponieważ w istotach żyjących widzi dzieło stwórcze Boga. Z kazania Antoniego do ryb wypływa następujący wniosek: ponieważ heretycy odrzucili kazania Antoniego i nie chcieli go słuchać, zwrócił się do zwierząt. Kazanie Antoniego do ryb jest przy całej swej poetyckiej piękności oskarżeniem ludzi z powodu zatwardziałości ich serc. Nie można też tego wyrzutu nie słyszeć, mówiąc ze wzruszeniem ramion: „Ależ to tylko legenda i dlatego wszystko nieprawda”. Legenda ta streszcza w jednym obrazie działalność Antoniego wśród heretyków i sygnalizuje myśl zawsze ważną.

Antoni w swoich dysputach z heretykami zrezygnował z użycia wszelkiej siły. Nie wzywał do chwycenia za broń i nie uczestniczył w krwawym dramacie albigenów we Francji. Pozostał zawsze wierny słowu Bożemu i zaufał mocy chrześcijańskiego przepowiadania, którym starał się pokonać od wewnątrz innowierców. W ten sposób kroczył drogą jedynie właściwą, drogą chrześcijańską, która tak wtedy jak i dziś nie straciła nic z prawdziwości. W tym samym czasie inni – cystersi i franciszkanie – nawoływali do walki zbrojnej z heretykami.

## Mistrz alegorii

Antoni jako dziecko swej epoki używał, a często również nadużywał w kazaniach alegorii i porównań. Lecz także w tej właściwej średniowieczu formie przemawiania wykazał swą nieprzeciętność. Dzięki alegorii widział on to, co wieczne w rzeczach doczesnych, ducha w materii. A ponieważ nie brakowało mu bogatej wyobraźni artysty, piękne w istocie porównanie przewyższa symbol przytaczany.

Przykładowo w kazaniu na oktawę Wielkanocy Antoni nawiązuje alegorycznie do widzenia św. Piotra Apostoła w Joppie (Dz 11, 5-7). Jego zdaniem modlitwa św. Piotra obrazuje kaznodzieję. Naczyniem i prześcieradłem w widzeniu Piotra jest zstępująca z góry łaska przepowiadania. W tym naczyniu są zwierzęta czworonożne, to jest żarłocy i rozwiązli; i dzikie bestie, to jest zdrajcy i za-

---

<sup>2</sup> Cyt. za: W. Nigg, *Antoni z Padwy*, [w:] *Nauczyciel Ewangelii. Św. Antoni z Padwy*, red. W. M. Michalczyk, Kraków-Asyż 1988, s. 186-188.

bójcy; i płazy, to jest chciwcy i lichwiarze; i ptaki, to jest pyszni i próżni czczej chwały. Powiedziano kaznodziei: „Wstań, zabijaj je i jedz!”. Wstań do głoszenia Ewangelii; zabijaj dla świata; umartwiaj i zabijaj, żeby zrobić z nich ofiarę dla Boga, żeby wyrwać ich ze starego człowieka i przemienić na nowego; jedz, to znaczy przyjmij ich do jedności i wspólnoty w ciele Kościoła.

Pragnąc ożywić swe kazania Antoni uciekał się do życia roślin i zwierząt, do przyrody, pojmowanej po franciszkańsku i według współczesnych sobie wyobrażeń i opisów. Porównując i wynajdując podobieństwa, przekazywał słuchaczom prawie poetycką botanikę, bajeczną zoologię i geografę swej epoki z przesłaniem moralnym. Nie posługiwał się tymi opisami w celach naukowych czy literackich, lecz jedynie po to, by przyciągały uwagę. Nie dowiemy się, czy rzeczywiście Antoni myślał, że cztery zwierzęta były tak dziwne i wyjątkowe, że żywiły się jedynie wodą (*alice* – mała rybka), powietrzem (*kameleon*), ogniem (*salamandra*) i ziemią (*kret*). Faktem jest, że autor *Sermones* przytaczał w kazaniu długie opisy ich bajecznych i niezwykłych zwyczajów. Czynił to jednak po to, by wkrótce potem stwierdzić, że w małej rybce widzi pokornego pokutnika zalanego łzami, w kameleonie dostrzega osobę żyjącą w niebie kontemplacji, w salamandrze spostrzega litościwego i pełnego miłosierdzia człowieka żyjącego w ogniu miłości, zaś kret symbolizuje człowieka wzgardzonego i samotnego, ponieważ uważa się tylko za ziemski proch.

### Autor *Sermones dominicales et festivi*

Antoni Padewski jest autorem *Sermones dominicales* oraz *Sermones festivi*. Redagował je będąc już we wspólnocie franciszkańskiej, czyli po roku 1220. Pracy tej podjął się kaznodzieja nie z własnej woli, lecz na wyraźną prośbę swoich słuchaczy, i tak *Sermones festivi* redagował na prośbę kardynała Rinaldo dei Conti, biskupa Ostii i protektora zakonu, a *Sermones dominicales* – o czym wspomina w *Prologu* – powstały na prośbę braci zakonnych. O rozmiarach tego dzieła świadczy wymownie krytyczne, trzytomowe wydanie *Sermones dominicales et festivi* Antoniego, jakie ukazało się w Padwie w 1979 roku. Zawiera ono 77 kazań (*sermones*) i liczy łącznie 1474 strony.

*Sermones* nie są zwykłymi kazaniem, lecz traktatem teologicznym przedstawionym w formie homiletycznej. Były one pomyślane jako pomoc w sprawowaniu sakramentów oraz skutecznym głoszeniu słowa Bożego dla kaznodziejów, w szczególności franciszkanów. Dostarczają one kapłanom materiał do wykorzystania, zgodnie z różnymi okolicznościami i celem przygotowania ich kazań. Kolekcja ta uwzględnia trzynastowieczny układ kalendarza liturgicznego oraz przypadające w nim święta. Jakkolwiek noszą nazwę *Sermones*, bliższe są dzisiejszym wykładom niż kazaniom. Zresztą sam Antoni nigdy ich nie nazywał „kazaniem”, lecz traktował je jako „opus” – dzieło.

Celem głównym *Sermones*, jak wskazuje *Prolog*, jest chwala Boża i dobro dusz wiernych. Antoni pragnie przedstawić tylko *sacrum divinae Scripturae in-*

*tellectum* (pobożną znajomość Bożego Pisma) i jeśli ktoś chciałby poszukiwać w *Sermones* św. Antoniego czegoś innego, to nigdy nie będzie na właściwej drodze do poznania antoniańskiego „mistycznego rydwanu”, o którym wspomina w *Prologu*: „Tak zbudowaliśmy rydwan, który jak Eliasza unosi duszę od rzeczy ziemskich ku niebiańskiej zażyłości ze sprawami nieba” (n. 5).

W *Sermones* główne miejsce zajmuje zawsze problematyka moralna, a więc związek z życiem ludzkim. Przepowiadanie Antoniego jest na wskroś biblijne, żongluje on słowami Pisma Świętego, z poszczególnych tekstów wyprawdza alegorie, z nazw przenośnie, by ze wszystkiego wyciągnąć wnioski lub nauki moralne.

Antoni z Padwy cieszył się powszechnym uznaniem jako wielki kaznodzieja XIII wieku. *Sermones* w dużej mierze to potwierdzają. Ten wielki podręcznik czy poradnik kaznodziejski, owoc pobożnych medytacji, długich studiów i praktyki kaznodziejskiej Antoniego, żywo odzwierciedla jego duszę. Jest jedynym dokumentem pisanym, jaki nam pozostawił. Należy zauważyć, iż obraz Antoniego, jaki powstaje z lektury *Sermones*, odbiega dość wyraźnie od tego, o którym mówią historycy. W oparciu o *Sermones* można go odebrać jako kogoś statycznego, może niekiedy nużącego. Tymczasem jego biografowie ukazują go jako człowieka o charakterze żywym i dynamicznym.

## Nauczyciel i wychowawca kaznodziejów

Antoni z Padwy był nie tylko kaznodzieją, ale także nauczycielem i wychowawcą kaznodziejów. Badacze i czciciele św. Antoniego byłiby szczęśliwi, gdyby mieli choć jedno oryginalne jego kazanie, takie, jakie głosił swoim słuchaczom. Niestety *Sermones*, jakie Antoni zostawił na piśmie, nie są zapisem jego kazań głoszonych żywym słowem. Nie są też przygotowaniem kazań do głoszenia przez niego. Ten – jak wspomniano wyżej – duży zbiór kazań nie daje dokładnego wyobrażenia o rzeczywistym przepowiadaniu Antoniego, choćby dlatego, że teksty te są napisane po łacinie, podczas gdy zakonnik mówił językiem ludu. *Sermones* są natomiast wykładem przeznaczonym dla czytelników, którymi w pierwszym rzędzie byli bracia mniejsi studiujący i spełniający posługę słowa. Inaczej mówiąc, *Sermones* są to swoiste traktaty biblijno-teologiczne, ubrane w literacką szatę kazań.

Czytelnik-kaznodzieja nie mógł żadnego z tych *Sermones* głosić dosłownie z ambony. Mógł jedynie znaleźć w nich materiał do kazania na dany temat. Można w tym widzieć dużą mądrość pedagogiczną Antoniego. Pomagał on swym braciom, dając im przygotowany materiał, ale jednocześnie zmuszał ich do osobistego wysiłku celem opracowania kazania i jego wygłoszenia po swojemu. Materiał biblijno-teologiczny jest bowiem wspólny dla wszystkich podejmujących posługę głoszenia słowa Bożego, podczas gdy samo kazanie winno być częścią siebie, słowem przemyślanym przez kaznodzieję w głoszonym aktualnie przedmiocie.

Tak więc św. Antoni pisząc swe *Sermones* miał na uwadze owych czytelników-kaznodziejów. Dlatego nie tylko dawał im materiał do wykorzystania, ale często zwracał się do nich z pouczeniem, upomnieniami i wskazaniem dotyczącymi ich posłannictwa. Te uwagi umieszczał zazwyczaj we wstępach do poszczególnych *Sermones* i kierował je do kaznodziejów. Był więc nie tylko kaznodzieją, nie tylko pisarzem kaznodziejским, ale także nauczycielem i wychowawcą kaznodziejów.

Z owych pouczeń i wskazań można stworzyć pewną całość i odtworzyć niejako teorię kaznodziejstwa Antoniego z Padwy. Dominującym problemem jest osoba kaznodziei i jego przepowiadanie. Zestawienie tych wypowiedzi umożliwia odpowiedź na pytanie: kim jest kaznodzieja według Doktora Ewangelicznego?

### Kim jest kaznodzieja?

Człowiek wyproszony u Boga i namaszczony przez Ducha Świętego

Kaznodzieja to robotnik Pański wyproszony przez Kościół u Pana Jezusa, podobnie jak niegdyś Samuel został wyproszony u Boga. Otrzymał on od Ducha Świętego duchowy dar przepowiadania, by nakłaniał grzeszników do pokuty. Został też namaszczony przez Ducha Świętego, istotnym bowiem wyposażeniem kaznodziei jest Duch Święty, który wlewa weń swą łaskę. Ręka Pańska spoczywa wówczas na kaznodziei, udziela mu mocy, wspiera go w całym działaniu. Jeżeli natomiast Duch Święty milknie w sercu kaznodziei, wtedy milknie także jego język.

Żyjący zgodnie z głoszonym słowem

Kaznodzieja, wyproszony u Pana i namaszczony Duchem Świętym, ma harmonijnie łączyć w sobie trzy rzeczy: życie, naukę i wymowę. Winien on być dla słuchaczy jak słońce, dającym ciepło i światło: „Ze słońca jak ze źródła wypływa ciepło i światło, z nich zaś też jak ze źródła płyną dwa strumienie – życie i nauka, i docierają do innych. Życie ich ma być gorące, nauka jasna” (*In Annuntiatione S. M.*). Chodzi o wzajemną zgodność nauki, jaką kaznodzieja głosi, z życiem, jakie prowadzi. Zgodność ta bowiem gwarantuje skuteczność przepowiadania. Natomiast kaznodzieja, który przepowiada, ale nie popiera swego przepowiadania życiem, jest przewrotny.

Kaznodzieje mają łączyć życie czynne z kontemplacją. „Kiedy są posłani i idą, wtedy wychodzą z ukrycia kontemplacji na publiczną działalność, a wracają i mówią Bogu: Oto jesteśmy, kiedy po przeprowadzeniu działalności zewnętrznej ponownie wracają do kontemplacji” (*Dom. XIV p. Pentecosten*).

Pokorny, miłujący i mężny

Antoni wymienia trzy moralne przymioty kaznodziei: pokorę, miłość i męstwo. Z męstwem i stałością wobec grzesznika, przed którym nie powinien czuć lęku, winien łączyć cierpliwość, łagodność i miłosierdzie. Jest on bowiem jak



zbrojny olbrzym, wyposażony w stałość, cierpliwość i miłosierdzie dla pokornych i skruszonych.

### Człowiek wielkich zadań

Kaznodzieja jest szafarzem łaski otrzymanej zgodnie z wolą Boga, Pismem Świętym i z dobrem braci. Nie mówi od siebie, ale pełni służbę Bożą.

Kaznodzieja jest *l e k a r z e m* dusz: „Jak język psa leczy, tak i język kaznodziei, który jest lekarzem dusz... Kaznodzieja bowiem językiem przepowiadania winien gorliwie leczyć wrzody i łagodnie je lizać; ma mieć miód i mleko pod swym językiem, to znaczy słodką i łagodną naukę” (*Dom. I p. Pentecosten*). Święci kaznodzieje są jak niebiosa, gdyż zraszają deszczem słowa, błyskają przykładami życia, grzmią groźbami wiecznej kary. Kaznodzieja wylewa oliwę nauki ewangelicznej na duszę grzesznika. Oliwa namaszcza i oświeca, tak jego przepowiadanie namaszcza sumienie grzesznika, zmiękcza je, natomiast atlecie Chrystusowego sposobi do walki. Oliwa także oświeca, a przepowiadanie kaznodziei oświeca oko rozumu, by widziało światło prawdziwego słońca.

Kaznodzieja to *r o l n i k*, który motyką słowa, w pocie czoła uprawia rolę, czyli dusze wiernych. Nie wolno mu zaniedbać tej uprawy, bo lenistwo grozi wzrostem chwastów, czyli złych myśli. Winien więc pilnie siać słowo, sadzić drzewa cnót, prowadzić na pastwiska karmiące głód życia wiecznego, zdobić kwiatami, czyli przykładami świętych. Owocem zebranych przez niego z roli Pańskiej jest życie wieczne. Zadaniem kaznodziei jest głoszenie prawdy, głoszenie bezwzględne, czyli głoszenie prawdy dla samej prawdy, a nie dla zysku. Chrystus bowiem jest prawdą. Kto przepowiada prawdę – wyznaje Chrystusa. Kto ją przemilcza – przeczy Chrystusowi. Głoszenie prawdy naraża kaznodzieję na nienawiść, co niektórych kaznodziejów skłania do przemilczania prawdy. Ale nie wolno opuścić prawdy dla względu ludzkiego.

Kaznodzieja to *k o w a l*, co wykuwa zbroję duchową. Siedzi przy kowadle Pisma Świętego, studiując je i ćwicząc się w nim. Wpierw ćwiczy kontemplację, by potem siebie i innych karmić słowem Bożym. Jego dziełem są umysły słuchaczy, w których pragnie wykuć zamięłowanie do cnót. Ogniem jest mu święta żarliwość, co spala pokusy cielesne. Młotem jest słowo Boże, którym bije w słuchaczy, by ich odnowić. Biada temu, kto innych kuje, a sam zostaje niewrażliwy.

Kaznodzieja jest podobny do Judy Machabeusza, gdyż pełni trzy zadania: chwali Boga, broni bliźniego, bije diabła. Słowem Bożym broni dusze wiernych przed pokusą ciała, przed przeciwnościami świata i przed napaścią diabła. Bierze też łupy – dusze z ręki diabła, jak Chrystus, lew z pokolenia Judy, gdy wstąpił na krzyż. Szczególnym zadaniem kaznodziei jest zwalczanie szatana za pomocą krzyża. Kaznodzieje wtedy podnoszą nad nim znak, kiedy głoszą, że został on pokonany mocą krzyża; wznoszą głos, kiedy upominają, zaklinają, ganiają; podnoszą rękę, kiedy to, co przepowiadają słowem, wykonują czynem” (*Dom. I p. Nativ. Domini*).

### Użyteczność i skuteczność przepowiadania kaznodziei

Przepowiadanie jest jak strumień, który zbiera w zimie na skutek opadów deszczu, wysycha natomiast w lecie na skutek panującej posuchy. Tak i przepowiadanie w tej zimie doczesnej nędzy zbiera i powinno zbierać. Dusza, rzucona z dala od oczu Boga na drodze terażniejszego wygnania, z tego strumienia przepowiadania winna pić, nad nim jak gołębnica przesiadywać, w nim się przeglądać. W tym celu musi oderwać się od rozkoszy ciała, bo dusza oddająca się im nie widzi strumienia miodu i masła, ponieważ nie oświeca się słodyczą przepowiadania ani nie natłuszcza się pobożnością łaski. Dla niej przepowiadanie wysycha, jak strumień w lecie, to znaczy nie przyczynia się do jej wiecznego szczęścia. Strumień przepowiadania oddziela pokusę diabła i odgradza zapomnienie o duchu od ludu pielgrzymującego, czyli od pokutników, od ubogich duchem, od naśladowców apostołów, którzy uważają się za nędzarzy i pielgrzymów, za wygnańców i gości na tym wygnaniu.

Kaznodzieje są jak gospodarze zajazdu, co otwierają drzwi dla gości. Winni oni otwierać grzesznikom bramę przepowiadania. Mają być dobrymi szafarzami otrzymanej łaski, żeby na różne grzechy i różne zniekształcenia duchowe stosowali odpowiednio różne rodzaje przepowiadania i różne jego formy.

Kaznodzieja jest jak Dawid z procą w ręku przeciw Filistynowi. Procą kaznodziei jest jego nauka i życie wzajem zgodne; a kamieniami do procy Ewangelii całe bogactwo Pisma Świętego, jako że rozumienie Starego Testamentu mieści się w Nowym Testamencie. Pięć kamieni do procy przeciwko Filistynowi to zwalczanie przez kaznodzieję grzechów pięciu zmysłów. Filistynem dla kaznodziei jest bogacz, obżarty, upity i rozpustny, co popadł w grzech, a potem od grzechu dostanie się w przepaść piekła.

Przepowiadanie jest jak trąba, co zwołuje do walki, na ucztę i na święto. Wzywa do walki przeciw wadom, wzywa na ucztę pokuty i wzywa na święto chwały. Pyszni i chciwi, którzy uciskają i wykorzystują ubogich i biednych, są twardzi jak kamień na głos przepowiadania. Przepowiadania Ewangelii słuchają bowiem ubodzy, a nie bogacze, pokorni, a nie pyszni.

Kaznodzieja to murarz, który cementem słowa Bożego spaja żywe kamienie, czyli wiernych Kościoła, w jedną wspólnotę duchową. Kielnią w ręku tego murarza jest przepowiadanie, skierowane do sprawiedliwych i grzeszników, by ich połączyć wapnem miłości.

Kaznodzieje to bramy obronne. Mają oni bowiem opierać się nieprzyjaciołom jak mur w obronie Kościoła walczącego. Jak niegdyś Eliasz, tak i on teraz ma wypatrywać grzeszników, by zwalczać ich wady, a przede wszystkim głosić im siedem artykułów wiary: wcielenie, chrzest, mękę, zmartwychwstanie, wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa, Zesłanie Ducha Świętego, przyjście Jezusa Chrystusa na sąd, na którym grzesznicy zostaną skazani i wrzuceni do ognia palącego, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów. Jak Eliasz za siódmym razem wypatrywał mały obłoczek, co stał się wielką chmurą i desz-

czem, tak kaznodzieja głosząc ów siódmy artykuł wiary ujrzy w sercu grzesznika mały ślad skruchy, jako skutek łaski Jezusa Chrystusa. Ten mały obłoczek bez wątpienia wzrośnie i stanie się wielką chmurą, zacinającą blask dóbr doczesnych. Potem nastąpi gwałtowny wichur spowiedzi, co wyrwie zeń całkowicie wszystkie wady, i spadnie wielki deszcz zadośćuczynienia, co nawodni ziemię i uczyni ją płodną. I w tej obfitości wody kaznodzieja pochwyci wielką ilość ryb (*Dom. V post Pentecosten*).

Kaznodzieja w swym przepowiadaniu wyrzuca trzy strzały: bojaźń odłączenia się od Boga, boleść spowiedzi i żarliwość miłości. Te strzały, wyrzucone z łuku przepowiadania, ranią duszę, żeby wywołać w niej jęk i płacz (*Dom. XIX p. Pentecosten*).

### Wzniosłość przepowiadania

W kazaniu na IV niedzielę adwentu Antoni porównuje kaznodzieję do króla Dawida wstępującego na Górę Oliwną (2 Krl 15, 30), która symbolizuje wzniosłość życia. Jak wówczas król Dawid, tak teraz kaznodzieja ma do spełnienia trzy czynności: płakać nad ruiną grzechu, panować nad zmysłami i bosokroczyć przez próżność świata, to znaczy umartwiać wolę własną i ogałacać się z posiadania własności. Jeśli tak będzie wstępował na Górę Oliwną życia wzniosłego, to cały lud pójdzie za nim, jak za Dawidem. Szczególnie wzniosłą misją kaznodziei jest prowadzenie zakonników do niebieskiego Jeruzalem.

Wzorem kaznodziei, który „wstąpił na wysoką górę i z wielkim męstwem podniósł swój głos”, jest największy kaznodzieja, święty Jan Chrzciciel. Łączył on w sobie wzniosłość przepowiadania z pokorą nizin. Kaznodzieja ma być Janem Chrzcicielem, pamiętającym gorycz męki Pańskiej, przez którego zstępuje słowo Boże, słowo życia i pokoju, słowo łaski i prawdy, na Jeruzalem, czyli na duszę pokutującą i przenikniętą pokojem.

\*

Między wiekiem Abelarda a wiekiem św. Tomasza z Akwinu, między wiekiem św. Franciszka i św. Bonawentury stoi św. Antoni Padewski niczym jaśniejąca gwiazda. W jego wybornym języku kultura przeszłości i pobożność łączą się z zapowiedzią dla przyszłości. Antoni realizuje dwie zasadnicze cnoty, dzięki którym może być jednocześnie uczonym i franciszkaninem, zgłębiać drogi nauki i żyć regułą franciszkańską, czyli zachować pokorę i gorliwość w podejmowaniu działalności apostołowskiej.

Ponaddziesięcioletnie wychowanie u augustianów dało Antoniemu gruntowne religijne i naukowe wykształcenie, stwarzając podstawy doskonałego realizowania Ewangelii. Czynił to włączając się w nurt życia franciszkańskiego, przechodząc zdecydowanie od samotności modlitewnej i pracy naukowej do kaznodziejstwa wędrownego. Dzięki dobremu opanowaniu Pisma Świętego i nauki ojców Kościoła, dzięki znajomości klasyków i znakomitemu wykształceniu we

współczesnych naukach, był dobrze przygotowany do kazań apologetycznych. Mając dar odkrywania dróg do ludzkich serc karmił je słowem Ewangelii.

Zamieszczony poniżej interesujący fragment kazania św. Antoniego na święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny nie jest tekstem, które on sam głosił do ludu. Jest to rodzaj materiału pomocniczego dla braci w konstruowaniu własnego kazania na ten temat. Autor umiejętnie przenosi rolę i zadania pszczoły na życie Matki Bożej.

św. Antoni z Padwy

## *Kazanie na uroczystość Oczyszczenia Najświętszej Maryi*

### IV. Kazanie alegoryczne

Małą jest pszczoła między latającymi, ale owoc jej ma słodki początek (Syr 11, 3). To zdanie Eklezjastyka. Mówią, że pszczoła ma taką siłę, że rodzi bez zapłodnienia, a dobra pszczoła jest mała, okrągła, pełna, ściśnięta. I pszczoła jest czystsza od pozostałych istot latających i zwierzęcych, i z tego powodu wstrętny zapach jej dokucza, a miły zapach sprawia jej przyjemność.

Nie odpędza ona żadnego zwierzęcia, a gdy lata, nie kieruje się do różnych kwiatów, ani nie porzuca jednego kwiatu, a idzie do innego, lecz zbiera z jednego, co potrzebuje, i wraca do barci, a pokarmem jej jest miód, gdyż żyje z tego, co zapracuje. Buduje dom, na czele którego stoi król, a zaczyna budować na ścianach barci od góry, i tak długo nie przestaje posuwać się powoli, powoli w dół, aż dojdzie do spodu barci.

Podobnie Pani nasza, Najświętsza Maria zrodziła Syna Bożego bez cielesnego naruszenia, ponieważ Duch Święty zstąpił na nią i moc Najwyższego zacięła ją (Łk 1, 35). Ta dobra Pszczoła była małą przez pokorę; okrągłą przez kontemplację niebieskiej chwały, której brak początku i końca; pełna miłości, ta która Miłość przez dziewięć miesięcy nosiła w łonie, nie mogła cierpieć braku miłości; ściśnięta ubóstwem; czystsza od pozostałych na skutek dziewictwa, i dlatego wstrętny zapach rozpusty, jeśli wolno tak rzec, dokucza jej; natomiast miły zapach dziewictwa lub czystości sprawia jej przyjemność, i dlatego ten, kto pragnie podobać się Najświętszej Maryi niech ucieka przed rozpustą, a dba o czystość.

Żadnego zwierzęcia, czyli grzesznika, nie odpędza, owszem przyjmuje wszystkich uciekających się do niej, dlatego zwie się Matką miłosierdzia, miłosierna dla nędzarzy, nadzieja dla zroczonych. Mówi Oblubienica w Pieśni nad Pieśniami: Jam kwiat polny i lilia padolna (Pnp 2, 1). Ten kwiat, opuściwszy wszystkie inne, wybrała Najświętsza Maria i przyłgnęła Doń i z Niego zebrała to, czego potrzebowała.

Nazaret, w którym poczęła, tłumaczy się kwiat; miejsce to obrała sobie spośród innych. Kwiat bowiem, który wyrasta z korzenia Jessego, kocha kwietną ojczyznę. Pokarmem Najświętszej Maryi jej Syn, miód Aniołów, słodycz wszystkich Świętych. Czerpała życie z Tego, którego karmiła; Ten, którego poila mlekiem, dawał jej życie.

Ta dobra Pszczoła przygotowała dom, mianowicie: ducha za pomocą pokory, ciało za pomocą dziewictwa; izby zamieszkał w nim Król Aniołów. A zwróć uwagę, że pszczoła zaczyna budować od góry, bo i Najświętsza Dziewica nie zaczęła budować od dołu, to znaczy przed oczyma ludzimi, lecz od góry, to znaczy przed oczyma Bożego Majestatu; i powoli, powoli, gdyż ostrożnie i planowo, zaczęła schodzić do świadomości ludzi, aby ta, która już była wybraną wobec Boga, stała się również przedziwną wobec ludzi.

Mówmy przeto: Małą jest pszczoła między latającymi. Podczas gdy wiele cnót wspaniale błyszczało w Najświętszej Maryi, pokora zabłysła najwspanialej, kiedy wyrzekła: Wejrzał na uniżenie służebnicy swojej (Łk 1, 48), i dlatego zwie się małą pszczołą między latającymi. Istoty latające to jej zasługi, ulatujące aż do najwyższego nieba, stąd to powiedziano w Przypowieściach: Wiele córek zebrało bogactwa, czyli cnoty, ty zaś przewyższyłaś wszystkie (Prz 31, 29); gdyż wleciała wyżej nad wszystkie.

Chociaż była obdarzona bogactwami tyłu cnót, chociaż została wyniesiona przez tyle zasługujących przywilejów, była jednak nasza Pszczoła małą, czyli pokorną, ta która dzisiaj w świątyni ofiarowała Bogu Ojcu plaster miodu, to znaczy Słowo Wcielone, czyli Boga i człowieka. W plastrze – miód i wosk, w dziecięciu Jezus – Bóstwo i człowieczeństwo.

Mówią, że dobrym miodem jest miód z nowego wosku, a dobry miód jest podobny do złota. Nowym woskiem Chrystusa – ciało wzięte z najczystszej ciała chwalebnej Dziewicy, a w nim miód Bóstwa, oznaczonego przez złoto. Stąd to w Pieśni nad Pieśniami: Głowa jego złotem najlepszym (Pnp 5, 11). Głową Chrystusa – Bóg, i dlatego dzisiaj, podczas naszej procesji, niesiemy w rękach świece zapalone nowym ogniem: przedstawiając ową procesję, którą w dniu dzisiejszym stworzyli: Najświętsza Maria i Józef, niosący dziecko Jezus do świątyni, Symeon i Anna, głoszący prorocstwa i uwielbienia.

O tej procesji powiedziano w Psalmie: Miłosierdzie i prawda spotkały się z sobą; sprawiedliwość i pokój pocałowały się (Ps 84, 11). Miłosierdzie naszego zbawienia jest w Odkupicielu. Prawda obietnicy w Symeonie, któremu Duch Święty przyrzekł, że nie ujrzy śmierci, dopóki by pierwej nie oglądał Chrystusa Pańskiego (Łk 2, 26). Sprawiedliwość w Najświętszej Maryi i Józefie. Pokój w Annie prorokini, która nie opuszczała świątyni, w postach i modlitwach służąc dniem i nocą.

Dzisiaj przyszło do świątyni Miłosierdzie, a prawda wyszła mu naprzeciw, bo Symeon wziął Dziecię, oraz tamże, Sprawiedliwość i pokój pocałowały się. Pocałunek oznacza jedność i zgodę, w co bowiem Maria i Józef wierzyli, to Anna wyznawała, i tak zgadzali się w jednym duchu.

Zauważ, że w świecy są trzy rzeczy, mianowicie wosk, knot i płomień. Woskiem Ciało Chrystusa, knotem Jego męka, płomieniem ognia Potęga Boskości. Przyzdób przybytek swój, Syjonie, i przyjm Chrystusa Króla, iżbyś Go tak nosił w sumieniu, jak dzisiaj wyobrażasz Go w postaci świecy. Wosk oznacza czystość ducha, knot udreki ciała, płomień żar miłości. Kto tak niesie, dobrze wyobraża. Przeto chwała i cześć Pszczole Dziewicy, która dzisiaj ofiarowała Bogu Ojcu plaster miodu, o którym następuje tekst: Owoc jej ma słodki początek (Syr 11, 3).

Owoce Pszczoły – Syn Dziewicy. I błogosławiony, rzecze, owoc żywota twego (Łk 1, 42); o nim w Pieśni nad Pieśniami: Owoc jego słodki gardłu memu (Pnp 2, 3). Nie tylko początek tego owocu jest słodki, ale i środek i koniec; ponieważ słodki w łonie, słodki w żłobku, słodki w świątyni, słodki w Egipcie, słodki podczas Chrztu, słodki na puszczy, słodki w słowie, słodki w cudzie, słodki na osłęciu, słodki podczas biczowania, słodki na szubienicy, słodki w grobie, słodki w otchłani, słodki w Niebie.

O słodki Jezu! Cóż słodsze od Ciebie? Ponad miód i wszystko słodka pamięć o Tobie. Imię słodczy, Imię zbawienia. Czymżeż bowiem jest imię Jezus, jak nie imieniem Zbawiciela? Przeto, dobry Jezu, ze względu na samego siebie, bądź nam Jezusem, abyś Ty, któryś udzielił nam początku słodczy, czyli wiary, dał nam również nadzieję i miłość, iżbyśmy żyjąc w niej i umierając, zasłużyli na to, by dojść do Ciebie, a to przez prośby Twej najśladziej Matki, za Twoją sprawą, który jesteś błogosławiony na wieki. Amen.

Cytat za: św. Antoni Padewski, *Kazania Niedzielne i Świąteczne*, t. 3: *Kazania Świąteczne, od Narodzenia Pańskiego do Uroczystości świętych Piotra i Pawła*, przetłum. C. Niezgodą, Kraków 2003, s. 133-135.





**Jan Tauler OP**  
(ok. 1300-1361)



# Głos niemieckiej mistyki

Początki kazania mistycznego widoczne są już w niektórych tekstach św. Bernarda z Clairvaux i św. Bonawentury. Gatunek ten został rozwinięty w pełni dopiero przez mistrza Eckharta (ok. 1260-1327), Jana Taulera (ok. 1300-1361), Henryka Suzo (ok. 1300-1366), Mikołaja ze Strasburga (XIV w.), Jana ze Stern-gasse (XIV w.), Henryka z Nordlingen (XIV w.) i Jana Gersona (1363-1429).

Na szczególną uwagę zasługuje kaznodziejstwo niemieckich mistyków z kręgu mistrza Eckharta. Wszyscy oni byli dominikanami. Mistrz Eckhart był nie tylko renomowanym filozofem i teologiem, profesorem w Strasburgu i Kolonii, lecz także oryginalnym kaznodzieją. Sprzeciwiał się każdemu rygorowi systematycznemu, inspirowanemu przez scholastykę. Komentując i parafrazując fragmenty Ewangelii, zaczerpnięte z codziennej liturgii, prowadził słuchaczy na drogę doskonałości. Uważany jest za założyciela nadreńskiej szkoły duchowej. Bł. Henryk Suzo był kaznodzieją w Konstancji i w Ulm. Obdarzony wizjami i stanami mistycznymi, pozostawił dorobek, który przekracza działalność kaznodziejską w ścisłym tego słowa znaczeniu (posiadamy tylko 4 jego kazania). Jego *Księga Mądrości Wiecznej* jest jednym z utworów duchowych, który najbardziej naznaczył koniec średniowiecza. Jednakże mianem najwybitniejszego kaznodziei niemieckiego XIV stulecia cieszył się Jan Tauler. Dla jego głębokiej wiedzy często nazywano go „Doctor illuminatus”. Niewiele jest jednak wiarygodnych źródeł, na których mógłby się oprzeć jego biograf.

## W Zakonie Kaznodziejskim

Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że miejscem urodzenia Taulera była stolica Alzacji, Strasburg. Przemawia za tym fakt, że nazwisko *Tauler* często występowało w samym tym mieście i jego okolicy. Tutaj Tauler wstąpił do Zakonu Kaznodziejskiego, a wiadomo, że klasztory rekrutowały się wówczas spośród mieszkańców danej miejscowości i jej okolicy. W Strasburgu Tauler spędził też większą część życia. Na to miejsce urodzenia wskazują też dwa piętnastowieczne rękopisy. Żaden dokument nie podaje pełnej daty jego urodzin, średniowiecznych kronikarzy nie zawsze interesowały takie dane.

Ówczesnym zwyczajem do zakonu wstąpił bardzo młodo, prawdopodobnie między trzynastym a piętnastym rokiem życia. Nowicjat odbył w założonym w 1224 roku klasztorze św. Mikołaja. Zgodnie z prawodawstwem zakonu dominikańskiego w roku 1305 przygotowanie do kapłaństwa, łącznie z nowicjatem, trwało osiem lat. Studia filozoficzne i poprzedzające je humanistyczne, tzw. *artes*, Tauler odbył poza Strasburgiem, w jakimś innym klasztorze.

W *Kazaniach* Tauler niekiedy czyni aluzje do swej słabej kondycji fizycznej. Słabe zdrowie nie przeszkodziło mu jednak ukończyć studiów i przyjąć świę-

ceń kapłańskich. Ich data nie jest poświadczona dokumentami, Tauler musiał mieć wtedy przynajmniej 25 lat i ukończone studia. Po święceniach pozostał w Strasburgu i mógł jeszcze przez jakiś czas przygotowywać się bezpośrednio do pracy duszpasterskiej, do której przełożeni go przeznaczali. Nie wiemy, jaką część jego działalności apostolskiej stanowią ocalone dla historii kazania, wiemy w każdym razie, że wśród współczesnych zapisał się przede wszystkim jako wybitny kaznodzieja.

We wspólnocie zakonnej Tauler nie pełnił – może poza lektorem – żadnych oficjalnych funkcji. Mało prawdopodobne wydaje się, by zdobył kiedykolwiek najwyższy w swoim zakonie stopień naukowy magistra świętej teologii, który dawał prawa porównywalne z sytuacją dzisiejszego profesora zwyczajnego. Tauler niejednokrotnie przeciwstawia dwa rodzaje mistrzów: *Lesemeister* i *Lebmeister*. Do pierwszych jest ustosunkowany wyraźnie niechętnie i często wyraża się o nich nieco złośliwie, „śpiewają oni oficja, czytają wiele ksiąg i bez przerwy je wertują”, ale to co naprawdę ważne, rozumieją tylko mistrzowie życia. Ci nie poprzestają na wiedzy teoretycznej, lecz przez studia, modlitwę i osobiste doświadczenie dążą do zdobycia prawdziwej życiowej mądrości; sami wiedzą, jak należy żyć, i potrafią pokierować innymi. Tauler ze wszystkich sił pragnął być *Lebmeister*. W jego wypadku oznaczało to nie tylko wspólne wszystkim duszpasterzom prowadzenie ludzi do Boga i troskę o ich wieczne zbawienie. Pragnął być przewodnikiem dusz na wąskiej drodze wiodącej do mistycznego z Nim zjednoczenia.

Od 1347 roku z polecenia przełożonych przejął opiekę duszpasterską nad siostrami zakonnymi. Szczególny charakter miała ona w odniesieniu do dominikanek. Zakon pełnił tę *cura monialium* z polecenia Stolicy Świętej. Dla prowincji Teutonii stanowiła ona poważne obciążenie, zwłaszcza, że często złączona z nią była troska o sprawy materialne. Toteż bracia nie zawsze z entuzjazmem podejmowali ten obowiązek. W początkach XIV wieku na jej terenie znajdowało się około siedemdziesięciu żeńskich klasztorów dominikańskich, usytuowanych gęsto zwłaszcza wzdłuż Renu. W samym Strasburgu było ich siedem. Obowiązkiem prowincjała było wyznaczenie dostatecznej liczby odpowiednio przygotowanych braci, którzy by mogli przez swoje homilie i konferencje sprostać zapotrzebowaniom tego szczególnego audytorium. Oczekiwało ono niekoniernie wykładów ascetyki i mistyki, chodziło po prostu o podniesienie ogólnego poziomu wiedzy teologicznej siostr, posiadających wysokie nieraz jak na owe czasy ogólne wykształcenie i zainteresowania intelektualne.

Będące jeszcze w połowie XIV wieku w mocy rozporządzenie prowincjała Hermana z Minden ustalało, że kierownictwo duchowe siostr ma być powierzone braciom wyróżniającym się wiedzą (*fratres docti*). W Zakonie Kaznodziejskim byli to przede wszystkim lektorzy i mistrzowie świętej teologii, a więc powiedzielibyśmy dzisiaj – kadry profesorskie. Nietrudno się domyśleć, że taki dobór kierowników życia wewnętrznego w dużej mierze decydował o konkretnym charakterze religijności i mistyki słuchaczy. Nabierze więc ono zabarwienia wy-

rażnie teoretycznego. Bardziej też będzie tu chodziło o mistykę w ściślejszym tego słowa znaczeniu, a więc, o zjednoczenie duszy z Bogiem, niż o szczegółowe wskazania ascetyczne, bardziej o opis dzieła Boskiego Artysty w duszy niż osobisty wysiłek człowieka. Główną formą działalności owych *fratres docti* było głoszenie kazań i konferencji, słuchanie spowiedzi i korespondencja.

Do tego też sprowadzała się zasadniczo praca Taulera. Był on odpowiedzialny przede wszystkim za klasztor dominikanek pod wezwaniem św. Mikołaja in Undis w Strasburgu i św. Gertrudy w Kolonii – co oczywiście nie wyklucza jego działalności w innych klasztorach, zwłaszcza w samym Strasburgu. Dominikanki rekrutowały się najczęściej z rodzin szlacheckich i pociągała je może nie tyle mistyka Taulera, co jego sława wielkiego kaznodziei; w ich klasztorach nie natrafiano na ślady mistyki. Homilie swoje i konferencje Tauler wygłaszał zwłaszcza w niedziele i większe święta. Zainteresowaniu sióstr klasztoru św. Mikołaja w Strasburgu nauką Taulera zawdzięczamy w dużej mierze spisanie jego kazań i tym samym udostępnienie ich następnym pokoleniom. Sam Tauler swych homilii nie spisał, w każdym razie nie potwierdzają tego żadne świadectwa historyczne. Homiletyczna działalność Taulera rozciągała się również na siostry trzeciego zakonu noszące habit dominikański oraz na beginki, kobiety żyjące w świecie, utrzymujące się z własnej pracy i dążące do doskonałości. Wokół Taulera skupiali się również inni ludzie, których łączyło wspólne pragnienie życia zgodnego z ideałami ewangelicznymi i którzy chętnie zwali siebie samych przyjaciółmi Boga.

### Palec Jana Chrzciciela

Tauler zmarł 16 maja 1361 roku – taka przynajmniej data widnieje na płycie nagrobkowej ufundowanej zapewne przez jego zamożną rodzinę (zob. ilustrację na s. 84). Płyta ta, przeniesiona potem na ścianę krużganku dawnego klasztoru Sióstr Dominikanek w Strasburgu, była przez pewien czas otaczana kultem. Oprócz lakonicznego napisu informującego o zgonie, widnieje na niej postać Taulera w habicie dominikańskim. Przedstawia go ona podobnym jednemu z największych kaznodziejów – świętemu Janowi Chrzcicielowi: palcem prawej ręki wskazuje na Tego, który jest jedyną drogą, prawdą i życiem człowieka – na Baranka Bożego, a w lewej trzyma zwycięski sztandar. Można w tym widzieć aluzję do głębokiego sensu jego kazań ukazujących jako naszą drogę i cel Chrystusa ofiarowanego za nas i zmartwychwstałego.

### Kaznodziejska spuścizna Taulera

W roku śmierci Tauler cieszył się sławą jednego z największych kaznodziejów swojej epoki. Za życia otoczony był oddanymi mu uczniami i przyjaciółmi, entuzjastami jego nauki, spośród których niejeden przeszedł do historii. Ale o jego popularności i wpływie bardziej jeszcze świadczą niezliczone rękopisy

jego kazań niemieckich i w tłumaczeniach, zapisane ręką współczesnych mu słuchaczy oraz wielka liczba innych przypisanych mu dzieł.

Tauler nie pozostawił po sobie pism, nie da się też stwierdzić z całą pewnością, czy swoje kazania przygotowywał w formie pisemnej, a w każdym razie nie wiadomo, że sporządził jakiś wzorcowy i autoryzowany ich zbiór – odpowiednik *Exemplar* bł. Henryka Suza. Że zaś nie przebrzmiała szybko po śmierci ogromna sława tego potężnego w słowie kaznodziei, jaką cieszył się u współczesnych, że jego płomienne homilie nie przestały pouczać, budować i porywać następnych pokoleń aż po nasze czasy, zawdzięczamy to pilnym słuchaczkom Taulera, biegłym w sztuce pisania, zwłaszcza dominikankom strasburskim z klasztoru św. Mikołaja in Undis, entuzjastkom mistrza. Posługując się swą, wypracowaną w średniowieczu stenografią, spisywały je one na żywo bądź też odtwarzały później z pamięci. Służyły im one przede wszystkim do osobistej medytacji, ale były też z pewnością często wypożyczane innym. W ten sposób zaczęły kursować po klasztorach w coraz liczniejszych odpisach całe zbiory kazań Taulera – wypożyczane, podawane z rąk do rąk stanowiły kopalnię tematów do rozmyślań, służyły jako czytanie duchowne, a także jako przewodnik po drogach prowadzących do zjednoczenia mistycznego z Bogiem.

Dla jego głębokiej wiedzy często nazywano go „Doctor illuminatus”, a w sto lat po jego śmierci J. Meyer w dziele *Liber de illustribus viris ordinis praedicatorum* (*Księga o znamienitych mężach Zakonu Kaznodziejskiego*) sylwetkę jego zarysował w następujących słowach: *Johanes Teutonicus, dictus Tauler, homo Dei, praedicator egregius litterarum scientia clarus* (*Jan Niemiec, zwany Taulerem, mąż Boży, znakomity kaznodzieja, słynny nauką*). Duchowe wskazówki Taulera znalazły wielu gorących zwolenników w kręgach pietystycznych, odcinających się od teologii scholastycznej, a nierzadko również od zbyt uwikłanego w sprawy doczesne kleru.

Sława Taulera sprawiała, iż pod jego nazwiskiem zaczęto umieszczać coraz więcej kazań, których on nigdy nie wygłosił. Pierwsi wydawcy *Kazań* stanęli wobec problemów niemal nierozwiązalnych, a współczesnej krytyce, dążącej do ustalenia tekstu oryginalnego, też nie pozostawało nic innego, jak oprzeć się na rękopisach. Rozsiane są one po bibliotekach dziesiątków miast całej środkowej Europy, a przede wszystkim Niemiec Zachodnich, Szwajcarii, Niderlandów – co wymownie świadczy o popularności tego kaznodziei. Pierwszego krytycznego wydania *Kazań* w oryginalnym języku dokonał F. Vetter (Berlin 1910). Według opinii badaczy zachowują one wartość po dziś dzień. Na nim zasadniczo oparł się w swym tłumaczeniu na język francuski A. L. Corin. Pierwsze tłumaczenie na współczesny język niemiecki, dokonane przez Lehmana, wydano w 1913 roku.

### Zjednoczenie duszy z Bogiem – podstawowy temat kazań Taulera

Na temat sposobu wygłaszania kazań przez Taulera nie zachowały się niemal żadne przekazy, poza notatką pewnej zakonnicy, która po latach wspo-



mina usłyszaną w Bazylei naukę zakonnika i ciągle jeszcze pozostaje pod jego wrażeniem. Tauler często przemawiał do osób dobrze sobie znanych; zwłaszcza pośród sióstr dominikanek czuł się jak w rodzinie. Zwrot „drogie dzieci”, nieraz pojawiający się na początku i w środku homilii, brzmiał w tym środowisku zupełnie naturalnie i nie miał w sobie nic z paternalizmu, zwłaszcza używany wobec młodszych sióstr, nowicjuszek i postulantek. Wrażenie żywego kontaktu Taulera z audytorium sprawia też nierzadko się pojawiające przechodzenie z liczby mnogiej lub z formy nieosobowej do bezpośredniego „ty”.

Tauler w swoich kazaniach nie zachowuje rygorystycznego planu. Jedynymi stałymi elementami są: wprowadzenie zawierające cytaty z Pisma Świętego, najczęściej z Ewangelii, część zasadnicza i formuła końcowa. Znaczący epoki stwierdzają w *Kazaniach* istnienie pewnych, często wówczas stosowanych technik kaznodziejskich, do których należały między innymi typologizacja, pytania retoryczne, pozorowane dialogi, cytowanie uznanych autorytetów, drastyczne słownictwo czy odpowiedzi na domniemane zarzuty, ale zarazem zauważają, że nie odpowiadają one w całości skomplikowanym kanonom średniowiecznej homilii.

W porównaniu z przykładami literatury mistycznej *Kazania* Taulera wyróżniają się nie tylko samym swym rodzajem literackim, ale – co jeszcze rzadsze – mają bliski związek z liturgią. Ogromna ich większość została wygłoszona w nawiązaniu do określonej niedzieli lub święta roku kościelnego i oparta na odpowiadających im czytaniach Pisma Świętego. Zaledwie siedem – to kazania na tematy okolicznościowe. Nie oznacza to jednak, że wszystkie były głoszone w czasie mszy świętej. W większości wypadków Tauler zakłada, że słuchacze jego mają w pamięci słowo Boże przypadające na dany dzień, cytuje więc tylko pierwsze słowa albo też od razu wybiera z nich zdanie lub jego urywek, który chce szerzej w swym kazaniu rozwinąć. Cytuje na ogół z pamięci, czasem robi więc pomyłki, ale wierne przytoczenie tekstu nie jest dla niego najważniejsze. Nierzadko jest to parafraza czy przystosowanie tekstu odpowiednio do tematu kazania, połączone nawet z jego modyfikacją, mającą na celu lepsze podprowadzenie tekstu pod to, co Tauler chce powiedzieć. Ma się nie raz wrażenie, że słowa Pisma Świętego są dla niego pretekstem do rozwinięcia jakiegoś tematu. Odcinając się od panujących wtedy zwyczajów Tauler unika makaronizmów; jeśli nawet cytuje – z reguły na początku, a nieraz i w trakcie kazania – słowa lub zwroty łacińskie, tłumaczy je na niemiecki.

Większe zdziwienie niż swoboda czy wręcz dowolność w cytowaniu Pisma Świętego budzić może u dzisiejszego czytelnika sposób jego wykładania. Średniowiecze rozróżniało cztery sensy biblijne, stosowane zwłaszcza w teologii: historyczny (ściśły, dosłowny), moralny, obejmujący zagadnienia moralne i ascetyczne, alegoryczny (mistyczny), mówiący o życiu wewnętrznym oraz anagogiczny, dotyczący życia przyszłego. Sensem dosłownym, a czasem nawet moralnym cytowanych słów Tauler prawie że się nie zajmował, zakładając ich znajomość u swoich słuchaczy. Przechodził natomiast bezpośrednio do wyja-

śniania ich głębszego znaczenia, koncentrując się na wspólnym temacie wszystkich swoich *Kazań*, to jest na zjednoczeniu duszy z Bogiem, które dokonuje się w głębi ludzkiej duszy. Często stosuje przy tym wykład alegoryczny – to jest ten rodzaj sensu przenośnego, w którym przy wykładzie Pisma Świętego wszystkim słowom cytowanego tekstu oprócz znaczenia dosłownego przypisuje się sens wyższy, duchowy. Tak np. pięciu mężów Samarytanki, z którą Jezus rozmawiał przy studni Jakubowej, może oznaczać pięć zmysłów. Dziś tego rodzaju wykład może nieraz razić i wydawać się nadinterpretacją tekstu. Ale przecież i my, komentując np. cud uzdrowienia głuchoniemego, łatwo przechodzimy do „otwarcia” oczu i uszu duszy. Patrystyka i średniowiecze stosowały taki zabieg nagminnie. Źródłem tej praktyki był, o dziwo, wielki szacunek do Pisma Świętego, wyrażający się w przekonaniu, że ograniczenie się do sensu dosłownego uwłaczałoby godności Bożego Objawienia, każde więc niemal słowo należało traktować jako odskocznnię do tajemnicy.

Po krótkim wprowadzeniu Tauler przechodzi bezpośrednio do rozwijania wybranego na dany dzień tematu. Jeśli osobliwością *Kazań* jest, jak wspomnieliśmy, ich powiązanie z liturgią, nie znaczy to, że wyjaśnia on systematycznie wszystkie przypadające na niedzielę czy święto teksty, albo że poświęca więcej uwagi kolejnym misteriom roku kościelnego. Jedynym tematem naprawdę interesującym Taulera jest zjednoczenie mistyczne i każdy cytowany tekst biblijny stanowi dlań natchnienie do rozwinięcia jakiegoś aspektu tej *unio mystica*. Bezpośrednimi jego słuchaczami były siostry dominikanki, beginki bądź świeccy ludzie, których ożywiało jedno wspólne pragnienie szczerego poszukiwania Boga. Stąd obok wzniosłych rozważań teologicznych na temat przeobstwienia człowieka, pełno w jego *Kazaniach* drobnych szczegółów z życia codziennego danej wspólnoty. Jest to wskazówka, że sprawy najważniejsze dokonywać się mogą w szarzyźnie dnia powszedniego. Tauler nie traci jednak z oczu szerszego ogólnokościelnego, a nawet kosmicznego kontekstu, w którym ma się dokonywać zjednoczenie duszy z Bogiem. Formą swoją związana z konkretnym środowiskiem i epoką nauka *Kazań* odnosi się do każdego człowieka, niezależnie od tego, czy żyje w klasztorze, czy w środowisku świeckim. Jest to po prostu nauka o drodze człowieka do Boga.

Na próżno szukalibyśmy na końcu każdego kazania jakiegoś podsumowania jego treści. Zamiast tego, nieraz w kulminacyjnym punkcie rozwijanej myśli, znajdujemy krótką, stereotypową formułę końcową, sprowadzającą się do słów: „niech nam Bóg dopomoże, by stało się to również naszym udziałem” i wyrażającą, niczym akt strzelisty, gorące pragnienie osiągnięcia tego daru Bożego, o którym była mowa w nauce.

Podobnie jak inni mistycy, Tauler ucieka się często do porównań, obrazów i symboli. Jest to zupełnie zrozumiałe w tej dziedzinie ludzkich doświadczeń i wiedzy. Jak bowiem inaczej wyrazić niewyraźalne w ludzkich pojęciach rzeczywistości, jeśli nie za pomocą metafory i alegorii? Za wzorem Chrystusa wy-

kładającego najwznieślijsze tajemnice za pomocą przypowieści, mistycy wszystkich czasów korzystali z tego środka, a patrystyka i średniowiecze nagromadziły niemały skarb porównań i obrazów, z którego czerpał również i Tauler. Ogromne słońce, całe odbijające się w małym lusterku, prace w winnicy i na roli, polowanie z nagonką – to pierwsze z brzegu przykłady. Czytając *Kazania* trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Tauler nie był mistrzem w posługiwaniu się obrazami i nie posiadał szczególnie plastycznej wyobraźni. W odróżnieniu od swego współbrata Henryka Suzo nie był artystą malarzem, zbyt mało w jego obrazach ruchu, życia i barw – środków, którymi utalentowany kaznodzieja może oddziaływać na wyobraźnię słuchaczy i przykuwać ich uwagę.

Zatem nie forma przede wszystkim decyduje o wartości *Kazań* i wielkości Taulera. Kaznodziejski jego geniusz nabiera pełnego wyrazu dopiero wtedy, gdy on sam, zapatrzony w cel duchowego *itinerarium* człowieka, pragnie swych słuchaczy porwać za sobą i wywieść na niedosięte szczyty życia wewnętrznego, tam gdzie dusza zatracą siebie samą i przez łaskę staje się tym samym, czym Bóg jest z natury. W takich momentach nawet czytelnikowi *Kazań* udziela się zafascynowanie kaznodziei-mistyka rzeczywistością tu, na ziemi przeczowaną raczej niż rozumianą. Takie teksty zdradzają polot poetycki, przenikają do głębi i wstrząsają. Jeśli Mistrz Eckhart przemawia w kazaniach do rozumu, Suzo zaś apeluje do serca, Tauler oddziałuje przede wszystkim na wolę, pobudzając ją do wejścia na drogę nawrócenia i całkowitego zaufania Bogu.

Jan Tauler OP

## *Kazanie 19*

Drugie kazanie Jana Taulera na Wniebowstąpienie Pańskie mówi o pięciu rodzajach niewoli, w jakiej pozostają ludzie na tym doczesnym świecie, i jak zły duch utrzymuje ich w tym jarzmie oraz o sposobie odzyskiwania wolności.

*Ascendens Christus in altum, captivam duxit captivitatem* – Chrystus wstąpiwszy do góry, wziął do niewoli jeńców (Ef 4, 8).

Pan nasz, Jezus Chrystus, wstąpił do nieba i wziął ze sobą do niewoli jeńców. Jest pięć rodzajów niewoli, które człowieka boleśnie pozbawiają w tym życiu wolności, a które Chrystus usuwa i wyswobadza z nich ludzi, kiedy realizuje w nas swoje wstępowanie.

Pierwsza z nich polega na tym, że człowiek staje się niewolnikiem miłości do stworzeń, żywych czy martwych, jeśli nie kocha w nich Boga. Chodzi tu szczególnie o miłość ku człowiekowi, która ze względu na podobieństwo zachodzące między ludźmi, jest tak bliska naszej naturze.

Trudno po prostu wypowiedzieć, jak wielkie wynikają z niej szkody. Występują one w dwóch formach. Jedni uznają swoją winę, boją się, odczuwają ból i trwogę, mają wyrzuty sumienia i sami stawiają sobie zarzuty. Jest to szlachetny i dobry znak, że Bóg ich nie opuścił; zaprasza On bowiem człowieka dniem i nocą, nawet kiedy ten je czy pije. Szczęśliwy, kto nie zatyka sobie uszu i słyszy te wezwania.

Są jednak również ludzie, którzy w tej niebezpiecznej niewoli czują się bardzo swobodni, zupełnie zadowoleni i uważają się za sprawiedliwych, a są przy tym głusi i ślepi. Pełnią oni wiele dobrych uczynków, śpiewają, czytają, zachowują milczenie, spełniają różne posługi i dużo się modlą – wszystko to jednak, po to by tym łatwiej móc robić, co sami chcą, i by im nie przeszkadzało cieszyć się Bogiem i ludźmi. Pobożność ich jest tak wielka, że doprowadza ich aż do łez, i czują się z tym bardzo dobrze. Znajdują się oni jednak w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż ulegają działaniu Nieprzyjaciela, który chce ich w ten sposób zatrzymać w niewoli.

W podobnych sytuacjach natura wprowadza człowieka w błąd i nawiedzają go wielkie ciężkie pokusy; byłoby dla niego o wiele lepiej wcale się w takim stanie nie modlić, gdyż modlitwy przynoszą mu wówczas szkodę. Korzystniejsze byłoby dla niego, gdyby spadł na niego wielki ucisk, udręka i smutek, wtedy bowiem mógłby się o wiele szybciej wyzwolić z niepokojącej, groźnej niewoli. Jeśli takim zaskoczy go śmierć, z całą pewnością pozostanie on na wieki niewolnikiem diabła. Z tego zaś nikt go już nie wybawi.

Druga niewola polega na tym, że wielu ludzi, zaledwie zostali wyswobodzeni z pierwszej, tj. z miłości do stworzeń w rzeczach zewnętrznych, natychmiast popadają w miłość do swego własnego „ja”. Przedziwna to rzecz, jak miłość ta wydaje się im niewinna i usprawiedliwiona; nikt ich za nią nie gani, a i oni sami nie robią sobie z jej powodu żadnych wyrzutów. Okryli ją tak pięknym płaszczem, nadali jej pozory takiego dobra i piękna, że niczego nie można im tu zarzucić. W tym egoizmie posuwają się tak daleko, że zmusza ich to do szukania we wszystkim swego własnego: własnej korzyści, przyjemności, pociechy, wygody i uznania, a pogrążają się tak głęboko w tym swoim własnym „ja”, że we wszystkich rzeczach, nawet w Bogu, swego tylko szukają i nic innego.

A kiedy zajrzeć do ich głębi, ach! czegoż tam nie można znaleźć. Pod pozorami wielkiej świętości ileż w tej głębi odkrywamy fałszu! Ach, jakże trudno dopomóc ludziom, którzy próbują pro-

wadzić życie wewnętrzne z taką słabą naturą i o tak ziemskich kategoriach. Jakże trudno ich uwolnić z tej niewoli! Któż może dopomóc takim niewolnikom natury? Z pewnością nikt poza Bogiem. W takim stanie tyle rzeczy wydaje się koniecznych. Gdziekolwiek by się obejrzeć, zjawiają się jakieś potrzeby a tu człowiek czuje się taki mały, taki kruchy! A do tego często się zdarza, że ktoś zabiera lub narusza nasze dobra, np. jakąś wygodę, przyjaciela, dobra zewnętrzne czy jakąś pociechę. Wówczas złym słowem, mściwym postępowaniem, kłamstwami lub wyjawianiem tajemnic, odpędzamy Boga daleko od siebie. Człowiek przestaje już wtedy być człowiekiem, staje się wściekłym psem czy żarłocznym wilkiem. O, tak, miłość własna – to niewola bardzo niebezpieczna!

Trzecia niewola to jarzmo (naturalnego) rozumu. Wielu ludzi głęboko w nią popada, wszystko bowiem co powinno się zrodzić w ich duchu, czy to będzie nauczanie, czy jakieś prawdy, niszczą oni sami, chępiąc się swoim rozumem. Pyszną się tym, że rozumieją te rzeczy i potrafią o nich mówić. Przysparza im to co prawda uznania i pokłasku, nie prowadzi jednak do dobrych uczynków i poprawy życia. W świetle swego naturalnego rozumu interpretują oni nawet czcigodny przykład dany nam przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Gdyby spojrzeli nań w jasności Boskiego, nadprzyrodzonego światła, wydałby się im on zupełnie inny; różnica byłaby taka jak między płonąca pochodnią a blaskiem słońca. Światło naturalne w zestawieniu z Boskim jest jeszcze słabsze.

Różnicę między światłem Boskim a naturalnym stwierdzić można w sposób następujący: Światło naturalne pobudza do obnoszenia się ze wszystkim, a jego przejawami są pycha, upodobanie w sobie, próżna chwała u ludzi, cudze uznanie. Światło to, kierując wszystko na zewnątrz, przyczynia się też do rozproszenia zmysłów i ducha. Tam natomiast gdzie prawdziwie jest światło Boskie, człowiek pochyla się nisko, w kierunku głębi. Wydaje mu się, że jest najmniejszy, najgorszy, najślabszy i najbardziej ociemniały, chce też, żeby za takiego go uważano. Tak też powinno być, bo jeśli w nim jest coś z tej wewnętrznej postawy, pochodzi to w całości od Boga. Światło to nie kieruje się na zewnątrz, lecz ku wnętrzu, szukając tej wewnętrznej głębi, w której się ono zrodziło. Ze wszystkich sił spieszy tam ono na powrót. Całe działanie człowieka zmierza wówczas ku wnętrzu, ku korzeniom, z których wyrosło. Tam skwapliwie powraca.

Dlatego zachodzi wielka różnica między tymi, którzy Pismem Świętym żyją, a tymi którzy je tylko czytają. Ci którzy je czytają, chcą uchodzić za wielkich, szukają uznania i gardzą tymi, którzy nim żyją. Mają ich za głupców i za ludzi przewrotnych, złoścą im, dokuczają i potępiają ich. Ci zaś którzy Pismem Świętym żyją, siebie samych uważają za grzeszników, wobec innych zaś pełni są miłosierdzia. A bardziej jeszcze niż w życiu, różnią się oni od siebie w śmierci. Jedni znajdują życie, drudzy – śmierć wieczną. Św. Paweł mówi: Litera zabija, duch zaś daje życie (2 Kor 3, 6).

Czwarta niewola – to duchowe słodycze. Wielu popełnia tu błąd. Ponieważ oddawanie się im i rozkoszne ich posiadanie wydają się im wielkim dobrem, idą za nimi zbyt daleko – oddając się im bez umiaru, zbyt ich poszukując i w nich trwając. Natura otrzymuje tu swoją część, tam bowiem gdzie się nam zdaje, że mamy Boga, jest tylko rozkosz. Czy był to Bóg, czy natura, wskażą nam następujące znaki: jeśli człowiek odczuwa niepokój i trwogę, w chwili kiedy słodycz go opuszcza i znika, jeśli nie potrafi służyć Bogu i być Mu równie wierny, jak wtedy kiedy jeszcze odczuwał w sobie tę słodycz, wiemy, że Jego tam nie było. Gdyby człowiek cieszył się tą słodyczą nawet przez czterdzieści lat, może upaść bardzo nisko, gdy zostanie jej pozbawiony. A jeśli by ktoś, wspiąwszy się na najwyższy szczyt słodyczy, umarł w tym stanie, Bóg mimo to zastanawiałby się, czy ma go zbawić czy nie, i nawet wtedy ten człowiek mógłby się potępić.

Piątym jarzmem jest własna wola. Jest to niewola człowieka, który chciałby, żeby jego wola spełniała się nawet w rzeczach Bożych i w Nim samym. Gdyby On dostosował się do woli człowieka i do jego pragnień, tak by mógł on uwolnić się od wszystkich grzechów i osiągnąć wszystkie cnoty i wszelką doskonałość, szaleństwem by było, wydaje się, nie chcieć i nie przyjąć czegoś takiego.

Przyszło mi jednak do głowy coś jeszcze lepszego. Gdybym moją wolę i pragnienie mógł dostosować do woli Bożej, tak bym powiedział: Nie, Panie, nie chodzi mi o otrzymywane przeze mnie łaski, dary czy o moją wolę. Chcę tego tylko, czego Ty chcesz i to przyjmuję. A gdybyś czegoś nie chciał, obejdę się bez tego, zniosę ten brak zgodnie z Twoją wolą.

Przy takim wewnętrznym nastawieniu, w takim zdaniu się na Boga, nawet jeśli zostajemy czegoś pozbawieni, więcej wtedy mamy i otrzymujemy, niż gdybyśmy brali i posiadali według własnej woli. Chętne i pokorne przyjmowanie wszelkich braków, posiadanie wszystkiego w całkowitym zdaniu się na Boga i w tym zaufaniu wyrzeczenie się własnej woli, przynosi człowiekowi większy pożytek, niż wszystko co mógłby on posiadać, czy będzie to Bóg czy stworzenia. Dlatego też człowiek uboższy w uczynki i słabiej prezentujący się na zewnątrz, ale za to sprawiedliwy i zdany na Boga, miłszy byłby mi niż człowiek dokonujący wielkich dzieł, wspaniale się prezentujący i wysoce inteligentny, ale mniej na Niego zdany.

Kiedy Pan przebywał wśród swoich uczniów, kochali oni tak bardzo Jego człowieczeństwo, że z powodu tej czystej miłości nie mogli dotrzeć do Jego Bóstwa. Dlatego powiedział On: Dobrze będzie dla was, jeśli was opuszczę, bo w przeciwnym razie nie przyjdzie do was Duch Święty Poczyciel (J 16, 7). Musieli oni czekać jeszcze czterdzieści dni na Jego wstąpienie do nieba, żeby wziął ze sobą ich serca i przemienił na serca niebieskie. Potem zaś jeszcze dalsze dziesięć dni – i dopiero wtedy Duch Święty, prawdziwy Poczyciel, został im posłany. Ich dni są dla nas latami. Ponieważ mieli oni być fundamentem dano im krótszy termin, tak że jeden dzień liczył się dla nich za jeden rok.

Cokolwiek człowiek by czynił, jakiegokolwiek stosowałby środki, nie zyska prawdziwego pokoju i nie stanie się człowiekiem prawdziwie niebieskim, zanim nie osiągnie czterdziestego roku życia. Do tego czasu zajmuje się on bowiem zbyt wielu sprawami, natura popycha go raz tu, raz tam, przybierając najrozmaitsze formy i często kieruje nim tam, gdzie według jego przekonania rządzi Bóg. Nie może więc on przed upływem tego czasu osiągnąć prawdziwego, pełnego pokoju ani stać się człowiekiem w pełni niebieskim. Następnie musi on czekać jeszcze dziesięć lat i dopiero wtedy zostanie mu naprawdę udzielony Duch Święty Poczyciel. Duch, który o wszystkim poucza. Tak więc uczniowie musieli czekać dziesięć dni, mimo że otrzymali już zaprawę życia i cierpienia, mimo że sami wszystko już opuścili i otrzymali najdoskonalsze przygotowanie, jakim było opuszczenie ich przez Tego, którego umiłowali nade wszystkim i ze względu na którego wszystko porzucili. On też wziął teraz ze sobą do nieba całego ich ducha, serce i miłość, tak że ich pragnienia, miłość, serce, dusza i w ogóle wszystko było teraz całkowicie w Nim i z Nim w niebie. Po całym tym przygotowaniu, po szlachetnych pouczeniach, musieli oni jednak czekać dziesięć dni i dopiero wtedy otrzymali Ducha Świętego.

Przebywali oni razem, zamknięci i zjednoczeni, i oczekiwali. Tak samo powinien postępować każdy człowiek. Mimo że osiągnąwszy czterdziesty rok życia, stał się człowiekiem rozważnym, Bożym i niebieskim i zapanował nad swoją naturą, trzeba mu jeszcze dziesięć lat. A dopiero gdy osiągnie pięćdziesiąty rok życia, otrzyma Ducha Świętego w najszlachetniejszy i najwyższy spo-



sób. Tego Ducha Świętego, który uczy go wszelkiej prawdy. W ciągu tych dziesięciu lat człowiek, który doszedł już do życia Bożego i przewycięzył swoją naturę, zwróci się ku sobie samemu, zanurzy się i zatopi w czystym, Boskim, prostym dobru wewnętrznym, w którym szlachetna iskierka duszy odchodzi i powraca do swego źródła w taki sam sposób, w jaki z nieba wyszła.

Tam gdzie ten powrót dokona się w całej pełni, odpuszczona zostaje wielka wina, nawet tak wielka jak winy wszystkich ludzi od początku świata razem wzięte. Dana zostaje też wielka łaska i szczęśliwość. Człowiek zaś staje się człowiekiem Bożym. Tacy właśnie ludzie są kolumnami świata i Kościoła świętego. Amen.

Cytat za: Jan Tauler, *Kazania*, przeł. i opr. W. Szymona, Poznań 1985, s. 157-163.





Święty Wincenty Ferrer OP  
(1350-1419)



# Kataloński mistrz kaznodziejstwa wędrownego i pokutnego

23 stycznia 1350 roku w stolicy Królestwa Aragonii Walencji przyszedł na świat Wincenty Ferrer. Imię, jakie Wilhelm i Konstancja Ferrerowie nadali swemu trzeciemu synowi nie było przypadkowe. Miastu bowiem patronował św. Wincenty męczennik. Pod koniec XIV wieku Walencja liczyła około 80 tysięcy mieszkańców. Wizerunek miasta tworzyła mieszanina gotyckich kościołów, meczetów oraz synagog dzielnicy żydowskiej, a także platanina muzułmańskich uliczek przeciętych traktami łączącymi rynek z bramami i rogatkami.

## W Zakonie Kaznodziejskim

Wincenty dorastał między konwentem św. Dominika, do którego wstąpił w siedemnaście lat później, a murem oddzielającym chrześcijańskie miasto od dzielnicy żydowskiej, zamieszkałej w tym czasie przez trzy tysiące ludzi. Wielu z nich uznawało potem Wincentego za sprawcę swoich nieszczęść, z racji jego rygorystycznej postawy w sprawie segregacji Żydów i chrześcijan. Ojciec dał synowi solidne podstawy intelektualne, skoro Wincenty, już jako zakonnik, uniknął zalecanych w hiszpańskiej prowincji zakonu dwuletnich *studia grammaticalia*, podczas których uzupełniano luki w znajomości łaciny i uczono rudymentów.

Do Zakonu Kaznodziejskiego Wincenty Ferrer wstąpił w 1367 roku. Mistrzem jego nowicjatu w Walencji był brat Tomasz Carnicer, postać znana i notowana w katalogach braci spisywanych przez zakonnych historyków. W latach 1370-1371 Wincenty studiował logikę w konwencie zakonu w Leridzie. Kurs nauczanych przedmiotów składał się z lektury i komentowania pism Arystotelesa wchodzących w skład tzw. *logica nova*. Przez kolejne trzy lata (1372-1375) Wincenty studiował teologię w Barcelonie będąc jednocześnie przez rok (w 1375 roku) wykładowcą dzieł filozoficznych Arystotelesa. *Księgi Sentencji* Piotra Lombarda – podstawowego kompendium teologii w średniowieczu – objaśniał Wincentemu mistrz Antoni Folquet, jeden z najstarszych *magistri in sacra pagina* w całej prowincji. Z Barcelony Ferrer powędrował do Tuluzy, gdzie przebywał w latach 1376-1378 na zakonnym *studium generale*, mając możliwość kontaktu ze środowiskiem uniwersyteckim. Teologii w Tuluzie uczyli Wincentego bracia Bernard i Piotr Audebert. Zwłaszcza ten drugi uchodził za znakomitego kaznodzieję. Ułożył on wiele rodzajów kazań i być może miały one wpływ na Ferrerową *maniera predicatoria*. Innym nauczycielem, który mógł wpłynąć na studenta z Walencji, był Arnold Bernard z Cahors, paryski teolog, późniejszy prowincjał. Wykłady jego oparte były na komentarzu do Apokalipsy i niewykluczone, że uczyły one Wincentego na interpretacyjne możliwości tego tekstu.

Po powrocie do Hiszpanii Ferrer był już człowiekiem wykształconym wedle miary swego zakonu i posiadającym pewne doświadczenie w nauczaniu. Był wiernym poddanym swojego króla. Ostatni władcy dynastii katalońskiej byli mu osobiście znani. Wincenty pełnił najpierw funkcję lektora w macierzystym konwencie i był jego przeorem (1379-1380), potem zaś rozpoczął sześcioletnią praktykę wykładowcy w szkole katedralnej w Walencji (1384-1390). Ukoronowaniem kariery naukowej w dominikańskim systemie kształcenia było zdobycie tytułu mistrza teologii. Wincenty otrzymał go około 1389 roku.

Równocześnie ze studiami teologicznymi odbywało się kształcenie specjalistyczne, obejmujące sztukę kaznodziejstwa. Bracia mieli obowiązek ćwiczenia się w mówieniu pod kierunkiem doświadczonych *exercitatores*. Do osiągnięcia sprawności prowadziła lektura podręczników głoszenia kazań, trenowanie pamięci, umiejętność zastosowania wyuczonych konstrukcji budowy kazania oraz koronujący je talent i elokwencja, określane przez teoretyków za pomocą terminu *gratia praedicationis*. Szczególnie wytrenowanie pamięci osiągnano przez żmudne studia i opanowanie numerycznego myślenia, dzięki któremu kolejne fragmenty kazania i rozkład argumentów podlegały zakodowaniu i były wykorzystywane w czasie mówienia.

### W służbie papieżstwu awiniońskiemu

Znaczący wpływ na dojrzewanie Ferrera wywarła wielka schizma zachodnia. Od 1378 do 1417 roku chrześcijaństwo miało dwie, a następnie trzy linie papieży: rzymską, awiniońską i pizańską z niegodnym Janem XXIII. Każdy papież powoływał swoich kardynałów, popieranych przez kraje ich pochodzenia. W rządach Kościoła odbijała się konieczność stawiania czoła monarchiom narodowym i bezsilność wobec zakusów polityków świeckich. Schizma rozdarła także zakony, które często miały dwóch zwierzchników. Nie inaczej było z dominikanami. Decyzje o poparciu Awinionu podjął sam generał zakonu Eliasza Raymond z Tuluzy. Starał się on wymusić posłuszeństwo braci nadal wiernych Rzymowi.

W ostatnich latach XIV wieku Ferrer zajmował wybitne miejsce w hierarchii awiniońskiego dworu papieża. Benedykt XIII lubił otaczać się przybyszami z Hiszpanii. Kronikarz Marcin de Alpartil wspominał, że w 1398 roku na dworze papieskim służyło 73 Katalończyków, 67 Aragończyków, 60 Kastylijczyków, 23 Nawarczyków oraz 27 przybyszy z królestwa Walencji, wśród tych ostatnich *magister in sacra pagina* Wincenty Ferrer. Gdyby nie decyzja zostania kaznodzieją wędrownym, Wincenty dostąpiłby zapewne godności kardynalskiej, Benedykt mianował bowiem aż jedenastu Hiszpanów.

Związek Ferrera z papieżstwem awiniońskim, a zwłaszcza z Benedyktem XIII (1394-1417), któremu przez trzy lata (1395-1398) służył jako spowiednik, skłaniał historyków do wielu refleksji, tym bardziej że z czasem, mimo rosnącej krytyki dla rozdziału władzy Piotrowej, pozostawał on wierny swej



decyzji z czasów młodości. Być może był w tym ślad psychologicznej więzi łączącej spowiednika z penitentem. Interpretacja psychologiczna zdaje się mieć rację bytu tym bardziej, że dalsze decyzje Wincentego – w tym najistotniejsza o wyborze życia wędrownego kaznodziei – spowodowane były napięciem powstałym wskutek tej lojalności. Być może przyczyną odejścia z Awinionu była wieść o wycofaniu w dniu 28 lipca 1398 roku obediencji przez Francję. Pozbawiało to Benedykta XIII politycznego oparcia, a dla Wincentego mogło być oznaką rozpadu chrześcijańskiej wspólnoty. Wiadomo, że zapadł wówczas na zdrowiu, zaś 3 października 1399 roku doznał cudownej wizji, którą opisał w liście do papieża dopiero 27 lipca 1412 roku.

### Kaznodzieja wędrowny

Ta poważna choroba, na którą zapadł w Awinionie, okazała się momentem zwrotnym w życiu Ferrera. W widzeniu nocnym ukazał mu się Chrystus w otoczeniu św. Dominika i św. Franciszka, nakazując mu podjęcie działalności kaznodziei apostołskiego. Obudził się cudownie uzdrowiony. Miał już prawie 50 lat, kiedy w święto św. Cecylii, 22 listopada 1399 roku, zaopatrzone przez papieża Benedykta w nadzwyczajne uprawnienia i pełnomocnictwa, wyruszył ku swemu życiowemu przeznaczeniu, jako posłaniec *a latere Christi*. Kaznodziejstwo do mas ludowych miało stać się ostatnią deską ratunku i nadzieją świata dążącego ku zagładzie. Przez dwadzieścia lat Wincenty pochłonięty był całkowicie misją kaznodziei wędrownego i pokutnego.

Od listopada 1399 do kwietnia 1419 roku Ferrer przemierzył znaczny obszar awiniońskiej Europy. Zachowane zapiski kronikarzy, zeznania świadków złożone w procesie kanonizacyjnym oraz noty z ksiąg miejskich nie wystarczają do precyzyjnego odtworzenia *itinerarium* Ferrera, umożliwiając jednak naszkicowanie ogólnego szlaku tych wędrówek. Początkowo, w latach 1399-1401, kaznodzieja odwiedził Carpentras, Aix i Marsylię, zapuścił się w alpejskie doliny Delfinatu i Sabaudii (1402 i 1403), gdzie spotkał heretyków – waldensów, odwiedził Genewę (grudzień 1403) i Fryburg (styczeń-marzec 1404), głosił nauki w Lyonie (jesień 1404), zawitał do Ligurii przemawiając w Vercelli (1406) i Genui (1405 i 1408). Adwent i wielki post 1407 roku spędził w Clermont-Ferrand, wielokrotnie przebywał w Katalonii (1408-1409, 1412-1413), głosząc kazania w Barcelonie, Tortosie i w swojej rodzinnej Walencji. Odwiedził też Majorkę (1414), nauczał w Murcji (adwent 1411) i w Toledo (czerwiec-lipiec 1411). W latach 1415-1416 przewędrował przez miasta Langwedocji, potem zaś odwiedził Burgundię i Owernię. Ostatnią misję przeprowadził w Bretanii oraz w trawionej wojną Normandii. Podczas tej wyprawy zmarł w Vannes 5 kwietnia 1419 roku.

Warto przyrzeć się wysiłkowi kaznodziejskiemu wielkiego Katalończyka z końcowego, a więc najbardziej dojrzałego okresu jego działalności. W czasie wielkiego postu i Wielkanocy 1416 roku Wincenty przebywał w Tuluzie i jej oko-

licach. Wędrował wówczas przez francuskie południe, kraj do niedawna jeszcze wrogi mendiakom, pamiętający działalność inkwizytorów i trawiony utajoną heterodoksją. Etapy wędrówki: Carcassonne, Albi, Castres i Villefranche, to ośrodki wygaszonej na pół wieku przed przybyciem kaznodziei herezji katarskiej. W początku XV wieku średnie warstwy mieszczaństwa – grupy uprzednio przychylnie heretykom – poddały się już prowadzonemu przez mendiaków procesowi odzyskania dusz i podporządkowały się nowej teologii praktycznej głoszonej przez zakony żebracze. Wincenty nie napotkał na południu katarów i problematyka ta obca była jego naukom głoszonym do mieszkańców miast uznawanych sto lat przedtem za bastiony herezji. W jego kazaniach obecny był natomiast stały i silny nacisk na wymogi codzienności, zwłaszcza angażowanie słuchaczy wokół zagadnień chrystologii oraz zachęta do zachowań pokutnych. W miejsce wymazanego ze społecznej pamięci katarskiego „doskonałego” Wincenty stawiał postać księdza-spowiednika. „Winieneś zwrócić się do przyjaciela i wszystko mu powiedzieć [...] Przyjacielem tym jest spowiednik, większym niżli ojciec i matka” (*Sermones* 1485, k. 77<sup>v</sup>) – pouczał.

W środę 27 maja 1416 roku młody dominikanin Jan Massa wybiegł wraz z innymi mieszkańcami Castres, aby zobaczyć i powitać słynnego Katalończyka. Po latach opowiadał, iż zobaczył starca, który zdążył ku miastu niosąc swoje księgi, a zwłaszcza Biblię, podstawę i źródło wiedzy zakonnika. Wincenty nauczał w Castres przez 8 dni. Jan Massa widywał go wielokrotnie. Pamiętał, że Wincenty modlił się w kościele katedralnym leżąc krzyżem na posadzce, widywał go u grobu swego patrona, męczennika z Saragossy, zdołał nawet wypatrzeć, jak w swojej celi modlił się i czytał Pismo Święte; słuchał go, kiedy stojąc na podwyższeniu wzniesionym na cmentarzu przemawiał do wiernych. W kazaniach podjętych w Castres Katalończyk mówił o sposobach modlenia się. Wymieniał cztery: zwrócenie oczu ku niebu, wyciągnięcie dłoni, które objaśniał przywołując znany słuchaczom gest zakonnika proszącego o datkę, klęczenie, tak dobrze osadzone w ikonografii pasyjnej i wykładane w taki sposób, aby wierni zrozumieli potrzebę ukłęknięcia na oba kolana oraz prostrację – sposób, który sam publicznie demonstrował. W piątek 29 maja pouczał mieszkańców Castres, że w Dniu Sądym cały lud zbierze się w Dolinie Jozafatowej, a Jezus przybędzie, aby sądzić, nie sam jednak, ale ze wszystkimi aniołami i świętymi. Dla grzeszników – ostrzegał – nastanie wówczas nie tylko czas kary, lecz i wstydu. Przywiedzenie drugiego motywu dowodzi, że Wincenty dobrze rozumiał psychologię miejskiej wspólnoty, w której bardzo wielu ludzi znało się osobiście. „Ależ wstyd będzie! Wielu uznanych za dobrych i sprawiedliwych potępionych zostanie. [...] Rozejrzycie się wówczas i powiecie: a ten? czyż nie był pobożny? Ależ nie! Bezecny hipokryta, na pobożnego wyglądał, lecz był zły i nieposłuszny. Także z klerykami, z rycerzami, z doktorami, z bogatymi lichwiarzami. To samo o kobietach, co rodzą w tajemnicy, zanim do ołtarza dojdą” (*Sermones* 1485, k. 70 nn).

Wincenty groził mieszkańcom Castres sądem Bożym i napominał. Zanim odszedł, przedstawił możliwość zbawienia i drogę doń prowadzącą. Ostatniego dnia pobytu, w czwartek 4 czerwca, pouczył wiernych o znaczeniu chrztu. Zarówno ten z wody, przynależny wszystkim chrześcijanom, jak i z krwi, dany wybranym – męczennikom – były opoką, na której cnoty tworzyły pomost ku Bogu. Nawet dziś – twierdził kaznodzieja – droga męczeństwa otwarta jest dla wielu. Pojęcie męczeństwa uzyskało w wykładzie Ferrera znamiona codzienności. „Jeśli zabijają kogoś, kto broni wspólnoty, to, po sprawiedliwości, zostanie męczennikiem. Jeśli pan sługę ubije, który nie chciał dziewczki mu sprowadzić – oto męczennik i przez bramę czystości do miasta niebieskiego wejdzie. To samo o mężatce, która nie chce oddać się mężowi w sposób bezprzystojny. Takż o notariuszu czy świadku, którzy fałszywego świadectwa nie chcą złożyć. Kiedy ich zabiją, męczennikami się stają i przez bramę sprawiedliwości wchodzą do grodu niebieskiego” (*Sermones* 1485, k. 80-82). Ostatnim pouczeniem Wincentego dla mieszkańców Castres był nakaz miłości. Cnota ta, w przekonaniu kaznodziei, miała zagwarantować spójność społeczeństwa i szansę nawrócenia dla grzeszników.

Następnie Wincenty przemierzył 42 kilometry i 5 czerwca przybył do Albi. W dawnej twierdzy katarów, mieście liczącym wówczas około 10 tysięcy mieszkańców, witał go m.in. Alric la Roche, czternastoletni uczeń. Kataloński kaznodzieja dotarł do Albi w okresie Zielonych Świątek i przebywał w mieście przez tydzień. Zeznania ucznia na procesie kanonizacyjnym Wincentego dowiodły, iż świetnie zapamiętał on ten wyjątkowy okres i po latach potrafił nie tylko zidentyfikować tematy kilku kazań, ale i przypomnieć sobie, że kaznodzieja stojąc na podwyższeniu przy konwencie minorytów, otoczony wielkim tłumem, mówił o wadach i grzechach, o karze piekielnej i radościach niebiańskich oraz o Duchu Świętym. Alric oddał zasadniczy zrąb motywów omawianych przez Wincentego. W wigilię Zielonych Świątek Ferrer gromił słuchaczy ukazując im grzechy społeczne i jednostkowe. Za pierwsze uważał wykroczenia przeciwko wewnętrznemu porządkowi życia wspólnoty i nawoływał, aby nie grano w kości, aby ludzie nie żyli w konkubinacie oraz aby kobiety złego prowadzenia usunięto z miejsc publicznych. Za grzech prywatny uznał machinacje lichwiarzy, którzy sami, albo za pośrednictwem Żydów, osiągnęli naganne zyski (*Sermones* 1485, k. 88<sup>v</sup>). Cykl kazań z Albi realizował w skrócie program pozytywnego działania, budowany i rozwijany w całym przesłaniu kaznodziei. Zalecał on posłuszeństwo i respekt wobec hierarchicznie urządzonych struktur społecznych, solidaryzm stanów i grup, wierność doktrynie i odrzucenie elementów uważanych za obce kulturowo, a także podporządkowanie się korporacyjnej i organicznej konstrukcji społecznej. Alric la Roche był głęboko poruszony i twierdził, że kaznodzieja *excellenter et mirabiliter predicavit*. Tłum w Albi reagował na słowa Wincentego gwałtownymi manifestacjami pobożności. Po niesporach odbywały się procesje ze śpiewem, pojawili się też biczownicy z zakrytą twarzą. Wielu ludzi biegło ku kaznodziei, aby dotknąć lub całować jego dłonie.

Z Albi kaznodzieja udał się do odległego o 22 km Galliac i nauczał tam o znaczeniu poprawnego wykonania znaku krzyża. W dniu 14 czerwca 1416 roku przybył do Cordes i wyłożył zebrany naukę o grzechu spowodowanym niewłaściwym użyciem imienia Bożego, 18 czerwca, na Boże Ciało, stanął już w Najac, a 22 wjechał do Villefranche siedząc na osle. Także i w tym mieście ludzi ogarnęła gorączka słowa; wszyscy chcieli usłyszeć i zobaczyć słynnego kaznodzieję.

W czwartek 14 kwietnia 1418 roku Wincenty przemawiał w klasztorze S. Gildas des Bois w Bretanii do mieszanego, świeckiego i duchownego audytorium. Świadomość tej różnicy nie umknęła jego uwadze i powodowała, że konkretne zalecenia poprzedzone były zwróceniem się do odpowiedniego adresata. Mówił: „Wiecie, wy kapłani, że trzeba uważnie czynić swą posługę, godnie i pobożnie mszę odprawiać i prowadzić się uczciwie. Jakaż chwała czeka takiego księdza! Mnisi: przestrzegajcie obowiązków reguły: posłuszeństwa, ubóstwa, czystości i zwyczajów klasztornych. Jakaż chwała czeka takiego mnicha!”. Po wygłoszeniu tych ekshortacji zwracał się do świeckich i zalecał im przestrzeganie dziesięciorga przykazań i dokonywanie dobrych uczynków. *Reportatio* kazania zachowało typowy schemat: deklarację tematu ewangelicznego, protemat zawierający wspólnie z wiernymi odmawianą modlitwę maryjną oraz korpus tekstu zorganizowany wokół trzech zasadniczych argumentów. Zanotowane kazanie zaopatrzone w aparat cytatów. Blisko 13 proc. zapisanego tekstu stanowiły odniesienia do autorytetów, przeważnie do Pisma Świętego oraz do dzieł Grzegorza Wielkiego, Boecjusza, Augustyna i Tomasza z Akwinu.

Kazanie średniowieczne znacznie bowiem różni się od naszych współczesnych wyobrażeń o tym gatunku. Umiejętności kaznodziejskie polegały wówczas na sztuce zestawienia i powiązania jak największej liczby cytatów uznanych autorytetów, tzw. *auctoritates*. Kazania Wincentego nie odznaczają się nadmiernym bogactwem cytatów. Pośród cytowanych ojców Kościoła dominował św. Augustyn, fundament średniowiecznej teologii. Ferrer czytał jego liczne komentarze do Pisma Świętego, a także teksty pomocne w pracy duszpasterskiej. Inne cytowane traktaty ojców ukazują erudycję Ferrera. Cytował więc: *Hexameron* św. Ambrożego, dostarczający przykładów na duchowy wykład Pisma Świętego, traktat *De Trinitate* św. Hilarego z Poitiers, wykład cnót chrześcijańskich *De viris illustribus* św. Hieronima, a także przejmowane raczej z drugiej ręki fragmenty dzieł świętych Jana Damasceńskiego, Atanazego, Jana Chryzostoma, Cypriana i Dionizego. Ferrer odwoływał się do twórczości Bedy Czcigodnego, którego *De natura rerum* pozostawało podstawowym tekstem kosmologii i geografii, a ułożone przez niego teksty szkolne wykładały gramatykę oraz figury i tropy Pisma Świętego. Znał także dzieła Grzegorza Wielkiego: alegoryczny komentarz *Moralia in Job* oraz słynne *Dialogi*. Wiele pojedynczych wzmianek pozwala poznać właściwy zakres lektur Wincentego. Szczególne miejsce w intelektualnej konstrukcji wincentyńskiego kaznodziejstwa zajmował św. Tomasz z Akwinu. Ferrer cytował Akwi-

natę najczęściej wśród wszystkich autorytetów teologicznych. Lektura pism Tomasza służyła mu nie tylko w wyjaśnianiu teologicznych zawłości, ale stanowiła fundament rozumienia społeczeństwa. Obok Biblii właśnie dzieła św. Tomasza były podstawową lekturą wykorzystywaną przez Wincentego, a jedną z nielicznych ksiąg, które stale woził ze sobą, był egzemplarz Tomaszowej *Summy*, na który nanosił własne notatki.

## W kuchni Ducha Świętego

Kazania Wincentego zachowały się w wielu rękopisach w formie *reportationes*, spisywanych ze słuchu przez różnych, także okazjonalnych pisarzy. Już sam poziom ich własnego wykształcenia determinował w określony sposób kształt zapisywanych tekstów. Dalszym utrudnieniem było umyślne pomijanie przez kopistów pewnych fragmentów wypowiedzi kaznodziei. Dotyczyło to zwłaszcza obszernych partii narracyjnych. Przykładem takiego zabiegu jest redukcja materiału hagiograficznego. Kazanie podporządkowywało zwykle świętą legendę formie egzemplum i dostosowywało ją do potrzeb argumentacji. Wincentyńskie *reportationes* często zaznaczały jedynie początek opowieści, natomiast jej fabularne rozwinięcie pozostawało niezapisane. Ślady obfitego korzystania z hagiografii można jednak zauważyć zwłaszcza w kazaniach *de sanctis*, w których Ferrer posługiwał się matrycą żywotów czerpiąc w nieskrępowany sposób z *Legenda aurea* Jakuba de Voragine.

Kaznodziejstwo trzynastowieczne, przy dużym wkładzie mendikantów, wypracowało model kazania *ad status*. Z tekstów kazań wynika, że ziomkowie Wincentego byli ludźmi zamożnymi, ubierali się bogato tak pod względem gatunku tkanin, jak i kroju szat i dawali dzięki temu kaznodziei możliwość wielostronnego rozgrywania motywu potępienia luksusu. Oskarżenie moralisty dotyczyło przede wszystkim stylu życia. Wnioskując z kazań Ferrera Katalończycy trawili czas na naganne gry oraz słuchali muzyki. Byli gwałtowni, nosili broń, obrzucali się wyzwiskami, przekraczali miejskie prawa i cierpieli traktowani wymyślnymi narzędziami tortur. Obraz ten, na pierwszy rzut oka ubogi, możliwy zarówno do wzbogacenia, jak i weryfikacji, zbudowany jest w kategoriach najbardziej ogólnych, przynależnych wszystkim stanom i kategoriom społecznym, nasycony pojęciami i terminami wywiedzionymi z językowej tkanki przenikającej i spajającej całą wspólnotę. Wśród dziesięciu grup grzeszników, które wymieniał kaznodzieja, znajdowali się ludzie Kościoła: prałaci-symoniacy, rozpustni i bogaci zakonnicy, mniszki zasługujące na karę różgi oraz grający w kości księża-kobieciarze. Świeccy wymieniani w tym wyliczeniu nie byli określani jedynie za pomocą nazw wykonywanych zawodów, ale także pod kątem naganego zachowania. Wincenty wspominał prawników i notariuszy, którzy „pożerają” ubogich, bogatych kupców żyjących z fałszerstw, ale także stręczycieli, rozpustników, próżne kobiety i prostytutki. Zbiory kazań *ad status*, zarówno wygłoszo-



nych w rzeczywistości, jak i wzorcowych, mających służyć za materiał do komponowania nowych tekstów, były zapisem doświadczeń nauczycieli i uczniów; położyły one podwaliny pod kaznodziejstwo skierowane do mas.

Wincenty powiadał, iż słowa Biblii są strawą duszy. Strawę tę przygotowują kaznodzieje przepowiadający słowo Boże. W domu Pana urząd ten jest skromny, lecz ważny. Tak jak kucharz, kiedy inni śpią, przygotowuje strawę, tak i kaznodzieja, kiedy inni śpią i odpoczywają, pichci w kuchni Ducha Świętego strawę na ogniu miłości i pobożności, w oleju pamięci. Korzystając z Ferrerowej metafory dodać należy, iż warząc duchową strawę ludowy kaznodzieja dorzucał do niej zarówno uczone, jak i ludowe przyprawy. Na tym właśnie ciągłym nakładaniu się i przenikaniu treści sytuować należy społeczną funkcję i kulturowy wymiar średniowiecznego kaznodziejstwa skierowanego do ludu.

### Słuchacze i miejsca głoszenia kazań

Wincenty nie był samotnym wędrowcem. Wielki kaznodzieja przybywał w otoczeniu wielu ludzi, którzy nieśli krzyże, odmawiali modlitwy, śpiewali pieśni i litanie. Kaznodziei towarzyszyła nieliczna grupka pomocników i współpracowników, uczniowie, kopiści i najwierniejsi słuchacze. Wielu też było pokutników, którzy biczowali się. Ludzie wstępowali do towarzyszącej Wincentemu gromadki z osobistej pobożności, chęci zerwania z dotychczasowym sposobem życia, a także głęboko zakorzenionym w świadomości ludzi średniowiecza głodem wędrowania. Dla niektórych czas „wędrownego nowicjatu” kończył się wstąpieniem do zakonu, aby dalej naśladować żywot mistrza. Za wieloma decyzjami kryły się zapewne kryzysy sumienia, których nie sposób odtworzyć. Piętnastowieczne *retabulum* z konwentu św. Dominika w Walencji (obecnie w Muzeum Miasta) przedstawia scenę kazania Wincentego (zob. zdjęcie). U nóg mistrza siedzą dwaj pisarze, jeden z nich w habicie zakonu, za nimi po prawej siedzą kobiety, mężczyźni zaś stoją. Wielu świadków procesu zachowało w pamięci podobny wizerunek.

Tam, gdzie przybywał Katalończyk, normalny tryb życia miasta ulegał zawieszeniu. Mieszkańcy porzucali codzienne zajęcia. W Tuluzie przerwano wykłady na uniwersytecie, ludzie gromadzili się już nocą, w porze zwyczajowego i ustawowego spoczynku, przybywali ze stołkami i ławami, siadali na wozach, wdrapywali się na dachy, ażeby rankiem zobaczyć i usłyszeć. Panowała świąteczna atmosfera.

Indywidualne postawy, pobożność i ciekawość spletały się z oczekiwaniem na cudowną interwencję charyzmatycznego mówcy. Fascynacja sposobem mówienia i przekazywaną nauką gromadziły ludzi z odległych stron i trzymały długo przy osobie Wincentego. Kazań Ferrera słuchali ludzie ze wszystkich warstw społecznych. Nie była to grupa jednorodna. Wśród słuchaczy znajdowali się *senes et iuvenes, magni et parvuli, proveci et simplices*. Audytorium Ferrera składało się z mieszkańców miasta oraz z przybyszów ze wsi, zwabionych sławą kaznodziei. Nie odstraszały ich ani wiatry, ani deszcze, ani zimno. Pod-

czas pierwszego z kazań wygłoszonych w Tuluzie, w wigilię Niedzieli Palmowej 1416 roku, obecnych było 1000 osób, w następnych dniach liczba słuchaczy wzrosła, było ich pięciokrotnie, potem i dziesięć razy więcej. W relacjach o kazaniach wygłoszonych w Albi, Castelnaudary i Tuluzie pojawia się liczba 10 tysięcy ludzi. Nie należy sądzić, aby dane te były nadmiernie przesadzone.

Ponieważ kościoły nie mogły pomieścić takich tłumów, Wincenty przemawiał zwykle w miejscach otwartych, ze specjalnie zbudowanych w tym celu rusztowań i podwyższeń, zwanych w źródłach *scadafalla*, *theatra*, *tribunal*, *habitacula* lub *ambonae*. Stojąc ponad tłumem był nie tylko lepiej słyszany, ale i bardziej widoczny. Relacjonujący własne doświadczenia słuchacze używali zarówno słowa *vidit*, jak i *audivit*. Kazanie postrzegano bowiem jako widowisko teatralne, w którym słowo odgrywało tylko jedną z ról. Z wysokiego *habitaculum* ustawionego w Vannes i przykrytego barwną tkaniną Wincenty przemawiał do pary książęcej, dworu i wielkiej rzeszy zebranych. Możliwym tego świata gwarantowano uprzywilejowane miejsca, nie zmuszając ich do wielogodzinnego wyczekiwania, a tym bardziej do wdrapywania się na dachy.

### Wincentyński system nauczania

Ferrer zachęcał ludzi do pokuty i pobożności. Występował przeciwko bluźnierstwom, abnegacji Boga i świętych, potępiał grę w kości i w karty, wypominał kobietom zbytek w strojach, piętnował pijaństwo i obżarstwo, skłaniał kobiety złego prowadzenia do skruchy i naprawy życia. Z wysokości podwyższenia, z którego przemawiał, społeczna zbiorowość jawiła się jako wspólnota występku, zepsucia i grzechu. Wytykał to nie bez ironii: „O dobrzy ludzie – wołał – o czym to dowiadujecie się w karczmie? Jeden pyta, czy jest dobre wino. Inny w kuchni, co by zjeść, inny w burdelu, czy jest jaka piękna dziewczyna, a inny jakby kogo oszukać. I tak idziemy ku śmierci piekielnej bez trwogi, niczym kozy pod nóż” (Sermones 1485, k. 70<sup>v</sup> nn). Instrukcja dydaktyczna proponowana przez Wincentego miała charakter systemowy. Podczas gdy Ferrer wygłaszał kazanie, jeden z jego towarzyszy nauczał dzieci i młodzież, uczył je *Credo*, *Pater noster*, *Ave Maria*, wyznania wiary i znaku krzyża. Modlitw uczono dwa razy dziennie, zgodnie z rytmem kazań mistrza. Podwójny system nauczania: Wincentego dla dorosłych i jego pomocnika dla dzieci i młodych, skonstruowany był tak, aby dotrzeć do całej zbiorowości, dopasowując treści i formę przekazu do wieku i poziomu odbiorców. Głębszym wyjaśnianiem roli i funkcji modlitw zajmował się już publicznie sam mistrz. Wincenty wykładał, co powinien znać prosty człowiek: „po pierwsze, robić znak krzyża, potem odmawiać *Credo*, dobrze znać *Pater noster*, *Ave Maria* oraz *Dekalog*”. Ferrer uznawał klęczenie za jedną z czterech podstawowych postaw modlitwy i zauważał, że tylko przed Bogiem klękać trzeba na oba kolana, przed świeczkami panami tylko na lewe, przed dostojnikami Kościoła na prawe.



Uroczystości regulujące zachowania średniowiecznej zbiorowości, a więc chrzty, zawieranie małżeństw i odprawianie pogrzebów, podlegały systemowi nadzoru i kontroli Kościoła, który wymagał, ażeby wierni wyuczylili się podstawowego zestawu modlitw. Stawały się one z czasem znakami wiary ludu. Nie umiejącym się przeżegnać wykładał zarówno gest, jak i znaczenie słów: „Kiedy mówi się «w imię Ojca», rękę trzyma się wysoko. Słusznie, bo Ojciec przez nikogo nie został posłany, lecz istniał sam na katedrze wieczności i posłał swego jednorodzonego Syna w łono dziewicy. Tak jak słońce promień wysyła, który odeń nie ucieka, tak też kiedy mówi się «i Syna», rękę trzeba trzymać przy łonie, a kiedy «i Ducha Świętego», trzeba rękę prowadzić równo od ramienia do ramienia [...] Kiedy zaś mówią «Amen», łączy się ręce, co oznacza jedność istoty. Wielu bardzo błędzi robiąc znak krzyża i kiedy mówi «w imię Ojca», czyni to długo, twierdząc, że Ojciec jest większy. To jest herezja”.

Naukę podstaw wiary kaznodzieja starał się sam egzekwować. We wszystkich *reportationes* kazań występuje zapis, umieszczony zaraz po ogłoszeniu tematu, który świadczy o głośnym i wspólnym odmawianiu *Pozdrowienia Anielskiego*. Wincenty wstrzymywał tok wywodu i zachęcał zebranych, aby uczcili Dziewicę Maryję modlitwą jej poświęconą, tzn. *Ave Maria*. Indoktrynacja przez modlitwę pełniła podstawowe znaczenie w systemie wincentyńskiej dydaktyki. W modlitwie widział on środek obrony przed grzechem oraz podstawową wiedzę otwierającą ludziom prostym bramy królestwa Bożego.

Pouczenia w sprawie częstotliwości odmawiania modlitw, zwłaszcza *Pater noster*, wskazują, że program dydaktyczny Ferrera czerpał jeszcze z karolińskiego systemu nauczania sformułowanego w *Admonitio generalis*, z 23 marca 789 roku, z pewnymi modyfikacjami opracowanymi w środowisku kanoników regularnych w XII wieku i od nich przejętych przez zakon dominikański. Prawdy wiary przekazywano w nauczaniu religijnym za pomocą recytacji, uczonych na pamięć, oraz wykładu dwóch głównych modlitw: *Symbolu apostołskiego* i *Ojciec nasz*. Te dwie modlitwy, uznane za *fundamenta fidei christiana*e zawierały minimum doktryny chrześcijańskiej, jaką był obowiązany poznać i zachować w pamięci każdy chrześcijanin. W pierwszej bowiem modlitwie zawarta jest nauka wiary, w drugiej zaś to, o co mamy prosić Boga. Przesłanie kaznodziejkie Ferrera należało zatem do propagowanego przez Kościół wielkiego nurtu nauczania podstaw wiary.

## Wzywanie do pokuty i nawrócenia

Od czasu IV soboru laterańskiego, a więc od 1215 roku, dydaktyczny wysiłek Kościoła, podejmowany głównie przez zakony żebrzące, skierowany był na skłonienie wiernych do naprawy życia i przystąpienia przynajmniej raz w roku do spowiedzi świętej. Spowiedź zajęła centralne miejsce w procesie masowej ewangelizacji. Kaznodziejstwo łączono z praktyką sakramentu po-

kuty. Na wielu średniowiecznych miniaturach możemy oglądać ten związek: na pierwszym planie kaznodzieja głosi słowo Boże, w dali inny kapłan spowiada tak przygotowanych penitentów.

Także w moralistyce Ferrera spowiedź zajmowała ważne miejsce. Kaznodzieja nie szczędził wysiłków, aby uświadomić słuchaczom konieczność poddania się wymogom tego sakramentu. Rolę spowiednika wielki Katalończyk rozumiał w kategoriach władzy i autorytetu. Spowiednik niczym sędzia winien siedzieć, a grzesznik u jego stóp miał się oskarżać z grzechów. Charakter oczyszczający pokuty podkreślał za pomocą metafor odwołujących się do skalania i brudu oraz do odniesień negatywnych. Spowiadanie się porównywał do wymiatań brudów z izby za pomocą „miotły sumienia”, wynoszenia z domu nocnika z jego zawartością, cierpienia bólów porodowych. Tak jak rodzenie jest bolesne i wymaga akuszerki, tak przy spowiedzi bólem napawa oskarżanie się z licznych grzechów. Spowiednik jest akuszerką, która zachęca i pociesza. Rodzić jednak trzeba, gdyż wielkim zagrożeniem dla kobiety jest martwy płód w jej łonie; podobnie i z łonem duszy: płody martwe to grzechy śmiertelne. Wincenty uczył, że grzechy należy wyznawać wedle ich rodzajów i szkodliwości.

Ferrer spotykał się na swej drodze także z innowiercami. Zabiegał o ich nawrócenie. Znajdujące się w konwencie św. Dominika w Walencji późnopiętnastowieczne *retabulum* przedstawia scenę kazania Wincentego do grupy słuchaczy, wśród których w pierwszych rzędach zostali wymalowani Żydzi i Maurowie. Po kazaniach Wincentego konwersji poddało się – zgodnie z tradycją przekazu o tym wydarzeniu – kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Kaznodzieja nie mówił do nich – podobnie jak do Arabów i Berberów iberyjskich – w ich języku. Mimo kilku przywołań Talmudu w kazaniach znajomość hebrajskiego nie była jego mocną stroną i na pewno nie obejmowała czynnej znajomości tego języka.

### *Nihil possidebat nisi unam parvam Bibliam*

Kazania Wincentego były mocno zakorzenione w Piśmie Świętym i w pismach ojców Kościoła. Katalończyk uważał Biblię za podstawowe źródło wiary i był wnikliwym jej czytelnikiem. Czas wolny poświęcał Wincenty na studiowanie świętego tekstu, nanosząc liczne uwagi na posiadany egzemplarz, który służył mu za podstawową lekturę i za poduszkę podczas snu. Naoczni świadkowie twierdzili, że Wincenty *nihil possidebat nisi unam parvam Bibliam*. Egzemplarz ten, rzeczywiście niewielkich rozmiarów (182 × 128 mm), zachował się do dzisiaj w zbiorach katedry walenckiej. Na jednej ze wstępnych kart dopisano uwagę: *hanc Bibliam portabat secum dominus sanctus Vincentius Ferrer*.

Naczelne miejsce wśród cytowanych przez Wincentego autorytetów zajmował oczywiście Nowy Testament, zwłaszcza cztery Ewangelie oraz Listy św. Pawła. Znał również doskonale wszystkie księgi Starego Testamentu. Często cytował Psalmi Dawida i pisma proroków, i to nie tylko tych najbardziej zna-

nych jak Izajasz czy Ezechiel, lecz również proroków mniejszych: Ozeasza, Barucha, Micheasza czy Aggeusza.

W wyjaśnianiu Pisma Świętego Ferrer pozostawał wierny zasadzie, którą już w złotym okresie patrystyki sformułował św. Augustyn, iż Stary Testament zapowiada i przygotowuje do Nowego. Po przyjściu Chrystusa lepiej rozumiemy zapowiedzi proroków, niż je rozumiał sam Izrael i sami prorocy. Nowy Testament, zakorzeniony w Starym, stanowi jego wypełnienie, potwierdza go i kontynuuje historię świętą, której wcześniejsze etapy on tworzył i odsłaniał. Dlatego też Katalończyk często objaśniał Nowy Testament przytoczeniami ze Starego. Komentując słowa „Nie samym chlebem żyje człowiek” (Mt 4, 4) – odwoływał się nie tylko do Ewangelii św. Mateusza, ale i do Księgi Powtórzonego Prawa.

### Nauczanie przy pomocy egzemplów

W kaznodziejstwie XIV i XV wieku szczególną popularnością cieszyły się egzempla, wprowadzane zwłaszcza w przemowach kierowanych do ludu. Wincenty chętnie posługiwał się egzemplum hagiograficznym, przytaczając zdarzenia z życia nie tylko powszechnie znanych świętych: Franciszka, Marcina czy Dominika, ale także postaci mniej popularnych, ale za to dobrze znanych wśród lokalnej wspólnoty. Nauczając o przywarach kleru powiadał: „Powszechnie wierzy się, że msze wyciągają dusze z czyśćca. To prawda, że św. Amata 30 mszami wydobyl duszę swojej matki, ale nie wynika z tego, że to co on zrobił, ty zrobisz, boś nie tak święty i sprawiedliwy jak on. Choć msza wielkie ma cnoty, trzeba też, by kapłan był pobożny. Co więcej, grzechy matki św. Amata i twojej matki lub ojca nie są takie same, nigdy zaś jeden lek nie jest użyteczny do każdej choroby! Zdarzyło się pewnemu wieśniakowi, który leczył się na opuchłe kolana, że uznał się za medyka i na wszystko dawał cebulę smażoną, przez co oślepił wielu, którzy chorowali na oczy”. Fragment ten dobrze ilustruje styl kaznodziejstwa Ferrera, przemieszanie argumentów i łączenie w jednym wywodzie wielu typów dyskursu i gatunków literackich. Kaznodzieja posłużył się opowieścią z życia św. Amata, biskupa Auxerre, zakończył zaś opowiedzeniem egzemplum z życia codziennego. W naukach Ferrera egzempla występują we wszystkich odmianach typologicznych. Służyły one w pierwszym rzędzie wyjaśnieniu i przybliżeniu bardziej złożonych prawd wiary. Kataloński dominikanin korzystał z bogatych zbiorów egzemplów swojej rodziny zakonnej, czerpiąc także z motywów fabularnych innych autorów, jak choćby z *Dialogów* papieża Grzegorza Wielkiego, z których wziął znaną powiastkę o małym diabełku zjedzonym w sałacie przez grzeszną zakonnicę. Innym nurtem, z którego Wincenty wzbogacał swój materiał narracyjny, były rodzime katalońskie przekłady z patrystyki, zbiory cytatów i przysłów oraz iberyjska homiletyka nawiązująca także do motywów arabskich.

Rozstrzygając pytanie, czy posiadanie bogactw może być pomocne w zbawieniu, kaznodzieje propagowali wzorzec wyrzeczenia się zgromadzonego

doczesnego majątku i redystrybucji na rzecz potrzebujących lub pokrzywdzonych. Walcząc z grzechem chciwości Wincenty przytaczał egzemplum o śmierci skąpca. Kataloński kaznodzieja opowiadał więc o pewnym kupcu, który w chorobie wezwał spowiednika i wyznał mu swoje lichwiarskie praktyki. Spowiednik orzekł, że pieniądze trzeba zwrócić. Ów odparł, że nie może, gdyż w ten sposób wydziedziczyłby swoich synów. Spowiednik nie dał mu rozgrzeszenia. Podobnie uczyniło wielu innych. Kupiec posłał wreszcie po pewnego księdza, prostaka i głupca, wyznał swe winy i zaraz został rozgrzeszony. Po spowiedzi posłał po proboszcza, by przyniósł mu ciało Pańskie, przyjął komunię i zmarł. Duszę pochowano w piekle, a ciało na cmentarzu. W nocy przybyły cztery demony i zastukały do drzwi proboszcza. Wstał z łoża, otworzył i przeraził się. Rzekły, by się nie lękał, posłał je bowiem Bóg, lecz by siedł z nimi do kościoła, zabrał stulę i okrycie, one zaś wezmą światło. Poszedł, wziął płaszcz, stulę i naczynie na komunikanty, im zaś dał cztery pochodnie. I poszli do grobu lichwiarza, gdzie demony wykopały trupa i otwały mu usta. Ksiądz dostrzegł wewnątrz ciało Pańskie, wyjął ze czcigi, włożył do naczynia i przy zapalonych żagwiach odszedł z demonami odnieść je do kościoła. Kiedy to uczynił i zdjął szaty, demony odprowadziły go do domu i rzekły, by nie bał się, jeśli co usłyszy, Bóg bowiem chce, by ciało lichwiarza poniosło piekielną karę wraz z duszą. Odchodząc porwały je i zaniósły do piekła z wielkim wyciem.

Powyższe egzemplum odkrywa kilka pokładów znaczeń. Lichwiarz, zatwardziały w swym uporze, nie chciał dokonać nakazanego przez Kościół aktu restytucji bezprawnie zgromadzonego majątku. Wincenty przywołał nawet motyw prawnego dziedziczenia przez synów, aby skomplikować, a jednocześnie jasno określić moralne wybory i obowiązki. Odrzucenie działania o prospołecznej wartości sprowadziło na lichwiarza dodatkowo, ostatni już w życiu grzech, wykorzystanie bliźniego. Nakreślone w egzemplum postaci duchownych służą realizacji zamierzonej antytezy. Prawy proboszcz wykonuje swą powinność z godnością, mimo nieoczekiwane i groźnego towarzystwa demonów. Wraz z sumiennym spowiednikiem stoi on na przeciwnym biegunie ocen niż nie dbający o znaczenie sakramentu ksiądz-prostak. Egzemplum należy do tych, w których diabeł ukazany jest nie jako zaciekły i odrażający adwersarz Boga, lecz jako stróż moralności i gwarant odwiecznego rozgraniczenia dobra i zła. Demony zachowują się z wyszukaną grzecnością, uczestniczą w procesji do grobu i dopiero po zdobyciu łupu objawiają swą naturę, uspokajając jednak przedtem swego współpracownika, proboszcza. Prawo czarno-białego obrazowania kazało kaznodziei przeciwstawić grzeszne ciało skazanego na piekielne męki oraz niemożliwe do skalania święte ciało Pana. Metafizyczną nieprzystawalność tych dwóch rzeczywistości podkreślał fakt, że nie strawiona hostia oczekiwała w ustach grzesznika na złożenie w przynależnym jej miejscu.

Wzory egzemplów rysowały postawy akceptowane wpisując je w codzienne sytuacje, zalecając określone rozwiązania i kroki praktyczne. Celem mo-

ralizatorskiej dydaktyki kaznodziei było skupienie uwagi jak największej liczby słuchaczy, nawiązanie z nimi kontaktu emocjonalnego, przymuszenie do refleksji i skłonienie do naprawy błędów.

Egzemplum Wincentego nie ukazują tak często przypisywanej mu chęci edukowania przez szerzenie strachu. Apokaliptyczne wizje, obraz piekła i wizerunki demonów są obecne w jego kazaniach, jednakże dydaktyczny cel spoczywał raczej na propagowaniu wartości pozytywnych, na budowaniu wzorów życia, zalecaniu postaw i zachowań osadzonych na praktykowaniu spowiedzi, pokuty, modlitwy i dobrych uczynków. Dla kreślenia tego programu nie cofał się przed wykorzystaniem wizji zagłady, groził karą piekielną i sądem Bożym. Częściej niż do wizji piekielnych Wincenty sięgał po trafne metafory z życia codziennego. Były one dosadne, lecz łatwe do przyswojenia i zrozumienia przez ludzi prostych, do których przemawiał. Rolę taką spełniały m.in. metafory zwierzęce, w tym wyobrażenie wilka, zwierzęcia wywołującego poczucie strachu i zagrożenia. Kaznodzieja zapytywał: „Jeśli jedną owieczkę sto wilków ściga, żeby pożreć, w jaki sposób im umknie? Pewnie, trudno będzie”. Po tym niewinnym wstępie następowało wyjaśnienie: „Tak też jest z piękną kobietą. Wilki, to jest rozpustni mężczyźni, pożrą ją”. Ferrerowy wilk był najprostszą figurą diabła, lis funkcjonował jako symbol podstępny i zwodzenia niewinnych, najczęściej dziewcząt, a świnia była upostaciowaniem nieczystości i łamania reguł pobożnego życia. Zagniewany kaznodzieja oświadczał słuchaczom, iż „Bóg nie życzy sobie świń w raju!”.

### Język kazań Ferrera oraz stopień jego zrozumienia przez słuchaczy

Późnośredniowieczny Kościół świadomie zgadzał się na stosowanie mowy języków lokalnych w nauczaniu oraz akceptował przełamywanie bariery alfabetyzacji przez porzucanie łaciny przez duchownych na rzecz lokalnych dialektów. Królestwo Aragońskie, w którym wychował się Ferrer, było państwem wielojęzycznym. W XIV i w XV wieku dialekt aragoński ustępował przede wszystkim katalońskiemu, językowi dworu, literatury i dokumentu. Lokalny dialekt walencki, język, który Wincenty poznał w młodości, był w istocie zmodyfikowanym katalońskim, zanieczyszczonym przez muzułmańskie i mozarabskie wpływy i tradycje. Jako kaznodzieja mówił publicznie tylko w jednym języku, swoim rodzimym dialekcie. W jego mowie wychwycić można formy typowe dla Walencji oraz pojedyncze słowa pochodzenia kastylijskiego.

Odtworzenie sytuacji komunikacyjnej i relacji między mówiącym i słuchaczami wymaga określenia, w jaki sposób wielojęzyczna publiczność pojmowała przekazywane nauki. Czy można zatem odpowiedzieć na pytanie, co – i jak – rozumieli słuchacze? Wincenty zdawał sobie sprawę, że przekazywane przez niego nauki nie należą do prostych. Był jednak przekonany, że słuchacze je pojmą, jeśli zechcą ich uważnie posłuchać. Kazania Wincentego głószone w Langwedocji i Prowansji były w pełni zrozumiałe dla tamtejszych słu-



chaczy. Pokrewieństwo językowe okcytańskiego i katalońskiego nie jest jednak dowodem ostatecznym. Słuchający Wincentego ówczesny student prawa, a późniejszy arcybiskup Tuluzy, Bernard de Rosergue, stwierdzał, że choć w kazaniach mistrz Wincenty mówił w swoim dialekcie, katalońskim czy walenckim, wszyscy słuchacze – tak tuluźanie, jak Baskowie i Francuzi – doskonale go rozumieli i słowa jego pojmowali. Potwierdzają tę opinię inni. Mieli oni słyszeć i tak dobrze rozumieć Wincentego, jakby mówił ich własnym językiem. A przecież słuchaczami kaznodziei byli nie tylko ludzie uczeni i bardziej biegli w językach, ale i zwykły tłum, wielojęzyczny i wielonarodowy.

Żaden z przekazów o językowych zdolnościach Wincentego nie stwierdza w istocie wielojęzyczności kaznodziei. Pozostaje jednak faktem, że w wypadku kaznodziejstwa Wincentego natrafiamy na osobliwy przykład wzajemnego przenikania się elementów oralnych i wizualnych, w specyficzny sposób trafiających do odbiorców. Parateatralny wymiar kazania: gest, ruch, słowo, oraz swoiste nastawienie słuchaczy, chcących rozumieć mimo oczywistej bariery innego języka, stworzyły warunki do utrwalenia pamięciowego zapisu tej wyjątkowej sytuacji. Pojemność kaznodziejskiego języka była na tyle duża, że wchłaniała także rejestr dźwiękowych sygnałów i onomatopei. Gdy wymagał tego zamysł wykładu, kaznodzieja nie cofał się przed porzuceniem słów na rzecz naśladowczych i znaczących dźwięków. *Ca, ca, ca* – gdał Wincenty w jednym ze swych kazań, udając głos wydawany przez kury. Naśladował krzyki wydawane przez torturowanych świętych męczenników; sięgał do słów zakazanych i grubych przekleństw mówionych przez grzeszników, by ukazać ich zło.

Wincenty, przeciwnie niż nieco młodszy od niego Jan Kapistran, nie korzystał z pomocy tłumaczy, którzy przekładali naukę mistrza na język zrozumiały dla tłumów. Towarzyszący mu duchowni, pomocnicy w apostołskiej misji, zajmowali się raczej spowiadaniem i rudymenarną edukacją podstaw wiary. Wobec tłumów Wincenty pozostawał sam. Sposób wypowiedzania się Ferrera należał do języka miejsc publicznych i był głównie adresowany do środowisk miejskich. Skupiska takie cechują się łatwością dokonywania wymiany znaczeń, tworzenia nowych kontekstów i stopniowego upodobniania mowy przybyszów do tej, jaką zastawali. Nic jednak nie wskazuje, aby Wincenty przemawiając do zebranych tłumów odwoływał się do ich kompetencji językowych. Jego żarty były proste i zasadały się raczej na humorze sytuacyjnym. Wincenty nie dążył do językowego wyrafinowania ani nie rozróżniał swego audytorium pod względem geograficznie zorientowanej świadomości językowej. Dla Wincentego język był narzędziem pracy: „Usta mówią wedle dyspozycji serca. Prawda: usta bowiem nie są niczym innym jak paleniskiem serca i wedle płomienia wewnętrznych uczuć dym słów dobywa się na zewnątrz” (*Sermones* 1485, k. 220<sup>r</sup>).

Wincenty był przekonany o posiadaniu daru języków. Na czym on mógł polegać? Do jego zróżnicowanych słuchaczy docierały słowa głoszonych kazań, ale na pewno nie wszystkie i nie każda myśl była odbierana wprost i w spo-



sób jednoznacznie przez niego zamierzony. Zależało to od poziomu przygotowania intelektualnego i stopnia uwagi słuchaczy. Z perspektywy kaznodziejskiego audytorium mamy raczej do czynienia z domniemaniem oraz ze sterowanym przez mówcę przekazem intencji. Obie te okoliczności organizowały nowe oddziaływanie wypowiedzianego tekstu kazania, zależne od interpretacji nakładanej przez słuchaczy. Za pomocą bogatego zespołu zabiegów i technik kaznodziei udawało się nawiązać bliski kontakt ze zróżnicowaną zbiorowością słuchających. Po wygłoszeniu nauki jej składowe treści zaczynały żyć własnym życiem i opowiadane dalej własnymi słowami pouczanych stawały się własnością tysięcy uczestników publicznie głoszonych kazań.

\*

Wincenty Ferrer zasługuje na miano wielkiego kaznodziei wędrownego. Nawet ludzie, którzy spotkali się z nim okazjonalnie, pozostawali pod wrażeniem jego bogatej osobowości. Z własnego wyboru opuścił on dwory możnych i wyruszył, wyposażony w ogromny aparat pojęciowy i bogactwo lektur wyniesionych z lat spędzonych w zakonnych szkołach, aby nauczać Ewangelii. Styl i technikę Ferrera można porównywać z jego włoskimi następcami, Bernardynem ze Sieny i jego uczniami. Chodzi przede wszystkim o Jana Kapistrana (da Capestrano, 1386-1456), Alberto Berdiniego da Sarteano (1385-1450), Michele Carcano (1427-1484), Roberta Caracciolo (1425-1495), Cherubina da Spoleto (1414-1484). Katalończyk nie pozostawił jednak wybitnych kontynuatorów postępujących śladami jego *maniera predicatoria*. Naśladowcom Ferrera brakowało jego charyzmy, stąd też zasięg ich oddziaływania ograniczał się do obszaru lokalnej wspólnoty lub regionu. Większy był wpływ tekstów Wincentego Ferrera. Przed 1500 rokiem jego kazania drukowane były czterdziestokrotnie przez najwybitniejsze oficyny Europy. Uzyskały też znaczną popularność daleko od strefy jego działania i od głównych ośrodków drukarskich Europy. W Polsce jego kazania posiadał m.in. Mikołaj ze Sz kudły, archidiacon śremski w 1459 roku, konwenty dominikanów w Krakowie, Wrocławiu i Kaliszu, bernardyni w Kaliszu i Tykocinie, benedyktyni w Lubiniu i karmelici w Bydgoszczy.

Na tle pochwał Wincentego Ferrera nieliczne są tylko głosy krytyki. Oburzano się, gdy lud chciał całować dłonie nauczyciela, oberwać mu kawałek płaszczka, a nawet wyrwać sierść jego oślicy. Pewien student postradał zmysły słuchając wincentyńskiego kazania o Antychryście. Najpoważniejsza krytyka wyrażona przez paryskiego kanclerza Jana Gersona dotyczyła roli, jaką odgrywał Wincenty w animowaniu praktyk biczowniczych, grup wędrownych flagellantów, towarzyszących mu w Hiszpanii i we Francji. Słowa krytyki milkły na widok świętego życia samego kaznodziei.

Całościowe spojrzenie na przesłanie kaznodziejskie Wincentego pozwala na sformułowanie kilku podstawowych wniosków. W kazaniach Katalończyka nie dominowało miotanie gromów potępienia na ludowe przesady i do-

szukiwanie się w nich śladów kontraktu zawartego z diabłem. Przeciwnie niż współcześni mu dominikanie niemieccy, Jan Herolt i Jan Nider, czy hiszpańscy – Mikołaj Eymeric czy Lope Barientos, Wincenty nie demonizował obserwowanych przez siebie ułomności ludzkich i nie podejmował się wpisania ich w krystalizujący się w tym czasie „diabelsko-czarowski” paradygmat. Więcej miejsca w jego naukach zajmowała natomiast refleksja eschatologiczna, ostrzeżenie przed zbliżającym się dniem Sądu Ostatecznego oraz związana z tym dyskusja o nadejściu Antychrysta. Ten nurt wincentyńskich kazań zbliżał je do przesłania głoszonego przez Manfreda z Vercelli, a także Bernardyna ze Sieny, zwłaszcza z wcześniejszego okresu jego posługi kaznodziejskiej. Wincenty nie stronił od problematyki społecznej i podejmował współczesne mu kwestie dotyczące etyki kupieckiej, ekonomicznej pozycji kobiet, życia rodziny, a zwłaszcza prawidłowego w jego mniemaniu funkcjonowania społeczeństwa i ograniczenia toczących je wad, prostytucji i alkoholizmu.

Podstawowym nurtem kaznodziejstwa Ferrera było jednak nauczanie podstaw i wpojenie prawidłowego stosowania norm wiary. W tej płaszczyźnie przesłanie Wincentego plasuje się w głównym nurcie pastoralnego wysiłku Kościoła. Modlitewno-pokutno-eucharystyczny model jego kazań, polegający na bezustannym nacisku na wyuczenie słuchaczy podstawowych modlitw, poprawnego zachowania w kościele oraz nakłonienie ich do spowiedzi i pokuty, należy do tradycji wyznaczonej przez postanowienia synodalne oraz zalecenia podręczników teologii praktycznej przeznaczonych dla kleru parafialnego. Zbieżność wykładu Wincentego z zaleceniami tych traktatów pozwala dostrzegać w kaznodziejstwie katalońskiego dominikanina ważne ogniwo w procesie nauczania podstaw wiary i przekładnię zaleceń kościelnych teoretyków na „język” docierający do wiernych.

Wiele osób poświadcza, iż dla wszystkich spotkanie z Wincentym Ferrerem i słuchanie jego kazań było znaczącym wydarzeniem. W czym tkwi zatem tajemnica sukcesu kaznodziejskiego tego słynnego kaznodziei, który już za życia chadzał w aureoli świętości, na długo przed uroczystą kanonizacją dokonaną w bazylice watykańskiej przez papieża Kaliksta 29 czerwca 1455 roku? Pytanie to jest tym bardziej frapujące, iż poziom erudycji katalońskiego dominikanina, a więc jego odczytanie w podstawowych tekstach patrystycznych i teologicznych, a także znajomość Pisma Świętego i jego komentarzy, nie przewyższał radykalnie wiedzy innych intelektualistów mendykanckiej proweniencji. W świetle tego co zostało powiedziane wyżej wydaje się, że zasadniczym składnikiem sukcesu Wincentego jako ludowego nauczyciela wiary była, z jednej strony, jego charyzmatyczna osobowość oraz szczególny dar perswazji, z drugiej zaś postawa wiernych, łącząca oczekiwanie na to, co niezwykle i wykraczające poza religijne doświadczenia ich codzienności ze swoistym głodem mówionego słowa.

św. Wincenty Ferrer OP

## *Dlaczego Zmartwychwstały ukazał się najpierw swojej Matce?*

Zadrzała ziemia w obliczu Jego zmartwychwstania, a strażnicy stali się podobni do umarłych. Chrystus zaś wyszedł z grobu, nie otwierając go podobnie jak narodził się z Dziewicy, nie naruszając dziewictwa Matki. Stanąwszy na grobie, ukazał wszystkim świętym Ojcom swe Ciało chwalebne, rany i sińce. Oni zaś, uwielbiając Go na kolanach, zawołali: „Chwała Tobie, Panie, który powstałeś z martwych, chwała Tobie wraz z Ojcem i Duchem Świętym!” To trzeba najpierw powiedzieć o błogosławionym zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, które dzisiaj się dokonało.

Następnie powiem, że w sposób szczególnie przedstawione ono zostało łaskawie Dziewicy Maryi. Liczni teologowie twierdzą, że zmartwychwstały Chrystus najpierw objawił się Dziewicy Maryi, swojej Matce. Wyraźnie głosi to święty Ambroży w swojej księdze *O dziewicach*: „Maryja oglądała zmartwychwstanie Chrystusa, i pierwsza je oglądała”. Ewangelści nie zatroszczyli się jednak o przedstawienie tu niewątpliwych świadków, albowiem łatwo znieważyc świadectwo Matki na rzecz Syna. Trzy racje przymuszają nas do uwierzenia, że najpierw ukazał się On Matce Dziewicy.

Pierwszą racją jest wzgląd na Boże przykazanie. Mianowicie podczas męki swego Syna cierpiała Ona więcej niż wszyscy inni. Mocą szczególnego przywileju Chrystus zlitował się nad Matką, aby urodziła Go bez bólu i wbrew zwyczajnemu biegowi natury. Podobnie nie odczuwała Ona bólów podczas swojej śmierci, te zaś bóle przewyższają w obecnym życiu wszystkie inne, jak powiada mistrz Albert, wyjaśniając scenę zwiastowania anielskiego: „Śmierć jest szczytem wszystkich strasznych przeżyć, albowiem cała dusza jest wówczas wyrwana z korzeniami niby drzewo”. Natomiast wszystkie bóle rodzenia i śmierci przyszły na Nią podczas męki Syna. Otóż Pismo powiada: „Czcij ojca swego i nie zapominaj o boleści swojej matki” (Syr 7, 27). Chrystus zaś najpełniej zachował prawo o czci rodziców. Wynika stąd, że najpierw ukazał się swojej Matce, albowiem Ona cierpiała więcej niż wszyscy inni.

Drugą racją jest wzgląd na zasługę Jej wiary. Uważa się to bowiem za pewnik i raczej jasno to wynika z tekstu Ewangelii, że podczas męki Chrystusa wiarę chrześcijańską utracili wszyscy Apostołowie i ogół uczniów. Niektórzy z nich wątpili, czy jest On prawdziwym Bogiem i Mesjaszem, chociaż wszyscy nadal mieli Go za najświętszego proroka. Jedna tylko Dziewica Maryja zachowała niezmienną wiarę w tamtą Świętą Sobotę, dzięki czemu to uzyskała, że w każdą sobotę doznaje w Kościele Bożym szczególnego nabożeństwa. Pismo zaś powiada: „Objawia się Pan tym, którym nie brak wiary w Niego” (Mdr 1, 2). Wydaje się zatem, że Jej najpierw Pan się ukazał, aby wynagrodzić zasługę Jej wiary.

Po trzecie, ze względu na natężenie miłości. Albowiem jest to rzecz pewna, że nigdy nie było matki, która by tak miłowała swojego syna, jak Dziewica Maryja Chrystusa. On sam zaś powiedział: „Kto Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a Ja również będę go miłował i objawię mu siebie” (J 14, 21).

Z tych trzech racji wynika, że Chrystus ukazał się najpierw Dziewicy Matce, chociaż święci Ewangelści wyraźnie o tym nie mówią.

Cytat za: *Teksty o Matce Bożej, Dominikanie średniowieczni*, Niepokalanów 1992, s. 122-125.



Święty Bernardyn ze Sieny OFM  
(1380-1444)



# Kaznodzieja i reformator zakonu

**O**bok Savonaroli najbardziej wpływowym włoskim kaznodzieją na przełomie średniowiecza i renesansu był Bernardyn ze Sieny.

## Wielki Sieneńczyk

Ten Wielki Sieneńczyk ujrzał światło dzienne w roku zgonu innej słynnej przedstawicielki tego miasta – św. Katarzyny. Przyszedł na świat w szlacheckiej rodzinie Albizzeschich, w święto Narodzenia Matki Bożej, 8 września 1380 roku, w miejscowości Massa Marittima, będącej dzisiaj jedną z dzielnic Sieny. Jeszcze tego samego dnia otrzymał na chrzcie imię – Bernardyn. Jego dzieciństwo nie było łatwe. Po śmierci rodziców, od szóstego roku życia wychowywali go krewni. W Sienie zaczął uczęszczać do szkoły, której program obejmował znane powszechnie *trivium* (nauka gramatyki, retoryki i dialektyki) oraz *quadrivium* (nauczanie arytmetyki, geometrii, muzyki i astronomii). Był zdolnym uczniem. W 1397 roku zapisał się na wydział prawa miejscowego uniwersytetu. Osobiste zdolności, pracowitość i zamiłowanie do studiowania literatury pozwoliły mu na prywatną lekturę Wergiliusza, Horacego, Cyserona, Owidiusza i innych klasyków. Już na początku studiów ujawniły się jego skłonności do ascezy i mistyki – wstąpił bowiem do Bractwa Biczowników.

Głębokie zrozumienie i przyjęcie nauki Chrystusa o miłości i współczuciu wobec bliźniego oraz idea poświęcenia i pomocy drugiemu człowiekowi przyczyniły się do tego, że kiedy w 1400 roku wybuchła w Sienie zaraza, Bernardyn przerwał studia i jako ochotnik pomagał w szpitalu. Potęga cierpienia, bliskość śmierci i jej nieubłagana moc pozwoliły mu zrozumieć głębiej wartość doczesnego życia, wartość dobra, zło grzechu i tajemnicę wieczności. W szpitalu, w którym podczas panującej zarazy umierało codziennie kilkanaście, a czasem nawet kilkadziesiąt osób, pracował jednak tylko cztery miesiące, gdyż sam ciężko zachorował.

## Franciszkańską drogą

Jak każdy dorastający człowiek, również i Bernardyn stanął przed trudnym problemem wyboru właściwego stanu i zawodu. Fiaskiem zakończyła się podjęta przez niego próba życia pustelniczego. Dręczony wewnętrznym niepokojem przez prawie rok czytał i rozważał Pismo Święte, modlił się i zastanawiał, jaką drogę życiową winien wybrać. Pewnej nocy, gdy miał 22 lata, przyśnił mu się zamek przy Porta a Oville w Sienie. Budowla paliła się, a dym i płomienie buchały ze wszystkich okien. W jednym z nich ukazał się nagle zakonnik w brunatnym habicie i podnosząc ręce do góry wołał: Franciszek! Franciszek! Franciszek! Cały zamek spłonął z wyjątkiem tego pokoju, w którego oknie ukaza-



ła się postać zakonnika. Bernardyn obudził się przerażony i zaczął dokładnie analizować sen. Wiedział, że Porta a Ovine była tą bramą, przez którą wszedł do Sieny św. Franciszek z Asyżu. Tuż przy niej znajdował się klasztor franciszkański. Wołającym zakonnikiem był również franciszkanin.

Pod wpływem tych przemyśleń Bernardyn podjął decyzję. W 1402 roku zdecydował się wstąpić do konwentu św. Franciszka w Sienie; po 2 miesiącach przeszedł jednak do eremu w Colombaio. Tutaj oddał się z radością modlitwie, studiom i pracy nad sobą. W 1404 roku przyjął święcenia kapłańskie. W rok później założył klasztor Capriola, przebudowując opuszczony szpital i stając się jednym z przywódców reformy zakonu, mającej na celu ściśle zachowywanie reguły św. Franciszka. Reforma ta przyjęła z czasem nazwę obserwancji. Bernardyn ufundował wiele klasztorów dla tej nowej gałęzi franciszkanizmu. Warto dodać, iż w Polsce obserwanci, od imienia Wielkiego Sieneńczyka, zwani są bernardynami. W 1414 roku Bernardyn został wybrany ministrem prowincjalnym Toskanii. Zmuszony był podjąć wiele zajęć administracyjnych i duszpasterskich wobec współbraci zakonnych i nie mógł już tyle czasu przeznaczać na studia. W 1417 roku został przeniesiony do Fiesole pod Florencję, by tam spełniać obowiązki przełożonego klasztoru.

W latach 1438-1442 Bernardyn był generalnym wikariuszem franciszkanów obserwantów. W tym charakterze uczestniczył we Florencji w obradach soboru unijnego między chrześcijańskim Wschodem i Zachodem. Ku zdziwieniu wielu uczestników soboru Bernardyn przemawiał tam poprawnie po grecku. Po czterech latach został zwolniony z obowiązku przełożonego i oddał się znowu pracy misyjnej. Warto jeszcze dodać, że Bernardyn trzykrotnie odmawiał przyjęcia proponowanego mu biskupstwa w Sienie (1427), Ferrarze (1431) i Urbino (1435). Zmarł 20 maja 1444 roku w Aquili. Sześć lat później kanonizował go papież Mikołaj V.

## Sławny kaznodzieja wędrowny

Po święceniach kapłańskich przełożeni zlecieli Bernardynowi zadanie głoszenia słowa Bożego. Urząd kaznodziei Wielki Sieneńczyk pełnił z ogromną gorliwością aż do śmierci, chociaż początkowo nic nie zapowiadało mu sukcesu na tym polu. Miał bowiem chore gardło, słaby głos i niewyraźną wymowę. Bernardyn szukał więc pomocy przed Najświętszym Sakramentem. Gdy któregoś wieczoru żarliwie się modlił o dobre spełnianie obowiązków kaznodziejskich, zobaczył zstępującą z góry ognistą kulę, która dotknęła jego gardła. Chroniczna chrypka ustąpiła, a Bernardyn uznał to za cud i wyraźny znak woli Bożej, by tym pełniej poświęcić się pracy wędrownego apostoła.

Głosił zatem słowo Boże najpierw w Toskanii, a od 1417 roku w północnej i środkowej Italii. Aż do 1438 roku prowadził życie wędrownego misjonarza. Na głównych placach w ponad 130 miastach, wygłaszał tysiące nauk do wiel-

kich rzesz słuchaczy. Nauki te były długie. Potrafił przemawiać nawet przez cztery godziny bez przerwy, a pobyt w danym mieście trwał nieraz dwa czy trzy miesiące. Przykładowo w rodzinnej Sienie wygłosił w dniach od 20 kwietnia do 10 czerwca 1426 roku 50 takich nauk.

Swoimi kazaniami budził sumienia i ożywił religijność wśród ludu, nawołując do życia sakramentalnego, uczynków miłosierdzia i pokuty, zalecając reformy społeczne, godząc waśnie i ucząc przebaczenia. Był wspaniałym kaznodzieją nie tylko dzięki wyjątkowemu darowi wymowy i osobistej świętości, ale także dzięki umiejętności podejmowania aktualnych tematów. W swoich kazaniach propagował kult Matki Bożej i św. Józefa, a przede wszystkim cześć Najświętszego Imienia Jezusa, którą wyprowadzał z dzieł świętych: Pawła Apostoła, Bernarda z Clairvaux i Bonawentury. Czynił ze świętego imienia Jezus tarczę jasną jak słońce, dobrze odpowiadającą pobożności włoskiej w XV wieku. Nic więc dziwnego, że w ikonografii Bernardyn przedstawiany jest w postaci ascetycznego kaznodziei w habitie franciszkańskim, z księgą i tarczą z napisem IHS otoczonym promieniami. Takim też przedstawia go na swym słynnym obrazie Sano di Pietro (zob. s. 118). Bernardyn głosi kazanie na Piazza del Campo w Sienie, a wierni klęcząc oddają cześć monogramowi Chrystusa. Po wygłoszonych naukach zakonnik modlił się i studiował w klasztorach-pustelniach: Ravacciano, Alberino, Colombaio i Capriola.

Praca kaznodziejska Bernardyna ze Sieni nie była wolna od trosk i kłopotów. Nieprzyjemności spotykały go nawet z najmniej oczekiwanej strony. W 1427 roku odbył się tzw. proces rzymski. Oskarżonym był Bernardyn ze Sieni. Dopatrzone się herezji w jego sposobie szerzenia nabożeństwa do Najświętszego Imienia Jezus. Oskarżycielom nie podobało się zwłaszcza posługiwanie się przez kaznodzieję obrazem-monogramem IHS, który ukazywał wiernym po zakończeniu kazań i podawał go ludziom do ucałowania, by ich zachęcić do większej czci imienia Jezus. Proces ten Bernardyn wygrał, wykazując 62 teologom, że ich zarzuty są bezpodstawne. Dzięki interwencji Jana Kapistrana papież Marcin V uwolnił go od postawionych zarzutów. W 1431 roku znowu spotkał się z atakiem swych przeciwników, ale wówczas wziął go w obronę sam papież Eugeniusz IV.

## Zakochany w Matce Bożej

Już od wczesnej młodości Bernardyn przejawiał wielką cześć dla Matki Bożej. Mówił żartobliwie, iż zakochał się w najpiękniejszej kobiecie świata i że nie może żyć, by nie spotkać się z nią choćby raz dziennie. Wzbudzał tym zaciekawienie, zwłaszcza gdy wieczorami wymykał się z domu, by spotkać się w bramie zwanej Camollia, gdzie znajdował się obraz Matki Bożej Wniebowziętej, ze swoją Najpiękniejszą. Tej miłości pozostał wierny do końca życia.

Matka Boża odwzajemniała mu się w różny sposób, m.in. szczególnie pomagała mu w głoszeniu kazań na jej temat. I tak, gdy je głosił, płonął takim zapałem i miłością, że twarz jego przemieniała się jakby w twarz serafina,

promieniującego światłem słońca. „Widziałem to na własne oczy”, twierdził Jan Kapistran († 1456), sam również wybitny kaznodzieja, w napisanym przez siebie życiorysie Bernardyna ze Sieny. Jeszcze wymowniejsze zdarzenie nastąpiło w Aquili 15 sierpnia 1438 roku, gdy plac przed Collemaggio przepełniony był słuchaczami Bernardyna. Otóż w pewnym momencie, podczas kazania wyrwał się okrzyk zdziwienia ze wszystkich ust. Setki osób widziały jasną gwiazdę, która w samo południe zdawała się przyćmiewać blask słońca. Gwiazda znalazła się nad głową Bernardyna, powoli zniżyła i zatrzymała się na jego twarzy, oświetlając ją wspaniale i wprawiając w podziw wszystkich widzących to niezwykle zjawisko. Byli wśród nich bogaci i biedni, wykształceni i analfabeci, wierzący i niewierzący, świeccy i duchowni, podwładni i przełożeni, a wśród nich również król Sycylii Renato.

Z różnych form czci Matki Bożej, które praktykował Bernardyn ze Sieny, należy wspomnieć o codziennie odmawianym różańcu franciszkańskim, składającym się z siedmiu tajemnic radosnych i siedmiu tajemnic bolesnych z życia Jezusa Chrystusa i Jego Matki oraz o modlitewnych wigiliach i postach praktykowanych przed świętami maryjnymi. Motywy przewodnie nauki maryjnej Bernardyna to godność i przywileje Matki Bożej. W ich rozważaniu często można dopatrzeć się elementów cechujących styl kaznodziejski: przesady i braku krytycyzmu. Jednak jego nauka o pośrednictwie Maryi prezentuje ujęcie obowiązujące w mariologii aż do Soboru Watykańskiego II. Bernardyn ze Sieny głosił, że wszystkie łaski przechodzą od Boga Ojca do Chrystusa, od Chrystusa do Jego Matki i dopiero z jej rąk są nam udzielane. Wiele miejsca poświęcił również zagadnieniu wniebowzięcia. Jego argumentację dotyczącą tej prawdy uważa się za najbardziej wyczerpującą w całym średniowieczu. Nie można go natomiast zaliczyć do obrońców przywileju niepokalanego poczęcia. Choć sam wierzył w tę prawdę, jednak publicznie o niej nie nauczał.

## Radosny święty

Wiara, wierność, pracowitość, modlitwy i umartwienia były źródłem ogromnej radości Bernardyna, a nawet wesołości i zadowolenia połączonego z wewnętrznym pokojem. Głęboka radość Bernardyna wypływała z miłości i czystego sumienia, a dokładniej – z heroicznego stopnia jego świętości. Nawet w męce Chrystusa znajdował powody do radości, a były nią owoce i dobra Chrystusowych cierpień, za które cały rodzaj ludzki powinien być wdzięczny Bogu i przepełniony radością. Drugim źródłem jego radości było wierne zachowywanie wszystkich przepisów życia zakonnego, a nawet umartwienia i cierpienia, które umiał włączać, zwłaszcza w czasie ofiary mszy świętej, w odkupieńcze dzieło Jezusa Chrystusa. Często powtarzał za św. Pawłem słowa: „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24).

Przysłowiowym nieomal stało się powiedzenie: „Gdzie jest Bernardyn, pierzcha nuda”. Twarz Wielkiego Sieneńczyka była zawsze wesoła, wyjąwszy okoliczność, gdy przytłaczało go publiczne zgorszenie. Jeden z jego pierwszych biografów i współbrat zakonny, wspomniany już wyżej Jan Kapistran, świadczy, iż był on zawsze łagodny, radosny, wesoły i miły. Nie można się więc dziwić, że cesarz niemiecki Zygmunt, udający się w maju 1433 roku na swą koronację do Rzymu, już od pierwszego spotkania został urzeczony osobowością Bernardyna. Z tego powodu m.in. uczestniczył we mszy świętej odprawianej przez niego, zapraszał go do swojego stołu i uważał za stracony dzień, w którym nie mógł się z nim spotkać.

Bernardyn ze Sieny śmiał się, żartował i opowiadał różne anegdoty. Bogatym i swoistym językiem, stanowiącym świeżą prozę renesansu, chlostał w kazaniach próżność dam, chciwość kupców i lichwiarzy, zbytek możnowładców, zabobony i występki ludu, nadużycia urzędów, nienawiść i mściwość klasową. A język miał zaiste cięty. Mieszkańcom Perugii obiecał, iż podczas następnej nauki pokaże im diabła z krwi i z kości. Zbiegli się więc tłumnie na sensacyjnie zapowiadające się kazanie. W jego toku mówca rzeczywiście nawiązał do swej obietnicy, po czym zaczął wykrzykiwać straszonym głosem: „Chcecie zobaczyć diabła? Spójrzcie jeden na drugiego. Wy bowiem jesteście prawdziwymi diabłami!”. Kontynuując kazanie omawiał poszczególne przywary słuchaczy.

### Spuścizna piśmiennicza

Bernardyn ze Sieny pozostawił po sobie bogatą spuściznę literacką obejmującą głównie kazania. Jakkolwiek głosił je w języku włoskim, zredagował i spisał w języku łacińskim. Przygotowywane początkowo na własny użytek, zostały poszerzone i ujęte w formę literacko-homiletyczną. W latach 1950-1965 dokonano ich krytycznego wydania w dziewięciu tomach *in folio* pod wspólnym tytułem *Opera omnia (Dzieła wszystkie)*. Tomy I i II: *De christiana religione (Religia chrześcijańska)*; tomy III, IV i V: *De Evangelio aeterno (Wieczna Ewangelia)*; tom VI: traktaty *De vita christiana (Chrześcijańskie życie)*, *De Beata Virgine (Błogosławiona Dziewica)*, *De Spiritu Sancto (Duch Święty)*, *De inspirationibus (Natchnienia)*, *De beatitudinibus evangelicis (Błogosławieństwa ewangeliczne)*; tom VII: *Sermones de tempore* i *Sermones de diversis* (Kazania w tzw. zwykłym okresie roku liturgicznego i Kazania na różne tematy); tom VIII: *Sermones imperfecti (Kazania niedokończone)*, *Itinerarium anni* (221 notatek na różne dni duchowej drogi w ciągu roku), *Epistolae* (Listy, w liczbie 21, napisane w czasie pełnienia obowiązków wikariusza generalnego w zakonie); tom IX: *Postillae in Epistolas et Evangelia (Homilie – wyjaśnienia liturgicznych czytań podczas mszy świętych w niedziele)*. Warto także dodać, że wydane zostały również tzw. *reportata*, czyli stenografowane przez słuchaczy notatki kazań głoszonych przez Bernardyna w języku włoskim we Florencji i w Sienie.

Pod względem treści pisma Bernardyna można podzielić na dwie zasadnicze grupy: dogmatyczne i moralno-ascetyczne. Do pierwszej należą głównie zagadnienia chrystologiczne i eklezjologiczne odnoszące się do Jezusa Chrystusa, Kościoła, Matki Bożej i Józefa Oblubieńca. Druga grupa jest o wiele obszerniejsza i omawia nieomal wszystkie ówczesne problemy społeczne, etyczne i moralne. Trzeba do niej zaliczyć także listy, konferencje i kazania związane z problematyką życia zakonnego, ascetyczno-mistycznego oraz obowiązkiem dążenia do zbawienia i świętości.

### Chrystocentryzm życia duchowego

Centrum życia Bernardyna ze Sieny i głoszonych przez niego nauk był Jezus Chrystus. Wielki Sieneńczyk proponował jako niezawodny sposób poznania i pełnienia woli Boga tzw. reguły miłości i racjonalności. Pierwsza reguła – dobro większe należy stawiać wyżej niż dobro mniejsze; druga – wszystko co robisz dla siebie lub dla innych, rób ze względu na Boga; trzecia – niech nic, czego się podejmujesz, nie przewyższa twoich możliwości i sił; czwarta – nie pracuj ani za mało, ani za dużo; piąta – czego nie robi się z roztropnością i według wskazań rozumu, to nie podoba się Bogu; szósta – nie robić tego, co po zrobieniu ktoś znający się na tym uzna za źle zrobione; siódma – zawsze należy cenić bardziej przyjemność duchową niż fizyczną; ósma – przyjemność duchowa jest bardzo wartościowa, ale nie ona jest celem naszego życia doczesnego i nie o nią należy starać się za wszelką cenę; dziewiąta – nie podejmuj się wykonywania wielkich rzeczy, jeżeli nie masz jasnego rozeznania i głębokiego przekonania, że taka jest właśnie wola Boga; dziesiąta – nie należy unikać przyjemności duchowych, wynikających ze zjednoczenia duszy z Bogiem. Trzeba przyznać, że ten „dekalog” rzeczywiście nie narusza w niczym ewangelicznego ideału doskonałości, ale dostosowuje go niejako do możliwości każdego człowieka dobrej woli i ukazuje Bernardyna jako dobrego pedagoga, psychologa i wytrawnego kierownika duchowego.

Wielki kaznodzieja pragnął, aby Bóg-Człowiek stał się centrum życia duchowego każdego człowieka. Chrystocentryzm dogmatyczny, ukazany jasno i z ogromnym żarem miłości, a obejmujący prymat Chrystusa, Jego królewską godność, cześć wobec imienia Jezus (słynny monogram IHS), tajemnice Jego narodzenia, Eucharystii, Paschy, Najświętszego Serca, wniebowstąpienia itd., przechodził u niego w chrystocentryzm ascetyczno-mistyczny. Ten zaś oznacza w największym skrócie, iż wszyscy ludzie są powołani do zbawienia i świętości, i że na tej trudnej drodze wiele spraw jest czymś wtórnym, a na czoło wysuwa się fakt, że bez Chrystusa, bez miłości ku Niemu i ludziom, bez Jego łaski nie ma po prostu nie tylko świętości, ale i zbawienia.

Bernardyna ze Sieny i jego naukę cechuje także równowaga między postawą, która nie docenia ziemskiej rzeczywistości (postawa eschatologiczno-apokaliptyczna), a postawą przesadnie ceniącą wartość i możliwości tej wła-



śnie rzeczywistości (postawa utopijna). Na tle ówczesnej epoki zachowanie tej równowagi jest szczególnie cenne i interesujące.

Bernardyna wiele kosztowało odkrycie własnego powołania i drogi życiowej jako wyrazu woli Boga. Niewątpliwie ta sprawa jest jedną z najważniejszych w życiu człowieka ochrzczonego, a podjęta decyzja rzutuje w daleką przyszłość. Podejmowanie różnych decyzji towarzyszy człowiekowi przez całe życie, ponieważ musi on stale dokonywać wyboru między złem a dobrem. Bernardynowi chodziło nie tyle o uchronienie siebie i innych przed popełnianiem zła i grzechów, a nawet o spełnianie woli Boga wyrażonej w przykazaniach Bożych, kościelnych czy przepisach zakonu. Pragnął on, by każdy człowiek dążył w swoim stanie i zawodzie do doskonałości i świętości ukazanej przez Jezusa Chrystusa. Chcąc ułatwić i pomóc ludziom w dokonywaniu właściwych wyborów i decyzji w dziedzinie życia duchowego, napisał specjalny *Traktat o natchnieniach*, czyli o źródłach i pobudkach naszych myśli i czynów. Był przekonany, że ich rozpoznanie będzie bardzo pomocne w podjęciu decyzji. Zdaniem Bernardyna tych źródeł i pobudek jest siedem, a mianowicie: Bóg, aniołowie, szatan, własna dobroć lub złość, potrzeby życiowe własne lub bliźnich oraz wydarzenia dnia bieżącego.

Nie ma życia autentycznie chrześcijańskiego bez ducha i praktyki wyrzeczenia, umartwienia, ofiary, samozaparcia się, bez czujności wobec własnych myśli, słów i czynów, bez opanowywania złych skłonności i odruchów, po prostu bez panowania nad sobą i bez aktów pokuty za własne i cudze grzechy. Taka jest nauka Ewangelii, takie są wymagania Chrystusa i miłości. Bernardyn sam usiłował wprowadzać je w życie i zachęcał do tego innych. Równocześnie przestrzegał przed zbyt surowymi praktykami pokuty. Ciało i dusza są nieodzownymi składnikami osoby ludzkiej, niezbędnymi do prowadzenia życia duchowego. Ciało nie jest czymś niepotrzebnym. Należy je szanować, gdyż jest dziełem Boga. Nie wolno go niszczyć, ale także nie wolno pozwalać mu na wszystko i dogadzać wszystkim jego zachciankom. W jednym i w drugim wypadku należy zachowywać właściwy umiar, złoty środek. Życiu duchowemu, które chce osiągnąć szczyty kontemplacji i świętości, towarzyszy zazwyczaj krzyż i cierpienie. Są one wielką tajemnicą. Bernardyn przekazał wiele myśli pomagających w przyjęciu cierpienia.

Jeżeli chodzi o modlitwę, to nie można i nie powinno się trwać ciągle na modlitwie. Trzeba spełniać również inne obowiązki, których wymaga życie i powołanie każdego człowieka. Bernardyn bardzo zalecał prowadzenie życia kontemplacyjnego, ale jednocześnie twierdził, że tak życie czynne, jak i kontemplacyjne jest Bogu bardzo miłe i owocne dla świata. Życie kontemplacyjno-mistyczne jest czymś wspaniałym, trwanie na modlitwie jest czynem bardzo wartościowym i cennym, ale gdy trzeba wykonywać inne prace, zwłaszcza obowiązkowe, to trwanie na modlitwie byłoby wówczas głupotą i grzechem. Życie czynne uczy nas pokory, kontemplacyjne – miłości. Jedno i drugie powinno być dwoma ręk-



kami wyciągniętymi ku Bogu – najlepszemu Ojcu. W zależności od powołania człowiek winien dawać priorytet jednemu lub drugiemu zaangażowaniu się – aż do maksimum własnych możliwości, potrzeb i roztropności. Jeden i drugi styl życia zasługuje na zbawienie wówczas, gdy jest skierowany ku Bogu jako ostatecznemu celowi i gdy jest prowadzony w stanie łaski uświęcającej.

### Postępować drogą miłości

Koncepcja bernardyńska ludzkiego życia, zwłaszcza życia duchowego, opiera się na głębokiej, żarliwej i uniwersalnej miłości. Wszystko co Bóg uczynił lub co czyni jest przejawem, wyrazem i dowodem Jego miłości. Człowiek jest zanurzony w oceanie Bożej miłości i dochodzi do Boga drogą miłości, ale ta miłość powinna, jak odbity promień, pochylać człowieka nad drugim człowiekiem i – co jest bardzo znamienne – nad każdym stworzeniem, nad każdym bytem znajdującym się na ziemi.

Jest duża różnica między miłością naturalną a cnotą miłości nadprzyrodzonej, której „załazek” otrzymuje człowiek przez sakrament chrztu świętego. Dzięki pierwszej może chodzić po ścieżkach naturalnego dobra i doskonałości; dzięki drugiej, jakby na skrzydłach unosi się aż do szczytów zjednoczenia z Bogiem tak w życiu doczesnym, jak i w wiecznym szczęściu. Przede wszystkim dzięki niej dusza jest zdolna upodobnić się do Boga i z niej czerpie siłę do walki o dobro, zbawienie i świętość. Stosunkowo często u Bernardyna miłość oznacza łaskę uświęcającą lub samego Boga, a tradycyjny podział dróg życia wewnętrznego, oparty na różnych stopniach miłości, a więc droga oczyszczająca, oświecająca i jednocząca, otrzymał od Bernardyna nazwę miłości pragnącej, napełniającej duchową przyjemnością i ubogacającej łaską.

Wielkość człowieka zależy od tego, kogo kocha. Od ukierunkowania miłości zależy jego godność i wartość. Jest on powołany do miłości bez granic i końca, a w głębi jego osobowości tkwi pragnienie takiej właśnie miłości – zarówno zdobycia jej, jak i obdarowywania nią. Najwłaściwszym „przedmiotem” miłości w takim ujęciu jest oczywiście Bóg, Jednak Bóg nie zmusza nikogo do miłowania Siebie. Nie zdobywa serca siłą i przemocą. Liczy na wolny, świadomy i wspaniałością dar człowieka. Dążenie do osiągnięcia zbawienia czy nawet świętości heroicznej nie jest niczym innym, jak tylko urzeczywistnianiem różnych form miłości.

Ważną w tym rolę odgrywają dary Ducha Świętego, które u Bernardyna mają dodatkowe „imiona miłości”: dar bojaźni Bożej to miłość powstrzymująca od popełnienia czegoś złego; dar pobożności to miłość sprawująca, że człowiek staje się delikatny, czuły i wrażliwy na rzeczywistości Boże i potrzeby ludzkie; dar umiejętności to miłość, która poznaje i właściwie ocenia różne wartości zgodnie z całokształtem hierarchii tychże wartości; dar męstwa to miłość umocniona i umacniająca; dar rady to miłość podnosząca; dar rozumu

to miłość oświecająca; dar mądrości to miłość przemieniająca człowieka w Boga, w analogicznym znaczeniu, jak ogień przemienia żelazo w ogień.

\*

Bernardyn ze Sieny to – obok Savonaroli – najbardziej wpływowego włoskiego kaznodzieja XV wieku. Przez czterdzieści lat przemierzał pieszo, albo w czasie choroby na osiołku, środkowe i północne Włochy. Głosił kazania na zatłoczonych placach, zakładał klasztory i reformował je. Był doradcą papieży, książąt, gmin, podsuwając im zmianę prawodawstwa, odnoszącego się do obyczajów. Potrafił umiejętnie łączyć sprzeczne, zdawać by się mogło, sprawy: radość i ascezę, mistycyzm i dowcip, kazania pokutne z pogodą ducha, radosne pojmowanie Boga przypominające lazurowe włoskie niebo z potrzebą wyrzeczenia.

św. Bernardyn ze Sieny OFM

## Kazanie 5: *Na uroczystość Zwiastowania Pańskiego*

Maryja nie bez przyczyny została pochwalona w szczególny sposób za akt wiary słowami wypowiedzianymi przez Elżbietę: „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana” (Łk 1, 14). Rzeczywiście, wielkość wiary wyrażona w owym przyzwoleniu (przy zwiastowaniu) okazuje się w potrójnej wyrazistości: uwierzyła bowiem w to, o czym nigdy nie słyszano; o czym wiedziała, że przekracza naturalny porządek rzeczy i była świadoma, że w tych sprawach ma osobiście uczestniczyć.

Po pierwsze: okazuje się wielka wiara błogosławionej Dziewicy, ponieważ dała wiarę temu, o czym nigdy nie słyszała. Wiara bowiem rodzi się ze słuchania, jak czytamy w Liście do Rzymian 10, 17. Stąd łatwiej dać wiarę temu, o czym częściej się słyszy. Lecz nigdy przedtem nie słyszano o tym, by dziewica mogła porodzić bez boleści i po wydaniu na świat dziecka nadal pozostać dziewicą. [...] A jednak uwierzyła w tę niesłychaną rzecz na jedno słowo anioła. Rzeczywiście więc miała ogromną wiarę, tak iż zaprawdę mógłby powiedzieć o Niej Syn Boży: „Nie znalazłem tak wielkiej wiary w Izraelu” (Mt 8, 10). W tym względzie Dziewica nie знаła żadnego przykładu. [...] Jest to bowiem rzecz bez precedensu, by Bóg stał się człowiekiem. Stąd Izajasz: „Któż kiedy słyszał taką rzecz?” (Iz 66, 8). Jakby chciał powiedzieć: nikt! A więc coś niewiarygodnego w najwyższej mierze. [...] Nic jednak z tego, w co się wierzy, nie było bardziej zbawienne. Jeśli więc w tę rzecz najbardziej niewiarygodną uwierzyła, czyż nie miała największej wiary? Dlatego też Elżbieta powiedziała: „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła” (Łk 1, 45). Chociaż uprzednio pytała anioła: „Jakże się to stanie, skoro męża nie znam” (Łk 1, 34), to wcale nie wskazuje na wątpliwość czy brak wiary, pytanie bowiem dotyczyło tylko sposobu.

Po drugie: wielkość wiary Maryi okazuje się i z tego względu, że uwierzyła w to, o czym wiedziała, że przekracza siły natury. Albowiem zdumienie budzi już to, co rzadko się wydarza. Dzieło zaś tego rodzaju, jakim było wcielenie Syna Bożego, było czymś całkowicie niezwykłym i nigdy niespotykanym. [...] Jeżeli jednak uwierzyła w tę rzecz niespotykaną i przedziwną, zaiste miała ogromną wiarę! Stąd mówi Augustyn: „Bardziej błogosławioną była Maryja, że uwierzyła w Chrystusa, aniżeli to, że poczęła Jego ciało. Macierzyńska bliskość na nic by się Jej nie przydała, gdyby nie nosiła Go bardziej w sercu aniżeli w ciele” (*De sancta virginitate*, c. 3, n. 3; PL 40, 398).

Zaprawdę mocno uwierzyła, choć uświadamiała sobie, że te rzeczy najbardziej przedziwne miały się właśnie w Niej dokonać. Albowiem jak zauważa Augustyn: „Jest to coś przedziwnego i trudnego do przyjęcia, przekraczającego wyobrażenia i możliwości” (por. *De utilitate credendi*, c. 16, n. 34; PL 42, 90). Tu wchodziła w grę sprawa trudna do pojęcia, owszem, najtrudniejsza – dzieło właściwe tylko Bogu. Dlatego powiedział anioł: „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego zacięni Cię” (Łk 1, 35). To przekraczało wyobrażenia i przypuszczenia Maryi. Któż bowiem mógłby pomyśleć, że Pan niebios zamknie się w matczynym łonie, Najwyższy stanie się najniższym, Pan sługą, Królujący w niebie usługującym na ziemi, Ten, który obejmuje wszystko, będzie objętym przez Dziewicę, Ożywiający wszystko karmionym przez matkę, Władca wszechrzeczy kierowanym przez niewiastę i wreszcie Słowo odwieczne człowiekiem w czasie? Było to przedziwne, przedziwne w najwyższym stopniu! A jednak to chwalebna Dziewica w to uwierzyła. Mia-

ła więc ogromną wiarę, tak iż Syn Boży mógłby Jej powiedzieć to, co czytamy u Mateusza: „Jak uwierzyłaś, niech Ci się stanie” (Mt 8, 13).

Po trzecie: wielkość wiary tej chwalebnej Dziewicy i w tym się ujawniła, że uznawała się niegodną do współdziałania w tak wielkiej sprawie. Usłyszała bowiem od anioła: Oto poczniesz i porodzisz. I z tego powodu bardzo się zmieszła, zatrwożyła. Nie czuła się zdolną współdziałać w tak wielkim misterium. Jednak, oświecona Bożym światłem i zrozumiawszy wolę Bożą, uznała się służebnicą – współpracownicą w dziele zbawienia. I po to właśnie został do Niej posłany anioł, czuwający do czuwającej, Gabriel do Dziewicy. Stąd u Daniela w sposób mistyczny napisano: „Oto czuwający z nieba zstąpił” (Dn 4, 10). Nie został bowiem na Dziewicę zesłany sen jak na pierwszego mężczyznę, gdy miała być z niego uczyniona niewiasta. Nim Mądrość Boża przyjęła ciało z Dziewicy, został do Niej posłany anioł, czuwający do czuwającej, ażeby świadoma tak wielkiej tajemnicy, dobrowolnie i ochoczo podjęła się zadania współpracownicy i służebnicy. Dlatego anioł musiał Ją uświadomić i przez wiarę pobudzić do wyrażenia zgody. Bez jego bowiem słów Dziewica nie mogłaby dać odpowiedzi, wyrazić swe przyzwolenie i zawierzenie.

Jakże bowiem mogła uwierzyć bez uprzedniego orędzia anielskiego? Albo jak ten mógłby je przekazać, gdyby nie był przez Boga posłany? W myśl słów Apostoła: „Jakże mieli usłyszeć, gdyby im nikt nie głosił? Jakże mogliby im głosić, jeśli nie zostali posłani?” (Rz 10, 14-15). Zaprawdę więc wielką wiarę miała błogosławiona Dziewica, że słusznie mógłby się anioł zwrócić do Niej ze słowami: „O niewiasto, wielka jest twoja wiara” (Mt 15, 28).

Z anielskich słów jasno wynika, że ma począć Syna Bożego, dlatego odpowiada: „Niech mi się stanie według słowa twego”. Jakby przez to chciała powiedzieć: to, co usłyszałam w pozdrowieniu anielskim i w moim duchu zostało poczęte przez wiarę, niech mi się stanie w łonie moim przez wcielenie Bożego Słowa.

Cytat za: Bernardini Senensis, *Opera Omnia*, t. 6: *Ad Claras Aquas 1950*, s. 116-118, [w:] *Franciszkanie średniowieczni. Teksty o Matce Bożej*, opr. M. S. Wszolek, Niepokalanów 1992, s. 145-147 (tłum. M. S. Wszolek).





Hieronim Savonarola OP  
(1452-1498)





# Kaznodzieja tragiczny

Jednym z największych mistrzów ambony pozostanie Hieronim Savonarola. Ten przeor dominikanów we Florencji uczynił z kazania wspaniałe narzędzie, przy pomocy którego potrafił tak zapalać słuchaczy, iż przez kilka lat rządził najbogatszym i najpiękniejszym miastem renesansowych Włoch, a z jego zdaniem liczyli się książęta, królowie i papież. Za sprawą potęgi wymowy miał u swych stóp cały niemal lud Florencji. Jednocześnie ten znakomity kaznodzieja przeszedł do historii jako kaznodzieja tragiczny. Kim był naprawdę Girolamo Maria Francesco Matteo Savonarola?

## Ferraryjczyk

Jakkolwiek pamięć ludzka będzie łączyć Hieronima Savonarolę z jego działalnością we Florencji, nie był on rodowitym florentyńczykiem. Na świat przyszedł w Ferrarze 21 września 1452 roku, jako trzecie dziecko w rodzinie mieszczańskiej spokrewnionej z władającym Mantuą rodem Bonacolsi. Wielki wpływ na wychowanie przyszłego kaznodziei wywarł dziadek, Michał Savonarola, ceniony profesor medycyny, człowiek surowych zasad i głębokiej religijności. Wnuk był małym, chorowitym człowiekiem, o orlim nosie i o wielkich, niebieskich, błyszczących oczach. Nad wiek poważny, dorastał samotnie, pochłaniając książki z obfitej biblioteki dziadka.

W 1475 roku w czasie podróży do Faenzy Hieronim wysłuchał przejmującego kazania pewnego augustianina i wtedy to zdecydował się porzucić świat. Nic nie mówiąc swoim rodzicom wstąpił do klasztoru dominikanów w Bolonii. Stamtąd napisał do domu jedynie list, w którym uzasadniał swą radykalną decyzję: „Przyczyny, które skłoniły mnie do wstąpienia do klasztoru, są następujące: przede wszystkim wielka nędza świata, niesprawiedliwość ludzi, gwałty, cudzołóstwa, zdzierstwa, pycha, bałwochwalstwo, straszliwe bluźnierstwa, którymi jest skażony nasz świat, gdyż nie spotyka się już nikogo, kto czyniłby dobrze”. Fragment tego listu dobrze oddaje główne rysy Savonaroli: sprzeciw wobec świata, radykalizm i nie znająca granic gorliwość.

W klasztorze bolońskim pozwolono Hieronimowi zachować jego chrzcielne imię. Pozostał zamknięty w sobie, oddany intensywnej modlitwie i umartwieniom. Razili go także mało gorliwi współbracia. Już w pierwszym roku życia zakonnego napisał pieśń *O upadku Kościoła*. Temat naprawy Kościoła stanie się wiodącą ideą życia Savonaroli. Papieżę wieku XV, zamiast stanąć na czele reformy chrześcijaństwa, skupili się głównie na umacnianiu swej roli władców Państwa Kościelnego. Rywalizowali z innymi renesansowymi książętami włoskimi w utrzymaniu okazałego dworu, fundowaniu wystawnych kościołów i rezydencji, prowadzeniu wojen, mecenacie sztuk i ściąganiu danin z całego Kościoła.

Wyniesioną z domu głęboką pobożność Hieronim złączył z solidnym klasyczo-humanistycznym wykształceniem i głęboką znajomością Pisma Świętego. Studia ugruntowały go w scholastycznej filozofii i teologii, a przede wszystkim zaznajomiły go z nauką św. Tomasza z Akwinu. Przełożeni Savonaroli szybko odkryli w nim duży talent i przeznaczili go do głoszenia słowa Bożego. Zadanie to było głównym charyzmatem zakonu, wpisanym nawet w jego nazwę: *Ordo Praedicatorum* – Zakon Kaznodziejski.

Savonarola rozpoczął więc działalność kaznodziejską od 1481 roku. Jednakże jego pierwsze wystąpienia we Florencji nie tylko, że nie przyniosły mu sławy, ale wzbudziły drwiny i szyderstwo. Nic nie wskazywało na to, że będzie z niego mistrz ambony, zdolny uczynić z kazania swą główną broń. W tej sytuacji przełożeni przenosili go z miejsca na miejsce, gdyż parafie Lombardii, w których nauczał, po niepowodzeniach we Florencji nie życzyły sobie jego dalszej obecności. Więcej szczęścia miał Savonarola w San Gimignano (1485), a następnie w Brescii (1486). Mimo nieudanego początku to właśnie florentyńczycy, najbardziej obeznani z wysoką kulturą humanistyczną i z mocą retoryki, w końcu przyjęli i docenili dominikańskiego kaznodzieję. Było to w roku 1489. Uznanie jego prorockich zdolności i posłannictwa zwróciło na niego uwagę ludu Florencji i postawiło go na czele ruchu ludowego, w którym dążył do odnowy miasta, swego zakonu i Kościoła w duchu pierwszych chrześcijan. W 1490 roku osiadł na stałe we Florencji, w klasztorze San Marco, w którym jaśnieją blaskiem słynne freski Fra Angelico. Wsławił się tu swą działalnością pisarską w dziedzinie filozofii i teologii, ale przede wszystkim kazaniem. W lipcu 1491 roku został jednogłośnie wybrany na przeora. Wybór ten zawdzięczał swemu surowemu życiu i wiedzy, głównie jednak swej wymowie kaznodziejskiej.

### Kaznodzieja pokutny

Głosząc w 1490 roku kazania na temat Apokalipsy św. Jana w mieście Medyceuszy Savonarola potrafił tak zapalać słuchaczy, że musiał przenieść się ze swymi kazaniem z kościoła klasztorowego do ogromnej katedry florenckiej. Oczekiwały go w niej nieraz od świtu kilkudziesięcne tłumy. Uznanie zdobywał nie tylko dzięki temu, że wiedziano, iż między tym, co mówił, a tym, jak żył, nie było rozdzwiewku, ale także dlatego, że to, co głosił było niezwykle, śmiałe, a zarazem wstrząsające. Okres jego działalności nazwano „dyktaturą głosu” (P.-J. Salazar). W mieście bogatym i zepsutym nawoływał do poprawy obyczajów, do miłosierdzia dla biednych, groził bliską karą Bożą, chłostał słowami zarówno zwykłych wiernych, jak i duchowieństwo, przepowiadał reformę Kościoła. Był przede wszystkim wielkim kaznodzieją pokutnym.

Opierając się na Księdze Apokalipsy *frate* – jak go nazywano – dowodził, że Kościół, to jest jego członkowie, musi być ukarany, że poprzez tę karę ulegnie

odnowieniu, które rychło nastąpi. Słuchacze wychodzili z jego kazań wśród głębokiej ciszy, dogłębnie wzruszeni, oszołomieni, jakby zmiażdżeni moralnie. W jego imponującej działalności kazanie średniowieczne osiągnęło szczyt rozwoju. Doprowadził bowiem do perfekcji dwa typy kazania średniowiecznego, tzn. kazanie szkolne i kazanie do ludu, tworząc z nich jedno.

Trzeba jeszcze podkreślić, iż żaden kaznodzieja owych czasów nie uznał w takim stopniu siły Pisma Świętego jak zrobił to Savonarola, który objaśniał na ambonie całe księgi Biblii. Szczególnie bliskie były mu psalmy i prorocy Starego Testamentu. Komentował księgi prorockie Aggeusza, Amosa, Micheasza i Ezechiela. Tłumaczył księgi Wyjścia, Hioba i Rut. Analizował Pierwszy List św. Jana i poszczególne rozdziały Apokalipsy. Tym kazaniom biblijnym nadawał formę homilii analitycznych, wyjaśniając na ambonie werset za wersetem. Za świętymi Ambrozym, Augustynem, Grzegorzem Wielkim i Bernardem z Clairvaux preferował alegoryczno-mistyczną interpretację, która pozwalała mu dokładnie wniknąć w stosunki panujące w owym czasie. Przed wygłoszeniem kazania spędzał całe noce na modlitwie, zatopiony w czytaniu i rozważaniu Biblii. Myśli, obrazy i słowa Biblii przeżywał tak głęboko, że padały one z jego ust jakby były jego własnymi myślami i słowami. Stał się wybitnym kaznodzieją biblijnym, odnosząc na tym polu wielki sukces.

Promując kaznodziejstwo biblijne Savonarola sprzeciwiał się zdecydowanie odmiennej, humanistycznej modzie. Mówił z bólem: „Nasi kaznodzieje opuścili Pismo Święte, oddali się astrologii i filozofii i głoszą je na ambonach. Mądrość światową uczynili swoją królową, a Pismo Święte traktują jako służącą. Ponieważ oni głoszą mądrość światową, aby wydawać się bardzo mądrymi, a nie używają tej mądrości do wyjaśniania Pisma Świętego” (*Sermo* 23, In Ps 72, 1). Według mocnego przekonania Savonaroli powodzenie jego kazań gwarantuje jego oddanie się Pismu Świętemu. „Jak długo Pismo Święte nie było prosto głoszone ludowi dawane były kamienie. Bezwzględność filozofii sprawiła, że wszyscy stali się twardzi i nie mogli uwolnić się od egoizmu i pychy. A teraz lud nie je kamieni lecz chleb, ponieważ Pismo Święte jest głoszone w sposób bardziej czysty i głośniejszy” (*Prediche sopra Amos* 32).

Wystąpienia Savonaroli na ambonie polegały na komentowaniu wybranego fragmentu Biblii w sposób całkiem osobisty, z aluzjami do bieżących wydarzeń. Patetyczne wywody mówca wspierał teatralnym gestem, przerywał okrzykami, wzdychaniem, płaczem. Egzaltacja udzielała się nierzadko słuchaczom, nazwanym w związku z tym przez współmieszkańców płaksami (*piagnoni*). Nosił w sobie świadomość, że został przez Boga posłany jako prorok. „Chciałbym milczeć i nic nie mówić, ale nie jest to możliwe, ponieważ słowo Boże pali się jak ogień w sercu i jeśli nie dam mu powietrza, spala mnie do szpiku kości” (*Prediche sopra Amos* 1, 4). Był przekonany, że z chwilą wejścia na ambonę zstępował na niego Duch i zmuszał go do mówienia o rzeczach, o których on raczej chciałby milczeć. „Kiedy kaznodzieja stoi

na ambonie, to Duch Święty prowadzi jego język i daje mu siłę i elokwencję taką, jakiej on nigdy nie ma” (*Prediche sopra Aggeo* 21). Wtedy spływały z jego ust słowa, które zaskakiwały jego samego i umacniały w nim przekonanie, że to nie on sam, ten zwykły brat, lecz ktoś większy mówi przez niego. Właśnie to nadawało jego wystąpieniom z ambony wspaniałą świeżość i bezpośredniość. Nie to, co zostało przygotowane, albo nawet wyuczone na pamięć, lecz to, co było w nim wewnątrz, to, co płonęło miłością Boga, wpływało z duszy ozdobionej wielką miłością bliźniego.

Dorobek pisarski Savonaroli, wydany drukiem w drugiej połowie XX wieku w ramach *Edizione nazionale delle opere di Girolamo Savonarola*, liczy 27 tomów. Zdecydowaną większość stanowią w nim kazania wielkiego dominikana. Chronologia aktywności kaznodziejskiej Savonaroli jest dość dobrze opracowana. Oprócz wspomnianych już komentarzy do księgi Apokalipsy św. Jana ważne miejsce w tym dorobku zajmują kazania na temat Księgi Amosa (*Prediche sopra Amos*), wygłoszone podczas wielkiego postu 1496 roku, stwierdzające, iż jeśli papież sprzeciwia się dobru, należy odmówić mu posłuszeństwa, kazania na temat Księgi Ezechiela (*Prediche sopra Ezechiele*), z 1497 roku z gwałtownymi atakami na Rzym i jego zepsucie, 22 kazania na temat Księgi Aggeusza (*Prediche sopra Aggeo*), 47 na temat Księgi Hioba (*Prediche sopra Giobbe*), 25 na temat psalmu *Quam bonus* oraz kazania na tematy ksiąg Rut, Micheasza i Zachariasza (*Prediche sopra Ruth, Michea, Zaccaria*). Już ekskomunikowany *frate* wygłaszał kazania na temat Księgi Wyjścia (*Prediche sopra l'Esodo*).

Kazania Savonaroli na temat Pisma Świętego miały jeszcze jedno szczególne znamię – stawały się prorocstwem. *Frate* wybrał tę formę ze względu na ciężkie moralne przestępstwa tych czasów, na życie bez skrupułów, nastawione na zysk i rozkosze, ze względu na szeroko rozpowszechnioną niemoralność, poczynając od najniższych stanów, poprzez duchownych i mnichów, aż do najwyższych kościelnych stanowisk. Savonarola zagłębiał się w mowy sądowe i mowy karne starotestamentowych proroków i naśladował je. Jego nocne czuwania, surowe posty i umartwienia cielesne wszelkiego rodzaju stworzyły w nim taki stan duchowy, z którego wypływały w czasach niezwykłych napięć religijnych prorockie wizje i głosy. Tak więc głosił miastu Florencji i Kościołowi bliską karę Bożą; nawoływał lud do nawrócenia i powrotu do życia ewangelicznego pierwszych chrześcijan. Jego kazania można właściwie sprowadzić do trzech tematów: Kościół będzie ukarany (1), a przez to zostanie odnowiony (2), a dokona się to wkrótce (3). Do szerokich kręgów, a przede wszystkim do niższych warstw ludu mówił prosto z duszy. Wyjaśnia to poniekąd napływ tłumu na kazania Savonaroli, procesje pokutne i niszczenie przedmiotów światowej próżności. Spełnianie się jego prorocत्व podnosiło znaczenie i władzę Savonaroli tak bardzo, że po przepędzeniu księcia renesansu mógł przeprowadzić we Florencji zaplanowane przez siebie panowanie boskie i reformy w zakonie dominikanów.

## Starcie z neopogaństwem

Epizod „duchowego władania Jezusa Chrystusa”, zaprowadzonego we Florencji przez Savonarolę w latach dziewięćdziesiątych XV wieku należy w istocie rozpatrywać w świetle zaistniałego wówczas konfliktu między pokusą pogaństwa a koniecznością reformy ewangelicznej. Od początku renesans, wraz ze swym uprzywilejowanym instrumentem – humanizmem, wykazywał ambiwalencję i prowadził do pojawienia się pokusy pogaństwa. Już samo słowo „humanizm” sugerowało niebezpieczeństwo pokładania ufności tylko w człowieku i ograniczania wszystkiego do jego horyzontu. W tej epoce sztuka ukazała pogańskie oblicze. Sławiła nagość ciała, nasyciała się zmysłowością form. Wyrafinowanie kolorów i materiałów oddalało ją od średnio-wiecznej surowości i powściągliwości. Warto odnotować, iż Rafael nadał malowanej przez siebie Madonnie rysy swojej kochanki Fornariny, a wcześniej Fouquet przedstawił piękną damę, Agnès Sorel, faworytę króla Francji Karola VII, trzymającą Dzieciątka Jezus na swym łonie.

Być może owo starcie nowego ze starym nigdzie nie było równie ostre jak właśnie w mieście Medyceuszy. Florencja, we wszystkim pierwsza i wspaniała, Florencja zwrócona ku rozpamiętywaniu pogaństwa, spragniona nowości platońskich za sprawą Ficino, pełna zbytku i rozwiązłości, najbogatsze i najpotężniejsze z ówczesnych włoskich miast, miała się stać miejscem pobytu, nauczania, triumfu, a w końcu męczeństwa ferraryjczyka.

Podjmując starcie z neopogaństwem swej epoki Savonarola był przekonany, że sam, słowem i wpływem na władze publiczne, przemieni wielkie i swawolne miasto niemal w klasztor. Brutalnie piętnował z ambony obyczaje owego wybranego ludu: „Życie wasze spędzacie w łóżku, na kłótniach, spacerach, orgiach i rozpuście. Wasze życie to życie świń!”. Apelowal do miejskich urzędników: „Ścigajcie grzech, walczcie z występkiem [...] kaźcie wystawiać wszystkie kurtyzany na widok publiczny [...] karajcie graczy [...] kaźcie bez litości przebijając języki bluźniercom [...] zabrońcie również tańców”. Domagał się by sklepy były zamknięte w święta; zabronił młodzieży wymyślnych fryzur i strojnych kaftanów. Radził, by służba donosiła za nagrodą o występkach swych chlebo-dawców. Wprowadził rygory moralno-dyscyplinujące porównywalne jedynie z tymi, które pół wieku później zaprowadzą gminy kalwińskie.

Traktując zarówno o obyczajach, jak i polityce, przeor dominikański zaczął się powoływać na prywatne wizje i objawienia oraz przepowiadać przyszłość. Zapowiedział zgon Wawrzyńca Medici i papieża Innocentego VIII. Głosił, że w Rzymie nastanie dobry pasterz i że przez Italię przejdzie zwycięsko nowy Cyrus, podobny do perskiego zdobywcy z VI wieku przed Chrystusem, który podbitym ludom dawał autonomię, a Izraelitom przywrócił wolność po niewoli babilońskiej. Odnosiło się to do przygotowywanej inwazji króla francuskiego Karola VIII, który zamierzał odzyskać Królestwo Neapolu, gdzie w 1481 roku



wygasał dynastia Andegawenów. Niektórzy, nie tylko Savonarola, ale i część kardynałów, liczyli, że wkroczenie władcy, który zapowiedział reformę Kościoła we Francji, a papieżowi groził zwołaniem soboru, spowoduje detronizację Aleksandra VI Borgii i przyspieszy naprawę chrześcijaństwa.

Gdy w 1494 roku Francuzi przekroczyli Alpy, Piotr Medici bez wiedzy Signorii oddał im 3 twierdze i 2 miasta. Wówczas Medyceuszów wypędzono. Odwykła od samorządu ludność potrzebowała przywódcy. Zaczęła rosnąć pozycja Savonaroli. Włączony do poselstwa Signorii witał Karola VIII: „Bóg wysłał cię królu, abys zreformował Kościół, który upokorzony leży na ziemi”. Ostrzegał jednak najeżdźcę, że gdyby zapomniał o tej misji oraz nie uszanował Florencji, jej kobiet, obywateli i wolności, Bóg go ukarze. Poza wielkim wrażeniem mowa ta niewiele dała republice florenckiej, w której Francuzi zachowywali się jak okupanci. Gdy wreszcie odeszli w stronę Neapolu, we Florencji zaczęły się dyskusje nad ustrojem miasta. Licząc się ze zdaniem Savonaroli, ustanowiono bank udzielający niskoprocentowych pożyczek, zakazano lichwy, złagodniono przepisy dotyczące niewypłacalnych dłużników. Poszerzono też wpływ obywateli na władzę w mieście. Miało to zapobiegać zarówno nawrotowi tyranii jednostki, jak i rządowi oligarchicznym.

Autorytet Savonaroli wzrósł do tego stopnia, że nie piastując żadnych formalnych funkcji, stał się nie tylko najbardziej wpływową osobą w mieście, ale wręcz jakby faktyczną głową republiki. Decydował niemal o wszystkim, bądź to sam wypowiadając się o sprawach publicznych w kazaniach, bądź też działając przez oddanych sobie i wpływowych ludzi. Za ważniejsze niż aktywność polityczną uważał przeobrażenie Florencji w miasto wybrane, którego królem będzie Chrystus. Jego lud w Toskanii ma być wzorem dla całej Italii i Kościoła. Była to więc jakaś forma teokracji, ale bez rządów kleru, a za to z jednym dość antyklerykalnym prorokiem.

Kobiety, które ciągle przeważały wśród słuchaczy przeora Hieronima, zaprowadzały za jego radą tak częste posty w domach, że aż władze musiały obniżyć podatki rzeźnikom, by chronić ich od bankructwa. W Wielkim Poście kobiety odmawiały współżycia małżeńskiego. Część młodych par po ślubie postanawiała trwać w dziewictwie. Dla młodzieży, która w karnawale wymuszała haracz od przechodniów, a wieczorami tańczyła przy ogniskach i prowadziła bójki na kamienie, Savonarola ułożył pobożne pieśni, by zastąpiły światowe, datki zaś chłopczy zaczęli zbierać na cele dobroczynne.

Przeor podzielił ich następnie na oddziały i powyznaczał zajęcia. Jedni kwestowali na rzecz ubogich, inni dbali o porządek w świątyni, jeszcze inni o czystość obiektów kultu. Osobna grupa stanowiła rodzaj młodocianej policji obyczajowej. Jej członkowie przemierzali ulice, zaglądali do domów, rekwirując perfumy, lustra, karnawałowe maski, karty do gry, poezje, lutnie i inne narzędzia próżności, uznane za takie przez Savonarolę. Próbującym protestować przeciw moralnemu terrorowi młodocianej milicji zakonnik odpowiadał:

„Jeżeli czynicie coś, w czym dzieci muszą wam przeszkadzać, to sami jesteście winni”. A dzieciom tłumaczył, że nie powinny słuchać rodziców, gdy ich polecenia sprzeciwiają się prawu boskiemu. Jeśli pamiętać przy tym o propagowanych przez Savonarolę postach i wstrzemięźliwości małżeńskiej, to łatwo zrozumieć, dlaczego w sprawozdaniu z jego procesu znalazły się słowa: „Niezgoda wkroczyła do wszystkich domów. Żona i mąż, ojciec i dzieci, wszyscy byli ze sobą skłóceni. Stale słyszano straszliwe groźby”.

Zaniepokojony coraz ostrzejszą krytyką Kościoła i papieżstwa Aleksander VI Borgia usiłował interweniować. Rozbudzało to tylko gniew Savonaroli. Wołał z ambony: „Stałeś się domem publicznym, zbudowałeś wszędzie dom publiczny. Co robi nierządnicą? Zasiada na salomonowym tronie i każdego wzywa: kto ma pieniądze, jest wpuszczony i robi, co mu się podoba, kto pragnie dobra, jest wypędzany precz. Tak więc, o nierządny Kościele, pokazałeś swoją brzydotę całemu światu, a twój fetor wzbil się pod niebiosa. Twój rząd rozprzestrzenił się wszędzie: w Italii, Francji, Hiszpanii”. Papież rzucił na Savonarolę ekskomunikę, na co zakonnik zareplikował: „Ten więc, kto poleca działać przeciwko miłosierdziu, które jest pełnią nowego prawa, niech będzie przeklęty! [...] I jeśli jakiś papież powiedział kiedykolwiek coś przeciwko temu, co ja mówię, niech będzie przeklęty! Nie mówię, że taki papież był, ale jeśli był, to nie był narzędziem Pana, lecz złamanym mieczem”. W tych okolicznościach w mieście narastało napięcie, a zwolennicy Savonaroli (*piagnoni*) ścierali się z jego wrogami *arrabati* (*wściekłymi*).

Niewątpliwie Savonarola nie miał w sobie ani żelaznej konsekwencji, ani chłodnego okrucieństwa, które są stałymi cechami każdego ideologa. We własnych oczach był tylko biblijnym prorokiem, którego zadaniem było głoszenie Bożego słowa, a nie umocnienie doczesnej władzy nad miastem. Najbardziej wątpliwe projekty dominikanina – oddziały chłopców przemierzających ulice Florencji w poszukiwaniu bogactw i dzieł świeckiej sztuki, działanie donosicieleli, również małych dzieci, wreszcie zgromadzenia wokół „stosów próżności” – wynikały z pragnienia pokuty; nie były to jednak elementy metodycznie wprowadzanej w życie utopii. Wydaje się, że drzemał w nim ten sam duch sprzeciwu wobec bałwochwalstwa, który widoczny był już w apostołe Pawle. Burzył się zatem wewnętrznie, gdy widział miasto dawniej wierne Chrystusowi, pełne kościołów i klasztorów, a teraz, jak mu się zdawało, oddane pogańskiemu bałwochwalstwu. Zamiast jednak ograniczyć się do piętnowania zła i zamiast wychowywać nowe pokolenie chrześcijan, urządzał procesje kończące się paleniem „marności” na placu Signorii.

Jeden z takich stosów spalono w ostatnim dniu karnawału 1497 roku przy huku trąb, radosnych okrzyków *plaksów* i śpiewie pieśni potępiających karnawał. „Stos marności” tworzyła wysoka piramida złożona z 7 stopni, stosownie do 7 grzechów głównych. Zbudowano ją z zarekwirowanych po domach przez dzielnicą milicję Savonaroli takich przedmiotów jak: stroje karnawałowe, tomiki po-

ezji, ozdoby kobiece, perfumy, różnorodne instrumenty muzyczne, karty, szachy, portrety pięknych pań oraz inne obrazy i dzieła sztuki, obrażające moralność. Jeśli jednak przeorowi z San Marco zarzuca się niszczenie przedmiotów zbytku czy niemoralnej sztuki, to niezależnie od sądu o tym dzisiejszego człowieka powiedzieć trzeba, że było to znaną już wcześniej procedurą i robili to także inni ówczesni kaznodzieje, jak np. św. Bernardyn ze Sieny lub św. Jan Kapistran.

Ludzi zmęczyły jednak pokuty i modły narzucone przez przeora. Egzaltacja miała, a braku głębszej przemiany wewnętrznej nie były w stanie zastąpić teatralizowane gesty ekspiacji, wykonywane pod presją kaznodziei. Także przyboczna gwardia proroka, licząca około 5 tysięcy chłopców, stała się uprzykrzonymi natrętami wytwornych domów, symbolem fanatycznego reformizmu Savonaroli. Wszystko zmierzało do odrzucenia religijnego przywódcy. On sam w swoich kazaniach wielokrotnie mówił o niepokojących go przeczuciach, o swoim strasznym końcu życia. Widział tortury oraz sąd i przygotowywał na to swoich wiernych.

### Tragiczny finał

Jak już wspomniano, król francuski Karol VIII urządził w roku 1494 wyprawę na Włochy i dotarł aż do Neapolu. Przeciwko hegemonii francuskiej we Włoszech powstała tzw. liga święta, w skład której wszedł papież Aleksander VI, cesarz, książę Mediolanu i Wenecji. Chciano do niej włączyć i Florencję, ale na przeszkodzie stał Savonarola, który uważał Francję za narzędzie w dziele reformy Kościoła. Przeciwnicy *frate* postarali się wpłynąć na papieża, by uczynić go nieszkodliwym. Aleksander VI chciał więc z powrotem przyłączyć klasztor San Marco do kongregacji lombardzkiej, a gdy to się nie udało, wezwał Savonarolę do Rzymu, rzekomo, by posłuchać jego kazań. Gdy i na to Savonarola odpowiedział odmownie, papież zabronił mu głoszenia kazań. Dominikanin posłuchał przez pewien czas, ale potem głosił je znowu, tłumacząc, że na skutek jego milczenia wzrasta zuchwalstwo złych, a słabnie odwaga dobrych. Gdy i perspektywa kapelusza kardynalskiego nie pomogła, papież nakazał w roku 1496 złączyć wszystkie klasztory tokańskie (a więc i klasztor św. Marka) z rzymskimi w jedną kongregację. I teraz Savonarola nie posłuchał, tłumacząc się, że zakonnik nie może być zobowiązany do porzucenia surowszej reguły i przyjęcia łagodniejszej. Kontynuował też dalej swoje kazania, między innymi o zepsuciu panującym w Rzymie. Wtedy papież ekskomunikował go za nieposłuszeństwo. Przez pewien czas Savonarola nie spełniał swych czynności kapłańskich. Wrócił do nich znowu w dniu Bożego Narodzenia, a 11 lutego 1498 roku zaczął także głosić kazania. Występował w nich ostro również przeciwko papieżowi, usiłując doprowadzić do pozbawienia go tronu.

Przez swoje wystąpienia Savonarola zjednał sobie wielu potężnych wrogów, którzy nie chcieli zrezygnować z wygodnego stylu życia. Miał także wrogów wśród księży i zakonników, nie wyłączając swojego zakonu, którzy

odrzucał surowy tryb życia. Miał wrogów przede wszystkim w Rzymie rządzonym przez Aleksandra VI. W zgodnej współpracy wykorzystali oni swoją władzę i obrócili jej ostrze przeciw żarliwemu mnichowi. Rywalizujący ciągle z dominikanami franciszkanie zaproponowali, by Savonarola poddał się próbie ognia. Rację będzie miał ten, kto przejdzie przez ogień. Do próby jednak nie doszło. W decydującej chwili Savonarola zawahał się i zaczął stawiać niemożliwe do spełnienia warunki. Uznano to za tchórzostwo. Zachwiało to u wielu wiarę w jego świętość.

W Palmową Niedzielę wieczorem *arrabbiati* zorganizowali rozruchy. Klasztor San Marco został zaatakowany przez tłum, a po krótkiej obronie przez zakonników i garstkę świeckich zdobyty i splądrowany. Savonarola świadom swej klęski, nie próbował ucieczki. Opuścili go i wyparli się wszyscy. Wkrótce aresztowano także wielu jego zwolenników. Przeorowi wytoczono proces, parokrotnie go torturowano, a akta procesu sfałszowano. Wreszcie komisarze papiescy skazali go wraz z najbliższymi współpracownikami, braćmi Dominikiem i Sylwestrem, na śmierć jako heretyka, schizmatyka i przeciwnika Stolicy Apostolskiej.

Wszystkich trzech bez habitów, w koszulach i boso, poprowadzono na miejsce kaźni, gdzie czekały już tłumy. Przedtem biskup, dawny zwolennik Savonaroli, musiał go zdegradować. Głęboko wzruszony do słów pontyfikału: „wyłączam cię z Kościoła wojującego” – dodał i „triumfującego”. Wtedy Savonarola powiedział głośno: „Wojującego, nie triumfującego, bo to do ciebie nie należy”. W dniu 23 maja 1498 roku Savonarola został wraz z dwoma oddanymi sobie dominikanami powieszony. By nie dopuścić do przejawów czci ciała spalono, a popioły wrzucono do rzeki Arno.

Dramatyczne przeżycia po aresztowaniu, długie dni tortur i konfrontacji z fałszywymi oskarżeniami, ze zdradą najwierniejszych uczniów, odwrócenie się Florencji, miasta, w którym gotów był widzieć drugą Jerozolimę, wszystko to wstrząsnęło Savonarolą. Być może ostatnie słowa, które wypowiedział po ucałowaniu krucyfiksu, na moment przed śmiercią, kiedy towarzyszący mu ksiądz zapytał, w jakim duchu staje w obliczu męczeństwa, były jego najważniejszym kazaniem. Rzekł bowiem: „Chrystus wiele za mnie wycierpiał”. Ukazała się w tym krótkim zdaniu inna twarz zakonnika – nie władcy i apostoła Florencji, nie nieudanego rewolucjonisty – ale duchowego mistrza, nauczyciela na drodze do zjednoczenia z Bogiem.

Potępienie Savonaroli jako „syna zła” przez Aleksandra VI miało swoją bolesną, symboliczną wymowę. Potępił go bowiem człowiek, który szkodził Kościołowi i sam nie wierzył w prawdę słów potępiających, człowiek, o którego rządach „można mówić tylko z oburzeniem i wstydem” (Seppelt). Potępiony został natomiast człowiek czysty, bezinteresowny, święty, który całe swe życie poświęcił Kościołowi i do Kościoła był głęboko przywiązany, który pracował stale nad reformą – nie nauki Kościoła i jego instytucji – lecz nad reformą ludzi w duchu etyki chrześcijańskiej, której właśnie Borgia był żywym zaprzeczeniem.

\*

Na pytanie postawione na wstępie: kim był naprawdę Girolamo Maria Francesco Matteo Savonarola, nie ma jednoznacznej, łatwej odpowiedzi. W dyskusji trwającej ponad pięć wieków wypowiedziano o nim najrozmaitsze sądy: szaleniec, fanatyk, ofiara tyranii, męczennik wolności sumienia, święty. Nikt nie utrzymuje, by wyrok komisarzy papieskich z roku 1498 był słuszny, ale wielu potępia Savonarolę za nieposłuszeństwo wobec papieża, tj. za to, że mimo ekskomuniki nie zaniechał swych czynności kapłańskich. Prorok to zatem czy demagog, gorliwiec czy fanatyk, świadek Ewangelii czy kontestator, buntownik czy męczennik sumienia? Na te i wiele podobnych pytań trudno jest odpowiedzieć, gdyż Hieronim Savonarola nie jest postacią jednoznaczną. O wiele łatwiej przyszło rozstrzygnąć problem ortodoksji jego pism. Komisja papieska już w 1558 roku uznała je za wolne od błędów dogmatycznych, a papież Benedykt XIV w połowie XVIII wieku często cytował je w swym dziele o beatyfikacji sług Bożych.

Chociaż nie spełniły się proroctwa Savonaroli dotyczące bliskiej jakoby odnowy Kościoła, a Florencji nie udało się uczynić jej pierwszym ogniskiem, i choć diabła swawoli wypędzał czartem przymusu, a nadmiar użycia skrajnym ascetyzmem (J. Kracik), to jednak nie da się zaprzeczyć, iż był to człowiek niezwykle pobożny i żarliwy, a przy tym jeden z największych mistrzów ambony. Ostry profil tej osobowości dobrze wydobył rottenburski biskup Paul Wilhelm Keppler (†1926). Sam będąc wielkim kaznodzieją uznał Savonarolę za „najpotężniejszego i najżarliwszego mówcę z całego średniowiecza, który w nadzwyczajny sposób połączył ostrość i jasność myślenia z mistyczną głębią i sprawę z niesłychanym żarem uczuć”.

Hieronim Savonarola OP

## *O pogardzie dla świata*

Cóż my czynimy? Ach, czemuż, o moja duszo, trwamy w staraniach nadaremnych? Pojawiają się oto osoby bez pouczenia i doktryny, mężczyźni i kobiecinki, i w ekstazie porywają niebo. My natomiast, z całą naszą erudycją, ach, zagłębiają się w piekło, podczas gdy serca nam się gubią wśród marnych myśli. Uważamy siebie za mądrych, a przecie wielcy z nas głupcy. I oto wieśniacy i kobiety, bardziej przykładem niż słowem, uczą nas pogardy dla spraw ludzkich, wynikającej wprost z Chrystusa. To my jesteśmy głupcami, co gonią za głupstwem tej ziemi, niby ucząc innych go unikać; wysławiamy łaskę wiekuistą, a gonimy za dobrem dnia jednego.

Tymczasem chłopcy, a wręcz dzieci, unikają świata i trawiącej go żądzy, dobrze wiedząc, że co ziemskie, to przemija. My zaś czynimy doprawdy jak świnie i epikurejczycy; rozprawiamy o cnotach zewnętrznych, a w swym wnętrzu – za doktryną cyników – szacujemy jako dobro najwyższe przyjemność naszego ciała. Ach, co ja czynię? Czemu zwlekam? Czemu chwięję się i nie postanawiam? Czy nie widzisz, jak świat ten po brzegi wypełniony jest wszelkim brudem, bezprawiem i bezbożnością? Czy nie dostrzegasz człowieczej ślepoty i zatwardziałości? Na co ty czekasz, moja duszo?

Wstań i nie wstydź się brać przykład z tych dzieci i kobiecinek, uczyni ich sobie wzorami. Wstań i wraz z małuczkami „ach, porzuć ziemie okrutne i opuść brzeg niegościny”, ucieknij z Sodomy i Gomory, wyjdź z Egiptu, zostaw faraona; umykaj z motłochu pysznych; mijaj młodość pozbawioną ideałów, szkaradną starość i ambitną nędzę. Tu wszyscy chwalą przywary i naśmiewają się z cnoty. Kto dba o swoją ogładę i przykłada się do filozofii, jest okrzyknięty dziwakiem, kto żyje skromnie i czysto – wnet ogłoszony jest głupcem; pobożnego nazywają złośliwym, sprawiedliwego – okrutnikiem; kto wierzy w Boga, to ignorant; ten, kto jedynie w Chrystusie pokłada swoje nadzieje, jest wyszydzony od wszystkich; miłosierny się wydaje słabym.

Kto, przeciwnie, odiera z ich mienia ubogich, sieroty i wdowy, ten jest po prostu przebiegły; mądry, kto gromadzi pieniądze; szanowany, kto z większą bystrością potrafi znaleźć chytre słówko.

Nie jest mężczyzną, kto potrafi z nieszczęśliwego swego serca wykorzystać najbardziej okrutne, szpetne i straszne przekleństwa, kto nie zabija, nie klóci się, nie sieje niezgody i buntu. Ucieknięci ubodzy wyją, jęczą i płaczą, lecz nie zostają wysłuchani. Krzyczą sieroty i wdowy, a jednak trwają w zapomnieniu, ciąży im wszelka nędza, a jednak serc zakamieniałych wciąż nie porusza współczucie. Możni są bardzo zajęci wymyślaniem wciąż nowych podstępów, aby zrabować cudze dobro; szukają jedynie głupców, aby zgromadzić do kupy to wszystko, co będą musieli zostawić swym spadkobiercom.

Wszystko jest pełne bezbożności, wszystko stoi lichwą i złodziejstwem, wszędzie plugawe przekleństwo, gwałt, cudzołóstwo, sodomia i inne świństwo, wszystko pełne zabójstwa i zawiści, pełne ambicji i pychy, hipokryzji i zakłamania. Wszędzie u nas dostatek podłości i nieprawości.

Cnoty zatem stały się wadami, a wady niby cnotami. Czy trzeba dodawać coś więcej? Nie ma nikogo już, kto czyniłby dobro. Wzywają ich do nawrócenia trzęsienia ziemi i deszcze, gradobicia i wichry – i nie słuchają; choroby, zabójcze gorączki, powódzie i głody – i nie słyszą; wzywa ich wrogie i bezczelne wojsko, wstrząsa ich sumieniami pobożne kazanie sług Pańskich – lecz są głusi na wszelkie przestrogi.



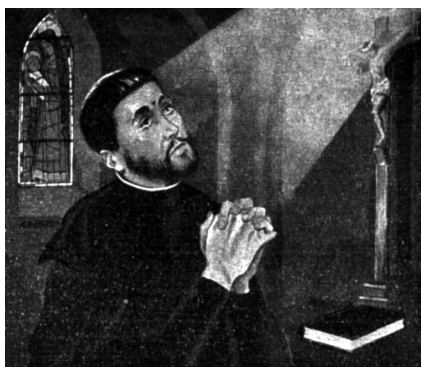
O ślepcy, osądźcie się sami: zważcie dobrze, czy to nie jest dzień ostatni. Czemu zatem, duszo moja, jeszcze zwlekasz? Wstań i biegnij, wyjdźże z Egiptu, zostawże w nim faraona, którego serce stwardniało, buntując się przeciw Bogu, wychwalajmy z Izraelem Pana: Ty zaprawdę jesteś wielki i wspaniały, rzuciłeś w morze konia i rycerza (to znaczy diabła i grzech). Ty, Panie, jesteś siłą moją i chwałą, to Ty stałeś się zbawcą. Taki jest Bóg mój i to Jemu oddam pokłon; Bóg jest Ojcem mym, Jego będę wychwalał. Jest jak niezwyciężony wojownik, wszechmocna jest Jego siła. Rzucił do morza faraona i jego rydwan i wojsko (to znaczy duszę zmysłową i jej nierozumne poczynania). Jego wybrane oddziały pogrzyżyły się w Morzu Czerwonym. Połknęła je otchłań i upadły na dno jak kamień.

Twoja prawica, o Panie, okazała się wielka i mężna: to ona uderzyła przeciwnika, w ogromnej chwale swej potęgi pokonałeś moich nieprzyjaciół (ach, nie moich, bo bez Ciebie jestem słaby i nie mógłbym stawić im oporu; to nie ja zwyciężyłem, ale Ty). Ty okazałeś swój gniew, który rozwiął ich jak martwe liście; i mocą Twego wzburzenia podniosły się wody (czyli łaska Twoja w moim wnętrzu), stworzyły falę, co przepływa (łaskę), w środku morza otwarły się otchłanie (beźmiar łaski). Nieprzyjacieli (czyli diabeł, co działa z powodu mych grzechów wbrew łasce) rzekł: „Będę ścigał go wszędzie i złapię, podzielę zdobycz, moja radość będzie pełna, wyciągnę na niego mój miecz i moja dłoń go zabije”. Tymczasem podnosi się twój oddech i morze (łaska) zatapia ich niczym olów w biegnących falach (to znaczy w przypiływie łaski).

Któż jest równy Tobie, Panie, pośród możnych? Któż jest do Ciebie podobny w świętości czynnej i strasznej, i godnej wszelkiej pochwały, zdolnej do wszelkich dzieł wspaniałych? Dość było Ci wyciągnąć rękę i oto ziemia ich połknęła. Wiodłeś ku Ziemi Obiecanej lud, który wyrwałeś z niewoli (mnie), i doprowadziłeś go skutecznie do samej świętej siedziby (wyboru życia zakonnego). Podniosły się w gniewie ludy (moi krewni i przyjaciele) oraz książęta Edomu (czyli ci, którzy mnie badali), lecz wzburzyli się i rozczarowali. Opanowała ich bojaźń oraz strach z powodu Twojej potęgi; znieruchomieli jak kamień, póki na drugi brzeg nie przeszedł (czyli do stanu zakonnego) ten twój lud (ja), co należy do Ciebie od zawsze, Wprowadziłeś go i posadziłeś na górze Twego dziedzictwa, w Twojej bezpiecznej siedzibie, którą Ty, Panie, zbudowałeś, w sanktuarium, które wzniosły Twoje ręce.

Pan będzie królował na wieki. A także ja. A teraz pozwól, o Panie, ażeby zgodnie z Twym słowem, sługa Twój odszedł w pokój; bo me oczy widziały Twe zbawienie, zbawienie, któreś przygotował na oczach wszystkich narodów, światło, byś im został objawiony i chwałę rodu twego, Izraela. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, od którego pochodzą wszelkie łaski. Amen.

Cytat za: H. Savonarola, *O miłości Jezusa i inne pisma*, Poznań 2003, s. 75-79.



Święty Jan z Avili  
(1499-1569)



# Apostoł Andaluzji

## Humanizm hiszpański

Po długim okresie dojrzwania szesnastowieczne kaznodziejstwo hiszpańskie osiągnęło szczytowy okres rozwoju. Dużą w tym rolę odegrały uniwersytety w Alcalá i w Salamance. Pierwszy z nich założył w 1498 roku zbliżony do humanistów włoskich kard. Jiménez de Cisneros († 1517). Na uniwersytecie tym studiowano języki starożytne w celu umożliwienia czytania oryginalnych tekstów, a zwłaszcza Biblii. Jako rezultat skrupulatnych filologicznych zabiegów powstało pierwsze drukowane wydanie pierwotnych tekstów Starego i Nowego Testamentu (tzw. *Polyglotta Complutensia*). Z kolei czołową postacią uniwersytetu w Salamance był Franciszek z Vitorii († 1546). Odszedł on od spekulacji i wyłącznej analizy sensu duchowego Biblii i wprowadził na uniwersytet w 1530 roku *Summę* św. Tomasza z Akwinu, jako podręcznik uzupełniający *Sentencje* Piotra Lombarda. Przyczyniło się to do powstania tzw. drugiej scholastyki, stanowiącej istotny element potrydenckiej odnowy teologii. Dzięki nieprzeciętnej indywidualności tego wychowanka humanistycznego kolegium św. Jakuba w Paryżu, uniwersytet w Salamance począł się wysuwać na czoło ruchu umysłowego ówczesnej Europy. Kształtował się tam swoisty humanizm hiszpański, obcy przerostom włoskiego klasycyzmu, czerpiący wiele ożywczych soków z idei Erazma z Rotterdamu, silnie zaangażowany w dzieło reformy ówczesnego Kościoła. Kierunek ten, w założeniach swych obcy skrajnemu dogmatyzmowi i instytucjonalizmowi, głosił oparcie całego życia religijnego na źródłach objawienia.

W drugiej połowie XVI wieku szczególnie silnie rozwija się w Hiszpanii wielka literatura mistyczna, nie mająca równego sobie odpowiednika w całej Europie. Działają takie indywidualności jak: św. Teresa Wielka († 1582), św. Jan od Krzyża († 1591), św. Piotr z Alcantary († 1562), Bernardyn z Laredo († 1540), Diego de Estella († 1578), Jan od Aniołów († 1609) i inni.

Hiszpańska flaga i chrześcijański krzyż zostały zatknięte w stopniowo odkrywany Nowy Świecie. Jakkolwiek Kolumb nie podejmował swoich podróży z motywów religijnych, niemniej jednak nadając nowym obszarom chrześcijańskie nazwy, m.in. takie jak: San Salvador, Santa Maria, Trinidad, rozpoczął chrystianizację Ameryki. Następstwem tego było ogromne rozszerzenie *orbis christiani*. Przed Kościołem otwierało się nowe, niezmiernie pole działania – cały Nowy Świat. Działalność misyjną zmierzającą do nawrócenia tubylczej ludności nowo odkrytych ziem Korona Hiszpańska od początku traktowała poważnie. Już w 1502 roku wraz z nowym gubernatorem przybyło do Haiti 17 franciszkanów, a w 1509 roku dołączyli do nich dominikanie. W 1516 roku kard. Jiménez de Cisneros postanowił, że do „Nowej Hiszpanii”

nie może odpląnąć ani jeden statek bez księdza na pokładzie. Ci pierwsi misjonarze byli nie tylko mężami wzorowymi i bogobojnymi, lecz także uczonymi. Już po paru latach wydali oni pierwsze słowniki i katechizmy w języku tubylców. Zdumiewająca była różnorodność form, jakie Kościół stosował w swej działalności misyjnej w Nowym Świecie: od założenia uniwersytetu w Limie (1533), w wysoko niegdyś rozwiniętym państwie Inków, aż do wiosek misyjnych w Ekwadorze i Paragwaju. Do niepodważalnych zasług Kościoła należy to, że wprawdzie powoli, lecz bez użycia siły, a tylko takimi środkami jak nauczanie, protesty i osobiste zaangażowanie biskupów i kapłanów wywalczył zasadę równości ras. Rzecznikiem praw ludzkich, obrońcą wolności Indian stał się dominikanin Bartolomé de Las Casas i inni misjonarze katoliccy.

W tej atmosferze bujnie rozwija się kaznodziejstwo hiszpańskie. Symbolizują go tak niezwykle osobowości kaznodziejskie jak: św. Tomasz de Villanueva († 1555), Ludwik z Grenady OP († 1588), bł. Alfons z Orozco († 1591), Franciszek z Osuny († 1541), a przede wszystkim św. Jan z Avili, zwany „Apostolem Andaluzji”.

### Dorastanie do apostołstwa

Jan z Avili urodził się 6 stycznia 1499 roku w Almodóvar del Campo, w prowincji Ciudad Real. Jego rodzice, Alfonso z Avili, pochodzenia żydowskiego, i Catalina Jijon, posiadali kopalnię srebra w górach Sierra Morena. Jan pochodził więc z zamożnej rodziny. Mając lat 14 udał się na uniwersytet w Salamance, aby studiować prawo. Po czterech latach porzucił jednak studia i wrócił do domu. Przez kilka lat żył w osamotnieniu oddając się modlitwie. Pewien zakonnik franciszkański, podziwiając jego pobożność, zachęcił rodziców, by posłali syna do seminarium. Jan udał się więc ponownie na studia, tym razem na uniwersytet w Alcalá, gdzie w latach 1520-1526 zgłębiał literaturę i teologię, pod kierunkiem dominikanina Dominigo de Soto. W 1526 roku przyjął święcenia kapłańskie. Na prymicje wrócił do swojej rodzinnej wioski Almodóvar del Campo. Na obiad zaprosił dwunastu żebraków i osobiście im usługiwał. Po śmierci rodziców sprzedał rodzinny majątek. Pragnął poświęcić się pracy misjonarskiej pośród Indian w Ameryce. W Sewilli, oczekując na wyjazd do „Nowej Hiszpanii”, mieszkał z księdzem Fernando de Contreras, prowadząc surowe życie i podejmując pracę kaznodziejską. Prawdopodobnie z powodu żydowskiego pochodzenia jego rodziny nie pozwolono mu na wyjazd do Ameryki. Arcybiskup Sewilli zobowiązał go do pozostania w mieście i podjęcia posługi głoszenia słowa Bożego w Andaluzji, na południu Hiszpanii. Odtąd Jan z Avili przejdzie do historii jako „Apostół Andaluzji”. Dokonywał tego dzieła poprzez apostołstwo słowa, czynu i pióra.

Warto przypomnieć burzliwe dzieje tego regionu, Andaluzja ma bowiem długą historię. W tej krainie w południowej Hiszpanii, nad Oceanem Atlantyckim i Morzem Śródziemnym, graniczącym współcześnie z Portugalią, w staro-

żytności rozwinęła się najpierw kolonizacja fenicka. Od VI wieku przed Chrystusem Andaluzja była pod panowaniem Kartaginy. Pod koniec II wieku przed Chrystusem przeszła pod władzę Rzymu, stając się szybko najbogatszą i najsilniej zromanizowaną częścią Półwyspu Iberyjskiego. Od 411 roku przechodziła z rąk do rąk. Była pod władzą Wandalów, Swewów, Wizygotów, Bizancjum i ponownie Wizygotów. W 711 roku nastąpił podbój arabski. Cały zajęty obszar półwyspu określano jako Al-Andalus. Ziemie Andaluzji stały się ośrodkiem wysokiej kultury i przeżywały okres rozkwitu gospodarczego. W toku rekonkwisty, począwszy od XIII wieku, Andaluzja włączona została do Królestwa Kastylii. Ostatnia enklawa – emirat Grenady wszedł w jego granice w roku 1492. Od XVI wieku w portach Andaluzji koncentrował się handel hiszpański z Ameryką. Andaluzja była krainą słynącą z produkcji rolniczej i górnictwa, głównie w Sierra Morena. Uprawiano tu m.in. oliwki, bawełnę, dąb korkowy, winorośl, drzewa cytrusowe i zboża. To właśnie w tej krainie rozwinął szeroką działalność kaznodziejską Jan z Avili.

### Apostoł słowa i czynu

Jan z Avili głosił słowo Boże nie tylko w stolicy regionu Sewilli, ale także w różnych okolicznych miastach; organizował i przeprowadzał misje ludowe, prowadził kierownictwo duchowe wielu osób, odwiedzał szpitale, więzienia i szkoły. Jego kazania spotkały się z wielkim zainteresowaniem. Wokół kaznodziei skupili się pierwsi jego uczniowie. Z małą grupą księży wiódł on życie oddane modlitwie i studiom. W ten sposób powstał pewien zespół kaznodziejski, grupa misjonarzy. Mieszkali oni wspólnie, żyjąc jedynie z ofiar, jakie im dawał lud. Przebiegali wioski i miasteczka Andaluzji, głosząc słowo Boże. To pierwsze apostołstwo Jana z Avili trwało kilka lat. Zostało gwałtownie przerwane przez fałszywe oskarżenia o nauczanie niezgodne z nauką Kościoła i o prowadzenie niemoralnego życia. W efekcie tego Jan został w 1531 roku uwięziony przez inkwizycję. Wytoczono mu proces. Młody kapłan nie chciał się jednak bronić przeciw swym oskarżycielom i spędził dwa lata w więzieniu w Sewilli (1531-1533). W tym czasie Jan napisał traktat ascetyczny dla osób świeckich *Audi Filia* oraz przetłumaczył dzieło *O naśladowaniu* Chrystusa Tomasza à Kempis i opracował do niego wstęp. W końcu został oczyszczony z podejrzeń o herezję. Kazano mu tylko, by publicznie wyjaśnił pewne kwestie; polecono, by w kazaniach był bardziej umiarkowany oraz by powtórzył w tym duchu swe kazania w tych miejscach, gdzie dotąd nauczał.

W 1535 roku Jan z Avili został wezwany przez biskupa Kordoby. W tym ważnym mieście andaluzyjskim zajął się formacją kleru tworząc dwa ośrodki studiów i wyjaśniając także ludowi Pismo Święte. Pobyt w Kordobie zaowocował też wspianiałymi misjami, których zasięg terytorialny przekroczył Andaluzję, obejmując Estremadurę, część Mancha i Sierra Morena.



Kordoba i jej otoczenie były miejscem najbardziej naznaczonym obecnością Jana z Avili. Tam też w starym *alcázar* Apostoł Andaluzji zgromadził swoich uczniów, aby ich przygotowywać do ewangelizacji. W Kordobie też zetknął się z Ludwikiem z Grenady, pisarzem ascetycznym i kaznodzieją, który przebywał w pobliskim klasztorze dominikańskim Santo Domingo w Escalaceli. Ich przyjaźń będzie trwała całe życie. Ludwik z Grenady z dumą będzie przypominał, iż był uczniem Jana z Avili. Napisał jego pierwszą biografię, w której podkreślił, iż podczas uwięzienia Jan z Avili otrzymał specjalną łaskę od Boga: głębokie zrozumienie *Beneficium Christi*, czyli tajemnicy odkupienia, która stanie się głównym tematem jego kaznodziejstwa. Innymi uczniami Jana z Avili byli Gaspar Lopez, założyciel kolegium w Jerez; Benedykt Carleval, niezmordowany pracownik na uniwersytecie w Baeza, założonym przez Jana z Avili dla przygotowywania kapłanów do pracy wśród opuszczonego ludu oraz Diego Perez de Valdivia, który jako pisarz zasłynął swoim podręcznikiem napisanym dla kobiet starających się żyć wśród świata na wzór zakonnicek.

W 1536 roku na prośbę biskupa Grenady G. Avalosa Jan głosił kazania do mieszkańców tego miasta i do nowo nawróconych. To właśnie wtenczas spotkał i nawrócił przyszłego świętego Jana Bożego będąc przez dłuższy czas jego kierownikiem duchowym. Także w Grenadzie wydatnie pomógł wyjść z kryzysu duchowego księciu Gandii – Franciszkowi Borgiaszowi, również przyszłemu świętemu. Pod wpływem kazania Jana z Avili, wygłoszonego w Grenadzie w 1539 roku na pogrzebie królowej Izabeli, ten znakomity arystokrata postanowił porzucić życie na dworze cesarza Karola V i wstąpić do jezuitów. Jan z Avili miał wyjątkowy dar przyciągania ludzi poszukujących Boga. W kontakcie z nim byli święci tego okresu. Nie tylko Jan Boży i Franciszek Borgiasz, ale także Ignacy Loyola, Teresa Wielka i Jan Ribera.

Przyjmuje się, że właśnie w Grenadzie Jan z Avili rozpoczął kompleksową i systematyczną ewangelizację okolicznych miast. Składały się na nią przede wszystkim kazania, katechezy i kierownictwo duchowe. W ten sposób prowadził misje ludowe na terenie Andaluzji. Swoją działalnością objął takie miasta jak: Baeza (1539), Jerez (1541), Sewilla, Baeza i Montilla (1545), Zafra (1546), Frenegal de la Sierra (1547) i Priego (1552). Jednym z podstawowych celów Jana była także szeroko pojęta formacja kleru i wychowanie młodzieży. Przy współpracy z biskupem Grenady założył około 15 kolegiów dla młodzieży i dla seminarzystów.

Po roku 1540 Jan z Avili mieszkał przeważnie w Baeza. Tam zatrzymywały go sprawy związane z organizowaniem uniwersytetu i innych szkół. Nie porzucił jednak całkowicie pracy misyjnej. Szczególnie lubił wygłaszać kazania podczas uroczystości Bożego Ciała i w czasie oktawy. Stąd wzięły się jego liczne kazania na temat Najświętszego Sakramentu. Podczas wielkiego postu w roku 1546 głosił serię kazań w Zafra. Wrócił do Kordoby w roku 1547, by organizować misje na całą Andaluzję i La Mancha. Wzięło w nich udział 24 jego uczniów, a także inni kapłani.

## Apostoł pióra

Wędrowne apostołstwo Jana z Avili, które trwało przeszło trzydzieści lat, wyczerpało jego siły fizyczne. Ostatnie lata swego życia spędził w Montilla, koło Kordoby. W tym pięknym miasteczku, położonym na górze wśród winnic i ogrodów oliwkowych, osiadł w 1554 roku. Wraz ze swoim uczniem Janem Villaras zamieszkał w skromnym domku i stamtąd prowadził rozległe apostołstwo, pisząc listy i traktaty.

Apostołstwo za pomocą listu znane było już w starożytności chrześcijańskiej. Jan z Avili sięgnął po tę formę oddziaływania. W domku, gdzie spędził ostatnie lata swego życia, można oglądać na ścianie deskę pełną haczyków. Wieszal na niej adresy osób, z którymi utrzymywał stałą korespondencję. Listy jego wędrowały do różnych miejsc w Hiszpanii. Z jego rad korzystali biskupi, wpływowe osoby w rządzie, osoby zakonne, kapłani i prosty lud. Z jego licznej korespondencji zachowało się 257 listów. Przeglądając jedynie ich adresatów widzi się, jak szeroki był krąg oddziaływania Jana. Można więc spotkać listy do cierpiących, do panny Sancho Carillo, która porzuciła dwór, by się poświęcić Chrystusowi; do Jana Bożego, który po powrocie z wojska sprzedawał pornografię, lecz pod wpływem Jana z Avili stał się apostołem miłosierdzia, zakładając sławny szpital w Grenadzie. Jest także list do Teresy Wielkiej, w którym Apostoł Andaluzji wydaje sąd o prawdziwości jej ducha i jej modlitwie mistycznej; do Franciszka Borgiasza, dwa listy do Ignacego Loyoli i jeden do jego następcy Diego de Laineza.

Jan z Avili posiadał dar znalezienia właściwego słowa pociechy dla smutnych i słowa zachęty dla upadłych na duchu. Umiał tchnąć odwagę i zachęcić do przyjęcia woli Bożej przez znajdujących się w trudnym położeniu; pokazywał znikomość świata i zachęcał do poświęcenia swojego życia Bogu. Posiadał też dar skłaniania grzeszników do pokuty. Ukazywał im miłosierdzie Boże i piękno cnoty, dzięki czemu starali się o wartościowe życie. Usilnie i wytrwale zachęcał wszystkich, by zaufali Bogu, bo jest On dobrym i troskliwym Ojcem. Zapewniał, że Bóg wszystkiemu nam udzieli przez wzgląd na zasługi Jezusa Chrystusa.

Oprócz listów Jan z Avili przygotował w Montilla ostateczną wersję swego traktatu ascetycznego *Audi filia* oraz zredagował 2 memoriały na sobór trydencki. Jeden z nich przygotowany był dla abpa Grenady Piotra Guerrero, udającego się na sobór trydencki w 1551 roku. Chciał on zabrać Jana ze sobą jako osobistego teologa. Na przeszkodzie stanął jednak pogarszający się stan zdrowia kaznodziei. W piśmie tym Jan z Avili podkreśla, iż reforma Kościoła musi się rozpocząć od reformy duchowieństwa.

Drugi memoriał był przygotowany na trzecią sesję soboru, zwołaną przez papieża Piusa IV. Jan ponownie wraca w nim do konieczności reformy duchowieństwa, lecz bierze także pod uwagę rozkład społeczeństw, wywołany odehraniem się od Kościoła Anglii, Niemiec oraz walki religijne we Francji. Podaje trzy główne przyczyny herezji: błędne sumienie, które opierając się na

falszywych opiniach stara się usprawiedliwić bunt; drugą przyczynę herezji widzi w niedbalstwie religijnym i zaniedbaniu kaznodziejstwa. Należy uczyć lud podstawowych prawd wiary. Wreszcie uważa herezje i właśnie religijne za karę Bożą, która spadła przede wszystkim za pychę.

W Montilla Jan z Avili opracował także uwagi na synod w Toledo. Król hiszpański Filip II przyjął dokumenty soboru trydenckiego w lipcu 1564 roku. Z tej okazji miały się odbyć synody prowincjalne w Walencji, Compostelli, Salamance, Saragossie, Grenadzie i Toledo. Ponieważ arcybiskup Toledo Bartłomiej Carranza de Miranda był uwięziony przez inkwizycję, bp Kordoby Cristobal de Rojas y Sandoval przewodniczył na synodzie toledańskim, dlatego też prosił Jana z Avili o pewne myśli na ten synod. W memoriale przesłanym z tej okazji Jan z Avili apeluje, aby ci wszyscy, którzy starają się o reformę innych, rozpoczęli ją od samych siebie. Inaczej im nikt nie uwierzy, dopóki wpierv nie zobaczy zmiany w ich własnym życiu. Jan z Avili wzywa więc bpa Rojas, by skierował swoje oczy na Syna Bożego na krzyżu, ogołoczonego ze wszystkiego co ziemskie i by Go naśladował w Jego ubóstwie, jeżeli pragnie, by reforma stała się skuteczna.

W tym czasie Jan z Avili napisał też małe dziełko *O miłości Bożej (Tratado del amor de Dios)*, w którym zawarł *résumé* tajemnicy wcielenia i odkupienia dokonanego przez Chrystusa, wzywając czytelnika do odpowiedzi miłością na Jego miłość. Z punktu widzenia językowego ten mały traktat jest prawdziwą perłą języka kastylijskiego wieku złotego. Traktatem tym Jan wpisał się do klasyków literatury hiszpańskiej.

Ważną rolę odegrał też *Traktat o kapłaństwie (Tratado del sacerdocio)*, powstały w Montilla około 1563 roku, a mający służyć jako materiał do konferencji na ten temat na synodzie w Kordobie. Jan z Avili wyjaśnia w nim naturę kapłaństwa, wyprowadzając ją od Chrystusa-Kapłana, wskazuje na potrzebę świętości kapłańskiej oraz podaje szereg rad dla proboszczów, kaznodziejów i spowiedników.

Dziełami tymi Apostoł Andaluzji wywarł znaczący wpływ na duchową odnowę Hiszpanii, a jego nauki o duchowości kapłańskiej znalazły odbicie we francuskiej szkole kardynała P. de Berulle'a.

### *Messor eram*

Jan z Avili nie przyjął proponowanej mu godności biskupa Sewilli i Grenady; odmówił także godności kardynalskiej ofiarowanej mu przez papieża Pawła III. Jego pierwsi biografowie, wspomniany już Ludwik z Grenady oraz Ludwik Nuñez, podkreślają głębokie zakorzenienie w życiu Jana z Avili takich cnót jak: miłość, ubóstwo, pokora, pobożność eucharystyczna, nabożeństwo do Ducha Świętego i Matki Bożej. Jan zmarł 10 maja 1569 roku w Montilla. Na wiadomość o tym Teresa z Avili stwierdziła: „Płaczę, bo Kościół stracił wielką kolumnę”.

Prochy Apostoła Andaluzji spoczywają w czerwonej marmurowej urnie, jaka się znajduje w głównym ołtarzu kościoła jezuickiego w Montilla. Nama-

wiany przez samego Ignacego Loyolę do wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego Jan odmówił, uważając że inne było jego powołanie. Jezuci przygarnęli go do siebie po śmierci. Na urnie z jego prochami znajduje się łaciński napis: *Quaeris quo functus munere? Messor eram*. Ten napis streszcza całe posłannictwo Jana z Avili. Byłem siewcą słowa Bożego!

Jana z Avili beatyfikował papież Leon XIII 4 kwietnia 1894 roku. Pius XII ogłosił go patronem hiszpańskich księży diecezjalnych 4 grudnia 1946 roku. Natomiast kanonizacji Jana z Avili dokonał papież Paweł VI 31 maja 1970 roku.

## Twórca szkoły kaznodziejskiej

Kaznodziejstwo było ulubioną formą działalności Jana. Apostoł Andaluzji przygotowywał swe kazania ze szczególną starannością, na modlitwie i po wnikliwym studium. Były one przeniknięte nauką św. Pawła, wyłożoną w jasny i zrozumiały sposób. Największą jednak zasługą Jana dla kaznodziejstwa hiszpańskiego tych czasów było stworzenie wokół siebie szkoły kaznodziejskiej, w której formował i przygotowywał kapłanów do posługi słowa Bożego. Ten wielki kaznodzieja zdawał sobie sprawę, że nie można odnowić społeczeństwa bez grupy ściśle zjednoczonych i oddanych apostołów. Zamierzał nawet założyć zgromadzenie kapłanów, którzy specjalnie poświęciliby się pracy na wsi, wśród opuszczonego ludu. Zrezygnował jednak z tego po założeniu przez Ignacego Loyolę Towarzystwa Jezusowego.

W przygotowaniu swoich apostołów do pracy misyjnej Jan z Avili zalecał dwie godziny modlitwy, szczególnie zaś rozważanie męki Pańskiej i rzeczy ostatecznych. Polecał studiować Nowy Testament z komentarzami wielkich ojców Kościoła, takich jak święci Jan Chryzostom, Augustyn, Hieronim, Grzegorz Wielki i Bernard z Clairvaux, oraz wskazówkami Erazma z Rotterdamu. Studia te miały za cel nie tylko nabywanie wiedzy, lecz przede wszystkim przygotowanie do owocnego kaznodziejstwa.

## Spuścizna kaznodziejska

Spuścizna kaznodziejska Jana z Avili, zachowana do naszych dni, obejmuje 82 kazania oraz 16 *Pláticas*, czyli konferencji, z których 14 adresowanych jest do kapłanów. Biorąc pod uwagę tematykę kazania Jana z Avili można podzielić na trzy grupy:

1. Cykl liturgiczny (*Ciclo Temporal*). Należy do niego: 26 kazań *de tempore* (*Sermones de tiempo*: na adwent, Boże Narodzenie, wielki post, Wielkanoc, Wniebowstąpienie), 6 kazań o Duchu Świętym (*Sermones del Espíritu Santo*) i 17 kazań o Najświętszym Sakramencie (*Sermones del Santísimo Sacramento*).

2. Cykl o świętych (*Ciclo Santoral*): 13 kazań o Najświętszej Maryi Pannie (*Sermones de Nuestra Señora*) i 10 kazań o świętych Pańskich (*Sermones de santos*).

3. Konferencje (*Pláticas Espirituales*): 16 konferencji wygłoszonych do kapłanów, do zakonników i zakonnice. Do tego można dołączyć jeszcze wspomniany wyżej *Traktat o kapłaństwie (Tratado del sacerdocio)*.

### *Beneficium Christi*

Postać Jana z Avili jak i jego spuściznę literacką można ujmować pod różnym kątem. Nas interesuje przede wszystkim jego dzieło kaznodziejskie. Skupia się ono wokół jednej prawdy, tzw. *Beneficium Christi*, czyli bogactwa łask, jakie przyniosło ludzkości odkupienie Chrystusa. Z tego źródła wypływają wszystkie inne łaski, jakimi nas Jezus obdarował. Jest to centralna myśl kaznodziejstwa Jana z Avili. Kazania, jakie pozostawił, najczęściej kierują się ku tajemnicy wcielenia. Przez nią zaś Syn Boży stał się „nowym Adamem”, głową odkupionej ludzkości, zbliżył się do nas, byśmy dzięki Niemu mogli uczestniczyć w Jego boskim życiu.

Ludwik z Grenady w życiorysie Apostoła Andaluzji podkreśla ten aspekt jego kaznodziejstwa. Jan z Avili mógł powtarzać często za swym ulubionym autorem biblijnym – św. Pawłem: „Postanowiłem bowiem, będąc wśród was, nie znać niczego innego, jak tylko Chrystusa i to ukrzyżowanego” (1 Kor 2, 2). Aby ludzie znienawidzili grzech i umiłowali cnotę przypominał im, że Syn Boży zstąpił z nieba, za nas cierpiał i umarł na krzyżu. Uświadamiając człowiekowi jego nędzę Jan z Avili kierował go zaraz ku Chrystusowi ukazując dobrodziejstwa otrzymane od Zbawiciela. Czynił to po to, aby człowiek nie zniechęcał się swymi grzechami i duchowym ubóstwem. Wskazywał mu obfite bogactwa i zasługi, jakie spłynęły na niego z dzieła odkupienia. Tak zachęcał do ufności. Odkupienie bowiem przewyższa złość całego świata.

Tajemnicę odkupienia rozpatrywał Jan z Avili jako tajemnicę krzyża, lub jako miłość, którą nam okazał Chrystus. We współczesnym ujęciu *Beneficium Christi* można by określić jako tajemnicę wcielenia, obejmującą ofiarę na krzyżu i nasze osobiste uczestnictwo w owocach odkupienia.

*Beneficium Christi* nie jest niczym innym, jak nabożeństwem do tajemnicy wcielenia i odkupienia; jest fundamentem, na którym opierała się praca apostołska Jana z Avili. Rozważanie dobrodziejstw odkupienia podtrzymywało w nim miłość i gorliwość apostołską. Apostoł Andaluzji był przekonany, że jego kazanie nie przyniesie owocu dopóty, dopóki nie będzie w nim mowy o Chrystusie Ukrzyżowanym. W konferencji skierowanej do jezuitów powiedział: „Tam tylko oschłość i nędza panuje, gdzie się nie słyszy o Chrystusie. On jest tym krzemieniem, z którego kaznodzieja powinien wykrzesać iskrę z miłości Bożej, a potem zapalić nią serca ludzkie” (*Pláticas a los Padres Jesuitas*).

Wielkie dobrodziejstwa spłynęły na nas przez Chrystusa: odpuszczenie grzechów i łaska, by zachować przykazania, i wiara. Te wszystkie bogactwa należy przypominać ludziom głosząc słowo Boże, choćby nas mieli ukamienować, jak to uczynili dzierżawcy winnicy sługom królewskim, kiedy przyszli



odebrać należność za dzierżawę. Temat dobrodziejstw odkupienia stale wraca w kazaniach Jana z Avili.

### Kim jest kaznodzieja?

Jan z Avili poświęcił w swej twórczości wiele miejsca refleksji na temat: kim jest kaznodzieja? Podjął to zagadnienie w kazaniu na 3 niedzielę adwentu tłumacząc słowa proroka Malachiasza: „Wargi kapłana powinny strzec wiedzy, a wtedy pouczenia będą szukać u niego” (Ml 2, 7). Według Apostoła Andaluzji kaznodzieja jest posłańcem Bożym. Bóg przemawia przez jego usta przygotowując mieszkanie w duszach na nawiedzenie królewskie. Jakkolwiek sam kaznodzieja jest biednym grzesznikiem, nie czyni tego od siebie, lecz przemawia w imieniu Boga samego. Jest to tak, jak gdyby król posłał list do swego ludu. Lud chętnie słucha tego listu, gdyż pochodzi on od samego władcy, chociaż czytający nie jest królem, lecz jedynie gminnym pisarzem. Słuchanie kazań z takim usposobieniem wymaga wiary w tych, przez których Bóg do nas przemawia, ale tylko wtedy przynosi obfite duchowe korzyści.

Jan z Avili wyjaśniał obszerniej pojęcie kaznodziejstwa w liście z 1544 roku napisanym do młodego wówczas i rokującego wielkie nadzieje kaznodziei – Ludwika z Grenady. Został on mianowany kaznodzieją. Jan, jako doświadczony mówca, udziela mu pewnych rad, jak sprawować ten urząd, by jego kazania były owocne. Wie bowiem, iż z początku kaznodziejstwo wydaje się łatwe. Zaleca więc, by Ludwik uświadomił sobie, że jako kaznodzieja jest narzędziem w rękę Boga. Posługuje się nim Duch Święty. Ten sam Duch Święty, który ożywił Chrystusa, musi go napęlić, jeżeli chce swymi kazaniem przyczyniać się do rodzenia dzieci Bożych i przez słowo Boże dawać im życie nadprzyrodzone. Chrystus bowiem, będąc Synem Bożym, uczynił nas synami Bożymi z przybrania. Jako Kapłan pozwolił nam uczestniczyć w swoim kapłaństwie. Posiadając Ducha Świętego, udzielił nam Jego mocy do nawracania zgubionych dusz. Dzieli się też z nami swoim żywym i skutecznym słowem, abyśmy do pewnego stopnia stali się ojcami duchowymi (List 1: *A un predicador*).

Pojęcie kaznodziejstwa łączył Jan z Avili z wcieleniem Chrystusa, przez które objawia się ojcostwo Boże. W Chrystusie to ojcostwo rozlewa się na innych ludzi, szczególnie przez kapłaństwo i kaznodziejstwo. Stwierdza to św. Paweł w słowach: „Choćbyście mieli bowiem dziesiątki tysięcy wychowawców w Chrystusie, nie macie wielu ojców; ja to właśnie przez Ewangelię zrodziłem was w Chrystusie Jezusie” (1 Kor 4, 15).

Jednym z niebezpieczeństw grożących kaznodziei jest staranie się o własną chwałę i podziw otoczenia. Tymczasem jest to sprzeczne z samą istotą posłannictwa kaznodziejskiego. Kaznodzieja nade wszystko ma się bowiem troszczyć o chwałę Bożą. Za Chrystusem powinien powtórzyć: „Objawiłem imię Twoje ludziom” (J 17, 6). Jan z Avili stwierdza w liście do pewnego kaznodziei: „Ka-

znodzieja musi przede wszystkim troszczyć się o chwałę Bożą. Kto bowiem szuka swojej chwały, ten jest podobny do pośrednika, którego wysłał król, by się wystarał o rękę panny dla swego pana, a on stara się ją pozyskać dla siebie samego. Chrystus posłał nas, byśmy szukali dusz dla Niego. Kto by się starał pozyskać je dla siebie samego, ten byłby winien zdrady. Chrystus był wierny swemu Ojcu. W swych cudach, kazaniach i w całym swym życiu niczego innego nie szukał jak tylko chwały swego Ojca” (List 3: *A un predicador*). Staranie się o własną chwałę jest przywłaszczeniem sobie tego, co się należy Bogu. Wszelkie stworzenie wielbi Boga i zachęca nas, byśmy wspólnie chwalili naszego Stwórcę. Gdy więc kusi cię próżna chwała, to ją odrzucaj od siebie! Wznoś swoje serce ku Bogu w usilnej modlitwie: „Nie nam Panie, nie nam, lecz Twemu Imieniu wi daj chwałę” (Ps 115, 1). Taka modlitwa pomoże opanować tę pokusę.

Oprócz chwały Bożej kolejnym celem kaznodziejstwa winno być zbawienie dusz. Dzieło nawrócenia przewyższa możliwości ludzkie. Otwierając się na łaskę Bożą kaznodzieja musi się także odznaczać ojcowską troskliwością. Jak dobry ojciec nie powinien się nigdy niecierpliwić, gdy ludzie przychodzą do niego z różnymi troskami. Powinien ich pocieszyć i odpowiadać im spokojnie na wszystkie pytania, chociażby je już stawiali po raz setny. Winien być cierpliwy i taktowny nawet wobec tych, którzy go nienawidzą i szukają jego śmierci, chociaż on się mozoli, by im dać życie Boże. Żadne dzieło sztuki, żadna książka nie objawia tak miłości Bożej ku ludziom, jak właśnie ta bezinteresowna troska o zbawienie dusz. Miłość taką można wytłumaczyć jedynie działaniem łaski Bożej w duszy posłańca Bożego. Bóg jest silniejszym od grzechu. Ta właśnie moc przejawia się w duchowym ojcostwie kaznodziei. Troska o zbawienie dusz jest widzialnym znakiem szczerzej intencji kaznodziei, owocem miłości, jaką pała jego serce. Dzięki niej wśród przeciwności, a nawet w niebezpieczeństwie śmierci nie zaniedbuje swego obowiązku. Głosi słowo Boże i szuka zbawienia dusz.

Owocne kaznodziejstwo jest możliwe jedynie w łączności z Chrystusem. W pierwszych wiekach Kościoła – stwierdzał Jan z Avili – chrześcijanie wzbudzali taki podziw u innych, że ci nawracali się widząc ich cnoty. Któż był przyczyną tego tak wzniosłego życia, które budziło miłość w sercach innych? Jedynie Chrystus Zbawiciel. I to także, że karmili się Chlebem Żywota. Dlaczego dzisiaj tak mało kaznodziejów pałających ogniem miłości? Bo przestali żyć Chrystusem. Zaniedbali posilać się Chlebem Żywota. Brak dzisiaj Kościołowi kaznodziejów pełnych miłości, dlatego ich słowo tak mało przyciąga. Nie wszystkim dana jest moc słowa, by mogli kruszyć serca i zapalać ogień miłości w duszach. Jedynie Chrystus tę moc posiada. Trzeba ją od Niego brać. On jest tym pokarmem, który zstąpił z nieba (J 6, 41). On tylko może dać nam siłę do walki i zapewnić zwycięstwo.

Kaznodzieja daje jedynie swój głos na usługi Ewangelii, tak jak św. Paweł. Gdy on głosił kazania, to brzmiał jego głos, ale słowa były Chrystusa. Jeśli ktoś idzie siać i niesie nasienie w torbie, to może ona być nawet brudna, ale nasienie w niej będzie czyste. Jakość bowiem nasienia nie zależy od torby, w której się znajduje,



lecz od Boga. On to daje ziarno słowa Bożego. Tak więc Paweł, Hieronim, Izaasz byli tylko „torbami”, z których Bóg rozsiewał swoje ziarno. Nigdy nie należy uważać ziarna za liche. Nawet gdy się je sieje z brudnej torby.

Kto nie przyjmuje słowa kaznodziei jako pochodzącego od Boga, ten nie odnosi żadnego pożytku z kazania. Słowo Boże powinno zaniepokoić serce tego, kto żył dotychczas w spokoju. Powinno pomóc mu zrozumieć, że jego życie jest pełne grzechu i grozi mu niebezpieczeństwo potępienia. Podobnie jak lekarstwo podane choremu musi poruszyć jego żołądek, by ten wyrzucił niezdrowe i szkodliwe pokarmy.

Kaznodzieja stara się także wnieść światło do duszy, by grzesznik poznał ciemności, w jakie się pograżył, by nie zasnął snem śmierci. Kto odwraca się od tego światła i dalej spokojnie śpi, ten obudzi się dopiero wtedy, gdy będzie już za późno, w krainie wiecznego potępienia. Słowo Boże jest jak opatrunek na ranie. Rana chwilowo boli, lecz w końcu będzie uleczone.

Kaznodzieja winien być mężny. Świat bowiem będzie go nienawidził, chociaż powinien mu okazywać wdzięczność za to, że głosi prawdę. Skąd to pochodzi? Stąd, że świat uwielbia zaszczyty, dwulicowość, obojętność w sprawach religijnych, miłość własną i zaufanie w sobie samym. To bałwany, jakim świat oddaje cześć. Niestety, one nie zapewnią mu zbawienia. My zaś cenimy Tego, któremu jedynie należy się chwała – Boga. Nic więc dziwnego, że między nami a wielbicielami świata powstają spory i nieporozumienia. Chrystus umiłował nas aż do krzyża. Tak wielką cenę zapłacił za nasze zbawienie. Kaznodzieja powinien sobie uważać to za najwyższy zaszczyt, jeżeli musi coś cierpieć dla zbawienia dusz. Daleko mu bowiem do poświęcenia św. Pawła, który się chlubił w Jezusie Chrystusie, że każdego dnia za Niego umierał (por. 1 Kor 15, 31).

Apostoł musi stale się troszczyć o to, by zapewnić duszom prawdziwy pokarm duchowy. Jest zaś nim słowo Boże, a nie ludzkie mrzonki. Kaznodzieja musi bronić dusze przed błędem. Musi się mężnie potykać i znosić trudy pracy apostołskiej. „Nigdy nie ustawać w pracy, dopóki nie doprowadzi dusz do tej przystani, gdzie Bóg będzie ich odpocznieniem. Pod koniec swego życia kaznodzieja będzie mógł powtórzyć za Chrystusem: „Ojcze! Objawiłem Twoje imię ludziom, których mi dałeś” (J 17, 6). Wówczas za swoje prace apostołskie usłyszy od Chrystusa: „Gdzie jestem Ja, tam będzie mój sługa” (J 12, 26). Zawsze więc kaznodzieja powinien się pocieszać na duchu tą myślą, że nigdy nie mozoli się sam, lecz Chrystus jest zawsze z nim, a jego praca wyda plon w odpowiednim czasie.

\*

Mimo stawianych słuchaczom wysokich wymagań, do Jana z Avili garnęły się tłumy, by słuchać jego nauk i czerpać z jego wskazań. Rozwijane przez niego apostołstwo słowem, piórem i czynem było głęboko zakotwiczone w wierze. W świetle powyższych wypowiedzi jasno widać, iż Jan z Avili uważa kaznodzieję za narzędzie, którym się Chrystus posługuje, by przekazać ludziom prawdę i ży-

cie Boże. Owocne kaznodziejstwo zależy nie tyle od zapobiegliwości ludzkiej, ile od działania łaski. Kaznodzieja musi być silną skałą, o którą się rozbija nawałnica błędów i namiętności ludzkich. Obowiązkiem kaznodziei jest wiernie przechować dziedzictwo wiary, jakie Chrystus powierzył Kościołowi. Apostoł winien pamiętać, że końcowe zwycięstwo należy do Chrystusa i Jego Kościoła. „Tym właśnie zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest nasza wiara” (1 J 5, 4).

św. Jan z Avili

## Kazanie 38 na Boże Ciało: *To czyńcie na moją pamiątkę*

„Hoc facite in meam commemorationem” (Łk 22, 19)

### Wstęp: Bóg obecny w pamięci

Kiedy słyszymy w Piśmie Świętym którekolwiek ze słów, wypowiedzianych przez Chrystusa po to, byśmy zachowali je w pamięci i nie zapominali o Nim, możemy myśleć, że Jezus czyni tak z dwóch powodów; albo tak jest zazdrosny, że chce by wszystko to, co Jego dotyczy nie zostało mu przez nas zapomniane, ponieważ ma w tym swój interes; albo, patrząc z zupełnie innej strony możemy myśleć, że jest tak kochający i dobrotliwy, że kieruje do nas te słowa dla naszej własnej korzyści, bo to On wie najlepiej jak wielkie dobro spłynie na nas z pełnienia Jego woli.

Po pierwsze, nie jest możliwe aby Bóg powiedział: „Pamiętajcie o mnie, bo zyskuję na tym, dzięki dobru, które posiadam”. Dlaczego? Dlatego, że gdyby Bóg mógł być choć jedną okruszyną więcej niż jest, nie byłby Bogiem. Bóg jest niezmierny, nieskończony, wieczny, jest najwyższym dobrem. Rozważ więc dobrze w sercu, ty, który pragniesz dobrze Bogu służyć, że jeśli Bóg rzecze „Pamiętajcie o mnie, *czyńcie to na moją pamiątkę*”, mówi to tylko z powodu ogromnego dobra i korzyści, jaka nas czeka. Przekonaj się, bracie, jeśli Bóg powiada: „Pozostań ubogi, nie požądaj bogactw, bądź pokorny, nie bądź pyszny”; jeśli Chrystus mówi ci byś znoś upokorzenia, nie kochał ich i byś chciał być uczciwy; jeśli ci mówi, byś porzucił zgubne przyjemności ciała; jeśli powiedziałał ci to wszystko; przyjmij więc w swym sercu i uwierz, że czyni tak dla twego dobra, chociaż nie dostrzegasz dobra, które nadejdzie.

– Panie, czym jest to dobro, które otrzymam? Czemu chcesz Panie byśmy zachowywali Cię w pamięci? – Abyś wiedział chrześcijanie i abyś wyrzył sobie to dobrze w pamięci: Oczy Pana spoczywają na mnie. W moim domu oczy Pana nie przestają spoczywać na mnie. W moim zamkniętym ukryciu, gdzie nikt, jak myślę, mnie nie widzi, oczy Pana, które błyszczą jaśniej niż słońce, śledzą mnie nieustannie. A mając to w pamięci, powiesz: Jak mógłbym wobec tak nieogarnionej wielkości uczynić rzecz tak niską i złą? Jak wobec tak niewypowiedzianej czystości mógłbym pomyśleć o czymś tak brudnym? Jak, mając przed oczami Chrystusa, który jest najniższym uniżeniem, ośmieliłbym się być pyszny?

Gdybyśmy zawsze mieli w pamięci: „Oczy Pana spoczywają na mnie i są zawsze obok” nie czynilibyśmy tyle zła, ile czynimy. Leniwi służący, mając swych pracodawców obok, pracują uczciwie, kiedy tylko pan się oddali, zaniedbują swoje obowiązki. Dopóki chrześcijanin pamięta o Bogu, wie, że jest Bóg, który na niego patrzy, postępuje dobrze, podąża Bożą drogą, tak jak powinien, czuje się zadowolony i pokrzepiony. Kiedy nie pamięta o Bogu, traci Go z pamięci, szybko staje się słaby, obojętny, zaraz potem nic go nie cieszy; wkrótce potem zrozumienie spraw Bożych staje się zbyt trudne. Jakaż to wielka pomoc, bracia, dla dusz i ciał zachowywać Boga w pamięci!

### Wspomnienie męki Chrystusowej

Bóg zawsze jest obecny, ale my zapominamy wiele razy o tej obecności. *Czyńcie to na moją pamiątkę*. Wielka to pomoc dla serc cierpiących i chorych dusz! Wielkie lekarstwo, wielka pocie-

cha dla niepocieszonych to pamiętać zawsze o Chrystusie i zachowywać go w pamięci. Dlaczego zatem, bracia, to co Bóg nakazał dla naszego wythnienia, to bez czego nikt nie może czuć się zadowolony, jest dla niektórych takim koszmarem i poczytają to za tak wielki ciężar, że wołają znosić cierpienia, których doświadczają w swych więzieniach? Istnieją ludzie tak nienasycony w swych złych przywarach, że nie chcą słuchać kazań, ani świętych słów, ani czytać o dobrych rzeczach, a niektórych nawet nie interesuje, czy Bóg istnieje.

Błogosławiony bądź Panie na zawsze i [błogosławione niech będzie] Twoje miłosierdzie, a także godzina, w której uznałeś za dobre i stałeś się człowiekiem z miłości do ludzi! Zanim Bóg stał się człowiekiem, ludzie byli ogromnie bojaźliwi, uważali Boga za wielkiego, wszechmocnego, widzieli, że jest tak prawomyślny, że nikomu nic nie uszło, co nie miałyby zostać odpłacone; tak, że nie chcieli nawet o Nim pamiętać. Co czyni wieczna Mądrość? Pan widząc, że jest tak nieobjęty i tak wielki, że ta wielkość jest powodem oddalania się człowieka od Niego, godzi się stać się człowiekiem, aby ludzie widząc go człowiekiem, widząc go skromnym, widząc jak do nich przemawia i z nimi dialoguje, mieli go zawsze w pamięci, gromadzili go w niej i nigdy go nie tracili z serca. Ale nie zadowolili się tylko tym, lecz przychodząc na świat, utrudził się, doświadczył głodu i pragnienia, i pracował z miłości do człowieka. Co więcej, tak ukochał ludzi, że zechciał umrzeć, zawieszony na krzyżu, śmiercią najbardziej poniżającą i niehonorową jakiej tylko można było doznać; a wszystko po to, by człowiek nie zapomniał o Bogu.

*Czyńcie to na moją pamiątkę.* Słuchaj, chrześcijanie, słuchaj duszo, Chrystus mówi byś o Nim nie zapomniała. Wielki wysiłek czyni dusza wiotka i zmęczona próbując myśleć o męce Chrystusowej. Bracia, jaką jest ona dla nas pociechą, jakimż wythnieniem, jakąż ulgą! Pomyśl o niej bracie, z szacunku do Niego samego. Chrystus bogaty – zobacz go biednym z miłości do ciebie; Chrystus pełen chwały – pogardzany z miłości do ciebie; Chrystus wielki – unizony z miłości do ciebie. Jakąż pociechę można by porównać do tak wielkiej pociechy? W niej znajdziesz bracie ratunek na wszystko to, na co nie ma ratunku. Kto czuje się poniżony, niech idzie pod krzyż, a widząc go poniżonego, odnajdzie swą cześć. Kogo dławi uraza, tak że nie może przebaczyć bliźniemu doznanej krzywdy, niech idzie pod krzyż, a zobaczy jak Chrystus woła z niego do Ojca, by przebaczył tym, którzy Go na nim zawiesili. Dręczą cię cielesne żądze? Idź bracie pod krzyż i przypatrz się Jego ciału okaleczonemu i krwawiącemu, a widząc, że przeczyste ciało Chrystusa tak okaleczone jest i krwawiące, i że bicze nie pozostawiły na nim zdrowego skrawka, nie zechcesz obrażać twym brudnym ciałem czystego ciała Chrystusowego. Pomyśl bracie o męce Pańskiej, a znajdziesz ratunek dla swej duszy.

Zostało powiedziane: *Memoria Iosiae in compositionem odoris, facta estopus pigmentarii; in omni ore quasi mel indulcabitur eius memoria* [Pamięć o Jozjaszu – to zmieszane kadzidło, przygotowane pracą tego, kto robi wonności; w ustach każdego jest słodka jak miód – Syr 49, 1]. Pamięć o Jozjaszu, pamięć o Chrystusie; ta była przedstawieniem, cieniem była, który oznaczał coś innego. Pamięć o Chrystusie to zmieszane kadzidło: niech będzie błogosławione jego miłosierdzie! Czyż nie mówią filozofowie, że wonnościami może człowiek żywić się jakiś czas, przedłużyć życie o jakąś chwilę? O, jakimż cudownym i ożywym kadzidłem jest ciało Chrystusa na krzyżu! Poczuj zapach, bracie, tego kadzidła, pomyśl o świętej męce; a twoja dusza ożywi się, napoi, nabierze nowych sił. Pomyśl raz i drugi o męce Chrystusa; poczuj to kadzidło, wydziela ono aromaty tak delikatne, tak ożywcze, tak ważne, że samą tylko ową wonią twoja dusza mogłaby się pożywić.

A ta pamięć w ustach każdego jest słodka jak miód; nie ma słodsze­go plastra miodu. Dusza chrze­ścijanina napawa się wspaniałym smakiem na myśl o męce Chrystusowej. I zwróćcie uwagę, że mówi w ustach każdego, nie mówi w jednych ustach, ani w kilku, ale w ustach każdego; dając nam do zrozumienia, że nikt nie mógłby być tak tchórzliwy lub tak mały i nieznaczący, aby ośmielił się pomyśleć: „To nie dla mnie”. Jest dla wszystkich, dla każdego, kto chciałby zbliżyć się do niej, odnajdzie tam smak wspaniały. Męka Chrystusa była dla wszystkich; Jego śmierć zapłaciła za wszystkich; Jego krew ceną była za ocalenie nas wszystkich. Nawet największy zło­czyńca i grzesznik z powodu swoje­go stanu nie może zaniechać myślenia o męce Pańskiej, przeciwnie im bardziej występny, jest tym bardziej jeszcze potrzebuje tego lekarstwa. I niech nikt nie wątpi w to, jak Kain i Judasz, mówiąc, że jest takim grzesznikiem, że nie ma dla niego ratunku. Wyższa jest cena i bez porównania więk­szy skarb, dzięki któremu zostaliśmy zbawieni, aniżeli grzechy, którymi można grzeszyć; większym dobrem jest krew Chrystusa, aniżeli zło i uczynki jakimi obrażamy Boga.

– Lecz ojczy, jeśli tak jest, że męka Pańska jest dobrem powszechnym dla wszystkich, dla­czego jest też tak, że jedni czerpią z niej a inni nie? Dlaczego aż tylu dzisiaj idzie do piekła? Przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że jedni zachowują mękę Chrystusową w pamięci i nie zapominają o niej, i kochają tego, który jej doświadczył, a u innych odchodzi ona w zapomnienie. Nie istnieje, bracie inna przyczyna poza tą: że jedni czerpiąc tyle dobra, pamiętają, innym umyka z pamięci i nie mogą z niej korzystać. Stąd byśmy mogli czerpać z męki Pańskiej musimy myśleć o niej i nigdy nie możemy o niej zapominać.

Skąd to się brało zatem, zobaczymy, że w czasach kiedy prześladowano chrześcijan niewinne dziewice znosiły tyle cierpień i umierały nie chcąc wyrzec się Chrystusa? Jak to się działo, że trzy­nastoletniej dziewczęce z jednej strony oferowano stopy jedwabnych sukien i złotą biżuterię, i obiecywano, że zostanie królową świata, jeśli nie będzie wyznawać Chrystusa, mówiąc: „To wszystko będzie twoje jeśli się Go zaprziesz”, a z drugiej zbliżano do niej płonące głownie grożąc: „Zaprzyj się, zaprzyj się Chrystusa! A jak nie będziesz chciała się go zaprzec wrzucimy cię żywcem do płonącego ognia?”. Jakież to powód miała owa dziewczuszka, aby wzgardzić tymi bogactwami i oświadczyć: „Zabierzcie je ode mnie. Dla mnie one cuchną! Moja cześć, moje bogactwa i cała moja po­ciecha w tym, by ciało moje uczesano ostrym żelaznym grzebieniem i poćwiartowano z miłości do Chrystusa ukrzyżowanego?”. Pochwalony bądź, mój Zbawicielu, jeśli niewinne dziewice ośmielają się wzgardzić urokami doczesnego życia i jego bogactwami, aby naśladować Cię nagiego na krzy­żu! Czemu to przypisać? Bo miały zawsze przed oczami i wyrytą w sercu śmierć Pana Jezusa.

Lecz fakt, że nie czerpie z tej męki ktoś, kto o niej nie pamięta, to żadna niespodzianka. Po­zbawiona Pana dusza, tak jest nieszczęśliwa, że męka Pańska nie może jej pocieszyć! Żałosny jest ten, kto mogąc czerpać z wylanej za siebie krwi Chrystusa i życia Pana, oddanego z miłości do jego duszy, idzie do piekła, jakby Chrystus nie umarł także za niego! Jakaż jest przyczyna, dla której nie chce skorzystać z tego, co dla niego osiągnął Chrystus? O ślepyś ty i mały! Czego poszukujesz? Jak rozumujesz? Gdzie przepędzisz życie? Jeśli w męce Pańskiej nie znajdujesz ratun­ku, gdzież go znajdziesz? Jeśli Bóg nie zna cię dobrze, jak sprawisz by cię poznał? Wszyscy, którzy chcieli czerpać ze skarbu męki Chrystusowej znaleźli ratunek, znaleźli pocieszenie i radość. Każdy człowiek w swym cierpieniu, na które nie znajdowałby pocieszenia, nieważne jak wielkie jest owo cierpienie, niech pomyśli o tym skarbie, przejrzy się w tym lustrze i wspomni na mękę Chrystusową, a wkrótce poczuje ulgę od wszystkiego, co do tej pory go dręczyło.

Mówił Dawid: *Ad me ipsum anima mea conturbata est; propterea memor ero tui de terra Iordanis, et Hermoniim a monte modico* [A we mnie samym dusza jest zgnębiona, przeto wspominam Cię z ziemi Jordanu i Hermonu i małej góry – Ps 42 (41), 7]. A we mnie samym dusza jest bolesna i zgnębiona, ponieważ bardzo była zmęczona, przeto pomyślałem o rzece Jordan: wspominam cię z ziemi Jordanu, gdzie Chrystus miał być ochrzczony i także wspominam Cię z małej Góry, góry Kalwarii, gdzie Chrystus został ukrzyżowany; z niskiej góry, gdzie wielkość wzięto za małość, gdzie ten najłagodniejszy baranek Jezus Chrystus został ukrzyżowany, gdzie prawdziwa cześć została ponizona; z tego miejsca, na którym dokonało się nasze zbawienie; z tej góry, Pannie, wspominam Cię, tę górę mam w pamięci. Nie wierzę, że istnieje dusza tak zatwardziała albo serce tak nieczułe, które nie wzruszą się i nie zmiękną na myśl o męce Chrystusowej. Czyż nie czytałeś, że w chwili kiedy umierał Chrystus twarde skały skruszyły się i rozsypały w kawałki? Co oznacza, że męka Jezusa Chrystusa tak ciężkim jest doświadczeniem, że nie ma takiej osoby, która myśląc o niej nie rozplęnęłaby się w duszy z miłości i współczucia. Dla ludzi on przecież umarł, nie dla kamieni. A jeśli twardy kamień przy uderzeniu rozpada się w kawałki, czy możliwe jest abyś ty tak był zatwardziały i miał tak okrutne serce, byś nie potrafił uczynić nawet tego co kamień? Udaj się zatem bracie na górę Kalwarię, spójrz na Chrystusa ukrzyżowanego, a znajdziesz pocieszenie i ukojenie dla swej duszy i uzdrowienie ze wszystkich twych chorób.

## Krzyż – pamiątka męki Chrystusowej

Księga Liczb mówi o tym, jak Mojżesz kazał sporządzić miedzianego węża i umieściwszy go na wysokim palu, powiedział, aby każdy, kogo ukąsi wąż, spojrzął do góry na węża miedzianego, a zostanie uzdrowiony (por. Lb 21, 8). Tak właśnie, bracie mój, jeśli poczujesz się ukąszony przez węża spójrz na Chrystusa na krzyżu, a zagoi się twoja rana. Jeśli poczujesz się ukąszony przez żarłocznego węża, wnieś oczy ku głodującemu na krzyżu Chrystusowi, a zagoi się twoja rana. Kiedy ukąsi cię jadowity wąż pychy, spójrz na pokornego Jezusa na krzyżu. Jeśli prześladować cię będzie wzgarda lub napastliwość jakaś, popatrz na Chrystusa wzgardzonego i prześladowanego na krzyżu. Jeśli poczujesz wrzód rozpusty, spójrz na cudowne ciało Chrystusa, przybite i okaleczone na krzyżu, a uwolnisz się od trucizny. Wąż, którego Mojżesz umieścił na wysokim palu, wąż miedziany, wydawał się jadowity, lecz w rzeczywistości nie posiadał żadnego jadu. Wszystko to było obrazem Chrystusa błogosławionego, by pozwolić ci zrozumieć, że choć Jezus, umierając na krzyżu w takich mękach, wydawał się złym i grzesznikiem, nie był nim w rzeczywistości. Wydawał się grzesznikiem, pokonanym i wzgardzonym, lecz był człowiekiem bez grzechu i prawdziwym Synem Bożym.

*Hoc facite in meam commemorationem.* Z powodu ciała upadamy i z powodu ciała podnosimy się. Bo ciało pierwszego człowieka zgrzeszyło, zostaliśmy pozbawieni chwały i wygnani z raju doczesnego; przyszedł Chrystus, nasz prawdziwy Ojciec i przez Jego cudowne ciało zostaliśmy obdarowani chwałą i przebaczeniem u Boga, stając się Jego współdziedzicami. W ciele działał demon, pracując z całych sił, by zaciągnąć nas do piekła; i przez ciało zechciał Chrystus byśmy poszli do nieba.

Widząc jak mało o Nim pamiętamy i jak bardzo Go zapomnieliśmy, skarży się Jezus gwałtownie, skarży się, że ludzie wyrzucili Go z pamięci jak zmarłego. Bo między ludźmi tak jest, dopóki ktoś żyje, pamięć o nim jest żywa, kiedy zaś umiera szybko odchodzi w niepamięć. Tak zatem mówi Chrystus, nasz Pan: *Traditus sum in oblivionem tanquam mortuus a corde* [Zapomnia-



*no w sercach o mnie jak o zmarłym* – Ps 30, 13]. Dzięki pamięci, przeszłe rzeczy są obecne, a gdy ich zabraknie zapomina się o obecnych. *Zapomniano w sercach o mnie jak o zmarłym*.

Lecz jeśli obcy zapominają o tych, którzy im umarli, żona nie ma powodu, by zapomnieć męża, córka nie ma powodu, by w niepamięć puścić śmierć matki, a wierny przyjaciel ma powód, by nie zapomnieć o przyjacielu, którego bardzo kochał. Że zapomina obca osoba, która nie ma wiele wspólnego, to nic dziwnego, lecz ci, co są tak bliscy, obraza to i wstyd wielki, że tak szybko zapominają tego, którego za życia tak kochali. Drodzy bracia! Czyż jest ktoś na świecie, kto miałby lepszy powód, by tkwić w naszej pamięci, niż błogosławiony Pan nasz Jezus Chrystus? I czy jest ktoś taki, kto jako sprawiedliwy, nie musiałby pamiętać o Chrystusie? Błogosławiony jesteś Panie na wieki! Jakże cierpisz, Panie, dlatego że ludzie o Tobie zapominają, a nie sprawiasz, aby ziemia nas pochłonęła. Niech zapominają o Tobie ci, którzy bez Ciebie byli niewolnikami, a teraz dzięki Tobie są wolni! Niech zapominają ci, którzy skazani byli na śmierć, a dzięki Twej śmierci pozostali przy życiu! I niech zapomną ci, za których wylałeś Swoją krew, i ci, co zasłużyli na piekło, a dzięki Tobie otworzyło się przed nimi niebo!

O bracia moi! Z szacunku dla samego Jezusa, przemyślcie to wiele razy, ileż powodów mamy by nie zapomnieć o Chrystusie, lecz zawsze o nim pamiętać i dbać, by nigdy nie oddalił się z naszej pamięci; ponieważ chociaż umarł naprawdę, nie może być przez nas zapomniany jak zmarły, bo po to umarł za nas, byśmy o Nim nie zapomnieli. A śmierć jego była tak cenna, tak była wielka i taką miała wartość, że najwyższej kary jest godzien, kto by zapomniał o rzeczy tak wspaniałej.

Powie ktoś: „Ojczy, to przykre bym miał za Boga i czcił jako Boga, kogoś, kto umarł śmiercią tak marną jak ukrzyżowanie”. Słuchaj zatem, bo to, co mówią błogosławione usta samego Chrystusa nie może być kłamstwem. Niech nikt nie mdleje i niech nie czuje strachu na myśl o tym, że im bardziej wydaje się wzgardzony i im mniej zdolny do przyciągania ludzi, tym bardziej rośnie w siłę i tym więcej ludzi jest w stanie do siebie zbliżyć. Tak myśleli faryzeusze, gotowi zrobić wszystko, by tyle ludzi nie podążało za Chrystusem. Co tu zrobić? – myśleli. Sprowadzimy na Niego śmierć i to nie byle jaką, lecz śmierć na krzyżu, śmierć niską, ponizającą. Powiesimy go na krzyżu i nikt nie będzie za Nim chciał iść; wszyscy będą Nim pogardzać, będą Go mieli za człowieka bez znaczenia, nie będą w Niego wierzyć. A nasz Zbawiciel mówi: „A więc myślicie, że ponieważ umrę, nie będzie mnie miał kto naśladować? Zaczekajcie zatem: *Cum exaltatus fuero a terra, omnia traham ad me* (por. J 12, 32). Kiedy zawisnę na krzyżu pomiędzy dwoma łotrami; kiedy rozepną mnie na krzyżu i przybiją gwoździami, kiedy będą mi złorzeczyć i ubliżać, wtedy ja przyciągnę wszystkich do siebie, i nie tego, kto by chciał, lecz siłą miłości i nie będą nawet wiedzieć jak i kiedy, a przyciągnę ich do siebie”. Podobnie jak dorodne ziarno i pocierany o materiał bursztyn przyciągają do siebie słomki, przyciągnie do siebie dusze tych, którzy wspominają Jego mękę.

Jeśli chcesz czerpać z Chrystusa, jeśli chcesz cieszyć się prawdziwą radością aniołów, jeśli chcesz by twoja dusza była radosna, idź pod krzyż naszego Pana i powiedz z Dawidem: *Introibo ad altare Dei; ad Deum qui laetificat inventum meam* (Ps 43, 4). *I przystąpię do ołtarza Bożego, do Boga, który jest moim weselem*. Bóg jest radością, bracia, nie smutkiem; Bóg jest naszym pocieszeniem. Przystąpmy do ołtarza Bożego, do Chrystusowego krzyża! Tam bracie musisz przystąpić. Krzyżu Chrystusa! Ucieczko! Narzędzie naszego zbawienia! Drzewo święte! Drzewo godne uwielbienia, krzyżu Chrystusowy! Wielka rzeczy! Nie ma drugiej takiej rzeczy, która tak potrafi rozpaścić zimne i niepożne serce, jak krzyż Chrystusowy. Chcesz bracie by twoje serce rozpaściło się żywym płomieniem

Bożej miłości? Weź drzazgę z krzyża naszego Pana. Jedni myślą o stworzeniu świata, inni o niebie, inni o wielu różnych dobrych rzeczach; wszystko to dobre, lecz wszystko to jest zimne w porównaniu z krzyżem Chrystusa. Krzyż Chrystusa doprowadza serca i dusze do pełnego wiary wrzenia.

## Eucharystia przypomina nam o Panu

Czy jest przypadkiem jeszcze jakaś inna pociecha? Czy Bóg ją ustanowił? Czy Chrystus pozostał jeszcze coś, byśmy o Nim nie zapominali? Drodzy bracia, ileż miłosnych sposobów użył Jezus, byśmy o Nim pamiętali i zachowywali Go w pamięci! Ileż łask nam wyświadczył, ileż przedziwnych i ileż dla całej ludzkości! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nasz Zbawicielu, niech będzie błogosławione Twoje miłosierdzie i Twoja dobroć! Chryste pełen łask rozkaż, by i aniołowie Cię chwalili, błogosław sobie, wychwalaj sam siebie, wznos pod niebiosa i uwielbiaj siebie za tak wielkie miłosierdzie, którym się posłużyłeś dla nas i pozostałeś z nami w Najświętszym Sakramencie Ołtarza.

– Co uczynię – mówi Bóg – z tym ludem tak zapominalskim, który pamięta tylko o tym, co ma przed oczami, choćbym nie wiem jak wiele dla niego uczynił? Pokazałem im tysiąc cudów, zesłałem im mannę z nieba, otworzyłem źródła w skale, sprawiłem, że rozstało się przed nimi Morze Czerwone i mogli przejść suchą stopą, zatopiłem tam ich wrogów, uczyniłem dwa tysiące rzeczy dla nich, i wciąż zapominają o mnie (por. Ps 106, 21). Co tu począć? Sprawię, aby o mnie pamiętali.

I zechciała wieczna Mądrość, aby ustało nasze zapominalstwo i zesłał samego Jezusa Chrystusa, aby z nami pozostał, byśmy w Jego obecności, mając Go przed oczami, nie zapomnieli o Nim. A matka nasza Kościół święty, oświecona światłem Ducha Świętego, stara się przywołać ci zawsze na myśl Chrystusową mękę i ustanowienie Najświętszego Sakramentu. Na drzwiach kościoła wisi krzyż; podobnie i na ścianach znajdziesz wiele krzyży, kiedy cię chrzczą czynią wiele krzyży, podobnie kiedy przystępujesz do bierzmowania; podczas mszy czynimy nieskończenie wiele znaków krzyża, wszystko po to, byś pamiętał, że Jezus umarł na krzyżu. Podobnie nakazuje Kościół, byś w piątki nie jadł mięsa. Czemu myślisz to służy? Aby przywieść ci na pamięć, że tego samego dnia jak ten, ciało Chrystusa zostało ukrzyżowane, abyś ty z miłości do tego ciała nie spożywał mięsa i czynił więcej pokuty niż w inne dni i powstrzymywał się od grzechu bardziej niż w inne dni. Lecz grzeszymy w ten dzień, jakby to nie był ten właśnie dzień i wiele zła czynimy, podobnie jak w inne dni.

Widząc, że to jednak nie wystarcza, zechciał On sam być obecny i by odprawiano wiele mszy, abyś pamiętał, że sam Jezus pozostał z miłości do ciebie w świętym ołtarzu pod postacią Najświętszego Sakramentu, którego święto dzisiaj obchodzimy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieki, że ani na chwilę nie wyrzuca nas ze swej pamięci. I aby dać nam poznać, że pamięta o nas, podczas wielkoczwartkowej wieczerzy, w dzień przed męką, wziął chleb w swoje święte i czcigodne ręce i podniósł oczy ku niebu i dzięki składał Ojcu. Pochwalony bądź na wieki. Czemu, Panie, dzięki składałeś Ojcu? Dla nas czyniło się wtedy dobro, a jakbyś to Ty je otrzymywał, tak dziękowałeś niebieskiemu Ojcu; bo ujrzały, Panie, Twoje oczy, że tak wielkie było dobro, które się czyniło; to, żeś z nami pozostał; i że tak wielkie było miłosierdzie, że przewyższało wszelkie ludzkie pojęcie. Widziały dobrze Twoje oczy, że nie umielibyśmy wyrazić wdzięczności za takie miłosierdzie, ani tym bardziej podziękować jak należy i dlatego złożyłeś dziękczynienie za nas. „I dzięki Tobie składając, mówił: Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy, to jest bowiem ciało moje; to czynicie na moją pamiątkę” (por. Łk 22, 19).

Faraon, świętując dzień swych urodzin, stojąc pomiędzy zaproszonymi gośćmi, pośród obfitego ja-dła, przypomniał sobie o swoim paziu podczaszym, którego uwieziono. „Co dzieje się z moim paziem?” – pyta król – „Sprrowadźcie go tutaj”. To wielki znak miłości, kiedy ktoś przypomina sobie o kimś kogo kocha, podczas uroczystości albo uczy: „Och, szkoda, że nie ma tu Iksińskiego! Szkoda, że nie widzi tego, że nie może spróbować tamtego!”. To wielki znak miłości jeśli zawsze ci, co się kochają, życzą sobie by przez nich kochani byli wraz z nimi obecni w ważnych chwilach: Zbawicielu nasz, kiedy świętowałeś tę podniosłą wieczerzę wraz z Twoimi świętymi apostołami, czy pamiętałeś o nas, a może wyrzuciłeś nas ze swej pamięci? Pochwalony bądź Panie za to, żeś wtedy o nas pamiętał.

Co mam uczynić – mówił błogosławiony Chrystus – aby moi chrześcijanie, moje owieczki mogły spożywać z tego, co ja teraz spożywam? Co uczynię, by wszyscy mogli uczestniczyć i mieli udział w tej uczcie? „To czynicie na moją pamiątkę”. Nie myślcie, moje dzieci, nie myślcie, że o was zapomniałem, bo teraz uczuję z moimi uczniami, a jutro zawisnę na krzyżu z miłości do was. A co więcej, będziecie uczestniczyć w mojej wieczerzy.

– Panie, co nam zostawiłeś? Czy może zostawiłeś nam z tego co Ci zbywało; resztki, które pozostały? Mówi święty Chryzostom: „Patrzcie chrześcijanie, nie zostawił nam Chrystus tego, co mu zbywało, nie zostawił tego, czego nie mogli dojeść. Zostawił nam wieczerzę tak obfitą, jaką była zanim się zaczęła. To nam zostawił. Zostawił nam sam ołtarz i zostawił nam samo pożywienie oraz Tego, który wtedy tę ucztę przygotował, Tego samego, który dziś ją przygotowuje. Chrystus sam był wtedy ucztą i dziś On jest ucztą. Wtedy wydał ciało swoje na pożywienie apostołom i to samo ciało Chrystusa dostają dziś chrześcijanie. To Jezus przygotował nam ucztę, wypowiadając te święte słowa. Ten sam Chrystus dzisiaj przygotowuje ucztę, ponieważ, mimo tego, że kapłan mówi: *Oto ciało moje*, nie mówi tego sam kapłan. Gdyby bowiem mówił to sam od siebie nie miałoby to znaczenia, lecz wypowiada to w imieniu Jezusa Chrystusa. I aby dobrze to pojąć, w chwili kiedy to wypowiada, ciało Chrystusa staje się obecne pod postacią Hostii i w tym niewielkim kawałku zamieszkuje Bóg, zamieszkuje Jezus tak wielki, tak potężny i tak nieobjęty jak na niebiosach. *Hoc facite in meam commemorationem* (Łk 22, 19; 1 Kor 11, 24). Tego chce Chrystus, bracia, abyśmy czynili tak, by pamiętać o Nim i abyśmy przyjmowali pobożnie jego najświętsze Ciało” (por. *Hom. na Ew. wg św. Mateusza* 50, 3).

## Przyjmij z wdzięcznością łaski, które otrzymujesz w Sakramencie

Gdybyś bracie wiedział jak wielką łaskę uczynił ci Chrystus ofiarowując ci się za pożywienie! Ileż razy zdarzy ci się, że w sprawach Bożych czujesz się leniwy, niechętny, ospały, mało gorliwy, że ani nie masz ochoty widzieć samego siebie, jesteś niezadowolony, modlitwa jest ci ciężarem, podobnie post, jałmużna, lecz przystąpiwszy do Najświętszego Sakramentu, przyjmując z chęcią ciało Chrystusa, sprawia On, że nie rozumiejąc i nie wiedząc nawet skąd to przychodzi, stajesz się wesoły i pilny w służbie Bożej, i stajesz się pobożny i modlitwa twoja jest pełna wiary i składasz chętnie jałmużnę. I jeśli czujesz się słaby, tak, że ze strachu nie wdajesz się w spór nawet z muchą, przyjmując Najświętszy Sakrament, nabierasz takiej siły i takiej odwagi, że nawet lew ci nie straszny. Nie ma lepszego sposobu, aby oziębła dusza zapłonęła z miłości do Boga naszego Pana i pokochała Chrystusa wielką miłością jak to, by brać i spożywać ciało Jezusa Chrystusa. Czy widzieliście urządzenie do ogrzewania dłoni w kształcie jabłka, otwarte pośrodku? Wziąwszy rozza-

rzony gwóźdź, włożywszy go do środka tego jabłka i zamknąwszy, ogrzewasz w ten sposób dłoń. Zatem, chciałbyś aby twoja dusza doznała wielkiej wiary i cudownego odczucia Boga? Przyjmij do serca Najświętszy Sakrament, często przystępuj do komunii, przychodź do ołtarza Pańskiego i proś Go z wiarą: „Panie, martwi mnie to i to; męczy mnie to i to, taka a taka pokusa mnie dręczy, dotyka mnie takie a takie upokorzenie; Panie, jestem obojętny, jestem słaby, jestem zimny; Panie Ty jesteś prawdziwym ogniem, rozpal moją duszę swoją miłością, rozgrzej moje wnętrze łaską”. Proś Go, a jestem pewien, że jeśli o coś w dobrej wierze prosisz, udzieli ci tego. Wielkie jest Jego miłosierdzie i na niepojętą skalę, że pozostawił nam swoje najświętsze Ciało.

Powiadał Seneka, choć był poganinem, że pełen wdzięczności człowiek powinien posiadać książeczkę, w której miałyby zapisane wszystkie dobre uczynki, których doświadczył od innych: „Ten mi wyświadczył taką przysługę, tamten inną” (*De beneficiis* I, 1). A nawet więcej, bo jeśli ten, który wyświadczył ci przysługę był nieobecny, i chociaż podziękowałeś mu w liście, dobry masz powód aby, kiedy go spotkasz, podziękować mu jeszcze raz i wyrazić swoją wdzięczność.

Wysłał ci mąż, będąc gdzieś, klejnot, suknię, lub coś podobnego. Słuszne jest, że kiedy powraca, mówisz mu: „Panie, mam w pamięci podarunek, który mi uczyniłeś. Gorąca zatem jest miłość twoja, jeśli pamiętałeś o mnie podczas nieobecności”. Tak też powinien postąpić chrześcijanin, jeśli Pan wyciągnie go ze zmartwienia lub pokusy, które go dręczyły. Jeśli jakiejś rzeczy dokonał dla Ciebie, podziękuj Mu, wyraż Mu swoją wdzięczność, naucz się doceniać łaskę, bo jest wielka i do niej dostosować dziękczynienie. Lecz mówi się, że w tym Jezus jest jakby nieobecny; wznies do Niego swe myśli, wznies do Niego swą duszę i powiedz: „Wiem Panie, że łaska, którą właśnie mi wyświadczyłeś, z Twojej ręki pochodzi, wszelkie dobro, jeśli jakieś posiadam, z Twojej jest ręki; gdyby nie Twoja potężna dłoń, nie uwolniłbym się z grzechu, w którym tkwiłem, i nie wystarczyłbym ja sam, aby się od niego uwolnić. Panie, byłem upadły, Ty mnie podniosłeś i gdybyś tego nie uczynił, tkwiłbym do dziś w upadku”. Wznies ku Niemu takie podziękowanie.

Lecz kiedy przyjdiesz do świętego ołtarza, kiedy zechcesz przyjąć Najświętszy Sakrament, kiedy już go przyjąłeś, ciesz się Umiłowanym, który przybył i naucz się Go gościć w sercu, naucz się Go chwalić. I kiedy już tak Go przyjąłeś, przypomnij sobie o dobrach, które za Jego pomocą otrzymałeś, i przypomnij sobie ile trudów ci oszczędził, i dziękuj mu po raz kolejny. Przywiedź na pamięć tysiąc łask, które Pan ci wyświadczył i z ilu niebezpieczeństw cię wyratował, ile razy w potrzebie stawał, i za nie wszystkie chwal Pana po tysiąc razy, i powiedz Mu: „Panie zawsze wyświadczałeś mi łaski będąc nieobecnym; teraz kiedy jesteś obecny, błagam Cię nie zapomnij o mnie. Uczyni mi Panie tę łaskę i za dobre uznaj, abym był godzien Twojej łaski i miłosierdzia”. I przemawiaj do Niego słowami miłości jak Ukochana. Proś Go, masz przy sobie Tego, który będąc nieobecnym tysiąc łask ci wyświadczył.

## Przyjmuj komunię wiele razy

Przyjmuj ten Najświętszy Sakrament wiele razy, jeśli chcesz zasmakować czym jest Bóg. A jeśli chcesz, aby dusza twoja została pocieszona, przyjdź do ołtarza, tam też znajdziesz pamiątkę tego czym jest męka Chrystusowa. Ołtarz i krzyż oznaczają miejsce gdzie umieszczono Chrystusa; obrusy, prześcieradło, w które Go owinięto; kielich, miejsce pochówku, w którym złożono

Jego ciało. Zacerpniesz tam z dwóch najpierwszych źródeł pocieszenia duszy, z pamiątki męki Pańskiej i uczestnictwa w przyjmowaniu Najświętszego Sakramentu.

Przystępuj więc do Najświętszego Sakramentu, nie od czasu do czasu, lecz z najwyższym szacunkiem, z miłością i wiarą, z wielką pokorą i wiele razy w roku, aby nie uciekł ci z pamięci, lecz byś go zawsze miał przed oczami jak lustro, a zobaczysz z doświadczenia, jaka korzyść dla ciebie płynie ze świętej komunii. Poznasz, kiedy będziesz przystępował do komunii, co osiągnął Chrystus na krzyżu, zatem powiedz, czy takie osiągnięcie warto zaprzepaścić. Płakać powinienś kiedy to przepaszczasz lub nie pozwalasz Mu działać, płakać powinienś i to nie byle jak. Odczuwasz jako wielką stratę kiedy dostaniesz wiadomość, że twój statek zatonął, albo kiedy powracasz z Ameryki, nie zarobiwszy wielkiej fortuny; bardzo cierpisz wtedy, lecz czy nie pęka ci serce jeśli z własnej winy tracisz to co zyskał Chrystus na krzyżu! Krwawymi łzami powinniście nad tym płakać.

Skąd myślisz bracie wzięły się błędy i herezje przeciwko Najświęstszemu Sakramentowi? Przekonałem się, i nikt mi nie jest w stanie zaprzeczyć, że główną przyczyną był fakt zapomnienia tej tak wielkiej łaski i *zapomnienia nawet o spożyciu chleba* (Ps 102, 5). Skąd wzięły się ten heretyk głoszący nie wiadomo co, i następny i wielu innych? Z całą pewnością z nieprzystępowania do tego świętego sakramentu. Pyszni i chełpliwi przyjaciele rzeczy wielkich, uznając Boga za tak wielkiego w tej tajemnicy, a Ten tak wielki zmieścić się miał w rzeczy tak niewielkiej, doszli do wniosku że to przekracza ich pojęcie i przewyższa ich zrozumienie, do tego stopnia, że nie chcieli przywiązywać się do Niego, ani Go przyjmować; a nie przyjmując Go popadli w wielkie błędy i herezje, podobnie jak Żydzi, nie dając Mu wiary.

I nie z szacunku do Jezusa, lecz ze względu na miłosierdzie Boże, posłuchaj co Chrystus powiedział: *To czyńcie na moją pamiątkę*. Lecz im mniej rozumiesz tę tajemnicę, większej jeszcze łaski doznajesz. Bo gdyby sprawy boskie były tak małe, że my moglibyśmy je zrozumieć, nie byłyby wielkie, mówi święty Grzegorz (*In Ez.*, hom. 8, 10); a widząc, że sprawy te są tak wielkie, uznajemy wielkość Stwórcy.

I spójrz także na czas, w którym Jezus powiedział ci: *To czyńcie na moją pamiątkę*, bo chciał cierpieć i umrzeć z miłości do tego, komu to powiedział. Przystępuj często z wiarą do komunii świętej, miej w pamięci mękę Chrystusową, ustanowienie Najświętszego Sakramentu. A przychodząc często do Niego, Pan oświeci ci serce, abyś nie popadł w błędy, wzmocni twą duszę w zrozumieniu spraw związanych z Bożą służbą, ożywi twego ducha i pocieszy go, sprawi, że będziesz pełen miłosierdzia, pokorny, czysty, powściągliwy, hojny dla swoich bliźnich, udzieli ci swej łaski, a potem chwały.

Cytat za: Jan z Avili, Kazanie 38 na święto Bożego Ciała: *Haced esto en memoria mía*, [w:] *Obras Completas del B. Mtro Juan de Ávila*, edicion critica, t. 2: *Sermones, Pláticas espirituales*, Madrid 1953, s. 603-616 (tłum. Maria Filipowicz-Rudek).







Święty Wawrzyniec z Brindisi OFM Cap.  
(1559-1619)



# Kaznodzieja ewangeliczny

**W**awrzyniec z Brindisi, doktor Kościoła, obrońca wiary katolickiej, święty znawca Pisma Świętego, żarliwy czciciel Eucharystii i Maryi, to jedna z najwybitniejszych osobistości zakonu kapucyńskiego. Uznanie budzi także jego wspaniała działalność kaznodziejska w burzliwych czasach przełomu XVI i XVII wieku.

## Dzieciństwo i młodość

Po soborze trydenckim zapanował nowy duch w Kościele katolickim. Zakony jezuitów i kapucynów były w największym rozkwicie. W Mediolanie i w całej północnej Italii św. Karol Boromeusz zachwycał i porywał swoim pełnym poświęcenia duszpasterstwem. W Hiszpanii św. Teresa i św. Jan od Krzyża zreformowali zakon karmelitów. W Rzymie działał św. Filip Nereusz. Równocześnie budził się także w północnej Europie duch wrogi Kościołowi. Reformatorzy coraz bardziej burzyli jedność Kościoła. Całe kraje odstępowały od wiary katolickiej. W Anglii za panowania Henryka VIII dokonano się całkowite oderwanie tego kraju od Kościoła katolickiego. W roku 1587 stracona została królowa szkocka Maria Stuart.

W tych czasach wielkich przemian przyszedł na świat Juliusz Cezar Russo, znany później jako Wawrzyniec z Brindisi. Urodził się 22 lipca 1559 roku właśnie w Brindisi, w południowych Włoszech. Ojciec jego, Wilhelm Russo, pochodzący ze średnio zamożnej szlachty bryndzyjskiej i matka, Elżbieta Massella, wywodząca się ze skromnej rodziny miejscowej, cieszyli się powszechnym poważaniem. W spokojnej, radosnej, religijnej atmosferze rodzinnej kształtowało się dzieciństwo chłopca. Dzięki niezwykłym zdolnościom zaczął się on uczyć już w szóstym roku życia w szkole przy klasztorze ojców franciszkanów w Brindisi. Dwa lata później boleśnie przeżył śmierć ukochanego ojca. Odtąd pod czułą opieką matki zdobywał w szkole klasztornej wiedzę religijną i humanistyczną, a nawet nosił już habit zakonny, jako ofiarowany na służbę Bożą (*puer oblatus*). Zgłębiał dzieła klasyków antycznych i dochodził do coraz większej biegłości we władaniu wytworną łaciną. Gdy miał prawie piętnaście lat, zmarła mu matka. Znalazł wtedy oparcie u wuja, księdza Piotra Russo, który w Wenecji opiekował się dobranym gronem młodzieży i przygotowywał ją do stanu duchownego. W tym elitarnym środowisku w duchu odnowy potrydenckiej Juliusz szybko dojrzewał wszechstronnie i dopełniał swe wykształcenie ogólne.

## W zakonie kapucyńskim

W niedzielne popołudnia Juliusz lubił chodzić do kościoła Matki Bożej Anielskiej w Wenecji, gdzie z upodobaniem słuchał kazań ojców kapucynów.

Wnet poznał bliżej ich życie, rozmiłował się w nim i poprosił o przyjęcie do zakonu. Wikariusz prowincjalny, ojciec Wawrzyniec z Bergamo, skierował go na początku 1575 roku do nowicjatu w Weronie, a 18 listopada tegoż roku obłókł w habit zakonny. Z sympatii do nowicjusza nadał mu swe imię zakonne: Wawrzyniec. Po rocznym nowicjacie brat Wawrzyniec złożył pierwszą profesję zakonną, po czym został wysłany do Padwy na studia filozoficzne, a po ich ukończeniu na studia teologiczne w Wenecji. W tym okresie zapadł na ciężką chorobę żołądka i gdy lekarze stracili już nadzieję wyleczenia go, zwrócił się o ratunek do Matki Bożej. Wkrótce potem odzyskał zdrowie. Najświętszej Dziewicy przypisywał nie tylko powrót do sił fizycznych, ale również swe fenomenalne opanowanie języka hebrajskiego w mowie i piśmie. Dzięki zdolnościom lingwistycznym szybko nauczył się języka greckiego, aramejskiego i chaldejskiego. Władzał także świetnie językami nowożytnymi: francuskim, hiszpańskim, niemieckim i czeskim. Miał dar niezwykłej pamięci. Z zapalem studiował Pismo Święte w językach oryginalnych oraz komentarze do niego. Słowo Boże stało się wielką miłością całego życia Wawrzyńca. Ze studiami łączył gorącą modlitwę. W dwudziestym trzecim roku życia osiągnął gruntowną znajomość teologii, otrzymał święcenia diakonatu i patent kaznodziejski. Przełożeni powierzyli mu codzienne głoszenie nauk w okresie wielkiego postu w kościele św. Jana w centrum Wenecji. Rozwaga i żarliwość młodego kaznodziei wzbudziły powszechny podziw i wzruszenie. Wawrzyniec czuł się niegodny otrzymania święceń kapłańskich. Kiedy jednak osiągnął wymagany prawem kanonicznym wiek, przyjął je na wyraźne życzenie przełożonych, 18 grudnia 1582 roku.

### *Kaznodzieja ewangeliczny*

Pierwsze kazanie Wawrzyniec wygłosił jeszcze jako chłopiec. W Italii, w okresie Bożego Narodzenia, istniał wówczas zwyczaj głoszenia kazań przez dzieci na pamiątkę nauczania dwunastoletniego Jezusa w świątyni. Mały Juliusz, zachęcony przez franciszkanów, u których się uczył, wygłosił zatem kazanie do licznie zgromadzonych ludzi, zadziwiając wszystkich swoją przemową. Uważano, że sam Bóg przemówił przez niego. Kaznodziejstwo ewangeliczne było odtąd ulubioną działalnością Wawrzyńca z Brindisi.

W apostołstwie słowa korzystał Wawrzyniec ze swych wrodzonych i przez ćwiczenia udoskonalonych zalet fizycznych, umysłowych i moralnych. „Gdy zaczynam kazanie, otwiera mi się umysł i pamięć, a to co mam powiedzieć, widzę jak w książce” – mawiał Bryndzyjczyk. Głos jego umiał wyrazić najsubtelniejsze przeżycia duchowe, zachwycał słodyczą, grzmiał potęgą, która budziła świętą bojaźń. W swoich kazaniach Wawrzyniec starał się wyłożyć dogłębnie i jasno prawdy wiary chrześcijańskiej.

Wawrzyniec opierał swą naukę prawie wyłącznie na Biblii, którą interpretował z ogromnym upodobaniem, wydobywając wszystkie możliwe sensy. Nie

miał z tym większych trudności, znał bowiem na pamięć całe Pismo Święte i to w językach oryginalnych. Komentował i wyjaśniał w kazaniach około 35 tysięcy tekstów biblijnych, a cytował około 90 tysięcy innych fragmentów biblijnych. Przyniosło mu to zaszczytny tytuł „kaznodziei ewangelicznego”. Jednakże to ogromne bogactwo odwołań biblijnych, jak można się przekonać na załączonym kazaniu, nie ułatwia lektury.

W czasie adwentu, wielkiego postu, w niedziele, w święta i uroczystości roku kościelnego Wawrzyniec regularnie głosił kazania. Przygotowywał się do nich starannie. Przemyślaną treść utrwał na piśmie, przeważnie po łacinie. Z Pismem Świętym i kilkoma kartami papieru kłękał przed obrazem Matki Bożej, rozmyślając nad tekstem Ewangelii, który miał wyjaśnić. Zanim wygłosił innym słowo Boże, w pierw sam karmił się jego treściami. Dla pouczenia tych, którzy przystępują do głoszenia słowa Bożego, przedstawił w rozprawie *Tractatus de modo concionandi, quo instruuntur novi concionatores* (Rozprawa o sztuce głoszenia kazań, która zawiera wskazówki dla początkujących kaznodziejów) zasady, których się trzymał głosząc kazania.

Zalety krasomówcze i świętość osobista uczyniły z Bryndzyjczyka jednego z najszynniejszych kaznodziejów Kościoła katolickiego. Kazania jego ściągały takie tłumy, że nie mieściły się w kościołach. Terenem jego skutecznej działalności kaznodziejskiej były najczęściej wielkie miasta: Wenecja, Padwa, Werona, Vincenza, Rzym, Ferrara, Genua, Mantua, Neapol, Praga i Monachium. Papież Klemens VIII powołał Wawrzyńca do apostołowania także wśród Żydów, zamieszkałych w miastach Państwa Kościelnego. To trudne zadanie kapucyński kaznodzieja spełniał szczególnie w latach 1582-1594. Prowadził w soboty w synagogach publiczne dysputy z rabinami, ustnie przekładając im Biblię hebrajską na język aramejski i wykazując na dobranych tekstach, zwłaszcza prorocत्व, że Jezus z Nazaretu jest prawdziwym Mesjaszem, Synem Bożym, Synem Człowieczym. Mówił przeważnie po hebrajsku. Doskonałość wymowy Wawrzyńca wprawiała rabinów w zdumienie. Wielu z nich wraz z rodzinami przyjęło wiarę katolicką i chrzest święty. Zebranych w synagodze Żydom Wawrzyniec okazywał miłość, dobroć i cierpliwość. Nazywał ich umiłowanymi braćmi. W ten sposób przewyciężał oporną postawę słuchaczy, wzruszał serca, budził wdzięczność za poznanie prawdy nadprzyrodzonej i skłaniał do przyjęcia chrześcijaństwa.

## Święty generał

Nieprzeciętne zdolności, gorliwość i zaangażowanie Wawrzyńca zostały dostrzeżone i docenione przez przełożonych. Po przyjęciu święceń kapłańskich powierzono mu zadanie lektora. Dla braci kleryków prowadził więc w latach 1583-1586 wykłady z zakresu teologii dogmatycznej i egzegezy biblijnej. Dbał także o ich formację duchową. Gruntowna wiedza i głębokie przygotowanie ascetyczne umożliwiły mu wzorowe wypełnienie tych odpowiedzialnych zadań.

Miał zaledwie 27 lat, kiedy wiosną 1586 roku powierzono mu funkcję przełożonego klasztoru w Bassano del Grappa, gdzie była siedziba nowicjatu prowincji weneckiej. Będąc gwardianem pełnił również obowiązki mistrza nowicjatu. Od tam bez ustanku będzie sprawował urzędy zakonne. Był więc prowincjałem w Toskanii (1590-1592), w Wenecji (1596-1597), w Szwajcarii (1598-1599) i w Genui (1613-1616) oraz definitorem generalnym zakonu (1596-1602, 1613-1619).

W połowie maja 1602 roku Wawrzyniec przybył do Rzymu na kapitułę generalną. Wtedy to 24 maja został wybrany przełożonym generalnym zakonu. Sprawował ten urząd do roku 1605. Kapituła powierzyła mu m.in. wizytację wszystkich kapucyńskich prowincji zaalpejskich. Zanim udał się do Marchii, najpierw w Asyżu polecił się błogosławięństwu św. Franciszka, a potem w Loreto poprosił Najświętszą Maryję Pannę o jej nieustającą pomoc. Szedł dalej przez Lombardię. W połowie lipca zwizytował prowincję szwajcarską. 2 sierpnia celebrował w Baden kapitułę prowincjalną. Już 9 sierpnia był w Salins. Z miłością i czcią witano go w Lotaryngii, a w Niderlandach procesjonalnie wychodzono na jego spotkanie ze śpiewem *Te Deum*. W Liège musiał się dłużej zatrzymać z powodu choroby nerek. Kiedy tylko poczuł się lepiej, ruszył dalej nie bacząc na ból, zmęczenie i zimno. Po odbyciu kapituły w Arras 10 października 1602 roku, Wawrzyniec zwizytował rozległą prowincję paryską, następnie burgundzką, sabaudzką, a po odbyciu kapituły w Lyonie 4 stycznia 1603 roku, prowincję prowansalską i akwitańską, gdzie 11 kwietnia przewodniczył kapitule w Tuluzie. Zwizytował też ogromną prowincję iberyjską i 20 czerwca zwołał kapitułę do Barcelony. W ciągu jednego roku przeprowadził wizytację wszystkich domów prowincji zaalpejskich.

W połowie lipca był już w Genui, we wrześniu na Sycylii, gdzie wizytował prowincję syrakuzzańską i messyńską, a potem w Kalabrii, w Cantazaro i Cosenzy. W końcu marca 1604 roku w prowincji Otranto był witany z miłością i czcią w ukochanym rodzinnym Brindisi. W święto Zwiastowania Pańskiego przemawiał w katedrze do tłumnie zgromadzonych rodaków. Zwizytował następnie prowincje Bari i Salerno, Neapol i Foggię. Wrócił wtedy do Abruzzo, Marchii i Umbrii, a na początku roku 1605 dokończył wizytację prowincji toskańskiej. Po kapitule prowincjalnej we Florencji, wobec nasilenia choroby nerek przybył do Kampanii. Wkrótce potem zwizytował prowincję rzymską i zwołał kapitułę do Frascati na 4 maja 1605 roku.

Te wędrówki po Europie Wawrzyniec odbywał zawsze pieszo. Także podczas podróży przestrzegał surowych obyczajów zakonu. Nie szukał żadnych wygód, jeśli chodziło o pokarm lub celę. Był przy tym serdeczny i przystępny dla każdego brata zakonnego. Z *Zaleceń* powizytacyjnych pozostawionych w klasztorach przebija jego troska o zachowanie ducha franciszkańskiego przez wszystkich braci. Usilnie zalecał przestrzeganie karności zakonnej oraz ścisłego ubóstwa. Napominał i surowo karał za ciężkie przewinienia. Zwykle jednak kierował się ojcowską dobrocią. Przemówienia jego wzruszały braci głęboko.



Cuda, które się działy za jego wstawiennictwem, jeszcze bardziej utrwalały ludzi w przekonaniu, że słusznie go nazywano świętym generałem.

## W monarchii habsburskiej

Zgodnie z nakazem papieskim w 1599 roku zakon kapucyński rozszerzył swą działalność misyjną na teren Rzeszy Niemieckiej. Była ona coraz bardziej zagrożona naporem protestantyzmu. Wysłano tam 12 misjonarzy. Ten zespół misyjny, kierowany przez Wawrzyńca z Brindisi, odznaczał się nie tylko zapałem, lecz także męstwem i wielką kulturą. Mimo obelg i szykan ze strony protestantów zakonnicy dotarli do Pragi. W mieście panowała jednak epidemia. Misjonarze nie ułękli się jej. Zamieszkali w szpitalu, by pielęgnować зараżonych i nieść im pomoc duchową. W kościele przyszpitalnym Wawrzyniec urządzał wieczorne nabożeństwa, na których głosił kazania, odważnie i zdecydowanie wykazując błędy przeciwników i obszernie wyjaśniając prawdę katolicką. Kolejny raz głęboka znajomość Pisma Świętego umożliwiła mu popieranie głoszonej prawdy niezbitymi dowodami. W tej heroicznej działalności misyjnej Wawrzyniec nie dał się zastraszyć nawet zamachami heretyków na jego życie. Nie zraziła go również nieufność schorowanego cesarza Rudolfa II, którego innowiercy starali się wrogo nastawić do kapucynów. Mimo tych trudności Wawrzyniec w 1600 roku przystąpił do budowy klasztoru w Pradze, a wnet potem także w Wiedniu i w Grazu. Pragnął, by domy zakonne były trwałymi bastionami katolicyzmu. Oszczerstwom wrogów i groźbom cesarskim przeciwstawiali zakonnicy swe żarliwe modlitwy i coraz surowsze umartwienia. Ponadto Wawrzyniec umiejętnie wznowił starania, by zapobiec złemu. Cesarz dał się ułagodzić. Kapucyni otoczeni coraz większym szacunkiem i uznaniem społecznym ukończyli budowę klasztoru w Pradze.

## Wybawca Węgier

Wawrzyniec z Brindisi żył w czasach wielkiej ekspansji imperium osmańskiego na Europę. Duże znaczenie dla podniesienia morale chrześcijan miała potężna bitwa morska, jaka rozegrała się na Morzu Jońskim nieopodal portu Lepanto w środkowej Grecji. Stoczyła ją 7 października 1571 roku hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej, pod wodzą księcia Juana de Austria z turecką armadą Alego Paszy. Po każdej stronie walczyło ponad 200 okrętów. Mimo liczebnej przewagi okrętów tureckich bitwa zakończyła się całkowitą klęską sił muzułmańskich. W Rzymie, w czasie rozgrywającej się bitwy, zorganizowano procesję różańcową z udziałem papieża, błagając Boga o zwycięstwo.

Turcy jednak nie poprzestali na tym. W 1601 roku nad chrześcijaństwem w środkowej Europie zawisło kolejne niebezpieczeństwo z ich strony. Sułtan Mehmed III z kilkudziesięciotysięczną dobrze uzbrojoną armią wdarł się na równinę węgierską. Sytuacja wojska chrześcijańskiego, na pół katolickie-

go, na pół protestanckiego, liczebnie czterokrotnie słabszego, wydawała się prawie beznadziejna. Na życzenie głównodowodzącego, arcyksięcia Macieja, naczelnym kapelanem wojskowym został Wawrzyniec z Brindisi. Po przybyciu 9 października do Székesfehérvár, wlał on otuchę w serca dowódców, a płomiennym przemówieniem obudził męstwo w żołnierzach. W czasie bitwy Wawrzyniec szedł z krzyżem w rękę przed wojskiem zagrzewając je do boju swą modlitwą i bohaterskim przykładem. Wysiłki te po dwudniowych zmaganiach zaowocowały zwycięstwem chrześcijan, a Wawrzyńcowi przyniosły zaszczytny tytuł wybawcy Węgier.

Bohaterskie czyny kapucyńskiego kapelana opiewać będzie inny wielki kaznodzieja tych czasów – biskup Franciszek Salezy. W mowie żałobnej wygłoszonej w paryskiej katedrze Notre-Dame, 27 kwietnia 1602 roku, na pogrzebie jednego z dowódców wojsk chrześcijańskich na Węgrzech – księcia Emanuela de Mercœur, powiedział: „Książę Mercœur miał zawsze w swej armii ojców kapucynów. Oni to, nosząc wielki krzyż, nie tylko zachęcali żołnierzy, ale także – po spowiedzi powszechnej, którą czynili wszyscy katolicy na znak skruchy – udzielali im świętego błogosławieństwa. Jednak szczególnie piękną rzeczą było widzieć kapucyńskiego generała, wzywającego swych kapitanów do wytrwałości i wskazującego, że jeśli zginą, to jako męczennicy! I mówiącego do każdego z nich w ich własnym języku: francuskim, niemieckim, włoskim”.

W kilka lat później na Węgrzech znowu toczyły się walki z Turkami. Tym razem także bohaterski kapelan poszedł z krzyżem na czele wojsk chrześcijańskich. Wszystkie źródła dziejowe przypisują Wawrzyńcowi z Brindisi również drugie walne zwycięstwo nad Turkami w roku 1606, pod Tshokaki.

## Prace nad powstaniem Ligi Świętej

Po ukończeniu sprawowania urzędu generała zakonu Wawrzyniec, na prośbę cesarza, wrócił do Rzeszy. Książę bawarski Maksymilian wezwał Wawrzyńca do Monachium i za zezwoleniem papieża Pawła V zatrzymał go tam dłużej. Swymi modlitwami, egzorcyzmami i umartwieniami Wawrzyniec cudownie uzdrowił jego małżonkę – księżnę Elżbietę. Odtąd przyjaźń Kapucyna z księciem Maksymilianem była dozwolona. Wawrzyniec stał się jego najbliższym powiernikiem, doradcą, spowiednikiem i ojcem duchownym. Przyczyniło się to znakomicie do zapewnienia bezpieczeństwa katolikom zamieszkałym na terenach pozostających pod władzą protestancką.

W 1608 roku Wawrzyniec był znowu obecny w monarchii habsburskiej, a w latach 1611-1612 w Tyrolu i Bawarii. Wszędzie tam zdobywał sobie ogromny autorytet i popularność. Miało to duże znaczenie dla przywracania katolicyzmu na tych terenach. Czasy były bowiem wyjątkowo burzliwe. Terytorialne rozdrobnienie występujące przede wszystkim na południowo-zachodnich terenach Niemiec sprawiło, że tu i ówdzie różne wyznania współistniały obok siebie w bardzo bli-

skim sąsiedztwie. Na wzgórzu leżącym między Dunajem a Wörnitz wznosiło się nie tylko protestanckie miasto Rzeszy – Donauwörth, lecz także położone całkowicie w klamrze rzeki cesarskie opactwo Heilige Kreuz. Wszystkie otaczające wioski były katolickie i ich procesje musiały przeciągać przez to protestanckie miasto. W dzień świętego Marka 1606 roku podążającą z opactwa procesję zakłóciły incydenty. Wskutek tego cesarz Rudolf II powierzył ochronę katolików księciu bawarskiemu Maksymilianowi. Dekret cesarski obłożył miasto banicją. Ponieważ jednak Donauwörth odmówił zadośćuczynienia, książę bawarski zajął miasto w 1607 roku i wkrótce otrzymał je od cesarza w zastaw. Te wydarzenia były przedmiotem dyskusji na sejmie Rzeszy w Ratyzbonie w 1608 roku, lecz nie osiągnięto wówczas porozumienia. Za to w kilka tygodni później kalwiński elektor Palatynatu Fryderyk IV spotkał się z książętami Wirtembergii, Badenii, Ansbach, Kulmbach i Palatynatu-Neuburga. Doszło wtedy do zawarcia przymierza, które otrzymało nazwę: Unia. Wkrótce przystąpiły do niej Brandenburgia, Hesja-Kassel oraz kilka innych miast Rzeszy. Nawiązano także kontakty z Anglią i Republiką Zjednoczonych Prowincji Niderlandów. Powstanie Unii, stanowiącej potężny organ stronnictwa kalwinów, domagało się utworzenia katolickiego kontrprzymierza. W taki więc sposób doszło w następnym roku do utworzenia w Monachium, z inicjatywy księcia bawarskiego i przy udziale kilku południowoniemieckich biskupów Ligi katolickiej dla obrony pokoju wewnętrznego i dla ochrony religii katolickiej. W ten sposób ukształtowały się wyraźnie dwa polityczno-wojskowe obozy, posługujące się hasłami wyznaniowymi. Odegrały one decydującą rolę w wojnie trzydziestoletniej. Bryndrzyjczyk wywarł duży wpływ na politykę religijną książąt katolickich, zwłaszcza Maksymiliana I Bawarskiego i przyczynił się wydatnie do utworzenia Ligi.

W roku 1609 papież Paweł V skierował Wawrzyńca do Hiszpanii, by wyjednał u króla Filipa III poważną pomoc pieniężną, konieczną dla utrzymania armii Ligi książąt katolickich, zorganizowanej przeciwko agresywnej Unii książąt protestanckich, i by samego króla nakłonił do uczestnictwa w Lidze. Cel swej misji dyplomatycznej osiągnął. Na początku lutego 1610 roku złożył z niej relację papieżowi w Rzymie i znowu został przezeń skierowany do księcia bawarskiego Maksymiliana, głównego dowódcy Ligi, jako nuncjusz papieski i rzecznik króla hiszpańskiego. Wawrzyniec wrócił do Monachium i Pragi, a poprzez usilne, cierpliwe swe starania zapobiegł rozłamowi w Lidze. Utworzenie jej powściągnęło zapędy Unii protestanckiej i dodało ducha katolikom niemieckim. Sam Maksymilian oświadczył, że za trudy poniesione na rzecz Ligi cała katolicka Europa powinna zachować dla Wawrzyńca niezatartą pamięć i wieczną wdzięczność.

### Działalność apostołska i dyplomatyczna

W latach 1611-1612 oprócz zabiegów dyplomatycznych Wawrzyniec pełnił także obowiązki generalnego komisarza prowincji bawarsko-tyrolskiej. Często

głosił kazania w monachijskim kościele klasztornym i dokonywał wypraw misyjnych w regionach katolickich i protestanckich. Nieraz zbrojnie czyhano na jego życie, on jednak pragnąc męczeństwa nieulekle działał. W latach 1613-1616 był prowincjałem genueńskim. Starał się załagodzić zaognione stosunki w prowincji liguro-piemonckiej. Lud Ligurii otaczał go czcią i okazywał mu swe oddanie. Wawrzyniec nieustrudzenie głosił kazania w kościołach małych miasteczek i w katedrach wielkich miast, m.in. w roku 1614 prowadził rekolekcje wielkopostne w farze genueńskiej, a w roku 1615 – w księżęcej kaplicy św. Barbary w Mantui. Bronił ludu przed krzywdą. W grudniu 1616 roku Wawrzyniec przybył do Werony. Głosił tu kazania wielkopostne i zażywał spokoju i radości w kapucyńskim klasztorze, mimo cierpień fizycznych i napływu wiernych, którzy chcieli go ujrzeć i otrzymać błogosławieństwo. W czerwcu 1617 roku udał się przez Padwę do klasztoru Bassano del Grappa, gdzie spędził siedem miesięcy w serdecznej i braterskiej atmosferze.

Na początku lutego 1618 roku papież kazał Wawrzyńcowi udać się do Mediolanu, by nakłonić tam Don Pedro do zawarcia pokoju z księciem sabaudzkim Emmanuelem. Wawrzyniec nie tylko tego dokonał, lecz nawet sprawił, że gubernator zwrócił zdobyte Vercelli, stosując się do rad i prośb kapucyna. Wkrótce potem udał się do Brindisi, by w miejscu, gdzie dawniej stał jego dom rodzinny, nawiedzić kościół pw. Matki Boskiej Anielskiej i klasztor Sióstr Kapucynek, ufundowany przez księcia bawarskiego Maksymiliana.

Wtedy to przedstawiciele Neapolu zwrócili się do Wawrzyńca z błaganiem, by przez swe wstawiennictwo u króla hiszpańskiego Filipa III uratował ich od ucisku i szaleństwa wicekróla, księcia di Ossuny. Mimo pościgu Wawrzyniec dotarł do Hiszpanii. W kwietniu 1619 roku został przyjęty przez Filipa III. Odsłonił zbrodnie Ossuny. Wśród dworu królewskiego rozesłał pismo o przestępstwach i przewrotności tego księcia. Ossuna jednak przekupstwem, podstępem i obietnicami starał się utrzymać w łaskach królewskich. Wawrzyniec, nie znajdując należytego zaufania u Filipa III, oświadczył wreszcie, że tak jest pewny wiarygodności faktów, które jako poseł podaje, jak świadom jest swej bliskiej śmierci, i że również król, jeśli nie zatroszczy się o dobro swych poddanych, zanim miną dwa lata, stanie przed sądem Bożym. Lęk ogarnął Filipa III, gdy w końcu czerwca 1619 roku kapucyn się rozchorował i z łoża śmierci skierował do króla ostatnie napomnienie, by się okazał sprawiedliwym względem swych uciemżonych poddanych. Tymczasem Wawrzyniec po przyjęciu sakramentów świętych w 60 roku życia oddał duszę Panu. Stało się to w Lizbonie 22 lipca 1619 roku. Zabalsamowane ciało pochowano w grobowcu w kościele Sióstr Klarysek w Villafranca del Bierzo. Jak za życia ziemskiego Wawrzyniec nie szedł na kompromis ze złem, podobnym okazał się po śmierci. 31 marca 1621 roku zmarł Filip III. Ossuna postawiony został przez Filipa IV w stan oskarżenia i upokorzony zmarł w więzieniu na zamku Almada 25 września 1624 roku.

## Święty i doktor Kościoła

W tym samym 1624 roku rozpoczęto proces beatyfikacyjny Wawrzyńca. Bulla beatyfikacyjna jednak została wydana dopiero 23 maja 1703 roku przez papieża Piusa VI i ogłoszona przezeń uroczyście 1 czerwca w Bazylice św. Piotra w Rzymie.

Pamięć o bł. Wawrzyńcu jako opatrznościowym obrońcy Kościoła rozbudziła się znowu w drugiej połowie XIX wieku, w okresie szczególnego zagrożenia ze strony potężnych wrogów wiary katolickiej, takich jak masoneria, ateizm i materializm. Ożyła na nowo nadzieja, że bł. Wawrzyniec z Brindisi, tak zasłużony dla Kościoła, będzie nadal możliwym i skutecznym patronem chrześcijaństwa, gdy ożywi się pietyzm ku niemu i wzrośnie jego kult. Proces kanonizacyjny Bryndyzjczyka przyspieszyły niewątpliwe cuda, dokonane za jego wstawiennictwem. Papież Leon XIII ogłosił więc Wawrzyńca świętym w uroczystość Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia 1881 roku.

W miarę jak zaczęto sobie coraz bardziej uświadamiać ogrom wiedzy i nauki Bryndyzjczyka, coraz częściej podnosiły się głosy, że może on być ogłoszony doktorem Kościoła. Zestawiano go bowiem ze św. Tomaszem z Akwinu i ze św. Piotrem Kanizjuszem. Święta Kongregacja Obrzędów analizując *Opera omnia* Bryndyzjczyka stwierdziła, że autor ten wykłada w swych pismach to, co jest dzisiaj przedmiotem nauczania z dziedziny teologii, a zwłaszcza apologetyki i dogmatyki, szczególnie zaś mariologii bogatej, przejrzystej i wnikliwej oraz poprzedzającej nasze czasy. W swych dziełach okazuje się wykształconym kaznodzieją, świetnym teologiem i niestrudżonym apologetą biblijnym. Swą wielką skuteczną działalnością apostolską oraz wybitną nauką zajaśniał w Kościele jako wspaniałe światło, znakomicie oświecił skarby wiary, rozproszył ciemności błędów, wyjaśnił wątpliwości, rozwikłał zagadki Pisma Świętego. Mając to na względzie może być nazwany Doktorem Apostolskim.

Po tej opinii papież Jan XXIII wkrótce po objęciu Stolicy Piotrowej, w 1959 roku, ogłosił św. Wawrzyńca z Brindisi doktorem Kościoła powszechnego, nadając mu miano *Doctor Apostolicus*. Jest on trzecim doktorem z zakonu franciszkańskiego, po św. Bonawenturze (doktor seraficki) i św. Antonim Padewskim (doktor ewangeliczny).

## Duchowość Wawrzyńca

Duchowość Wawrzyńca jest głęboko chrystocentryczna, podkreślająca potrzebę naśladowania Mistrza z Nazaretu i rozwijania kultu jego człowieczeństwa. Świadkowie w procesie kanonizacyjnym i biografowie Wawrzyńca podkreślają, iż z życia Jezusa szczególnie czone przez Bryndyzjczyka były: Jego wcielenie, narodzenie, imię Jezus, Eucharystia, męka i ukrzyżowanie, serce Jezusa i Maryi jako symbole czystości, głębi ich życia wewnętrznego i świętości.



Wawrzyńca cechuje ogromna pobożność maryjna. Podkreśla więc niepokalane poczęcie Maryi, jej królewską godność, widzi w niej pośredniczkę wszelkich łask, Matkę Kościoła i wzór świętości. Najpiękniejsze strony w dorobku pisarskim Wawrzyńca to kazania maryjne *Mariale*, prawdziwe *Canticum mentis*, skomponowane na cześć i honor Matki Bożej. Trzecim, po Chrystusie i Jego Matce, godnym najwyższej czci jest św. Józef. Stąd też wielka cześć Wawrzyńca do oblubieńca Maryi Panny.

Świadkowie i biografowie Bryndyzyjczyka podkreślają jego zamiłowanie do nieustannej modlitwy i medytacji. Poświęcał im długie godziny, nawet wtenczas gdy obarczony był trudnymi zadaniami przełożonego i dyplomaty. Nabożeństwo do Eucharystii wraz z kultem Matki Bożej stanowiło centrum duchowego życia Wawrzyńca. W jego pobożności wielką rolę odgrywała msza święta. Odprawiał ją nieraz przez kilka godzin, zatapiając się w głębokiej kontemplacji tajemnic Chrystusa. Towarzyszyły temu tak niezwykle zjawiska mistyczne jak ekstazy, wizje, dar łez, niewrażliwość na intensywny ból żołądka. Długo i pilnie przygotowywał się do przyjęcia komunii świętej. Niezależnie od tych doznań życie duchowe Wawrzyńca naznaczone było wielką harmonią, dalekie od przesadnego rygoryzmu z jednej strony, a sentymentalizmu z drugiej.

Centrum doskonałości i świętości chrześcijanina jest miłość Ojca i Słowa Wcielonego. Bóg od początku świata miłował swoich wybranych i dawał im wielkie dary: Adamowi – raj i cały świat, Abrahamowi – potomstwo oraz niezliczone dobrodziejstwa i niezliczone bogactwa, Jakubowi – pierworodztwo i ojcowskie błogosławieństwo, Józefowi – zarząd całego królestwa Egiptu, Mojżeszowi – prorocstwo i świętą moc oraz władzę nad ludem, narodowi wybranemu – Ziemię Obiecana, Dawidowi – królestwo Izraela, Salomonowi – wielką mądrość, a wreszcie światu dał swojego Syna. Również Chrystus dawał różne dobra ludziom: ociemniałym – wzrok, głuchym – słuch, umarłym – życie, Piotrowi – Kościół, Janowi – Matkę, dobremu łotrowi – raj, lecz w czasie ostatniej wieczerzy całemu Kościołowi dał siebie samego, dar nad wszystkie dary – Eucharystię. Tak więc Bóg dla okazania światu swej nieskończonej miłości dał Syna swego, a Syn – Chrystus, dla okazania swej nieskończonej miłości Kościołowi – dał samego siebie.

W miłości Ojca i Słowa Wcielonego mieści się źródło i wzór miłości człowieka. Temat ten Bryndyzyjczyk rozwija w 8 kazaniach mówiąc o dwóch przykazaniach miłości, o miłości bliźniego i o miłości nieprzyjaciół. Ta miłość, *regina virtutum*, polegająca na naśladowaniu Chrystusa, winna się wyrazić w praktyce w dziełach miłosierdzia, ożywianych przez modlitwę, sakramenty i głęboką pobożność do Trójcy Świętej, Ducha Świętego, człowieczeństwa Chrystusa Pana i Dziewicy Maryi. Odnaczająca się tymi cechami duchowość chrześcijańska kreślona przez Wawrzyńca jest pełna harmonii i optymizmu i jako taka pozostaje w bliskim pokrewieństwie z nauką św. Franciszka Salezego.



## Spuścizna pisarska

Wawrzyniec pozostawił po sobie bogatą spuściznę literacką. Jednakże jego pisma przez długie wieki nie były wydane drukiem, a przez to prawie niedostępne szerszemu gronu. Dopiero w XX wieku dzięki staraniom kapucynów z prowincji weneckiej ukazało się wydanie krytyczne *Opera omnia* wielkiego Bryndzyjczyka. Liczy ono 10 tomów, wydanych w Padwie w latach 1928-1956 oraz *Appendix*, wydany w Weronie w 1959 roku.

Dorobek pisarski Wawrzyńca można zestawić w 3 grupy:

Z okresu kiedy pełnił funkcję lektora pochodzą dwa dzieła poświęcone Piśmu Świętemu. Owocem dociekań Wawrzyńca jest traktat *De numeris amorosis mystice in divina Scriptura positus disquisitio*, w którym rozprawia o mistycznym znaczeniu hebrajskiego imienia Bożego, odsłaniającym miłość Boga i wzywającym do wzajemnej miłości. Plonem gorliwych studiów skrypturystycznych Wawrzyńca z tego okresu jest także obszernie dzieło egzegetyczne: *Explanatio in Genesim*. Autor stara się w nim ściśle ustalić dosłowny sens trzynastu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, systematycznie bada tekst hebrajski, jego przeróbkę chaldejską i Targum jerozolimskie, Septuagintę, Wulgatę i inne przekłady starożytne oraz daje własny przekład łaciński. Następnie przechodzi do właściwej egzegezy, dokonuje trafnego wyboru znaczenia lub proponuje własne rozwiązanie. Dzieło *Explanatio in Genesim* jest raczej zbiorem materiałów do kazań głoszonych do Żydów niż podręcznikiem na użytek szkolny.

Do drugiej grupy pism Wawrzyńca należy zaliczyć dzieło *Lutheranismi Hypotyposis*. Jest ono owocem polemiki z Polikarpem Leiserem. Ten protestancki predykant wygłosił i wydał drukiem w Pradze w 1607 roku dwa kazania dodając do nich paszkwil na o. Wawrzyńca i jezuitę o. Andrzeja. Zwalczając błędy Leisera Bryndzyjczyk nakreślił we wspomnianym dziele historię luteranizmu, jego teologię i naukę o Kościele oraz zgubne skutki jego oddziaływania na innych. Dzieło Wawrzyńca odznacza się jasnością i precyzją w sformułowaniach, zdumiewającą biegłością autora w posługiwaniu się oryginalnymi tekstami Pisma Świętego, na które powoływali się protestanci oraz sumiennością w korzystaniu ze źródeł, by przedstawić autentyczne dzieje i doktrynę przeciwników. Przyniosło ono autorowi miano „drugiego Kanizjusza”. Na wyraźne polecenie przełożonych Wawrzyniec przedstawił ponadto szczegółowy opis swej działalności w latach 1599-1611 w *Commentariolum de rebus Austriae et Boihemiae*.

Trzecią i zarazem największą grupę wśród pism Wawrzyńca stanowią kazania. W *Opera omnia* te 804 homilie i kazania, napisane piękną łaciną renesansową, zajmują łącznie 5800 stron w tomie I oraz w tomach od IV do X. Ta wielka skarbnica homiletyczna stanowi doskonale źródło pozwalające poznać duchowość Wawrzyńca. W *Opera omnia* Bryndzyjczyka mamy więc zamieszczone jego rozprawy ku czci Najświętszej Maryi Panny w formie kazań, czyli tzw. *Mariale* (t. 1), cztery cykle codziennych nauk wielkopostnych: *Qu-*

*adragesimale primum* (t. 4), *Quadragesimale secundum* (t. 5), *Quadragesimale tertium* (t. 6), *Quadragesimale quartum* (t. 10, cz. 1), 6 cykli nauk na czas adwentu wraz z kazaniem na okres Bożego Narodzenia, tzw. *Adventus* (t. 7), kazania na niedziele, czyli *Dominicalia* (t. 8), kazania ku czci świętych, czyli *Sanctorale* (t. 9) oraz *Sermones de tempore* (t. 10, cz. 2). Trzeba pamiętać, że język kaznodziejstwa barokowego, zwłaszcza polemicznego, obfitował w różnego rodzaju inwektywy, które drażnią ucho współczesnego czytelnika. Wtedy jednak były one argumentem za słusznością własnego stanowiska. Posługiwały się nimi jednakowo obie strony: katolicka i protestancka. Nie jest od nich wolny język kazań Wawrzyńca z Brindisi.

### *Mariale* – arcydzieło mariologiczne

Jak już to zostało podkreślone, na szczególną uwagę zasługują kazania maryjne Wawrzyńca z Brindisi. Pierwszą część *Mariale* tworzy siedem traktatów mariologicznych. Pierwszy z nich składa się z siedmiu kazań na temat *Wizji św. Jana Ewangelisty*. Wawrzyniec wygłosił je jako diakon w soboty wielkiego postu w Wenecji, przedstawiając słuchaczom nie tylko cudowność Maryi, ale także jej znakomitość, ubogacenie skarbami nadprzyrodzonymi, szczególne prerogatywy, boleści i radości oraz chwałę. Drugi traktat, na temat *Posłał Bóg anioła Gabriela*, w szesnastu kazaniach mówi o wybraniu i przeznaczeniu Maryi, o przyczynach Bożego wcielenia, o poselstwie archanioła Gabriela do Maryi, o okolicznościach tajemnicy wcielenia, o anielskim pozdrowieniu Maryi, o przyczynach, dla których Bóg zaślubił Maryję, o znakomitości i wyższości tych zaślubin, o szczególnych darach Bogarodzicy jako Dziewicy, Oblubienicy, Matki, Domu Bożego, o skutkach tychże zaślubin i o tajemnicy zwiastowania jako wzorze życia chrześcijańskiego. Trzeci traktat, na temat *Pozdrowienia Anielskiego*, w dziesięciu kazaniach rozważa znaczenie pozdrowienia anielskiego, podobieństwo Maryi do Chrystusa, świętość imienia Maryi, jej pełnię łaski, boską godność, szczególne błogosławieństwa, boskie macierzyństwo oraz moc i miłosierdzie Najświętszej Dziewicy. Czwarty, na temat *Pieśni Dziewicy Bogarodzicy*, w dziesięciu kazaniach sławi *Magnificat* Maryi jako hymn uwielbienia Boga, wyrażający jej mądrość, pobożność i wyższość, dziękczynienie i duchową radość, pokorę i wywyższenie, łaskę i chwałę, wielkość, zbawczą pożyteczność, moc, świętość i miłosierdzie. Piąty, na temat *Błogosławione łono*, w pięciu kazaniach wysławia boskie macierzyństwo Bogarodzicy i jej płodne dziewictwo, błogosławieństwo, cześć jej należną i jej opiekę. Szósty traktat, na temat *Budowla Jego*, w sześciu kazaniach rozważa wielkość i znakomitość Maryi jako Miasta Bożego, umiłowanie go przez Boga, a także godność i szczęśliwość tegoż Miasta. Wreszcie siódmy traktat, na temat *Witaj, Królowo*, w sześciu kazaniach sławi Maryję jako szczególną chlubę Kościoła, źródło wszelkich łask, miłość Maryi odpowia-

dającą jej godności i autorytet; wskazuje na potrzebę wzywania Maryi i kultu jej jako łaskawej Matki miłosierdzia i wielkiej orędowniczki; zastanawia się też nad dwunastu tytułami Najświętszego Imienia Maryi. Jak widać z tego przeglądu, w układzie traktatów tworzących *Mariale* Bryndyzyjczyka istnieje logiczna więź, spajająca je w zwartą całość.

Druga część *Mariale* zawiera kazania na temat świąt maryjnych, takich jak: Niepokalane Poczęcie (jedenaście kazań), Oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny (sześć kazań o istocie tego Oczyszczenia), Nawiedzenie Najświętszej Maryi Panny (dwa kazania o tym Nawiedzeniu wyrażającym pokorę, miłość i wierność Maryi), Matki Boskiej Śnieżnej (dwa kazania o przyczynach błogosławieństwa Najświętszej Maryi Panny i o jej niepokalanej czystości) i Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny (trzy kazania o wstawieniu Maryi wobec nieskończonej zasługi jej łaski, o świętym milczeniu Pisma Świętego o Maryi, o jej świętości i wywyższeniu).

Mariologię Wawrzyńca z Brindisi zespala w jedną zwartą całość nauka o godności Bogarodzicy Dziewicy. Fundamentalne znaczenie w strukturze godności Maryi, zdaniem Doktora Apostolskiego, miało jej wybranie. Ona jedynie została wybrana przez Boga w Jego odwiecznym planie stworzenia i zbawienia, wynikającym z Jego wszechmocnej miłości, na godną, przewyższającą całe stworzenie i podobną do Chrystusa, Jego Matkę. Godność jej wybrania polega więc na tej jedyności, odpowiedniości, wyższości i analogicznym podobieństwie do Boga, który miał wziąć z niej naturę ludzką. Konsekwencją wybrania było przeznaczenie, czyli przygotowanie Maryi do godnego macierzyństwa Bożego. Bóg realizując swój objawiony w przekazach biblijnych plan, ze względu na przewidziane zasługi Chrystusa, w drodze szczególnego przywileju, obdarzył Maryję Niepokalanym Poczęciem, pełnią łaski, świętości, cnót i charyzmatów. Według Bryndyzyjczyka, Maryja od pierwszej chwili swego poczęcia współpracując z tą pełnią darów Bożych, pomnożyła je nieskończenie. Następstwem fundamentalnego wkładu Bożego i zasług, osiągniętych przez świadomą, dobrą wolę Maryi, była ostateczna decyzja Boga Ojca, Syna Bożego i Ducha Świętego, by wziąć ją sobie za Oblubienicę.

Na decyzję trynitarną, zwiastowaną przez archanioła Gabriela, Maryja odpowiedziała dobrowolnym, w pełni świadomym i pokornym przyzwoleniem. W ten sposób najwyższa godność macierzyństwa Bożego stała się właściwością istotną osoby Najświętszej Maryi zawsze Dziewicy. Wawrzyniec podkreślił, że Bóg traktuje jej osobową godność nie tylko jako środek w swym planie zbawczym, lecz także jako pewien cel w sobie. Od pierwszej chwili wcielenia Syna Bożego, Maryja współpracowała z Nim w dziele odkupienia i zbawienia – najpierw w Jego całym życiu ziemskim. Zbawcza współpraca Maryi ze wzrastającą łaską i świętością sprawiła dalszy wzrost jej cnót i zasług, a tym samym dynamiczny wzrost jej godności, swą strukturą coraz bliższej nieba. Uczestnictwo Maryi w ofierze Syna ukrzyżowanego, spotkanie ze Zmartwychwstałym, obecność przy wniebowstąpieniu, Zesłaniu Ducha Świętego

i w życiu Kościoła – uwieńczyły godność Najświętszej Maryi Panny na ziemi jej macierzyństwem duchowym.

Tak przygotowana Maryja wzięta została do chwały nieba. Doktor apostołski mówił o jej najwyższej wśród stworzeń chwale i czci, czyli nieskończonej godności Maryi jako Królowej. Jest to jedyna w swoim rodzaju godność; bo Pani obdarzona najwyższym autorytetem, a więc autentyczną władzą wykonawczą i przemożnym wpływem na całe stworzenie, jest jednocześnie najpokorniejszą służebnicą Pańską, orędowniczką, pośredniczką i rozdawczynią łask. Dynamizm tej niebiańskiej godności Najświętszej Maryi Panny ma wymiary nadkosmicznej, wiekuistej nieskończoności, jako mającej w sobie pełnię miłości.

Precyzyjna i jasna mariologia Wawrzyńca z Brindisi sprawia, że jest on jednym z największych doktorów maryjnych. Bryndzyjczyk czerpiąc głównie ze skarbnicy Pisma Świętego i tradycji ojców Kościoła wydobyl i rozwinął takie tematy mariologiczne, które niełatwo znaleźć w potrydenckich studiach mariologicznych lub w dzisiejszych kazaniach maryjnych. Np. na temat *Maryja jako Mistyczne Miasto Boże* opracował 6 kazań. Czytając *Mariale*, odnosi się wrażenie, iż cała Biblia mówi o Maryi. Pod piórem Wawrzyńca maryjnymi się stają psalmy, księgi prorockie, Pięcioksiąg, księgi królewskie, mądrościowe i Pieśń nad pieśniami. Autor odwołuje się do nich jak do tekstów prorockich, czasami widzi je typicznie, a najczęściej stosuje po prostu akomodację. Sięga on do tekstów biblijnych, aby przy ich pomocy wypowiedzieć o Maryi to, co nosi w swoim sercu.

W kazaniach Wawrzyńca Maryja ukazuje się jako „niewiasta obleczona w słońce”, jaśniejąca nie tylko blaskiem swego ducha, lecz również ciała. Przenika ją Boże piękno. Jednym z motorów owej idealizacji Maryi była niewątpliwie pobożność. Kazania maryjne Wawrzyńca przenika żar wiary. Kaznodzieje tego okresu widzieli już jasno zagrożenie, jakie niosła reformacja. Stawało się to dla nich bodźcem już nie tylko do obrony dotychczasowej mariologii, ale nadto do jej maksymalizacji. Nie byli w tym zresztą odosobnieni. Podobnych bowiem piewców Maryi znała zarówno starożytność, jak i średniowiecze. Barok zaś okazał się tej postawie szczególnie sprzyjający. W Maryi ludzie odnajdywali po prostu spełnienie marzeń o doskonałości i szczęściu.

W kazaniach maryjnych Wawrzyńca z Brindisi mamy nadto do czynienia z typowym dla baroku odwróceniem perspektywy widzenia. W epoce baroku modnym się stało przedstawianie obrazów biblijnych na podobieństwo tego, co widzi się w świecie. Ulubionymi odnośnikami były zwłaszcza rodzina, dwór szlachecki, książęcy lub królewski. Zaznaczano w ten sposób łączność, jaka zachodzi między niebem i ziemią. Dzięki temu podobieństwu, niebo stawało się bliskie i swojskie, nabierało cech rodzinnych.

Kazania maryjne wielkiego Bryndzyjczyka nie nadają się dziś do dosłownego powtórzenia w homiliach świątecznych czy kazaniach, ale znacznie wzbogacają zapas naszych wiadomości mariologicznych. Zaś ich forma przekazu,

daleka od roztrząsań czysto intelektualnych, czyni z tych kazań pożywną lekturę ascetyczną. Są dziełem do kontemplacji.

\*

W kaznodziejstwo katolickie Wawrzyniec z Brindisi wniósł mądrość na miarę renesansu, świetną znajomość Pisma Świętego w językach oryginalnych, umiejętność polemiki z innowiercami. *Kaznodzieja ewangeliczny* był zdolnym dyplomata i mediatorem, roztropnym i ojcowskim przełożonym, surowym, kiedy wymagała tego powaga sytuacji. Nie dziwi więc, że kapucyński uniwersytet, założony w Rzymie w 1908 roku, nosi imię tego świętego.

św. Wawrzyniec z Brindisi OFM<sup>Cap</sup>.

## Kazanie 5: *O pełni łaski Dziewicy Bogarodzicy*

*na podstawie słów pozdrowienia: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”*

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona” (Łk 1, 28. 42).

I. Bracia, mamy dziś płynąć po wielkim bezmiarze morskim, po ogromnej morskiej głębinie, po morskim zwierciadle. Oby za Bożą pomocą i łaską to żeglowanie nam się powiodło; oby nie było nieszczęsne jak Jonasza (por. Jon 1, 4) i Pawła (por. Dz 27, 14), bo ledwie uszli z życiem. Wielkim, ogromnym morzem jest pełnia łask Maryi.

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. „Wielkie morze” pełne wody w świątyni Salomona (1 Krl 7, 23); o Tobie słusznie możemy powiedzieć: „Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze wcale nie wzbiera” (Koh 1, 7); rzeki mianowicie oznaczają wieloraką obfitość łask i darów Ducha Świętego, jak mówi Zbawiciel: „Jeśli ktoś wierzy we Mnie, strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza”. „A powiedział o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego” (J 7, 38-39). Wszystkie więc rzeki płyną do morza; wszelka obfitość i pełnia łask jest w Bogarodzicy Dziewicy Maryi.

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. Oto naczynie pełne manny w świątyni Pańskiej (por. Wj 16, 32-33), nowe naczynie, które Elizeusz napełnił solą, by uzdrowić wody Jerycha (por. 2 Krl 2, 19-22); oto przybytek Pański, pełen chwały Bożej, jak czytamy w *Księdze Wyjścia* (Wj 40, 34) i świątynia Salomona w dniu swego poświęcenia, pełna majestatu Pańskiego (por. 1 Krl 8, 10).

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą”. Gdy niebiański pośrednik Gabriel w sposób bardzo miły powitał Dziewicę, zwiastując pokój i wielką radość, teraz podaje powody, dla których powinna tak bardzo się cieszyć; bo, powiada, jesteś „pełna łaski” i jest „Pan z Tobą”. O co za boska pełność!

Również u Izajasza czytamy, że tren szaty Pana wypełniał świątynię i że cała ziemia była pełna Jego chwały (Iz 6, 1-3); także u Ezechiela – że dom Pański był pełen obłoku i wewnętrzny dziedziniec pełen blasku chwały Pańskiej (Ez 43, 4-5). Ale te święte tajemnice oznaczają tylko tę boską pełność; Ona bowiem jest żywym i najświętszym przybytkiem Bóstwa, w Niej zamieszkała cała Pełnia: Bóstwo na sposób ciała (por. Kol 2, 9).

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, ponieważ znalazłaś łaskę u Boga o wiele obfitszą, niż Noe „człowiek prawy i nieskazitelny” (por. Rdz 6, 9) i Mojżesz „uznany za wiernego w całym Bożym domu” (por. Lb 12, 7). O nikim nie mówi Pismo Święte tak, jak Anioł o Maryi: „pełna łaski”.

Wiem, że po grecku jest to „kecharitome” (Łk 1, 28) i że to znaczy „upodobana” lub „obdarzona łaską”, czy też „wyjątkowo umiłowana” i „droga”. Lecz wiem również, że zawsze od początku święty Kościół Boży czyta „pełna łaski”; że to rozpowszechnione czytanie spotkało się z powszechnym poparciem i uznaniem teologów i świętych Doktorów, także wśród łacińskich, którzy byli znawcami języka greckiego. [...]

I Gabriel, jak się zdaje, nic innego nie chciał w ogóle mieć na myśli, jak tylko że Maryja jest Bogu wyjątkowo droga i miła, pełna łaski w oczach Pana, jako że Ją wybrał i Jej zapragnął na umiłowaną Oblubienicę.

Że więc złączymy greckie słowo z jego łacińskim odpowiednikiem, Maryja nazywa się zarówno „uroczą”, jak „pełną łaski”. Naprawdę uroczą niewiastą, o której Salomon mówi w *Księ-*



dze Przysłów: „Sławy dostąpi urocza kobieta” (11, 16); „o miłym wyglądzie” podobnie jak Estera, o której czytamy, że była dziewczyną o pięknej postaci w oczach wszystkich, a szczególnie w oczach Aswerusa, który umiłowal ją ponad wszystkie kobiety (por. Est 2, 9).

Jednak o żadnej innej niewieście nie czytamy jako o pełnej łaski, chociaż o dość wielu mężczyznach czytamy, że byli pełni Ducha Świętego lub Nim napełnieni. Mianowicie o Besaleelu, budowniczym boskiego przybytku Bóg mówi: „Oto powołałem imiennie Besaleela i napełniłem go Duchem Bożym, mądrością, rozumem, wiedzą i znajomością wszelkiego rzemiosła” (Wj 35, 30-31); również o Jozuem przy końcu Księgi Powtórzonego Prawa czytamy, że „pełen był ducha mądrości, gdyż Mojżesz włożył na niego ręce (Pwt 34, 9). O Janie Chrzcicielu przepowiedział Gabriel: „Już w łonie matki napełniony będzie Duchem Świętym” (Łk 1, 15); o Apostołach: „Wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym” (Dz 2, 4); szczególnie o pierwszym męczenniku Szczepanie, który wśród siedmiu diakonów wyróżniał się jak słońce wśród planet, szczególnie zaznaczono, że był „mężem pełnym wiary i Ducha Świętego... pełen łaski i mocy” (Dz 6, 5-8).

Nie byli oni jednak tak pełni łaski jak Maryja. Ale podobnie jak Bóg Stwórca wszechświata, wszystkie gwiazdy sklepienia od początku napełnił światłem niebiańskim, lecz słońce i księżyc – szczególnie i wielkimi światłami, dlatego Mojżesz nazywa je dużymi ciałami jaśniejącymi (por. Rdz 1, 16); tak również Bóg, który jest sprawcą natury i źródłem łaski, przy stworzeniu, świętego i duchowego świata, w świętym ładzie Kościoła, wprowadzie wszystkich świętych napełnił łaską swojego Ducha, lecz szczególnie Chrystusa i Maryję: Chrystusa jakby słońce, które jaśnieje własnym lśniąącym światłem, i Maryję jakby księżyc, który dużym wprowadzie i pięknym światłem jaśnieje, lecz je otrzymuje od słońca. Tak czytamy o pełni łaski Chrystusa: „Słowo stało się ciałem... pełne łaski i prawdy; i „Z Jego pełności wszyscyśmy otrzymali”; ponieważ „łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa” (J 1, 14-17). Po Chrystusie zaś sławiona jest Maryja jako pełna łaski, jednakże w ten sposób, że ją otrzymała od Boga, który jest hojnym dawcą wszystkich rzeczy i od którego „każde dobro... i wszelki dar doskonały zstępują” (Jk 1, 17). Dlatego Anioł złączył łaskę z Bogiem, jako skutek z przyczyną, mówiąc: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski. Pan z Tobą”.

II. Warto teraz zastanowić się nad pojęciem „łaski” w tym pozdrowieniu anielskim; bo czytamy również o kłamliwym wdzięku, jak mówi Salomon w poemacie o dzielnej niewieście: „Kłamliwy wdzięk i marne jest piękno; chwalić należy niewiastę, co boi się Pana” (Prz 31, 30). W anielskim więc pozdrowieniu nie spotyka się z pochwałą piękno ciała, jak Sary (por. Rdz 12, 11), Rebeki (por. Rdz 24, 16), Racheli (por. Rdz 29, 17), Estery (por. Est 2, 7) i innych, lecz piękno, w którym Bóg ma największe upodobanie. Bóg zaś jest duchem i może się lubować tylko w duchowym pięknie; tak o prawdziwej czci religijnej mówi Chrystus: „Bóg jest duchem; potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie” (J 4, 14); Chrystus bowiem prawdziwymi nazywa tych czcicieli, którzy oddają Bogu cześć w Duchu i prawdzie, a nie w ofiarach mięsnych, jak Żydzi, i w niecnym zabobonie oraz fałszywym kulcie, jak bałwochwalcze narody. Dlatego gdy łaskę Maryi chwali Anioł, który również jest duchem i obrazem Boga duchowego i niewidzialnego, nie można tej pochwały odnosić do wdzięku i piękna cielesnego, chociaż wierzymy, że Najświętsza Bogarodzica odznaczała się także przepiękną postacią, podobnie jak zapewne Ewa, którą Bóg stworzył, „a dzieła Jego doskonałe” (Pwt 32, 4).

Z pewnością nieraz także w Piśmie Świętym łaska oznacza przychylność i życzliwość oraz bezinteresowne uznanie, jak dość często czytamy o znajdowaniu łaski u kogoś, to jest, bycia ko-

muś miłym i przyjemnym, posiadania i używania jego przychylności i życzliwości. W ten sposób Anioł powiedział Dziewicy: „Znalazłaś łaskę u Boga” (Łk 1, 30).

Ale najczęściej oznacza dar Boży, który przez wlanie Ducha Świętego czyni duszę piękną, jak promienie słońca – księżyc. Dlatego Król – Prorok mówi: „Pan hojnie darzy łaską i chwałą” (Ps 84/83, 12); tam ukazuje nam Boga posługując się znakiem i symbolem słońca, bo w tekście hebrajskim jest: „Pan Bóg jest słońcem i tarczą, Pan hojnie darzy łaską i chwałą”. Jemu zda się wtórować Apostoł Jakub, mówiąc: „Każde dobro, które otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca światel” (Jk 1, 17) dodaje jeszcze: „Bóg pokornym daje łaskę” (Jk 4, 6); to samo pouczenie dał książę Apostołów, Piotr (1 P 5, 5).

Także Paweł jest znakomitym głosicielem tej łaski, którą nazywa już to miłością: „Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany” (Rz 5, 5); już to Duchem Chrystusowym: „Wy jednak nie żyjecie według ciała, lecz według Ducha, jeśli tylko Duch Boży w was mieszka. Jeżeli zaś kto nie ma Ducha Chrystusowego, ten do Niego nie należy” (Rz 8, 9). W ten sposób: „Ciało do czego innego dąży niż duch, a duch do czego innego niż ciało” (Ga 5, 17); i „Owoce... Ducha jest: miłość, radość, pokój itd.” (Ga 5, 22); już to darem Bożym i skutkiem: „Bóg może złać na was całą obfitość łaski, tak byście mając wszystkiego i zawsze pod dostatkiem, bogaci byli też we wszystkie dobre uczynki” (2 Kor 9, 8); tak mówi: „Za łaską Boga jestem tym, czym jestem, a dana mi łaska Jego nie okazała się daremna; przeciwnie, pracowałem więcej... nie ja... lecz łaska Boża ze mną” (1 Kor 15, 10); już to nazywają przebogata: „Z powodu przebogatej w was łaski Boga” (2 Kor 9, 14); już to – królowa: „Jeszcze obficie rozlała się łaska, aby jak grzech zaznaczył swoje królowanie śmiercią, tak łaska przejawiała swe królowanie przez sprawiedliwość wiodącą do życia wiecznego” (Rz 5, 20-21); niekiedy – przeobfitym bogactwem: „W Nim mamy odkupienie przez Jego krew... według bogactwa Jego łaski. Szczerze ją na nas wylał” (Ef 1, 7-8); i znowu: „Aby w nadchodzących wiekach przemożne bogactwo Jego łaski wykazać na przykładzie dobroci” (Ef 2, 7). Tak gdzie indziej nazywa łaskę skarbem: „Przechowujemy zaś ten skarb w naczyniach glinianych, aby z Boga była owa przeogromna moc, a nie z nas” (2 Kor 4, 7). Piotr tę łaskę nazywa różnoraką: „Jako dobrzy szafarze różnorodnej łaski Bożej służcie sobie nawzajem tym darem, jaki każdy otrzymał” (1 P 4, 10).

Z tymi słowami Pisma Świętego o łasce zgodne są wypowiedzi o niej świętych mężów Bożych. [...] Z tych nazw każdą można zastosować jako zawierającą myśl Gabriela wyrażoną w jego pozdrowieniu Dziewicy: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”. Każda bowiem oznacza, że Dziewica jest Bogu najmiłsza, jako duchowo najpiękniejsza, i że była napełniona przez Ducha Świętego niezmierną obfitością niebiańskich darów i Boskich charyzmatów.

Paweł mówi, że posiadamy „łaskę według miary daru Chrystusowego” (Ef 4, 7). Lecz Maryja otrzymała, że tak powiem, ducha i łaskę bez miary. Jest więc po pierwsze „pełna łaski”, to jest, Bogu w najwyższym stopniu droga, w najwyższym stopniu miła, w najwyższym stopniu zasługująca na miłość i uznanie; po drugie to wezwanie oznacza najwyższą pełnię Ducha Świętego. A podobnie jak powiedziano o Janie, że napełnił go Duch Święty, podobnie jak o Apostołach, podobnie jak o Szczepanie w sposób szczególny, że był pełen wiary i Ducha Świętego, pełen łaski i mocy; tak rozumiemy, że Dziewica Bogarodzica była pełna łaski, lecz w o wiele wyższym stopniu i w o wiele obfitszym nadmiarze; wskutek tego pełnia łaski jest w Dziewicy po Chrystusie jedyna i niezrównana, większa niż u wszystkich świętych.

Pełen łaski jest Chrystus, lecz jako źródło; pełna łaski jest Maryja, lecz jak rzeka wypływająca ze źródła, czy też jak akwedukt, według powiedzenia Bernarda z Clairvaux (*Sermo de aqueductu*, n. 3); pełni łaski są święci, jak strumienie. Pełen łaski Chrystus jak słońce; pełna łaski Maryja jak księżyc od słońca; pełni – święci jak gwiazdy. Pełnia łaski Maryi nie równa, lecz podobna jest do pełni łaski Chrystusa, jak pełnia księżycyca nie równa, lecz podobna jest do pełni słońca, która jest najwyższa i największa. „Z Jego pełności wszyscyśmy otrzymali... – łaska i prawda przyszedł przez Jezusa Chrystusa” (J 1, 16-17).

Jaka jest pełnia łaski Chrystusa? „Spocznie na Nim Duch Pański, duch mądrości i rozumu, duch rady i męstwa, duch wiedzy i pobożności i napełni Go duch bojaźni Pańskiej” (Iz 11, 2); tak Maryja, po Chrystusie pełna była wszelkich darów Ducha Świętego i Boskich charyzmatów, napełniona była wszelkim błogosławieństwem duchowym. „Ona się wylania wśród słupów dymu, owiana wonią mirry i kadzidła i wszelkich wonności kupców” (Pnp 3, 6); „woń twych pachnideł słodka” (Pnp 1, 2); Ona – ogrodem zamkniętym, jak Oblubieniec przemawiając w *Pieśni nad pieśniami* do Oblubienicy i sławiąc Ją mówi: „Ogrodem zamkniętym jesteś, siostró ma, oblubienico, ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym. Pędy twe – granatów gaj z owocem wybornym, kwiaty henny i nardu, nard i szafran, wonna trzcina i cynamon, i wszelkie drzewa żywiczne, mirra i aloes, i wszystkie najprzedniejsze balsamy” (Pnp 4, 12-14); Ona rajem, w którym „na rozkaz Pana Boga wyrosły wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące” (Rdz 2, 9); Ona – sklepieniem niebieskim, przyozdobionym wszelkimi ciałami świetlnymi. „Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. O co za boska pełność! O jakież to morze przeogromne, niezmierne morze otwarte, o niemal nieskończony ocean łask Maryi!

„Pełna łaski: piękna jak księżyc” (Pnp 6, 10). Gdzie łaska pełna i doskonała, tam nie ma żadnej wady, żadnego w ogóle grzechu; podobnie jak miejsce, rozjaśnione doskonałym światłem, nie zna w ogóle żadnych mroków i ciemności; gdzie pod każdym względem doskonała łaska, tam wszelka świętość, wszelka sprawiedliwość, wszelka cnota, wszelkie dary Ducha Świętego; podobnie jak podczas pełni księżycyca noc nie tylko wolna jest od wszelkiego mroku, jak podczas zaciemnienia i zaniku, lecz nawet wyraźnie przyozdobiona jest płynącym od słońca blaskiem. A więc wezwanie: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, bądź pozdrowiona, Dziewico Niepokalana, zupełnie wolna od wszelkiej zmayı grzechowej i zarazy wad – oznacza, że od Maryi daleko jest wszelki grzech; „Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy” (Pnp 4, 7) „jedyna jest moja gołąbka, moja nieskalana” (Pnp 6, 9), czyli niepokalana moja. A ponieważ mówimy, że łaska zawiera w sobie nie tylko wolność od grzechu, lecz także świętość i mnogość cnót pochodzących z nieba – to Maryja „pełna łaski” jest na pewno pełna wszelkich cnót i boskich charyzmatów, pełna wiary, pełna nadziei, pełna miłości, a także pełna wszelkiej świętości.

III. Jaka jednak jest i jak wielka pełnia tej łaski, Anioł wyraźnie nie powiedział. Czytamy w Piśmie Świętym o wymiarach arki Noego (por. Rdz 6, 15), przybytku Mojżesza (por. Wj 26, 1nn), świątyni Salomona (por. 1 Krl 6, 1nn); u Ezechiela czytamy, że Anioł wymierzył całą budowlę i cały gmach świątyni Pańskiej (por. Ez 40, 1nn), w Apokalipsie – że Anioł złotą trzcinaą zmierzył z każdej strony niebiańskie Jeruzalem (por. Ap 21, 15-18), które jest miastem oraz świątynią Boga: „Oto przybytek Boga z ludźmi” (Ap 21, 3). Ale ta świątynia Bóstwa, która ogarnęła Tęgo, którego niebo i najwyższe niebiosy nie mogą ogarnąć (2 Krn 2, 5), jest niezmierna lub bez najwyższej miary; jak uczynił Apostoł mówiąc o tajemnicy odkupienia ludzkiego przez Chrystusa: „abyście wraz ze wszystkimi

świętymi zdołali ogarnąć duchem, czym Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość” (Ef 3, 18); jak się mierzy jakąś budowlę zgodnie z długością i szerokością murów, z wysokością szczytu i głębokością fundamentu, tak Paweł przy pomocy tego podobieństwa zarysował wielkość tej Boskiej tajemnicy. Nie powiedział jednak, jak wielka jest jej długość, jak wielka szerokość, wysokość lub głębokość; lecz może przez długość chciał, by rozumiano nieustanność czasu od początku świata do jego końca; przez szerokość – rozlanie łaski na wszystkie narody; przez wysokość – chwałę nieba; a przez głębokość – zbawienie i odkupienie od kar piekielnych i od władzy szatana. Jednakże pozostawił tajemnicę niepojętą, podobnie jak również powiedział, że „ogłasza jako dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa” (Ef 3, 8); tak z pewnością łaska Maryi jest skarbcem niemal nieskończonym, ponieważ Maryja jest napełniona całą Pełnią Boga, której życzył Efezjanom Paweł (Ef 3, 19).

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, szczególnej i najwyższej łaski, jak czytamy w tajemnicy o świętyni Ezechiela: „To jest ustawa świątyni: Na szczycie góry cały obszar dokoła niej ma być bardzo święty” (Ez 43, 12). W przybytku Mojżesza i w świątyni Salomona jedna tylko część, w której przechowywano arkę z Bożą prześlągalnią, nazywała się świętym świętych, to jest Miejscem szczególnie poświęconym i w ogóle Najświętszym (por. Wj 26, 34). Cały zaś ten przybytek nazywa się świętym świętych, ponieważ Maryja była pod każdym względem najświętsza, cała pełną łaski od pierwszej chwili swego poczęcia przeczystego, niepokalanego i najświętszego aż do ostatniego tchnienia, co jest długością jej łaski; we wszystkich zmysłach ciała i władzach duszy, najświętsza ciałem i duchem, sercem, ustami i czynem wobec Boga i ludzi, co jest szerokością, polegającą na niemal nieskończonej miłości względem Boga i ludzi; z powodu wzniesłego stopnia i najwyższej doskonałości wszystkich cnót heroicznych w Maryi i z powodu wzniosłości niebiańskiej kontemplacji i sposobu życia, co jest wysokością tej świątyni; a także z powodu najgłębszej pokory i najmocniejszej wiary oraz jakże szczerzej miłości; bo też wiara jest podstawą duchowej budowli i miłość, która jest korzeniem cnót: „W miłości, powiada Paweł, wkorzeni i ugruntowani” (Ef 3, 17); to jest głębokość fundamentów tej boskiej budowli, która cała jest Miejscem Najświętszym.

IV. „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, jak słońce – światłości. Któż nie wie, że długością słonecznej światłości jest jej nieustanne trwanie od początku świata aż do jej końca? Że ma ona szerokość, która napełnia cały świat rozsiewając swe blaski? Że ma wysokość jasności, najbardziej ze wszystkich ciał niebieskich wspaniałą i olśniewającą, jak złoto wśród metali? A także głębokość? Bo nie jest tylko powierzchowna, jak światło księżycowe, lecz słońce jest najgłębszą skarbnicą światła, jakby największy, że tak powiem, płomień niebieskiego i wiecznego ognia. Tak Pismo Święte mówi, że Dziewica jest „Niewiastą obleczoną w słońce” (por. Ap 12, 1).

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. O pełności niepojęta! Ilekroć jakieś naczynie będzie napełnione, z wielkości naczynia można wnioskować o ilości płynu. W świątyni znajdował się ogromny zbiornik wody, który od swej wielkości nazywał się „morzem” (por. 1 Krl 7, 23); na niebie jest słońce jako największa planeta. O Maryi mówi Pismo Święte, że jest obleczona w słońce; lecz w jakie i jak wielkie słońce? O przedziwne to do wypowiedzenia! W słońce, którego zasięg był od księżyca aż po gwiazdy: bo „Apokalipsa” mówi, że Niewiasta obleczona w słońce miała pod stopami księżyc, a na głowie gwiazdy, które zdobiły Ją na kształt wieńca. O nieskończony cudzie! Któż mógłby pojąć wielkość takiego i tak wielkiego słońca? Któż mógłby ogarnąć pełnię tej światłości? Ośmielam się powiedzieć, że tylko Bóg może ogarnąć pełnię tej łaski, że tylko Bóg może pojąć bezmiar tej łaski i jej prawie nieskończoność.

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. „Wysokość nieba, szerokość ziemi i głębię morza któż zmierzył?” – mówił Mędrzec (Syr 1, 2), to jest, nikt z ludzi nie zna wielkości świata, tylko sam Bóg ją zna; tak On tylko zna wielkość Maryi, która zdołała ogarnąć Tego, którego nie obejmuje cały świat od szczytu nieba aż po głębię otchłani – gdy w swym łonie ogarnęła Człowieka (por. Jr 31, 22), w którym „mieszka cała Pełnia Bóstwa na sposób ciała”.

Prorok Izajasz mówiąc o pełni łaski Chrystusa, złączył Maryję z Chrystusem w słowach; „Wyrośnie różdżka z pnia Jessego, wypuści się odrośl z Jego korzeni i spocznie na niej Duch Pański, duch mądrości i rozumu, duch rady i męstwa, duch wiedzy i bojaźni Pańskiej” (Iz 11, 1-2). Bo jak na początku świata Ewa zaraz po Adamie jako najbardziej do niego podobna stworzona została na obraz i podobieństwo Boże, tak pełnia łaski Maryi najbardziej zbliżona jest do pełni łaski Chrystusa. Izajasz mówi w ten sposób: „Wyrośnie różdżka”, to jest Dziewica, ponieważ podobne jest Jej urodzenie; pełen łaski narodził się Chrystus, pełna łaski narodziła się Maryja. Dlatego na innym jeszcze miejscu czytamy o tymże złączeniu: „Wschodzi Gwiazda z Jakuba, a z Izraela podnosi się berło” (por. Lb 17, 23). O jakąż to różdżka Maryja! Laska Aarona, która cudownie wypuściła pączki, zakwitła i wydała dojrzałe migdały (por. Wj 7); laska Mojżesza, która wydawała się wszechmocną: „Twoje potężne berło niech Pan rozciągnie z Syjonu” (Ps 110, 2).

V. Jak potężna była ta różdżka, ta Dziewica z Bogiem! Boga potrafiła zranić złotą strzałą miłości; sam On tak mówi: „Oczarowałaś me serce, siostró ma, oblubienico, oczarowałaś me serce Jednym spojrzeniem twych oczu, jednym paciorkiem twych naszyjników” (Pnp 4, 9). Potrafiła Boga z wyżyn niebieskich ściągnąć na ziemię, związawszy Go swoją miłością i czcią. „Włosy głowy twej jak królewska purpura, splecione w warkocz” (Pnp 4, 9); hebr. „jak purpura, król związany warkoczami”; warkoczami zaś nazywa kędzierzaste i faliste włosy, które jakby powrozami wiążą i pociągają kochających.

Wielka jest siła i potęga pięknej kobiety wobec mężczyzny, który się w niej zakocha i usycha z gwałtownej miłości, rozmiłowany do szaleństwa i traci rozum, gdy ona choćby tylko zerknie na niego. Ale Dziewica samego Boga zdołała zachwycić, dlatego On mówi: „Odwroć ode mnie twe oczy, bo niepokoją mnie” (Pnp 6, 4); hebr. przemogły mnie, lub – moźnie, zuchwale zapanowały nade mną, odniosły nade mną zwycięstwo. Maryja sprawiła, że tak powiem, że Bóg w nadmiarze zapału zapomniał o swym majestacie i przyjął postać sługi (por. Flp 2, 7), a nawet stał się „zgorzzeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan” (1 Kor 1, 23); zdołała Boga uczynić ze lwa najłagodniejszym barankiem, Boga uczynić najbardziej ludzkim dla ludzi, co więcej – uczynić Go człowiekiem, dać mu naturę ludzką, upodobnić Go do nas, sprawić, że jest naszym przyjacielem, powiernikiem, bratem najukochańszym, łaskawym władcą, podobnie jak królowa Estera wyjednała najwyższą przychylność dla Żydów u króla Aswerusa, który przedtem na prośbę jednego człowieka skazał ich wszystkich na śmierć (por. Est 5, 1nn). O, co za przedziwna potęga!

Powiem wreszcie, że Maryja zdołała uczynić z Boga to, czym Bóg sam z siebie samego nie mógł uczynić. Nie mógł Bóg siebie samego w swojej naturze uczynić skończonym, słabym, cierpiętliwym, śmiertelnym; zdołała to uczynić Dziewica w naszej naturze. Nie mógł Bóg sobie współistotnego i współrównego w swej naturze Syna zrodzić jako słabego, mającego ciało, podlegającego cierpieniu i śmierci; Dziewica zdołała prawdziwego Syna Bożego, prawdziwego Boga zrodzić jako podobnego do nas. Nigdy nie było niewiasty, choćby najpiękniejszej, najbardziej uroczej i powabnej, która by miała wpływ tak wielki na swego męża, choćby najbardziej był w niej



zakochany – jak wielkie znaczenie miała dzięki swemu wdziękowi i piękności Dziewica u Boga: „Znalazłaś łaskę u Boga... pełna łaski”. Zgodnie ze słowami Gabriela Ona jedynie połączyła owo: „Bądź pozdrowiona, pełna wdzięku, Pan z Tobą” i „Znalazłaś łaskę u Boga”; tak że „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię” (Łk 1, 28. 30. 35). Bóg, powiada, rozmyślał się w Tobie, tak jesteś w Jego oczach piękna i pełna wdzięku, tak bardzo Cię kocha, Ciebie szanuje, że pragnie mieć za Oblubienicę. Takie są w oczach Bożych wdzięk i piękność Maryi.

Nie mniejszy podziw budzi Ona w oczach Aniołów; bo Anioł, owszem książe Aniołów, mówi to do Maryi. Taka jest Ona w oczach Błogosławionych, nikogo bowiem nie ma poniżej Boga, poniżej Chrystusa, na kogo bardziej wejrzeć pragną Aniołowie (por. 1 P 1, 12), nikogo piękniejszego, przyjemniejszego i miłszego do kontemplacji niż Maryja, która zaraz po Bogu zasiada po prawej stronie Chrystusa: „Królowa odziana w złotogłów stoi po twojej prawicy w szacie wzorzystej” (por. Ps 45, 10. 14. 15), to jest w klejnotach wszystkich cnót i łask. „Jak wieża Dawida warownie zbudowana, tysiąc tarcz na niej zawieszono, wszystką broń walecznych” (Pnp 4, 4), to jest mocno obwarowana wszelkimi cnotami, jak przystoi jedynej i wyjątkowej warowni najpotężniejszego króla w metropolii (taka była w Jeruzalem twierdza Syjon, którą zbudował Dawid /2 Sm 5, 6nn/), albowiem Ją oznacza przez tajemnicę. „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, odznaczająca się wszystkimi najdoskonalszymi cnotami: „Oto lektyka Salomona, sześćdziesięciu mężnych ją otacza spośród najmniejszych Izraela. Wszyscy wprawni we władaniu mieczem, wyćwiczeni w boju” (Pnp 3, 7-8). To są najdoskonalsze cnoty i dary Ducha Świętego, by strzegły serca przeciwko pokusom złych duchów, co jest tam powiedziane: „Przez wzgląd na nocne przygody” (Pnp 3, 8), bo złe duchy są rządcami ciemności (por. Ef 6, 12).

VI. „Bądź pozdrowiona, pełna łaski!” Oblubienica w *Pieśni nad pieśniami* cała jest sławiona, i to w przedziwne sposoby, jej głowa, włosy (Pnp 4, 1; 7, 6), oczy (Pnp 4, 1; 7, 5), nos (Pnp 7, 5), policzki (Pnp 4, 3; 7, 10), wargi (Pnp 4, 3. 11), szyja (Pnp 7, 5), piersi (Pnp 4, 5), łono (Pnp 7, 3), biodra, stopy (Pnp 7, 2), nic nie zostaje bez nadzwyczajnej i szczególnej pochwały, ponieważ cała piękna i w ogóle bez skazy (Pnp 4, 7), tak piękny był Absalom (2 Sm 14, 25-26). Jednak ze strony zewnętrznych ozdób i damskich, jak mówią, kosmetyków wcale nie jest sławiona, choć zwykle także i dlatego Oblubienica bywa sławiona: „Jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża” (Ap 21, 2). W *Pieśni nad pieśniami* zaś Oblubienicę sławi się tylko za przyozdobienie stóp: „Jak piękne są twe stopy w sandałach, księżniczko!” (Pnp 7, 2). Cóż to znaczy? W stroju kobiecym najmniej uwagi zwraca się na przyozdobienie stóp, całkowicie chodzi o przystrojenie ciała, a najbardziej głowy; a tu tylko obuwie się wymienia i to przedziwne. „Jak piękne są twe stopy w sandałach!”. Lecz jeśli tak przedziwne przyozdobienie stóp, to cóż należy pomyśleć o stroju całego ciała, piersi i głowy? Stopy są najniższą częścią ciała. W człowieku jest ciało, życie, zmysły, rozum, umysł i duch, na którym polega obraz i podobieństwo do Boga; najniższym zaś składnikiem jest ciało, ukształtowane z ziemi i mające powrócić do ziemi. Ale jeżeli Bóg tak niezwykle pięknym utworzył ciało Dziewicy, to cóż należy pomyśleć o Jej duszy? Ozdobił ciało najwyższą znakomitością rodu wywodzącego się od patriarchów, arcykapłanów i królów; ozdobił cudowną pięknnością i powabnym wyglądem; ozdobił nieskazitelnością dziewiczą i boską płodnością, macierzyństwem Jednorodzonego Syna Bożego; jakąż zatem łaską, jakimi darami przystroił duszę najznakomitszą?

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. Przez Ezechiela Bóg obszernie opisuje pełnię łaski w duszy usprawiedliwionej z grzechów: „Obmyłem cię wodą, otarłem z ciebie krew i namaściłem olejkami.



Następnie przydziałem cię wyszywaną szatą, obułem cię w trzewiki z miękkiej skórki, opasałem bisorem i okryłem cię jedwabiem. Ozdobiłem cię klejnotami, włożyłem bransolety na twoje ręce i naszyjnik na twoją szyję. Włożyłem też pierścień w twój nos, kolczyki w twoje uszy, wspaniałą diadem na twoją głowę. Zostałaś ozdobiona złotem i srebrem, przyodziana w bisior oraz w szaty jedwabne i wyszywane... Stawałaś się z dnia na dzień piękniejsza i doszłaś aż do godności królewskiej, czyli zostałaś królową. Rozeszła się twa sława między narodami dzięki twojej piękności, bo była ona doskonała z powodu ozdób, którymi cię wyposażylem – wyrocznia Pana” (Ez 16, 9-14). A przez te ozdoby oznaczone są tylko cnoty, które wspaniale przyozdabiają duszę, jak czytamy u Izajasza: „Ogromnie się weseleć w Panu, dusza moja raduje się w Bogu moim, bo mnie przyodził w szaty zbawienia, okrył mnie płaszczem sprawiedliwości, jak oblubienica, który wkłada zawój, jak oblubienicę strojną w swe klejnoty” (Iz 61, 10). Jeżeli więc Bóg w takie i tak wielkie klejnoty przyozdabia duszę, którą obmywa z brudów grzechowych, usprawiedliwia i uświęca, to jakże wysoko należy oceniać ozdoby Maryi? Dlatego słusznie widzi się Ją w niebiosach przyozdobioną nie złotem, srebrem i drogocennymi kamieniami, lecz słońcem, księżycem i gwiazdami, otoczoną pięknem niebiańskich i wieczystych światła.

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. Podobnie jak Estera, zanim poszła do króla albo obcowała z nim w związku małżeńskim, upiękzona została wieloma królewskimi namaszczeniami i kobiecymi kosmetykami, aby mogła uchodzić za godną wejrzenia i obecności tak wielkiego króla (por. Est 2, 9-14); także Rebeka, zanim złączyła się w związku małżeńskim z Izaakiem, ubogacona została wieloma darami, które jej przysłał Abraham za pośrednictwem Eliezera (por. Rdz 24, 53); tak również Dziewica Bogarodzica przed boskimi zaręczynami upiękzona została boskimi charzmatami stosownie do swej godności, aby się okazała godną zaręczyn z tak wielkim Królem.

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, to jest, doskonałej miłości; miłość bowiem jest pięknoscią duszy wobec Boga: „W Nim wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem miłości” (Ef 1, 4).

Wśród ozdób oblubienic od dawna szczególnie znaczenie miała przepaska na piersi; tak bowiem czytamy u Jeremiasza: „Czy Panna zapomni swoich klejnotów, a narzeczona swych przepasek?” (Jr 2, 32). Przepaska była szczególną ozdobą piersi. W *Pieśni nad pieśniami* zwłaszcza sławione są raz i drugi piersi Oblubienicy: „Piersi twe jak dwoje kozłat, bliźniat, co pasą się pośród lili” (Pnp 4, 5); i znowu: „Piersi twe jak dwoje kozłat, bliźniat gazi” (Pnp 7, 4). Postać twoja wysmukła jak palma, a piersi twe jak grona winne. Wespnę się na palmę, pochwyć jej owoc. „Piersi twe niech będą jako grona winne” (Pnp 7, 8-9). Także Oblubienica obiecuje dać Oblubienicowi tylko swe piersi: „Mój miły jest mi woreczkiem mirry wśród piersi mych położonym” (Pnp 1, 12) i: „Tam ci dam piersi moje” (Pnp 7, 13). Piersi po hebr. „dodim” oznaczają również „przejawy miłości”, a przeto Oblubienicowi dawane są piersi: „Bo piersi twe przedniejsze od wina” (Pnp 1, 1). „Będziemy sławić twe piersi nad wino” (Pnp 1, 3), czyli miłość Oblubienicy. W ten sposób doskonała miłość Dziewicy względem Boga zaznaczona jest szczególnie w sławieniu piersi.

Dziewica kochała Boga, swego Oblubienicy, najwyższą i najgorętszą miłością: „Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust! Bo miłość twa przedniejsza od wina” (Pnp 1, 1). „Lewa jego ręka pod głowę moją, a prawica jego obejmuje mnie... chora jestem z miłości” (Pnp 2, 5-6). „Na łożu mym nocą szukałam umiłowanego mej duszy”. „Ja śpię, lecz serce me czuwa” (Pnp 5, 2). „O gdybyś był moim bratem, któryś ssał pierś mojej matki, spotkawszy na ulicy, ucałowałabym cię i nikt by mną nie mógł po-

gardzić” (Pnp 8, 1). O jakże wielka i cudowna jest moc miłości! Zawsze i wszędzie pragnęła być z Oblubieńcem i korzystać z Jego uścisków, podobnie jak nie obawia się pogardy kobieta, nawet w miejscu publicznym i wobec wielu, gdy uściska swe maleńkie dziecko przy piersi i słodko ucałuje.

A jak czyste, jak nieskazitelne były te przejawy miłości, jak święte doznania owej boskiej piersi, świadczą słowa: „Piersi twe jak dwoje kozłąt, bliźniąt gazeli, co pasą się pośród lilii”. Miła rozkosz była zawsze pokarmem miłości, lecz te kozłeta karmiły się przepięknymi liliami i przyczystymi kwiatami i doznawały rozkoszy tylko najczystszych i najświętszych. A ponieważ były przemiłe Bogu, dlatego przyrównane są także do bardzo słodkich winogron: „Piersi twe jak grona winne”, ale krzewu winnego, który zaowocował na wysmukłym drzewie palmowym (por. Pnp 7, 8). O wzniosłości serca Maryi!

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. Z powodu pełni, wielkości i wzniosłości łaski Dziewica Bogarodzica w Piśmie Świętym ukazana jest w symbolu góry wielkiej i wysokiej. Ona jest tą górą u Daniela, od której odłączył się kamień, mimo że nie dotknęła go ręka ludzka; który ugodził posąg i połamał go; kamieniem bowiem, który rozrósł się w wielką górę, jest Chrystus, jak wyjaśnił tenże Prorok (Dn 2, 31-45); sama zaś Dziewica jest górą, od której odłączył się ów kamień bez udziału męża. Ona jest górą, o której głosi Król Prorok: „Czemu, góry urwiste, patrzycie z zazdrością na górę, gdzie się Bogu spodobało mieszkać, na której też Bóg będzie mieszkał na zawsze?” (Ps 68, 16-17). To jest góra, lub na tej górze znajduje się rydwan Boży otoczony miriadami Aniołów weselących się, że Pan jak był na Synaju, tak również jest na tej świętej górze, w swojej świątyni (Ps 68, 18). Tak kiedyś na pustyni arka Boża, która zdawała się być rydwanem chwały Bożej, była otoczona tysiącami i miriadami Hebrajczyków (por. Pwt 33, 2). Widzicie, jak wspaniale mówi o tej górze Bożego zamieszkania. Górą Bożą nazywa w wyrażeniu hebrajskim, z powodu wysokości i wzniosłości, pasmo górskie Baszanu bardzo żyzne i urodzajne, góry dostatnie i urwiste, obfitujące w sery dzięki obfitości świetnych pastwisk dla trzód. Dlatego także Salomon w *Pieśni nad pieśniami* nazwał Bożą Oblubienicę górą mirry: „Pójdę ku górze mirry, ku pagórkowi kadzidła. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy” (Pnp 4, 6-7). Cóż oznacza góra wonnej mirry, jeśli nie pełnię łaski?

„Bądź pozdrowiona, pełna łaski!”. Teologowie przyjmują za pewne trojaka pełnię łaski w Dziewicy: a mianowicie w Jej poczęciu pełnię, jak mówią wystarczalności, aby była godną Oblubienicą Boga i Matką Chrystusa, godnym mieszkaniem Bóstwa; we wcieleniu zaś Słowa, gdy na Nią zstąpił Duch Święty, pełnię obfitości i nadmiaru, bo Dziewica jakby wylała, lub z nadmiaru wylała, jakby się z naczynia bardzo pełnego przelewało, ducha swego na Elżbietę i Jana; gdy bowiem Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, napełnił ją Duch Święty (por. Łk 1, 41); a także w dniu Pięćdziesiątnicy otrzymała pełnię cudownej wyższości ponad wszystkich Świętych.

Cytat za: św. Wawrzyniec z Brindisi, Kazanie piąte: *O pełni łaski Dziewicy Bogarodzicy*, na podstawie słów pozdrowienia: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski”, [w:] tenże, *Kazania maryjne (Mariale)*, Białą Podlaska 1993, s. 140-149.



Święty Franciszek Salezy  
(1567-1622)



# Kaznodzieja dobroci i miłości Bożej

**A**by zrozumieć człowieka, należy umieścić go na tle jego kraju i epoki. 21 sierpnia 1567 roku, na zamku Thorens w Sabaudii, pod bokiem hugenockiej stolicy – Genewy, przyszedł na świat Franciszek. Pochodził z rodu hrabiów de Sales, jednego z najbardziej znamienitych rodów francuskich XVI wieku. Prawie całe życie Franciszka przebiega u stóp cudownych, alpejskich szczytów. Na początku przebywa w różnych zamkach, zamieszkałych przez jego rodzinę, lub w drugorzędnych posiadłościach, takich jak: Sales (dziś zniszczone), Thorens, Compey, Tuile i Brens. Odkrywa piękno jezior: Lemán, Annecy i Le Bourget oraz urok Alp Sabaudzkich, jednocześnie łagodnych i potężnych. Ponieważ otoczenie wpływa na człowieka, Franciszek napełnia się miłością i podziwem dla stworzenia: rzek, jezior i pól, roślin i zwierząt, kwiatów i owoców.

## Młodość, studia i kapłańska droga życia Franciszka

Dzieciństwo Franciszka było bardzo szczęśliwe. Domowa edukacja w krótkim czasie przestała być wystarczająca dla jego chłonnego i przenikliwego umysłu, toteż od 1580 roku studiował w jezuickim Collège de Clermont w Paryżu. Dla uczynienia zadość życzeniu ojca studiował pilnie i z zapałem łacinę i grekę, retorykę i filozofię. Jednocześnie jednak dla własnej satysfakcji podjął studia teologiczne na Sorbonie. Nie były one objęte programem nakreślonym przez ojca, toteż preceptor i wychowawca Franciszka ksiądz Déage zezwolił na nie niechętnie, w zamian za to jednak nie darował mu lekcji fechtunku, tańca i konnej jazdy. Tym samym Franciszek, który w przyszłości miał zalecać ustępliwość wobec życzeń bliźniego we wszystkim, co nie jest grzechem, za młodu już ćwiczył się w tej cnocie. Zresztą nauka konnej jazdy przydała się bardzo, gdy później jako biskup wizytował swą górską diecezję. W czasie studiów teologicznych pod wpływem kalwińskiej doktryny o predestynacji Franciszek przeżył kryzys religijny. Owładnęła go obsesyjna myśl, że będzie potępiony. Odtąd wszystkie sprawy przestały mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Koszmar, który go dręczył przez wiele tygodni rozwiązał odkrywając w Piśmie Świętym obraz Boga miłosiernego. Doszedł do wniosku, iż jeśli nie może kochać Boga w życiu wiecznym, to pragnie Go kochać ze wszystkich sił na ziemi. Po tym doświadczeniu wrócił spokój i optymizm oraz tak charakterystyczne dla doktryny Franciszka zaufanie Bogu-Miłości.

Studia paryskie Franciszek kontynuował w Padwie. W 1592 roku uzyskał stopień doktora obojga praw. W rodzinnych stronach czekała go trudna przeprawa z ojcem, który długo nie zgadzał się, by syn został kapłanem. Mimo uchwał soboru trydenckiego nie istniały jeszcze wówczas seminaria. Do przyjęcia święceń musiał więc przygotować się na własną rękę. Ostatecznie 12 czerwca 1593

roku otrzymał niższe święcenia, a 18 grudnia tegoż roku – święcenia kapłańskie. Przed pierwszym kazaniem, jakie mu biskup Klaudiusz de Granier polecił wygłosić, dostał – on, który miał z czasem zasłynąć jako najlepszy kaznodzieja swej epoki – tak straszliwej tremy, że nogi ugięły się pod nim i niemal cofnął się przed stopniami ambony. Gdy jednak po rozpaczliwej modlitwie o pomoc przemógł się i przemówił, szybko zjednał słuchaczy nienawykłych do słów tak prostych, serdecznych, a żarliwych. Wielkim triumfem Franciszka stało się przemówienie wygłoszone z okazji objęcia urzędu prepozyta kapituły genewskiej. Rzucił wtedy śmiało hasło: *Zdobyc Genewę!*

### W cieniu „kalwińskiego Rzymu”

Genewa podlegała w wiekach średnich władzy miejscowego biskupa. Na kilka lat przed przybyciem Kalwina miasto to pozbyło się definitywnie swego biskupa Piotra de la Baume. Odtąd już w wolnym mieście rządzonym przez radę, kalwinizm szybko zapuszczał korzenie. Dnia 27 sierpnia 1535 roku wielka rada oficjalnie zniósła religię katolicką. Zniszczono obrazy i krzyże, wygnano księży. Swą działalność w Genewie Kalwin rozpoczął od wykładów teologii. Wzbudzał podziw rozległością wiedzy, ścisłością rozumowania i siłą charakteru. Przez swe codzienne kazania i wykłady, które niebawem zyskały szeroki rozgłos, uściślił i skodyfikował dotychczas dość dowolnie interpretowane tezy Lutera. Podstawą jego doktryny była nauka o predestynacji. Głosił, że natura ludzka doszczętnie zepsuta przez grzech pierworodny jest niezdolna do dobra. Człowiek nie może sobie wysłużyć zbawienia mocą zasług zdobytych przez dobre uczynki. Może jedynie dostąpić zbawienia na mocy przedwiecznego wyroku Boga, który swych wybrańców darzy łaską, wszystkich innych zaś skazuje na wieczne potępienie. Istotę religijnego kultu sprowadził Kalwin do głoszenia słowa Bożego drogą kazań i czytania Pisma Świętego. Z praktyk religijnych zachował tylko modlitwy i śpiew psalmów w języku ojczystym, a z sakramentów jedynie chrzest i komunię udzielaną wiernym z rzadka i pod obiema postaciami. Zniósł wszelką hierarchię kościelną. Wierni podlegali władzy konsystorza złożonego w jednej trzeciej z ministrów, a w dwu trzecich z ludzi świeckich, wybieranych spośród najmożniejszych i najbogatszych obywateli miasta. Ponieważ jednak Kalwin pragnął ukształtować ziemską społeczność swych wyznawców na podobieństwo niewidzialnej społeczności wybranych, przeto narzucił miastu tryb życia zdolny przerazić najsurowszych ascetów. Zakazane zostały wszelkie rozrywki, zabawy i przedstawienia. Prywatne życie obywateli zostało poddane ścisłemu nadzorowi i kontroli, podzielone było między pracę w dni powszednie i niedzielne praktyki religijne. Kalwin kładł duży nacisk na kaznodziejstwo. Sam – jak już wspomniano – był dobrym mówcą. W celu rozszerzania swej konfesji powołał w Genewie akademię kształcąca kaznodziejów, którzy po ukończeniu studiów teologicznych wyruszali w świat, by głosić słowo Boże. W efekcie Kalwin zyskiwał coraz liczniejszych zwolenników.



Genewa, licząca w 1543 roku 13 tysięcy mieszkańców, miała ich w roku 1550 już 20 tysięcy. Jednocześnie to nowe wyznanie, ugruntowane przez Francuza na obczyźnie, a rozpowszechniane przez kazania głoszone w języku ojczystym, szeroką falą przenikało z powrotem do Francji, natrafiając tym razem na chętny posłuch i podatny grunt. Kapłani bowiem, nie przygotowani do zadań duszpasterskich, nie obeznani należycie z nauką Kościoła, nie głosili kazań ani nie starali się nauczać ludu. Najgorliwsi uzupełniali swe wykształcenie religijne dorywczo i na własną rękę, podczas gdy wyćwiczeni w genewskiej akademii kaznodzieje przyciągali ludzi spragnionych słowa Bożego.

W tym kontekście zrozumiałym staje się niestrudzone głoszenie słowa Bożego przez nowo wyświęconego Franciszka. Lud zbiegał się tłumnie na jego nauki. Taka gorliwość apostołska nie podobała się ojcu. Uważał, iż syn zbyt często miewa kazania; zbyt mało w nich cytatów łacińskich i greckich, a przez to stają się pospolite i w końcu wszystkim spowszednieją. Prepozyt jednak wiedział dobrze, jak bardzo zmieniły się czasy. Powodzenie pastorów kalwińskich przekonało go, że nie łaciną i greką, lecz jedynie zrozumiałymi dla wszystkich słowami można trafić do umysłów i serc ludu, by głosić mu naukę Bożą, której ten tak chciwie pragnął.

## Misja w Chablais

W roku 1593 kalwińska Genewa, straciwszy nadzieję na poparcie Francji – gdzie po wyrzeczeniu się herezji i przejściu na katolicyzm objął rządy Henryk IV – odstąpiła definitywnie katolickiej Sabaudii wydartą jej wcześniej zbrojnie maleńką prowincję Chablais. Wówczas to książę Sabaudii Karol Emanuel I zażądał od biskupa Graniera wysłania misjonarzy do tego kraju, gdzie nie znalazłoby się nawet stu katolików. Pasterz diecezji zdawał sobie sprawę, że wyprawa ta nie należy do bezpiecznych. Potrzebni byli ludzie nie tylko uczeni, mogący skutecznie odpiierać argumenty heretyków, nie tylko owiani ewangelicznym duchem zdolnym zjednywać im serca, ale również odważni i gotowi na wszystko. Zgłosiło się tylko dwóch: Franciszek i Ludwik de Sales. Książę chciał im przydzielić dla ochrony oddział wojska. Ale prepozyt odmówił. Obaj misjonarze wyruszyli z Annecy 9 września 1594 roku. Poszli pieszo, drogami znanymi im od dzieciństwa. Zabrali ze sobą tylko brewiarz, Pismo Święte i *Kontrowersje* Bellarmina. Doszli do Thonon, stolicy Chablais, gdzie rozpoczęli swą misję od nawiązania znajomości ze znajdującymi się w mieście katolikami. Było ich zaledwie czternastu. Franciszek oznajmił im, że przybywa tu jako ich pasterz, a zarazem przypomniał im dobitnie, że naczelnym obowiązkiem katolika jest nie wstydzić się swej wiary, gdyż Chrystus nie uzna za swych uczniów tych, którzy wyparli się Go przed ludźmi. Po czym obydwaj bracia zaczęli obchodzić okoliczne wioski głosząc kazania do wszystkich, którzy byli gotowi ich słuchać, choćby nawet tych słuchaczy zebrało się zaledwie kilku.

Misja w Chablais to heroiczny okres młodości Franciszka, okres obfitujący w różnorodne przygody, niebezpieczeństwa, trudy i przeszkody na pozór niepokonalne. Był to zarazem okres pełen wytrwałości, poświęcenia, upartej woli zwycięstwa, zdobywczej miłości. Władze w Thonon nie tylko zakazały swym wiernym słuchania nauk Franciszka, ale niebawem zaczęły obsypywać go obelgami, zwąc bałwochwalcą, fałszywym prorokiem i obłudnikiem udającym uczciwego człowieka. Na dobitkę zima nastąpiła wyjątkowo ostra. Grube śniegi zalegały gościńce, a lód pokrywający górskie szlaki utrudniał piesze wędrówki. Kiedy drogi stawały się nie do przebycia, Franciszek podkuwał sobie ostro obuwie, a gdy i to nie pomagało, musiał nieraz wdrapywać się pod górę dopomagając sobie rękami. Wówczas to odmroził nogi, na które będzie cierpiał już do końca życia. Po lasach i drogach błękały się stada wilków. Franciszek osaczony pewnej nocy przez zgłodniałą zgraję musiał wdrapać się na drzewo, gdzie przywiązał się paskiem do gałęzi. Na wpół zmarzniętego znaleźli go rano jacyś wieśniacy, zresztą kalwini, którzy zabrawszy go do swej chaty z trudem przywrócili do życia. Widać z tego, że prosty lud, choć nie uczęszczał na jego kazania, był mu jednak życzliwy. Być może wzruszało ludzi nieustępliwe męstwo i poświęcenie tego młodego kapłana, który nie zrażał się daremnością swych wysiłków. Mimo to 8 stycznia 1595 roku miał miejsce pierwszy zamach na życie Franciszka, stwierdzony zeznaniem samego sprawcy – już wówczas katolika – na procesie beatyfikacyjnym świętego. Zamach ten został udaremniony w sposób rzeczywiście opatrnościowy: broń zacięła się trzykrotnie.

Coraz cięższa stawała się też sytuacja materialna misjonarzy. Karol Emanuel pochłonięty w owe czasy wojną z Henrykiem IV zapomniał zupełnie o samotnych misjonarzach wysłanych do Chablais. Z braku środków Ludwik de Sales został zmuszony do rezygnacji z dalszego towarzyszenia bratu. Franciszek pozostałby zupełnie sam, gdyby nie matka, czuwająca nad nim z daleka, która przysłała mu zaufanego sługę i przyjaciela Rollanda. Matka również nie bacząc na zakazy męża, który uważał całą tę wyprawę za szaleństwo, wspierała go czym mogła.

Przekonawszy się, że ludzie z różnych powodów nie chcą go słuchać, Franciszek postanowił chwycić za pióro. Tak powstała *Księga kontrowersji* – pierwsze, a zarazem jedno z najcenniejszych jego dzieł. Te właśnie rozprawki pisane żywo, zajmująco, językiem niezwykle pięknym, zaczęły powoli torować drogę żywemu słowu misjonarza. Mimo zakazu coraz liczniejsi kalwini schodzili się na jego nauki. Pastorzy zaniepokojeni tym powodzeniem postanowili wreszcie pozbyć się go definitywnie. Pewnego wieczoru, gdy po kazaniu, na które zeszli się liczni słuchacze, szedł z Rollandem do Allinges, wypadło na nich zniecka trzech uzbrojonych ludzi. Nie cofnąwszy się ani o krok, Franciszek przemówił do nich jak do dzieci przyłapanych na złym uczynku.

W czasie misji w Chablais nie został oszczędzony Franciszkowi nie tylko żaden trud i żadna przeszkoda, ale także i najcięższa próba: sprzeciwy ze strony swoich. W miarę mnożenia się nawróceń dawał mu się dotkliwie we znaki brak pomocni-

ków. Gdy wszakże udało mu się w końcu uprosić biskupa, aby przysłał niezbędnych współpracowników, ci okazali się ludźmi zgoła odmiennego ducha. Nie podobała im się życzliwość i serdeczność, z jaką Franciszek odnosił się do heretyków.

Po trzech latach tej znoonej siejby nadeszła wreszcie pora żniwa. Kiedy dzieść lat później niestrudzony misjonarz już jako biskup genewski przybył do Chablais, mógł stwierdzić, iż gdy tu zawitał po raz pierwszy, było tu najwyżej piętnastu katolików, dziś zaś pozostało najwyżej piętnastu kalwinów. Wieść o tym zwycięstwie osiągniętym wyłącznie mocą żarliwej miłości i upartej pracy doszła do papieża Klemensa VIII. Młody prepozyt genewskiej kapituły otrzymał od Ojca Świętego pismo pochwalne. Ale do pochwały dołączono polecenie świadczące najwymowniej, jak wysokie pokładano w nim nadzieje. Papież polecał młodemu misjonarzowi, by udał się do Genewy i postarał się nawrócić umierającego następcę Kalwina – Teodora de Bèze. Po kilku bezskutecznych próbach dostania się do niego Franciszkowi udało się to po Wielkanocy 1597 roku. Rozmowy te odbyły się w nastroju wzajemnej życzliwości. Ci dwaj humaniści znaleźli niejedną płaszczyznę porozumienia, nie doszło jednak do oczekiwanego wyniku.

## Biskup genewski

Przez cały czas trwania misji w Chablais biskup genewski Granier śledził ze wzrastającym podziwem działalność Franciszka. W końcu doszedł do wniosku, że trudno byłoby mu znaleźć godniejszego następcę. Tak więc powróciłszy do Annecy w roku 1599, Franciszek dowiedział się, że został mianowany biskupem koadiutorem. Pasterska działalność św. Franciszka natrafiała na liczne trudności, zwłaszcza natury politycznej. Karol Emanuel, pod którego panowaniem upłyne niemal całe życie Franciszka Salezego, był człowiekiem niespokojnego ducha, ambitnym, a zarazem skłonny do podejrzeń. Konflikt pomiędzy królem Francji a Karolem Emanuelem stale narastał. Księżę Sabaudii, który nie potrafił usiedzieć spokojnie, porwał się też zbrojnie na Genewę. Wyprawa zakończyła się sromotną porażką, a ponadto przyczyniła się do pogłębienia konfliktu z kalwinami. Ponieważ jednocześnie niemal kraina Gex, wchodząca w skład diecezji genewskiej, przeszła w ręce francuskie, biskup Granier uznał za konieczne wysłać znów Franciszka, tym razem do Paryża, dla omówienia spraw związanych z obroną katolickich interesów w tej prowincji, gdzie zaostrenie stosunków z kalwinami dawało się szczególnie we znaki. Franciszek, który nie uchylał się nigdy od tego, co uważał za wyraz woli Bożej, wyruszył, choć zapewne sam nie żywił nadziei, że ta podróż będzie skuteczna. Mineło trzynaście lat od czasu, gdy oglądał Paryż po raz ostatni. Zastał go ogromnie zmienionym. Franciszek stał się wkrótce ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Mimo iż nie otrzymał jeszcze sakry biskupiej, zwano go już biskupem genewskim. Właśnie zbliżał się wielki post. Zapropnowano mu głoszenie nauk wielkopostnych w kaplicy królowej. W tym czasie

ambona stała się we Francji czymś w rodzaju trybuny politycznej. Henryk IV mawiał nawet, iż wszystkie jego kłopoty wywodzą się z ambon. Po zawarciu pokoju i ogłoszeniu Edyktu Nantejskiego kaznodzieje nie złagodzili ostrości swych wypowiedzi. Kontrowersja stawała się aż nazbyt często sposobnością do szafowania inwektywami. Wśród ówczesnych kaznodziejów francuskich nie liczni tylko owiani prawdziwym duchem miłości utrzymywali wysoki poziom głoszonego z ambony słowa Bożego. Takim był sławny z polemiki antyprotestanckiej i publikowanych traktatów apologetycznych kardynał Jacques Du Perron (1556-1618), zwany *Augustynem Francji*.

Pierwszą naukę wygłosił Franciszek Salezy w Środę Popielcową 1602 roku. Zadziwił, zachwycił i wzruszył tak dalece, że towarzyszący mu w podróży prezydent senatu sabaudzkiego Favre pisał do biskupa Graniera: „Uważają go za pierwszego kaznodzieję, jakiego Francja od dawna nie słyszała”. Pewna dostojna dama, protestantka, nawróciła się usłyszawszy jedno z jego kazań. „Przekonałem się wtedy – pisał później Franciszek – że kto przemawia z miłością, najskuteczniej przemawia przeciw heretykom, choćby nawet ani słowem nie odpierał ich błędów”. W związku z tą właśnie sprawą wspomniany wyżej kardynał Du Perron miał powiedzieć: „Jeżeli idzie o przekonanie heretyków, to przywieźcie ich wszystkich do mnie, poradzę sobie z nimi. Ale jeśli idzie o ich nawrócenie, to zaprowadźcie ich do Franciszka Salezego”.

W końcu sam Henryk IV zapragnął poznać sabaudzkiego kapłana, o którym mówiono w całym Paryżu. Wezwał go na swój dwór do Fontainebleau i po kazaniu wygłoszonym przez Franciszka udzielił mu audiencji, z której ten skwapliwie skorzystał, by prosić o załatwienie spraw okręgu Gex. Jednak mimo że Henryk IV oświadczył, iż to, co mówiono o Franciszku Salezym, nie dorównuje rzeczywistości, sprawy Gex pozostały w martwym punkcie i biskup zmuszony był czekać nadal w Paryżu. Dnia 13 czerwca 1602 roku Franciszek wstępował właśnie na ambonę, gdy przypadł do niego jakiś szlachcic i z przerażeniem oznajmił o aresztowaniu marszałka de Biron i gubernatora de Luz. „Doniesiono królowi – dodał – że ksiądz należy do liczby spiskowców, że sprawy Gex służą mu tylko za pretekst do pobytu w Paryżu, a w istocie jest ksiądz emisariuszem księcia sabaudzkiego i stoi na czele spisku. Stosunki księdza z panem de Luz, gorliwość, z jaką polecił księdza swoim przyjaciółom, nadają temu podejrzeniu pozór prawdy. Proszę myśleć o swoim ocaleniu”. Nie okazując najmniejszego wzruszenia Franciszek wszedł na ambonę, spokojnie wygłosił kazanie, po czym udał się do Luwru, gdzie przebywał król. Ten jednak, uprzedzając wyjaśnienia, rzekł z uśmiechem: „Nie potrzebujesz się tłumaczyć, księżo biskupie, o nic cię nie podejrzewam, ale przecież nikomu nie mogę zamknąć ust”. Po czym dodał: „Pozostałbyś lepiej ze mną, księżo biskupie, otrzymasz daleko lepsze stanowisko aniżeli to, które zajmujesz w kraju księcia sabaudzkiego”. „Sire! – odparł Franciszek – wasza królewska mość raczy mi darować, ale tej propozycji przyjąć nie mogę. Nie jestem wolny. Po-

ślubiłem ubogą niewiastę (swoją diecezję) i nie mogę jej porzucić dla bogatszej. Jeśli wasza królewska mość chce mi okazać jakąś łaskę, to o nic więcej nie proszę, niż o dźwignięcie z ruin świątyń w Gex”.

Doczekał się w końcu pomyślnego wyniku swej misji. Henryk IV nakazał gubernatorowi Burgundii, aby we wszystkich miejscowościach okręgu Gex, gdzie znajdzie się dostateczna liczba katolików, ich religijne potrzeby zostały uwzględnione, a biskupowi polecił, by posłał do nowych parafii tylko kapłanów wzorowych. W drodze powrotnej w Lyonie Franciszek dowiedział się o śmierci biskupa Graniera. Odtąd odpowiedzialność za życie religijne diecezji spoczywała w jego rękach.

8 grudnia 1602 roku przyjął święcenia biskupie w kościółku parafialnym, gdzie otrzymał chrzest. 14 grudnia odbył się w Annecy ingres nowego biskupa. Miasto to liczyło w owe czasy zaledwie cztery tysiące mieszkańców. Mimo to było to miasto o dużym wówczas znaczeniu politycznym, jako stolica księstwa geneńskiego należącego do książąt Nemours, młodszej linii książąt sabaudzkich. Pałac biskupi mieścił się w zwykłej, wynajętej kamieniczce, w której Franciszek wybrał dla siebie ciasną, słabo oświetloną izdebkę. Początkowo nakreślił sobie biskup pewien regulamin, w którym przewidywał dość dużo czasu na modlitwę i rozmyślanie. Wolne chwile jednak zaczęły szybko kurczyć się pod naporem coraz liczniejszych obowiązków, coraz rozleglejszej korespondencji. Nie darmo jednak uważał, że naczelnym zadaniem chrześcijanina jest miłować Boga dla Boga, Boga w bliźnich, a bliźnich dla Boga. Służbie miłości poświęcił się bez reszty.

Troską leżącą mu najbardziej na sercu była sprawa kształcenia kapłanów. Mimo długotrwałych i usilnych starań nie udało się Franciszkowi założyć seminarium duchownego według wymagań soboru trydenckiego. Na przeszkodzie stanął brak środków materialnych i fachowo przygotowanych wychowawców. Kapłanom swej diecezji nieustannie przypominał konieczność dokształcania się, wszechstronnego pogłębiania swej wiedzy.

Drugą troską biskupa było wykształcenie religijne wiernych. Jego bystry umysł, wyczulony na potrzeby współczesności, dostrzegał jasno, że jedną z głównych przyczyn klęsk trapiących Kościół, a więc powszechnego zapomnienia o podstawowym nakazie miłości, rozpanoszonej nienawiści i ztwardziałości serc, jak również skwapliwości, z jaką ludzie słuchali kalwińskich kazań, jest przede wszystkim ciemnota, ignorancja religijna, niezajomość zasad ewangelicznych, utożsamianie wiary tylko z obrzędami kultu lub – co gorsza – tylko z tradycyjnymi zwyczajami i wynikający stąd podział życia na dwie ściśle rozgraniczone połowy: dziedzinę spraw boskich, zamykanych w ciasnym kręgu pewnych form, z których już dawno uleciała dusza, i dziedzinę spraw ludzkich, opanowaną przez drapieżny egoizm, nieokiełznane namiętności, chciwość, okrucieństwo, żądzę władzy i żądzę posiadania. Franciszek rozpoczął od nauczania katechizmu. Początkowo prowadził te kaza-



nia osobiście w kościele katedralnym, ale napływ słuchaczy stał się tak wielki, że niebawem prowadzono katechizację we wszystkich kościołach Annecy, a w końcu z rozkazu biskupa – w całej diecezji.

Biskup genewski gorliwie zabiegał nie tylko o podniesienie poziomu wiedzy religijnej; leżała mu na sercu także sprawa oświaty ogólnej. W ciągu zimy 1606-1607 roku założył więc razem ze swym przyjacielem, prezydentem Favre, akademię wzorowaną na akademiach włoskich. Tę uczelnię, która powstała na dwadzieścia osiem lat przed Akademią Francuską, nazwał biskup genewski Akademią Florimontańską. Godłem jej było kwitnące drzewo pomarańczowe. Już od pierwszego roku wykładano tu matematykę, astronomię z kosmografią, geografie, teorię planet, nawigację i teorię muzyki, a na liście profesorów figurowały świetne nazwiska, między innymi syna prezydenta, Klaudiusza Favre, znanego pod nazwiskiem De Vaugelas, przyszłego twórcy gramatyki francuskiej.

Pierwsze lata na stolicy biskupiej upłynęły Franciszkowi na porządkowaniu spraw swej diecezji. Ten człowiek o płomiennym sercu, którego dewizą było: „Jedyną miarą miłości jest miłość bez miary” – nie mógł jednak poprzestać na spełnianiu choćby najgorliwszych obowiązków, które uważał za podstawowe zadania pasterza. W roku 1603 zwołał synod diecezjalny, na którym ustanowił związane, ale treściwe statuty, wprowadzające w życie uchwały soboru trydenckiego. Włączał się też bez reszty w ich nurt. W 1605 roku biskup rozpoczął wizytację swej diecezji od małego miasteczka La Roche, gdzie jako sześćioletni chłopiec zaczął chodzić do szkół, odwiedził swoje ukochane Chablais, po czym wybrał się do wysokogórskiej części swej diecezji, do Faucigny, krainy wiecznych lodów i do Chamonix u stóp Mont Blanc, wówczas jeszcze małej wioski.

### Kierownik życia wewnętrznego

Na początku roku 1604 ławnicy z Dijon zwrócili się do biskupa genewskiego z prośbą o wygłoszenie w ich mieście nauk wielkopostnych. Franciszek, który na ogół niechętnie opuszczał swą diecezję, a w dodatku przed każdym udaniem się do Francji musiał przełamywać nieufność Karola Emanuela wietrzącego w jego wyjeździe zdradę, byłby zapewne odmówił, gdyby nie sprawy okręgu Gex, gdzie nie wszystko układało się pomyślnie, gdyż urzędnicy królewscy niezbyt sumiennie wywiązywali się z obietnic danych biskupowi w Paryżu przez Henryka IV. Napisał więc do podejrzliwego księcia list zapewniający go, że ta podróż ma wyłącznie na celu sprawy religii i wyjechał. Ów pobyt w Dijon stał się przełomowym wydarzeniem w życiu Franciszka. Wtedy to bowiem poznał młodą wdowę, matkę szóstki dzieci Joannę Franciszkę Frémyot de Chantal. Od pierwszego niemal spotkania nawiązała się między tymi świątobliwymi osobami przyjaźń, która z biegiem lat będzie się coraz bardziej potęgowała. Współpraca z baronową zaowocowała nie tylko powstaniem nowego zakonu Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny (wizytki), ale i bezcen-



ną korespondencją, w której – jak w zwierciadle – odbija się duchowe oblicze Franciszka, co myślał, jak czuł, jak cierpiał i co przeżywał.

Franciszek był zbyt obeznanym z potrzebami współczesnego społeczeństwa, aby nie wiedzieć, jak dotkliwie dawał się odczuwać zupełny brak książek religijnych pisanych dla świeckich ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Autorzy dzieł religijnych pisali wówczas wyłącznie dla duchowieństwa lub klasztorów. Sądono bowiem, że doskonałości chrześcijańskiej nie da się pogodzić z wymaganiem życia rodzinnego, zawodowego i społecznego. Franciszek przejrzał więc jeszcze raz rozprawki ułożone dla pani de Charmois, uzupełnił je tekstami niektórych listów pisanych do innych penitentek i 8 sierpnia 1608 roku posłał gotowy rękopis do drukarni Piotra Rigaud w Lyonie, gdzie książka ukazała się z początkiem roku 1609. Tak powstała *Philothea ou Introduction à la vie dévote (Filotea, czyli wprowadzenie do życia pobożnego)*, podręcznik ascetyki zwłaszcza dla osób świeckich. Dzieło to zjednało autorowi wielką sławę i zostało przetłumaczone prawie na wszystkie języki europejskie. W języku polskim miało kilkanaście wydań. Tłumaczyli je m.in. kard. J. K. Denhoff oraz ks. Aleksander Jełowicki. Pierwszy raz wyszło w Krakowie w 1679 roku.

Otwarty na bolączki swego ludu Franciszek Salezy nie zamykał oczu na krzywdy i bezradność biedoty gnębionej bezlitośnie, wydanej na pastwę chorób, głodu i wszelkiej niedoli. Świadomy tego biskup genewski powziął zamiar zaprowadzenia w Chablais przemysłu jedwabniczego, upatrując w tej gałęzi przemysłu, cieszącej się wtedy wielkim popytem, jedyną możliwość zaradzenia katastrofalnej sytuacji gospodarczej ludności górskiej, nie mogącej żyć z pracy na roli ani z pastwisk. Szczególnym cierpieniem napawał go widok zaniedbanych dzieci, matek przeciążonych pracą i chorych pozbawionych najprymitywniejszej nawet opieki. Jedyne rozwiązanie temu ogromowi potrzeb i nędzy widział w utworzeniu jakiejś stałej opieki w postaci zakonu mającego za cel doglądanie chorych i niesienie pomocy wszystkim potrzebującym. Czynne zakony żeńskie były wówczas jeszcze nieznanymi. Św. Franciszek, wytrawny kierownik i znawca dusz, od dawna już spostrzegł, że istnieje na świecie wiele dusz ofiarnych, pragnących poświęcić się służbie Boga i bliźniego, które jednak przeważnie nie mogły urzeczywistnić swych zamiarów z powodu obowiązującego powszechnie w owe czasy ustroju życia klasztorowego. Ustrój ten zobowiązywał do surowych umartwień cielesnych, których nie wytrzymały słabsze organizmy. Toteż już od czasu, gdy św. Franciszek poznał panią de Chantal, coraz wyraźniej zarysowywał się w jego myśli projekt nowego zakonu, który by jednocześnie umożliwił osobom ofiarnym pójście za głosem swego powołania, a zarazem stał się nieodzowną, stałą służbą pomocy dla wszystkich nędzarzy i opuszczonych. W 1609 roku pani de Chantal przybyła na stałe do Annecy, aby założyć projektowane zgromadzenie, któremu św. Franciszek zamierzał początkowo nadać nazwę Córek św. Marty. Skoro jednak chciał, aby życie czynne sióstr przeplatało się z życiem kontemplacyjnym, nazwał je w końcu Zakonem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny.

Dopiero po założeniu Zakonu Nawiedzenia biskup genewski poświęcił się wyteżonej pracy nad głównym swym dziełem *Theotimus ou Traité de l'amour de Dieu* (*Teotym, czyli traktat o miłości Bożej*). Wyszedł on dopiero w 1616 roku. Jego pojawienie się wywołało olbrzymie wrażenie. Zewsząd odzywały się głosy pełne podziwu. Generał kartuzów, który po przeczytaniu *Filotei* radził jej autorowi, aby przestał pisać, gdyż nic już lepszego napisać niepodobna, teraz znów po przeczytaniu *Traktatu* prosił go, aby pióra nie wypuszczał z ręki.

## Ostatnie lata

Podjmując różnorodną działalność Franciszek Salezy nigdy nie zapominał, że jest biskupem Genewy. Na tym odcinku pracy miał, jak już wspomniano, ustawiczne kłopoty z księciem Karolem Emanuelem. Biskup zawsze starał się o utrzymanie pokojowych stosunków z kalwinami, o zdobywanie ich jedynie potęgą prawdy i miłości. Należał do tych ludzi, którzy wzbudzali sympatię do swej osoby; wołał błądzić przez zbytnią łagodność, aniżeli przez zbytnią surowość.

Jesienią roku 1618 książe sabaudzki, który miał zamiar ożenić swego syna z księżniczką Krystyną, siostrą Ludwika XIII, postanowił wysłać kardynała sabaudzkiego z poselstwem do Paryża. Wiemy, jak podejrzliwym okiem spoglądał zawsze na wszelkie wyjazdy biskupa genewskiego do Francji. Tym razem jednak, pod presją opinii publicznej, przydzielił i jego do świty kardynała. W czasie tego ostatniego pobytu w Paryżu poznał Franciszek Salezy dwoje ludzi, z których każde miało w przyszłości pozyskać głośną, choć całkiem odmienną sławę: Wincentego à Paulo († 1660) i matkę Anielę Arnauld († 1661), która stała się później filarem jansenizmu.

Między biskupem genewskim a młodszym od niego kapłanem, który miał z czasem stać się założycielem Zgromadzenia Księży Misjonarzy i Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, nawiązała się głęboka przyjaźń. Ze strony Wincentego była ona oparta na podziwieniu i uwielbieniu dla świętości promieniującej z postaci Franciszka Salezego, a ze strony Franciszka – na tym samorządnym zaufaniu i serdeczności, jaką ludzie świadomi bliskiego końca odczuwają w stosunku do tych, w których widzą przyszłych kontynuatorów swego dzieła lub realizatorów tych zamierzeń, przedsięwzięć czy planów, których sami nie mieli możliwości lub wiedzą, że nie zdążą już wykonać. Niewątpliwie zarówno sam Wincenty à Paulo, jak i cała jego późniejsza działalność wiele zawdzięczają wskazówkom i radom biskupa genewskiego. Franciszkowa koncepcja kaznodziejstwa pomogła założycielowi księży misjonarzy naszkicować *Małą metodę*, którą włączył z dużym powodzeniem w reformę francuskiego kaznodziejstwa. Stosował ją w *Konferencjach wtorkowych* dla duchowieństwa diecezjalnego i dla założonego przez siebie zgromadzenia w *Rekolekcjach przygotowawczych* dla kandydatów do święceń oraz w misjach parafialnych, któ-

re stworzył w 1617. Jeśli chodzi o ducha, *Mała metoda* była odrzuceniem myślenia sofistycznego. Korzystano z zasad sztuki oratorskiej, ale unikano powszechnej wówczas dramatyzacji wystąpień. Idąc za wskazówkami biskupa genewskiego także Wincenty zdecydowanie przeciwstawiał się pompatycznej formie i przesadnej gestykulacji. Domagał się, aby kazania były wygłoszane z prostotą, w tonie przyjacielskim i w formie zrozumiałej dla wszystkich, bo tylko wtedy przynoszą pożytek. Co do techniki *Mała metoda* była sposobem konstruowania kazania moralnego, z użyciem najbardziej poruszających środków stylistycznych lub figur mowy, a także krótkich tekstów i przykładów. O *Małej metodzie* św. Wincenty mawiał, że pozwala przemawiać na wzór Syna Bożego i apostołów. Oznaczało to prostotę treści, formy i tonu wypowiedzi; unikanie zbyt długich przemówień; rezygnowanie ze słów uczonych i ostrych oraz zawitych porównań.

Życie św. Franciszka Salezego dobiegło końca w czasie kolejnej podróży do Francji. Otóż, księżę Sabaudii, którego wieloletnia podejrzliwość w stosunku do popularności, jaką biskup genewski cieszył się we Francji, od chwili gdy jego syn poślubił siostrę króla francuskiego, zamieniła się w ochotę popisywania się tą popularnością, zażądał, aby Franciszek towarzyszył mu do Awinionu, gdzie miał powitać Ludwika XIII. Najbliższe otoczenie biskupa prosiło go, aby wymówił się stanem zdrowia. Franciszek jednak, nie chcąc widocznie sprawiać wrażenia, że nie przebaczył księciu jego upokarzających i krzywdzących podejrzeń, postanowił jechać. W Awinionie czuł się tak słaby, że prawie nie brał udziału w uroczystościach. W drodze powrotnej do Annecy zatrzymał się w Lyonie. Tu po raz ostatni widział się z matką de Chantal. W dzień Bożego Narodzenia 1622 roku wygłosił ostatnie kazanie, w którym raz jeszcze rozwinął wyłożony w *Traktacie* pogląd na tajemnicę wcielenia. Podkreślał, iż wcielenie Syna Bożego było celem, dla którego Ojciec Przedwieczny postanowił stworzyć ten świat. Dokonanie dzieła było tedy zarazem jego początkiem. Mądrość Boża przed wszystkimi wiekami przewidywała, że Słowo Przedwieczne przyjmie naszą naturę i zstąpi na ziemię zanim popełniony został grzech pierworodny, wszystko to postanowione było w zamiarach Bożych. W dwa dni później Franciszek dostał silnego ataku apopleksji. Biskup zmarł w chwili, gdy obecni przy nim, odmawiający *Litanie do Wszystkich Świętych*, wznosili inwokację: *Omnes sancti Innocentes, orate pro eo!* Był to właśnie dzień świętych Młodzianków, 28 grudnia 1622 roku.

Czterdzieści lat później, 8 grudnia 1661 roku, papież Aleksander VIII ogłosił Franciszka Salezego błogosławionym. Dnia 19 kwietnia 1665 roku tenże papież kanonizował go. Papież Pius XI ogłosił biskupa genewskiego patronem pisarzy katolickich i dziennikarzy. Jego postać jest dziś bardzo aktualna. Współczesnemu Kościołowi potrzeba świętych na jego miarę, którzy by wzięli dzieło reformy Vaticanum II i wprowadzili je w życie. Do duchowości św. Franciszka Salezego nawiązał m.in. założyciel salezjanów św. Jan Bosco.

Centralnym miejscem jego kultu jest bazylika Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Annecy, gdzie też znajduje się grób Franciszka i Joanny de Chantal. 7 października 1986 roku modlił się tam papież Jan Paweł II, dziękując Bogu za ślady świętości, które pozostawili.

### Kazania i teoria kaznodziejska doktora miłości Bożej

Pierwsze, częściowe, wydanie kazań Franciszka ukazało się w 1641 roku, dzięki współpracy Joanny de Chantal z Noëlem Brûlart de Sillery. W 1643 roku wydano ponownie kazania biskupa Genewy, jednakże ta edycja jest mniej wierna rękopisom, gdyż zawiera korekty naniesione przez nieznanego autora. W latach 1892-1964 staraniem sióstr wizytek w Annecy wydano dzieła wszystkie Franciszka Salezego (*Œuvres de Saint François de Sales. Edition complète*). Liczą one 27 tomów. Kazania zajmują cztery tomy tej serii (7-10) i ukazały się drukiem w latach 1896-1898. Można je podzielić na trzy różne grupy. Do pierwszej należą kazania napisane w całości przez Franciszka. Drugą tworzą szkice kazań, a trzecią kazania spisane przez siostry wizytki. Kazania należące do pierwszej grupy są nieliczne. Za swego życia Franciszek wydał drukiem jedynie mowę żałobną wygłoszoną w paryskiej katedrze Notre-Dame 27 kwietnia 1602 roku na pogrzebie księcia de Mercœur (Paris 1602). Szczególnie interesujące z punktu widzenia biograficznego jest kazanie pierwsze, wygłoszone w uroczystość Zesłania Ducha Świętego w 1593 roku, a więc w czasie kiedy Franciszek był jeszcze diakonem. Ostatnie kazanie Franciszka, całkowicie napisane, wygłoszone było w Paryżu 15 sierpnia 1602 roku. W kazaniach pochodzących z pierwszego okresu jego działalności oprócz wyraźnego nurtu polemicznego widoczne już są cechy charakterystyczne dla przyszłego doktora dobroci i miłości Bożej. Rozbrzmiewa w nich pozbawiona ironii i goryczy miłość do błędzącego brata. Franciszek nie nakazywał, lecz starał się nakłaniać, zachęcać człowieka do osobistej pobożności. Z ujmującym uśmiechem wyzwał on szlachetne dążenia w codziennej egzystencji ludzi prawych i w pewnym sensie przyczynił się do ukształtowania duchowego klimatu nadchodzącego baroku. Rękopisy kazań Salezego od czasu jego konsekracji biskupiej zawierają jedynie plan wystąpienia i główne punkty, czasami jakieś uwagi bądź cytaty. Począwszy od 1613 roku wizytki rozpoczęły spisywać kazania swego założyciela. Franciszek mówił prosto, bez uciekania się do figur retorycznych, jak ojciec do swych córek.

Teoretyczne uwagi na temat kaznodziejstwa bp Franciszek Salezy zawarł w liście *O kaznodziejstwie* datowanym na 5 października 1604 roku, a skierowanym do nowo wyświęconego arcybiskupa Bourges André Frémyota (1573-1641), brata Joanny de Chantal. Podkreśla w nim zasadę miłości, która powinna rządzić chrześcijańskim przepowiadaniem i potrzebę szacunku do słuchacza, nawet jeśli on odpadł od Kościoła katolickiego. Tym, którzy próbują zamknąć

głoszone słowo Boże jedynie w kategorii estetycznej kaznodzieja radzi: „Nie chciałbym, aby po wysłuchaniu kazania ludzie mówili: Jakież to wielki mówca! Jakąż on ma świetną pamięć! Jaki jest uczony! Jak on to trafnie powiedział! Natomiast chciałbym, aby mówiono: Jakże piękna jest pokuta! Jakże jest konieczna! Jakis Ty, Boże mój, dobry i sprawiedliwy!”. W liście *O kaznodziejstwie* wyrażony jest dobitnie sekret kazań biskupa Genewy: „Il suffit de bien aymer pour bien dire” (Aby dobrze mówić, wystarczy mocno kochać).

Dobrze jest poznać bliżej ten list, który w historii kaznodziejstwa odegrał ważną rolę.

św. Franciszek Salezy

## *O kaznodziejstwie*

Dla miłości nie ma rzeczy niemożliwych. Nietęgi ze mnie kaznodzieja i niewytrawny, a mimo to przypada mi w udziale obowiązek powiedzenia Waszej Wielebności, jaki jest, według mego mniemania, właściwy sposób głoszenia kazań. Nie wiem zaiste, czy to owa miłość, jaką Wasza Wielebność raczy mnie darzyć, sprawi, że „ta skała da wodę” (Lb 20, 8), czy też miłość moja względem Waszej Wielebności każe różom wykwitnąć z cierni. Niech mi Wasza Wielebność wybaczy te słowa serdeczne, albowiem przemawiam do Niego z chrześcijańską prostotą i niech raczy nie dziwić się temu, że wspominam o zdrojach i różach. Są to bowiem określenia, które godzi się stosować do wszelkiego katolickiego nauczania, jakkolwiek by było nieudolne. Oto zaczynam; niechże i Bóg miłości raczy przyłożyć do tego swą rękę.

Dla porządku rozważę nauczanie na podstawie czterech jego przyczyn: sprawczej, celowej, materialnej i formalnej. Mam na myśli: kto powinien głosić kazania, w jakim celu powinien je głosić, o czym powinien mówić i w jaki sposób powinien mówić.

Nie wolno głosić kazań nikomu, kto by nie czynił zadość trzem następującym warunkom, którymi są: nienaganne życie, nabyta wiedza, prawomocne posłannictwo.

Nie będę tu mówił o posłannictwie, czyli powołaniu. Zauważę jeno, że biskupi nie tylko są w szczególniejszy sposób powołani do nauczania, ale ponadto z racji swej godności są posiadaczami głównych jego źródeł, gdy natomiast inni kaznodzieje są niejako tylko w posiadaniu jego strumieni. Oto ich pierwszy i naczelny obowiązek; zresztą mówi się im to w chwili udzielania święceń biskupich (*Pontificale Rom.*). Wyświęcenie więc obdarza ich w tym względzie szczególniejszą łaską, którą ich zadaniem jest uczynić owocną. „Biada mi, jeślibym ewangelii nie głosił” (1 Kor 9, 16) – woła św. Paweł. Sobór trydencki zaś twierdzi, że „głównym zadaniem biskupa jest nauczać” (*Pont. Rom.*). Myśl ta powinna dodawać nam otuchy, albowiem w spełnianiu tego zadania Bóg wspiera nas w szczególny sposób. Jest rzeczą przedziwną, jak wielki jest wpływ nauk głoszonych przez biskupów w porównaniu z naukami głoszonymi przez innych kaznodziejów. Jakkolwiek bowiem obfite byłyby strumienie, każdy chętnie gasi pragnienie u źródła.

Co zaś tyczy się samej nauki, to powinna ona być wystarczająca, nie jest wszakże rzeczą konieczną, aby była wyczerpująca. Św. Franciszek był człowiekiem nieuczonym, a jednak był wielkim i doskonałym kaznodzieją; w naszych czasach zaś błogosławiony kardynał Boromeusz, mimo że posiadał wiedzę raczej przeciętną, dokonywał istnych cudów. Takich przykładów znam setki. Pewien wielki humanista, a mianowicie Erazm, powiedział, że najlepszym sposobem uczenia się i stania się uczonym jest uczyć innych. Jedynie głosząc kazania można stać się kaznodzieją. Powiem tylko tyle: kaznodzieja posiada zawsze dostateczną wiedzę, gdy nie nadaje sobie pozorów kogoś, kto umie więcej, niż umie rzeczywiście. Jeśli kto nie potrafi dobrze mówić o tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, niechże o niej nie mówi. Jeśli kto nie posiada tyle wykształcenia, aby wytłumaczyć, co znaczy *In principio* św. Jana, niech nie porusza tego tematu. Istnieje wiele innych ważnych zagadnień. Niepodobna wszystkiemu podołać.

Co się zaś tyczy nienagannego życia, to zostało ono już nakazane biskupom przez św. Pawła. Na to zaś, aby być kaznodzieją, nie potrzeba być lepszym niż na to, aby zostać biskupem. Tę



sprawę możemy więc uważać za rozwiązana. *Oportet* – powiada św. Paweł – *episcopum esse irreprehensibilem* [Ma tedy biskup być nienaganny] (1 Tm 3, 2).

Ponadto jednak uważam, że nie wystarczy, aby biskup i kaznodzieja nie miał na sumieniu grzechów śmiertelnych; powinien bowiem unikać również pewnych grzechów powszednich, a nawet pewnych czynów nie będących wcale grzechami. Św. Bernard, nasz Doktor, powiada: *Nugae secularium sunt blasphemiae clericorum* [Rzeczy, które u świeckiego człowieka są drobnostkami, u duchownego stają się bluźnierstwem]. Człowiek świecki może grać w karty, chodzić na łowy, udawać się nocą w odwiedzinę; wszystko to nie jest bynajmniej naganne, a jeśli jest uprawiane tylko dla rozrywki, nie jest żadnym grzechem. Natomiast u biskupa czy kaznodziei podobne uczynki – jeśli nie są usprawiedliwione przeróżnymi okolicznościami, których zbieg jest rzeczą niemal niespotykaną – stają się przyczyną zgorzenia. Ludzie mówią wtedy: Dobrze im się dzieje, używają sobie, ile dusza zapagnie. Jak tu potem głosić umartwienie? Każdy wyśmieje takiego kaznodzieję. Nie twierdzą, aby nie można było pozwolić raz czy dwa razy w miesiącu na jakąś uczciwą i niewinną rozrywkę. Należy jednak w tym względzie postępować z wielką ostrożnością.

Polowanie uważam za rzecz całkowicie wzbronioną. To samo powiedziałbym o nadmiernych wydatkach na przyjęcia, stroje czy księgi. Nawet dla człowieka świeckiego są to rzeczy zbędne; ale dla biskupa są to ciężkie grzechy. Św. Bernard poucza nas w tym względzie: *Clamant pauperes post nos: Nostrum est quod expenditis nobis crudeliter eripitur quidquid inaniter expenditur* [Ubodzy krzyczą za nami: Wszystko co trwonicie, należy do nas! Wszystkie wasze zbędne wydatki są grabieżą naszego mienia]. Jakże będziemy mogli ganić zbytki tego świata, jeśli sami sobie na nie pozwalamy?

Św. Paweł mówi: *Oportet episcopum esse hospitem* [Ma tedy biskup być gościnnie] (1 Tm 3, 2; Tt 1, 7-8). Gościnność polega nie na urządzeniu wystawnych uczt, lecz na serdecznym przyjmowaniu ludzi u swego stołu; określają to zarządzenia Soboru Trydenckiego: *Oportet mensam episcoporum esse frugalem* [Stół biskupów winien być skromny]. Wylączęm tutaj tylko pewne okoliczności, które roztropność i miłość łatwo zdołają odróżnić.

Ponadto nigdy nie należy głosić kazania bez odprawienia mszy świętej czy to przedtem, czy też natychmiast potem. Jest rzeczą wprost niewiarygodną – mówi św. Chryzostom – jak dalece usta, które przyjęły Najświętszy Sakrament, są postrachem szatanów. Jest to niewątpliwie prawda i można by powtórzyć za św. Pawłem: *An experimentum quaeritis eius qui loquitur in me Christus?* [Czy chcecie doświadczyć Chrystusa mówiącego przeze mnie?] (2 Kor 13, 3). Potęguje się wtedy pewność siebie, zapal i światło. *Quamdiu sum in mundo* – powiada, Chrystus Pan – *lux sum mundi* [Póki jestem na świecie, jestem światłością świata] (J 9, 5). Jest rzeczą pewną, że gdy Chrystus Pan przebywa w nas rzeczywiście, wówczas darzy nas światłością, jest On bowiem światłością. Dlatego to uczniom z Emaus dopiero wtedy otworzyły się oczy, gdy przyjęli Komunię świętą.

Cel jest główną przyczyną wszęchrzeczy. On to wyznacza miarę materii i formie. Zależnie od tego, czy zamierzamy wnieść wielki czy mały dom – przygotowujemy budulec i rozkładamy pracę.

Jaki jest cel kaznodziei, gdy przystępuje do wygłoszenia nauki? Jego celem i zamiarem powinno być to, co Chrystus Pan przyszedł uczynić na tym świecie. Oto zaś, co sam nam o tym powiedział: *Ego veni ut vitam habeant, et abundantius habeant* [Przyszedłem, żeby miały życie i obficiej miały] (J 10, 10). A więc celem kaznodziei jest, aby grzesznicy, którzy zmarli w nieprawości, ożyli w sprawiedliwości, sprawiedliwi zaś posiadający życie duchowe mieli je obficiej, przez co-

raz to większe udoskonalenie. Gdy więc kaznodzieja stanie na ambonie, powinien powiedzieć sobie w głębi serca: *Ego veni ut isti vitam habeant, et abundantius habeant*.

Otóż, aby móc wypełnić ten zamiar i to pragnienie, powinien dokonać dwu rzeczy: pouczyć i wzruszyć. Mówić o cnotach i występkach; o cnotach tak, aby ludzie je pokochali, rozmiłowali się w nich i zaczęli je praktykować; o występkach tak, aby je znienawidzili, zwalczali i unikali ich. Słowem, trzeba oświecić rozum i rozpałać wolę. Dlatego to w dzień Zielonych Świąt, dzień biskupich święceń Apostołów – święcenia kapłańskie bowiem otrzymali już w czasie Ostatniej Wieczery – zesłał im Bóg języki ogniste, ażeby wiedzieli, iż język biskupa powinien oświecać rozum słuchaczy i rozpląmniać ich wolę.

Wiem, iż niektórzy wysuwają jeszcze jako trzeci warunek to, że kaznodzieja powinien porywać. Co do mnie wszakże, robię tu rozróżnienie i uważam, że istnieje pewne krasomówstwo nieodłączne od samego przedmiotu i toku kazania. Gdzież bowiem można znaleźć duszę tak niewrażliwą, ażeby nie doznała ogromnej przyjemności słuchając o tym, jakie są święte i najwłaściwsze drogi wiodące do Boga, i nie odczuwała wielkiej radości słysząc o miłości Bożej. Takiego krasomówstwa nie trzeba unikać; zresztą jest ono nieodłączne od nauczania i wzruszania, a raczej od nich zależne. Istnieje natomiast inne krasomówstwo, niezależnie od nauczania i wzruszania, które chodzi własnymi drogami i bardzo często staje się przeszkodą uniemożliwiającą nauczanie i wzruszanie. Jest to zwyczajne łechtanie uszu, wynikające z pewnej czysto świeckiej i światowej wytworności wysłowienia, z osobliwego zestawienia pewnych słów, określeń czy wyrażeń, słowem, jest to coś należącego całkowicie do dziedziny sztuki. Jeżeli idzie o takie krasomówstwo, to twierdę stanowczo i bezwzględnie, że kaznodzieja nie powinien nawet o nim myśleć. Niech pozostawi to świeckim mówcom, różnym dworakom i szalbierzom, którzy się tym zabawiają. Oni bowiem nie głoszą Chrystusa Ukrzyżowanego, lecz głoszą samych siebie.

Św. Paweł gromi słuchaczy *prurientes auribus* [*Żądnych tego, co łechce ucho*] (2 Tm 4, 3), a więc również kaznodziejów, pragnących się im przypodobać. Nie chciałbym, aby po wysłuchaniu kazania ludzie mówili: Jakiż to wielki mówca! Jakąż on ma świętą pamięć! Jaki jest uczony! Jak on to trafnie powiedział! Natomiast chciałbym, aby mówiono: Jakże piękna jest pokuta! Jakże jest konieczna! Jakiś Ty, Boże mój, dobry i sprawiedliwy! – czy inne podobne rzeczy. Albo też chciałbym, żeby poruszone przez kaznodzieję serce słuchacza dało świadectwo skuteczności jego nauki przez odmianę swego życia.

Św. Paweł jednym zdaniem poucza swego Tymoteusza: *Praedica verbum* [*Głoś naukę!*] (2 Tm 4, 2). Trzeba głosić słowo Boże. *Praedicate evangelium* [*Głoście Ewangelię!*] (Mk 15) – mówi Chrystus Pan. Św. Franciszek, którego święto dziś obchodzimy, objaśniał to, nakazując swym braciom, by mówili o cnotach i grzechach, o piekle i raju. Do tego wystarczy nam w zupełności Pismo Święte, nie potrzebujemy niczego więcej.

Czyż więc nie należy się posługiwać dziełami Doktorów Kościoła i księgami napisanymi przez świętych? Rzecz jasna, że należy to czynić. Czymże jednak są pisma ojców Kościoła, jeśli nie objaśnieniem Ewangelii i wykładem Pisma Świętego? Pomiedzy Pismem Świętym a nauką ojców zachodzi ta sama różnica, co pomiedzy migdałem całym a rozłupanym tak, aby jego jądro mogło być spożywane przez każdego, albo też pomiedzy bochnem chleba, a chlebem rozkrojonym i rozdzielonym między ludzi. Toteż trzeba się nimi posługiwać, są oni bowiem narzędziami, którymi Bóg się posłużył, by wyjaśnić nam prawdziwe znaczenie swych słów.

A czyż nie wolno opowiadać dziejów świętych Pańskich? Mój Boże, toż nie istnieje nic piękniejszego ani bardziej pożytecznego! Bo czymże są żywoty świętych, jak nie ewangelią wprowadzoną w życie? Pomiedzy ewangelią pisaną a życiem świętych zachodzi jedynie ta różnica, co pomiędzy nutami a muzyką śpiewaną.

Cóż zaś powiedzieć o świeckich opowiadaniach? Niewątpliwie są dobre, jednak trzeba ich używać podobnie jak grzybów, które się dodaje w niewielkiej ilości, wyłącznie aby pobudzić apetyt. I to powinno być jeszcze należycie przyrządzone [...], to jest oczyszczone z tego, co w nich pogańskie lub światowe [...], tak aby mogły służyć ewangelii oraz prawdziwej, chrześcijańskiej cnocie.

A przykłady zaczerpnięte z dziedziny przyrody? Są one jak najbardziej wskazane, świat bowiem uczyniony na Słowo Boże cały tchnie Słowem, a wszystkie jego części śpiewają chwałę Stwórcy. Przyroda jest księgą zawierającą słowo Boże; ale to słowo jest wyrażone językiem, który nie każdy rozumie. Księga ta jest pożyteczna, gdy idzie o podobieństwa czy porównania *a minori ad maius* [z mniejszego wnioskować o większym] raz dla wielu innych celów. Napotykamy ich bardzo wiele zarówno u ojców Kościoła, jak i w Piśmie Świętym.

Przed wszystkim jednak niech kaznodzieja strzeże się przytaczania fałszywych cudów czy też jakichś zaczerpniętych od podrzędnych autorów niemądrych opowieści o widzeniach lub objawieniach bądź innych niewiarygodnych przygodach, co może tylko przynieść ujmę naszej kapłańskiej godności i zasłużyć nam na wzgardę.

Oto w ogólnych zarysach najważniejsze rzeczy, jakie dadzą się w tej sprawie powiedzieć. Pozostają jeszcze do omówienia. poszczególne składniki treści kazania.

Pierwszym składnikiem tej treści powinny być cytaty z Pisma Świętego, którym istotnie przypada pierwsze miejsce, stanowią one bowiem podwaliny gmachu. Bo przecież „głosimy Słowo”, naukę swą zaś czerpiemy z góry. *Ipsse dixit. Haec dicit Dominus [On sam powiedział. Oto, co mówi Pan]* – mawiali wszyscy Prorocy. A sam Chrystus Pan powiedział: *Doctrina mea non est mea sed eius qui misit me [Moja nauka nie jest moją, ale Tego, który mnie posłał]* (J 7, 16). Te wersety trzeba umieć wyjaśniać prosto i przejrzysto [...]. Oto na przykład, wczoraj wypadło mi objaśnić w tutejszej wiosce przykazanie: *Diliges Dominum Deum tuum ex toto corde, ex tota anime, et tota mente [Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twojej i ze wszystkich myśli twoich]* (Mt 22, 37); powiedziałem więc za św. Bernardem: *ex toto corde* – znaczy odważnie, dzielnie, żarliwie, odwaga bowiem jest cechą serca; *ex tota anima* – znaczy miłośnie, dusza bowiem jest źródłem uczuć i afektów; *ex tota mente* – znaczy duchowo, wewnątrz, albowiem *mens*, czyli umysł, jest wyższą częścią duszy, tą, do której należy rozróżnianie i sąd. Należy również zważyć samo słowo: *diligere*, które wywodzi się od *eligo* [wybieram], a więc niedwuznacznie wyraża, że trzeba aby nasze serca, dusza i umysł wybrały Boga i przekładały Go nade wszystko; na tym bowiem polega istotna treść miłości wartościującej.

Po drugie, jeśli nie zachodzi dość oczywiste prawdopodobieństwo, że jedna rzecz jest figurą drugiej, nie należy upatrywać w jakimś wersecie dosłownego obrazu, lecz co najwyżej można przeprowadzić porównanie. Na przykład krzak jałowca, pod którym usnął znużony Eliasz, jest często interpretowany jako alegoryczny obraz krzyża, ja jednak wolałbym to ująć w sposób następujący: podobnie jak Eliasz usnął pod krzakiem jałowca, tak i my powinniśmy we śnie świętego rozmyślania spoczywać w cieniu Chrystusowego krzyża; nie zaś (jak się zazwyczaj czyni): Eliasz jest obrazem chrześcijanina, a krzak jałowca obrazem krzyża. Nie ma bowiem podstaw do twierdze-

nia, że jedno jest obrazem drugiego; natomiast chętnie przyrównałbym jedno do drugiego. Wtedy przemówienie stanie się zgodne z prawdą i będzie mniej narażone na zarzuty.

Po trzecie, nie należy uciekać się, jak to niektórzy czynią, do alegorii nieprzystojnych. Może są one nawet niekiedy trafne [...], nie należy jednak nasuwać słuchaczowi niebezpiecznych wyobrażeń.

Po czwarte, wystrzegajmy się zbyt długich wywodów, gdyż rozwlekłość pozbawia je wdzięku, nadając im pozór napuszoneści.

Po piąte, wykład powinien być zrozumiały i umiejętnie przeprowadzony, to znaczy tak, aby wszystkie jego części były ze sobą zrecznie powiązane.

Drugie miejsce po wersetach z Pisma Świętego przypada cytatami z ojców i orzeczeniom soborów. W związku z tym pozwolę sobie zauważyć, że poza niezmiernie rzadkimi wyjątkami trzeba wybierać wśród nich te, które są najbardziej zwarte, celne i mocne. Kaznodziej przytaczający długie zdania osłabiają zarówno ich siłę, jak i uwagę większości słuchaczy, nie mówiąc już o tym, że sami narażają się na to, iż pamięć może ich zawieść. Zwarte a mocne sentencje znajdujemy na przykład u św. Augustyna: *Qui fecit te sine te, non salvabit te sine te* [Ten, który stworzył cię bez ciebie, nie zbawi cię bez ciebie], albo też *Qui poenitentibus veniam promisit, tempus poenitendi non promisit* [Ten, który przyrzekł pokutującym przebaczenie, nie przyrzekł im czasu na pokutę] i tym podobne. U św. Bernarda również można ich znaleźć bardzo wiele.

Potem przychodzi kolej na uzasadnienie, które przy sprawnym umyśle i odpowiednich zdolnościach przyrodzonych można znakomicie przeprowadzić. Znaleźć je można również u Doktorów Kościoła, zwłaszcza zaś u św. Tomasza, bardziej niż u kogokolwiek innego. Gdy są należycie przeprowadzone, stanowią znakomitą treść kazania. Jeśli kto chce mówić o jakiejś cnocie, niech zajrzy do spisu w dziełach św. Tomasza i zobaczy, gdzie i co o niej powiedział. Można tam znaleźć wiele wywodów mogących służyć za podstawę nauki. Poza tym jednak nie należy poruszać tych zagadnień, jeśli się nie potrafi wyłożyć ich jasno i w sposób zrozumiały dla przeciętnych słuchaczy.

Przykłady posiadają niezwykłą moc i ogromnie podnoszą zainteresowanie kazaniem. Muszą one jednak być odpowiednie, należycie wyłożone i trafnie zastosowane. W tym celu należy wybierać opowieści piękne i podniosłe, przedstawić je jasno i wyraźnie oraz zastosować żywo i barwnie, jak to czynią Ojcowie, gdy przedstawiają przykład Abrahama poświęcającego swego syna jako obraz gotowości, z jaką niczego nie powinniśmy szczędzić, aby wykonać wolę Bożą. Podkreślają oni bowiem wszystko, co podnosiło wartość Abrahamowego posłuszeństwa. Abraham – powiadają – już stary, Abraham posiadający jednego tylko syna, tak pięknego, mądrego, cnotliwego, tak bardzo godnego miłości, bez słowa, bez szemrania, bez wahania zaprowadził go na szczyt góry, by go własnoręcznie ofiarować Bogu. Ty zaś, chrześcijaninie, jesteś tak skąpy, tak oziębły, tak chwiejny, że nie chcesz poświęcić – już nie mówię syna czy córki czy całego swego mienia, lub przynajmniej większej jego części – ale nawet jednego szeląga dla miłości Bożej i poratowania ubogich, jednej godziny twych rozrywek dla służenia Bogu, jednego choćby najdrobniejszego przywiązania itd.

Wystrzegajmy się jednak dodawania zbędnych lub cikliwych opisów, jak to czynią niektórzy szkolarze, którzy zamiast przedstawiać opowiadania z prostotą i z myślą o naprawie obyczajów, zaczynają opisywać piękność Izaaka, ostrość Abrahamowego miecza, krajobraz miejsca, na którym miała się dokonać ofiara, i tym podobne sprawy nie mające nic do rzeczy. Nie trzeba ani streszczać się tak dalece, żeby przykład nie zdołał trafić do słuchaczy, ani prawić o nim tak rozwlekle, aby ich w końcu znudził.

Wspaniałym tematem są przykłady świętych, zwłaszcza świętych tej prowincji, w której się głosi kazania, jak na przykład w Dijon – św. Bernard.

Wypada powiedzieć jeszcze słowo o podobieństwach. Są one bowiem wprost niewiarygodnie skuteczne dla oświecenia umysłu i poruszenia woli. Można zaczerpnąć je z ludzkich czynności, przechodząc następnie od jednego do drugiego; na przykład opisując to, co czynią pasterze, można wykazać, jak powinni postępować biskupi i pasterze dusz – jak to uczynił Chrystus w przypowieści o zagubionej owcy; albo też z dziedziny przyrody – ziół, roślin, zwierząt; z dziedziny filozofii, słowem, ze wszystkiego. Podobieństwa zaczerpnięte z rzeczy pospolitych, trafnie zastosowane są znakomite. Tak czynił Chrystus Pan w przypowieści o siejbie. Tkwi w tym również pewien sekret, który dla każdego kaznodziei jest niezmiernie pożyteczny; oto dobrze jest wydobywać z Pisma Świętego takie podobieństwa, których ludzie na ogół nie umieją zauważyć. Tę umiejętność można zdobyć tylko przez rozważanie świętych słów.

Przykład: Dawid, mówiąc o człowieku światowym, powiada: *Periit memoria eorum cum sonitu* [Zginęła z traskiem pamiętka ich] (Ps 9, 7). Mogę z tego wyciągnąć dwa podobieństwa rzeczy przemijających wraz z dźwiękiem. Gdy stłuczemy szklanke, ginie ona wraz z brzękiem. Tak źli ludzie przemijają z pewnym rozgłosem, gdyż mówi się o nich po ich śmierci; podobnie jednak jak stłuczona szklanka staje się bezużyteczna, tak i ci nieszczęśnicy, nie dostąpiwszy zbawienia, pozostają na zawsze zgubieni. Następnie: gdy umiera wielki bogacz, biją we wszystkie dzwony i urządzają mu wspaniały pogrzeb. Gdy jednak przebrzmi dźwięk dzwonów, któż go błogosławi? Kto mówi o nim? – Nikt. Mówiąc o człowieku pozbawionym miłości, mimo że pełniącym uczynki miłosierne, św. Paweł powiada, iż *factus est sicut aes sonans, aut cymbalum tinniens* [Jest jako miedź dźwięcząca, albo cymbał brzmiący] (1 Kor 13, 1). Można tu przeprowadzić pewne podobieństwo do dzwonu, który wzywa na modlitwę, lecz sam nie wchodzi do świątyni. Tak również i człowiek pełniący dzieła miłosierdzia bez miłości, buduje drugich i wzywa ich na drogę raj, mimo że sam do niego nie wejdzie.

Aby znaleźć takie podobieństwa, trzeba dobrze zważyć słowa, by stwierdzić, czy nie zawierają jakiejś metaforycznej treści. Jeśli bowiem tak jest, wówczas temu, kto ją potrafi dostrzec, podobieństwo nasuwa się samo. Na przykład: *Viam mandatorum tuorum cucurri cum dilatasti cor meum* [Pobiegłem drogą Twoich przykazań, gdy rozszerzyłeś serce moje]. Rozważmy słowo *dilatasti*, jak również *cucurri*, ponieważ są ujęte w sposób przenośny. A teraz zastanówmy się, które rzeczy pędzą szybciej, gdy zostaną rozszerzone. Znajdziemy ich kilka, między innymi okręty, gdy wiatr rozpościera ich żagle. Ledwie zerwie się pomyślny wiatr, chwyta okręty stojące beczynnie w porcie, wypełnia i wzdyma ich żagle, aby mogły wypłynąć na morze. Tak samo ma się rzecz z ludźmi. Gdy pomyślny wiatr Ducha Świętego wypełnia nasze serca, dusza bieży i płynie po morzu Bożych przykazań. Kto będzie pilnie przestrzegał tej wskazówki, temu nasunie się wiele owocnych podobieństw. Wszakże przytaczając je należy przestrzegać zasad przyzwoitości i nie powoływać się na rzeczy niskie, plugawe lub nieprzyzwoite.

W tym wszystkim trzeba się trzymać pewnej metody. Nie ma bowiem dla kaznodziei rzeczy bardziej pomocnej ani takiej, która by jego nauczanie czyniła bardziej pożytecznym i przyjemnym dla słuchacza. Uważam, że owa metoda powinna być jasna i widoczna, a nie utajona jak u wielu kaznodziejów, którzy wyobrażają sobie, że ukrywanie swej metody jest jakimś dowodem mistrzostwa. Na cóż bowiem zda się metoda, jeśli nikt jej nie dostrzeże, a słuchaczowi pozostaje ona nieznaną.

Aby dopomóc w tym Waszej Wielbności, powiem, jak trzeba postąpić, jeśli się chce nauczać o jakimś wydarzeniu, jak na przykład o narodzeniu, zmartwychwstaniu czy wniebowstąpieniu, lub



też wyłożyć jakąś sentencję z Pisma Świętego, jak na przykład: *Omnis qui se exaltat humiliabitur* [Każdy, kto się wywyższa, będzie ponizony] (Łk 14, 11), albo wreszcie cały rozdział z Ewangelii, zawierający wiele sentencji, czy też żywot jakiegoś świętego, gdzie również spotykamy sentencje.

Gdy treścią kazania jest jakieś zdarzenie, można posłużyć się jedną z następujących metod:

1. Ile w tym zdarzeniu występuje osób: po czym z każdej z nich można wyprowadzić jakieś rozważania. Na przykład: w scenie zmartwychwstania występują Marie, aniołowie, strażnicy grobu i Najśłodszy nasz Zbawiciel. W postaciach Marii upatruję obraz gorliwości i żaru; w aniołach, świetlistych i przyodzianych w białe szaty, widzę radość i wesele; w strażnikach dostrzegam obraz niemocy ludzi powstających przeciw Bogu; w Chrystusie widzę chwałę, zwycięstwo nad śmiercią, nadzieję naszego zmartwychwstania.

2. W każdej tajemnicy można rozważyć główne zagadnienie, jak to, w powyższym przykładzie, samo zmartwychwstanie. Dalej rozważyć to, co poprzedziło owo zdarzenie i co z niego wynikło. Rozważając po kolei każdą część, można o każdej powiedzieć rzeczy wspaniałe.

3. W każdej tajemnicy można rozpatrzyć następująco punkty: Kto? Dlaczego? Jak? Kto się narodził? – Zbawiciel. Dlaczego? – Aby nas odkupić. Jak? – Biedny, nagi, zziębnięty, jako mała dziecina, w stajence.

4. Przedstawwszy w zwięzłej parafrazie samo zdarzenie, można z niego często wyprowadzić trzy lub cztery wnioski. Pierwszy powinien zmierzać do umocnienia wiary, drugi – do wzmoczenia nadziei, trzeci – do rozplomienienia miłości, czwarty zaś zachęcać do naśladowania i wykonania. I tak w przykładzie zmartwychwstania: dla wiary dostrzegamy wszechmoc Bożą i ciało przechodzące przez kamień, ciało nieśmiertelne, niezmienne, całkowicie uduchowione. Jakże więc powinniśmy niewzruszenie wierzyć, że w Najświętszym Sakramencie to samo ciało nie zajmuje miejsca, nie ulega zniszczeniu przez łamanie hostii, albowiem przebywa w niej w sposób duchowy, chociaż prawdziwy. A oto dla wzmocnienia nadziei: jeśli Chrystus Pan zmartwychwstał, to i my – jak zapewnia św. Paweł – powstaniemy z martwych, On bowiem utorował nam drogę. Dla miłości zaś: chociaż zmartwychwstała, Chrystus pozostaje wszakże jeszcze na ziemi, by pouczyć swój Kościół i dla naszego dobra opóźnia swe odejście do nieba, właściwego przybytku uwielbionych ciał. Jakież to wielki dowód miłości! W końcu, naśladowanie: oto zmartwychwstał trzeciego dnia; toteż daj Boże, abyśmy i my zmartwychwstali przez skrucę, spowiedź i zadośćuczynienie. Przeszedł przez głaz; pokonujemy i my wszystkie trudności.

Gdy treścią kazania ma być jakaś sentencja, należy dobrze rozpatrzyć, do jakiej odnosi się cnota [...]. Odkrywszy zaś cnotę, której dotyczy, można metodę wykładu oprzeć na rozważaniu: na czym owa cnota polega, jakie są jej prawdziwe oznaki, jakie sposoby jej nabycia i praktykowania [...].

Istnieje również inna metoda, polegająca na wykazywaniu, jak dalece jakaś cnota jest czcigodna, pożyteczna lub miła – są to bowiem trzy przymioty godne pożądania. Można również postąpić jeszcze inaczej wysławiając korzyści, jakie płyną z tej cnoty, i nieszczęścia wynikające z wady, która jest jej przeciwna. Najbardziej wskazana jednak wydaje mi się metoda pierwsza.

Ale dość już o metodach; tyle na początek wystarczy. W związku z metodami jeszcze tylko dodam, że na pierwszym miejscu stawiam wersety z Pisma Świętego, na drugim – rozumowe uzasadnienia, na trzecim – podobieństwa, na czwartym – przykłady, jeśli są święte. Jeśli bowiem są świeckie, nie nadają się do zakończenia przemówienia, bo każde kazanie powinno być zakończone czymś świętym. Tak samo właściwą metodą jest, aby kazanie od początku do połowy zawiera-



ło pouczenie słuchacza, dopiero zaś od połowy aż do zakończenia usiłowało go wzruszyć. Toteż wszelkie odwoływanie się do uczuć powinno być zamieszczone na końcu.

Powiedziawszy to powinienem jeszcze określić, jak należy rozwinąć każdy poszczególny punkt kazania. Jeśli na przykład zamierza Wasza Wielbność mówić o cnocie pokory i przewiduje następujące punkty swego przemówienia: 1. na czym ta cnota polega; 2. jej oznaki; 3. jej skutki; 4. w jaki sposób można ją zdobyć – to dla rozwinięcia tych punktów, [...] należy najpierw jasno określić cechy tej cnoty, objaśniając, na czym polega przeciwna wada, [...] następnie podkreślić różnicę pomiędzy prawdziwą a fałszywą pokorą itd. Podobnie z innymi punktami. *Intelligenti pauca* [Rozumnemu wystarczy kilka słów].

Teraz przystąpię do zagadnienia, które wymaga większego jeszcze niż poprzednie zaufania ze strony Waszej Wielbności, w tym względzie bowiem odbiegam od zdania ogółu. Niemniej sądzę, iż to, co powiem, jest wyrazem samej prawdy.

Forma – mówi Filozof – nadaje każdej rzeczy byt i duszę. Jeśli kto powie wiele wspaniałych rzeczy, a powie je źle niczego nie osiągnie. Jeśli powie mało, a dobrze – dokona bardzo wiele. Jakże więc należy wygłaszać kazania? – Trzeba przede wszystkim wystrzegać się wszelkich *quanquam* i dłużyzn nudziarzy; ich gestykulacji, min i postawy: wszystko to jest istną plagą kaznodziejstwa. Trzeba zachować postawę swobodną, szlachetną, łaskawą, mocną, świętą, prostą, poważną i raczej spokojną. Cóż trzeba czynić, aby móc to osiągnąć? Trzeba odnosić się do słuchaczy serdecznie i ufnie, bezpośrednio i prosto, oraz z prawdziwą pobożnością. Trzeba mocno kochać naukę, którą się głosi, i wierzyć samemu w to, o czym się chce przekonać innych. Najwyższą sztuką jest nie uciekać się do żadnej sztuki. Nasze słowa powinny być płomienne, co nie wymaga ani okrzyków, ani przesadnych ruchów, ale po prostu wewnętrznego żaru. Słowa muszą płynąć nie tyle z ust, co z serca. Niech sobie ludzie mówią, co chcą, a jednak serce zawsze przemówi do serca, gdy natomiast język przemawia tylko do uszu.

Powiadam, że potrzebna jest pewna swoboda, w przeciwieństwie do wymuszonej i obliczonej na efekt postawy różnych bakałarzy. Powiadam, że jest potrzebna szlachetność w przeciwieństwie do gburowatości niektórych kaznodziejów, którzy tupią nogami, wałą pięściami w kazalnicę, wrzeszczą lub wydają jakieś przedziwne ryki, nie mające nieraz żadnego zastosowania do omawianego przedmiotu. Powiadam, że postawa kaznodziei powinna być łaskawa, w przeciwieństwie do lekliwej postawy tych, którzy przemawiają, jak gdyby zwracali się do swych rodziców, nie zaś do swych uczniów i dzieci. Powiadam – prosta, czyli bez żadnej sztuczności i afekcji. Powiadam – mocna, w przeciwieństwie do pewnej postawy martwej, miękkiej i bezdusznej. Powiadam – święta, czyli wykluczająca wszelkie dworskie czy światowe pochlebstwa. Powiadam – poważna, w przeciwieństwie do postawy tych, którzy swych słuchaczy raczą kliwociami i unizonością, wyprawiając przy tym różne kuglarskie sztuczki, wymachując rękami czy wykonując inne niestosowne ruchy. Powiadam – spokojna, należy bowiem unikać tej obcesowej żywości, która więcej bawi oczy, niż trafia do serca. To samo można powiedzieć o mowie, która powinna być zrozumiała, jasna i prosta, wolna od słów greckich, hebrajskich, nowych lub wyszukanych.

Wydaje mi się, że nikt – zwłaszcza biskup – nie powinien schlebzać słuchaczom, choćby to nawet byli królowie, książęta czy papieże. Istnieją pewne wyrazy, których można użyć, aby zjednać sobie życzliwość ludu, zwłaszcza wówczas, gdy się przemawia doń po raz pierwszy. Jestem zdania, że należy oznajmić mu swe pragnienie przyczynienia się do jego dobra, że dobrze jest zacząć od pozdro-

wienia i błogosławieństwa, a zarazem dać wyraz swemu życzeniu dopomożenia mu w osiągnięciu zbawienia. Tak samo, gdy mowa o ojczyźnie. Wszystko to jednak krótko, serdecznie, bez szumnych słów. Dawni Ojcowie jak i wszyscy inni, którzy wielkie osiągnęli owoce, unikali skrzętnie tych różnych świeckich kwiecistości i faramuszek. Mówili z serca do serca, z umysłu do umysłu, jak dobrzy ojcowie do swych dzieci. Jeśli idzie o przygotowanie się do kazania, to uważam, że należy czynić je z wieczora. Następnego ranka dobrze jest rozważyć dla siebie to, co się zamierza powiedzieć innym. Przygotowanie się u stóp Przenajświętszego Sakramentu jest bardzo skuteczne.

Wolę, żeby kazania tchnęły bardziej miłością bliźnich niż oburzeniem – nawet w stosunku do hugenotów, którym powinniśmy okazywać wielkie współczucie, nie schlebając im wprawdzie, ale ubolewając nad nimi.

Zawsze jest lepiej, aby kazanie było raczej krótkie niż długie. Sam uchybiałem jak dotąd temu wymaganiu i będę musiał się poprawić.

Cóż Wasza Wielbność powie o tym wszystkim? Niechże, błagam, raczy mi przebaczyć. Napisałem, co mi wypłynęło spod pióra, nie bacząc ani na słowa, ani na ich układ, przynaglony jedynie chęcią okazania Waszej Wielbności, jak bardzo pragnę być Mu posłusznym. Nie podałem nawet niektórych autorów, na jakich się powoływałem. Jestem bowiem na wsi i nie mam ich pod ręką. Toteż po prostu powołałem się na samego siebie; a uczyniłem to dlatego, że Wasza Wielbność pragnęła usłyszeć moje zdanie, nie zaś zdanie innych. Skoro zaś to, co napisałem, sam wprowadzam w czyn, czemuż nie miałbym tego powiedzieć?

Zanim ostatecznie zakończę ten list [...], błagam najpokorniej Waszą Wielbność, aby raczyły nie zważać na żadne względy mogące Go powstrzymać od rozpoczęcia jak najrychlej swego kaznodziejskiego urzędu. Im wcześniej Wasza Wielbność rozpocznie, tym prędzej nabierze wprawy.

Kardynał Boromeusz, który nie posiadał ani dziesiątej części zdolności, jakimi Wasza Wielbność rozporządza, głosił kazania ku zbudowaniu ludu i stał się święty. Powinniśmy szukać chwały nie naszej, lecz Bożej. Dla miłości nie ma rzeczy niemożliwych. Zanim Chrystus Pan powiedział św. Piotrowi: *Pasce oves meas* [*Paś owce moje*] – nie zapytał go: *Czyś uczony? Czyś wymowny?* – ale go zapytał: *Amas me?* [*Miłujesz mnie?*] (por. J 21, 15-17). Aby dobrze mówić, wystarczy mocno kochać. Św. Jan powtarzał przed śmiercią po sto razy w ciągu kwadransa: „Dzietki, miłujcie się wzajemnie!”. I to był cały zasób, z jakim przystępował do kazania. My zaś nie ośmielamy się wstąpić na kazalnicy, jeśli nie posiadamy jakichś niezwykłych darów krasomówczych. O Boże mój, cóż jednak powie Wasza Wielbność o prostocie, z jaką do Niego przemawiam? Miłość wszakże nie zdoła milczeć, gdy idzie o dobro tego, którego kocha. Poprzysiągłem Waszej Wielbności wierność, można zaś dużo ścierpieć ze strony wiernego i oddanego sługi. Wasza Wielbność obejmie niebawem pieczę nad swą owczarnią. Cóż bym dał za to, abym mógł tam podążyć i służyć Waszej Wielbności pomocą, jak służyłem Mu przy pierwszej mszy świętej. Wszakże życzenia moje i pragnienia towarzyszyć Mu będą. Lud czeka na Waszą Wielbność; na podstawie początków wyrobi sobie zdanie o tym, co nastąpi później. Toteż należy rozpocząć jak najwcześniej to, co trzeba będzie robić zawsze. Och, jakże ludzie będą zbudowani, gdy będą często widywali Waszą Wielbność odprawiającego Najświętszą Ofiarę za ich zbawienie. Niechże Wasza Wielbność również ze swymi proboszczami nie omieszka omawiać sprawy zbudowania ludu. Z ambony zaś niech głosi „słowo pojednania” (2 Kor 5, 19).

Cytat za: F. Salezy, *O kaznodziejstwie*, [w:] tenże, *Wybór pism*, Warszawa 1956, s. 297-311.



Paweł Segneri Starszy SI  
(1624-1694)



# Wielki misjonarz Italii

Okres baroku był czasem wielkiego rozkwitu misji ludowych. Przez *misje ludowe*, zwane też – w odróżnieniu od misji wśród pogan – *misjami wewnętrznymi* (*missiones internae*) rozumie się w tradycyjnym ujęciu zespół działań duszpasterskich (kazania, sprawowanie sakramentów, uroczystości parali-turgiczne) podejmowanych z upoważnienia Kościoła przez misjonarzy przeby-wających przez krótki czas, w określonym miejscu, w celu dokonania wewnętrznej przemiany i odnowy katolickiego ludu danej miejscowości czy parafii.

Misje wewnętrzne mają długą historię. Ich początki stanowią występy wędrownych, nie związanych z miejscowym duszpasterstwem kaznodziejów, jak-  
kie miały miejsce w pierwszych wiekach istnienia Kościoła. Z ruchem reformistycznym była związana działalność kaznodziejów wędrownych, głoszących idee pokuty i chrześcijańskiego ubóstwa, jak potwierdza to działalność św. Norberta z Xanten i Roberta z Arbrissel († 1117) na początku wieku XII. Zakony żebrzące średniowiecza oraz kaznodzieje wędrowni i pokutni późnego średniowiecza przejęli ten rodzaj apostołstwa i prowadzili go w dalszym ciągu, aż przekształcił się w pewien określony system nadzwyczajnego apostołstwa. Miało to miejsce w XVI wieku i wtedy też rozpoczęła się właściwa historia misji wewnętrznych. Dzięki działalności teatynów, barnabitów, kapucynów i jezuitów wykrystalizowała się określona metoda tego rodzaju działalności. W tym wieku również działalność ta zyskała nazwę *m i s j a*, co ściśle wiąże się ze składanym przez jezuitów ślubem *votum de missionibus*. Pierwsze uroczyste rozesłanie jezuitów przez papieża Pawła III do wykonania tego rodzaju zadania miało miejsce 19 marca 1539 roku. W XVI i XVII wieku szczególne zasługi na tym polu położyli jezuita, franciszkanie oraz misjonarze św. Wincentego à Paulo; natomiast w XVIII wieku dołączą do nich jeszcze redemptoryści.

Jakkolwiek okres baroku nie był wiekiem narodzin misji wewnętrznych, to jednak właśnie w tym czasie przeżywały one swój wielki rozkwit. Długa jest lista wybitnych głosicieli misji ludowych. Do najwybitniejszych należy bezspornie jezuita Paweł Segneri Starszy (1624-1694), nazwany przez św. Alfonsa Liguoriego „wielkim misjonarzem Italii”.

## Wielki misjonarz Italii

Paweł Segneri Starszy urodził się 21 maja 1624 roku w Nettuno. Kształcił się w seminarium rzymskim. Mając zaledwie piętnaście lat wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Z zapałem podjął ćwiczenia duchowne i studia Pisma Świętego, ojców Kościoła i pisarzy klasycznych. Miał to, co jest niezbędne każdemu wielkiemu kaznodziei: bystry umysł, żywą wyobraźnię i gorące serce. Przełożeni, w tym generał zakonu jezuitów Vincenzo Caraffa, magister nowicju-

szy i późniejszy generał Giampaolo Oliva oraz słynny historyk i przyszły kardynał Sforza Pallavicini, szybko zwrócili na niego uwagę.

Około 1653 roku Paweł Segneri przyjął święcenia kapłańskie. Owocność jego pierwszych kazań sprawiła, że został oddelegowany całkowicie do posługi kaznodziejskiej. W latach 1655-1665 głosił kazania z najsłynniejszych włoskich ambon. Z osobistą świętością Segneri łączył apostolską gorliwość i rzadki dar wymowy. W kolejnych dziesiątkach lat poświęcił się prawie wyłącznie misjom ludowym, przebiegając miasta i miasteczka włoskie, głosząc kazania wielkopostne i adwentowe. Cieszyły się one ogromnym powodzeniem. Wystarczy wspomnieć, iż w Genui słuchało go około 70 tysięcy osób. Następowaly liczne nawrócenia. Tysiące osób przystępowało do komunii świętej. Kazaniom Segneriego towarzyszyły procesje pokutne i biczowanie się mężczyzn. Misje ludowe głosił Paweł Segneri głównie na wsiach w towarzystwie innych misjonarzy, zwłaszcza Giampietro Pinamontiego, późniejszego kaznodziei *dei Sacri Palazzi*.

Sukces kaznodziejstwa Segneriego był owocem nie tylko surowego i gorliwego życia, jakie prowadził misjonarz, nie tylko doskonałego przygotowania biblijnego, patrystycznego i teologicznego, ale również nowego stylu głoszenia kazań, który znacznie różnił się od upodobań barokowych. Kazania Segneriego były rozwlekłe, ale nie zamierzały tworzyć jakiegś szokującej, barokowej iluzji; starały się natomiast skłonić słuchaczy do nawrócenia i rzeczywistej poprawy życia. Poważną i godną treść kazań, w których mocno podkreślał działanie ludzkie, ukazywał dzięki żywej sile wyobraźni. Ożywiony głębokim duchem religijnym i intensywną pobożnością zmierzał do przekształcenia duchowego i moralnego ludu, który nauczał. Aby przekonać i dowieść prawdziwości nauki katolickiej apelował do rozumu, a przez rozum do uczuć i woli tak dalece, że nazwano go „włoskim Bourdaloue”.

Jednym z najpiękniejszych tekstów Segneriego jest wstęp do jego *Kazania na Wielki Piątek*. Misjonarz Italii wznosi się tą mową na szczyty patosu; atakuje grzesznika grą uczuć, tragizmem kontrastów, wyraża niezmierny ból i zgrozę: „Weselcie się grzesznicy, w tym dniu najsmutniejszym, boście zwyciężyli. Zanućcie pieśń triumfalną, radujcie się, bądźcie dumnymi, bo szczęśliwie udał się wasz zamach. Zdobyliście się na wszelkie zbrodnie możliwe, byle tylko usunąć ze świata niewinnego Syna Bożego. By Go ucisnąć, zranić i zamordować. Stało się! «Zgładzono Go» – tak wielka była przemoc – «Zgładzono Go z krainy żyjących» (Iz 53, 8).

Oto właśnie zstępuję z Kalwarii, przynosząc wam wesołą nowinę. Oznajmiam wam jako rzecz najpewniejszą, że umarł w oczach niezliczonego ludu, nagi, opuszczony, wyśmiany; wyzionął ducha po trzygodzinnej, śmiertelnej trwodze konania na drzewie krzyża. Czy przeto jesteście zadowoleni, okrutnicy? Czego jeszcze więcej chcecie? Może byście pragnęli sami wejść na górę, by się ucieszyć tym miłym widokiem, by własnymi oczami oglądać owe rany, któreście mu zadali? Może byście pragnęli zobaczyć, jak ciało jego wisi poszarpa-



ne z powodu waszej rozpusty, jak głowa jego pokłuta za waszą pychę, jak usta Jego goryczą napełnione dla jadowitych przekleństw waszych? Chodźcie więc, chodźcie, poprowadzę was na szczyt Kalwarii, by spełnić wasze życzenia”.

Doceniając kaznodziejstwo Pawła Segneriego Starszego papież Innocenty XII powołał go w 1692 roku na kaznodzieję apostolskiego do Watykanu, a niebawem zamianował także teologiem Świętej Penitencjarii. Jednakże osłabienie i wiek nie pozwoliły mu pracować długo na tych stanowiskach. Umarł 9 grudnia 1694 roku, czczony powszechnie jako „venerabilis”.

Paweł Segneri był znakomitym pisarzem i zostawił po sobie liczne publikacje z dziedziny kaznodziejstwa, ascetycznej i apologetycznej. Należą do nich kazania wielkopostne *Quaresimale* (Florencja 1679), mowy pochwalne o świętych *Panegirici sacri* (Bolonia 1664), kazania wobec papieża i jego dworu *Le prediche dette nel Palazzo Apostolico* (Rzym 1694). Za najbardziej dojrzałe z dzieł Segneriego uważa się popularne i praktyczne kazania katechetyczne *Il cristiano istruito* (Florencja 1686). Ich uzupełnieniem są dzieła: *Il parroco istruito* (Florencja 1692), *Il confessore istruito* (Brescia 1672), *Il penitente istruito* (Bolonia 1669), apologia religii katolickiej *L'incredulo senza scusa* (Florencja 1690) i inne.

Jako kaznodzieja Segneri był jednym z wielkich mistrzów swoim czasów. Był niewątpliwie reformatorem kaznodziejstwa i odcisnął swój ślad na następnych pokoleniach mówców włoskich. Narzucił na pewien czas obowiązek harmonii pomiędzy słowem, rozumem i uczuciem. Również znaczący jest jego wpływ na pobożność i życie chrześcijańskie. Wskazują na to liczne wydania tekstów jego kazań. Pawła Segneriego Starszego nie należy mylić z jego siostrzeńcem Pawłem Segnerim Młodszym SI (1673-1713), który również działał jako misjonarz ludowy i odnosił na tym polu duże sukcesy. Propagował zwłaszcza kult Matki Boskiej i świętych.

### Podstawowe założenia teologiczne przyświecające misjom ludowym

Chcąc lepiej zrozumieć misje ludowe, podejmowane przez Pawła Segneriego i innych kaznodziejów, warto zapoznać się z przyświecającymi tej działalności pastoralnej założeniami teologicznymi i tematyką poruszaną w czasie ich trwania.

Tradycyjnym misjom ludowym przyświecały trzy cele: bliższy (gruntowna przemiana moralna), dalszy (naprawienie zaniedbań w życiu chrześcijańskim) oraz ostateczny (wieczne zbawienie). Przenikały się one wzajemnie i uzupełniały. Zdecydowanie na plan pierwszy wybijał się cel „bliższy”. Na jego określenie używano najczęściej terminu „nawrócenie”. Dokonanie nawrócenia było głównym celem głoszących misje. W tym zdecydowanym nastawieniu na nawrócenie widziano różnicę pomiędzy misjami ludowymi a innymi formami duszpasterstwa nadzwyczajnego. Sami zaś misjonarze uważani byli za kontynuatorów Chrystusowego wezwania do nawrócenia: „Nawracajcie się, albowiem bliskie jest królestwo niebieskie” (Mt 4, 17).

Nawrócenie oznaczało przede wszystkim odwrócenie się od zła moralnego, jakim jest grzech śmiertelny, w którym widziano główną przeszkodę w rozwoju życia chrześcijańskiego. Stąd też kazanie o grzechu śmiertelnym należało do podstawowych kazań misyjnych. Celem, do którego zmierzano poprzez takie kazanie, było wzbudzenie w słuchaczach obrzydzenia do grzechu, żalu za popełnione grzechy oraz mocnego postanowienia poprawy. W przedstawianiu złości grzechu śmiertelnego skupiano uwagę nie tyle na jego istocie, co raczej na tragicznych skutkach, jakie sprowadzał na człowieka zagrażając osiągnięciu ostatecznego celu, czyli zbawienia wiecznego. Koncepcja nawrócenia w tradycyjnych misjach ludowych nie ograniczała się jedynie do negatywnego aspektu. Domagając się porzucenia grzechu śmiertelnego umożliwiano powrót do Boga. Przejawiał się on w podwójnym wezwaniu kierowanym do uczestników misji: do umocnienia w wierze i do pogłębienia więzi z Kościołem. Postulowane umocnienie w wierze sprowadzało się do uzasadnienia istnienia Boga, konieczności wiary w Niego i przyjęcia za podstawę prawd przez Niego objawionych. Wiarę rozumiało się jako przyjęcie za prawdę tego, co Bóg objawił, a Kościół do wierzenia podaje. W związku z tym umocnić w wierze znaczyło przede wszystkim podać odpowiednie racje przemawiające za przyjęciem poszczególnych prawd wiary. Podawane racje najczęściej sprowadzały się do dowodów na istnienie Boga, na bóstwo Jezusa Chrystusa i na nieśmiertelność duszy ludzkiej. Tak rozumiane umocnienie w wierze posiadało wyraźnie charakter apologetyczny. Z umocnieniem w wierze łączyło się pogłębienie więzi z Kościołem. W kazaniach misyjnych przedstawiano racje przemawiające za prawdziwością Kościoła. Adresatami misji ludowych byli katolicy potrzebujący głównie moralnej odnowy. Grzech natomiast, nawet śmiertelny, nie oznaczał utraty wiary i zerwania więzi z Kościołem, lecz tylko ich osłabienie lub spłycenie.

Misyjne wezwanie do nawrócenia miało ścisłą łączność z udziałem wiernych w sakramentach. W ramach misji największy akcent kładziono na sakrament pokuty, Eucharystii i chrzest święty. Misyjnemu wezwaniu do nawrócenia towarzyszyło przede wszystkim zapraszanie uczestników do korzystania z sakramentu pokuty. Był to praktycznie cel misji. Stąd też nie tylko wygłoszone kazania, ale i cała organizacja misji nastawiona była na spowiedź. Słuchanie spowiedzi uważano za główny obowiązek misjonarzy. Spowiedź odbywaną w ramach misji nazywano często *spowiedzią misyjną*. Miała ona być odprawiona staranniej niż inne zwyczajne spowiedzi, tak jakby była ostatnią spowiedzią w życiu. Ukierunkowana na naprawienie spowiedzi świętokradzkich miała być w zasadzie spowiedzią generalną. Spowiedź generalna konieczna była dla tych, których spowiedzi były nieważne, względnie wątpliwe. Natomiast za pożyteczną uważana była dla tych, którzy się dobrze spowiadali.

Właściwe dla misji ludowych przepowiadanie nawrócenia łączyło się również bardzo wyraźnie z sakramentem Eucharystii. Dlatego też tych, którzy się wyspowiadali, misjonarze zapraszali usilnie do przyjmowania komunii.

Szczególnym wyrazem związku nawrócenia z sakramentem Eucharystii były komunie generalne, czyli stanowe, oraz misyjna uroczystość eucharystyczna – *Sanctissimum*, której początek dał Jacques Bridaine (1701-1767), działający we Francji. Urządzał on z okazji komunii generalnych publiczne przepraszenie Jezusa Eucharystycznego – *expiatio* za zniewagi, zakończone przebłagalną procesją eucharystyczną. Cel tej uroczystości był podwójny: obudzić wiarę, miłość i cześć do Najświętszego Sakramentu oraz przeprosić Jezusa Eucharystycznego za zniewagi, jakich doznał od członków danej parafii i złożyć Mu przyrzeczenia lepszego życia po misjach. Spotkanie z Jezusem Eucharystycznym było z jednej strony uwieńczeniem dzieła nawrócenia, z drugiej zaś stanowiło podstawowy środek jego ostatecznego dopełnienia.

Głoszenie nawrócenia wiązało się również z sakramentem chrztu. Wyrazem tego było urządzane najczęściej na zakończenie misji odnowienie przyrzeczeń chrztu świętego. Miało ono unaocznić uczestnikom, że po dobrym odprawieniu misji znajdują się w takim stanie jak po chrzcie. Nawiązanie do chrztu miało na względzie dwa zasadnicze cele: odnowienie uczestników misji w łasce chrztu utraconej przez grzech śmiertelny oraz potwierdzenie podjętej wówczas za pośrednictwem rodziców decyzji dotyczącej prowadzenia życia godnego chrześcijanina.

### Prawdy wieczne motywem nawrócenia w misjach ludowych

W klasycznej koncepcji misji ludowych szczególne miejsce zajmowały kazania o prawdach wiecznych. Uważano je za istotną część misyjnego kerygmatu. Do kazań o prawdach wiecznych zaliczano kazania o śmierci, o Sądzie Ostatecznym i o piekle. Natomiast kazania o wieczności, o niebie, o sądzie szczegółowym, o czyśćcu, najczęściej wygłaszane były podczas renowacji misji, względnie podczas misji dłuższych, czyli dwutygodniowych. Do kazań o prawdach wiecznych zaliczano również kazanie o zbawieniu, gdyż zawiera ono bardzo mocne zaakcentowanie zbawienia eschatologicznego. W misjach prowadzonych przez redemptorystów było to pierwsze wielkomisyjne kazanie, wygłaszane zaraz na początku misji. Jego odpowiednikiem w misjach jezuickich było kazanie o celu ostatecznym.

Wygłaszane podczas misji kazania eschatologiczne zaliczane były do kazań prowadzących do skrucy i nawrócenia. Związek nawrócenia z głoszeniem prawd eschatologicznych w szczególny sposób ujawniał się w poszczególnych kazaniach. I tak: kazanie o zbawieniu w swej tradycyjnej postaci miało wzmocnić wiarę słuchaczy w życie wieczne, przekonać, że wieczność może być albo niebem, albo piekłem, wykazać, że jakość życia wiecznego uzależniona jest od jakości życia doczesnego, wezwać do wejścia na drogę zbawienia przez porzucenie grzechu i nieodkładanie nawrócenia, gdyż godzina śmierci niepewna. Kazanie o śmierci koncentrowało się na przedstawianiu oczywistości śmierci, nie-

pewności jej godziny, okropności śmierci w grzechu śmiertelnym i kończyć się miało wzbudzeniem aktu żalu „jakby na śmierć”. Zdecydowanie więc nastawione było na pobudzenie grzesznika do nawrócenia. Kazanie o Sądzie Ostatecznym miało charakter rachunku sumienia. Misjonarz wyliczał grzechy, które prowadzą „na lewicę” oraz cnoty i dobre uczynki, które prowadzą „na prawicę”. Tym samym słuchacze przypominając sobie swoje obowiązki i grzechy lepiej przygotowywali się do spowiedzi. Kazanie kończyło się wezwaniem do nawrócenia, gdyż tylko szczerze nawróceni mogą znaleźć się „po prawicy”, czyli w gronie zbawionych obok Chrystusa. Kazanie o piekle miało być tak ustawione, by prowadziło do dobrej spowiedzi i odstraszało od popełniania grzechów ciężkich w przyszłości. Po udowodnieniu istnienia piekła misjonarz wołał jak słynny siedemnastowieczny kaznodzieja Jacques Giroust († 1689): „Zejdźcie w duchu do tej otchłani... Co tam ujrzycie? Bezbożników takich jak wy, bluźnierców jak wy, rozpustników jak wy, chciwców jak wy, szukających pomsty jak wy, obmawiających bliźnich jak wy, jednym słowem – grzeszników jak wy”. Po przedstawieniu mąk piekielnych wzywał do odprawienia szczerzej spowiedzi i poprawy życia. Podobne motywy treściowe widoczne są w *Kazaniu o piekle* Pawła Segneriego Starszego załączonym do tego opracowania.

Analiza kazań eschatologicznych wykazuje, że miały one spełniać rolę motywu nawrócenia; budząc zbawienny lęk służyć miały pragnieniu nawrócenia. Głoszone podczas misji kazania o prawdach wiecznych, a więc kazanie o zbawieniu, o śmierci, o Sądzie Ostatecznym i o piekle służyły budzeniu tej zbawiennej bojaźni Bożej, która „jest początkiem mądrości” (por. Ps 111, 10; Prz 15, 33). Np. w kazaniu o piekle środkiem wzbudzania lęku był opis mąk zmysłowych. Kaznodzieja przedstawiał cierpienia wywołane ogniem piekielnym, męki wewnętrzne, polegające na wyrzutach sumienia, prowadził słuchaczy do bram piekła i kazał im przysłuchiwać się wydobywającym się stamtąd jękom.

Kazania o prawdach wiecznych ukazywały względną wartość doczesności i bezwzględną wartość wieczności. Prawdy eschatologiczne uczyły należytego ustosunkowania się do spraw doczesnych, leczyły z ułudy absolutyzowania doczesności. W kazaniu o zbawieniu mówca kościelny miał wykazać, że największym nieszczęściem człowieka jest potępienie jego duszy, a największym szczęściem jej zbawienie. Wobec tego wszystko, co wiąże się z życiem doczesnym człowieka należało przedstawiać jako coś, co ma wyłącznie względną wartość. Tekstem Pisma Świętego, który tu był mottem i refrenem, były słowa Chrystusa: „cóż pomoże człowiekowi chociażby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł” (Mt 16, 26). Wobec naczelnej wartości duszy i jej wiecznego zbawienia – bogactwa, sława, przyjemności, nauka są nicością. Tę ideę przewodnią kazania o zbawieniu, a także całych tradycyjnych misji wewnętrznych, dobrze wyrażało znane hasło: „Ratuj duszę swoją!”.

Trzecia grupa tematów misyjnych dotyczyła rozwoju życia religijnego. Życie po chrześcijańsku znaczyło wypełniać szczególnego rodzaju obowiązki. Naj-

więcej systematyczności w tym względzie wykazywały nauki stanowe, gdyż zawierały względnie całościowy przegląd obowiązków danego stanu (obowiązki względem Boga, męża i żony, dzieci i bliźnich). Koncepcję życia pobożnego tworzono właściwie w oparciu o trzy cnoty teologalne: wiarę, nadzieję i miłość. Kładziono nacisk na trwanie w łasce uświęcającej i zachowywanie przykazań. Wzywając do prowadzenia życia pobożnego misjonarze wskazywali zarazem na środki do tego służące. Należały do nich: unikanie okazji do grzechu, modlitwa, sakramenty, nabożeństwo do Matki Bożej. Misjonarze nie poprzestawali jedynie na teoretycznych pouczeniach o modlitwie, ale uczyli lud praktycznych sposobów modlenia się, a więc uświęcania dnia przez akty strzeliste, uświęcania pracy przez dobrą intencję, odmawiania powszechnie znanych formuł modlitewnych, modlitwy różańcowej, rozmowy z Bogiem własnymi słowami, a nawet modlitwy myślniej. Propagowano szereg nabożeństw (do Najświętszego Sakramentu, do Serca Bożego, praktyka pierwszych piątków miesiąca i poświęcenie się Najświętszemu Sercu, nabożeństwo do męki Pańskiej, nabożeństwo do Matki Najświętszej i nabożeństwo za zmarłych). Wspomnieć tu trzeba także o uroczystym poświęcaniu przedmiotów służących wzrostowi pobożności jak obrazy, figury, medaliki, różańce czy szkaplerze.

### Klasyk kaznodziejstwa włoskiego

Poruszone wyżej założenia teologiczne i tematyka misji ludowych przyświecały także działalności Pawła Segneriego Starszego. Jego zasługą pozostanie wskazanie kaznodziejstwu włoskiemu właściwego kierunku rozwoju; zamiast bowiem naśladować wielu współczesnych kaznodziejów, którzy uczonymi aluzjami, wybujałymi przerośniami, niezwykłymi, a nieraz dziwacznymi i paradoksalnymi obrazami i przykładami, jak też napuszoną deklamacją starali się olśniewać i zachwycać słuchaczy, on postanowił – jak stwierdza w przedmowie do kazań wielkopostnych (*Prefazione al Quaresimale*) – uczyć, przekonywać i poprawiać. Podobnie jak L. Bourdaloue we Francji Segneri apelował przeważnie do rozumu, a przez rozum działał na uczucia. Główną jego zaletą jest trafny i żywy wykład prawd wiary i moralności chrześcijańskiej, poparty dowodami, wysnutymi z Pisma Świętego i z ojców Kościoła, jak też praktycznymi zastosowaniami. Nie brak u niego porywów patetycznych i śmiałych figur retorycznych, jakimi są apostrofy, dialogizmy, prozopopeje itp. Zarzuca się mu jedynie, że czasem posługiwał się błyskotliwą erudycją, sztuczkami retorycznymi i niezbyt krytycznie dobranymi przykładami, nadmierne odwołując się do mitologii.

W budowie kazań Segneriego godne podkreślenia jest dobre wykończenie planu, należyte powiązanie pojedynczych ustępów i skupienie uwagi na myśli głównej, wskutek czego każde prawie kazanie przedstawia organiczną całość, wolną od niepotrzebnych dygresji i chaotycznego zamętu. Wreszcie na wielką pochwałę misjonarza Italii zasługuje bogaty język; słusznie więc kry-

tyka zalicza go do najwybitniejszych pisarzy włoskich i stawia za wzór do naśladowania. Świadkowie jego kazań wspominają, że mówił on z życiem i namaszczaniem, obrazowo, chociaż przeszkadzała mu głuchota, nabyta jeszcze w młodym wieku na skutek wyczerpanej pracy.



Paweł Segneri Starszy SI

## *Kazanie o piekle*

„Umarł też i bogacz, i pogrzebion jest w piekle” (Łk 16, 23).

I. Albo piekło, albo pokuta! Po co tu codziennie męczyć się kazaniami? Piekło, albo pokuta! Należy wybierać. Czyby ktoś spomiedzy was zamiast pokuty wołał raczej piekło? Ach! gdyby się znalazł taki, dawałby jasno do zrozumienia, że nigdy nie zastanawiał się uważnie, czym jest to okropne miejsce potępienia. Pozwólcie przeto, że dzisiaj, pominąwszy wszelkie inne prawdy, okażę wam jedynie, czym jest piekło. Wielki Boże, dzierżący w ręce swej klucze owych bram, wobec których niczym jest twardość jaspisu albo diamentu, użyż mi ich na chwilę krótką, a otworzę to straszne więzienie potępionych, nie z chęci uwolnienia którego z nich, nie celem podania wody na ugaszenie ich ognia, albo balsamu na ich rany, lub pociechy na ukojenie ich płaczu. Niech poniosą przekłęci sprawiedliwe kary za obrazę Tobie wyrządzoną! Nie są godnymi pomocy i litości. Niech się przeto gryzą, niech się wściekają, niech rozpaczają! Ich to wina. Ja tylko pragnę, by to więzienie okropne nie pochłonęło żadnej ofiary spośród moich ukochanych słuchaczy. Chcę je przeto pokazać na chwilę grzesznikowi, aby poznał, na jak okropne kary naraża się przez grzech, przestępując przykazania Boże. Pokażę bezbożnemu, że wybiera sobie zło, na które nie ma lekarstwa, bo samo cierpienie, same kary.

II. Miłosierdzie i sprawiedliwość są, jak każdemu wiadomo, owymi dwiema rękami, którymi Bóg kieruje wszechświatem. Przeto te ręce muszą być całkiem jednakowe, jeżeli Bóg jest Bogiem, a nie jakimś straszylem. Muszą one być zarówno potężne w działaniu, zarówno niezmiernie, zarówno przedziwne. Któż nie wie, że Bóg, okazując swe miłosierdzie, dokonał spraw, przechodzących wszelką wiarę? Nie tylko znosił On krzywdy cierpliwie od nędznych ludzi, wspomagając ich, sprzyjając im, niejako pieszcząc się z nimi w tym samym czasie, kiedy oni wyrządzali Mu wzgardę, lecz nadto umarł jeszcze za nich, i to śmiercią tak haniebną, tak okrutną, tak wstrętną, iż wielu zdawało się to zgorszeniem, wielu głupstwem. Kiedy zatem Bóg okazuje sprawiedliwość, musi także dokonywać dzieł, trudnych do wiary. „Wedle miłosierdzia Jego, tak karanie Jego” (Syr 16, 12), powiedział Eklezjastyk. Jak więc, chcąc okazać wielkość miłosierdzia, działał na pozór bez sprawiedliwości, podobnie, chcąc okazać wielkość swej sprawiedliwości, tak postępuje, jak gdyby był bez miłosierdzia. Nie opisujcie mi zatem w piekle ciemnych jaskiń, odrażających brudów, okropnych postaci, mieczów, pugińców, kolczastych wozów, strzał, brzytw, strumieni gorejącej siarki, napojów z roztopionego ołowiu, stawów z zamrożoną wodą, kotłów i żelaznych krat; nie opisujcie mi pił, maczug, szydeł do wykluwania oczu, szczypców do wrywania zębów, grzebieni do drapania ciał, młotów do miażdżenia kości, płonących pochodni do palenia wnętrzości, zwierząt dzikich, które pożerają, maszyn do naprężania członków, powrozów, które duszą, trucizn, które odbierają życie, stosów, koni, krzyżów, haków, toporów. Wszystkie te narzędzia katowskie są okropne, lecz ostatecznie są wynalazkiem rozumu ludzkiego. Woły spiżowe pochodzą od Perylla, siedzenia żelazne wymyślił Agatokles. Egipcjanie męczyli pierwsi swe ofiary w ten sposób, że im wbijali za paznokcie ostrą trzcinę. Neron odziewał ludzi jakby płaszczem, skórą zwierząt i wyrzucał rozdrażnionym psom na pożarcie. Maksencjusz przywiązywał ludzi żywych do trupów, by w ten sposób rozpadali się w zgniliznę. Sępy Tytyosa, pragnienie Tantalą,

koła Iksiona, skały Syzyfa były wymysłem Greków. Nie sądźcie zatem, że w piekle podobne ponoszą potępiency męki. Jeżeli te kary są tak okrutne i straszne same w sobie, jakimiż będą dopiero katusze, wynalezione przez Boga, Istotę nieskończenie mądrą i wszechmocną, kiedy On, sprawiedliwie rozgniewany, najdoskonalej objawi wielkość swej zapalczowości przeciwko odrzuconym? „Wedle miłosierdzia Jego, tak karanie Jego”. Pokaże światu Stwórcę, że jak jest nieskończenie miłosiernym w przebaczeniu, tak również sprawiedliwym będzie w wymierzaniu kar. Dlatego owe kary przechodzą nasze pojęcie; spostrzeżemy w nich nieskończoną różnicę, jaka zachodzi między słabością ludzką a wszechmocą Boga. Zważcie dalej, że obraza, wyrządzona Majestadowi Boga, jest tak wielką, iż żadna najcięższa kara jej nie dorówna; i stąd sprawiedliwości Bożej nigdy nie stanie się zadość, lecz potępiency zawsze będą jej dłużnikami. Wyobraźcie sobie więc, jakimi będą te kary, których wymiar nie może się wyrodzić w okrucieństwo. Prawdziwie Bóg, według słów Joba: „wyleje na nich fale swej zapalczowości” (Hi 20, 23). Kołczan swój wypróżni ze strzał, zbrojownię z żelaza, arsenały z piorunów i przez to spłaci choć w części dług swej sprawiedliwości. „Wykonam rozgniewanie moje na nich” (Ez 6, 12). Niech się tedy nikt z nas nie spodziewa w piekle orzeźwienia, wypoczynku albo pokoju, bo go tam być nie może. Byłoby to bowiem objawem litości i miłosierdzia, których w miejscu wiecznego odrzucenia nie ma, bo tam panuje nieubłagana sprawiedliwość. „W piekle nie masz żadnego odkupienia”. A zatem mówi św. Augustyn: „są tam jęki i wzdychania, lecz nie ma, kto by się zmiłował; tam panuje płacz i ból, lecz nie ma, kto by wysłuchał” (*Sermo ad fratres in eremo*).

III. W tym życiu zwykle na każde złe są pewne środki kojące, każda rana ma swój balsam, każda trucizna ma swoje antidotum. Nie myślcie, że tak samo jest w piekle. Są tam, prawda, najboleśniejsze oparzenia, lecz nie masz maści, która by je łagodziła. Tam palące pragnienie, ale nie ma wody orzeźwiającej; głód tam nieznośny, ale nie ma posilającego pokarmu; ponury tam smutek, którego sen nie przerywa. Wstyd tam nieznośny, lecz nie ma zasłony na jego pokrycie. Czy może śmierć przynajmniej położyć koniec tylu biadom? Natchniony pisarz Księgi Mądrości mówi, że tam nie można się wcale spodziewać tego lekarstwa nader smutnego i okropnego, tj. zagłady zupełnej! „Nie masz w nich jadu zatracenia” (Mdr 1, 4). Mityrydates, sławny król Pontu, nie widząc innego środka przeciwko niewoli, jak samą śmierć, postanowił się otruć. Ponieważ jednak przyzwyczał swój żołądek do trucizny, dlatego wcale mu nie szkodziła, owszem, służyła mu za pożywienie. Z powodu tego rozpaczal ów nieszczęśliwy król. Lecz prawdę powiedziawszy, Mityrydates nie był jeszcze dotąd nieszczęśliwym, okazał się tylko tchórzem podłym. Jeżeli istotnie chciał umrzeć, czyż mu brakowało środków do tego? Wszak na świecie każda rzecz może nas łatwo pozbawić życia, a żadna nie jest w stanie go przywrócić. Nie powinien się być użalać, że mu trucizny nie szkodziły. Mógł przecież rozszarpać pierś swoją włócznią, mógł się powiesić lub skoczyć w przepaść i roztrzaskać się. Ileż rodzajów śmierci mógłby był znaleźć w falach morskich! Wiry obiecywały mu u siebie łoża, wieloryby i konie morskie najchętniej by go połknęły. Gdyby był zapuścił się w las, na każdym drzewie znalazłby był szubienicę. Śmierć by mu przyniosły owe jaskinie, gdzie mieszkają dzikie zwierzęta, piece, z których buchają płomienie, wieże, z których strącają zbrodniarzy. On chciał zginać od trucizny, z którą się oswoił; pragnął bowiem doznać nie męki, ale korzyści ze śmierci. Wiecie, kiedy by ten nieszczęśliwy miał słuszny powód do żalów? Słuchajcie! Gdyby był odważnie rzucił się na włócznię, a ta by go była jedynie zraniła, nie zadając śmierci; gdyby był gardło ścisnął powrozem, a powróż sprawiłby mu był śmiertelną trwożę, a nie

przyniósł śmierci; gdyby się był rzucił w przepaść i odniósł był jedynie ciężkie potłuczenie; gdyby był doświadczył na falach morskich jedynie losu biednego rozbitka; gdyby był nie znalazł śmierci w paszczęce żarłoczných potworów wodnych; gdyby mu szubienica, dzikie zwierzęta, ogień, tylko męczarnie były zadały, ale nie pozbawiły go życia, wówczas prawdziwie byłby nieszczęśliwym. Takim właśnie będzie los potępionych w piekle. Oto, co mówi św. Jan Apostoł: „szukać będą ludzie śmierci, a nie znajdą jej” (Ap 9, 6). Przez całą wieczność będą szukali śmierci, chociażby była najokrutniejszą, a nie będą jej mogli znaleźć. Śmierci! śmierci! gdzie jesteś? będą ustawicznie wołali, jęcząc głośno wśród tych ciemnych jaskiń. Któryż litosny demon przyniesie nam tę upragnioną łaskę? Ach, ja nieszczęśliwy, powie Abimelech – a gdzież jest ów pugań, którym mógłbym przecież raz zmasać swój wstyd? Gdzie mój stos? zawoła król Zambri. Gdzie mój powróż? doda Achitofel. I dlaczegoż w miejscu tyłu kaźni nie można znaleźć zagłady? Wy, robaki, dlaczego dotychczas nie stoczyłyście nas? A wy płomienie, dlaczego nie spaliłyście nas? Widząc jezioro smoły albo siarki wrzącej, pobiegną skwapliwie, aby się w niej zanurzyć, w nadziei, że na dnie jeziora tego ułowią śmierć; nie znajdą jednak tego wielkiego dobrodziejstwa, wyjdą stamtąd z tym większą wściekłością i pójdą szukać śmierci tam, gdzie najsmrodliwsze wyziewy, gdzie najgęstsze i najostrzejsze brzytwy, gdzie najcięższe kamienie młyńskie. Tu się pogrzebią i obracać będą, chcąc się zemleć na proch; ale na próżno! „Nie znajdą nędzni śmierci, nie znajdą” (por. Ap 9, 6). Niechaj się rzuca w otwarte paszcze smoków, niechaj się ścielą pod pazury tygrysów, znajdą tam wprawdzie męczarnię, ale nie śmierć! „Będzie karan za wszystko, co działał, a przecie nie zniszczyje (Hi 20, 18), są słowa Joba. Nie ma tam śmierci, śmierć tam nie umiera, śmierć tam nieśmiertelną. Wielkim dobrodziejstwem byłaby ona w tym miejscu wiecznych nieszczęść, nie zmieniających się co do natury z upływem wieków. I cóż wy na to, Słuchacze? Czy na myśl o tym nie stają wam z trwogi włosy na głowie? „Czyż serce nie wstrząśnie się?” (*Sero 3 in Dom. 2 post Epiph.*) wołam ze św. Bonawenturą; „któż nie dozna obawy, któż nie zadrży, zastanawiając się nad karami piekła, nie tylko nieznosnymi co do srogości, ale także wiecznymi i niekończącymi się nigdy?”. Kto pojmie, co znaczy ciągle ponosić katusze i ciągle cierpieć? „Ich kara będzie trwała na wieki” (Ps 81, 16), mówi o potępionych król Dawid. Powiedźcie jednak, co znaczy to słowo „na wieki”? Gdyby mały wróbel corocznie pił jedną kroplę z morza i gdyby wreszcie wszystkie oceany wysuszył, czyżby się może już skończyły męki tych nieszczęśliwych? Nie! Dłuższy przeciąg czasu oznacza to słowo „na wieki”. Gdyby małe robaczki raz na rok ugryzły które z leśnych drzew, pożarłyby wszystkie lasy, a z wieczności jeszcze by nic nie upłynęło. Gdyby mrówka na rok raz się tylko poruszyła, okrążyłaby całą ziemię, ale wieczność daleko dłuższa od czasu na to potrzebnego. A gdyby ten wszechświat cały napełnił się najdrobniejszym piaskiem i gdyby raz na wiek brano zeń jedno ziarnko, czyż przestaliby cierpieć ci nieszczęśliwi, gdyby ten wszechświat zupełnie się wypróżnił? Bynajmniej! Z wieczności nic by jeszcze nie upłynęło. A gdyby ten cały świat był z najtwardszego spiżu i gdyby co sto lat raz tylko weń uderzono, to kiedyś rozpadłby się w kawałki, lecz nieszczęśliwi nie przestaliby jeszcze cierpieć! Nie! oni będą w piekle na wieki. Wyobraźmy sobie, że co milion wieków wylewa potępiony dwie łzy, czyż przestanie on cierpieć wówczas, kiedy z łez jego powstałby większy potop, niż był za czasów Noego? Ale skończmy; to wszystko są porównania dziecinne. Na wieki będą cierpieć potępieni, na wieki, tj. w nieskończoność, bez liczby, bez granic, bez miary. Posłuchajcie, jak uroczyście mówi Bóg: „Ześle w ich ciało ogień i robactwo, i jęczeć będą z bólu na wieki” (Jdt 16, 17). Ach, grzmot to okropny, gniew to przerażają-

cy! Dlaczegoż już to samo słowo „na wieki” nie napęlnia trwogą myśli naszej i nie przeraża serca? Gdzie jesteście groty, przepaści, jaskinie, chcę się zamknąć wśród was, aby nie oglądać więcej twarzy człowieka i promieni słońca, aby płakać i powtarzać: Wieczności, wieczności! Chciałbym bowiem pojąć, co znaczy być odrzuconym na wieczność całą.

IV. Widzimy, jak na świecie nawet rozrywki, dłuższy czas trwające, sprawiają przesyt. Preto trzeba miarkować ucztę, gry, polowania, komedie, muzyki, chociaż z początku są tak miłymi. A oto kary tak liczne i tak bolesne ciągnąc się będą przez całą wieczność. Nieraz, podróżując podczas letnich skwarów, spotykałem kwicistą łąkę. Osłabiony i znużony, kładłem się na niej w cieniu drzew. Łagodny wietrzyk osuszał mi pot z czoła, a ucho moje pieściło się szmerem wód i śpiewem słowików. Jak wielką sprawiało mi to początkowo rozkosz! Lecz cóż? Wnet miałem ochotę się podnieść. Gdyby mię ktoś zmusił leżeć tam nieruchomo na jednym boku przez cały dzień, ach, te rozkosze zamieniłyby się dla mnie nagle w męczarnię! Na samą myśl o tym, śpiew ptaszak wydawał mi się ponurym, szmer strumyka nieznośnym, chłód niemiłym, cień złowrogim, a kwiaty ciernistymi. Nieszczęśliwi potępieńcy! Nie przez dzień jeden, ale wiecznie będą musieli leżeć w tym samym ogniu, „w jeziorze gorejącym ogniem i siarką” (Ap 21, 8), jak mówi św. Jan w Apokalipsie. Jezioro to, czyli bagno, zwie się gorejącym dla okropnej działalności ognia. Otoczeni w nim będą obrzuceni tymi samymi skorpionami i będą ciągle wystawieni na szyderstwa tych samych demonów, nie mając nigdy nawet krótkiego odetchnienia. „Męczarnie ich nie będą miały ni przerwy, ni końca” (*Ep. ad Demetr.*), mówi św. Cyprian. Jakież tam ogarnie ich gniew i szaleństwo? Bluźnić będą owej nocy, w której na świat przyszli, złorzeczyć łonu, które ich nosiło, pierścionom, które ssali. „Niech przepadnie dzień mego urodzenia i noc, gdy powiedziano: Poczęty mężczyzna” (Hi 3, 3). Niech wyją przekłęci, jak się im podoba; należą oni już do nieszczęśliwego ludu, o którym mówi Malachiasz: „Lud, na który się rozgniewał Pan na wieki” (Ma 1, 4).

V. Ktoś może uważałby sobie to za pociechę, że w piekle tyłu razem cierpi; często bowiem można słyszeć podobne słowa: O, gdy pójde do piekła, nie będę tam sam! Ach, głupi, głupi, co mówisz? Nie będziesz w piekle sam? Tym gorzej dla ciebie! Czy sam mieszkałbyś w klasztorze Kartuzów, albo Kapucynów? Bez wątplenia nie! Miałbyś bowiem w celi zakonnej Aniołów za towarzyszy. Mimo to nie masz ochoty i odwagi zamknąć się w murach klasztornych. Więc piekło nie wydaje ci się tak okropnym, ponieważ nie będziesz tam sam? Za życia, nie można zaprzeczyć, wielką nam sprawia pociechę, gdy mamy towarzyszków niedoli, a to dlatego, ponieważ od nich spodziewamy się pomocy lub przynajmniej pociechy i współczucia. Inaczej jest w piekle, gdzie jeden drugiemu przyczynia cierpień. Tam potępieńcy, jak wielka wiązka cierni razem połączonych, kłują się wzajemnie i uciśkają. Podobieństwa tego używa Nahum prorok, mówiąc: „Bo jako ciernie razem splecione” (Na 1, 10). I cóż tam robi owo liczne grono towarzyszy? Nie wspomagają się wzajemnie, lecz przeciwnie, gniotą się, ściskają, głuszą i sprawiają nieopisany zamęt i nieład. O ileż tedy byłoby lepiej pozostać samotnym? Prawda, że pałając ku sobie wzajemną wściekłością, wolą pozostawać razem, by sobie złorzeczyć, pożerać się i znieważać. „Dla gniewu Pana zastępów będzie lud jako strawą ognia, mąż bratu swemu nie sfolguje, każdy mięso ramienia swego żreć będzie” (Iz 10, 17), mówi Izajasz Prorok. To znaczy, że Manasses Efraima, a Efraim Manassesza żreć będzie. Cóż tedy? Uczucie nienawiści, to trucizna; nie sprawia ono żadnej pociechy potępionym, którzy, gdyby mogli, jeszcze by okropniej dręczyli swoich towarzyszy. Wyraża to Prorok, mówiąc o każdym z nich: „I ustąpi na prawą stronę, a łaknąć będzie: i jeść będzie na lewej, a nie naje się” (Iz 10, 20).

VI. Taką nienawiścią pałać będą ku sobie potępienicy. Osądźcie, jaką ona będzie względem szatanów, głównych sprawców ich nieszczęścia. Ach, co za przerażający widok! Zobaczą nieszczęśliwi owych uwodzicieli podstępnych, jak ich będą okrutnie dręczyli. Na widok czarta straszne ogarnie ich oburzenie. A jednak, według Joba, potępieni ciągle będą mieli około siebie swoich zdrajców: „Pójdą i przyjdą nań straszliwi” (Hi 20, 25). Ciągłe doznawać będą szyderstw i udęczeń od nich, lecz ze swej strony nie będą się mogli mścić, ponieważ szatani będą katami potępionego, a nie potępiony szatana.

VII. Wielkie to zło, lecz sądzę, że ono niczym jest, w porównaniu do tego, o czym teraz mówić będę. Wściekłość potępionych znajduje poniekąd w tym swoje nasycenie, że się przynajmniej paść będą widokiem nieszczęść, które ponoszą również szatani. Cóż jednak powiemy o nienawiści względem Błogosławionych, w której odrzuceni żadnej nie znajdują ulgi? Ach, to ich męczyć będzie niewymownie, to ich wprawi w okropny szal, jako wariatów. Spojrzaj ku niebu empirejskiemu i zobacz, jak łatwo niejeden z Błogosławionych osiągnął tę szczęśliwość, z której oni wypadli. Ach, jakież jęki i wycia wydawać będą wówczas z głębi swej istoty! Józefa Patriarchę nienawidzili własni bracia i zamierzali odebrać mu życie, ponieważ widzieli go w większych pieśczętach i miłości u ojca. „Chodźcie, zabijmy go”. A jakież to były owe szczególniejsze pieśczęty, których doznawał niewinny młodzieniec? Sukienka piękniejsza, uśmiech słodszy, pocałunek serdeczniejszy. Potępieni zobaczą u Boga w chwale wielkiej nie tylko brata swojego, lecz niekiedy może swego współzawodnika, swego nieprzyjaciela, tego, którym za życia, jako ubogim wzgardzili, z którego szydzili jako z głupca, albo którego dręczyli jako niewolnika. Cóż tedy dziać się z nimi będzie na ten widok? Sądzę, że w ich sercach powstanie boleść tak szalona, że gdyby ktoś dał im do wyboru albo wejść pomiędzy Błogosławionych na wieczne gody, albo ich ściągnąć na męki wieczne wśród siebie, woleliby widzieć Błogosławionych w piekle, niż siebie w niebie. – Prawda, że to uczucie ohydne, które zrozumie ten, kto wie, jak straszną męczarnią duszy jest zawiść. W porównaniu do niej niczym są kamieniołomy syrakuskie i więzienia Agrygentu. Albowiem według uwagi św. Cypriana, inne cierpienia z natury swej nie wykluczają pewnej pociechy, zazdrość nie przyjmuje żadnej. „Nienawiść względem szczęśliwego, to choroba bez lekarstwa” (*Lib. de zelo*). Kiedy Bóg groził niegdyś Helemu dla zbrodni jego niesfornych synów, jakież kłęski mu zapowiadał? Czy, że zabierze mu dochody, wytraci jego ród i rodzinę? Nie, na to nie kładzie największego nacisku. Czymże tedy mu grozi? Oto, że w świątyni umieści w wielkiej chwale jego współzawodnika: „Będziesz patrzył na przeciwnika twego w kościele, we wszem szczęściu Izraelowym” (1 Krl 2). A coź zrodziło ową boleść w Ezawie, że jęczał okropnie, albo co Saula wprawiło w szal, jak nie szczęście przeciwników, któremu przeszkodzić nie mogli? Lecz nie szukajmy dalekich dowodów. Utkwijmy wzrok w dzisiejszego bogacza ewangelicznego i zastanówmy się, dlaczego on pragnął wśród płomieni ognia kropli orzeźwiającej, dlaczego prosił, by mu ją Łazarz przyniósł: „Poślij Łazarza”. Czyż nie byłoby stosowniej, gdyby sam bogacz przybył tam, gdzie Łazarz doznawał nieopisanej radości? Dlaczegoż prosi, by Łazarz zeszedł do niego? Dlaczego chciał mu przerwać spoczynek, którego używał na łonie Abrahama? Dlaczego niepokoił go? „Nie dziwcie się”, – odpowiada św. Piotr Chryzolog – Nie z powodu boleści nędznik tak przemawia, ale z powodu dawnej zazdrości. „Bardziej go zazdrość pali, niż piekło”. Dotkliwiej od ognia piecze go zawiść. Nie może znieść chwały i szczęścia tego, którego na ziemi mniej cenil od swych psów. Dlatego obecnie nie tyle mu się rozchodzi o ulgę z rąk Łazarza, jak raczej pragnie zadać Łazarzowi cierpienie. „Widok szczęścia tych,



którymi za życia gardzili, jest dla nich ciężkim złem, jest nieznosnym ogniem. Chce przeto sprowadzić do siebie Łazarza, a nie myśli sam udać się do niego” (Chryz., *Sermo* 12, 2). Wyobrażam sobie, co by był uczynił, gdyby go był dostał w swoje szpony. Byłby się rzucił nań jak wściekły pies, albo buhaj nieujarzmiony, byłby niewdzięcznik za kroplę wody wyrzucił nań z wnętrzości swoich morze ognia, starałby się być ogień ten przelać we wszystkie jego żyły, we wszystkie ścięgna. Piekło swoje wrzuciłby był w jego kości i szpik. Nie wolno jednak grzesznym biesiadnikom wniknąć do królestwa Łazarzów, ani Łazarzom zstąpić w jaskinię potępionych bogaczy. „Między nami i wami otchłań wielka jest utwierdzona” (Łk 16, 26). Jak okropna będzie więc boleść tych nieszczęśliwych, gdy zobaczą, że pomimo ich jęków, wycia i gniewnego parskania przeciwnik wiecznej będzie doznawał radości? Nie zdołają mu sprawić najmniejszej przykrości, nie zakłócą żadnej jego pociechy, ani jednego włosa z głowy jego nie wyrwą. Któża boleść może tak przenikać aż do szpiku kości? „Spróchnienie kości, zazdrość” (Prz 15, 30).

VIII. To by jeszcze niczym było; ale nadto zobaczą, jak sobie Niebo szydzić będzie z ich mąk. Nie tylko Święci i Święte, nie tylko wszyscy Aniołowie, lecz także Bóg sam będzie się śmiał z nich, gardził nimi i ze swego tronu chwały będzie z upodobaniem wielkim spoglądał na ich cierpienia. Czytamy w Księdze Mądrości: „Pan naśmiewać się z nich będzie” (Mdr 4, 18); a Psalmista powiada: „który mieszka w niebieszech, naśmiej się z nich: a Pan szydzić z nich będzie” (Ps 2, 4). Słuchajcie, co mówi jeszcze Bóg przez usta Ezechiela: „Aleć i ja będę klaskał ręką w rękę i wypełnię rozniewanie moje” (Ez 21, 17). Nie można graczowi większej wzgardy wyrządzić, jak śmiejąc się zeń wówczas, gdy on przegrywa i z tego powodu się złości. To go wprawia w szał, tak, iż gryzie kości, targa karty, przewraca stoły, jeżeli już nie może wprost rzucić się na tego, który wygrał. Jakichże doznają boleści serca odrzuceni, gdy będą w zawiści płakali nad szczęściem swych przeciwników, a przeciwnicy odwrotnie będą sobie urągali z ich nieszczęścia? Zaprawdę, będzie to dla nich najcięższym smutkiem. Chcę wam to jeszcze żywiej przedstawić. Zbierzcie więc myśli swe i wyobraźcie sobie w duchu starożytny Rzym w chwili, kiedy się pali, kiedy cały w ogniu i płomieniach, kiedy przedstawia obraz małego piekła. Płomienie, podłożone w kilku punktach miasta, podnoszą się zwycięsko, już nie tylko ponad chaty biedaków, lecz także i ponad pałace możnych. Wieże, zamienione niejako w latarnie morskie, przedstawiają z daleka oku widok strasznego zniszczenia. Zapadają w ruiny owe kolosalne budowle, nad którymi pracowało tylu doświadczonych mistrzów. Płomienie rozpyłują się po wspaniałych parkach, po ogrodach owocowych, wciskają się do publicznych spichrzów i pożerają chciwie za jednym przejściem zbiory, nagromadzone z tylu prowincji. Lud, strwożony tym widokiem, nie wie, gdzie się obrócić, albo co czynić. Nie mają czasu malarze ocalić swych płócien, rzeźbiarze swych marmurów. Świetne zdobycze: chorągwie, łuki i trofea, pamiątki po tylu rozbitych i rozproszonych wojskach, stają się teraz łupem niszczącego żywiołu. Słychać zewsząd pomieszane jęki dzieci, oślepionych dymem, otoczonych ciemnością, widać, jak na czworakach szukają po ulicach łona matki; słychać jęki żon, bo w płomieniach stoją komnaty małżeńskie; rozlegają się jęki kapłanów, bo w gruzy upadają ołtarze; lamentują senatorowie, bo ich wystawne odzienie w popiół się zamienia; płaczą rzemieślnicy, bo muszą oddać na pastwę płomieni to, czego nie chcieli sprzedać za ceny umiarkowane dla swej chciwości. Gdy tak uporczywie szerzy się pożar, jeden ucieka na pola, drugi kryje się po jaskiniach, inny biegnie do rzeki i zdaje się, jak gdyby wszyscy miłośnie przemawiali do Tybru, aby teraz wystąpił z brzegów, przewrwał groble i zaprowadził biednych rozbitków do miasta, zalewając szalejący żywioł. Biedny Rzy-



mie! Któż jest sprawcą twego tak oplakanego losu? Czy barbarzyńca Wandal, czy wściekły Got, albo czy jaka furia, wypuszczona z głębokości piekielnych? Ach! nie szukaj tak daleko źródła twoich klęsk. Twój Neron jest tego sprawcą; do Nerona przeto uciec się należy, Nerona należy błagać, Neronowi się polecać, by udzielił pomocy przeciwko złemu, jeżeli w ogóle może się znaleźć na nie jakie lekarstwo. Lecz oto, gdy nieszczęśliwi szukają Nerona, znajdują go na najwyższej wieży miasta; stoi i z rozkoszą przygląda się pożarowi, na cytrze opiewa ich jęki i szczydzi z ich smutku. Ach, moi Słuchacze, jakaż wściekłość musiała ogarnąć mieszkańców na ten widok? Rzym się pali, a Neron się śmieje! Musieli wówczas zgrzytać zębami z oburzenia ci nieszczęśliwi i strasznie złorzeczyć okrutnemu cesarzowi. Ileż zbrodniczych myśli i złowrogich postanowień zrodziło się wtedy w ich duszy? Ja sądzę, że wielu w rozpaczy rzuciło się w środek płomieni, nie mogąc przeżyć tych okropności. Gdyby wieża, na której tryumfował Neron, nie była otoczona przez liczne stráže wojska, byłiby ją podpalili, lub, nie mając w pogotowiu wież oblężniczych, byłiby ją usiłowali zbурzyć potęgą swych jęków. A teraz wiedźcie, że równym, a może nawet i większym jest oburzenie i wściekłość potępieńców przeciwko Bogu. Goreją w ogniu daleko gwałtowniejszym, który niszczy nie ulice, nie domy i sprzęty, lecz pożera życie. „I będzie lud, jako strawa ognia” (Iz 9, 19) – mówi Izajasz prorok. A oto, kiedy podniosą oczy i zwrócą się do tego wielkiego Boga, który ów pożar wzniecił, widzą, czy mam to powiedzieć? widzą, jak On jest dla nich – według ich pojęcia – Neronem dla sprawiedliwej surowości. Nie tylko nie chce ich pocieszyć i dopomóc, nie tylko nie okazuje współczucia, lecz nadto „klaska ręką w rękę” (Ez 21, 17) i z pewnym upodobaniem śmieje się z nich. Pomyślcie tedy, w jakie szaleństwo i wściekłość popadną na ten widok! My się palimy, a Bóg się śmieje! Ach, nielitościwy i okrutny Boże! Dlaczego nie potrząskasz nas Twoimi piorunami, zamiast nam złorzeczyć? Podwój płomienie nasze, pomnóż ich moc, niech nas okrutniej palą, ale nie szczydź z naszego nieszczęścia. Ach! śmiech ten dla nas dotkliwszy od płaczu naszego. Radość to dla nas najsmutniejsza! Dlaczego piekło nie posiada głębszych przepaści, byśmy tam uciec mogli przed obliczem śmiejącego się Boga? Bardzo się myli, kto powiedział, że największą męczarnią naszą w piekle będzie wzrok zagniewanego Boga. Jest nią bowiem raczej śmiejący się Bóg. Chcąc się ukryć przed Jego obliczem, pragnęlibyśmy, aby góry spadły na naszą głowę, albo ziemia rozstała się pod stopami naszymi. Gdzie owe ponure i głębokie ciemności nam obiecały: „Którym burza ciemności na wieki jest zachowana?” (Jud 1, 13). Nie mogąc wydać wojny niebu, jak niegdyś zuchwali Giganci, zwrócą nieszczęśliwi potępieńcy wściekłość przeciwko sobie samym: „A ludzie z bólu gryzli języki” (Ap 16, 10) – czytamy w Apokalipsie. Pożerać będą swe ciało, wrywać sobie włosy, drapać twarz, a może nawet w napadzie szalonej wściekłości włożą palce do ocz, by je wylupić i uwolnić się od widoku Boga, który ich karze ze śmiechem. Niech czynią, co chcą, nieszczęśliwi, atoli przez całą wieczność będą mieli przed sobą ten widok bolesny. Rzym, zamieniony przez Nerona w zgłiszczę, wkrótce się odrodził ze swoich popiołów, jako Feniks i ozdobił się na nowo wspaniałymi budowłami i pysznymi willami. Odrzuceni zaś ciągle się palić będą w ogniu, bez pociechy, na podobieństwo wielkiego stada zwierząt razem powiązanych, jako nieustająca ofiara dla przebłagania Boskiej sprawiedliwości. „A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi” (Ap 14, 11). Stając się z dniem każdym czarniejszymi, bardziej spalonymi, smrodliwymi, niekształtniejszymi, wyrzucać będą ze siebie coraz rozpaczliwsze bluźnierstwa. Poznają doskonale, że dla nich nie ma już żadnej nadziei i pomocy, ponieważ Bóg nie tylko nie lituje się nad ich nieszczęściem, lecz nawet z nich się śmieje. Posłuchajcie gróźb Mojżesza, które się odno-

szą tak do Żydów, jak i do wszystkich przeklętych: „Jako podobało się Panu dobrze czynić wam, rozmnażając was, tak będzie się Panu podobało zniszczyć i wytepić was” (Pwt 28, 63). Oto nowe zło, które oglądałem, zwiedzając dzisiaj więzienie piekielne. Czy myślicie, że tam jest jaka pociecha? Nie ma żadnej! Nie bez przyczyny nazwane jest piekło miejscem męczarni, ponieważ męki znajdują się tam jakby w swoim ognisku: tam same cierpienia, tam same kary. Zamknijmy już to straszne więzienie, a oddawszy klucze niebu za pośrednictwem Anioła, zakończmy słowami drżącego z trwogi ojca Kościoła: „Biada, biada, po trzykroć biada tym, którzy pierwej chcą doświadczyć tych rzeczy, niż w nie uwierzyć!” (Greg. Niss, *Hom. 1*).

IX. Jeżeli Achab, usłyszawszy mniejsze groźby z ust proroka Eliasza (3. Reg. 21, 27), podał na sobie ze strachu wielkiego odzienie purpurowe, okrył się szatą pokutniczą, posypał popiołem, niszczył głodem, cóż uczynią ci, którzy słyszeli o daleko groźniejszych karach? Czy pobiegną do domu z płaczem i zamkną się w klasztorach, lub ukryją się przed światem w pieczarach samotnych skał? Zaprawdę, powiadam wam, że wielu jest takich, którzy się wcale nie starają uniknąć potępienia, którzy otwarcie mówią, że wolą iść do piekła, aniżeli się wyrzec grzesznych przyjemności, aniżeli oddać pokrzywdzonemu zabrane mienie i naprawić naruszoną sławę bliźniego. Iluż to ludzi wybiera raczej piekło, niż życie spokojne, bez zamieszek i kłótni? Ach, iluż to mamy takich! Czy nie słyszeliście wyraźnie słów Chrystusa (Mat. VII, 13), że szeroką jest droga, która prowadzi na potępienie. W Paryżu umierał pewien znakomity kanclerz, ulubieniec arcybiskupa. Dostojnik ten kościelny prosił go w chwili zgonu, ażeby po śmierci przyszedł, gdyby Bóg na to pozwolił i opowiedział, jaki los przypadł mu w udziale na drugim świecie. Konający kanclerz przyrzekł to uczynić. Pewnego razu, gdy arcybiskup oddawał się lekturze w samotnym gabinecie, zobaczył przed oczyma swymi zmarłego przyjaciela, pokrytego żałobną szatą pogrzebową, pogrążonego w smutku. Na ten widok wielce się przestraszył arcybiskup. Przyszedłszy do siebie, pyta nieboszczyka, czego by sobie życzył w tym miejscu. Zmarły przyjaciel odpowiada, że przychodzi, ażeby dotrzymać danego słowa i że w imię Pana Boga uwiadamia go, jako jest skazanym na wieczny ogień, już to dla swej dumy, już to dla zmysłowości. Osądźcie sami, jak głęboko musiał się zasmucić arcybiskup na tę wiadomość. Zapytał więc, czy może mu przynieść jaką pomoc. Zmarły wyraził swe zdziwienie z powodu tego pytania. Już dawno bowiem powinien był wiedzieć, że z piekła nie ma wybawienia. Jedną rzecz, dodał, chciałbym wiedzieć, jak długi czas upłynął od mojego pobytu na tamtym świecie. Arcybiskup odpowiedział: Dziś właśnie kończy się trzydzieści dni. Trzydzieści dni? – zawołał nieboszczyk. – Czy nie więcej? czy nie więcej? Biada, biada, biada! – Co tobie? zapytał arcybiskup. Dlaczego tak jęczysz? Ach, biedni my potępieńcy! dodał przyjaciel. My wszyscy w piekle sądziliśmy, że już blisko dzień sądny. – A dlaczego? Bo jako płatki śniegu spadają w ziemie na ziemię, tak dusze lecą do piekła. To rzekłszy, jęknął przeraźliwie i zniknął. Słyszeliście, moi drodzy Chrześcijanie, że jako płatki śniegu, tak dusze lecą do piekła. Słusznie tedy należy się obawiać, że niejeden, że niejedna z nas tu obecnych, będzie może z liczby tych najnieszczęśliwszych i w rzeczywistości doświadczy tego, o czym tu mówiliśmy. Dlatego to powiedział Izajasz prorok: „Szeol rozszerzył swą gardziel, rozwarł swą paszczę nadmiernie” (Iz 5, 14). Ach, paszczę piekła nie mają miary i granic! Kto policzy tych, których one codziennie pochłaniają?

X. Cóż mam tedy czynić dzisiejszego poranku, jak nie lać strumieni łez nad tymi duszami, które widzą przed sobą otwarte piekło, ale się przed nim nie cofają, lecz zapamiętałe rzucają się w jego płomienie. Ach, zatrzymajcie się chwilę, nieszczęśliwi, zanim skoczycie w tę przepaść! Pozwól-

cie, że was zapytam słowami tego samego Proroka Izajasza: „Kto z was wytrzyma przy trawiącym ogniu?” (Iz 33, 14). Przebac mi, ludu mój! nie odejdziesz stąd, dopóki nie odpowiesz na pytanie, które ci stawiam w imieniu Boga: „Kto z nas wytrwa wobec wieczystych płomieni?” Co powiesz na to, ty niewiasto, któraś przyzwyczała do pieszczot swe ciało? Czy potrafisz mieszkać w upaleniu wiecznym? Ty nie możesz znieść teraz spokojnie ukłucia igły, gdy podczas szycia zakrawisz lekko swe ciało. Jak ci się zdaje? Czy potrafisz się oprzeć tym okropnym toporom, gdy rąbać będą twe członki, odzierać ciało z kości i miażdżyć je przez całą wieczność? Co powiesz na to, o człowiecze, tak gorliwie szukający wygód? Czy wytrwasz wobec wieczystych płomieni? Ty nie możesz znieść obecnie niemilego zapachu, bijącego z łachmanów żebraka; twój nos zanadto delikatny. Co ci się zdaje, czy potrafisz znieść te smrodliwe bagna, które cię będą dusiły, zatruwały i wieczną napełniały trwogą? A ty, kapłanie, opieszale w spełnianiu obowiązków swoich, czy wytrwasz wobec wieczystych płomieni? Ty nie możesz jednej godziny wytrwać skromnie w chórze kościoła przy czynnościach świętych, ażeby nie rzucać wzrokiem na wszystkie strony, ażeby nie zakładać jednej nogi na drugą, ażeby nie puszczać wodzy językowi na przeróżne rozmowy. – Co sądzić? Czy wytrwasz na wieki, nie mówię już, siedząc na pięknym krześle orzechowym, lecz na żelaznych torturach, na ognistym łożu, słysząc naokoło wycie demonów? Co powiesz, chciwy skąpcze, co powiesz obmówco, co powiesz rozpustniku? Co powiesz, młodzieńcze, wylany na wszelką swawolę? czy wytrwasz wobec wieczystych płomieni? Ach, kto z was będzie mógł wytrwać w piekle? kto? Lecz dlaczego ja o innych tak długo rozprawiam? O sobie samym powinienem to wyrzec, o sobie nędznym zakonniku, bo nim jestem; nie mogę tego zaprzeczyć, bo noszę zakonny habit. Lecz jakżem mało skłonny do prawdziwej pokuty, którą bym czynić powinien za me grzechy! Jeżeli teraz nie mogę opłakiwać złości moich u stóp Zbawiciela przez krótki czas, jeżeli teraz tak bardzo lubuję się we własnych wygodach, jeżeli tyle ubiegam się jeszcze o dobrą opinię u świata, czy będę mógł kiedyś ja nędzny leżeć przez całą wieczność u stóp Lucypera? Stopy bowiem Lucypera są miejscem przeznaczenia dla podobnych do mnie ludzi, którzy zobowiązali się czynić innych dobrymi i otrzymali w tym celu od Boga tyle światła, tyle umiejętności, tyle łask, a jednak zobowiązań swoich nie wypełnili. Litości, Panie, miłosierdzia, bo nikt z nas nie potrafi znieść tak wielkich męczarni! Zgrzeszyliśmy, przyznajemy i spowiadamy się z tego szczerze: „Zgrzeszyliśmy, bezbożnie i niegodziwie postąpiliśmy, Panie Boże nasz, przeciw wszystkim sprawiedliwym rozporządzeniom Twoim” (Ba 2, 12). A mimo to śmiemy Cię prosić, abyś nas nie odrzucał na wieki. Karz nas, ponieważ na to zasługujemy, karz nas: „Daj pysznym odpłatę!” (Ps 94, 2), lecz przez wielkość dobroci Twej nie skazuj nas do piekła. Ach, piekło, piekło! Już samo jego wspomnienie trwogą przejmuje całą istotę naszą! O Boże, nie przez nasze zasługi, lecz przez pot Twój, przez krew Twą, błagamy Cię, wybaw nas od zatracenia wiecznego! „Ukarz mnie Panie, lecz według słusznej miary, nie według swego gniewu” (Jr 10, 24). Otośmy gotowi w tym życiu cierpieć za grzechy nasze! Tu nas pał, tu nas siecz, tu nie przepuszczaj, byleś nam darował na wieki. Ześlij nam ubóstwo, byleś nas zachował od nędzy wiecznej;ześlij nam wzgardę, byleś nas nie skazał na wieczną hańbę;ześlij nam chorobę, byleś nas zachował od śmierci wiecznej;ześlij na nas wszelkie na ziemi nieszczęścia, byśmy tylko wiecznych uniknęli kar. Cóż teraz uczynimy, drodzy Chrześcijanie, by u zagniewanego Boga uzyskać tę wielką łaskę? Pokutujmy, pokutujmy! Porzućmy gry, połóżmy kres swawoli, wyznajmy winy nasze u stóp kapłana, zmaźmy je łzami i postami, okupmy jałmużnami; to nam wystarczy. Czy kto wzgardzi głosem moim? Czy się jeszcze kto oprze i sprzeciwi? Dobrze! niech so-

bie lekceważy mą radę. Ja się tymczasem wzniosę myślą do nieba i powiem, zem zachęcał i błagał, zem czynił, com mógł uczynić. Już nie wiem, czym bym was mógł jeszcze poruszyć. Straciłem prawie oddech, czuję, że oblicze moje skąpane rześnistym potem. Jeżeli jednak szalony grzesznik zdecydowany jest na zgubę wieczną, niech otrzyma tę upragnioną łaskę, niech zginie! „Niech zginie na wieki wieków” (por. Ps 92, 8). Niech się staje coraz zatwardziałym, kiedy tak chce; niech się śmieje, szaleje, grzeszy! Niech się cieszy aż do śmierci! A jeżeli wtedy pozna swój błąd, wy niebiossa, nie otwierajcie się dla niego! Niech woła, nieszczęsny, a wy mu nie odpowiadajcie; niech prosi o czas do poprawy, a wy mu go nie udzielajcie. Niech woła o litość, a wy bądźcie głuchymi. Ty błogi raju i bez nich się zaludnisz. Niech giną, niech giną! bo na to zasługują; nie są godnymi Ciebie. „W chwili Twego gniewu wystąp przeciw nim!” (Jr 18, 23). Jeżeli, o Boże, chcesz komu udzielić Twych łask, to spojrzysz przyjaznym okiem na tych moich pobożnych słuchaczy, którzy się do Ciebie zwracają i proszą o przebaczenie grzechów, o litość. Uczyni, aby w nich skrucha wzrastała jako morze, bo oto już teraz wydobywają się gwałtownie z ich oczu potoki łez, wysłuchaj ich modłów, przyjmij ich prośby i pokaż jawnie, że w ręce ludzkie złożyłeś wodę i ogień. „Położył przed tobą ogień i wodę” (Syr 15, 16). Niech każdy wyciągnie rękę po to, czego pragnie. „Co zechcesz, po to wyciągniesz rękę” (Syr 15, 16). Albo trzeba płakać przez krótki czas z pokutnikami: oto woda. Albo gorzeć przez wszystkie wieki z potępionymi: oto ogień.

Cytat za: o. Paweł Segneri TJ, *Kazania wielkopostne*, przeł. J. Górka, t. 1, Tarnów 1906, s. 217-233.



Antoni Vieira SI  
(1608-1697)





# Kaznodzieja Starego i Nowego Świata

To najlepszy prozaik, powiem nawet najlepszy artysta języka portugalskiego, jego najdoskonalszy władca i imperator. W tak entuzjastycznych słowach charakteryzował siedemnastowiecznego kaznodzieję Antoniego Vieirę najwybitniejszy poeta portugalski XX wieku Fernando Pessoa († 1935), w swoim dziele *Mensagem*. W tym wybitnym jezuitcie upatrywał nie tylko największego kaznodzieję portugalskiego, ale również jednego z najznakomitszych mówców wszech czasów. Warto się przyjrzeć życiu i dziełu tego wielkiego mówcy Kościoła.

## W Ziemi Świętego Krzyża

Antoni Vieira urodził się w Lizbonie 6 lutego 1608 roku, jako syn Cristóvão Vieira Ravaseo i Marii de Azevedo. W wieku 6 lat wyjechał wraz z rodziną do Ziemi Świętego Krzyża. Tak nazwał Brazylię jej odkrywca Pedro Alvares Cabral, który w 1500 roku przybył tu z Portugalii z 13 okrętami i z 1200 marynarzami na pokładzie. Portugalczycy, których udziałem stało się odkrycie Brazylii dla Europy, dopłynąwszy do nieznanego lądu wzniesli krzyż. Cabral kazał swoim ludziom uklęknąć i krzyż ucałować; potem zachęcił zgromadzonych Indian, by uczynili to samo. Ziemia została określona nazwą „Świętego Krzyża”.

Brazylia jako kolonia portugalska rządzona była przez gubernatora generalnego. Kraj podzielony był na kapitanie. Stolicą ówczesnej Brazylii było miasto *Cidade do Salvador* (*Miasto Zbawiciela*). Dziś nosi ono nazwę *Salvador*. Niekiedy nazywano je *Bahia*, od *Bahia de Todos os Santos* (*Zatoka Wszystkich Świętych*), gdyż inauguracja stolicy nastąpiła w dniu Wszystkich Świętych 1549 roku. W czasach Vieiry Bahia była już biskupstwem, przemianowanym w 1676 roku na arcybiskupstwo. Gubernator generalny powołał w nowej stolicy dwóch bardzo ważnych urzędników – *ouvidor geral*, głównego sędziego kolonii, nadzorcę spraw sądowych oraz *provedor-mór*, nadzorcę podatków królewskich. W 1609 roku zaczęła funkcjonować w Salvadorze instytucja mająca charakter Sądu Najwyższego. To właśnie w nim ojciec Vieiry znalazł posadę pisarza sądowego.

W ówczesnej stolicy Brazylii, w Bahia, Antoni uczęszczał do szkół prowadzonych przez jezuitów. W wieku 15 lat sam także wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Po nowicjacie dokończył swe studia klasyczne. W latach 1627-1630 był profesorem retoryki w Olinda, po czym powrócił do Bahia, by podjąć studia filozoficzno-teologiczne. 10 grudnia 1634 roku został wyświęcony na kapłana. Jego pierwsze kazania głoszone w Bahia i okolicznych miasteczkach spotkały się od razu z wielkim uznaniem. W Nowym Świecie zdobywał swoje doświadczenia, zarówno na ambonie, jak też w misjach prowadzonych przez jezuitów wśród ludności tubylczej.

Już w pierwszych kazaniach Vieira atakował korupcję i niesprawiedliwości panujące w kolonii (kazanie *da Visitação*, 1640), poparł mesjanizm polityczno-religijny (kazanie *da Santa Cruz*, 1639), rozważał problem niewolnictwa czarnoskórych (kazanie *14 do Rosário*, 1633, w którym zamieścił opis przymusowej pracy na plantacjach cukru), traktował o pobożności i sakramentach wykazując jednocześnie wirtuozerię słowną, która charakteryzować będzie całą jego sztukę krasomówczą (kazanie *de Nossa Senhora de ó*).

### Ziemia ustawicznej wojny

Brazylia tych czasów była krajem niespokojnym. Cukrowe bogactwo nęciło Holendrów. Pragnienie przejęcia Brazylii początkowo wyraziło się u nich w półkorsarskich próbach penetracji Amazonii. Bardziej konkretny kształt idea ta przybrała po nastaniu unii dynastycznej portugalsko-hiszpańskiej. Podbój Brazylii zaczął się rysować jako fragment zadawnionego konfliktu Holendrów z hiszpańskimi Habsburgami. Jednak gdy położone w głębi lądu hiszpańskie bogactwa kruszcowe w Ameryce znajdowały się praktycznie poza zasięgiem sił, głównie morskich, Holandii, przybrzeżne bogactwo Brazylii zdawało się być łatwym do przechwycenia celem. Unia dostarczyła pretekstu i motywacji do działań, których chęć od dawna i tak dojrzewała. Liczono nadto, że król Hiszpanii będzie z mniejszym zapałem bronić posiadłości portugalskich, a portugalscy koloniści odstąpią od Hiszpanii.

W 1621 roku została utworzona holenderska Kompania Indii Zachodnich, która otrzymała monopol handlu na Atlantyku. Holandia nadała Kompanii uprawnienia do prowadzenia wojen, zawierania sojuszy, budowania fortec i, rzecz jasna, utrzymywania wojsk. *Spiritus movens* działań w kierunku Brazylii był Willem Usselinx (1567-1647) z Antwerpii. Jego motywacja nie różniła się specjalnie od motywacji Portugalczyków: działał w imię wiary (kalwińskiej) i dla zdobycia bogactw. Jedno drugiemu wszak nie przeczyło – nawet jeśli drobni udziałowcy Kompanii, która była rodzajem spółki akcyjnej, zmierzali raczej do tego drugiego celu.

Pierwszy atak przypuścili Holendrzy przeciwko samemu Salvadorowi w 1624 roku. Zajęli miasto zdumiewająco łatwo; praktycznie nie było oporu, mimo że Portugalczycy byli ostrzeżeni. Hiszpanie i Portugalczycy wkrótce jednak oprzytomnieli. W 1625 roku Holendrzy zostali wyrzuceni z Bahii dzięki połączonym wysiłkom portugalsko-hiszpańskiej floty i sił lokalnych. Te burzliwe wydarzenia, a zwłaszcza inwazję Holendrów w Bahia, opisał Antoni Vieira w swym pierwszym utworze *Carta Ânua da Provincia do Brasil*, z 30 września 1626 roku, opracowanym najpierw po łacinie, a następnie przełożonym na portugalski.

W 1627 roku Holendrzy znów, i to dwukrotnie, dokonali napadów na Bahię; ograniczyli się jednak do ograbienia statków stojących w porcie. W 1630 roku podjęli decydujący atak, tym razem w kapitanii Pernambuco. Wiedzieli, że są to

również bogate strony, a w dodatku słabiej ufortyfikowane niż stolica. Na początku marca Holendrzy mieli już w swoim ręku Olinde, Recife i wyspę Antonio Vaz. Portugalski dowódca zorganizował jednak obronę poza miastami oraz nękał najeźdźców partyzantką. Wojna pozostawała nierozstrzygniętą przez cały 1630 i większość 1631 roku. Obie strony dopraszały się pomocy od swoich metropolii.

W 1632 roku sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść Holendrów. W kwietniu zdezerterował do nich człowiek doskonale znający teren i słabe punkty Portugalczyków. Potem otrzymali poważne posiłki z Holandii. Wyćwiczyli się w wojnie partyzanckiej. Coraz bardziej rozszerzali zajęty przez siebie teren. Główny obóz portugalski skapitulował w czerwcu 1632 roku po trzymiesięcznym oblężeniu, którym dowodził walczący w służbie holenderskiej Polak Krzysztof Arciszewski. Znaczna część żyjących w tej kapitanii portugalskich kolonistów uznała władzę Holendrów. Portugalczycy nie skapitulowali jednak ze szczerem; nadal prowadzili wojnę podjazdową.

W styczniu 1637 roku przybył do Brazylii w charakterze generalnego gubernatora podbitych przez Holendrów terenów Maurycy de Nassau. Miał on już za sobą duże sukcesy wojskowe, ale nawet on nie potrafił doprowadzić do pełnego sukcesu. W 1640 roku Portugalia oddzieliła się od Hiszpanii, co zmieniło dyplomatyczny kontekst konfliktu. W czerwcu 1641 roku zostało podpisane zawieszenie broni pomiędzy Holandią a Portugalią, a w konsekwencji w maju 1644 roku Maurycy de Nassau wrócił do Holandii. Jego odjazd przyspieszył wybuch powstania plantatorów trzciny cukrowej w Pernambuco przeciw Holendrom. Ostateczny kres ich obecności w Brazylii położyła wybuchła w 1652 roku wojna holendersko-angielska. W tych okolicznościach na pomoc macierzy nie można już było liczyć.

Problemy ówczesnych zmagania wojennych z Holendrami znalazły swe odbicie w wielu kazaniach Vieiry. W 1638 roku Holendrzy oblegali Bahię, lecz zostali odparci. Vieira przeżył mocno oblężenie, a następnie wyzwolenie miasta. W czasie uroczystości upamiętniających odniesione zwycięstwo wygłosił słynne kazanie ku czci św. Antoniego (13 czerwca), swego patrona. W 1640 roku Bahia ponownie została oblężona przez wrogów. Vieira wygłosił wtedy wzywające do odwagi i zachęcające do walki z najeźdźcą kazanie *Contra as armas de Holanda*. Kolejne znane kazanie z tego roku nosi tytuł *Pelo Bom Sucesso*. Kiedy w połowie lutego 1641 roku dotarła do Brazylii wiadomość, iż Portugalia nie jest już złączona unią z Hiszpanią oraz że książę Bragança został jej królem, Vieira opuścił Bahię i udał się do Lizbony. Został przedstawiony królowi Janowi IV (1604-1656).

## Kaznodzieja królewski i dyplomata

Drugi okres w życiu Vieiry rozpoczął się wraz z jego powrotem w roku 1641 do Portugalii. Rozwinął wtenczas działalność polityczną służąc nowemu królowi

Janowi IV, zwanemu Szczęśliwym lub Odnowicielem. Władca ten stał się założycielem dynastii Bragança. Na tron został wyniesiony w wyniku wspomnianego wyżej przewrotu dokonanego 1 grudnia 1640 roku w Lizbonie przez grupę szlachty zbuntowanej przeciw panowaniu Habsburgów hiszpańskich w Portugalii. W 1641 roku został uznany za prawowitego króla przez Kortezy. W swoich rządach zabiegał o poparcie ze strony Anglii, zawarł sojusz z Francją, rozbił spisek prohabsburski i stopniowo umacniał swą władzę w kraju. Ponieważ Hiszpania nie chciała łatwo pogodzić się z zaistniałą sytuacją, król portugalski Jan IV toczył z nią wojnę. W 1644 roku odniósł zwycięstwo pod Montijo, ułatwione dzięki zaangażowaniu się Hiszpanii w wojnę z Francją.

Pomiędzy królem Janem IV a Antonim Vieirą szybko nawiązała się wielka przyjaźń. Nowy król zamianował jezuitę swoim doradcą, dyplomatą i w 1644 roku kaznodzieją dworu królewskiego. W licznych kazaniach, jakie pochodziły z tego okresu, Vieira nie poprzestawał tylko na zachęcaniu Portugalczyków do walki z Hiszpanią o wolną i samodzielną Portugalie, ale roztaczał promienną i pełną chwały przyszłość dla swojej ojczyzny.

Kaznodzieja królewski podawał także szereg konkretnych wskazówek mających na celu rozwiązanie wielu problemów ekonomicznych, z którymi borykał się jego kraj. Król cenił bardzo Vieirę jako kaznodzieję i doradcę. Wrazem tego było powierzenie mu do spełnienia licznych misji dyplomatycznych w Holandii, Francji i Włoszech. Wiele spraw z nim konsultował i bronił go przed zarzutami. Znając trudne położenie ekonomiczne Portugalii Vieira proponował królowi osiedlenie na korzystnych warunkach wygnanych z Portugalii Żydów, licząc że przyczynią się oni do poprawy sytuacji materialnej kraju. W 1649 roku powołał do istnienia *Companhia Geral do Comércio do Brasil*.

Niektóre kazania, jak *dos Bons Anos* z 1642 roku, były rozpowszechniane od razu w luźnych wydaniach ze względu na ich charakter polityczno-nacjonalistyczny. Wzmacniały one i legitymizowały restaurację korony portugalskiej, która dopiero co uwolniła się od dominacji kastylijskiej. Rola kaznodziei w ścisłym kontakcie z władcą portugalskim, którego Vieira proponował jako odnowiciela Piątego Cesarstwa, stała się centrum newralgicznym jego sztuki krasomówczej. Jako doradca królewski był inspiratorem i rzecznikiem wielu spraw społeczno-politycznych, które poruszał w kazaniach *de Santa Teresa* (1644) i *de São José* (1643), postulował rozdział urzędów i beneficjów (kazanie *de pretendentes*), krytykował ministrów i rządzących (kazanie *de São Pedro*, 1644; *do Primeiro Domingo do Advento*, 1650). Interweniował w przypadkach szczególnych, jak pokój i wojna, proponując środki ekonomiczne dla obrony Portugalii i jej terytoriów w Afryce, Brazylii i na Wschodzie poprzez tworzenie towarzystw handlowych i bankowych, popierając gorąco wsparcie finansowe Żydów dla korony i potępiając działalność inkwizycji.

U szczytu swej kariery politycznej Vieira nieopatrznie wmixował króla w wewnętrzne sprawy Towarzystwa Jezusowego. Chodziło o powołanie prowincji

d'Alentejo. Posunięcie to zostało odebrane przez władze Towarzystwa jako poważne naruszenie dyscypliny przez zakonnika. W 1649 generał V. Caraffa wydał dekret wykluczający Vieirę z zakonu jezuitów. Co prawda sprzeciw króla sprawił, że dekret nie został wprowadzony w życie, niemniej mocno ucierpiał prestiż Vieiry i jego wpływ na dwór. W tych okolicznościach kaznodzieja królewski zdecydował się wrócić do Brazylii. 22 listopada 1652 roku opuścił Lizbonę wraz z grupą jezuitów udających się do Nowego Świata.

## Obrońca Indian

W ten sposób rozpoczął się drugi już pobyt Vieiry w Brazylii (1652-1661). Naznaczony był on pracą misjonarską wśród Indian. W roku 1652 jezuita, mimo słabego zdrowia, cierpiący prawdopodobnie na chroniczną gruźlicę, gdyż ustawnie pluł krwią, udał się jako misjonarz do Maranhão i Pará w Amazonii. Tam wygłaszał kazania w obronie wolności Indian i przeciw zachłanności kolonistów i administracji, przeciw kradzieżom, luksusowi, chciwości i współudziałem w tym kręgów kościelnych (kazanie *de Santo Antonio aos Peixes*, 1654).

Niewolnik na brazylijskiej plantacji cukrowej żył około 7 lat. Sugestywne opisy nieszczęść będących udziałem niewolników pióra A. Vieiry, częstotliwość wezwań do lepszego traktowania Murzynów nakazują zakwestionować tezę o łagodności brazylijskiego niewolnictwa. Indian zamieniano w niewolników lub zmuszano do ciężkich prac na plantacjach bądź w kopalniach, wyzyskując ich przy tym niemiłosiernie. Bicie i zabijanie Indian było zjawiskiem stałym. Wprawdzie proceder ten rozwinął później na skalę niespotykaną Holendrzy i Anglicy, ale nie da się zaprzeczyć, iż to Hiszpanie i Portugalczycy jako pierwsi rozwinęli na wielką skalę system ujarzemia ludów kolorowych.

Broniąc Indian Antoni Vieira, na podobieństwo dominikanina Las Casasa w Ameryce hiszpańskiej, demaskował prawdziwy cel wypraw prowadzonych przez białych osadników w głąb kontynentu, wypraw zwanych *bandeiras*. Było nim nie tyle szukanie złota, ile chwywanie Indian, „wytoczenie z ich żył złota czerwonego”, jak stwierdził w kazaniu z 1656 roku. Zdumiewają liczby niewolników, które takie wyprawy potrafiły przyprowadzić. Jedna z nich wróciła z 7 tys. Indian przeznaczonych do pracy na plantacjach wybrzeża (1574). Zdumiewa także długość przebywanych tras. Wyprawa uważana za najdłuższą przebyła 11 tysięcy kilometrów. Na wybrzeże dotarła w 1651 roku, po czterech latach od wyruszenia.

Wyprawy te odgrywały ważną z punktu widzenia Portugalii rolę. Rozszerzały mianowicie teren penetrowany przez nią w kierunku zachodnim. Lizbona miała więc dodatkowy powód do ich tolerowania. W ten sposób Brazylijczycy kształtowali dla siebie granice swego kraju. Dzisiejszy kształt Brazylii jest w dużym stopniu zasługą *bandeiras*. Nie dziwi więc, że dziś „bandeirantom” stawia się pomniki. Gdy się je ogląda, warto jednak pamiętać, że pierw-



szym celem wypraw było zdobywanie Indian – nawet jeśli ich uczestnicy stali się współtwórcami Brazylii.

Na rozległym obszarze Amazonii Vieira wytrwale odwiedzał wioski tubylców. Nauczył się dialektów różnych plemion indiańskich i zaczął opracowywać katechizmy w sześciu różnych narzeczach. Spotykając się ze sprzeciwem ze strony kolonistów uzasadniał swoje działania posiadanym tytułem kaznodziei królewskiego i dokumentami, według których miał pełną władzę uwalniać niewolników i prowadzić działalność humanitarną. Wysyłał do króla liczne listy przedstawiając skandaliczne nadużycia kolonistów, którzy bogacili się kosztem niewolniczej pracy, a nierzadko także eksterminacji Indian.

Przerażony skalą nadużyć zdecydował się osobiście poinformować króla o sytuacji w Brazylii. W tym celu udał się do Lizbony 14 czerwca 1654 roku, aby otrzymać od króla Jana IV bardziej energiczne wsparcie dla polityki jezuitów przeciwnej niewolnictwu i ludobójstwu ludności tubylczej. W wigilię odjazdu, w święto wielkiego Portugalczyka i swojego patrona – św. Antoniego, wygłosił w kościele S. Luís słynne kazanie *Sermão aos Peixes*, w którym w satyryczny sposób ukazał krzywdy dokonywane na Indianach.

Po przybyciu do Lizbony z wielkim przejęciem obnażał zachłanność i wzbogacanie się za wszelką cenę osadników. W kazaniu *da 1ª Oitava da Páscoa* ukazywał poszukiwanie kopalń złota, wprowadzając sławny opis pracy górników. Wskazywał trudności ewangelizacyjne oraz przeszkody, jakie dla niej stanowią różne rodzime języki (kazanie *do Espírito Santo*). Z tego krótkiego pobytu w stolicy Portugalii w latach 1654-1655 pozostały także sławne kazania *da Quaresma* z 1655 roku wygłoszone na dworze w Lizbonie. Pośród nich na szczególną uwagę zasługuje wzniosła mowa *da Sexagésima*, przeciwko przepowiadaniu dworskiemu i na korzyść misjonarzy oraz kazanie o dobrym łotrze (*Sermão do Bom Ladrão*), wygłoszone w lizbońskim kościele Miłosierdzia Bożego.

Vieira spotkał się ze zrozumieniem ze strony króla, od którego otrzymał szereg rozporządzeń korzystnych dla Indian w Maranhão. Odtąd wioski miały być kierowane wyłącznie przez jezuitów i nie wolno było prowadzić wyniszczających wojen z Indianami. Ratując tubylców jezuita dążyli do ich nawrócenia na katolicyzm. Stwierdziwszy, iż początkowe kontakty z tubylcami dawały jedynie bardzo powierzchowną ich chrystianizację, jezuita przystąpili do organizowania osiedli indiańskich, w których podopieczni byli poddani ich stałej opiece. Pierwszy krok w tym kierunku uczynił Nóbrega, który w 1553 roku zgromadził Indian z trzech wiosek na miejscu dzisiejszego São Paulo.

System wiosek misyjnych oznaczał poddanie ich całkowitej kontroli jezuitów, regulację życia przez całą dobę od urodzenia aż do śmierci. „Pensjonariusze” uczyli się, modlili, wytwarzali dobra niezbędne dla własnego utrzymania – wszystko pod kierunkiem jezuitów w czarnych sutannach. Indianie nosili długie, białe, bawełniane koszule. Wioski posiadały pewną organizację wewnętrzną, również pozostającą pod kontrolą. Jezuita mianowali funkcyjnych.



Zabierali dzieci od rodziców na wychowanie w czymś, co byśmy dziś nazwali internatami. Przestrzegali monogamii podopiecznych. Opisowany system był bardzo efektywny z punktu widzenia założonych celów. Miał tylko jedną cechę, którą dziś nie tylko etnologowie, ale i sam Kościół uznały za wadę: wydziedziczał z własnej kultury.

Osady misyjne, czy to portugalskie, czy zakładane przez jezuitów hiszpańskich, były solą w oku *bandeirantes* i znakomitym celem ich ataków. W 1639 roku jezuitom hiszpańskim udało się uzyskać bullę papieża Urbana VIII, powtarzającą encyklikę Pawła III *Veritas ipsa*. Papież potwierdził, iż za branie Indian w niewolę grozi ekskomunika i zalecił uwolnienie zniewolonych. Gdy w 1640 roku bulla została odczytana w Brazylii, jezuitów wyrzucono z São Paulo i z całego okręgu. Wrócili tam dopiero w 1653 roku na mocy rozkazu królewskiego.

Podobny los spotkał Vieirę po powrocie do Amazonii. Nienawiść kolonistów była tak wielka, iż musiał pospiesznie opuścić Brazylię. Ostateczny cios osadom misyjnym zadały jednak nie *bandeiras*, lecz reformy absolutyzmu oświeconego. W 1757 roku Lizbona nakazała zastąpienie zakonnych kierowników wiosk osobami świeckimi powołanymi przez gubernatora. Gdy w 1759 roku wyrzucono jezuitów z Brazylii, oskarżono ich m.in. o izolowanie Indian i przeciwdziałanie w ten sposób ich integracji ze społeczeństwem kolonii.

## W szponach inkwizycji

Kolejny pobyt Antoniego Vieiry w Lizbonie dokonywał się w diametralnie odmiennych okolicznościach. Nie żył już król Jan IV. Władzę sprawowała królowa regentka Luisa de Guzmán. Zaproszony przez nią jezuita wygłosił w kaplicy królewskiej, w święto Trzech Króli 1662 roku, gwałtowne kazanie *da Epifania*, w którym, w formie prorocstwa, wychwalał misje w Nowym Świecie i bronił pracujących tam misjonarzy.

Na dworze początkowo spotkał się z życzliwością, czego przejawem była nominacja na spowiednika księcia Piotra. Jednakże już w czerwcu 1662 roku nastąpił przewrót pałacowy, który wyniósł na tron Alfonsa VI, odbierając władzę regentce i wszystkim, którzy z nią współpracowali. W konsekwencji zamachu stanu Vieira został wygnany do Porto, a następnie do Coimbrzy. Do działań skierowanych przeciw niemu przystąpiła inkwizycja, wiedząc, iż nie ma on już poparcia na dworze. Vieira został aresztowany przez inkwizycję, przesłuchiwany i skazany w 1667 roku jako nieprawowierny i judaizujący. Dotkliwą dla niego karą był całkowity zakaz głoszenia kazań. W tym trudnym dla siebie czasie zakonnik redagował część ambitnej *Historia do Futuro*, podjętej następnie, ale nigdy nie ukończonej w *Clavis Prophetarum* lub *De regno Christi in Terris Consummato*, ważnym dziele egzegetycznym o historii myśli chrześcijańskiej. W *Defesa perante* lub *Tribunal do Santo Oficio* wykladał 30 tez na temat dopełnienia Królestwa Chrystusa i na temat nawrócenia Żydów i pogan.

Sytuacja zmieniła się na korzyść Vieiry po utracie tronu przez Alfonsa IV i wstąpieniu nań księcia Piotra II. Rok po wyroku Vieira objęty został amnestią. Głosił kazania w kaplicy królewskiej, a we wrześniu 1669 roku wyjechał do Rzymu.

## W Rzymie

W Wiecznym Mieście Antoni Vieira zabiegał o beatyfikację Ignacego de Azevedo i jego 39 towarzyszy, zamordowanych w 1570 roku w drodze do Brazylii, w pobliżu Wysp Kanaryjskich. W Rzymie domagał się także rzetelnego procesu i swojej rehabilitacji jako prawowiernego teologa. Ceniący go wysoko generał jezuitów G. P. Oliva uważał jednak tę rewizję za niekonieczną. Vieira walczył dalej przeciw inkwizycji, redagując dokumenty na korzyść sprawy żydowskiej.

Prawdziwy sukces przyniosły mu kazania głoszone w Rzymie. Wybitny mówca oczarował nimi wszystkich. Głosił je w języku włoskim w Kurii Rzymskiej i na nie mniej wyrafinowanym dworze królowej szwedzkiej Krystyny. Największe wrażenie z tego okresu zrobiły dwa kazania o św. Antonim (z 1670 i 1671 roku), wygłoszone przez Vieirę w kościele portugalskim; obydwie na temat Portugalii, a także kazanie ze Środy Popielcowej na temat śmierci. Wystąpił również z kazaniem, wraz z generałem G. P. Olivą, w kościele św. Andrzeja na Kwirynale podczas święta św. Stanisława Kostki.

## Ostatnie lata

Po powrocie do Lizbony w 1675 roku Vieira został przyjęty chłodno przez króla Pedro II. W tej sytuacji zajął się przygotowaniem wszystkich swoich kazań do druku. Zostały one zaplanowane na 12 tomów, po 15 kazań każdy. Pierwszy tom wyszedł w 1679 roku. Nie znajdując w Portugalii środowiska życzliwego dla siebie i swej działalności wyjechał znów do Bahia 27 stycznia 1681 roku, znośząc już po raz siódmy długą i wyczerpującą podróż przez Atlantyk. Zamieszkał w domu jezuickim w Bahia opracowując i wysyłając kolejne tomy swych kazań do drukarni lizbońskiej. W ten sposób wydał 15 kazań poświęconych św. Franciszkowi Ksaweremu (t. 8) oraz kazania o Maryi jako Róży Mistycznej i 30 kazań o różańcu (t. 9-11). Przed śmiercią, która nastąpiła 18 lipca 1697 roku w Bahia, gdy miał już 89 lat, zdołał wysłać jeszcze dwunasty tom swego dzieła kaznodziejskiego *Sermões*. Vieira był osobowością bardzo znaną nie tylko w Portugalii, ale również w świecie hiszpańsko-amerykańskim, w Italii i w Hiszpanii, a jego dzieła były popularne jeszcze za jego życia.

## Kazania

Kazania Vieiry tworzą najważniejszą część w jego dorobku pisarskim. Można je podzielić na 2 grupy: kazania *stricte* religijne i kazania podejmujące kwe-

stie polityczne, społeczne a nawet ekonomiczne, ale zawsze ujęte w aspekcie biblijnym i religijnym. Zresztą dla Vieiry ambona była trybuną polityczną, z której komentował on wielkie wydarzenia i problemy swoich czasów podając propozycje konkretnych rozwiązań w świetle tekstów biblijnych zręcznie interpretowanych i aplikowanych.

Vieira uważał się jednocześnie za kaznodzieję, misjonarza i proroka. Czuł się równie dobrze w dżungli amazońskiej, jak i w pałacu królewskim. Głosił słowo Boże zarówno w wielkich stolicach, jak i w małych miasteczkach brazylijskich, na wyspach, a nawet na okrętach, którymi podróżował. Słuchali jego kazań królowie, książęta, przedstawiciele możnych rodów, siostry zakonne, jezuici i członkowie bractw. W Rzymie jego audytorium stanowił dwór papieski, generał jezuitów i jego otoczenie, a także wspomniany już dwór królowej Krystyny. W Brazylii głosił słowo Boże do rządzących krajem, zakonników, wojska, a także do kolonistów, Indian i afrykańskich niewolników. Jako prorok interpretował Pismo Święte aplikując je do politycznych wydarzeń swoich czasów. Pełnione funkcje doradcy królewskiego, dyplomaty i kaznodziei dworu usprawiedliwiają nie tylko tematykę polityczno-religijną obecną w większości jego kazań, ale również temat królestwa mesjańskiego, obiecanego przez Boga koronie portugalskiej.

W hagiografii odnajdywał przykłady osób, które wycofały się z życia dworskiego, jak choćby św. Franciszka Ksawerego, któremu Duch Święty wlał upragniony dar języków, św. Antoniego Padewskiego, którego życie rozważał w 9 kazaniach, lub proroków Izraela, często pozostających w konflikcie z władzą i popadających w niełaskę dworu jak Daniel, Izajasz, Amos czy św. Jan Chrzciciel. Ten ostatni uważany był przez Vieirę za więcej niż proroka, ponieważ ogłosił Mesjasza wskazując go swą własną ręką. Jest też jego zdaniem prekursorem wszystkich misjonarzy chrześcijańskich, gdyż jako pierwszy udzielał chrztu. W kazaniach Vieiry pojawiają się inni bohaterzy: św. Paweł, Jeremiasz i Jonasz, posłany aby nawrócić największy dwór w świecie. W biografii Vieiry uwidaczniają się elementy historii życia wszystkich tych postaci: zatonięcia i rozbicia statku, podróże, prześladowania i dramatyczne relacje z władzą. W traktowaniu tematów sakralnych Vieira uciekał się do przeciwieństw, antytez i do tematów moralnych tradycji literackiej takich jak rozczarowanie światem, człowiek-pielgrzym, satyra na dwór i na możnych, przepowiadanie triumfalne.

W kazaniach *do Espirito Santo, da Epifania* i w dwóch *Exsortações* z roku 1688, jak również we fragmentach innych kazań Vieira dyskutował na temat misji oraz niezrozumiałości języków tubylczych. Vieira przeżywał tę trudność w sposób dramatyczny i obsesyjnie do niej powracał. Przedstawiając ją uciekał się do obrazu wieży Babel i Zesłania Ducha Świętego, odczytywanych z punktu widzenia misjonarskiego i nowoczesnego. Wygłaszał także kazania o charakterze ascetycznym, o sakramentach, na temat Ducha Świętego, Trójcy Świętej, Eucharystii, Sądu Ostatecznego i miłości Bożej (kazania *do Mandato*). Ważne miejsce w kazaniach Vieiry zajmują tematy moralne, traktujące o wadach, cno-

tach, namiętnościach, jak: melancholia, ambicja dworzan, chciwość, zazdrość, próżność, kłamstwo, szczęście, żal, pokuta, rozczarowanie, skrucha, pokusy, śmierć, zbawienie. Jeszcze inną grupę stanowią kazania o Matce Bożej i o świętych. Sam Vieira w prologu do swego dzieła, w tomie pierwszym, nawiązał do wielkiej różnorodności podjętych tematów stwierdzając: „Niektóre kazania są panegirykami, inne gratulacjami, jeszcze inne to kazania apologetyczne, polityczne, wojenne, żeglarskie, pogrzebowe, wreszcie ascetyczne”.

## Wizjoner

Wyposażony w wielką i przenikliwą inteligencję Vieira wymyślił świat na miarę swych wyobrażeń. Stworzył utopię – „Piąte Cesarstwo”, które miało się realizować pod rządami króla João IV. Marzenie to tak bardzo przenikało całą jego życie, że pisał o nim jeszcze w liście miesiąc przed swą śmiercią. Łączył w nim idee prorockie i milenarystyczne, konkretyzując je w misji Portugalii w świecie. Temat ten rozwijał nawiązując do proroka Daniela. Jego zdaniem korona portugalska winna stworzyć królestwo Chrystusa na ziemi, w którym będzie panować pokój i powszechna sprawiedliwość.

## Finezyjny wirtuoz barokowego kaznodziejstwa

Jako mówca kościelny Vieira prezentował się jako ekspert i wirtuoz w sztuce retorycznej i w egzegezie figuratywnej. Jego kazania są dziełami prawdziwego artyzmu. Zasady artystyczne, którymi się kierował, podał w kazaniu *da Sexagésima* z roku 1655, manifestie artystycznym i religijnym, którym otworzył pierwszy tom swoich *Sermões*. Traktuje w nim Vieira o wymowie, dotyka topiki, omawia odnowioną metodę przepowiadania, tak aby ona była apostołska i owocna, przebiegając prawie wszystkie punkty retoryki kościelnej swojego czasu, a także inne aspekty estetyki barokowej: pięć zdolności, *imago* mówcy, ważność perswazji *ponere ante oculos, movere*, walor uczuć, jasność stylu, *conchetto predicabile*. W równej mierze gardził postyllami co stawiał czoło słuchaczom przy pomocy lotów pindarowskich; używał stylu komedii, wytworności i komplementów ironizując przesadę formalną i conceptualną smaku dworskiego. Największa jednak zasługa tego niezwykłego kazania jest głównie estetyczna. Sztuka wykonania i kompleksowość konstrukcji geometrycznej są porównywalne jedynie do barokowej budowli Guariniego. Układ kazania proponowany przez Vieirę i stosowany w praktyce za przykładem Ludwika z Grenady OP to *oratio* połączona z chrześcijańską homilią średniowieczną. Składa się ono z wprowadzenia, tezy sformułowanej na podstawie tematu ewangelicznego i umieszczonej w formie *dubitatio*, *quaestio*, lub *impossibilia* oraz zagadki; podział na części, argumentacja trudności podniesionych w tezie przeprowadzona jest przy pomocy komentarzy i cytatów biblijnych i opraco-

wana w formie kolejnych kręgów spiralnych, aż do konkluzji w zakończeniu. Rozumowanie zawsze analogiczne, opierało się na typologii, wznosiło się poprzez równoważniki, figury, prorocstwa, alegorie i obrazy. Jako mówca barokowy Vieira z upodobaniem sięgał po *conchetto predicabile*, metodę argumentacyjną cenioną w oratorstwie sakralnym XVII wieku, a potem kontestowaną. Według niej jakaś teza lub pojęcie znajduje się w Piśmie Świętym w sposób ukryty, zadanie zaś mówcy kościelnego polega na objawieniu go, sprawiając by ta idea wypłynęła na wierzch, została objaśniona i dowiedziona. Tak jak zdarzało się w kazaniu średniowiecznym Vieira uciekał się często do etymologii i anatomii słowa, alegorii i pomysłowego literalizmu.

Ulubione przykłady i obrazy Vieiry wzięte były z tradycji religijnej ustalonej przez kontrreformację i obracały się wokół Apokalipsy. Historie ziemi, Kościoła i chrześcijaństwa zlewają się w jedną historię. Świat jest „boską komedią” nakreśloną przez Opatrzność z perypetiami i kolejnymi zwrotami, cudownymi objawieniami, znakami drogi trudnej, wymagającej walki w kierunku ewangelizacji i nawrócenia powszechnego potrzebnych do instalacji na ziemi królestwa Chrystusa. Ta koncepcja teologiczna zbudowana była na antytezach i dualizmie.

Audytoryum Vieiry było poruszone nieoczekiwanymi i dziwacznymi kombinacjami. W kazaniach Vieiry znajduje się więc wieloryby, gigantyczne brzuchy, orły zwane „rysiami powietrznymi” i rysie zwane „orłami ziemskimi”, niebo posiane i morze zaorane, mały Dawid pokonujący Goliata, istoty podwójne jak Dagon, niektóre trochę dziwaczne jak ryby z kazania św. Antoniego, lub jeszcze inne o rozbłyskującej potworności, jak owe z Apokalipsy. Dla Vieiry świat doczesny to poczekalnia lub scena, na której dokonują się wielkie wydarzenia. Przedstawienia bitew i katastrof, zarazy, piekielnej pracy na plantacjach cukru, burz i zatonięć okrętów, potopu i końca świata, wizje Sądu Ostatecznego w kazaniach na adwent, objawiają wielki talent literacki. Vieira był wybitnym przedstawicielem wymowy barokowej, pojętej i praktykowanej jako akcja i gest, opartej na koncepcie, na światłocieniu, na hermeneutyce religijnej zasadzającej się na odkryciu w literze i historii tajemnicy Bożej, na energii *iscrizioni patetiche* wyliczonych przez Tessauro i na walorze bystrości sentencjonalnej półwyspowej opisanej przez B. Gracjana. Proporcje, harmonia muzyczna, wielość i powtórzenia sonoryczne tworzą pewien system podobny do snu, do kreacji surrealistycznych lub aktualnych reklam, jednak system kontrolowany przez złożoną obróbkę każdej części kazania. Obfitują w chiasmy ze znamiennym walorem, a także pary antytez. Widmo lek-sykalne ma tendencje do absolutnej precyzji wskazując na godną pozazdrosczenia wrażliwość językową, analogiczną do wrażliwości poetów.

\*

Antoni Vieira, dyplomata na dworze królewskim, niestrudzony kaznodzieja jezuicki, działacz na rzecz tolerancji i wolności Indian, subtelny artysta i prorok, łączył umiejętnie te różne wymiary w jednej i tej samej osobie

naznaczając swoją obecnością prawie cały XVII wiek Starego i Nowego Świata. Ten niepozorny człowiek, siedmiokrotnie przemierzający Atlantyk, przebywał pieszo lub łodzią tysiące kilometrów w niedostępnych rejonach Amazonii. Wszędzie niestrudzenie walczył na rzecz umocnienia korony portugalskiej, zabiegał o dobro Indian i Żydów i przejawiał zadziwiającą działalność misyjną. Najbardziej jednak zasłynął na polu kaznodziejskim.



Antoni Vieira SI

## *Kazanie o dobrym łotrze*

*wygłoszone w kościele Miłosierdzia Bożego w Lizbonie w 1655 roku*

„*Domine, memento mei, cum veneris in regnum tuum. Hodie mecum eris in Paradiso* – Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa. Dziś ze Mną będziesz w raju” (Łk 23, 42-43).

I. Wydaje mi się, iż kazanie to, które dzisiaj głoszę nie w kaplicy królewskiej, ale w kościele Miłosierdzia Bożego w Lizbonie, winno być głoszone tam a nie tu. To tam powinno ono zabrzmieć. Dlaczego? Otóż dlatego, iż tekst na którym to kazanie jest zbudowane bardziej odnosi się do majestatu, który tam jest niż do pobożności, która jest tutaj. Tekst ten opowiada o tym, że dwaj złoczyńcy byli sądzeni w Jerozolimie, obaj zostali skazani i ukrzyżowani, bez udzielenia im jakiegokolwiek obrony i możliwości odwołania. Czy miłosierdzie w Lizbonie pozwoliłoby na to?

Nie. Jego pierwszą troską byłoby wybranie obrońcy więźniów, człowieka o dużym autorytecie, wpływowego i zdolnego. Pierwszą zasługą tego obrońcy byłoby postawienie sobie za punkt honoru, aby żaden ze złoczyńców nie został stracony podczas pełnienia tej funkcji. Tak więc ta część historii nie odnosi się do kościoła Miłosierdzia w Lizbonie. Kolejna część, która jest tą którą obrałem sobie za temat kazania, odnosi się całkowicie do pałacu i kaplicy królewskiej. Mówi się tam królowi: *Domine*; mówi się o problemach jego królestwa: *cum veneris in regnum tuum*; przedstawia się mu prośby: *memento mei*; a król odpowiada na nie natychmiast nie przekazując innym trybunałom: *Hodie mecum eris in Paradiso*. To, co może mnie powstrzymać przed głoszeniem na ten temat to to, by nie głosić nauki w równoznacznym miejscu. Ale od tego skrupułu, do którego wielu kaznodziejów nie przywiązuje nawet uwagi, uwalnia mnie przykład kaznodziejstwa Jonasza. Otóż prorok Jonasz nie głosił kazań w pałacu królewskim, ale na ulicach Niniwy, miasta mało znanego. I oto Pismo Święte mówi, że jego kazanie dotarło natychmiast do uszu króla: *Pervenit verbum ad regem* (Jon 3, 6). Chciałbym aby moje kazanie dzisiejsze dotarło do wszystkich królów, do królów obcych bardziej niż do naszych. Wszyscy oni powinni naśladować Króla królów, gdyż mogą się wiele nauczyć z tego ostatniego dzieła Jego życia. Dobry łotr błaga Chrystusa, aby pamiętał o nim w swoim królestwie: *Domine, memento mei, cum veneris in regnum tuum*. Chce, by pamiętał o nim Bóg; obaj bowiem zdążają razem do raju: *Hodie mecum eris in Paradiso*. Oto pamięć, jaką powinni mieć wszyscy królowie, a ja pragnąłbym by ci, którzy zyskują ich przychyłność byli też do tego przekonani. Niech pamiętają nie tylko o zabranii złoczyńców do raju, ale o zabranii ich wraz z nimi: *Mecum*. Tak samo jak królowie nie powinni iść do raju bez zabrania wraz z nimi złoczyńców, tak samo złoczyńcy nie powinni iść do piekła nie zabierając ze sobą królów. Oto o czym chcę mówić. *Ave*.

II. Niech zatem królowie zabierają ze sobą do raju złoczyńców. Nie jest to nieodpowiednie towarzystwo, ale działanie chwalebne i prawdziwie królewskie, poprzez które Chrystus ukoronował i dowiódł prawdziwości swego królestwa otrzymując na krzyżu tytuł króla. Tymczasem w praktyce we wszystkich królestwach ziemskich widzimy coś zgoła przeciwnego. Zamiast królowie zabierać ze sobą złoczyńców do raju, złoczyńcy zabierają ze sobą królów, ale do piekła. A że tak się dzieje ukażą wkrótce z całą oczywistością i nikt nie będzie mógł mi wyrzucać śmiałości z jaką przemawiam, a będę mówił otwarcie o problemie bez żadnych względów. Trzeba się raczej dziwić milczeniu kaznodziejów

i potępić ich zaniedbanie, skoro milczą o nauce tak koniecznej, nauce, która powinna być najczęściej słyszana i najczęściej głoszona. Niech więc ten temat będzie nowym dzisiaj, temat, który powinien być dobrze znany i często głoszony. Podejmuję go z tym większą nadzieją na przyniesienie skutku, iż widzę że nasze audytorium powiększyło się o autorytet tylu ministrów najwyższych trybunałów i o radę, choć mam świadomość, że królowie mają zwyczaj przerzucać na nich obowiązki.

III. Chcąc, aby to moje ważne i doniosłe wystąpienie osadzone było na solidnych i niezbitych świadectwach przyjmuję po pierwsze, iż nie można osiągnąć zbawienia bez zwrotu dobra należącego do drugiego człowieka. Do takiego wniosku dochodzą wszyscy teologowie ze świętym Tomaszem, który definiuje to w rozdziale: *Si res aliena, prytaczając słowa św. Augustyna: Si res aliena propter quam peccatum est, reddi potest, et non redditur, poenitentia non agitur, sed simulatur. Si autem veraciter agitur, non remittitur peccatum nisi restituatur ablatum, si, ut dixi, restitui potest.* Oznacza to, że jeśli przywłaszczyliśmy sobie dobra drugiego, lub je zatrzymaliśmy, wtedy to pokuta za ten grzech i za inne nie jest prawdziwą pokutą, jak tylko fałszem i udawaniem, gdyż grzech nie zostanie odpuszczony dopóki nie zostanie zwrócone to, co zostało skradzione, jeśli ten, który to skradł może to zwrócić. To ostatnie i jedyne zastrzeżenie stanowiło szansę dla dobrego łotra i powodem, dla którego został on zbawiony; tak samo jak zły łotr mógłby być zbawiony, chyba że ani jeden, ani drugi nie odda. Oto bowiem obydwa opuścili rozbity statek tego życia nadzy i przymocowani do pala i jedynie skrajne ubóstwo, które było tam, może ich rozgrzeszyć z drobnych kradzieży, które popełnili, gdyż będąc w niemożliwości zwrotu byli zwolnieni z tego zobowiązania. Tymczasem, o ile dobry łotr miał z czego zwrócić w całości lub w części, z tego co ukrył, cała jego wiara i cała pokuta, tak wystawiane przez świętych nie wystarczyłyby aby go zbawić, jeśli by nie dokonał restytucji. Dwóch rzeczy brakowało temu człowiekowi szczęśliwemu, aby być zbawionym: jednej jako złodziejowi, którym był i drugiej jako chrześcijaninowi, którym zaczynał być. Jako złodziejowi, którym był, brakowało mu czegoś co mógł zwrócić; jako chrześcijaninowi, którym zaczynał być, brakowało chrztu. Tak samo jak krew, którą rozlał na krzyżu błagała o jego chrzest, jego niedostatek i stan niemożliwości w jakim się znajdował zwałniał go z restytucji i dlatego też został zbawiony. A teraz popatrzcie na tych, którzy kradli podczas swego życia i, ni żywi ni martwi, nie zwracają; co więcej umierając zostawiają wielkie fortuny, przekazując w spuściznie swoim potomkom duży spadek. Rozważcie, gdzie ich dusza pójdzie, gdzie ona będzie i czy może być zbawiona?

Ten wymóg restytucji był tak rygorystyczny w Starym Prawie, że jeśli ukradł ktoś, kto nie miał z czego oddać, Bóg zarządził, że winien on sam być sprzedany i tym sposobem zwrócony dług przez niego zaciągnięty: *Si non habuerit quod pro furto reddat, ipse veundabitur* (Wj 22, 2: *Jeśli nie ma czym by zapłacił, to należy go sprzedać za taką samą sumę, jaką skradł*). Tak więc odtąd człowiek był swoim panem i cieszył się wolnością, odkąd nie miał nic, kiedy to została sprzedana jego własna osoba i zwrócone to, co mógł za swoją cenę uzyskać. Prawo jednakże nie osądza go w sytuacji niemożliwości zwrotu, ale go od niego nie zwalnia. Że takie prawo było słuszne nie należy w to wątpić, gdyż było to prawo Boże, choć okazuje się ono w tych okolicznościach być surowe odnosząc do prawa pozytywnego prawo łaski. Skupiając się jednak na prawie naturalnym, które jest niezbędne i nakazując zwrot temu, który to może i ma z czego, pojawia się kilka kwestii do modyfikacji i złagodzenia, skoro sam Chrystus obiecał raj łotrowi, w podobnym przypadku, choć ten najpierw nie dokonał zwrotu. Spójrzmy pod tym kątem na innego złodzieja i zobaczmy, jaka była w oczach Chrystusa różnica między nimi dwoma?

Tak samo jak Chrystus, nasz Pan, powiedział do Dyzmy: *Hodie mecum eris in Paradiso* – „dzisiaj ty będziesz ze mną w raju”, tak samo mówi on do Zacheusza: *Hodie salus domui huic facta est* (Łk 19, 9) – „Dzisiaj zbawienie stało się udziałem tego domu”. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, iż o ile Pan obiecuje natychmiastowe zbawienie Dyzmie, Zacheuszowi obiecuje dopiero później. Dlaczego tak jest, skoro obaj byli złodziejami i obaj się nawrócili? Dlatego tak jest, gdyż Dyzma był biednym złodziejem i nie miał z czego zwrócić tego co skradł, podczas gdy Zacheusz był bogatym złodziejem mającym ogromnie wiele, z czego mógłby zwrócić. *Zacheus princeps erat publicanorum et ipse divis* (Łk 19, 2: *Zacheusz był zwierzchnikiem celników i był bardzo bogaty*) – powiada Ewangelista. I cokolwiek by się nie powiedziało sytuacja jednego i drugiego mówi sama za siebie. Dlaczego? Dlatego, że Dyzma był złodziejem skazanym i jeśli nawet był bogaty pewnym jest, iż skończył na szubienicy. Tymczasem Zacheusz był złodziejem, któremu pobłażano, a jego bogactwo służyło mu bez przeszkód do bezkarnej kradzieży, a nawet do niewinności. Dyzma był biednym złodziejem i ponieważ nie miał z czego oddać skradzionych rzeczy, nie stanowiło to przeszkody w jego zbawieniu, dlatego też Chrystus przyznał mu je zaraz. Zacheusz przeciwnie, będąc bogatym złodziejem miał szerokie możliwości zwrotu zagrabionego mienia, dlatego też Chrystus nie mógł mu zapewnić zbawienia, zanim ten nie zwróci mienia i stąd odłożył swą obietnicę. Opowiadanie ewangeliczne najlepiej dowodzi tej różnicy w podejściu do tych osób.

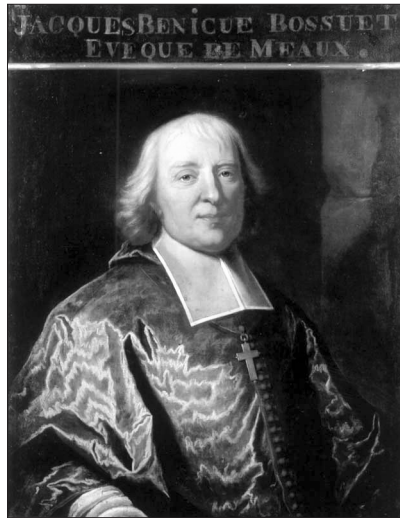
Zacheusz znał Chrystusa jedynie jako Kogoś cieszącego się sławą i dlatego też chciał Go widzieć. Pan przechodził przez jego okolicę. Zacheusz, będąc niskiego wzrostu i mając przed sobą wielki tłum nie bacząc na swój autorytet, ani na swe stanowisko – *Princeps publicanorum* – wspiął się na drzewo, aby Go lepiej widzieć. I nie tylko Go zobaczył, ale zobaczył Go bardzo dobrze. Pan spojrział na niego swymi boskimi oczami, zawołał go po imieniu i kazał mu zejść z drzewa na ziemię, gdyż chciał być jego gościem tego dnia: *Zachee, festinans descende, quia hodie in domo tua oportet manere* (Łk 19, 5: *Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszą się zatrzymać w twoim domu*).

Zbawiciel wszedł więc do domu Zacheusza, a wydaje się nam tu, iż wszedł po to, by mu rzec, iż zbawienie wstąpiło w jego dom. Chrystus nie powiedział jednak tych słów, ani nikt inny. Zacheusz przyjął Zbawiciela i świętował Jego przyjście ze wszystkimi przejawami radości: *Exceptit illum gaudens*; Jednakże Pan pozostał milczącym. Zasiadł za stołem obficie zastawionym w potrawy i jeszcze bardziej w dobrą wolę, która jest najlepszym daniem w oczach Chrystusowych, ale wciąż pozostał milczącym. Zacheusz powiedział mu wtedy, iż rozda biednym połowę całego swojego majątku: *Ecce dimidium bonorum meorum do pauperibus*. I oto Pan, który w dniu sądu powinien otworzyć Królestwo Niebieskie jedynie za dzieła miłosierdzia, czy można sobie wyobrazić, iż nie odpowie na ten akt szczodrości względem ubogich obietnicą zbawienia? Ale nawet w tym momencie Zacheusz nie zasłużył na to, co Chrystus powie mu później. Czemuż to Pan, który nauczał tyle razy, iż cokolwiek uczynicie jednemu z biednych, to Jemu samemu czynicie, czemuż nie obdarzył zbawieniem tego człowieka, który służy Mu teraz z uprzejmością i biednym z taką skwapliwością. Wydawać by się mogło, iż jeśli ofiarujecie Mu gościnę to Jego zbawienie stanie się udziałem waszego domu; jeśli go wezwiecie, to On odpowie z wielkim pośpiechem; jeśli Mu powiecie, aby się pośpieszył – *Festinans descende (zejdź prędko)* – On nie będzie się wahał ani przez moment. Dlaczego zatem odkładał tę łaskę, której pragnął udzielić? Dlaczego Zacheusz nie miał otrzymać odpuszczenia, dlaczego nie miał zapewnionego zbawienia? Dlatego, iż Zacheusz jako zwierzchnik celników – *Princeps publicanorum* – okradł wielu ludzi; a będąc bogatym miał z czego

oddać, co drugim zabrał. I dopóty tylko rozpowiadał, a nie dokonywał zwrotu dóbr drugim, jako najlepszego czynu który powinien zrobić, dopóki Chrystus nie mógł go rozgrzeszyć i uniewinnić, i nawet tego człowieka tak dobroczynnego, jakim się stał Chrystus nie mógł zbawić.

Wszystkie działania jakie podjął Zacheusz po tym błogosławionym spotkaniu były bardzo chwalebne, ale ponieważ nie dokonywały tej restytucji dóbr, nie mogły się przyczynić do zbawienia. Kto zwraca ten na ziemi przyczynia się do zbawienia. I o to właśnie chodzi. Zacheusz dodał, że wszystko to, co źle nabył zwraca poczwórnice: *Et si quid aliquem defraudavi, reddo quadruplum* (Łk 19, 8). I w tym momencie nawet, Pan, który dotąd był milczący, otworzył skarby swej łaski i obwieścił mu zbawienie: *Hodie salus huic facta est* (Łk 19, 9: *Dzisiaj zbawienie stało się udziałem tego domu*). Tak więc chociaż Pan wszedł do domu Zacheusza, zbawienie pozostawało poza jego zasięgiem; dopóki zwrot dóbr nie wyszedł z tego domu, zbawienie nie mogło do niego wejść. Zbawienie nie może się dokonać, jeśli nie zostanie przebaczony grzech, a grzech nie może być przebaczony jeśli nie zostanie zwrócone to, co zostało skradzione: *Non dimittitur peccatum nisi restituatur oblatum*. [...]

A. Vieira, *Sermão do Bom Ladrão pregado na igreja da Misericórdia de Lisboa no ano de 1655* (tłum. własne).



Biskup Jacques-Bénigne Bossuet  
(1627-1704)





# Orzeł z Meaux

**D**ruga połowa XVII i pierwsza połowa XVIII wieku to okres świetności kaznodziejstwa francuskiego. Nie dokonał się on spontanicznie, jednego dnia, lecz w drodze długotrwałego procesu. We Francji, a zwłaszcza w Paryżu, dłużej niż w innych krajach utrzymała się bogato rozwinięta metoda kazania scholastycznego. Także klasyczne francuskie kazanie zawiera pewne jej cechy. Rozwojowi kaznodziejstwa sprzyjał rozkwit szeroko pojętej kultury francuskiej. W tej epoce, w której powstają arcydzieła Pascala, Molièra, Lafontaine’a, Corneille’a, pojawia się cała plejada wybitnych mówców, której przewodzi Jacques-Bénigne Bossuet, Louis Bourdaloue, Jean-Baptiste Massillon, François Fénelon, Esprit Fléchier i Jules Mascaron. Rozkwit francuskiego kaznodziejstwa doby klasycyzmu łączy się ściśle z panowaniem Ludwika XIV (1643-1715), na dworze którego działała większość z nich. Byli oni zapraszani do głoszenia cyklów kazań okolicznościowych, świątecznych, adwentowych i wielkopostnych, które dzięki doskonale wypracowanej formie stały się trwałym dorobkiem kaznodziejstwa chrześcijańskiego i czyniły wielkie wrażenie na ludziach tamtej epoki. Wiele zasad stanowiących podstawę kaznodziejstwa klasycznego zostało następnie przyswojonych przez homiletykę europejską. Przewodnikiem po tym okresie niech będzie najwybitniejszy przedstawiciel francuskiego kaznodziejstwa klasycznego – Jacques-Bénigne Bossuet.

## Od dzieciństwa do stanu duchownego przeznaczony

Urodził się on 27 września 1627 roku w Dijon, stolicy Burgundii, w rodzinie urzędniczej, odznaczającej się głęboką religijnością i zdecydowanym przywiązaniem do monarchii absolutnej, w której warstwa średnia ówczesnej Francji widziała jedyną rękojemcę ładu i pokoju. Zwyczajem ówczesnym już od dzieciństwa przeznaczony był do stanu duchownego. Dlatego też jako ośmioletni chłopiec nosił tonsurę, a mając lat 13 mianowany został kanonikiem w Metz.

Jacques-Bénigne Bossuet rokował duże nadzieje z powodu zadziwiającej bystrości umysłu, niezwyklej pamięci i zapału do nauki. Początkowo kształcił się w kolegium jezuickim w Godrans. W roku 1642 przybył do Paryża, by podjąć studia w Collège de Navarre. Niezwykle wrażliwy na młodym Bossuetcie wywarł imponujący pogrzeb kardynała A. J. Richelieu († 1642), a zwłaszcza głoszone przy tej okazji okazałe mowy pogrzebowe.

Przyszły kaznodzieja przez dziesięć lat zgłębiał w kolegium nawarskim tajniki Biblii i myśl ojców Kościoła. Studia te uwieńczył w 1652 roku stopniem doktora i w tymże samym roku 16 marca został wyświęcony na kapłana. Ważnym etapem w jego przygotowaniu się do święceń były rekolekcje prowadzone przez wielkiego męża tej epoki – Wincentego à Paulo. Bossuet nawiązał z nim serdeczną przyjaźń.

Po święceniach kapłańskich mimo prośb przyjaciół, chcących go zatrzymać w Paryżu, udał się do Metz na swą kanonię, gdzie do 1659 roku pracował w duszpasterstwie, pogłębiając zarazem znajomość Biblii i ojców Kościoła. W Metz podjął także dyskusje z mieszkającymi tam protestantami i Żydami, przyczyniając się do licznych nawróceń. W tym celu studiował również Talmud i zgłębiał dzieje Izraela, nie gardząc pomocą rabinów. Z niektórymi z nich nawiązał bliższą znajomość. Miał także przyjaciół wśród protestantów. Współdziałał także z Wincentym à Paulo w prowadzeniu misji ludowych. Od 1659 roku Bossuet przebywał często w Paryżu jako stały delegat kapituły z Metz. Jego talent kaznodziejski i znajomość spraw kościelno-politycznych zjednały mu przychylność dworu królewskiego.

### Biskup i wychowawca Delfina

W 1669 roku król Ludwik XIV zamianował Bossueta biskupem Condom i wychowawcą syna, następcy tronu. Na użytek swego ucznia Bossuet napisał wtedy jedno z najcenniejszych swych dzieł: *Discours sur l'histoire universelle* (Paris 1681, wydanie polskie: *Uwagi nad historią powszechną*, Warszawa 1772). Dzieło to uważane jest za pierwszy francuski traktat z dziedziny filozofii dziejów, pierwszą w języku francuskim próbę nadania historii ludzkiej określonego sensu z katolickiego punktu widzenia, zgodną z tezą o ingerencji Opatrzności boskiej, z postulatem jedności państwa i Kościoła, religii i moralności, z przekonaniem, że absolutyzm siedemnastowieczny jest szczytem mądrości boskiej.

Dla wykształcenia królewskiego ucznia J.-B. Bossuet nawiązał także kontakty z najwybitniejszymi uczonymi europejskimi, którzy *ad usum Delphini* pisali rozprawy i dzieła, a biskup-wychowawca je czytał, studiował i stosował do potrzeb wychowanka. Wrócił też do dawno zarzuconych autorów starożytnych. Badał już nie tylko łacińskich, ale i greckich klasyków. Zachwycał go zwłaszcza Arystoteles i Cyceron.

W 1671 roku Bossuet zrezygnował z diecezji Condom, a jako rekompensatę otrzymał od króla kilka opactw. W tym czasie został przyjęty do Akademii Francuskiej.

W roku 1681 Bossuet ukończył kształcenie Delfina, który zresztą nigdy nie objął tronu królewskiego, gdyż zmarł jeszcze za życia ojca, w 1711 roku. W dowód wdzięczności za wychowanie syna Ludwik XIV mianował Bossueta w 1681 roku biskupem Meaux. Nowy pasterz na terenie tej podparyskiej diecezji z wielką gorliwością podjął swe obowiązki. Zasłynął jako troskliwy duszpasterz, często zwołujący synody, dbający o poziom nauczania w seminarium i o misje ludowe, które sam często prowadził. Troszczył się o biednych i chorych. Dla użytku wiernych opublikował katechizm (1687) i zbiór modlitw kościelnych (*Prières ecclésiastiques*, Meaux 1689).

## Teolog

Bossuet był jednym z czołowych francuskich teologów tego okresu. Ukształtowany przez lekturę Pisma Świętego i studium dzieł ojców Kościoła napisał już w 1671 roku *Exposition de la doctrine de l'Église catholique* (*Wykład nauki Kościoła katolickiego*), dzieło wysoko ocenione przez papieża. Miało ono przede wszystkim dopomóc w odzyskaniu dla Kościoła katolickiego hugenotów i stawiało sobie za cel objaśnienie nauk soboru trydenckiego. „Okazuje się – pisał w przedmowie Bossuet – że odmienne stanowiska w dyskusji między wyznaniem wynikają z błędnego rozumienia nauki katolickiej, że pozostałe różnice nie mają przypisywanego im pierwotnie znaczenia i że nauka katolicka, oceniana nawet według zasad protestanckich, nie zawiera niczego, co mogłoby naruszać podstawowe prawdy wiary”.

W polemice z protestantami wychowawca Delfina unikał ich atakowania i dążył do wyjaśniania kwestii spornych, co przyczyniło się do licznych nawróceń. Reprezentując taką konserwatywną i apologetyczną postawę Bossuet przystąpił do praktycznej działalności zmierzającej do zjednoczenia Kościołów, do dysput prowadzonych w obecności tych francuskich przedstawicieli szlachty, których zamierzano pozyskać dla katolicyzmu. Lektura tego wykładu nawróciła Tureniusza i wzbudziła zainteresowanie filozofa niemieckiego Gotfryda Wilhelma Leibniza († 1716), z którym Bossuet prowadził długą, uczoną korespondencję w celu doprowadzenia do unii Kościołów protestanckich z katolickim, co wówczas uważano jeszcze za możliwe.

Inicjatywa tych wysiłków wyszła od Leibniza, który wierzył, że w prowadzonych ze Spinolą rozmowach na temat zjednoczenia Kościołów znajdzie we Francji katolickiego sprzymierzeńca, niezbyt skłonnego do uznawania pełni władzy Stolicy Apostolskiej. Możliwe jest również, że odgrywała tu także rolę przejawiana przez Ludwika XIV nadzieja, iż on sam doprowadzi do zjednoczenia Kościołów, o co bezskutecznie starali się cesarz i papież. Życzenie Leibniza było mniej więcej następujące: zanim upragnione przez niego i księcia Hanoweru polityczne zjednoczenie ludów oprze się na zasadach chrześcijańskich, należy przywrócić jedność religijną. Ponieważ jednak protestanci sądzą, że mają powód do odrzucenia uchwał soboru trydenckiego, gdyż nie był on soborem powszechnym, to do zjednoczenia powinna wystarczyć ich gotowość do podporządkowania się decyzjom przyszłego prawomocnie zwołanego soboru. Tymczasem mogliby oni zostać przyjęci do wspólnoty Kościoła, otrzymać święcenia od Kościoła rzymskiego i uznać, że w Kościele rzymskim znajdują się podstawy wiary i zwyczajna jurysdykcja przysługująca biskupom z mocy prawa Bożego.

Bossuet był jednak zdania, że odrzucić powszechny sobór oznacza to samo, co powiedzieć: ja podporządkowuję się Kościołowi, ale nie wiem, jaki on jest i gdzie jest. Także przyszły sobór nie zaoferuje większej gwarancji nieomylności.

ści i pewności, bowiem znajdują się powody, aby obniżyć i jego autorytet, czego następstwem będzie całkowite zubożenie religijne.

G. W. Leibniz starał się przez kilkadziesiąt lat doprowadzić do zwołania światowego soboru, ignorując – jeśli nie odrzucając całkowicie – sobór trydencki. Natomiast Bossuet stanowczo twierdził, że ustrój naszego Kościoła nie toleruje jakiegokolwiek bądź odstępstwa od zdefiniowanej przez ten Kościół nauki: odmienne postępowanie oznacza zburzenie fundamentów. Ta odmienność stanowisk Leibniza i Bossueta uniemożliwiała realizację szlachetnego dążenia do pojednania. Napełniało to goryczą filozofa z Hanoweru. Bossuetowi, który niekiedy popełniał niezręczności i mówił o zawziętych heretykach, brakowało ducha łagodności, jaki pomógłby mu prostować błędy i pozyskiwać błądzących. A Francja, która wraz ze zniesieniem *Edyktu nantejskiego* zniszczyła Kościół protestancki, nie dostrzegła pozytywnych chrześcijańskich wartości, jakie pielęgnowali protestanci, a zwłaszcza luteranie.

W teologii Bossuet reprezentował poglądy tradycyjne, dlatego zwalczał krytyczną egzegezę R. Simona, filozofię N. Malebranche'a, jezuicką teorię akomodacji misyjnej. Tym też tłumaczy się jego nieustępliwość w zakresie dogmatów, co m.in. doprowadziło w 1701 roku do zerwania prowadzonych od 1692 rozmów z G. W. Leibnizem na temat unii z protestantami. Nawiązując do metody eklezjologicznej Augustyna, Bossuet wyjaśniał, że trwanie Kościoła jest cudem motywującym jego wiarygodność, zawsze aktualnym; Kościół bowiem ciągle atakowany, ale zawsze niezwyciężony, jest nieustannym cudem i świadectwem niezmienności Bożych planów. Bóg, podobnie jak poprzez lud Boży Starego Przymierza i w Jezusie Chrystusie, działa nadal przez Kościół dla podtrzymania prawdziwej wiary.

J.-B. Bossuet uczestniczył także żywo w innych problemach teologicznych swoich czasów. Stał po stronie króla w sporze o regalia między Ludwikiem XIV i papieżem Innocentym XI, ale w gruncie rzeczy był „na tyle rzymski, by nie narazić się papieżowi, i odpowiednio gallikański, by zadowolić króla” (Poulet). W obawie przed schizmą starał się też złagodzić treść deklaracji kleru gallikańskiego z 1682, co mu się udało tylko w części. Przekonania gallikańskie wyłożył Bossuet najdobitniej w *Defensio declarationis* (wyd. w Paryżu dopiero w 1730). Nie podzielał poglądów jansenistycznych, wiązał się jednak z niektórymi jansenistami przeciwko jezuitom. Wyrazem oportunistu było też podjęcie w 1699 roku obrony prawowierności P. Quesnela, popieranego wówczas przez arcybiskupa Paryża L. A. de Noailles. Nie będąc kompetentny w dziedzinie mistyki, prowadził Bossuet także zapalczywą polemikę z kwietyzmem (*Relation sur le quiétisme*, Paris 1698). Nie przebieając w środkach i korzystając z poparcia króla, zdyskredytował swego ucznia François Fénelona w Rzymie i przyczynił się w głównej mierze do potępienia go w 1699 roku przez papieża Innocentego XII.

## Wielki kaznodzieja

Jednakże dziedziną, w której najpełniej zajaśniała wielkość J.-B. Bossueta, było kaznodziejstwo. Głoszenie słowa Bożego rozpoczął jeszcze przed święceniemi. Tallemant des Réaux opowiada w *Historiettes*, jak to pewnego razu do salonu margrabiny de Rambouillet wprowadzono 16-letniego kleroika i polecono mu wobec towarzystwa zaimprovizować kazanie, którym wszystkich zachwycił. Było to późną nocą, a jeden ze słuchaczy, Voiture, trafnie zauważył, że „nigdy nie słyszano, by ktoś głosił tak wcześnie i tak późno zarazem”. Kleroikiem tym był Jakub Benignus Bossuet. W czasie studiów charakterystycznym był także pierwszy występ młodego kaznodziei podczas uroczystości uniwersyteckiej, w czasie rozruchów wewnętrznych (*frondy*), na temat: *Deum time, regem honorificate*.

Jako kapłan J.-B. Bossuet szybko zwrócił na siebie uwagę darem wymowy. Sława jej rozeszła się poza diecezję. W roku 1657 przybyła do Metz królowa-matka, by wraz z całym dworem wysłuchać jego kazania o św. Teresie. Był to pierwszy występ młodego kaznodziei wobec dworu. Od tego roku poczynając, bywał on coraz częściej zapraszany do Paryża, gdzie porywał słuchaczy. W roku 1662 po raz pierwszy przemawiał wobec króla i dworu, który pod świeżym wrażeniem pisał do ojca kaznodziei, winszując mu takiego syna.

Bossuet stał się wybitnym przedstawicielem kaznodziejstwa klasycznego, które odznacza się prostym słownictwem, rozbudowanymi zdaniami, żywym i dramatycznym stylem. Ten model kazania klasycznego ukształtowali wybitni – wspomniani na wstępie – kaznodzieje francuscy drugiej połowy XVII i pierwszej połowy XVIII wieku. Miało ono swoje strony dodatnie, jak dążność do tworzenia misternego planu, symetrycznego wypracowania podziałów i podpodziałów oraz ścisłej logiczności w rozumowaniu. Trzeba jednak dostrzec i ujemne jego strony: budowanie zbyt długich i skomplikowanych okresów, nadmierna troska o wygładzenie stylu, szczególne upodobanie w używaniu figur retorycznych, takich jak eksklamacje, apostrofy, prozopopeje, wreszcie wpadanie w przesadnie deklamatorski i nienaturalny patos. Co do rodzaju kazań mistrzowie francuskiej ambony wypowiadali się najczęściej w kazaniu dogmatycznym i moralnym; często sięgali po panegiryk na cześć świętych i mowę żałobną. Warto przy tym zaznaczyć, że Bossuet świadomie czynił z mowy żałobnej kazanie tematyczne. Życie bohatera służyło mu za okazję do rozwinięcia pewnej prawdy wiary lub moralności. Tak więc pod jego piórem *Mowa żałobna po śmierci Henrietty – Marii Francuskiej, królowej Anglii* staje się kazaniem na temat Opatrzności Bożej, *Mowa żałobna po śmierci Henrietty Angielskiej, księżnej Orleanu* jest kazaniem o śmierci, a *Mowa żałobna po śmierci Ludwika Bourbona, księcia Condé* jest kazaniem na temat pobożności.

Niezgodnym z prawdą jest przedstawianie kaznodziejów francuskich okresu klasycyzmu jako światowych prałatów, troszczących się przede wszystkim o przypodobanie możnym i utrzymanie swych wpływów na dworze. Wartość

ewangeliczna ich słowa, celność ich uwag moralnych, żarliwość ich wezwań do pokuty i do nawrócenia, świadczą dostatecznie o ich przywiązaniu do Kościoła i jego nauki.

### Kazanie o słowie Bożym

J.-B. Bossuet może być także uznany za wysokiej rangi teoretyka kaznodziejstwa. Wprawdzie nie napisał żadnego podręcznika homiletyki i nie prowadził zajęć z tego przedmiotu, ale poświęcił temu zagadnieniu jedno ze swych najpiękniejszych kazań. Zatytułował je *Kazanie o słowie Bożym* i wygłosił w drugą niedzielę wielkiego postu 1661 roku u karmelitanek w Paryżu (faubourg Saint-Jacques). Wypowiedział w nim tak doniosłe dla przepowiadania treści, że zastąpią one z łatwością niejedno obszernie kompendium na ten temat. Tekst naczelnego kazania *Hic est filius meus, in quo mihi bene complacui, ipsum audite* (Mt 17, 5) podsunął Bossuetowi niezwykle istotne myśli, jakie kiedykolwiek wypowiedziano o kaznodziejstwie. Powołując się na świadectwa Pisma Świętego, przytacza on myśli św. Augustyna, św. Piotra Chryzologa i św. Jana Chryzostoma. Przejmuje najgłębsze doświadczenie tych kaznodziejów i formuje je swymi własnymi słowami w klasyczny wykład o kaznodziejstwie.

J.-B. Bossuet nie zajmuje się „rzemieślniczą” stroną kazania, kompozycją i przeprowadzeniem dowodów, jak czyniły to średniowieczne *artes praedicandi*, ani też techniką przekazu, czemu poświęcano wiele uwagi w późniejszych podręcznikach homiletyki. Dotyka natomiast tajemnicy chrześcijańskiego przepowiadania, nad którym każdy kaznodzieja powinien się zastanowić, niezależnie od tego, czy preferuje formę homilii czy tematycznego kazania, czy mówi krócej czy dłużej. Bossuet był wystarczająco doświadczonym kaznodzieją, aby nie zagubić się w teoretycznych rozważaniach.

Warto przybliżyć główne myśli *Kazania o słowie Bożym*. Kaznodzieją Nowego Testamentu jest Jezus Chrystus. Stąd Boży dom ma dwa wzniosłe miejsca: ołtarz i ambonę. Od ołtarza przemawiają słudzy świątyni do Boga o ludzie, z ambony mówią do ludu o Bogu. „Na ołtarzu Jezus Chrystus pozwala czcić się w rzeczywistości swego Ciała, na ambonie pozwala poznać się w prawdzie swojej nauki”. Między amboną a ołtarzem istnieje bardzo ścisły związek. Jezus Chrystus przemawia z tego pierwszego i z drugiego miejsca. Na ołtarzu „wzywa nas do pamiętania o Jego cierpieniu i uczy nas ofiarować się wraz z Nim, tutaj daje nam żywe wskazówki poprzez żywy głos kaznodziei. Tam przez działanie Ducha Świętego i tajemnicze słowa przemienienia zamienia dary ofiarne w swe Ciało, tutaj przez tego samego Ducha i siłę słowa Bożego apostołowie Chrystusa zmieniani są w Jego Ciało i Jego członków”. Wynika z tego, że z taką samą bojaźnią jak do świętej ofiary należy zbliżać się do kazania, ponieważ słowo, które żywi duszę jest, według Orygenesusa (*In Matth., hom. 35*), pewnego rodzaju chlebem, w który wcielił się Syn Boży. A więc ka-



znodzieje w tym samym duchu, w którym zbliżają się do ołtarza idą na ambonę. Tam sprawują tajemnicę, taką samą jak w Eucharystii. „W tajemnicy Eucharystii są postacie, które widzicie. Znaki, ale to, co jest w nich zawarte, to jest Ciało Jezusa Chrystusa. Tak więc w kazaniu słowa, które słyszycie są znakami, ale myśli, które te słowa wypowiadają niosą prawdę Syna Bożego”. Jak niedorzeczne byłoby, gdyby słuchacze oczekiwali od kaznodziei innej Ewangelii, niż prawdy Jezusa Chrystusa. Dlatego też kaznodzieja Jezusa nie może przemawiać tylko do uszu i oczu, nie tylko do fantazji i rozumu słuchaczy, ale także do ich sumienia, ponieważ sumienie chce prawdy. Na ambonie elokwencja musi służyć głoszeniu prawdy.

W procesie głoszenia kazania ważna jest postawa słuchacza. Bóg udziela się tylko temu, kto prawdziwie szuka słowa Bożego. W kazaniu trzeba otworzyć szeroko drzwi serca, ponieważ prawdziwym kazaniem jest tylko głos, który przenika do naszego serca, a jest to głos Boga. Oczywiście posługuje się On ludzkimi słowami kaznodziei. Aby je odpowiednio przyjąć nie wystarczy tylko uważać na głos i język kaznodziei, raczej zalecana jest uwaga, która słowo Boże niesie do naszego serca, naszego sumienia i naszego życia, aby ono mogło przeniknąć do głębi naszej duszy i mogło przemienić ją w zbawczy sposób. Kto więc po wysłuchaniu kazania okazuje tylko podziw albo akceptację rozumu zaświadcza, że przemówił do niego nie Chrystus, lecz tylko człowiek. Kto nie przyjął słowa Bożego z wewnętrznym przejęciem, ten podpada pod Jego sąd. „Słowo, które powiedziałem, ono to będzie go sądzić w dniu ostatecznym” (J 12, 48). To, co dotyczy Eucharystii, dotyczy także słowa Bożego. „Kaznodzieja nie wchodzi na ambonę dla próżnych rozważań, których by dla rozrywki słuchać należało. Wchodzi na ambonę w tym samym duchu, co do ołtarza, dla sprawowania misterium, i to podobnego do misterium Eucharystii. Bo ciało Jezusa Chrystusa nie jest realniej w Najświętszym Sakramencie niż Prawda Jezusa Chrystusa w przepowiadaniu ewangelicznym. W tajemnicy Eucharystii postacie widzialne są znakami zamykającymi Ciało samego Jezusa Chrystusa. I w kazaniach słowa słyszane są znakami, lecz myśl, która je wywołuje i to, co one nam niosą, to prawda samego Syna Bożego”.

## Wielki post w Luvrze

W roku 1662 J.-B. Bossuet stanął przed wyjątkowo trudnym zadaniem polegającym na wygłoszeniu w pałacu królewskim w Luvrze wobec króla i dworu cyklu kazań wielkopostnych (tzw. *Grand Carême*), obejmującego w sumie 20 kazań. Miał wtedy dopiero 35 lat i doświadczenie zaledwie dziesięciu lat kapłaństwa. Jakkolwiek cieszył się już sławą utalentowanego kaznodziei, zadanie, przed którym stanął było olbrzymie, tym bardziej że jego kontakty z dworem, a tym bardziej z królem Ludwikiem XIV, były sporadyczne. Bossuet wywiązał się jednak z tej misji wspaniale. Z wygłoszonych wtedy kazań do najpięk-

niejszych należą: *Kazanie o złym bogaczu*, *Kazanie o Opatrzności Bożej*, *Kazanie o ambicji*, *Kazanie pasyjne na Wielki Piątek* i *Kazanie o śmierci*.

To ostatnie – *Kazanie o śmierci* (*Sermon sur la mort*) – wygłoszone w Luwrze 22 marca 1662 roku należy do najbardziej znanych dzieł J.-B. Bossueta. Ocenę tę zawdzięcza sile i celności sformułowań oraz doskonałej kompozycji. Niekiedy bywało jednak źle rozumiane. Niektórzy komentatorzy dzieł J.-B. Bossueta usiłują uczynić ze śmierci podstawowy, niemal obsesyjny temat tego kaznodziei. Uważają, że Bossuet znajdował upodobanie w scenach makabrycznych, usiłując tym przerazić słuchaczy. Taka ocena nie znajduje w niczym uzasadnienia. Nie jest bowiem żadnym dowodem fakt, że w związku ze swoją funkcją kaznodziei królewskiego Bossuet wygłaszał mowy pogrzebowe i ma w swym dorobku dużą ich ilość (najbardziej znane mowy pogrzebowe Bossueta powstały w związku ze śmiercią Henrietty Angielskiej i Ludwika Bourbon, księcia Condé). Dowodem na to, że Bossuet był dręczony myślą o śmierci, nie jest też pierwsze zdanie tego kazania, które wielu myli: „Czy wolno mi będzie otworzyć grób przed dworem królewskim i czy oczy tak delikatne nie będą obrażone przedmiotem tak nieszczęsnym?”. Tym, co uderza w tym kazaniu po takich słowach wstępnych, jest właśnie brak jakiegokolwiek makabrycznego opisu w dalszej części mowy. Jest tam obecna dyskrekcja tym bardziej zadziwiająca, że wpływ baroku na wymowę Bossueta był nadal żywy. Nie znaczy to jednak, że kazanie nie robi wrażenia. Mówca prowadzi nas z Jezusem do grobu Łazarza i w zderzeniu z tą prawdą snuje refleksję nad tym, kim jest człowiek. Kazanie mówi o śmierci i myśl o niej jest w nim wszechobecna. Nie jest to jednak wynikiem sięgania po opisy realistyczne, ale rezultatem siły argumentu intelektualnego. Kazanie to dzieli się na dwie antytetyczne części: człowiek zasługuje na pogardę jako ktoś przemijający i na nieskończony szacunek jako ktoś, kto został powołany do życia wiecznego. Z tych dwóch części, druga jest dwa razy dłuższa od pierwszej, co doskonale harmonizuje z zamiarem, jaki przyświeca mówcy: „uczynić widocznym tryumf życia w zwycięstwie śmierci”. W istocie swej zarówno kazanie o Opatrzności, jak i o śmierci są kazaniem apologetycznymi. Bossuet pragnął pokazać godność stworzeń powołanych przez Boga do życia wiecznego.

„Chrześcijanin, wzywam was dzisiaj, byście towarzyszyli Zbawicielowi do samego grobu Łazarza: «veni et vide, przyjdź i zobacz» (J 11, 34). O śmiertelnicy, przyjdźcie wpatrywać się w widowisko rzeczy śmiertelnych! O człowiecze, przyjdź pouczyć się, czym jest człowiek. Może się zdziwicie, iż po naukę, czym jesteście, zwracam się do śmierci!... Śmiertelnicy zakopują myśli o śmierci z nie mniejszą troskliwością, z jaką grzebią samych umarłych... Ale jeśli zadacie sobie ten trud i zechcecie pojąć, co nam się przedstawia w tym grobie, to przyznacie łatwo, że nie ma prawdziwszego tłumacza, ani wierniejszego zwierciadła rzeczy ludzkich... O śmierci, my co dzięki składamy za światło, jakie rozlewasz na naszą nieświadomość... uczysz człowieka tych dwóch

prawd, że jest nieskończenie pogardy godzin, o ile przemija, a nieskończenie godzin szacunku, o ile celem jego nieśmiertelność”.

Szczególną cechą stylu J.-B. Bossueta jest zdolność stawiania słuchaczom żywo przed oczy zdarzeń, o których mówił. Często podziwiano w mowie pogrzebowej na śmierć Henrietty Angielskiej (1670) sławny okrzyk: „O nocy straszliwa... kiedy jak uderzenie gromu rozlega się wieść zdumiewająca: Księżna umiera! Księżna umarła! Piękno tego wykrzyknienia ukrywa się w jednym tylko słowie: zdumiewająca!”. To ono stanowi o potędze tego zdania. Bossuet z udawaną naiwnością dziwi się trumnie, która stoi przed nim. Jakby nie chce wierzyć, że śmierć ośmieliła się dotknąć rodziny królewskiej.

J.-B. Bossuet był zawsze wrażliwy na problematykę egzystencjalną i na paradoksy towarzyszące ludzkiemu życiu. Nie wahał się powiedzieć dworzanom o biedakach, „którzy drżą przed wami, nawykli do tego, aby przełamywać swą biedę pracą i potem, i którzy raczej z głodu umierają, niżby wam odkryć mieli swą nędzę. I dlatego głodują! Tak, panowie, głodują na waszych dobrach, na waszych zamkach, w miastach, na wsi, przy drzwiach i w pobliżu waszych domów Nikt nie śpieszy im z pomocą. Ach! Proszą tylko o to, co wam zbywa, o resztki z waszej bogatej uczyty” (*Kazanie pasyjne na Wielki Piątek*). Z predylekcją wypowiadał się J.-B. Bossuet w kazaniach panegirycznych. Cenne są zwłaszcza panegiryki na cześć świętych Franciszka z Asyżu, Bernarda i Teresy Wielkiej.

### *Orzeł z Meaux*

J.-B. Bossuet nie był umysłem oryginalnym. Jednakże dobra znajomość ojców Kościoła i Pisma Świętego, wybitny talent krasomówczy i pisarski oraz silna pozycja na dworze czyniły z niego człowieka bardzo wpływowego i wyjednały mu przydomek „Orła z Meaux”. Osiągnięcia w dziedzinie kaznodziejstwa zyskały mu sławę w całej Europie. W kaznodziejstwie „Orła z Meaux” można wyróżnić 3 okresy: w Metz przeważała problematyka dogmatyczna, w Paryżu – filozoficzna i moralna, w Meaux – biblijna.

Bossuet posiadał wzniosłość i siłę, umiał połączyć wdzięk, wspaniałość z naturalnością. Tak na przykład trafnie zauważył, że dziewictwo w niczym nie umniejsza czułości, a przeciwnie, nadaje jej swobodę i pełnię. Mówiąc o stosunku Maryi do Jezusa, określa go słowami pełnymi niezrównanej poezji: „Widziała w Jezusie Chrystusie kwiat wydany przez jej nieskazitelność i pod wpływem tego uczucia darzyła Go pocałunkami, które były czymś więcej niż pocałunkami matki, gdyż były pocałunkami Matki-Dziewicy”.

Oryginalne miejsce w rozwoju prozy francuskiej XVII wieku zajmują *Sermons* (*Kazania*, 1672) i *Oraisons funèbres* (*Mowy żałobne*) biskupa Meaux. Krytycy bez trudu wykazują dzisiaj słabość jego rozumowań, brak finezji i subtelności w analizie idei abstrakcyjnych, nadmiar skrupułów w wykładzie dogmatów i świętych tekstów katolickich, brak oryginalności myśli i zmysłu krytycz-

nego, naiwność i nieporadność intelektualną w polemice z libertynami, braki erudycji historycznej, kłamiwy obraz działalności i charakterów postaci jemu współczesnych, intelektualną pustkę jego rozpraw z kwietyzmem, z protestantami, z krytyką Biblii, z krytyką literatury. Mimo to jednak proza Bossueta pozostaje ważnym dokumentem literackim. Stanowi bowiem przykład swoistego potraktowania przepisów klasycyzmu.

Bossuet w swoich *Kazaniach* i *Mowach żałobnych* korzysta ze wszystkiego, co do jego czasów stworzył klasycyzm w prozie francuskiej, nie pozostaje jednak wierny wyraźnie już rysującej się tendencji do umiarkowania, jasności i prostoty. Przeciwnie, nadaje swej prozie ruch podniosły, każe jej budować śmiało, rozległe obrazy, nie boi się siły wyrazu, nieuchwytności tajemnic, ducha stylu biblijnego, różnaitości składni i słownictwa, muzykalności słowa. Proza oratorska Bossueta zwraca się nie tyle do inteligencji, co do wyobraźni i uczuć, umiając budować obrazy wzniosłe, nieraz o wielkiej sile epickiej i dramatycznej. Może dlatego pierwszym apologetą i największym admiratorem Bossueta był René Chateaubriand († 1848), autor *Geniusza chrześcijaństwa* (*Le Génie du christianisme*), pierwszy wielki prozaik romantyzmu francuskiego.

\*

J.-B. Bossuet to kaznodzieja, niezaprzeczalnie najważniejszy dla języka francuskiego. Zna go i szanuje każdy wykształcony Francuz. Jego kazania należą bez wątpienia do kanonu dzieł wiecznych literatury światowej. Stale odkrywa się ich piękno i nowe niewyczerpane dotąd pokłady treściowe. Prawie niczego mu nie brak, chyba tylko trochę tej delikatności, o której tak pięknie mówił. Bossuet urzeczywistnił bowiem tylko połowę hasła Lacordaire'a: „Twardy jak diament, delikatny jak matka”. Potrafił bowiem z nieugiętością zwalczać człowieka, który wraz z nim należał do największych francuskich koryfeuszów intelektualnych – F. Fénelona.

Jacques-Bénigne Bossuet

## *Kazanie o śmierci wygłoszone w Luwrze 22 marca 1662 roku*

„Panie, chodź i zobacz” (J 11, 34).

Czy wolno mi będzie otworzyć grób przed dworem i czy oczy tak delikatne nie będą obrażone przedmiotem tak żalobnym? Nie sądzę, panowie, aby chrześcijanie mieli odmówić uczestniczenia w tym widowisku z Chrystusem. Do Niego to bowiem powiedziano w naszej dzisiejszej Ewangelii: „Panie, chodź i zobacz”, gdzie złożono ciało Łazarza. On każe podnieść kamień, jakby z kolei mówiąc do nas: „Przyjdźcie i zobaczcie sami!”. Jezus nie wzdyga się patrząc na to ciało umarłe jako na przedmiot litości i cudu; za to my, nędzni grzesznicy, wzdygamy się patrząc na to smutne widowisko, jako na dowód naszych błędów. Pójdźmy i patrzmy z Chrystusem, wyzwalając się na wieki z ułudy wszystkich dóbr, które śmierć zabiera.

Jest to dziwna słabość umysłu ludzkiego, że nigdy śmierć nie jest mu obecna, jakkolwiek rzuca się w oczy ze wszech stron i w tysiącnych kształtach. Na pogrzebach słyszy się jedynie wyrazy przerażenia, iż ten śmiertelnik umarł. Każdy stara się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz z nim rozmawiał i o czym ów zmarły z nim mówił, a wtem nagle umarł. Oto, mówią, co to jest człowiek! I ten, co to mówi, to jest człowiek! A ten człowiek nie stosuje nic do siebie, niepomyślnie swego przeznaczenia. Albo jeśli przejdzie przez myśl jego jaka przelotna chęć przygotowania się na śmierć, to prędko rozprasza czarne o niej myśli. Mogę powiedzieć, panowie, że śmiertelnicy zakopują myśli o śmierci z nie mniejszą troskliwością, z jaką grzebią samych umarłych. Ale może myśli te wywrą większy skutek w naszych sercach, jeśli je rozważać będziemy razem z Chrystusem na grobie Łazarza. Prośmy Go tedy, by On je nam wraził łaską Ducha Świętego, starajmy się zaś na nią zasłużyć przez przyczynę Najświętszej Panny. *Ave*.

Wśród wszystkich namiętności umysłu ludzkiego jedną z najgwałtowniejszych jest pragnienie wiedzy. Ta ciekawość poznania sprawia, że umysł wyczerpuje siły, by znaleźć albo jaką tajemnicę niesłychaną w porządku natury, albo biegłość nieznaną w dziełach sztuki, albo nie wypróbowany jeszcze wymysł w prowadzeniu interesów. Jednakże wśród tych olbrzymich pragnień wzbogacenia naszego rozumu nowymi wiadomościami dzieje się z nami to samo, co z tymi, którzy zapuszczając bardzo daleko wzrok, nie spostrzegają przedmiotów w pobliżu. Chcę przez to powiedzieć, że umysł nasz, siląc się poznać rzeczy nader odległe i przebiegając, że się tak wyrażę, niebo i ziemię, przechodzi jednak lekko ponad tym, co mu się z bliska przedstawia.

Trawimy całe życie wciąż nieświadomi tego, co nas dotyczy; i nie tylko tego, co nas dotyczy, ale i tego, czym jesteśmy.

Nic potrzebniejszego nad skupienie w nas samych wszystkich tych rozpieczętych myśli. I dlatego to, chrześcijanie, wzywam was dzisiaj, byście towarzyszyli Zbawicielowi do samego grobu Łazarza: *veni et vide, chodź i zobacz*. O, śmiertelnicy, przyjdźcie wpatrywać się w widowisko rzeczy śmiertelnych! O człowiecze, przyjdź pouczyć się, czym jest człowiek. Może się zdziwicie, iż po naukę, czym jesteście, zwracam was do śmierci! Pomyślcie, że to rzecz niewłaściwa przedstawiać człowieka, ukazując go tam, gdzie go już nie ma. Ale jeżeli zadacie sobie ten trud i zechcecie pojąć, co nam się przedstawia w tym grobie, to przyznacie łatwo, że nie ma prawdziwszego tłumacza, ani wierniejszego zwierciadła rzeczy ludzkich.

Naturę rzeczy złożonej najwyraźniej widzi się w rozłożeniu jej części. Ponieważ te wywołują jedna w drugiej zmiany, gdy są zmieszane razem, przeto trzeba je rozdzielić, by je dobrze poznać. W istocie zespolenie duszy i ciała sprawia, że ciało wydaje nam się czymś więcej niż jest, a dusza czymś mniej. Kiedy jednakże po rozdzieleniu się ciało powraca do ziemi, a dusza także uzyskuje możliwość powrotu do nieba, skąd jest wzięta, wtedy widzimy jedno i drugie w ich czystości. Potrzebujemy tylko rozważyć, co nam śmierć zabiera, a co pozostawia w całości; która część naszej istoty pada pod jej ciosami, a która zachowuje się w tym zniszczeniu, a wtedy zrozumiemy, co to jest człowiek. I dlatego nie waham się bynajmniej twierdzić, że to z łona śmierci, z jej gęstych cieniów wychodzi światłość nieśmiertelna ku oświeceniu naszych umysłów o naszej naturze. Przybieżcie więc, o śmiertelnicy, i zobaczcie w grobie Łazarza, co to jest człowiek. Przyjdźcie zobaczyć w tym samym przedmiocie koniec waszych zamysłów a początek nadziei. Przyjdźcie oglądać zarazem rozkład i odnowienie się waszej istoty. Przyjdźcie oglądać triumf życia w triumfie śmierci: *veni et vide*.

O śmierci, my ci dzięki składamy za światła, jakie rozlewasz na naszą nieświadomość, Ty jedna nas przekonywasz o naszej niskości, ty jedna dajesz nam poznać naszą godność. Gdy człowiek zbyt się ceni, ty umiesz ugiąć jego pychę. Gdy człowiek zbyt sobą gardzi, ty umiesz podnieść jego odwagę. I aby sprowadzić wszystkie jego myśli do sprawiedliwej miary, uczysz go tych dwóch prawd, otwierających mu oczy na właściwe poznanie się: że jest nieskończenie pogardy godzien, o ile przemija, a nieskończenie godzien szacunku, o ile celem jego nieśmiertelność. Dwa te ważne rozważania będą stanowiły przedmiot mego przemówienia.

#### I.

Jest to śmiałe przedsięwzięcie chcieć powiedzieć ludziom, że nie są niczym wielkim. Każdy jest zazdrosny o to, czym jest. Człowiek woli raczej być ślepym, aniżeli znać swą słabość. Zwłaszcza wielkie fortuny chcą, by się z nimi obchodzić delikatnie. Nie lubią, by zauważono ich błąd. A jeśli się już go zauważy, to chcą, aby to bodaj ukrywać. A jednak dzięki śmierci możemy o tym mówić swobodnie. Nie ma nic tak wielkiego na świecie, co by nie rozeznało w sobie wielu nikczemności. Ale i to jeszcze za wielką próżność, rozróżniać w sobie cząstkę słabą, jak gdybyśmy mieli co wartościowego.

Niech żyje Nieśmiertelny! O wielkości ludzka, z jakiegokolwiek strony spojrzę na ciebie, prócz z tej jednej, o ile pochodzisz od Boga i masz powrócić do Boga, bo w ten sposób odnajduję w tobie promień Bóstwa, który budzi mój szacunek, nie widzę w tobie nic, co bym szanował. Bo z jakiegokolwiek strony cię obrócę, zawsze znajduję śmierć przed sobą, która rzuca ze wszystkich stron tyle cienia na to, co blask świata chciał ubarwić, że już nie wiem, na czym oprzeć to wspaniałe miano wielkości, ani do czego mam stosować tak piękny tytuł.

Przekonajmy się, chrześcijanie, o tej ważnej prawdzie rozumowaniem, którego nie sposób obalić. Przymiot nie może być szlachetniejszy od istoty, ani dodatek ważniejszy od rzeczy głównej, ani też budowla trwalsza od podstawy, na której jest wzniesiona, ani wreszcie to, co jest przywiązane do naszej istoty, nie może być większe ni ważniejsze od niej samej. A teraz, co to jest nasza istota? Pomyślmy nad tym dobrze, chrześcijanie. Powiedz nam to, o śmierci, bo ludzie pyszni nie uwierzyliby mi. Ale, o śmierci, ty jesteś niema i przemawiasz tylko do oczu, Wielki król użyczy ci swego głosu, abyś dotarła do uszu i wniosła do serca prawdę w sposób wyraźniejszy.

Oto piękne rozmyślanie Dawida, gdy zasiadał na tronie pośród dworu. Najjaśniejszy panie, jest ono godne twego posłuchania: O wieczny Królu wieków, Ty zawsze należysz do siebie, zawsze



jesteś w sobie; Twój byt wiecznie niezmienny, ani upływa, ani się zmienia, ani się mierzy, i oto „uczyniłeś dni moje policzone i moja istota jest niczym przed Tobą”. Nie, istota moja jest niczym przed Tobą i wszelki byt, który się mierzy, jest niczym; bo to, co się mierzy, ma swój kres, a gdy się przyszło do tego kresu, ostatnia chwila burzy wszystko, jak gdyby nigdy nie istniało. Cóż to jest sto lat, co tyś, skoro jedna chwila je zaciera? Pomnażajcie dni wasze jako jelenie, którym bajka czy historia natury każe żyć przez tyle wieków. Trwajcie tak długo, jak one wielkie dęby, pod którymi nasi przodkowie wypoczywali i w ich cieniu wypoczywać jeszcze będą nasi potomkowie. W tej przestrzeni, co się wydaje olbrzymią, nagromadźcie zaszczyty, bogactwa, przyjemności. Na cóż wam się przyda to wszystko, skoro ostatnie tchnienie śmierci całkiem słabe, omdłałe, obali nagle te marne okazałości z równą łatwością jak zamek z kart, pustą dzieci igraszkę? I cóż wam pomoże, żeście tyle napisali w tej księdze, zapełnili wszystkie jej karty pięknymi literami, skoro jedno pociągnięcie ma zatrzeć wszystko? I to jeszcze pociągnięcie na papierze pozostawiłoby bodaj jakieś ślady po sobie. Tymczasem ta ostatnia chwila, która jednym zamachem zatrze całe nasze życie, sama także wraz z wszystkim stoczy się w tę przepaść nicości: nie będzie już na ziemi żadnego śladu po tym, czym byliśmy. Ciało zmieni naturę, przybierze inną nazwę, „nawet miano trupa nie pozostanie przy nim długo, stanie się on – mówi Tertulian – czymś, co nie ma już nazwy w żadnym języku” (De Resur. Carn. 4). Taką to prawdą jest, że wszystko w nim umiera, aż do tych wyrazów żałobnych, którymi określaliśmy jego nieszczęsne szczątki.

Cóż to więc jest ta moja istota, o wielki Boże! Wstępuje w życie, aby z niego wyjść niebawem. Przychodzę się pokazać jak inni, potem trzeba będzie zniknąć. Wszystko nas woła do śmierci. Natura, jakby prawie zazdrosna o dobro nam wyświadczone, mówi nam często i daje do zrozumienia, że nie może nam na długo zostawić tej odrobiny użyczonych materii, która nie ma pozostawać w tych samych rękach, lecz ciągle być w obiegu: ona jej potrzebuje do innych form, żąda jej zwrotu do innych dzieł.

Ten ciągły pobór rodzaju ludzkiego, mam na myśli dzieci, które się rodzą, w miarę jak rosną i postępują, zdają się popychać nas ramionami i mówią nam: Usuńcie się, na nas teraz kolej! Tak samo jak my widzimy innych przechodzących przed nami, tak inni nas zobaczą przechodzących, a ci znowu swoim następcom dadzą to samo widowisko. O Boże! Raz jeszcze, czymże jesteśmy? Kiedy rzucę wzrok przed siebie, widzę przestrzeń nieskończoną, w której mnie nie ma! A gdy go odwrócę wstecz, widzę straszny ciąg nieprzerwany, gdzie mnie już nie ma! I jakże mało miejsca zajmuję w tej bezmiernej przepaści czasu! Nie jestem niczym; tak mały przeciąg czasu nie zdoła przecie odróżnić mnie od nicości: posłano mnie na to tylko, bym stanowił liczbę. I to jeszcze nie wiedziano co ze mną zrobić, a sztuka byłaby i wtedy odegrana, gdybym był pozostał za sceną.

A nawet, jeśli chcemy roztrząsać rzecz w rozważaniu subtelniejszym, to od nicości nie odróżnia nas właściwie cały ciąg naszego życia. I wiadomo wam, chrześcijanie, że to zawsze tylko jeden moment nas od niej oddziela. Teraz trzymamy jeden, który zaraz ginie, a wraz z nim zginęlibyśmy wszyscy, gdybyśmy szybko, nie tracąc czasu, nie chwycili drugiego momentu podobnego, aż wreszcie nadejdzie taki, do którego nie będziemy mogli dotrzeć, bez względu na wysiłek. I wtedy nagle padniemy z braku oparcia. O, krucha podpora naszego bytu i chwiejna podstawa naszej istoty! *In imagine pertransit homo*. Ach! Prawdziwie przechodzi on jak cień, albo tak jak podobizna w obrazie, a ponieważ sam nie jest niczym trwałym, przeto goni tylko za rzeczami marnymi, podobizną dobra, a nie za dobrem samym.

Jakże małe jest miejsce, które zajmujemy na tym świecie! Tak małe, zaprawdę, i tak mało znaczne, że wątpię niekiedy z Arnobiuszem, zali śpię, czy czuwam: *Vigilemus aliquando, an ipsum vigilare, quod dicitur, somni sit perpetui portio*. Nie wiem, czy to, co nazywam czuwaniem, nie jest może częścią trochę więcej podnieconą snu głębokiego, i czy ja widzę przedmioty rzeczywiste, czy też jestem tylko niepokoiony wyobraźnią i czczymi widziadłami: „Przemija kształt świata tego, istota moja nie jest niczym wobec Boga”.

## II.

Chrześcijanie! Jakkolwiek jesteście wygnani do tej ostatniej części wszechświata, która jest widowiskiem zmian i państwem śmierci, więcej nawet, jakkolwiek śmierć, tkwiącą w niej, nosimy w swym łonie, w środku tej materii i wskroś ciemność naszego poznania, pochodzącą ze złudzeń naszych zmysłów, jeżeli potrafimy wejść w siebie, znajdziemy coś, co jakąś mocą ukaże swe niebieskie pochodzenie bez obawy zepsucia. Nie wątpymy o tym!

Nie należę do ludzi, mających wielki respekt dla umiejętności ludzkich. Jednak przyznaję się, że nie mogę bez podziwu spoglądać na te zdumiewające odkrycia poczynione przez naukę, by przeniknąć naturę, i na tyle pięknych wynalazków, których dokonała sztuka, by ją dostosować do naszego użytku. Człowiek prawie że zmienił oblicze ziemi. Rozumem podbił zwierzęta, które go przewyższały siłą; potrafił okiełznać ich gwałtowne narowy i zniewolić ich rozpętana swawolę. Zręcznością ugiął nawet stworzenia bezduszne. Czyż ziemia kunsztem jego nie została zmuszona dać mu pokarmy odpowiedniejsze? Czy nie zmusił roślin do pozbycia się na jego korzyść dzikiej goryczy, a nawet trucizny obróciły się na lekarstwa dla miłości jego! Zbyteczne byłoby opowiadać wam, jak on umie kierować żywiołami, po tylu cudach, których dokazywać każe codziennie najtrudniejszym z nich do pokonania, – ogniowi i wodzie, owym dwu wielkim wrogom, łączącym się przecież zgodnie, aby nam służyć w czynnościach tak użytecznych i tak potrzebnych. Co więcej? On wyniósł się aż pod niebiosa: aby kroczyć pewniej, nauczył gwiazdy przewodzić mu w jego podróżach; by równomierniej mierzyć swoje życie, zmusił słońce do zdania poniekąd sprawy ze wszystkich swoich kroków. Pozostawmy jednakże retoryce to długie i szczegółowe wyliczanie, i poprzestańmy na stwierdzeniu ze stanowiska teologicznego, że Bóg, utworzywszy człowieka – jak mówi wyrocznia Pisma Świętego – aby był głową świata, który wspaniale jest urządzony, jakkolwiek zmieniony przez jego zbrodnię, pozostawił mu jednak pewien instynkt do szukania tego, czego mu nie dostaje, po całym przestworze natury. I dlatego to człowiek, że się tak wyrażę, szpera wszędzie śmiało, jakoby w swojej własności, i nie ma żadnej części wszechświata, gdzie by nie zostawił śladów swej przemysłności.

Pomyślcie teraz, panowie, jakby taką przewagę mogło uzyskać stworzenie tak słabe i narażane, wedle ciała, na napady wszystkich innych, gdyby nie miało w swoim umyśle siły wyższej nad całą naturę widzialną, nieśmiertelnego tchnienia Ducha Bożego, promienia z Jego oblicza, rysu Jego podobieństwa. Nie, nie! Inaczej być nie może. Jeżeli znakomity rzemieślnik zrobi jakąś nadzwyczajną maszynę, to nikt nie może się nią posługiwać, tylko na podstawie objaśnień, których on udzieli. Bóg urządził świat jakby wielką maszynę, którą jedynie Jego mądrość mogła wynaleźć, a Jego moc zbudować. O człowiecze! Ciebie On ustanowił, byś się nią posługiwał. Złożył On, że się tak wyrażę, w ręce twoje całą naturę, byś ją zastosował do swoich potrzeb. Pozwolił ci nawet ozdabiać ją i upiększać sztuką, bo cóż to innego sztuka, jeśli nie upiększenie natury? Możesz dodać barw kilka na ozdobę tego cudownego obrazu. Ale jakże mógłbyś poruszyć choćby odrobinę

tak potężną machinę? Albo w jaki sposób mógłbyś uczynić bodaj jeden stosowny rys na tak bogatym obrazie, gdyby nie była w tobie i w jakim zakątku twojej istoty sztuka, pochodząca z owej pierwszej sztuki, jakieś płodne idee, dobyte z owych pierwotnych idei, słowem, jakieś podobieństwo, emanacja, cząstka owego Ducha twórczego, który uczynił świat. A jeżeli tak jest, chrześcijaństwo, to któż nie widzi, że cała natura razem sprzysiężona nie zdoła zagasić tak pięknego promienia, owej cząstki nas samych, naszej istoty, która nosi charakter tak dostojny podtrzymującej ją mocy Bożej, i że tak więc dusza nasza, wyższa od świata i wszelkich sił, które go składają, nie potrzebuje się niczego obawiać tylko swego Twórcy.

Ale idźmy dalej, chrześcijaństwo, w tak pożytecznym rozmyślaniu nad obrazem Boga w nas. I przypatrzmy się, w jaki sposób to stworzenie umiłowane, którego przeznaczeniem jest posługiwanie się wszystkimi innymi, przypisuje sobie samemu, co ma czynić. W zepsuciu naszym – wyznając – tu leży słabość nasza. A przecie nie mogę bez podziwu rozważać tych niewzruszonych prawideł obyczajów danych przez rozum. Jak to! Ta dusza zanurzona w ciele, która kojarzy się tyloma węzłami z wszystkimi jego namiętnościami, która omdlewa i rozpacza, nie może przyjść do siebie, gdy to ciało cierpi? W jakimże świetle ona widziała, że mimo wszystko ona będzie miała swoją szczęśliwość dla siebie? Że mimo głośniego protestu wszystkich zmysłów, wszystkich namiętności i niemal całej natury ona przecie niekiedy śmiało powie: „To zysk dla mnie umrzeć”, a czasem mówi: „Raduję się w utrapieniach”? Czyż, chrześcijaństwo, nie odkryła ona widocznie wewnątrz znakomitej piękności w tym, co się zowie obowiązkiem, ośmielając się stanowczo twierdzić, że winna się narażać bez obawy, nawet z radością na olbrzymie trudy, niepojęte cierpienia i śmierć pewną dla przyjaciół i ojczyzny, dla monarchy i ołtarzy? I czy to nie jest jakby cudem, że te zasady stałe odwagi, uczciwości, sprawiedliwości nie mogą nigdy być zniesione, nie mówię już przez bieg czasu, ale przez zwyczaj przeciwny, i owszem, na szczęście rodzaju ludzkiego było znacznie mniej osób, co je całkiem osławiało, aniżeli tych, co je w doskonały sposób w czyn wprowadzają.

Bez wątpienia jest w nas światło Boże: „Promień twojego oblicza, o Panie, wraził się w dusze nasze”. W nim to odkrywamy jakoby w globie świetlanym nieśmiertelne upodobanie w uczciwości i cnocie. To pierwszy Rozum ukazuje się nam przez swój obraz, to sama Prawda przemawia do nas i ona to winna nas pouczyć, że jest w nas coś, co nie umiera, skoro Bóg nas uzdatnił do znajdowania szczęścia nawet w samej śmierci.

Wszystko to jednak jest niczym, chrześcijaństwo: ale oto rys najcudowniejszy tego boskiego podobieństwa. Bóg zna siebie i wpatruje się w siebie: Jego życie, to poznawanie siebie, a ponieważ człowiek jest Jego obrazem, więc chce Go także poznać. Być wiecznym, niezmiernym, nieskończonym, wyzwolonym od wszelkiej materii, wolnym od wszelkich granic, uwolnionym od wszelkiej niedoskonałości: chrześcijaństwo, cóż to za cud! My, co czujemy jedynie i tylko to, co ograniczone, my co widzimy tylko rzeczy niestałe, jakże mogliśmy pojąć i pomyśleć tę nieskończoność? O wieczności, o nieskończoności! – mówi św. Augustyn – której nasze zmysły nie domyślają się nawet, któreżdyż weszła do dusz naszych? Ale jeśli jesteśmy tylko ciałem, tylko materią, to jakże możemy pojąć czystego ducha i jakże mogliśmy choćby tylko wynaleźć tę nazwę?

Wiem, co można tu powiedzieć, i słusznie, że mówiąc o tych duchach, niezbyt rozumiemy to pojęcie. Nasza słaba wyobraźnia, nie mogąc znieść pojęcia tak czystego, podaje nam zawsze jakieś małe ciało do przybrania go. Ale gdy ostatecznie się wysiliła, by je wysubtelnić i uczynić bardzo oderwanym, czy nie czujecie równocześnie, że z głębi duszy naszej dobywa się światło niebieskie

rozpraszające wszystkie te mary tak cienkie i delikatne, jakie byśmy mogli sobie utworzyć? A gdy ją bardziej jeszcze przynaglicie i zapytacie, co to takiego, wtedy ze środka duszy podniesie się głos: Nie wiem, co to jest, ale jednak to nie to. Jakaż siłę, jaką energię i moc tajemną czuje w sobie ta dusza, by się poprawić, zaprzeczyć sobie samej i śmieć odrzucić wszystko, co myśli? Któż nie widzi, że jest w niej ukryta sprężyna, która jeszcze nie działa całą mocą, aczkolwiek przyciśnięta i skrępowana okazuje jednak wyraźnie jakąś tęgością, że nie jest związana z samą materią, lecz jest jakby przyczepiona swoim końcem do jakiegoś wyższego pierwiastka.

Co prawda, chrześcijanie, przynajmniej, że nie znosimy na długo tego szlachetnego zapału. Owe piękne pojęcia gęstnieją niebawem i dusza zanurza się wnet znowu w swoją materię. Ma ona swoje słabości i omdlenia, i – pozwólcie mi to powiedzieć – bo już nie wiem, jak się mam wyrazić, ma ona prostactwa niezrozumiałe, które, o ile ona nie jest oświeconą skądinąd, zmuszają ją samą niemal być w niepewności o jej istocie. I dlatego mędrzy świata, widząc człowieka z jednej strony tak wielkim, z drugiej tak godnym pogardy, nie wiedzieli ani co myśleć, ani co powiedzieć o tak dziwacznej mieszaninie. Pytajcie filozofów świeckich, co to jest człowiek. Jedni żeń zrobią Boga, inni żeń zrobią jedno nic. Jedni powiedzą, że natura go umiłowała jak matka i że uczyniła go rozkoszą swoją; drudzy powiedzą, że go naraża jak macocha i że czyni go swym wyrzutkiem. Trzecia zaś partia, nie wiedząc już, czego się domyślać w tej wielkiej mieszaninie, odpowie, że natura się zabawiła, łącząc dwa kawałki, między którymi nie ma żadnego związku, i w ten sposób, kaprysem jakby utworzyła cudo, które się zwie człowiekiem.

Słusznie sądzicie, panowie, że ni jedni, ni drudzy nie trafili w sedno i że tylko wiara rozwiązać może tak wielką zagadkę. Mylicie się, o mędrzy świata: człowiek nie jest rozkoszą natury, skoro ona lży go na tyle sposobów. Człowiek nie może być także jej wyrzutkiem, skoro ma w sobie coś, co więcej warte od samej natury (mówię o naturze zmysłowej). Skądże więc pochodzi tak dziwna dysproporcja? Czyż potrzebuję wam to mówić, czyż te rumowiska, źle dostosowane do tak wspaniałych fundamentów, nie wołają dość głośno, że dzieło nie jest w swym stanie kompletne? Przyjrzyjcie się tej budowli: zobaczycie tam ślady ręki Bożej; ale nierówność dzieła pozwoli wam wnet dostrzec, jaką domieszkę dodał tam grzech. O Boże! Jakaż to mieszanina! Za ledwie się rozpoznaje. Omal nie zawołał z prorokiem: „Toż to owo Jeruzalem? Toż to owo miasto? To więc jest ona świątynia, ozdoba i radość całej ziemi?”. I ja powiem: Toż to jest ów człowiek, uczyniony na obraz Boga, cud Jego mądrości i arcydzieła rąk Jego?

To on sam, nie wątpię. Skąd więc pochodzi ta niezgodność i dlaczegoż widzę te części tak źle dostosowane? Dzieje się tak dlatego, że człowiek chciał budować na swój sposób na dziele Stwórcy i oddalił się od planu. I tak tedy przeciw regularności pierwotnego szkicu, to co nieśmiertelne i to co zepsute, to co duchowe i to co cielesne – znalazło się nagle razem połączone. Oto słowo zagadki i rozplątanie całego zawikłania. Wiara nam powróciła nas samych i nasze zawstydzające słabości nie mogą nam już zakryć naszej naturalnej godności.

Ale niestety! Na cóż nam się przyda ta godność? Jakkolwiek nasze ruiny tchną jeszcze słabo wielkością, to jednak nie jesteśmy nimi przez to mniej przygnieceny. Nasza dawna nieśmiertelność służy tylko do tego, by jeszcze nieznośniejszą uczynić nam tyranie śmierci, a choć dusze jej unikają, to jednak jeśli grzech je unieszczęśliwia, nie mają się czego chwalić wiecznością tak uciążliwą. Cóż powiemy, chrześcijanie? Cóż odpowiemy na skargę tak przejmującą? Jezus Chrystus na nią odpowie w dzisiejszej ewangelii. Przychodzi On zobaczyć zmarłego Łazarza, przycho-

dzi nawiedzić naturę ludzką, jęczącą pod panowaniem śmierci. O, to nawiedzenie nie jest bez przyczyny! To Budowniczy przychodzi sam w swojej osobie, by zbadać, czego brak Jego budowie, ponieważ ma On zamiar przekształcić ją według swego pierwszego wzoru: „według obrazu Tego, który go stworzył”.

O duszo, pełna zbrodni, obawiasz się słusznie nieśmiertelności, która by śmierć twoją uwieczniła! Ale oto w osobie Chrystusa „zmartwychwstanie i żywot”: kto wierzy weń, nie umiera; kto wierzy weń, już żyje życiem duchowym i wewnętrznym; żyje życiem łaski, które pociąga za sobą życie chwały. Lecz ciało jest mimo to podległe śmierci. O duszo, pociesz się: jeżeli ten Boski Budowniczy, który podjął się odnowić ciebie, pozwala rozpaść się po kawałku starej budowie twego ciała, to dlatego, iż chce ci je oddać w lepszym stanie i odbudować je w lepszym porządku. Wejdzie On krótko do państwa śmierci, lecz w rękę jej nie zostawi nic prócz samej śmiertelności.

Nie dajcie sobie wmówić, że na zepsucie winniśmy wedle rozumowań medycyny patrzeć jako na następstwo naturalne, przywiązane do rzeczy złożonej i mieszaniny. Trzeba wnieść wyżej umysł i wierzyć, według zasad chrześcijaństwa, co sprowadza na ciało ona konieczność zepsucia: to, iż jest ponętą dla zła, źródłem złych pragnień, słowem „ciałem grzechu”, jak mówi Apostoł święty. Takie ciało musi być zniszczone, mówię nawet u wybranych, ponieważ w tym stanie ciała grzechu nie zasługuje ono na to, aby było połączone z duszą błogosławioną, ani też by wejść do królestwa Bożego. „Ciało i krew nie mogą osiągnąć królestwa Bożego”. Musi ono więc zmienić swój kształt pierwszy, aby się odnowić i stracić całą pierwotną istotę i otrzymać drugą z ręki Boga. Jak stara budowla nieregularna, o której odnowienie się nie dba, by ją na nowo odbudować w piękniejszym porządku architektonicznym, tak to ciało całe zepsute jest grzechem i pożądliwością. Bóg pozwala mu paść w gruzy, by je przerobić na swoją modłę i według pierwszego planu swojego stworzenia. Musi być w proch obrócone, ponieważ służyło grzechowi.

Czy nie widzisz Boskiego Jezusa, każącego otworzyć grób? – To książę, który każe otworzyć więzienie nieszczęsnym więźniom. Ciała umarłe, które są zamknięte wewnątrz, usłyszą pewnego dnia Jego słowo i zmartwychwstaną jak Łazarz. Zmartwychwstaną lepiej od Łazarza, bo zmartwychwstaną, by już nie umierać, ponieważ śmierć, mówi Duch Święty, będzie zatopiona w przepaści, by już nigdy się nie pokazać.

Czegoż tedy obawiasz się, duszo chrześcijańska, przy zbliżaniu się śmierci? Może widząc rozpadający się dom swój boisz się, że zostaniesz bez schronienia? Lecz posłuchaj boskiego apostoła: „Wiemy – mówi on, nie skłaniają nas do uwierzenia w to wątpliwe domysły, ale my wiemy, bardzo pewnie i z wszelką pewnością, – że gdy ten dom z ziemi i błota, w którym mieszkamy, zostanie zburzony, to mamy dom inny, który nam jest przygotowany w niebie”. O jak wielkie jest miłosierdzie Tego, co zarządza naszym potrzebom! Ma On plan, mówi znakomicie św. Jan Chryzostom, odnowić dom, który nam dał. Podczas, gdy go burzy i wyraca, by go odbudować, trzeba, byśmy się wyprowadzili, bo cóż byśmy robili w tym prochu, w tym nieładzie i zamieszaniu?

I oto On sam ofiaruje nam swój pałac, daje nam mieszkanie i w nim każe czekać spokojnie na całkowite odnowienie naszej dawnej budowy.

Cytat za: J.-B. Bossuet, *Kazanie o śmierci*, [w:] *Wybór pism kaznodziejskich Bossueta*, przekł. M. M. Paciorkiewicz, Poznań 1931, s. 128-140 (w publikowanym tu tekście uwspółcześniono polską pisownię).







Abraham a Sancta Clara CRSA  
(1644-1709)



# Mistrz barokowego kazania

**M**entalność religijna stale ewoluuje. Po Soborze Watykańskim II liturgia i Pismo Święte odgrywają doniosłą rolę. Kościół współczesny kładzie mocny akcent na czynne uczestniczenie w sprawowanym misterium, podczas gdy nie tak dawno wystarczyło jedynie „chodzić na mszę świętą”. Także lektura Pisma Świętego jest zalecana i ułatwiona przez szereg komentarzy. W XVII wieku było inaczej. Postawę katolicką cechował dystans i oddalenie od źródeł życia chrześcijańskiego. Dostęp do Biblii był ograniczony, gdyż obawiano się herezji. Liturgię ukazywano jako święte misterium, do którego świeccy, uważani za grzesznych, nie mieli dostępu. Komunia święta (nie tylko u jansenistów) była rzadka. W liturgii powszechnie obowiązywała łacina i zakazane było publikowanie tekstu kanonu w językach narodowych. Jeśli nie zachodziła konieczność, kapłani nie czuli potrzeby codziennego odprawiania mszy świętej. W tej sytuacji pokarmu duchowego dostarczało wiernym przede wszystkim kazanie. To ono odgrywało istotną rolę w życiu katolickim; to ono było drogą prowadzącą do spotkania ze słowem Bożym.

## Kazanie barokowe

Jednakże siedemnastowieczne kazania nie przypominały dzisiejszych homilii wygłaszanych podczas mszy świętych. Barok w sposób przemożny i zasadniczy zaważył na barwie, stylu i doborze środków ekspresji kazania. Kaznodziejów ożywiał duch swobody zrywającej więzy wszelkiego przymusu. Wyrażało się to m.in. w powrocie do używania i nadużywania alegorii i symboliki.

Barok wprowadził przede wszystkim zwyczaj alegoryzacji słów Pisma Świętego. Dzięki temu można było osnuć całe kazanie na tle jednego słowa dowolnie wyrwanego z kontekstu perykopy biblijnej. Dawało to szerokie pole do opisu swobodnej, niczym nie krępowanej wyobraźni. Wniosek im bardziej był zaskakujący i szokujący słuchacza, tym bardziej odpowiadał duchowi czasu. Autorzy kazań prowadzili więc z Chrystusem i świętymi rozmowy, udzielali im rad i wskazówek, czynili wyrzuty i wymówki, pytali o rację takiego lub innego postępowania.

Inną cechą ówczesnego kaznodziejstwa była specyficzna erudycja. Kaznodzieja pragnął zaszokować słuchacza ogromem swej wiedzy biblijnej i patrystycznej oraz znajomością kultury antycznej, historii powszechnej i przyrodoznawstwa. Podejście do Pisma Świętego było jednak zasadniczo inne niż w okresie renesansu. W XVII wieku kaznodzieje tworzyli oryginalnie i samodzielnie. Pismo Święte i dzieła ojców Kościoła nie były już źródłem ich kazań. Bardzo często zamieszczane cytaty stały się tylko ilustracją ubocznie przyłączoną do treści i dowodem biblijnej wiedzy autora. Co do wiadomości z hi-

storii powszechnej i przyrodoznawstwa, kaznodzieje, aby oszołomić i olśnić słuchacza, opowiadali niekiedy rzeczy dziwne i fantastyczne, nie troszcząc się zbytnio o ich zgodność z faktami.

Kazanie barokowe było utrzymane zasadniczo w tonie pogodnym, a nawet żartobliwym i dowcipnym. Ów dowcip łączył się często z satyrą i ironią. Ponadto dostrzega się ogromną plastykę obrazu. Wokół motywu zasadniczego przewija się cała masa szczegółów drugoplanowych. Mogło to zaciemniać myśl przewodnią i przejrzystość koncepcji, lecz sprawiało, że kazanie stawało się bajecznie kolorowe.

Język barokowych kazań był żywy, barwny i bogaty. Nie ma takich słów, których kaznodzieja nie mógłby używać. Barok nie klasyfikuje słów na przyzwoite i nieprzyzwoite; każdego wyrazu wolno użyć, byle tylko oddawał zamierzoną myśl.

Szczególną cechą baroku był również konceptowy sposób mówienia (wł. *conchetto* – świetny, wyszukany pomysł). Zrodził się on w Hiszpanii i Włoszech. W takich kazaniach (*conchetti predicabili*) przedstawiano temat w formie alegorii i usiłowano wesprzeć go pomysłowym, artystycznym dowodem z Pisma Świętego. Barokowe kazanie konceptowe odróżniało się od suchego i doktrynalnego sposobu nauczania scholastyki i od ludowo-burleskowego nauczania humorystów i gawędziarzy. Kaznodzieja chciał temat uczynić problemem, przedstawić zarzuty, a w dowodzie Pisma rozwiązać problem tak, by całość stanowiła kunsztowny architektonicznie gmach. Starał się zwyczajny tekst kazania uczynić interesującym i pełnym napięcia.

Wszystkie te cechy kazania barokowego widoczne są wyraźnie w twórczości jednego z najwybitniejszych mówców XVII wieku, jakim był Abraham a Sancta Clara.

## Zakonnik augustiański

Johann Ulrich Megerle, znany pod imieniem zakonnym – Abraham a Sancta Clara, urodził się 2 lipca 1644 roku w Kreenheinstetten w Szwabii. Był synem oberżysty. Uczył się najpierw w jezuickim gimnazjum w Ingolstadt, a od 1659 roku w benedyktyńskim uniwersytecie w Salzburgu. W 1662 roku wstąpił do klasztoru augustianów bosych w Mariabrunn koło Wiednia. Tutaj złożył w 1663 roku profesję zakonną otrzymując imię Abraham a Sancta Clara, pod którym przeszedł do historii. W 1668 roku przyjął w Wiedniu święcenia kapłańskie. Początkowo pracował w klasztorze macierzystym, po czym w latach 1670-1672 był kaznodzieją niedzielnym i świątecznym w sanktuarium Maria Stern w Taxa koło Augsburga. W 1672 roku wrócił ponownie do Wiednia i pracował jako kaznodzieja w klasztorze augustianów. Jego wystąpienia na ambonie spotkały się z uznaniem dworu cesarskiego. W 1677 roku cesarz Leopold I († 1705) powołał Abrahama na kaznodzieję dworskiego. W 1680 roku został on także przeorem wiedeńskim, w latach 1683-1688 był kaznodzieją i przełożonym w Grazu.

Pełnił także ważne urzędy zakonne. Dwukrotnie był prowincjałem niemieckoczeskiej prowincji zakonu (1689/1692 i w 1706 roku) oraz kilkakrotnie definiatorem prowincjalnym. Zmarł 1 grudnia 1709 roku w Wiedniu.

### Kaznodzieja ludowy i dworski

Abraham a Sancta Clara działał przede wszystkim na terenie Austrii. Zastąpił jako kaznodzieja ludowy i dworski. Pod jego amboną zasiadali przedstawiciele wszystkich warstw społecznych cesarskiej stolicy, począwszy od Leopolda I, jego ministrów, dworu i lokajów, a skończywszy na mieszczanach, zbiegłych chłopach, prostych ludziach z gminu i innych pobożnych wiernych.

Kazania Abrahama, jakby na przekór zagrożeniu tureckiemu i szalejącej śmiertelności dżumie, tchną optymizmem i radością. Zakonnik augustiański uczył: „Melancholia to dziecko szatana, a wesołość jest szafarką u Pana Boga. Ludzie o melancholijnym usposobieniu są Bogu wstrętni. Są oni najbliższymi krewnymi śmierci, albowiem melancholia to siostra śmierci. Ludzie weseli bardzo mi się podobają; jest pewną oznaką, że Pan Bóg jest przy nich i w nich. Kto ma czyste sumienie, ten będzie zawsze wesoły, spokojny we wszystkich wydarzeniach, pewien we wszystkich niebezpieczeństwach, pocieszony we wszystkich utrapieniach, do wszystkich rzeczy będzie się śmiał, do wszystkich śpiewał i zawsze będzie miał swe *allegro*”.

Pełne humoru przykłady i porównania, które Abraham potrafił przedstawić z rzadko spotykanym mistrzostwem języka, prezentując wyjątkowe bogactwo twórczej fantazji i prawie nieosiągalny kunszt gawędziarski, stanowiły dla niego jedynie przynętę służącą przekazowi prawd wiecznych, które głosił z niewzruszoną powagą, nie zwracając uwagi na status społeczny swoich słuchaczy i nie stosując jakichkolwiek ograniczeń.

Doskonałą próbką kaznodziejstwa Abrahama są jego wystąpienia w Grazu w 1683 roku, w okresie ostatniego wielkiego zagrożenia tureckiego, a w szczególności kazanie wzywające do wyprawy krzyżowej *Auf, auf, ihr Christen (Wyruszajcie chrześcijanie)*. Kaznodzieja cesarski, któremu sławę przyniosły kazania wygłoszone cztery lata wcześniej podczas dżumy w Wiedniu, wiedział, że był mówcą podziwianym przez lud. Ponadto bliskie zagrożenie tureckie wzmagало żar jego wystąpień. Chcąc zmobilizować opinię, nie lękał się wszelkiej przesady, nieoczekiwanych porównań, gry słów, kalamburów, lawin obrazów, miażdżących wyliczeń i oszałamiających statystyk. „Chrześcijański Zachód – oznajmiał – podobny jest do Samsona, któremu wylupiono oczy; potęga turecka stoi nad Dunajem jak wezbrana woda, jak pijawka śmierdząca cebulą lecz Zachód tego nie widzi... Turcy są najokrutniejszymi na świecie wojownikami”. Abraham długo opisywał, jakie tortury zadają swoim ofiarom: pał, pika, wieszanie za nogi, dawanie wnętrzości do pożarcia zwierzętom. Walka z Portą jest bitwą przeciwko Antychrystowi, jest krucjatą. Kaznodzieja cesar-

ski piętnował w dosadnych słowach morale obrońców chrześcijaństwa. „Precz z takimi żołnierzami, którzy lepiej potrafią obchodzić się z muszkatelem, niż z muszkietem, lepiej radzą sobie z pierzyną niż z mieczem..., którzy lepiej skaczą z Sabina, aniżeli z szablą”. W dalszej części kazania Abraham dokonywał spektakularnego odwrócenia argumentacji. Stwierdzał bowiem: „Jeśli Bóg zezwoli na postępy tureckie, oznaczać to będzie, że chrześcijanie są grzesznikami. Winni wziąć sobie za przykład Mahometa. Ci przynajmniej modlą się do Boga z pokorą i oddaniem. Nie przeklinają i nie bluźnią. Praktykują sprawiedliwość i miłosierdzie. Poszczą i nie upijają się. Szanują zwierzęta i ludzi. Natomiast chrześcijaństwo podobne jest do szpitala pełnego kalek i chorych”. Nagląco potrzebne są zatem skrucha i modlitwa.

Płomienne, barwne i dowcipne kazania i mowy Abrahama a Sancta Clara obfitują w porównania, przypowieści i koncepty, charakterystyczne dla stylu barokowego. Dzięki swojej zdolności obserwacji i znajomości człowieka, błyskotliwości i trafności stwierdzeń mówca ten był bliski ludu. Jego kaznodziejstwo przypomina przeładowane ornamentami kościoły barokowe. Obok Pisma Świętego pełno w nim poważnych i żartobliwych pomysłów, obrazów i anegdot, fawecji i żartów. Często wydaje się być bardziej poetą, humorystą czy satyrykiem aniżeli kaznodzieją stawiającym sobie za cel przyniesienie chwały Bogu i dobra człowiekowi. Podniósł on parodię do literackiego gatunku. Dużo miejsca zajmują u niego przedstawienia obyczajów. Lubił grę słów, widoczną choćby w takim stwierdzeniu: „Kto umrze zanim umrze, nie umrze, kiedy umrze”.

## Ceniony twórca

Abraham zostawił bogaty dorobek literacki. Tworzą go 52 książki ascetyczne i zbiory kazań. Cel, jaki przyświecał jego kaznodziejstwu zawarł w długim tytule swego podstawowego dzieła *Grammatica religiosa que... pie docet declinare a malo et facere bonum, amplecti perfectum in praesenti et respuere imperfectum, ad obtinendum futurum infinitum cum participio salutis* (Gramatyka religijna, która uczy w zbożny sposób stronić od zła a spełniać dobro, zmierzać ku temu co obecnie doskonałe, a odrzucać niedoskonałości dla osiągnięcia przyszłego nieskończonego uczestnictwa w zbawieniu, Salzburg 1691). Jest to zbiór 66 kazań łacińskich napisanych dla nowicjuszy zakonnych, zawierających zachęty do praktykowania cnót. W dorobku Abrahama na szczególną uwagę zasługują ponadto: zbiór kazań z okresu dżumy *Merk's, Wien (Pamięć, Wiedeń)* oraz kazanie o czyścicu dla ofiar dżumy *Lösch, Wien (Gaś, Wiedeń)*. Główne dzieło Abrahama to czterotomowa powieść moralizatorsko-dydaktyczna *Judas der Erzscheml (Judasz arcydzielma 1686-1695)*. Uwaga czytelnika skupiona jest nie tyle na narracji, ile na satyrycznych, budujących kazaniach i materiałach kaznodziejskich.

Dalej należałoby wymienić *Huy und Pfuy der Welt (Na zewnątrz piękny, w środku zepsuty świat)* z moralnymi rozważaniami i *Reim dich und ich lies dich (Rymuj*



się, a ja czytam ciebie). Wspomniane wyżej kazanie *Auf, auf ihr Christen* (1683) oraz *Merk's, Wien* (1679) w opinii znanego historyka literatury J. Nadlera są „wielkim arcydziełem barokowej prozy pod względem treści i formy”. W *Merk's, Wien* w nadzwyczaj oryginalny sposób przy coraz większym rozszerzaniu elementów humorystycznych Abraham połączył pochwałę cnoty i piętnowanie współczesnych wad z ukazaniem aktualnie rozgrywających się doniosłych historycznych wydarzeń (*Lösch, Wien*, 1680; *Auf, auf ihr Christen*, 1683).

Abraham wysunął się na czoło kaznodziejów barokowych jako zdolny mówca o świetnej umiejętności oceniania sytuacji i porywającym oddziaływaniu przez literacką jakość i żywotność tekstu. Ten nienaganny duszpasterz i mnich o teologicznym wykształceniu odpowiadającym ówczesnym standardom jest autorem kazań i poezji okolicznościowej. Jego oryginalność polega mniej na figurach stylistycznych, na kolorowo i żywo opowiadanych historiach z różnych dziedzin i źródeł, na rozluźnieniu suchej materii języka poprzez liczne ornamenty retoryczne (grę słów, pytanie, mowę figur, powtórzenia tautologiczne) i częściowo śmiałych obrazów, porównań i konceptów, lecz głównie na wyważeniu manierystycznych elementów stylu w celu osiągnięcia możliwie największego oddziaływania.

Dzieła Abrahama stanowią bogate źródło do poznania dziejów kultury, obyczajów i życia duchowego późnego baroku południowych Niemiec i Austrii. Wydania pośmiertne (*Geistlicher Kramer-Laden*, 1710/1719; *Bescheid-Essen*, 1717; *Lauber-Hütt*, 1721/1723; *Gehab dich wohl*, 1729) wydobywały przede wszystkim żartobliwe teksty Abrahama, zawarte w jego oryginalnych drukach i rękopisach. Stąd też oświecenie wystawiło augustianinowi i jego twórczości bardzo surową ocenę, widząc w nim „kpiarza i partacza, którego kazania są prymitywne” (Lessing). Wkrótce potem klasycy i romantycy dostrzegli w nim „wspaniałego i oryginalnego geniusza” (Schiller) oraz „wszechstronnie uzdolnionego poetę” (Eichendorff). Odtąd ocena Abrahama rozpięta jest między docenieniem go i odrzuceniem, jako szerzyciela zabobonów i głosiciela uprzedzeń do Żydów.

### Kaznodzieja maryjny

Jako gorliwy czciciel Maryi Abraham objawił się jeszcze przed nominacją na kaznodzieję dworu cesarskiego (1677). Głosił bowiem kazania podczas pielgrzymek do sanktuariów maryjnych w Mariabrunn i w Taxa, a w Wiedniu działał przy kaplicy Loreto, w kościele św. Augustyna. Szkice przygotowywanych przez siebie kazań rozpoczynają się przeważnie od wezwania Matki Bożej. Wydrukowane kazania maryjne reprezentują typowe dla ówczesnego czasu maryjne formy uwielbienia jak pielgrzymki (*Der glückliche Fisch = Zug in Anzbach*, 1677 – *Szczęśliwa ryba, czyli procesja w Anzbach*, 1677), pobożność kongregacji (*Die verblümblete Wahrheit*, 1697 – *Ukryta prawda*), uwielbienie cudownego obrazu (*Brunnst zu Wienn*, 1697 – *Brunnst w Wiedniu*) i uwielbie-

nie Maryi przynoszącej zwycięstwo (*Aller Freud und Fried / Fried und Freud... ist Ursach Maria*, 1698 – *Przyczyną wszelkiej radości i pokoju / pokoju i radości jest Maryja*). Łacińska parafraza *Litanii loretańskiej*, kunsztownie zmontowana z cytatów ojców Kościoła (*Stella ex Jacob orta*, 1680), okazała prezentuje się wyniosłym stylem, akrostychem i emblematami. Abraham jako symbolista przyczynił się także do wystroju wnętrza kościoła Augustianów w tym stylu.

Jego *Das Gack / Gack / Gack à Ga. Einer Wunderseltzamen Hennen in dem Hertzogthumb Bayrn* (*Ka, kwa, kwa. Kwakanie cudownie dziwacznej kwoki w księstwie bawarskim*), obszerny i rozwlekły opis z 1685 roku słynnej pielgrzymki do sanktuarium Maria Stern w Taxa, zbudowany jest na wzór tradycyjnych ksiąg pielgrzymkowych. Środkową część zajmuje przegląd wojska wielbiących Maryję barokowych zakonów i stanów. Oprócz niezliczonych pochwalnych imion Matka Boża nazwana jest *Stella maris* – Gwiazdą morską. Na końcu następują przytoczone wielkie łaski, których przenajświętsza Królowa Nieba Maria miłosiernie udzieliła w Taxa osobom wszelkich stanów.

Także w innych pismach Abrahama widoczna jest jego pobożność maryjna. Przejawia się ona czasem w barokowych grach słownych i alegoriach (*ABC Pochwały, Horoskop o narodzinach Maryi*). Matka Boża jest wielbiona przez Abrahama jako „królowa nieba, ziemi, aniołów, ludzi i wszelkiego stworzenia” (*Kramerladen I 113*), jako „powszechna obrończyni chrześcijaństwa” (*Neue Predigten 196 – Nowe kazania*) i jako „adwokatka całej Austrii”, przede wszystkim miasta Wiednia (*Lauberhütt I 347*), ale także jako Niepokalana i pośredniczka łask. Ustawiczne nabożeństwo do Matki Bożej (*Merk's, Wien*) ocaliło stolicę cesarstwa w czasie dżumy i wojny tureckiej. Matka Boża jest „matką zmarłych Wiedeńczyków” (*Lösch, Wien*). Jak silnie uwielbienie Maryi i dynastyczna świadomość łączą się w pismach Abrahama w jedno, najlepiej pokazuje kazanie *Das Marianische Lerchen = Gesang (Mariancki śpiew słowików)*, gdzie pięć słowików (a raczej orłów) dolnoaustriackiego herbu w akrostycznym tłumaczeniu Abrahama tworzy imię MARJA, powstałe z pierwszych liter kolejnych wezwań litanijnych:

Mater Dei,  
Auxilium christianorum,  
Refugium peccatorum,  
Janua coeli,  
Alaudarum Austriacarum domina.

Matka Boża pojawia się też w kazaniach Abrahama jako „matka austriackiego domu arcyksiążęcego”.

## Panegirysta

Kaznodzieje baroku wysoko cenili formę panegiryczną. Pozostawiała ona bowiem wiele miejsca dla swobodnej gry wyobraźni i fantazji. Mowy pochwal-

ne głosili przeważnie na nabożeństwach ku czci świętych lub też podczas pogrzebów. Należy zauważyć, iż głosząc panegiryki kaznodzieje barokowi zdobywali się często na odwagę wypowiedzenia gorzkich słów prawdy.

Także Abraham a Sancta Clara zasłynął z kazań panegirycznych. Jednym z najbardziej znanych jest zamieszczony poniżej panegiryk ku czci św. Wacława *Der Nahmhaffte und Mannhafte Held Benandlich der Heilige WENCESLAUS* (Znany i wybitny bohater, wymieniony z imienia święty WACŁAW) wygłoszony w Wiedniu w 1707 roku. Z tekstu tego kazania czytelnik niewiele dowiaduje się o czeskim świętym męczenniku. Otrzymuje natomiast mnóstwo informacji o postępowaniu w nadawaniu imion. Temat ten podejmowała zresztą często wymowa pochwalna i naganna.

Mowa zwraca więc uwagę na rolę imienia. Rozpoczyna ją tekst naczelny wzięty z Księgi Daniela: „Gloriosum nomen tuum” („Chwalebne jest Twoje imię” – Dn 3, 26). Sławienie świętego zaczyna się od aluzji do sławienia biblijnego. Chwalenie Boga przez trzech młodzieńców Szadraka, Mészaka i Abed-Nega w piecu ognistym, tych trzech, którzy odmówili pokłonu złotemu posągowi Nabuchodonozora, stanowi wstęp do pochwały świętego Wacława dokonywanej przez kaznodzieję. W dedykacji kazania Abraham mówi, iż głosi go przed „czeskim narodem” (*Bömische Nation*). Tkwi w tym kolejna aluzja. Słowo biblijne o „chwalebnym imieniu” samo wskazuje na imię świętego i dedykując druk kazania „Wenceslao Norbertowi, Octavianowi Khinsky”, wskazuje też na pierwsze imię adresata dedykacji. W dwuczłonowym *Wenzel – Wenceslaus* – tkwią słowa „więcej” i „chwała”. Słowo biblijne wybrane jako temat kazania jest więc aluzją do sławienia biblijnego, jak też do etymologii imienia.

Cytat z Księgi Daniela otwiera wielogłosowy dialog. Jest to aluzja do imienia świętego i imienia adresata dedykacji („Chwalebne jest Twoje imię”), jest tytułowaniem świętego i adresata dedykacji („Chwalebne jest Twoje imię”) i przynosi wreszcie, i przede wszystkim, głos chwalcący świętego połączony z głosami wielbiącymi Boga.

Wstęp kazania mówi o „doświadczeniu imienia”. Aż do ostatnich dwóch zdań *exordium* nie ma nic na temat czeskiego świętego. Punktem wyjścia jest bowiem ziemskie, doczesne doświadczenie, coś, co się „zna”, co się „robi”: „Wielkim mężom przypisuje się zwykle imiona piękne, bądź haniebne”. Po przywołaniu tego doświadczenia następuje lista ośmiu przykładów nadawania imion ziemskich wziętych z historii rzymskiej, niemieckiej i słowiańskiej. Kaznodzieja referuje tu obcą mowę, mówi o tym, co znajduje, o tym, co „zwykło się przypisywać”, zanim w końcu odpowie swoją własną mową.

Słowo biblijne i seria historycznych przydomków w *exordium* miały wywołać ciekawość. Kiedy jest już ona nieco zaspokojona Abraham stwierdza, iż najlepszym przydomkiem dla czeskiego świętego jest *Victoriosus* – *Zwycięski*. Wacław otrzymuje imię „pełne chwały”, imię, które zarazem odzwierciedla znaczenie jego realnego imienia. Nazwanie zaspokoilo oczekiwanie, któ-

re stworzone zostało przez słowo biblijne i serię historycznych przydomków. Jeśli bliżej przyjrzymy się, to nazwa ta funkcjonuje jednakże jako połączenie. Ona jest nie tylko zakończeniem *exordium* zaspokajającym ciekawość, lecz także otwarciem głównej części kazania. Abraham nie podaje, jak dochodzi do tego, by nazwać czeskiego księcia *Victoriosus*. A przecież to nie o zwycięstwach opowiada jego biografia, lecz o pokornej pobożności i o tym, że jako młody mężczyzna został zamordowany przez swojego brata Bolesława. Nasza ciekawość jest wzmocniona przez sposób prowadzenia *exordium*. Przy ośmiu doczesnych przykładach przytoczonych na „piękne” i „haniebne” imiona, każdorazowo został podany powód nadania tego imienia. Powtórzenie i nagromadzenie spójników przyczynowych i ich korelatów wymuszają pytanie, z jakiego powodu akurat Waclaw (Wenzel) dochodzi do takiego przydomka. W ten sposób czytelnik przygotowany jest do odbioru głównej części kazania.

Abraham a Sancta Clara

## *Znany i wybitny bohater, wymieniony z imienia święty WACŁAW*

„Gloriosum nomen tuum” (Dn 3, 26).

Wielkim mężom przypisuje się zwykle imiona piękne, bądź haniebne, podkreślające wspa-  
niałe, bądź też nieprzykładne ich cechy. Kiedy po śmierci *Konrada I*<sup>3</sup> przekazywano wieść *Hen-  
rykowi*, że został wybrany rzymskim cesarzem, spotkano go na polowaniu na ptaki. Stąd otrzy-  
mał następujące miano: *Henricus Auceps*, Henryk Ptasznik<sup>4</sup>.

Cesarz *Tiberius Nero*<sup>5</sup>, ponieważ zbyt wielce oddany był piciu wina, powszechnie nazywany  
był *Biberius Nero*.

*Scipio Africanus Młodszy*<sup>6</sup>, ponieważ wycięty został z łona zmarłej matki, pierwszy nazwany  
został *Caesar*.

Hrabia *Scarbich*<sup>7</sup> został przez *Bolesława III*, króla Polski, posłany jako legat do cesarza *Hen-  
ryka IV*<sup>8</sup>, aby żądać pokoju, ale kiedy mu cesarz pokazał swój wielki skarb ze słowami: Ten poko-  
na Polaków; to ten legat rzucił swój pierścień do skarbu mówiąc: *Aurum auro adjiciamus*: Niech  
złoto dołączy się do złota. Cesarz mówi: Podziękował. Od tego czasu ten magnacki dom nazy-  
wa się *Podziękował*.

*Cornelius*<sup>9</sup>, ponieważ swego ślepego ojca prowadził o lasce, został nazwany *Scipio*, ponieważ  
*scipio* po niemiecku oznacza szczydła albo laska.

Księżę *Carolus*<sup>10</sup> zyskał miano *Audax* Zuchwały, ponieważ przeskoczył przez stół, aby móc  
siedzieć bliżej króla.

Cesarz *Michaël*<sup>11</sup> z powodu seplenienia nazywany był przez każdego *Balbus*, Jąkała.

*Octavianus*<sup>12</sup>, ponieważ powiększył państwo został nazwany *Augustus*, Powiększyciel państwa. Na  
jakież miano zasłużył sobie nasz święty – sławny *Wacław*, jako szczególny patron Królestwa Czeskiego?  
Moim zdaniem, on nie mógł zostać lepiej nazwany jak tylko *Wenceslaus Victoriosus*, Zwycięski.

<sup>3</sup> Konrad I († 918), w latach 906-911 książę frankoński, 911-918 cesarz rzymski.

<sup>4</sup> Henryk I (ok. 875-936), w latach 912-919 książę saksoński, 919-936 cesarz rzymski.

<sup>5</sup> Tiberius Claudius Nero (42 r. p.n.e. – 37 r. n.e.), cesarz rzym. od 14 r. n.e.; w historiogra-  
fii rzym. (Tacyt, Swetoniusz) zyskał opinię okrutnego tyrańca i despoty.

<sup>6</sup> Publius Cornelius Scipio Aemilianus Africanus Minor (185-129 p.n.e.), wódz rzym. z okre-  
su III wojny punickiej (149-146 p.n.e.); zakończył wojnę z Kartaginą (stąd przydomek Afrykań-  
ski) i z polecenia senatu (146) zburzył miasto.

<sup>7</sup> Jan Skarbek, jeden z posłów polskich, podpisujących zawarcie pokoju między Henrykiem  
V i Bolesławem III w 1109 roku.

<sup>8</sup> Właściwie: Henryk V (1081-1125), ostatni z dyn. salickiej, król niem. od 1106, cesarz od  
1111, syn Henryka IV; 1109 podjął nieudaną wyprawę interwencyjną na rzecz księcia Zbignie-  
wa w Polsce.

<sup>9</sup> Publius Cornelius Scipio (395-394 p.n.e.), trybun rzymski.

<sup>10</sup> Karl der Kühne (1433-1477), w latach 1467-1477 książę Burgundii.

<sup>11</sup> Michał II Jąkała († 829), w latach 820-829 cesarz bizantyjski.

<sup>12</sup> Caius Iulius Caesar Octavianus Augustus (63 p.n.e. – 14 r. n.e.), założyciel dyn. julijsko-  
klaudyjskiej; pierwszy cesarz rzym.; mimo utrzymania instytucji republikańskich zgromadził

Najpierw pokonał siebie *Victor sui*, zwycięzca nad sobą samym. I to jest zwycięstwo ponad wszystkie zwycięstwa. Gdy *Chrystus Pan* 21 marca szedł do Jerozolimy, spotkał po drodze drzewko figowe, które miało mnóstwo liści, ale ani jednego owocu. Dlatego Pan przeklął je, *arefacta est ficus*, niech całkiem uschnie (por. Mt 21, 18nn). Nasz Pan nie jest przychylny figom, nie znosi także tchórzy. Gdy *Gedeon* ze swoim całym ludem wyruszył przeciw *Madianitom*, wtedy Bóg powiedział do niego: za dużo tego ludu. Aby się nie chciał dalej pysznić, że przez swą własną siłę pokonał wroga, dlatego miał wykrzyknąć: *Qui formidolosus & timidus est*: Kto jest nieśmiały i bojaźliwy, ten niech idzie do domu (por. Sdz 7, 2nn). Po tych słowach 22 tysiące mężczyzn poszło do domu; 22 tysiące tchórzów; 22 tysiące bojących się; takim nawet Bóg nie sprzyja. On chce mieć walecznych ludzi, którzy będą bić się z wrogiem, a największy wróg jest swój własny, to jest człowiek sam i ludzkie powaby.

*Samson*, o jaki mocny! Jedną osłą szczęką zabił tysiąc *Filistynów* (por. Sdz 15, 15). To jest siła! Własnymi rękami schwytał 300 lisów (por. Sdz 15, 4) i nie czyta się o nim, żeby go choć jeden ugryzł. To jest siła! Dzikiego lwa rozdarł jak kozłą (por. Sdz 14, 6). To jest siła! Wielkie bramy miasta wyrwał z zawiasów i zaniósł na wielką górę (por. Sdz 16, 3). To jest siła! Nawet lew nie mógł mu zaszkodzić, ale miłość, pfuy! Tysiące Filistynów zabił, a jedna Filistynka pokonała go, pfuy! 300 lisów złapał, a jeden ogon lisi, to jest Dalila, pokonała go (por. Sdz 16, 4-19), pfuy! Wyniósł całą bramę miasta, a pokonała go piękna kobieta, pfuy! Pokonał wszystko oprócz siebie. Dlatego Thomas Kempensis pięknie mówi: *Perfecta Victoria est de semetipso triumphare* (*De imitatione Christi* III, 53. 12). Najdoskonalszym zwycięstwem jest to, kiedy można pokonać samego siebie. I takim pokazał się nam nasz święty i sławny *Wacław*! Młodość jest krucha jak zwierciadło bez ram; jak koń bez uzdy nieokielzana. *Juventus Juvencus*, ale młodość *Wacława* była samą cnotą. On ze swoim ciałem obchodził się jak *Balaam* z oslicą, którą tęgo okładał kijem (por. Lb 22, 22-27), jak *Gedeon*, który młócił na klepisku zboże (por. Sdz 6, 11). Obchodził się z ciałem jak *Dawid* z harfą, którą napinał (por. 1 Sm 16, 23), jak *Tobiasz* z rybą, która go zaatakowała i którą zabił (por. Tob 6, 4). Obchodził się ze swoim ciałem jak Anioł z Piotrem w więzieniu, *percusoque latere Petri*, którego trącił w bok (por. Dz 12, 7). *Wacław* zachował najdokładniej wszystkie przykazania Boże, oprócz jednego: Nasz Pan rozkazał, byś bliźniego swego kochał jak siebie samego (por. Łk 10, 27). Tego nie zachował, któż jest człowiekowi bardziej bliższy niż jego własne ciało. *Wacław* nie kochał ciała, dawał mu mało jedzenia, umartwiał ciągłymi postami, nie dawał mu spokoju, lecz o północy wstawał na modlitwę i psalmy, nie pozwalał na żadne rozkosze, lecz pośród zimy bosymi stopami przemierzał drogi od jednego kościoła do drugiego. Na sobie nosił ciągle *cilicium*<sup>13</sup> i w taki sposób pokonał pragnienia i zmysłowość, że stał się tryumfującym zwycięzcą siebie samego. *Wenceslaus Victoriosus*.

*Wenceslaus Victor Mundi*: także zwycięzca świata. Słusznie słowo świat zaczyna się na literę W. Dużo słów zaczyna się na literę W: Welt (świat), Wald (las), Welt (świat), Wax (wosk), Welt (świat), Weeg (droga), Welt (świat), Wein (wino), Welt (świat), Wild (dzikie zwierzę), Wind (wiatr), Welt (świat), Wolff (wilk), Welt (świat), Wösch (pranie), Welt (świat), Würm (robak), Welt (świat), Wust (chaos).

---

w swych rękach całą rzeczywistą władzę; za jego panowania granice państwa na północy sięgały Renu i Dunaju; utworzono nowe prowincje: Egipt, Noricum, Recję, Mezję, Panonię, Dalmację (Illyricum); podjęto próbę podboju Germanii (Druzus, Tyberiusz, Warus).

<sup>13</sup> Cilicium – włosienica.



Świat jest jak las, w którym można łatwo wpaść na morderców, jak ów podróżny zdążający z Jerozolimy do Jerycha (por. Łk 10, 30).

Świat jest jak wosk. Wszystko na świecie rozpuszcza się, władza króla *Nabuchodonozora* była wielka, ale rozpułyła się, zepchnięty został z tronu i zamieniony w wołu (por. Dn 4, 28-30).

Świat jest drogą, ale błędną drogą. Doświadczył tego *Salomon*, który choć był najmądrzejszy, jednak w końcu zbłądził i to tak dalece, że wąpi się nawet w jego świętość (por. 1 Krl 11, 6-13).

Świat jest winem, które stanie się octem. Doświadczył tego *Haman*. Najpierw długo był w wielkich łaskach u króla *Aswerusa*, później został powieszony na publicznej szubienicy (por. Est 3, 1nn), która mu nie wyszła na dobre.

Świat jest dzikim zwierzęciem, które pożera wielu i tak było z braćmi Józefa, którzy mówili *fera pessima*, dzikie zwierzę pożarło go (por. Rdz 37, 33).

Świat jest wiatrem, który niespodziewanie gasi człowiekowi światło. Tak było u *Holofernesa*, który stracił najpierw głowę niż oddał się namiętnościom (por. Jdt 12, 10 – 13, 8).

Świat jest jak wilk, który ciągle porywa jagnię. Widać to tutaj w Wiedniu, kiedy codziennie czyta się *Diarium*<sup>14</sup>.

Świat jest jak pranie, wypierz futro, ale go nie zamocz, zachowanie i przyrzeczenie jest tak dalekie jak odległy jest Burckhausen od Burgundii.

Świat jest jak robak, który wszystko wyniszcza, jak pożarł liście dyni *Jonae*.

Świat jest wreszcie chaosem, a jeśli ktoś się sam nie splami to jest to prawie jak cud, jak ów cud, kiedy trzech chłopców ocalało w piecu babilońskim (por. Dn 3, 19-50).

O jak wielu przeżyło to, czego każdego roku doświadcza ptak zwany trznadlem. Jest on całkiem żółty, jakby paradował szatą z *Drap d'or*<sup>15</sup>. W lecie żaden się już nie liczy jak tylko trznadec, on lata, skacze z jednego drzewa na drugie i śpiewa zawsze: *Jestem szlachcic, szlachcicem jestem, szlachcicem*, ale gdy nadejdzie zima i wszystko pokryte jest śniegiem, wtedy leci przed drzwi gospodarza i siada na kupie gnoju i nie szczydzi się swoim szlachectwem, lecz nieustannie piszczy: *Kuzyn, kuzyn, kuzyn*. A więc nie szczydzi się już swym szlachectwem, lecz rolnika nazywa swoim kuzynem i nie mówi już *szlachcicem jestem*. Często też tak jest na świecie. Tak też zdarzyło się rzymskiemu cesarzowi *Karolowi III*<sup>16</sup>, o którym mówiono *szlachetny*. Po zniesieniu go we Frankfurcie z najwyższych godności i dostojęństw wszyscy go opuścili, tak że całe trzy dni nie miał ani kęsa chleba, aż zlitował się nad nim *Luidbertus*<sup>17</sup>, arcybiskup Pragi i wreszcie po wielu prośbach jego potomek *Arnulphus*<sup>18</sup> podarował mu na utrzymanie jego małą wieś w Szwabii o nazwie Neidingen<sup>19</sup>. Tak bywa na świecie!

<sup>14</sup> *Wienerisches Diarium*. Współczesna nazwa *Wiener Zeitung*. Gazeta ukazuje się od 8 VIII 1703.

<sup>15</sup> Dosl. *złote sukno*; tkanina przetykana złotą nicią; występowała m.in. w wystroju reprezentacyjnych wnętrz barokowych.

<sup>16</sup> Karol III Gruby, z dyn. Karolingów (839-888), król Franków, cesarz rzym. od 881; był ostatnim z Karolingów, który zdołał zjednoczyć (prawie całe) dziedzictwo Karola Wielkiego; 887 został zmuszony przez opozycję możnowładców do abdykacji.

<sup>17</sup> Luidbertus (Liutbert), abp moguncki (a nie praski) w latach 863-889; Praga otrzymała pierwszego biskupa dopiero w 973 roku.

<sup>18</sup> Arnulf von Kärnten (ok. 850-899), w latach 887-899 król wschodniofrankijski, 896-899 cesarz rzymski narodu niemieckiego.

<sup>19</sup> Neidlingen.

*Bolesław III*<sup>20</sup>, król Polski, był bardzo sławny. Jego też dotyczyło *jestem szlachetny*, ale po zabiciu świętego Stanisława był tak znienawidzony przez wszystkich, że wreszcie uciekł i w klasztorze *Ossiac*, w Karyntii, pracował jako pomocnik kuchenny i pomywacz. Podobnie doświadczył też ów kupiec, który miał wielkie bogactwo, ale tak zbiedniał, że musiał zostać muszkietierem, dlatego na nagrobku napisano mu: *O, mój ty świecie: Pipere peperit pecuniam, pecunia peperit pompam, Pompa peperit pauperiem, pauperies peperit pugnam, Pugnavi pro Patria*.

Oszukała mnie *Dalila*, wyznaje *Samson* (por. Sdz 16, 4nn), oszukał mnie *Joab*, wyznaje *Amasa* (2 Sm 20, 9nn), oszukała mnie *Jael*, wyznaje *Sisera* (por. Sdz 4, 17-21), oszukały mnie węże, wyznaje *Ewa* (por. Rdz 3, 1-15), oszukała mnie *Rachel*, wyznaje *Laban* (por. Rdz 31, 19-35), a nam wiele milionów ludzi mówi – oszukał mnie świat.

Czymże jest świat z całą swą sławą i wzniosłością? Świat wydaje mi się być jak węgorz. Jeśli się go nawet mocno trzyma, to wyślizgnie się. A więc chwala: *Pius III*<sup>21</sup> rządził tylko 26 dni – prześliznął się. *Marcellus II*<sup>22</sup> miał klucz tylko 22 dni – prześliznął się. *Damasus II*<sup>23</sup> siedział na tronie tylko 23 dni – prześliznął się. *Theodorus II*<sup>24</sup> tylko 20 dni – prześliznął się. *Coelestinus IV*<sup>25</sup> – 17 dni – prześliznął się. *Bonifacius VI*<sup>26</sup> – 15. *Urbanus VII*<sup>27</sup> – 12 dni. *Leon XI*<sup>28</sup> – 6 dni. *Stephanus II*<sup>29</sup> – 3 dni. Wszyscy, wszyscy są węgorzami, prześliznęli się. Chociaż wszystko jest błahe, pobieżne i nieważne na świecie, tak też jest wielka liczba tych, którzy zostali pokonani przez świat, ale do nich nie zalicza się nasz sławny święty *Wacław*. *Wenceslaus Victoriosus* jako taki we wszystkim pokonał świat.

Na świecie jest pycha; *Superbia vitae*. *Absalom* chlubił się ponad wszystkich swoją rozczochraną głową, a więc swe włosy cenił wyżej niż złote nici. Dlatego nastawał na życie swego ojca Dawida, aby mógł na swoją głowę nałożyć koronę królewską (por. 2 Sm 15, 1 – 18, 9). Ale sprawiedliwy Bóg przeszkodził takiemu występкови, kiedy bowiem przejeżdżał pod dębem na swym mule zawisnął na gałęziach na swoich włosach. Gdyby się pochylił, nie przydarzyłoby mu się to. Wielcy panowie niechętnie pochyłają się; ale nasz św. *Wacław* pochyłał się, bo kiedy cesarz *Henryk*<sup>30</sup>

<sup>20</sup> Właściwie Bolesław II Śmiały, zw. też Szczodrym (ok. 1040-1081), książę od 1058 i król pol. od 1076, syn Kazimierza I Odnowiciela, brat Władysława I Hermana; po zabiciu bpa krak. Stanisława w 1079 uszedł wraz z synem, Mieszkiem, na Węgry i tam zmarł; późnośredniow. legendy o królu pokutniku lokowały jego grób na szlakach pielgrzymich do Rzymu – w klasztorach w Ossiach w Karyntii lub w Wilten k. Innsbrucku.

<sup>21</sup> Pius III, papież w dniach 22 IX – 18 X 1503.

<sup>22</sup> Marcelego II, wybrany papieżem zmarł po 21 dniach piastowania urzędu 30 IV 1555.

<sup>23</sup> Damazy II, wybrany papieżem zmarł po 23 dniach sprawowania rządów w Kościele 9 VIII 1048.

<sup>24</sup> Teodor II, wybrany papieżem w grudniu 897 zmarł po 3 tygodniach sprawowania rządów w Kościele.

<sup>25</sup> Celestyn IV, wybrany papieżem zmarł po 17 dniach piastowania urzędu 10 XI 1241.

<sup>26</sup> Bonifacy VI, zmarł w dwa tygodnie po wyborze na Stolicę Piotrową 26 IV 896.

<sup>27</sup> Urban VII, zmarł w 12 dniu po wyborze na Stolicę Piotrową 27 IX 1590.

<sup>28</sup> Leon XI, zmarł 26 dnia po wyborze na Stolicę Piotrową 27 IV 1605.

<sup>29</sup> Stefan II, kapłan rzymski wybrany na Stolicę Piotrową; zmarł po 4 dniach, jeszcze przed konsekracją 26 III 752.

<sup>30</sup> Henryk I (ok. 876-936), pierwszy z dyn. saskiej król niem. od 919; podporządkował ziemie słow. na wschód od Łaby i zhołdował (929) Czechów. Według legendy zaprzyjaźniony ze św. Wacławem.

mianował go królem, to nigdy nie chciał chełpić się takim tytułem, chociaż cesarz we wszystkich pismach nazywał go królem. Wielkim osobistościom przystoi głęboka pokora. *Setnik z Kafarnaum* usilnie prosił Chrystusa Pana o zdrowie swego sługi, między innymi dodał on: *Et ego Homo sum etc.* (por. Mt 8, 9). Ja też jestem człowiekiem. Jak Pan to usłyszał od tego szlachetnego męża, że on się tak unią, natychmiast uzdrowił jego sługę. Niektóre wyższe osobistości są tak dumne, że wyobrażają sobie, że nie są ludźmi. O wiele innym był nasz św. *Wacław*, który tak upokorzył się, że w szpitalach i przytułkach służył chorym, a więc unizył się. W czasie srożej zimy wieczorami i nocą własnymi rękami nosił biednym wdowom i sierotom drzewo pod drzwi: a więc upokorzył się, jak nauczyciel ucząc dzieci nauki chrześcijańskiej, i w taki sposób tłumił pychę świata.

Świat goni za pieniędzmi: Pobożny patriarcha *Jakub* wysłał swego ukochanego syna *Józefa*, by odwiedził braci i zapytał jak im się wiedzie. On idzie w imię Boga i znajduje ich w *Dotain*, ale gdy oni z dala zobaczyli go, jednomyślnie postanowili go zabić i następnie dać znać ojcu, że pożarł go dziki zwierz. Tymczasem izraelicy kupcy podróżowali ze swoimi wielbłądami. Widząc to Juda powiedział: *Quid prodest? Cóż nam to da, gdy go zabijemy? Będzie lepiej, kiedy go sprzedamy i dostaniemy za niego pieniądze* (por. Rdz 37, 26). Gdy tylko usłyszeli bracia o pieniądzach, wtedy wszyscy powiedzieli: *tak, tak. Tak* powiedział brat *Lewi*, *tak, tak* powiedział brat *Neftali*, *tak, tak* powiedział brat *Issachar*, *tak, tak* powiedzieli *Gad*, *Dan* i *Zabulon* i *Aser*; wszyscy powiedzieli *tak*, by dostać pieniądze. Świat goni za pieniędzmi. Ale nasz św. *Wacław* nie ubiegał się. Cesarz *Henryk* po zakończonym synodzie zawołał do siebie *Wacława*. Ofiarował mu srebro i złoto i wszelkie kosztowności, ale on odmówił bogactwa i zapragnął tylko ręki św. *Wita* – to znaczy pokonać świat.

*WENCESLAUS* pokonał także złych wrogów. *Victor Daemonum*. W Pierwszej Księdze Królewskiej w ostatnim rozdziale jest napisane, że *Filistyni* walczyli z *Izraelitami* i ci ostatni uciekli na górę *Gilboa*, ale bardzo wielu pozostało. Cały ciężar walki spadł na Saula, *totum pondus proelii versum est in Saul* (por. 1 Sm 31, 3). Z tej przyczyny, że Saul był najlepszy w całym Izraelu i miał piękną postawę, że przewyższał wszystkich o ramię, stąd cała walka skierowała się przeciw niemu. Ponieważ w apostołskim zapale, w pobożności i świętości *Wacław* przewyższał wówczas wszystkich w Czechach, cała walka złego wroga skierowała się przeciw niemu. Nawet jego bezbożna matka *Drahomira* modliła się do wszystkich diabłów i prosiła ich o pomoc, aby wyniszczył *Wacława* wraz z wszystkimi chrześcijanami.

Błogosławiony Zbawiciel nauczał onegdaj bardzo długo w świątyni, a Żydzi ponad miarę byli przeciw Niemu, ponieważ wytykał im prawdę, ponieważ prawda jest matką, która nie rodzi niczego innego jak nienawiść. Prawda jest takim korzeniem, z którego nie wyrasta nic innego jak przesładowanie. Prawda jest taką kurą, która niczego innego nie znosi jak wrogość. Prawda jest takim towarem, której prawie nikt nie wybiera bez przykrości. W taki sposób byli wychowani i usposobieni Żydzi, których przejmowała zgroza przed prawdą, jak uczniów proroków przed gorzkim zieleń kolokwinty<sup>31</sup>. Dlatego wpadli w złość, ukryli kamienie i chcieli go w świątyni ukamienować: *tulerunt lapides, ut jacerent in eum* (J 8, 59), głównie z tego powodu, ponieważ On zarzucił im, że są kłamcami, a ich ojcem jest diabeł. Powstaje więc pytanie skąd oni wzięli w świątyni kamienie? Ten kościół jest piękną świątynią, ale nie potrafiłbym znaleźć kamienia, którym mógłbym rzucić w ple-

<sup>31</sup> Roślina z gatunku dyniowatych; jej żółte owoce o gorzkim smaku używane są od dawna jako środek przeczyszczający. Por. 2 Krl 4, 38-40.

cy. Ale Żydzi znaleźli wtedy mnóstwo kamieni w świątyni – *tulerunt lapides*. W IV Księdze Królewskiej, rozdz. 7, znajduje się wyjaśnienie, że od króla *Joasza* przez wiele lat nie było poprawiane zadaszenie świątyni (por. 2 Krl 12, 7), dlatego wszędzie padał deszcz, przez co kamienie z murów spadały i w świątyni leżało pełno kamieni. Świątynie i kościoły zginęły nie przez niedbalstwo bezbożnej *Drahomiry*, lecz ona sama pod namową złych wrogów obróciła w perzynę najwspanialsze świątynie. Nasz kościół Mariacki (Frauen Kirchen Tein), św. Jerzego, św. Jana w zamku i wiele innych kościołów zostało spalonych, spustoszonych i zburzonych. Zły wróg wtedy tak wiele spustoszył, że nawet zbawienna wiara prawie zanikła, jak syn króla *Saula Mifboszet* (*Meribbaal*, por. 2 Sm 4, 4), wiara chrześcijańska miała suchoty, jak ten, którego Chrystus Pan *curirt* w szabat (por. Mt 12, 9-13). Wtedy wygasła prawie miłość do Boga jak lampy tych pięciu głupich panien (por. Mt 25, 8). Wtedy usnęła modlitwa jak trzej uczniowie na Górze Oliwnej (por. Mt 26, 40). Wtedy zginęła ozdoba kościołów, jak żelazo za czasów *Elizeusza* w rzece Jordan (por. 2 Krl 6, 5nn). Wtedy bojaźń Boża zrobaczywała jak manna Izraelitów (por. Wj 16, 20). Wtedy potęga złych wrogów była tak wielka, że ślepe pogaństwo całkowicie rozszerzyło się tak, że nawet te przekłete larwy były czczone jako bożki. Ale skoro tylko *Wacław* w czternastym roku swego życia objął rządy, zaraz rozpoczął poważną walkę z tymi potężnymi piekielnymi wrogami. Na górze, która wówczas nosiła nazwę Góra Laurencjusza w owym czasie było miejsce zamieszkania złych duchów, które tam pojawiały się we wszelkiego rodzaju figurach i postaciach, dlatego też pogaństwo czciło ich jako bożków. Ale *Wacław* kazał ogłosić, że dla wiecznej hańby diabłów wyznaczy na górze zarządcę, który też jest miłośnikiem ognia. Wskutek tego kazał zbudować kościół ku czci św. Wawrzyńca, po czym diabły opuściły to schronienie i uciekły. Chrystus Pan pokonał szatana w świątyni (por. Mt 4, 1-11). *Victoria! Rafael* pokonał szatana u Tobiasza (por. Tob 6, 4 – 8, 24). *Victoria! Hiob* pokonał szatana na kupie gnoju (por. Hi 2, 8). *Victoria! Michał* zaraz zwyciężył szatana (por. Ap 12, 7-9). *Victoria! Wacław* pokonał szatana ze wszystkimi jego stronnikami. *Victoria!*

*Wenceslaus Victoriosus*, tak samo *Wenceslaus victor suorum hostium*, zwycięzca nad swymi wrogami. Następnie Jan Ewangelista widział w niebie 12 tysięcy z pokolenia *Judy*, 12 tysięcy z pokolenia *Rubena*, 12 tysięcy z pokolenia *Gada*, 12 tysięcy z pokolenia *Asera*, 12 tysięcy z pokolenia *Neftalego*, 12 tysięcy z pokolenia *Manassesa*, 12 tysięcy z pokolenia *Symeona*, 12 tysięcy z pokolenia *Lewiego*, 12 tysięcy z pokolenia *Issachara*, 12 tysięcy z pokolenia *Zabulona*, 12 tysięcy z pokolenia *Józefa*, 12 tysięcy z pokolenia *Beniamina* etc. Następnie widział inne zastępy, których nikt nie mógł zliczyć (por. Ap 7, 5-9).

Czy w niebie są także szlachcice? Bo szlachectwo nie jest bez nagany. Mnóstwo szlachetności w niebie: *Maksym*<sup>32</sup>, święty mąż szlachetny; *Klaudiusz*<sup>33</sup>, święty mąż szlachetny; *Geminianus*<sup>34</sup>, święty mąż szlachetny i wielu innych.

<sup>32</sup> Maksym Wyznawca (580-662), wybitny teolog.

<sup>33</sup> Klaudiusz, męczennik.

<sup>34</sup> Geminianus, bp Modeny († 396).

<sup>35</sup> Eustachy, męczennik rzymski. Popularna legenda opowiada, że kiedy rzymski generał Placydas polował na jelenia ten nagle doskoczył do niego i ukazał mu pomiędzy rogami świetlisty krzyż pytając, czemu go prześladowuje. Poruszony tym Placydas przyjął chrzest jako Eustachy. Wezwany do złożenia ofiary bożkom, odmówił, a za karę został zamknięty w rozpalonym do białości spizowym wole, gdzie dokonał męczeństwa.

Czy myśliwi są też w niebie? Oczywiście mówi rolnik – myśliwy, chyba tak? *Eustachy*<sup>35</sup>, *Hubert*<sup>36</sup> święci myśliwi i wielu innych.

Czy w niebie są kupcy? Bo na swój chleb zarabiają raczej towarem niż prawdą: co wtedy? *Frumentius*<sup>37</sup> święty kupiec; *Guido*<sup>38</sup>, święty kupiec i wielu innych.

Czy w niebie są rzemieślnicy? Bo na swój chleb zarabiają rękami, często też haniebnie, co wtedy, ani jeden? *Homo Bonus*<sup>39</sup>, święty rzemieślnik; *Crispinus*<sup>40</sup>, święty rzemieślnik i wielu innych.

Czy furmani są w niebie? Niech ich diabli często wezmą, niewątpliwie jest też kilku w niebie *Richardus*<sup>41</sup>, *Ulmarus*<sup>42</sup>, święci furmani.

Czy w niebie są również chłopci? Bo potocznie mówi się, że są sprytni. *Isidorus*<sup>43</sup>, *Vitalis*<sup>44</sup> i wielu innych świętych chłopów.

Czy w niebie są także żebracy? Żebracy żyją wesoło, jeśli nie wejdą do nieba, to będą obok, choć wielu jest w niebie, świętymi żebrakami byli *Servulus*<sup>45</sup>, *Alexius*<sup>46</sup> i wielu innych.

Czy w niebie są też żołnierze? Zresztą u łacinników jest przysłowie *Militia malitia*. Żołnierze często dokonują złych czynów. W niebie jest niezliczona liczba żołnierzy: *Mauritius*<sup>47</sup> był świętym żołnierzem; *Georgius*<sup>48</sup> był świętym żołnierzem; *Gallicanus*<sup>49</sup> był świętym żołnierzem; *Fortunatus*<sup>50</sup> był świętym żołnierzem; *Martinus*<sup>51</sup> był świętym żołnierzem; *Cornelius* świętym żołnierzem, *Adrianus*<sup>52</sup> był świętym żołnierzem, *Dawid*, *Jozue*, *Gedeon* i *Machabejczycy* byli świętymi żołnierzami, ale najprzedniejszym był święty *Wacław* i to takim, który zwyciężał zawsze swoich wrogów. Że był żołnierzem uznał to sam Chrystus Pan, kiedy ukazał się *Erykowi*<sup>53</sup>, królowi Da-

<sup>36</sup> Hubert (ok. 655-727), misjonarz w pd. Brabancji i Ardenach, od ok. 704 biskup w Mastricht; wg legendy z XI w. Hubert nawrócił się w czasie polowania, zobaczywszy jelenia z jasnijącym między rogami krzyżem; patron myśliwych i leśników.

<sup>37</sup> Frumencjusz, żył w IV wieku, apostoł Etiopii, pierwszy biskup Aksum.

<sup>38</sup> Gwidon z Anderlecht († 1012).

<sup>39</sup> Homobonus (ok. 1150-1197), kupiec w Cremonie.

<sup>40</sup> Kryspin i Kryspinian, bracia, święci męczennicy rzymscy za panowania Dioklecjana, pracując jako szewcy w Soissons głosili słowo Boże i posługiwali ubogim, za odmowę wyrzeczenia się wiary zostali poddani okrutnym torturom i straceni.

<sup>41</sup> Ryszard z Chichester († 1253), szlachetnego pochodzenia, przez dłuższy czas znośił z cierpliwością biedę i poniżenie.

<sup>42</sup> Wulmar wzgl. Wilmar († 700/710), po wstąpieniu do klasztoru Hautmont paśł bydło, patron furmanów.

<sup>43</sup> Izidor Oracz z Madrytu († 1130), zasłynął z pobożności, miłości i wiernego wypełniania swoich obowiązków; patron rolników.

<sup>44</sup> Witalis, męczennik z czasów Dioklecjana.

<sup>45</sup> Servulus, żebrak z Rzymu († ok. 590).

<sup>46</sup> Aleksy, rzymski patrycjusz, wiódł w Edessie życie jako żebrak; zebraną u drzwi kościoła jałmużnę rozdawał potem innym ubogim.

<sup>47</sup> Maurycy († 280/300), żołnierz z legii tebańskiej, męczennik za wiarę.

<sup>48</sup> Georgius, rzymski żołnierz, męczennik z czasów cesarza Dioklecjana.

<sup>49</sup> Gallicanus, męczennik z czasów ces. Juliana.

<sup>50</sup> Fortunat, męczennik z czasów cesarza Dioklecjana.

<sup>51</sup> Marcin († 397), rzymski legionista, bp Tours, apostoł Galii.

<sup>52</sup> Hadrian, oficer rzymski, męczennik z czasów Maksymina.

<sup>53</sup> Eryk, król Danii († 1250).



nii i wskazał mu, że jeśli chce, aby zostały mu odpuszczone grzechy, to powinien zbudować kościół ku czci jego świętego żołnierza *Wacława*. *Construe in honorem Sancti Militis mei Wenceslai Ecclesiam*. *Wenceslaus* jako żołnierz, ale zawsze *Victoriosus*.

*Radislaus* z pomocą ludu chciał prowadzić walkę ze swym kuzynem *Wacławem* przy zamku *Kurzim*, dlatego też *Wacław* ubrał pancerz zbrojny, pod którym zawsze nosił *cilicium*. U boku wisiała mu mała szpada na pasku. Broń ta z najwyższą czcią przechowywana i pokazywana jest w Pradze. Aby uchronić obie strony przed rozlewem krwi *Wacław* zaproponował pojedynek. Chciał sam walczyć z *Radislao*. Temu ta propozycja nie odpowiadała, ponieważ sądził, że niechybnie pokona *Wacława* choćby dlatego, że ten bardziej przyzwyczajony był do błogosławienia niż do szpady. On uczył się bardziej psalmów niż pojedynku, był częściej przy różańcu niż przy szańcu. Sądził on, że *Pod Kurzim* pobije *Wacława*. Kiedy walka miała zaczynać się, *Radislaus* wymachiwał swymi lancami, *Wacław* zaś uzbroił swoje czoło świętym znakiem krzyża. Wtedy *Radislaus* zobaczył, że ten krzyż błyszczał jak promieniujące słońce, zobaczył Aniołów u boku *Wacława* i usłyszał te słowa: *Ne feri*. Zatrzymaj się. Na te słowa natychmiast odrzucił swą broń, zeskoczył z konia, upadł do stóp *Wacława*. Ten przyjął go z pocałunkiem pokoju i dobrowolnie pozostawił mu panowanie w całym *Kurzim* do końca życia. To znaczy *Wenceslaus Victoriosus*.

Także po jego chwalebny męczeństwie *Wacław* okazał się walecznym bohaterem i zwycięzcą. Bo kiedy *Ottokar*<sup>54</sup>, król Czech, koło węgierskiego Altenburga, wdał się w bitwę z węgierskim królem *Belą*<sup>55</sup> i jego synem *Stefanem*<sup>56</sup>, w tej samej godzinie świętej pamięci człowiek z Pragi widział, że święty *Wacław* w złotej zbroi i ze szpadą wysadzaną diamentami prowadził czeską armię wraz z wszystkimi patronami Czech. Kiedy swoją lancę wyciągnął przeciw swoim wrogom, to wróg natychmiast uciekł. Ścigał ich i wiele tysięcy bojowników zostało zabitych, a woda w rzece zmieniła się prawie w krew. W ten sposób *Wenceslaus* zawsze był *Victoriosus*, bo przewyciężył samego siebie. O piękne *victori*: *Fortior est, qui se, quam qui fortissima vincit, Moënia*. Pokonał on silne i potężne larwy piekielne. O wspaniałe *Victori*! Pokonał wroga swego i swego królestwa. Chwała i zwycięstwo ponad wszystko.

Powszechny był wtedy zwyczaj, że gratulowano zwycięzcy i pogromcy, i życiono szczęścia, tak jak onegdaj *Dawidowi*, po pokonaniu olbrzyma filistyńskiego. Wtedy to izraelskie kobiety grały na bębnach i fujarkach oraz śpiewały: *Saul percussit mille, David vero decem millia* (por. 1 Sm 18, 6nn). Temu bohaterowi wzniesiono nawet honorowe kolumny i statuy. Tak samo potraktowano *Mutiusa Scaevole*<sup>57</sup>, *Goratiusa*, *Coclesa*<sup>58</sup>, *Furiusa*, *Camillusa*<sup>59</sup> i wielu innych z powodu ich rycerskich czynów. Wszchemogący Bóg też tak chciał, żeby *Wenceslaus Victoriosus* w taki sam sposób został uczczony. Bóg chciał, aby czciły go wszystkie cztery żywioły: ogień, woda, powietrze i ziemia. Ogień z powodu cudów, które tak często można było widzieć przy grobie świętego *Wacława*, a które poganie szczególnie w Sätzer-Crayß<sup>60</sup> próbowali zatuszować. Dlatego zwołali do

<sup>54</sup> Ottokar II (1233-1278), król czeski.

<sup>55</sup> Bela IV (1206-1270), król węgierski.

<sup>56</sup> Stefan V (1239-1272), w latach 1270-1272 król węgierski.

<sup>57</sup> Mutius Scaevola – bohaterska postać z początków Rzymu.

<sup>58</sup> Goratius, Cocles – bohaterowie w walce z etruskim królem Porsenną.

<sup>59</sup> Furius, Camillus – zdobywcy Vejis i zwycięzcy nad Gallierem.

<sup>60</sup> Dzisiejsze Žatec w Czechach.



*Laun*<sup>61</sup> landtag pod gołym niebem, na którym chcieli uchwalić, żeby nikt pod karą życia i śmierci nie mówił o *Wacławie*. Zaraz po tej uchwale wszyscy, zarówno chrześcijanie jak i poganie, na wysokości zobaczyli wspaniałego pięknego mężczyznę w złotej zbroi na białym koniu, a za nim czarną chmurę, z której rozpełtała się taka burza, że wszyscy uciekli. Jednak ogniste pioruny zabiły 40 najdostojniejszych pogan. Ty zachowałeś się dobrze, mój ogniu! Bóg chciał, żeby czciła go także woda. Na rozkaz *Bolesława* ciało świętego *Wacława* zostało wykopane w Altbuntzel i cicho w nocy przewiezione zostało do Pragi do kościoła św. Wita. Ale kiedy oni przybyli do Erb nad Wełtawą, przeszli przez nią suchą nogą razem z wołami. Dobrze zachowałeś się moja wodo! Bóg chciał, aby czciło go także powietrze, ponieważ z jego powodu pobożny sługa *Podivin* został powieszony na dębie. Ale zasługi *Wacława* spowodowały, że powietrze przez całe trzy lata zachowało ciało w stanie nienaruszonym. Dobrze zachowałeś się, moje powietrze! Bóg chciał, aby także i ziemia go czciła. Kiedy raz szedł przez las niedaleko Buntzel wszystkie drzewa schylały się przed nimi. Do dzisiejszego dnia nie ma tam żadnego prosto stojącego drzewa. Bóg chciał, aby Królestwo Danii czciło go. Wzniesiono tam wiele kościołów ku jego czci. Bóg chciał, aby czciło go Królestwo Polskie. Uważany jest za jednego z najznakomitszych patronów tego królestwa. Bóg chciał, aby Księstwa Śląska i Moraw czciły go. Tam do dzisiejszego dnia stoją najpiękniejsze świątynie w *Widniz*<sup>62</sup> i *Ołomuńcu* noszące jego imię. Bóg chciał, by czciło go księstwo Bawarii, ponieważ jeszcze za jego czasów w pobliżu Lauterbach można było widzieć studnię *Wacława*, gdzie działały się wielkie cuda. Bóg chciał, aby czciło go Księstwo Styrii, ponieważ w Mähren ukazał się on margrabiemu Henrykowi<sup>63</sup>. Maria Zell stało się sławne. Bóg chciał, aby czcił go Rzym, bo w czterdziestym roku po jego chwalebnej śmierci męczeńskiej w najznakomitszym kościele św. Piotra został wzniesiony ołtarz ku jego czci. Bóg przede wszystkim chciał, aby czciło go najwięcej Królestwo Czech, skoro wybrało go na szczególnego patrona i dlatego wiele wspaniałych kościołów, tak wiele pięknych kaplic i tak wiele wspaniałych ołtarzy nosi jego imię. Jego imieniem chlubi się tak wielu ludzi, że ze wszystkich osób o imieniu *Wacław* można by utworzyć wielką armię. Bóg chciał wreszcie, żeby czczono go w Austrii, ponieważ w Wiedniu tak jak i w chwalebny narodzie czeskim od wielu lat obchodzone jest jego największe święto i ponieważ Austria prosi i błaga, aby Austria, tak jak *WENCESLAUS* jest *Victoriosus*, zawsze była zwycięska. *Austria* nie tylko *Ventosa*, ale także *Victoriosa*. Amen.

Cytat za: Abraham a Sancta Clara, *Der Nahmhaffte und Mannhaffte Held*, [w:] *Predigten der Barockzeit: Texte und Kommentar* in Zusammenarbeit mit Heinrich Kabas und Roswitha Woytek hrsg. und durch Zeugnisse zur Predigt in der deutschen Literatur vom 18. zum 20. Jahrhundert erg. von Werner Welzig, Wien 1995, s. 181-193 (przekł. Małgorzata Bieniarz).

<sup>61</sup> Miasto w półn. Czechach, dzisiejsze Louny.

<sup>62</sup> Miejscowość w Saksonii.

<sup>63</sup> Książę czeski, w latach 1197-1222 margrabia w Mähren, zapoczątkował pielgrzymki Słowian do Mariazell.





Święty Leonard z Porto Maurizio OFM  
(1676-1751)



# Patron misjonarzy ludowych

W katolicką tradycję przeżywania Wielkiego Piątku głęboko wpisała się droga krzyżowa prowadzona przez samego papieża w rzymskim Kolo-seum. Zwyczaj odprowadzania tego nabożeństwa w starożytnym amfiteatrze Flawiuszów, miejscu poświęconym krwią męczenników, zrodził się dopiero w połowie XVIII wieku. Inicjatorem i wielkim propagatorem tego nabożeństwa był wielki misjonarz ludowy – św. Leonard z Porto Maurizio.

## Apostoł Włoch

Leonard z Porto Maurizio urodził się 20 grudnia 1676 roku w małej, przybrzeżnej miejscowości zwanej Porto Maurizio, nad Morzem Liguryjskim, w północno-zachodnich Włoszech. Osadę tę w XX wieku wchłonęło rozrastające się miasto Imperia. Na chrzcie chłopcu nadano imiona Paweł Hieronim. Gdy miał dwa lata, stracił matkę. Został jednak troskliwie wychowany przez macochę. W czasie studiów w Rzymie, w sławnym Collegium Romanum, wszedł w środowisko ukształtowane przez sodalicje mariańskie oraz oratoria prowadzone przez filipi-nów. Spośród studentów wyróżniał się inteligencją i cnotą. Zamierzał wstąpić do Kongregacji Oratorianów. Jednakże pewnego dnia 1697 roku spotkał franciszkanów reformatów. Ich ubóstwo i szlachetność przyciągnęły uwagę młodzieńca z Ligurii. Poczul nieprzepartą moc wstąpienia do ich klasztoru S. Maria delle Grazie w Ponticelli. Na jesieni 1697 roku przywdział ich brązowy habit, otrzymując imię Leonard. W rok później złożył śluby zakonne i przeniósł się do rzymskiego klasztoru S. Bonaventura na Palatynie, gdzie rozpoczął studia teologiczne. Po święce-niach diakonatu bezowocnie ubiegał się o wyjazd na misję w Chinach. Po przyjęciu w 1702 roku święceń kapłańskich został nauczycielem filozofii. Wtedy to gwałtownie pogorszył się stan jego zdrowia. Z powodu gruźlicy musiał zrezygnować z nauczania i wyjechał do Neapolu, później do Vallecorsa, a w 1704 roku do Porto Maurizio. Ówczesnym zwyczajem przełożeni wysłali go w rodzinne strony, sądząc, że klimat jego rodzinnych stron przywróci mu zdrowie. Leonard rzeczywiście powrócił do zdrowia, ale swe wyzdrowienie przypisywał wstawiennictwu Najświętszej Panny. Odtąd uważał się za jej żywe wotum. Odzyskawszy siły postanowił poświęcić się całkowicie kaznodziejstwu wędrownemu.

W latach 1704-1709 zasięg działalności kaznodziejskiej Leonarda ograniczał się do okolic Genui. W 1709 roku przeniósł się do nowo organizowanego klasztoru we Florencji, gdzie w 1715 został przełożonym. Wydał wtedy konstytucje na wzór rzymskich, dopracowując ich szczegóły, zwłaszcza w zakresie obrzędów. Tu zaczęto go poznawać i podziwiać z powodu cnotliwego życia i ogromnej skuteczności jego kazań. W 1716 roku koło Florencji założył klasztor S. Maria dell'Incontro, skąd udawał się na misje ludowe. Przez

44 lata Leonard niestrudzenie podejmował tę działalność w północnej i środkowej Italii, a także w samym Wiecznym Mieście i na Korsyce. Wygłosił łącznie 343 serie misji ludowych, wzywając do pokuty i doprowadzając do niezliczonych nawróceń, a także podnosząc poziom moralny duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego. Wywierał potężny wpływ nie tylko na masy ludowe, lecz także na arystokrację, szlachtę i duchowieństwo. Był przewodnikiem duchowym m.in. Marii Klementyny Sobieskiej, bratanicy Jana III, króla polskiego, żony Jakuba Stuarta, pretendenta do tronu angielskiego.

Dzięki ilości, jakości i owocności swych prac zaliczony został do największych misjonarzy ludowych, jakich zna historia. Zjednało mu to zaszczytne miano „patrona misji ludowych” oraz tytuł „apostoła Włoch”. Wyczerpany pracą misjonarską Leonard zmarł 26 listopada 1751 roku. W 1796 roku został ogłoszony błogosławionym, a w 1867 przez papieża Piusa IX – świętym. Natomiast Pius XI w dowód uznania dla tego wyjątkowego kaznodziei ogłosił go w roku 1923 patronem misji ludowych.

### Metoda misji Leonarda

W stosowanej przez siebie metodzie pracy Leonard z Porto Maurizio sięgał do franciszkańskich metod głoszenia słowa Bożego ukształtowanych przez św. Franciszka z Asyżu († 1226), św. Antoniego z Padwy († 1231) i św. Bernardyna ze Sieny († 1444). Było ono przepowiadaniem wędrownym, pokutnym, popularnym, odwołującym się bardziej do serca niż do rozumu i posługującym się nie tylko słowem, ale wykorzystującym możliwości jakie dawał śpiew, procesje i inscenizacje.

Oprócz tradycji franciszkańskich na sposób prowadzenia misji przez Leonarda wpłynęły dwie zasadnicze metody, naznaczające historię misji ludowych aż po wiek XX. Pierwszą z nich była metoda sławnego misjonarza ludowego Pawła Segneriego Starszego SI (1624-1694), zwanego „drugim Bernardynem ze Sieny”. Prowadził on misje centralne, czyli odbywające się dla całej okolicy w jednym kościele, do którego pielgrzymowali wierni z sąsiednich kościołów. Były to misje krótkie, trwające 12 dni. Mniej zwracano w nich uwagę na pogłębienie duchowe i spokojną spowiedź, za to więcej na bogatą oprawę zewnętrznych ceremonii, zwłaszcza pokutnych procesji. Druga z tych metod, opracowana przez św. Wincentego à Paulo († 1660), akcentowała mocno katechizację i sposobność odprawienia dobrej spowiedzi misyjnej (generalnej). Misje, pozbawione okazałych zewnętrznych uroczystości, przebiegały w spokojnej atmosferze sprzyjającej duchowemu i intelektualnemu pogłębieniu. Długość ich trwania określały warunki potrzebne do dobrego odprawienia spowiedzi misyjnej. Zwyczajnie były to misje dłuższe, trwające od 4 do 7 tygodni.

Leonard z Porto Maurizio korzystał z obydwu tych metod. Znał je dobrze. Tym bardziej, iż jako uczeń szkoły jezuickiej brał udział w Collegium Roma-



num w misjach głoszonych przez Pawła Segneriego Młodszeo SI (1673-1713). Jednakże bliższą była mu metoda św. Wincentego à Paulo. Wiemy o tym nie tylko z jego *Regolamento* misyjnego, lecz także z jego oświadczenia. Kiedy bowiem około 1746 roku, już jako 70-letni misjonarz, został poproszony przez arcybiskupa Ferrary D. Crispiego, o przeprowadzenie misji w katedralnym kościele według metody P. Segneriego, odpowiedział odmownie, wyjaśniając i szeroko uzasadniając własną metodę.

Leonard był genialnym organizatorem misji systematycznych trwających zazwyczaj dwa tygodnie. Kolejny, trzeci tydzień, przeznaczony był na spowiedź świętą. Z okazji misji przeprowadzano także rekolekcje dla grup bardziej zaangażowanych w życie duchowe. Leonard zwykł był osobiście udawać się na miejsce mających odbyć się misji, aby sprawdzić warunki życia ludzi, stan ich religijności oraz inne ważne dla misji okoliczności, co pomagało mu w obmyśleniu najskuteczniejszych środków misjonarskiego oddziaływania. Liczbę misjonarzy dostosowywał do potrzeb danej miejscowości. Najczęściej było ich pięciu, ale podczas misji w Rzymie posługę tę spełniało aż trzydziestu kapłanów. Podobnie do potrzeb danej miejscowości dostosowywał czas trwania misji.

Leonard był kaznodzieją, który umiał przekonywać i dogłębnie wzruszać nie tylko przez prostotę wyrazu, ale także poprzez barokowe obrazy. Prowadził procesje pokutne oraz organizował gorące nabożeństwa do męki Pańskiej i Najświętszej Dziewicy, zakładał lub ożywiał bractwa. Tematycznie przepowiadanie Leonarda bazowało na podstawowych prawdach chrześcijańskiego kerygmatu, ukierunkowując się praktycznie na przepowiadanie cnót i wad, kary i nagrody. Chrystocentryzm owego przepowiadania, zgodnie z duchem czasu, wypowiadał się w kulcie męki Pańskiej. Stąd też Leonard upowszechniał nabożeństwo drogi krzyżowej.

Ta pobożna praktyka rozwijała się w wieku XV, XVI i XVII, przyjmując różne formy i zmieniając liczbę stacji: najmniej było 7, najwięcej 37. Od kiedy w roku 1686 papież Innocenty XI udzielił odpustów formie praktykowanej przez braci mniejszych będących kustoszami Ziemi Świętej, utrwaliła się forma z 14 stacjami. Leonard z Porto Maurizio erygował osobiście 572 drogi krzyżowe, w tym również w rzymskim Koloseum na zakończenie Roku Świętego 1750. Erygowanie i odprawianie dróg krzyżowych należało także do ścisłego programu głoszonych przez niego misji. Dla rozwoju tego nabożeństwa napisał dziełko *Via sacra [...] Via Crucis con istruzioni per praticare confrutto* (Rzym 1731), często wydawane w XIX i XX wieku we wszystkich językach europejskich. Z jego imieniem łączy się trwająca do dziś praktyka tego nabożeństwa, a zwłaszcza wyjaśnianie żywym głosem poszczególnych stacji drogi krzyżowej. Dotychczas czyniono to wyłącznie na rozpoczęcie i na zakończenie tego nabożeństwa.

Co stanowiło treść tych kazań, które porywały słuchaczy ze wszystkich warstw społecznych? Program misji obejmował codzienną ranną katechezę w duchu metody świętego Wincentego à Paulo na następujące tematy: spo-

wiedź, spowiedź generalna, grzechy myślnie, żal, postanowienie poprawy, blińska okazja do grzechu, restytucja, chciwość, namiętność, gniew i nienawiść, bluźnierstwo i krzywoprzysięstwo, grzechy języka, nieczystość, chrzest i małżeństwo, wychowanie dzieci. Kazania wieczorne podejmowały tradycyjnie misyjne tematy, a mianowicie: pokuta, jej konieczność i łatwość (wstępne), złość grzechu, spowiedź, śmierć, sąd, piekło, ilość grzechów odpuszczanych przez Boga oraz ilość rozdawanych przez Niego łask, zgorszenie, cześć należna domowi Bożemu, Jezus Chrystus, rozpusta, wieczność, Matka Boża, zatwardziałość w grzechu, a na zakończenie wytrwałość. Podczas dużych misji wygłaszano jeszcze kazania na inne dodatkowe tematy. Do ścisłego programu misji należały dwie procesje w duchu Pawła Segneriego z trzema ekshortacjami na temat: udziału w misjach, potrzeby pokuty, bojaźni Bożej. Inne krótkie przemówienia dotyczyły głównie czci Najświętszego Sakramentu oraz miłości i ufności do Najświętszej Maryi Panny.

Oryginalnością jego metody było urządzenie (w przeciwieństwie do metod Wincentego à Paulo i Pawła Segneriego) kilku komunii generalnych, aby wszystkim członkom rodziny zapewnić możliwość wzięcia w nich udziału. Metoda ta spotkała się z wielkim uznaniem nie tylko wiernych, kapłanów i biskupów, lecz także samej Stolicy Apostolskiej. Ze względu na nią Klemens XII rozciągnął możliwość zyskiwania misyjnych odpustów zupełnych na trzy dni po ich zakończeniu, dla tych, którzy wówczas dopiero skorzystają ze spowiedzi i komunii świętej: Benedykt XIV przywilej ten jeszcze poszerzył, zostawiając świętemu Leonardowi władzę określania długości trwania misyjnego odpustu.

Po zakończeniu misji Leonard pozostawał przez kilka dni w parafii (zgodnie z metodą Wincentego à Paulo) w celu słuchania spowiedzi, odwiedzania chorych, wprowadzania wiernych w życie chrześcijańskie. Kaznodzieja przywiązywał wielkie znaczenie do tych dni twierdząc, że zakończenie misji stanowi często ostateczny motyw psychologiczny, skłaniający do nawrócenia. Aby misje mogły spełnić swój cel, czyli dokonać całkowitego i trwałego nawrócenia, Leonard urządzał również ćwiczenia duchowne według metody św. Ignacego Loyoli. Czasem czynił to podczas misji, czasem po ich zakończeniu, czasem zamiast misji, kiedy z jakichkolwiek względów nie można ich było wygłosić. Od niego to również pochodzi znane odróżnienie misji od rekolekcji: „Misje – to przejście Boga wśród gromów i błyskawic; rekolekcje – to łagodny deszczyk użyźniający”.

W pracy misyjnej Leonard odwołując się do uczuć słuchaczy, przygotowywał ich do ożywionego życia sakramentalnego, wspólnej modlitwy w rodzinach, codziennego czytania słowa Bożego i osobistej medytacji, zaangażowania w stowarzyszenia pogłębiające życie duchowe. W celu utrwalenia owoców misji założył wiele stowarzyszeń życia pobożnego. Na zakończenie misji wprowadził kilkakrotną komunię generalną, by wszyscy członkowie rodziny mogli w niej uczestniczyć, w związku z czym papież Benedykt XIV udzielił mu władzy określania długości trwania odpustu misyjnego. Szerzył kult Serca Jezusa

sa i niepokalanego poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Propagował adorację Najświętszego Sakramentu. Duchowość Leonarda, osadzona w duchowości franciszkańskiej, wyrażała się też w osobistym świadectwie radykalnego ubóstwa i łączenia ewangelizacji z modlitwą i samotnością oraz w całkowitej koncentracji na dobru duchowym wiernych.

W epoce, w której dominowało sztuczne, napuszone i rozwlekłe krasomówstwo bliska mu była prostota w budowie zdań. Rozwijał główne prawdy wiary, walczył z rozpustą, chciwością, oszczerstwami i zgorzzeniami. Zwalczał z ambony masonerię, w której widział ogromne zagrożenie dla Kościoła. Życie było dla niego walką, w której nie ma innego wsparcia prócz łaski Ducha Świętego. Był wnikliwym badaczem sumień: „rozkładał” na najdrobniejsze części całego człowieka wewnętrznego, poczynając od jego myślenia, dokonywał przeglądu ludzi wszystkich klas społecznych: robotników, żołnierzy, kupców, studentów i szlachty, odkrywał ich dążenia i namiętności z taką trafnością, jakby czytał w ich sumieniach. Leonard chwycił za serce pokazując postać Chrystusa i zachęcając grzeszników do pokuty. Wnikliwie patrzył na „zarośniętą duszę”, zatajone lub połowicznie wyznane grzechy oraz kompromisy między prawem a namiętnością. Podkreślał konieczność dobrej spowiedzi, przytaczał straszne przykłady mniszek i innych pobożnych osób, które zostały potępione z powodu jednego zatajonego grzechu. Jak wszyscy wielcy apostołowie Leonard przemawiał bez upiększeń. Stwierdzał: „Moje kazania nie mają być pięknymi słowami, lecz pięknymi prawdami”.

### W wirze działalności misyjnej

Głosząc misję we Florencji i w okolicznych miejscowościach Leonard był przez ponad 20 lat apostołem Toskanii. Lud otaczał go miłością, biskupi zapraszali do swych diecezji, a dom książęcy szanował go i zapytywał o radę. W roku 1730, kiedy liczył już 54 lata, zasięg jego działalności tak się rozszerzył, że przez następne dwadzieścia lat był nie tylko apostołem Toskanii, lecz całych Włoch. Kardynał Franciszek Barberini wezwał go do Rzymu. Leonard głosił tam misję w S. Carlo al Corso nawracając wielu. Odtąd wielki misjonarz przechodził z jednego kraju do drugiego. Biskupi ubiegali się, by zaprosić go do siebie. Panujący upominali się o niego, zwracając się do papieża i generała zakonu, tak że kaznodzieja często otrzymywał jednocześnie dwa różne nakazy: jeden z kurii papieskiej, drugi z Aracoeli. Stawiało go to w trudnej sytuacji. Jednakże nigdy nie wyznaczał sam od siebie miejsc, gdzie mają być głoszone misje. Dał się zawsze kierować Bogu przez rozporządzenia przełożonych. Podpierając się łaską, przebiegał całe środkowe, północne i południowe Włochy aż do Neapolu. A gdziekolwiek przybył, tam już po pierwszych kazaniach nawet duży kościół nie mógł pomieścić olbrzymich tłumów. Leonard musiał przemawiać na placu wypełnionym po brzegi; obleżone były konfesjonały, a misjonarz, nie okazując

znużenia, dzień i noc spowiadał na wzór dzielnego żołnierza, który nie opuszcza pola walki dopóty, dopóki zwycięstwo nie zostanie zapewnione.

Szczególnie trudne zadanie powierzył Leonardowi papież na Korsyce. Wyślany tam w 1744 roku miał doprowadzić do zawarcia pokoju między Genuą a buntowniczą wyspą. Misje na Korsyce miały posmak epopei. Na tej pięknej i dzikiej wyspie, gdzie duma przechodziła w dzikość, duch niezależności w anarchię, rywalizacja w zbrodniczość, gdzie zemsta była obowiązkiem, a sądownictwo sprawą poszczególniej jednostki, Leonard napotkał buntowniczą nienawiść, grabież, mord i wzburzenie przeciwko republice geneueńskiej. Ona to przy pomocy Francuzów uciskała państwo korsykańskie, zorganizowane przed dziesięcioma laty przez Teodora Neuhofa. Nie umiała jednak podbić dusz; rządziła nimi tylko dzięki wzajemnym sporom. Misjonarz głosił kazania w kościołach, na placach, nad brzegiem morza i na wierzchołkach pagórków. Bandyty i nieprzejednani wrogowie uzbrojeni po zęby, przychodzili na kazania Leonarda. Najpierw wsłuchiwali się w treść nauk, dawali się im porwać, strzelali ze swych karabinów i pistoletów w powietrze i padali sobie w objęcia. Najtrudniej było osiągnąć szczerą i trwałą pojednanie. Po pełnym trudu dniu misjonarze wracali wieczorem do domu zupełnie wyczerpani.

Leonard dokładał wszelkich starań, by wypełnić powierzone sobie zadanie. Dlatego podjął myśl, by wystąpić przeciwko tajnemu manifestowi, który obiegał wyspę i podburzał ją przeciwko republice geneueńskiej z *Apologetycznym i pasterskim listem* do całego narodu korsykańskiego. Puścił go w obieg z Rosino 4 sierpnia 1744 roku. Występował w nim przeciwko skargom podnoszonym pod adresem republiki i zachęcał naród, by pozostał wierny swemu przyrzeczeniu. Jednocześnie zaś wysłał do rezydującego w Bastii gubernatora „tajny list” Korsykanów i zachęcał go, by natychmiast przesłał do Genui sformułowane przez parafie zarzuty. Ze względów zdrowotnych powrócił do Genui i bronił praw Korsykanów, tak jak na wyspie bronił praw rządu. Przemawiał więcej niż trzy godziny w kwestii Korsyki i żądał dla niej wojska i sądownictwa. Jego list z grudnia 1744 roku, skierowany do władców republiki, jest prawdziwym memoriałem o wewnętrznych stosunkach na Korsyce i o koniecznych środkach utrzymania tam spokoju i ładu. Oba listy ujawniają wielką mądrość chrześcijańską, miłość i silny temperament Leonarda. Genua jednak szafowała obietnicami, ale słowa nie dotrzymywała. Nie posłuchano misjonarza. W dziesięć lat potem Korsyka zbuntowała się pod wodzą Paschalis Paoli, a kiedy ten umarł, obdarzyła Europę Napoleonem.

Ukoronowaniem działalności kaznodziejskiej Leonarda były misje w Rzymie w 1749 roku, przygotowujące to miasto do przeżycia Roku Jubileuszowego. Piazza Navona zamieniono wtedy w olbrzymi kościół pod gołym niebem; oddziały wojska strzegły wejść na ulice, by nie zezwolić na przejazd wozów; na schodach przed świątynią S. Agnese zbudowano ołtarz w celu udzielania błogosławieństwa po kazaniu; wzniesiono trybunę dla papieża Benedykta XIV, który

ze swym dworem słuchał kazań. Do niezliczonych tłumów, które mimo upałów od pierwszych godzin przedpołudniowych wypełniały plac, zajmując balkony i sadowiąc się na podwyższeniach i dachach, przemawiał wielki misjonarz z taką siłą, że nie czuło się jego siedemdziesięciu lat; a kiedy potęgując słowa przez czyny publicznie się biczował, by wzbudzić żal u słuchaczy, wszyscy płakali. Tak pokazuje Leonarda malowidło anonimowego autora zatytułowane *Leonard głoszący kazanie na Piazza Navona w Rzymie*. Widać na nim franciszkańskiego kaznodzieję stojącego na podeście, z krucyfiksem, przed tłumem wiernych, wpatrzonych w niego i pogrążonych w żarliwej modlitwie (zob. s. 297).

Starannie przygotowany Rok Jubileuszowy zamknęła uroczystość, która koronowała wszystkie najgorętsze życzenia Leonarda – urządzenie drogi krzyżowej w Koloseum. Ceniąc wysoko tego misjonarza, papież Benedykt XIV zgodził się na jego projekt, by amfiteatr Flawiuszów, miejsce uświęcone krwią męczenników pierwszych wieków Kościoła, uczynić miejscem modlitwy. Dnia 27 grudnia 1750 roku wyruszyła z Palatynu procesja członków zakonów i miłośników Jezusa i Maryi (tak zwała się nowa kongregacja Leonarda), niosąc wielki krzyż i skierowała się do Koloseum, gdzie misjonarz wygłosił kazanie o męce Pańskiej i pobudził wszystkich do jej uwielbienia. Potem kardynał wikariusz Rzymu uroczystie poświęcił krzyże i cały lud odprawił drogę krzyżową.

Ten uroczysty akt, tak upragniony przez Leonarda, zdawał się zamykać jego działalność misjonarską. Był bowiem już stary i chory, tak że Benedykt XIV zabronił mu opuszczać Rzym. Kiedy jednak Lukka i inne miasta zaczęły błagalnie upominać się o niego, nie potrafił im odmówić i wyruszył w drogę na połów dusz. We Florencji, mieście, któremu poświęcił 20 lat swego apostolatu, wyszło mu naprzeciw tak wielu ludzi, że nie mógł przejść. Następnego dnia trzeba go było przenosić w lektyce z jednego miejsca na drugie. Nawet w klasztorze nie zaznał spokoju, bo wciąż poszukiwano go w celu zasięgnięcia porady, otrzymania błogosławieństwa albo choćby dotknięcia jego ręki lub ubrania w nadziei uzdrowienia. Po skończeniu podróży misyjnych wyczerpany misjonarz zatrzymał się w Foligno. Chociaż czuł zbliżającą się śmierć, chciał jeszcze odprawić mszę świętą, bo – mawiał – „jedna msza święta jest więcej warta niż wszystkie skarby świata”. I była to jego ostatnia msza święta. Po kilku dniach zmarł w Rzymie na Palatynie.

## Szukać jedynie chwały Bożej i zbawienia dusz

Przekonanie Leonarda o aktualności misji ludowych korespondowało tak z rzeczywistymi potrzebami wiernych, jak i duszpasterskimi wysiłkami Kościoła owego czasu w Italii. Począwszy od drugiej połowy XVII wieku troska Kościoła zaczęła zwracać się ku wioskom. Dotychczas była ona zwrócona głównie ku miastom. Zainteresowanie wsią przyspieszyło spostrzeżenie, że religijność ludowa wykazuje większą odporność na wpływy reformatorów i „nowin-



karzy”, niż religijność warstw „oświeconych”, gdyby ją więc pogłębić, mogłaby stanowić pewniejsze oparcie dla Kościoła. Ludność wsi jednak, pozbawiona dostatecznej opieki duszpasterskiej, pogrążona była w kulturalnej i religijnej ciemnocie. Bolączkom tym miały zaradzić misje ludowe. Był tego świadom Leonard. Według niego misje strzegą przed tysiącami grzechów tak podczas trwania misji, a tym bardziej po ich zakończeniu, gdyż wielu po spowiedzi misyjnej długo jeszcze trwa w stanie łaski, niektórzy natomiast aż do śmierci; misje wzbudzają lęk przed popełnieniem grzechu ciężkiego przez uświadomienie straszliwych jego konsekwencji; usuwają zgorszenia i ich źródła, jak choćby pijaństwo czy hazard; przyczyniają się do wykorzenia wad, nienawiści; zaprowadzają pobożne praktyki i wzbudzają powołania kapłańskie i zakonne.

Wysiłek misyjny miał służyć przede wszystkim dobru duchowemu wiernych. Stąd pierwszą z zasad, jakie Leonard przekazywał uczniom była żądanie: „We wszystkich przedsięwzięciach szukać jedynie chwały Bożej i zbawienia dusz”. Zasada ta nawiązywała do myśli wielkiego misjonarza franciszkańskiego zakonu, św. Bernardyna ze Sieny oraz do maksymy bliskiego mu czasowo wybitnego misjonarza Pawła Segneriego Starszego: „Wszystko dla misji, nic dla misjonarzy”. W swoim misyjnym *Regolamento* doda jeszcze, że gdyby komu przyświecały inne intencje, znajduje się na prostej drodze ku zatraceniu.

Teoretyczne przekonanie kształtowało praktykę, objawiając się na różne sposoby we wszystkich etapach misjonarskiej działalności Leonarda. Na misje wybierał on najodpowiedniejszy dla uczestników czas, biorąc pod uwagę tak ich codzienne zajęcia, jak i nadzwyczajne okoliczności. W wyborze środowisk preferował środowiska wiejskie, miejscowości bardziej duchowo opuszczone, trudniej dostępne, odcięte od świata, dokąd słowo Boże docierało bardzo rzadko. W Rzymie czy też w innych większych miejscowościach głosił misje wyłącznie na wyraźne życzenie biskupów. Wybór takich właśnie mało „efektywnych” środowisk ułatwiał skupienie się wyłącznie na duchowym dobru wiernych. Taka postawa była sprzeciwem wobec istniejących w ówczesnym kaznodziejstwie tendencji. Sam rozpoczynał od bardzo popularnego wówczas kaznodziejstwa pasywnego, które dało mu sławę wielkiego mówcy. Szybko jednak odstąpił od jego uprawiania, gdyż spostrzegł, że bardzo często służy ono zaspokojeniu ambicjonalnych celów kaznodziei, staje się okazją do współzawodnictwa w zdobywaniu sławy, co może stać się pokusą nie do przezwyciężenia. Postanowił więc pójść ze słowem Bożym do ludzi najbardziej opuszczonych, rezygnując z własnej sławy na korzyść ich duchowego dobra.

Dawanie dobrego przykładu uważał Leonard za fundamentalną zasadę, a nawet za duszę swoich misji. Stanowiło to coś tak charakterystycznego dla jego postawy, że posłużyło jako jedna z racji ogłoszenia go patronem misjonarzy ludowych. W szczególny sposób akcentował on ubogi sposób życia misjonarzy. W liście do arcybiskupa D. Crispiego, w którym wyłożył swą metodę misyjną, napisał: „Misje nasze nie niosą żadnych obciążeń finansowych.



Jesteśmy ubodzy i żyjemy z kwesty. Zaraz po przybyciu do danej miejscowości, kiedy ubóstwo nasze rzuci się w oczy, przynoszą nam ludzie pożywienie, z którego część zatrzymujemy dla siebie, resztę rozdając ubogim. Przez cały czas misji żywimy się wyłącznie chlebem, jarzynami i owocami. Dowiedziawszy się o tym Benedykt XIV pisemnie nakazał nam złagodzenie umartwień w jedzeniu”. Składka, jaką zbierano podczas misji, przeznaczona była nie na potrzeby misjonarzy, lecz na pokrycie wydatków z misjami związanych, głównie na świece i kult Najświętszego Sakramentu.

Działalność misyjna Leonarda zajmuje ważne miejsce w kaznodziejstwie pierwszej połowy XVIII wieku; jednakże ich potężnego wpływu nie można wytłumaczyć samą tylko wartością literacką kazań. Lud widział w nim misjonarza, który nie tylko głosił słowo Boże, lecz żył zgodnie z tym słowem, który obok regularnych ćwiczeń pokutnych brał na siebie trud uciążliwych podróży, przechodząc boso przez niebezpieczne krainy albo płynąc statkiem po rzece Arno, Padzie, Tybrze, który zadawał sobie trud przemawiania trzy lub cztery razy dziennie i słuchał spowiedzi do późnej nocy. Każdą misję poprzedzał dobrowolną pokutą i każdej misji towarzyszyła pokuta, jakby chciał wziąć na siebie grzechy tych, którzy mieli go słuchać, odpokutować za nich, by im ułatwić nawrócenie lub uświęcenie. Nie działał cudów, mimo to lud ciągnął do niego jak do cudotwórcy, gdyż jego cnota, zapal i potęga żywego słowa dokonywała wielkiego wstrząsu duchowego, wyrwała z obojętności, wzruszała i zachęcała do poprawy życia.

\*

Przedstawione wyżej koncepcje i założenia teologiczne zdominowały na kilka wieków charakter misji ludowych. Od czasu Soboru Watykańskiego II dotychczasowe metody uległy znacznym modyfikacjom. Oparcie współczesnych misji na źródle biblijnym przyniosło zmianę spojrzenia na cel misji, poszerzyło krąg uczestników, przesunęło tematykę kazań z doktryny na orędzie zbawienia, a tym samym lepiej koresponduje ze współczesnym kontekstem kulturowym i przyczynia się do podniesienia skuteczności nowej ewangelizacji. Stale jednak aktualne są przymioty, tak widoczne u patrona misji ludowych: przekonanie o godności spełnianego posłannictwa, koncentracja na dobru duchowym wiernych, świadectwo osobistego życia. Powinien więc święty Leonard częściej i wyraźniej patronować duszpasterzom i misjonarzom podczas przygotowywania misji, ich wygłaszania i kontynuacji oraz nieustannego przystosowywania do potrzeb konkretnych wspólnot parafialnych.

św. Leonard z Porto Maurizio OFM

## *Kazanie o Sądzie Ostatecznym na 24 niedzielę po Zielonych Świątkach*

„Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały” (Mt 25, 31).

Najmilsi! Są prawdy niezmiernie ważne dla każdego z nas, o których jednak wielu ludzi bardzo niechętnie słucha – szczególnie w czasach dzisiejszych – i dlatego my kaznodzieje mówimy o nich rzadko i z pewną obawą, żeby liczba naszych słuchaczy – i tak dosyć mała, nie zmniejszyła się jeszcze bardziej. A przecież musimy o nich mówić, jeżeli chcemy spełnić należycie ciężki swój obowiązek. Jedną z tych prawd objawił nam Boski nasz Mistrz Jezus Chrystus, kiedy zapowiedział swoje przyjście na Sąd Ostateczny. Nie jest to żaden wymysł kapłanów, lecz prawda, wygłoszona najdobitniej i najuroczyściej przez samego Boga. Ale już sam zdrowy rozum i poczucie sprawiedliwości, wrodzone duszy naszej, mówi nam, że każdemu uczynkowi naszemu należy się słuszna zapłata, że los dobrych i złych nie może być jednakowy. Tu w życiu ziemskim widzimy tak często ludzi najlepszych, żyjących w nędzy, w pogardzie, w ucisku, doznających prześladowania i krzywdy, kiedy tymczasem ich krzywdziciele i wszelkiej cnoty wrogowie, rozpustnicy bezwstydni, a nawet okrutni gnębiciele narodów żyją w rozkoszach, opływają we wszelkie dostatki i drwią sobie z wszelkich upomnień i przestróg. Dlatego powtarzają nieraz z goryczą nieszczęśliwi: „Nie masz na świecie sprawiedliwości!” – Tak, nie byłoby jej naprawdę, gdyby wszystko kończyło się z chwilą śmierci, gdyby nie czekała nas w drugim życiu należąca nagroda lub kara! To mówi rozum i poczucie sprawiedliwości najdzikszym nawet ludom, które też wierzą mocno w nieśmiertelność duszy i sąd pośmiertny. My zaś chrześcijanie otrzymaliśmy lepszą, jaśniejszą i najpewniejszą naukę o tym sądzie od samego Boga i wiemy, że zaraz po zgonie staniemy przed Jego stolicą, aby zdać liczbę ze wszystkich swoich uczynków i zaniedbań, a nawet ze wszystkich słów i myśli swoich. Ale oprócz tego sądu szczegółowego odbędzie się drugi, powszechny, na którym zjawić się muszą wszystkie pokolenia ludzkości, a który tak żywo i przejmująco opisany jest w Ewangeliach. *Zdrowaś Maryjo.*

1. Nikt nie wie, kiedy zajaśnieje ten dzień, w którym niebo pomści wszystkie zbrodnie ziemi, w którym wyjdzie na jaw wszystko, co było ukryte przed oczyma ludzkimi, co działo się w największej tajemnicy. Jakież lęk i jakie zawstydzenie ogarnie wtenczas tych, co dopuszczali się ciężkich występków i wmawiali w siebie, że nikt ich nie widzi, nikt ich nie ukarze! „Bo oto nadchodzi dzień palący jak piec” – mówi prorok „a wszyscy pyszni i wszyscy wyrządzający krzywdę będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący dzień” (Ml 3, 19). Cała ziemia będzie zalana ogniem i wszystko, co na niej jest, obróci się w popiół: „Niebo” – mówi Apostoł – ze świstem przeminie, gwiazdy się w ogniu rozsypią, a ziemia i dzieła na niej spłoną” (2 P 3, 10). „Słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte” (Mt 24, 29). Ludzie przerażeni będą biegali jakby w obłędzie, będą szukali kryjówek, ale na próżno, – nigdzie nie znajdą schronienia przed potęgami przyrody, wszystko niszczącej na rozkaz Boży w dniu ostatecznej zagłady. A potem zagrzmi głos trąby, wołając: „Wstańcie umarli i przyjdźcie na sąd!”. I zadrży ziemia i morze, i czyszciec, i piekło, i oddadzą swoich umarłych. „Powstańcie umarli!”. Otwórzcie się wy groby, wy pomniki, wy trumny zamknięte, wy pyszne budowle i stare piramidy i oddajcie

życiu powierzone wam zastawy! – Co to za widok grozą przejmujący! – Gdziekolwiek są kości obnażone z ciała albo już zamienione w popiół, odzywa się przeraźliwe echo tych słów: „Powstańcie umarli!”. Wyobraźcie sobie, drodzy chrześcijanie, to zmartwychpowstanie powszechne, wyobraźcie sobie, jak kamienie grobowe nagle wylecą w powietrze, jak kości zaczną się poruszać i spajać, i okrywać się ciałem, i podnosić z grobów, a całą ziemię zapełnią wracający do życia umarli.

2. Ale jakież to różnica będzie między tymi ciałami! Jedne będą jaśniały przedziwną pięknoscią niebiańską, – drugie będą obrzydzenie budziły swoją szkaradą. I znowu zagrzmi trąba i wezwie wszystkie dusze na sąd i każda z nich połączy się na nowo ze swoim ciałem. Dusze zbawionych uczynią to z radością, bo wszakże ciała ich były drogimi towarzyszami ich trudów i otrzymają nagrodę za swoje prace i umartwienia, ale dusza potępiona ujrzy ze zgrozą i największym wstrętem swego dawnego towarzysza i zawoła z wściekłością: „Jak to, ja mam połączyć się z tym ciałem? Mam połączyć się znowu z tymi oczyma, co spoglądały tak swobodnie na rzeczy, o jakich nie powinnam była wcale myśleć? Mam z tymi oczyma stanąć przed stolicą Boga? – Mam znów wziąć te ręce, które nie znały innej sztuki oprócz kart lub broni, albo pisania czułych listów miłosnych, które pozwalały sobie na dotykania występne, a nie chciały otwierać się dla ubogich i spełniać dobrych uczynków, – z tymi rękami mam stanąć przed stolicą Bożą? Mam ożyć na nowo ten język, który prowadził tak niegodziwe i gorszące rozmowy, takie bluźnierstwa miotał przeciwko niebu i pozwalał sobie na takie obelgi i oszczerstwa przeciwko bliźnim, z tym językiem mam stanąć przed stolicą Bożą? – Na nowo mam przyoblec to ciało, które było towarzyszem i świadkiem moich występków, które nosi na sobie sromotne ślady wszystkich moich zmas i mojej bezwstydnego rozwiązłości? I z tym przeklętym ciałem mam okazać się Sędziemu?” – Jakże ta dusza nieszczęsna będzie wtedy żałowała – za późno, że schlebiała temu ciału, że dostarczała mu rozkoszy zakazanych!

3. A kiedy już wszystkie dusze wejdą z powrotem w swe ciała, wtedy zabrzmi znowu trąba, wołając: „Na sąd!” – Na sąd, wy królowie i wielmoże ziemi, – zdajcie liczbę z tego, coście na niej zdziałali! Na sąd, wy próżne niewiasty – teraz już was nie uczci żaden bałwochwalca! Na sąd, wy wojownicy – teraz już nie macie broni! Na sąd wy wszyscy, władcy i poddani, duchowni i świeccy, młodzi i starzy!”. Wszyscy musimy z odsłoniętym obliczem stanąć przed trybunałem Chrystusa, – bez żadnych obrońców i pomocników! Wtedy ukaże się „Syn człowieczy” na tronie z obłoków, „w chwale swojej i wszyscy Aniołowie z Nim”. Z jednej strony będzie jaśniał krzyż święty w blasku promiennym, – z drugiej ujrzemy Bogarodzicę, niebios Królową, ale już wtedy nie będzie Ona Matką miłosierdzia i Ucieczką grzeszników. Aniołowie oddzielą na rozkaz Sędziego dobrych od złych, „jak pasterz odłącza owce od kozłów” i dobrzy staną po prawicy Jego, a źli po lewicy. Jakież to wstrząsające będą rozgrywały się sceny przy tym rozłączeniu! Oto ten był wielkim panem i uchodził za bardzo czcigodnego, a teraz stanąć musi w szeregach zbójców i morderców. I małżonkę jego weźmie Anioł za rękę i pociągnie na stronę lewą. „O święty Aniele” – zawoła ona – „zgrzeszyłam, to prawda, ale w ukryciu i nikt nic nie wiedział o moim występku!”. „Tak” – odpowie Anioł – „ale teraz wiedzą o nim wszyscy!”. Po prawicy stanie ów dobry ojciec, a po lewicy jego syn nieposłuszny i złośliwy; po prawicy owa pobożna matka, po lewicy jej rozpustna córka. Mężowie będą rozłączeni od żon i na zawsze, – rozłączeni tak daleko od siebie, jak grzech oddalony jest od świętości, jak zły duch od Boga, piekło od nieba. Odrzuceni będą, jak czytamy w Objawieniu św. Jana (22, 15), „guślarze, rozpustnicy, zabójcy, bałwochwalcy i każdy, kto kłamstwo kocha i nim żyje”.

4. A jakże bolesne będzie zawstydzenie grzeszników, gdy wszystkie ich uczynki będą odślonione przed całym światem! Wszehmoc Boża sprawi, że te niezliczone rzesze, zebrane na dolinie Jozafata, ujrzą od razu, jakby w olbrzymim zwierciadle, wszystko, co każdy z nich kiedykolwiek zrobił, czym Boga obraził, wszystkie lubieżne spojrzenia, mowy i uczynki i zaniedbania, które dotychczas znane były tylko samemu Bogu. Pewna młoda dziewczyna, dopuściwszy się grzechu, używała wszelkich środków możliwych, żeby przeszkodzić jego następstwom i tak uniknąć hańby, – a gdy wszystko nic nie pomogło, błagała usilnie swego uwodziciela, żeby jej odebrał życie. Ten wyświadczył jej rzeczywiście tę okrutną łaskę, podał jej kubek z najsilniejszą trucizną i tak wyprawil nieszczęsną do piekła. Ale cóż to jej pomogło? Czy hańba jej nie będzie bez porównania jeszcze większą, gdy w owym dniu ostatecznym wszyscy czytać będą grzech, wypisany na jej czole? O zaprawdę! – Gdyby nie było innych kar za grzech, już sama ta obawa strasznego zawstydzenia w obliczu całego świata powinna by nas powstrzymywać od znieważania naszego Stwórcy! Nic wtedy nie pomogą nam żadne wymówki, – na próżno będziesz się starał uniewinnić przed Sędzią wszystkowiedzącym, na próżno będziesz mówił: „O Panie, ja nie wiedziałem, co robię; byłem nierozumny, nie pouczono mnie, że trzeba było postępować inaczej!” – „Kłamco!” – odpowie ci Sędzia – „Jakże wielu pouczało cię, upominało i dawało ci dobry przykład! Ile zbawiennych natchnień użyczałem ja sam twojemu sercu! Ile razy słyszałeś w szkole i w kościele, jak masz żyć, jak czuwać nad sobą, jak się modlić o łaskę Bożą i czego unikać!” – „Ach, Panie” powiesz „ja byłem słaby, – ja nie mogłem” ... „Nieszczęśniku! Spójrz tu na twoich krewnych, twoich przyjaciół i znajomych, – oni byli jeszcze słabsi, jeszcze wężsi od ciebie, – a patrz, jak są czyści, jak umieli wystrzegać się złego!” – Więc chyba jeszcze zaczniesz prosić o miłosierdzie? – Ale na to możesz usłyszeć jedną tylko odpowiedź: „Minął czas miłosierdzia! Przez całe życie swoje szczyliłeś z moich sakramentów i moich sług, znieważałeś moje kościoły, nie miałaś litości nad bliźnim twoim, nadużywałeś tyłu moich dobrodziejstw, zdrowia, bogactwa, życia i wszystkich innych i ze wszystkiego korzystałaś tylko na to, żeby mnie obrażać, a teraz prosisz o miłosierdzie? – Minął czas łaski, czas pokuty i miłosierdzia!”. O najmils! – ratujmy się, zaklinam was, ratujmy się wszyscy, póki jeszcze czas mamy, żeby żaden z nas nie usłyszał w dniu owym sądu takiej odpowiedzi!

5. A wreszcie nastąpi ogłoszenie wyroku, który niewysłowioną radością napelni serca wiernych sług Bożych i pokutników, a dusze potępionych rozpaczą! Z pogodnym obliczem i spojrzeniem miłosnym zwróci się Sędzia wszechmocny do wybranych, wzywając ich słowami: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego!”. Przyciśnie ich do swojej piersi i powie do nich: „Drogie moje dusze! Wyście mnie dużo kosztowały, ale teraz raduję się z wami, że was zdobyłem krwawym trudem swoim i tymi oto ranami! Wyście strzegli moich przykazań, cenili moją łaskę, wyrzekali się dla mnie owych rozkoszy i zabaw, bronili czci mojej w domu i w sądach i w stosunkach ze światem, a kiedyście zblądzieli, obmywaliście duszę z plam grzechowych łzami pokuty! W każdym z bliźnich swoich widzieliście swego brata i mnie samego, przyodziewaliście nagich, karmili łaknących, nawiedzali chorych, pocieszali strapionych; – coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili. Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, posiadźcie królestwo, przygotowane dla was od założenia świata!”. O zaiste! Niczym wówczas nie wydadzą się wszystkie cierpienia i trudy, które ponosili w służbie Chrystusowej i błogosławić będą to wszystko, co uczynili dla zbawienia swej duszy!

6. Ale któż powpiewie, jak okropna będzie boleść potępionych! Serce się wzdyga, gdy o tym pomyślimy i gdy pomyślimy, że i my możemy doznać tego losu! Jeżeli święci, jak Hieronim, Bernard,

Jan Złotousty, drżeli na wspomnienie Sądu Ostatecznego, – to czyż my, którzyśmy tyle razy Boga ciężko obrazili, możemy czuć się całkiem bezpiecznymi i pewnymi zbawienia? – Czyż my nie powinniśmy przypominać sobie codziennie, a zwłaszcza w chwilach pokusy, przepowiedni Chrystusowej, że w owym dniu grozy i gniewu Pańskiego odepchnie On od siebie nieprzyjaciół swoich i powie do nich: „Idźcie precz ode Mnie, przekleńci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom! Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie; byłem nagi, a nie przyodzialiście mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie”. Wówczas zapytają i ci: «Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?». Wtedy odpowie im: «Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili». I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego” (Mt 25, 41-46). Tak zapowiedział nam Ten, który mógł rzec o sobie: „Niebo i ziemia przemina, ale moje słowa nie przemina!” (Mt 24, 35). Daremnie będą szukali nieszczęśni jakiegoś ratunku, daremnie będą prosili swoich świętych patronów, swego Anioła Stróża, samą Matkę Najświętszą o wstawienie się za nimi; – jedną tylko usłyszą odpowiedź: „Za późno! Minał czas miłosierdzia, – przyszedł czas zasłużonej kary! Trzeba wam było udawać się do nas o pomoc, dopóki mogliście życie swoje odmienić, grzechy swoje odpokutować, krzywdy wyrządzone bliźnim wynagrodzić, zgorzenie dane naprawić! Teraz musimy was przekląć, jak was przeklęła sprawiedliwość Boska!”.

7. O drodzy bracia i siostry! Mieście litość nad sobą samymi i korzystajcie skwapliwie z tego czasu – może już bardzo krótkiego, – który wam jeszcze jest używany do poprawy życia! Proście ze skrucą serdeczną o miłosierdzie, módlcie się słowami św. Augustyna: „Tu pał, o mój Boże, tu siecz, bylebyś tylko nie kazał mi cierpieć przez całą wieczność!”. Posłuchajcie głosu swojego sumienia, które wam mówi, żeście zasłużyli na karę, na śmierć, ale nie traćcie otuchy i nadziei przebaczenia, chociażbyście więcej mieli grzechów niż włosów na głowie! Bo cóż mówi wam dziś jeszcze Bóg? – Czy was potępił i odrzucił na zawsze? Nie! On mówi przez Proroka (Ez 33, 11): „Ja nie pragnę śmierci występnego, ale jedynie tego, aby występny zawrócił ze swej drogi i żył”. Słyszysz, drogi bracie i siostró, jak bardzo niewiele żąda od ciebie Bóg? – Tyle tylko żąda, żebyś zeszedł z drogi, co wiedzie na zatracenie, żebyś przestał odwiedzać ów dom, gdzie grzeszyłeś i mógłbyś znowu zgrzeszyć, żebyś dziś jeszcze oddalił ową osobę, zwrócił obcą własność, pojednał się z owym nieprzyjacielem, pospieszył do trybunału pokuty i wyznał ze szczerą skrucą wszystkie swoje przewinienia. Nie lękaj się, że spowiednik będzie cię gromił, zawstydział, że ci odmówi rozgrzeszenia! On raczej będzie litował się nad tobą tym więcej, im cięższe są twoje zbrodnie, jeżeli tylko będzie widział, że chcesz naprawdę pojednać się z Bogiem i nowe życie rozpocząć. Nie zrażaj się żadnymi trudnościami, proś świętych Pańskich o wyjednanie ci łaski nawrócenia, poleć się Najświętszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej, która jest nadzieją naszą, żywotem naszym i pociechą naszą! A wtedy możecie oczekiwać bez trwogi sądu i możecie mieć nadzieję, że i wy staniecie wszyscy po prawicy Sędziego i usłyszycie owo radością niebiańską darzące wezwanie: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata!” (Mt 25, 34) – Amen.

Cytat za: „Gazeta Kościelna” 26 (1919), s. 160-161 (oprac. ks. Kazimierz Panuś).







Święty Jan Vianney  
(1786-1859)



# Kaznodzieja ewangelicznej prostoty

**W**gromie słynnych kaznodziejów Kościoła katolickiego warto umieścić św. Jana Marię Vianneya, patrona proboszczów. Unaocznia on, jak niejednokrotnie przekaz słowa Bożego wiąże się z trudem. Pokazuje, jak pozornie nieporadne i proste słowo, zdolne jest kruszyć gruby pancerz ludzkich serc, jeśli tylko poparte jest świadectwem świętego życia.

## Mozolna droga ku kapłaństwu

Jan Maria Vianney przyszedł na świat 8 maja 1786 roku w Dardilly. Wojenna pożoga oszczędziła tę odległą o 8 km od Lyonu wioskę, w której rodzice Jana uprawiali kilkuhektarowe gospodarstwo. Rewolucja godziła jednak w katolickie przekonania społeczeństwa. Miejscowa ludność chroniła kapłanów. Powstawały wysepki duchowego oporu. Gdy wiadano, że jakiś ksiądz ma odprawiać mszę świętą, uczestniczono w niej potajemnie. Vianneyowie udzielali także schronienia przeciwnikom ówczesnego porządku społecznego. W czasie krótkiego pobytu na farmie ksiądz Groboz, późniejszy sekretarz kardynała J. Fescha, zapytał Jana Marię o ostatnią spowiedź. Tymczasem chłopiec nigdy się jeszcze nie spowiadał, choć miał już wtedy jedenaście lat. Ksiądz Groboz wysłuchał natychmiast jego spowiedzi i udzielił mu pierwszego rozgrzeszenia. Odtąd zaczął chodzić na lekcje religii przygotowujące go do pierwszej komunii. Na małym chłopcu wywierały niesamowite wrażenie te zebrania w coraz to innym domu, odbywające się zawsze nocą i jedynie przy świeczce. Podczas takich właśnie nocy Jan Maria nauczył się odkrywać tajemnice wiary. Do komunii świętej przystąpił w 1799 roku. Miał wówczas trzynaście lat. Drzwi budynku, służącego za kaplicę, zastawione zostały dla niepoznaki wozami z sianem, co miało także służyć ewentualnej obronie.

Pobożność chłopca objawiła się bardzo wcześnie w upodobaniu, jakim darzył święte obrazki. Pierwszym prezentem, który dostał od matki, był drewniany posążek Matki Boskiej. Nie potrafił się z nim rozstać ani w dzień, ani w nocy. Kiedy rządy terroru niszczyły posągi i zrywały ze ścian krzyże, chował go w kieszonce fartuszka. Jako pastuszek zabierał go na łąki w Chante-Merle i ustawiając w zagłębieniu drzewa lub na trawie, wymyślał całą liturgię. Przywiązanie do Matki Bożej nie opuściło go nigdy.

Ważną rolę w dalszym życiu Jana Marii odegrał ks. Charles Balley, proboszcz sąsiedniej parafii w Ecully, gdzie mieszkali dziadkowie Jana ze strony matki. Osiemnastoletni chłopak w nim właśnie znalazł przewodnika swego życia. Obserwując go, rozmawiając z nim, korzystając z jego rad, Jan Maria po raz pierwszy zobaczył siebie w roli duchownego. Po spotkaniu z Janem Marią ks. Balley postanowił zrobić dla niego wszystko, co w jego mocy, aby

przygotować go do kapłaństwa. Okazało się to jednak niezwykle trudne. Młodzieniec prawie niczego nie umiał, ledwie sylabizował łacinę brewiarza, myślał wolno, niewiele zapamiętywał, nie robił żadnych postępów.

W 1809 roku Jan Maria został wcielony do armii Napoleona I Bonaparte, ale z powodu choroby przebywał przez kilka pierwszych miesięcy w szpitalu. Po jego opuszczeniu na początku 1810 roku, zamiast udać się do swego oddziału wyruszającego do Hiszpanii, dołączył do grupy dezertersów i przez 14 miesięcy ukrywał się w górskiej wiosce Noës, pod pseudonimem Jérôme Vincent. Z listy poborowych skreślono go dopiero po dobrowolnym zaciągu do armii jego najmłodszego brata Franciszka. O tym okresie Jan Maria mówił wszystkim bez najmniejszego zażenowania. Postępowania swojego nigdy nie uważał za tchórzostwo. Słuszny opór przeciw nadużyciom władzy był raczej dla niego czymś w rodzaju łaski Bożej. W czterdzieści pięć lat później, na wiadomość o mianowaniu go kawalerem Legii Honorowej przez Napoleona III, ksiądz Vianney odpowiedział z niedostrzegalnym prawie grymasem: „Zupełnie nie wiem, dlaczego mi to przyznano; może po prostu za to, że kiedyś byłem dezerters”.

W grudniu 1810 roku, po czternastu miesiącach nieobecności, Jan Maria wrócił do rodzinnego domu i udał się do swego starego nauczyciela. Ksiądz Balley uzyskał zgodę na dołączenie 25-letniego Jana Marii do grupy uczniów retoryki z niższego seminarium. 28 maja 1811 roku otrzymał tonsurę. W październiku 1812 roku ks. Balley wysłał go do niewielkiego seminarium w Verrières, koło Montbrison, aby zapoznać go z życiem wspólnotowym. Wszystko zostało dokładnie przemyślane i przygotowane. Niestety, nowo przybyły był człowiekiem dorosłym, a jego koledzy jeszcze uczniakami. Okazał się nawet starszy od samego profesora. Szybko wyszło na jaw, że nowy uczeń nie jest zbyt mocny. Już po pierwszym pytaniu, zadany po łacinie, zaniemówił, gdyż go po prostu nie zrozumiał. Cała klasa wybuchnęła śmiechem, dalszy ciąg lekcji tylko potwierdził jego ignorancję. Dołączono go do grupy siedmiu innych uczniów rozumiejących tylko po francusku. O wynikach w nauce informuje świadectwo, uzyskane na koniec roku: Praca: „dobrze”. Nauka: „bardzo słabo”. Zachowanie: „dobre”. Charakter: „dobry”. W lipcu 1813 roku ksiądz Balley zabrał swojego wychowanka i już od wakacji zaczął go wtajemniczać w tajniki teologii.

Ostatecznie sprawę udzielenia święceń kapłańskich Janowi Marii przesądził wikariusz generalny, tymczasowy administrator diecezji, ksiądz Courbon. Zastosował on szczególne kryterium: „Czy młody Vianney jest pobożny? Czy potrafi dobrze odmawiać różaniec? Czy oddany jest Matce Boskiej? Łaska dokona reszty”. Po uzyskaniu od ks. Balleya pozytywnych odpowiedzi na każde z tych pytań 2 lipca 1814 roku Jan Maria otrzymał święcenia subdiakonatu, a 23 czerwca 1815 roku diakonatu. 13 sierpnia 1815 roku zastępujący kardynała Fescha biskup udzielił mu święceń kapłańskich w katedrze w Grenoble. Cała uroczystość odbyła się specjalnie dla niego. 14 sierpnia ksiądz Vianney odprawił swą pierwszą mszę w kaplicy seminarium w Grenoble. W nawach bocznych

celebrowali kapelani z Austrii. Po święcie Wniebowzięcia udał się z powrotem do Ecully. W drodze powrotnej stale napotykał nieprzyjacielskie wojsko.

Arcybiskupstwo w Lyonie mianowało neoprezbitera wikariuszem w Ecully. Był to zarazem i zaszczyt, i niełaska. Władze diecezji nie wierzyły, iż będzie on w stanie wypełniać codzienną służbę Bożą. Paradoksem pozostanie, że ten, do którego później ciągnąć będą tysiące, aby się wypowiedzieć, nie miał początkowo prawa spowiedania. Zostało mu ono przyznane dopiero po pewnym czasie. Zastrzeżenie to widniało zresztą w piśmie potwierdzającym święcenia Jana Marii. Wyczulony bardziej na świętość nowego duchownego niż na jego brak kompetencji, ksiądz Courbon doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zostawić go jako pomocnika u jego pierwszego nauczyciela, proboszcza z Ecully.

Ksiądz Vianney przystąpił jednak do kapłańskiej służby z ogromnym zapałem. „Wówczas nie potrafił jeszcze pięknie głosić kazań – zwierzała się z wrodzoną szczerością jego siostra Małgorzata – a jednak, gdy przychodziła jego kolej, wszyscy biegli do kościoła”.

### Proboszcz z Ars

Po śmierci ks. Balleya arcybiskupstwo w Lyonie mianowało ks. Vianneya do posługi w Ars. Przybył tam 9 lutego 1818 roku. Według niektórych świadków, zaraz po dotarciu do wioski, do której drogę pokazał mu wśród mgły młody pasterz Antoni Givre, ks. Vianney wykrzyknął na widok osady i jej malutkiej kapliczki: „Przecież nie pomieszczą się tu wszyscy, którzy przyjdą”. Słuchając go, wydawać by się mogło, że zwraca się do niezliczonych tłumów. Tymczasem według prawa Ars nie było wtedy nawet probostwem, posiadało zaledwie kaplicę obsługiwaną przez wikariusza przydzielonego z oddalonej o trzy kilometry parafii w Mizérieux, a wioska liczyła zaledwie dwustu trzydziestu mieszkańców. Skąd więc oczekiwał owych tłumów? Z jakich wzgórz miały one zejść? Jakie doliny przekroczyć? Czy widział już wtedy proroczo rzesze pielgrzymów spieszących do Ars?

Arystokratce, pani des Garets, mieszkającej w Ars, wystarczyło zaledwie kilka dni, aby odkryć niezwykle format duchowy nowego proboszcza: „Nigdy nie spotkałam tak bogobojnego księdza. Nie opuszcza kościoła. Przy ołtarzu wygląda jak serafin, na ambonie nie jest tak świętym mówcą jak jego poprzednik, ksiądz Berge, ale za to przepelnia go Duch Boży”. Powoli zauważyli to również inni parafianie. Proboszcz zebrał kilka dziewcząt i 23 lutego 1820 roku założył bractwo różańcowe. Pragnął zjednoczyć parafię wokół Eucharystii. Tak wyglądała jego mało metodyczna metoda. Żadnej recepty, jedynie otaczająca wszystkich czujność kapłańskiego serca, pozwalająca mu odgadywać ich bogactwo, wierzyć w każdego podobnie jak Chrystus, bardziej niż w siebie. Zostawszy w roku 1821 proboszczem ks. Jan Vianney odrestaurował kościół, a zaniedbaną parafię odrodził duchowo przez gorliwą pracę duszpasterską, intensywną wielogodzinna modlitwę przed Najświętszym Sakramentem i surową pokutę osobistą.

W tych właśnie latach wielka diecezja lyońska podzielona została na dwie części. Region Dombes przyłączono do Belley. Powołano również nowego biskupa pochodzącego z Drôme, księdza Devie.

Przybyłemu z niezwykle żarliwej parafii, jaką było Ecully, ogromny ból sprawiał widok mężczyzn i kobiet, którzy w niedzielę już od świtu szli w pole w roboczych ubraniach, trzymając pod pachą kosy lub widły, a zapominając zupełnie o kościele. Podczas mszy słychać było przejeżdżające wozy i uderzenia kowalskiego młota. Po pracy ludzie przywdziewali odświętne ubrania i kończyli dzień w jednym z czterech szynków, którymi szczyła się wioska, bądź też szli na tańce na położony za kościołem plac pod orzechami. Pijaństwo, śmiechy i gry ciągnęły się aż do późnej nocy.

Księdzu Vianneyowi potrzeba było aż ośmiu lat, aby położyć kres niedzielnej pracy. Zlikwidowanie libacji i zabaw przy dźwięku skrzypiec, organizowanych zwłaszcza z okazji imienin, zajęło mu jeszcze więcej czasu. Dopiero w 1832 roku zniesiono całkowicie zabawy na terytorium parafii, młodzież chodziła jednak nadal do sąsiednich gmin. W 1847 roku udało mu się całkowicie wytepić zło dzięki roztropności i łagodności. Walcząc z zabawami i tańcami płacił podwójną stawkę wiejskiemu grajkowi, aby bal się nie odbył, albo opłacał właściciela szynku, aby zamknął lokal. Jeden z ojców protestował: „Więc moja córka nie może już nawet popatrzeć na bal, sama nie tańcząc? – Nawet jeżeli ona sama nie tańczy, jej serce pójdzie w tany” – odpowiedział proboszcz. W 1823 roku, czyli w pięć lat po objęciu probostwa w Ars, tamtejsza ludność okazała się już na tyle roztropna, że 24 czerwca na inauguracji nowej kaplicy pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela mógł bez obawy wyśmiania umieścić na frontonie następujący napis: „Głowa jego była ceną jednego tańca”. Największym wrogiem okazał się dla właścicieli szynków. To z ich strony spotkały go największa nienawiść, oszczerstwa i szantaże, których stał się obiektem.

W momencie przybycia ks. Vianneya do Ars większość mężczyzn nie przestrzegała corocznej komunii świętej: niektórzy już od dziesięciu, piętnastu, a nawet dwudziestu lat nie spełniali tego podstawowego obowiązku. W dniu śmierci Jana Marii, czyli po czterdziestu latach nieustającej pracy duszpasterskiej, na ponad pięciuset mieszkańców jedynie siedmiu lub ośmiu nie praktykowało. Na Wszystkich Świętych około dwudziestu mężczyzn i młodzieńców przystępowało do komunii świętej, natomiast na Boże Narodzenie przyjmowali ją prawie wszyscy. Większość kobiet chodziła do komunii raz w miesiącu, niektóre przy okazji większych świąt, a dość liczna grupa prawie codziennie. Postęp był widoczny, choć jeszcze w 1850 roku proboszcz z Ars zmuszony był prosić kościelnego, aby podczas mszy obchodził kościół, siłą zmuszając do wejścia wszystkich opornych.

Trudności, z jakimi spotykał się proboszcz z Ars, tkwiły także w nim samym. Pierwszą – podkreślaną przez świadków – stanowił jego żywy temperament. Proboszcz z Ars był wybuchowy jak dynamit. Drugą zaś będzie zapał, z jakim pragnął zwyciężyć w Chrystusie. Zarówno jedna, jak i druga sprzyjają



niekontrolowanemu postępowaniu. Jan Maria Vianney, który sam tak ciężko borykał się z nauką, wymagał od dzieci recytowania lekcji na pamięć, bezlitośnie kazał repetować klasę, gdy tylko uznał dziecko za niezdolne lub źle przygotowane, w konfesjonale często odmawiał rozgrzeszenia, co jednocześnie opóźniało o rok pierwszą komunię, bądź ta uroczystość musiała się odbyć w innej miejscowości. Mimo krytyk i potwarzy ksiądz Vianney nie ustępował, roztaczając nad swą parafią cierpliwe i ciche, aczkolwiek surowe rządy. Dramat parafii zaczynał się z chwilą, gdy tylko proboszcz z Ars stawał na pospolitej, pomalowanej na brązowo ambonie.

### Kazania proboszcza z Ars

Do 1830 roku, nie ufając jeszcze własnym siłom, ks. Jan Maria opierał się na tekstach kazań znanych kaznodziejów. Podkreślenia i różne znaki na kartkach wskazują na jego bardzo osobisty kontakt z książkami w czasie przygotowywania kazań. Oddawał się przy tym z taką pasją zbieraniu cytatów i wygłaszaniu ich, iż w pojęciu wielu uchodził za nienormalnego. Ulubionym miejscem przygotowywania się był mu kącik w zakrystii. Spędzał tu nieraz całą noc na przygotowywaniu kazania niedzielnego. Materiał książkowy dostosowywał w treści i stylu do swych słuchaczy, przeplatał go opowiadaniem z życia świętych. Zabieg ten trwał nieraz całą noc z soboty na niedzielę. Na ambonę wstępował wyczerpany przygotowaniem kazania. Podczas bohaterских nocnych czuwań, oparty o komodę zakrystii wertował wybranych autorów, podkreślał ustępy do skopiowania, przepisywał od trzydziestu do czterdziestu stron. Potem już tylko uczył się tego wszystkiego na pamięć. Parafianie wracający późno do domu słyszeli, jak niezrozumiale coś recytował. Pytano go: „Księżę proboszczu, dlaczego mówi ksiądz tak cicho w czasie modlitwy, a tak głośno w czasie kazania? – Dlatego, że podczas kazania zwracam się do ludzi głuchych lub uśpionych, natomiast modląc się rozmawiam z Bogiem, który nie jest głuchy”. Mimo iż jego wypowiedzi były bardzo ożywione i pełne spontanicznych gestów, zdarzało mu się gubić tok myśli, nudząc niemal wszystkich zebranych. Sam żalił się często: „Istnieją ludzie, którzy, gdy tylko zobaczą księdza wstępującego na ambonę, szybko opuszczają kościół; inni słuchają uważnie słów duszpasterza, starając się je zapamiętać; posuwają się nawet do małpowania gestów kaznodziei”.

Ks. Vianney recytował z pamięci teksty redagowane długimi wieczorami pośpiesznym niestarannym pismem. Posiadamy dzisiaj oryginał osiemdziesięciu pięciu kazań wygłoszonych w latach 1820-1829. Ich treść zaczerpnięta została z dzieł z przełomu XVIII i XIX wieku. Pomijając niezliczoną wprost ilość błędów ortograficznych, ksiądz Vianney pozostaje niemal całkowicie wierny oryginałowi; tekst jego stanowi mozaikę wyrwanych z różnych źródeł zdań. Krytykowany przez wielu proboszcz z Ars odczuwał potrzebę powoływania

się na autorów ogólnie znanych. Jego metoda pracy była może zalecana mu kiedyś, albo narzucana przez księdza Balleya, aby ukryć jego teologiczne braki. Ileż godzin zabierała mu za każdym razem ta mozolna praca? Trzeba pamiętać, że na dany temat konsultował on co najmniej siedmiu autorów. Prace pani J. Genêt, której udało się dotrzeć do źródeł, z jakich korzystał święty, rzucają zupełnie nowe światło zarówno na sposób jego postępowania, jak i metody. Teksty, jakimi się posługiwał, określają nam jego osobowość, a zarazem ducha owej tragicznej epoki.

Proboszcz z Ars kładł szczególny nacisk na znaczenie słowa Bożego podczas mszy świętej. Podobne jest ono do ognistego słupa prowadzącego naród żydowski na pustyni. Pokazywał mu drogę, zatrzymując się, gdy trzeba było, aby lud się zatrzymał, ruszając do marszu, gdy należało kontynuować podróż. Żydom pozostawało więc tylko wiernie go śledzić, aby nie zabłądzić w drodze. Nie słuchając słowa Bożego czy przychodząc na mszę po kazaniu, większość chrześcijan na darmo posiada gorące serce, płonące w czasie obcowania z ciałem i krwią Chrystusa, albowiem spalają się oni momentalnie: mają w sobie coś z tych niezliczonych ogników gorejących przez krótką chwilę na pustyni.

Wzorem swych poprzedników proboszcz z Ars mówił w kazaniach o codziennej ofierze każdego człowieka. Wyjaśniał swym parafianom, jak rygłować drzewa, jak stawiać garnek na ogniu lub budzić domowników, jak zachować ciszę podczas pracy i w podróży, jak uświęcać bezsenność, w jaki sposób stać lub klęczeć, czyli po prostu, jak kierować zwyczajnym ludzkim dniem.

Z kazań, które nam pozostały, można by wybrać niezliczoną ilość cytatów o ewangelicznej formie: „Błogosławieni jesteście, gdy... Nieszczęśliwi, jeżeli...”. „Radość naszego serca” w miłości Boga. „Powiedzcie mi – pytał proboszcz z Ars swych parafian – czy nigdy nie mieliście na to widocznych dowodów?”. Pragnął, aby słowa jego przyjęto jako dobrą nowinę: „Bracia moi, jest tak, jak wam mówię”. Dla kontrastu długo rozwodził się nad życiem grzesznika „ciężkim, smutnym, mozolnym”. Miał do czynienia z wieśniakami, których bardzo pociągał świat doczesny. Stawiał przed nimi za wzór pierwszych chrześcijan: „Bracia moi, jak dobrze było wówczas żyć na ziemi!”. Albo: „Wyobraźcie sobie dom, w którym wszyscy żyją wyłącznie dla Boga. Czyż nie jest to mały raj?”. Największym szczęściem jest kochać dobrego Boga. „Kto potrafi zrozumieć szczęście chrześcijanina, którego dusza przyjmuje Jezusa Chrystusa, stając się przez to małym niebem: on sam jest zaś tak bogaty jak całe niebo. O cudzie cudów! Szczęśliwy dom, gdzie mieszkają tacy chrześcijanie”. Skromny proboszcz z Ars wyprzedził o dziesięć lat beatyfikującego go świętego papieża Piusa X, gdy stwierdzał: „Jak bardzo Jezus Chrystus lubi przychodzić do naszych serc... Gdy już tam jest, nie chciałby z nich wychodzić, nie jest bowiem w stanie opuścić nas ani podczas naszego życia, ani po naszej śmierci”.

Od roku 1830, wobec rosnącej rzeszy pielgrzymów i spowiedzi, nie mógł już poświęcać tyle czasu na przygotowanie kazania. Jednakże piętnastoletni

trud sprawił, iż poznał Pismo Święte, naukę ojców Kościoła i hagiografię do tego stopnia, że mógł już łatwo dostosowywać materiał do swych słuchaczy. Nabrał też wprawy w mówieniu. Dlatego pewnego dnia, po odprawieniu nownenny do Ducha Świętego, zaczął kazać bez przygotowania bezpośrednio i odtąd aż do śmierci nie pisał i nie uczył się kazań na pamięć. Nauczanie jego przyjęło wskutek tego nowy charakter. Wolny od trudności memoryzowania, mówił naturalnie, z głębokim uczuciem i ciepłem. Nie przeszkadzały mu już podziały i podpodziały czyniące z jego kazań rozprawy teologiczne. Znikła dawna ciężkość tych rozważań. Jego głos kaznodziejski zaczął rozlegać się coraz szerzej i ściągać coraz liczniejszych słuchaczy. Tak więc dzięki swej wytrwałości Jan stał się w końcu dobrym kaznodzieją, do tego stopnia, że proszono go nawet z misjami do sąsiednich parafii.

### Kaznodziejski wizerunek parafian z Ars

O ile kazania ks. Vianneya w warstwie doktrynalnej stanowią często kompilację zdań uznanych autorytetów, a przez to są mało oryginalne, o tyle bardziej autentyczny jest wizerunek parafian z Ars, powstały z osobistych obserwacji i troski duszpasterza o ich życie duchowe. Zresztą sami mieszkańcy Ars, pytani, co było najwartościowsze w kazaniach ich proboszcza, odpowiadali, że jego chwytające porównania. Z kazań drukowanych widać, że używał on porównań z wydarzeń i spraw znanych swym słuchaczom z życia codziennego.

Proboszcz z Ars uwrażliwiał swych słuchaczy na uświęcenie każdej czynności dnia. Popatrzcie, jak pomimo tylu rad ludzie przygotowują się do niedzielnej mszy i jak na nią idą. Zaraz po przebudzeniu, mężczyzna myśli o targu i sprzedaży, dziewczęta o tym, w co się ubiorą, chłopcy o frywolnych przygodach i całej reszcie, matki zaś zajęte są myślą o sprzątanii i o dzieciach. Ani jednej myśli dotyczącej ich przyszłego szczęścia, ani jednej refleksji na temat potrzeb ich biednej duszy, duszy ich dzieci i domowników. Do kościoła przychodzą najpóźniej, jak jest to tylko możliwe. Niektórzy zostają tuż przy wejściu, aby zaraz zniknąć. Gdy wchodzą, zanurzają ręce w święconej wodzie w ten sam sposób, w jaki po pracy myją je w misce. „Boże mój – wzdycha proboszcz – czy to są właśnie ci chrześcijanie, za których tyle cierpiełeś, aby uczynić ich szczęśliwymi?”. „Nie wspomnę już nawet o tych, którzy biegną naprędce wysłuchać mszy do parafii, gdzie mają jakieś interesy do załatwienia, ani o tych, co to wychodzą w połowie w poszukiwaniu jakiegoś kompana do picia”.

Kazanie jest dla duszpasterza okazją do obserwacji jakże malowniczego, aczkolwiek zasmucającego widoku zebranych. „Patrzcie na nich, jak kręcą głowami to w jedną, to w drugą stronę, pytając sąsiadów o godzinę; niektórzy wręcz ziewają i przeciągają się, przewracają kartki książeczek do nabożeństwa jakby w poszukiwaniu jakiegoś drukarskiego błędu; jeszcze inni śpią sobie smacznie jak w najlepszym łóżku. Są wreszcie i tacy, którym słowo Boże, nawracające

tylu grzeszników, źle działa na zdrowie: muszą więc wyjść, jak sami twierdzą, by odetchnąć świeżym powietrzem”. W tym miejscu następuje jedno z najważniejszych stwierdzeń, które w swej bolesnej wymowie łączy dawnych kaznodziejów z Janem Vianneyem: „Spójrzcie tylko, jacy smutni są podczas nabożeństwa. Klękają z wielką niechęcią, zaledwie dotykając ziemi kolanami. Ma się wrażenie, iż pochylenie głowy w czasie ofiarowania i błogosławieństwa stanowi wysiłek ponad ich siły. Gdy tylko jednak msza dobiega końca, nie bacząc na księdza, który jeszcze nie zszedł z ołtarza, wszyscy pchają się w kierunku drzwi jak opuszczający więzienie. Wówczas to dopiero odżywa radość, którą stracili w czasie mszy”. A spróbujcie tylko pomówić z nimi o kazaniu: „Już wystarczająco dużo się nakrzyczał... – odpowiedzą wam. – Wystarczająco nas wynudził... Najbardziej zniechęca we mszy fakt, iż jest ona zbyt długa”. Krótko mówiąc – podsumowują nasi duszpasterze – „większość obecnych uczestniczy we mszy na podobieństwo faryzeuszy, złych łotrów lub Judaszy”.

Jeżeli zdarzy nam się zająć niespodziewanie na farmę, stwierdzimy, iż pomimo kategorycznego nakazu przestrzeganie niedzielnego odpoczynku jest fikcją: parafianie pozwalają sobie już nie tylko na „kilka ruchów igłą” czy „posprzątanie czegoś w gospodarstwie”, ale nawet „wysyłają pasterzy na łąki w godzinach mszy, tłumacząc się, iż musieli przecież nakarmić zwierzęta... Gospodarz przygotowuje już na następny dzień narzędzia i wozy, robi obchód swych posiadłości, tu załata jakąś dziurę, tam przytnie kilka sznurów lub sprawdzi skopki”.

Jeszcze gorzej wygląda święcenie dnia powszedniego. „Nie mamy czasu na modlitwy – mówią – wstajemy i kładziemy się jak zwierzęta”. Paraliżuje ich najmniejsza obecność: gdy w momencie błogosławieństwa znajdują się w towarzystwie dwóch lub trzech osób, „ręce odmawiają im posłuszeństwa” lub „nie potrafią już wykonać znaku krzyża”. „Gdy nadchodzi czas odmówienia modlitwy na Anioł Pański, co zazwyczaj robią po prostu z przyzwyczajenia, żal chwyta serce, gdy mamy możliwość ich obserwować: kobiety modlą się, nie przerywając pracy, wydając polecenia dzieciom i służbie, mężczyźni zaś obracają w rękach kapelusze i czapki, jakby chcieli sprawdzić, czy nie ma w nich dziur. Interesują się Bogiem nie więcej, niż gdyby rzeczywiście przekonani byli o Jego nieistnieniu”.

Czy po tym wszystkim można przepowiadać szczęście rodzinom? Ileż słubów zawartych jest w grzechu. Narzeczeni bowiem spotykali się dniem, a nawet nocą pod nieobecność rodziców. „Młoda dziewczyna, która pragnie jakiegось chłopca, nie przejawia więcej powściągliwości niż nieczyste zwierzę”. Gdy trzeba ich wypowiedać przed wielkim dniem i udzielić komunii, przychodzą tak przygotowani, że dla każdego kapłana nieszczęściem jest udzielenie im tych sakramentów. Ich wesele – to najczęściej jedna wielka profanacja. Nie przeszkadza im to jednak bawić się w gronie znajomych zaproszonych na to smutne święto: „Ci, którzy posiadają dużo pieniędzy, zapraszają więcej osób, a ci, którzy niewiele – mniej, zawsze jednak tyle, ile mogą. Wśród nich znajdują się pewnie tacy, co zgubią swą duszę, narobią sobie długów, spędzając trzy czwar-

te nocy, nie licząc dnia, w szynkach na różnego rodzaju wybrykach – część włóczyć się będzie po drogach, często ciągnąc ze sobą żony”. Dość tego – stwierdza proboszcz – „nie zagłębiajmy się bardziej w szczegóły popełnianych w małżeństwie okropności, gdyż wzbudzają one śmiertelne przerażenie. Zaciągnijmy na wszystko zasłonę, która uniesie się dopiero w wielkim dniu zemsty, kiedy to ujrzemy owe bezeceństwa już bez obawy zbrukania naszej wyobraźni”.

„Ileż nieszczęsnych kobiet musi spędzić życie z mężami, którzy z lada powodu wpadają w gniew, mając im wszystko za złe, wymyślając im, a często nawet je maltretując. Iluż mężów posiada żony o złych charakterach, które ich nienawidzą, zaniedbują ognisko domowe, kłócąc się od rana do wieczora”.

Trudno nazywać podobne domostwa domami Bożymi. Prawie wszędzie panują barbarzyńskie wprost obyczaje. Niektóre matki „bez najmniejszego żalu, a nawet wręcz z przyjemnością widziałyby śmierć swych jeszcze nie narodzonych dzieci, nie troszcząc się o zapewnienie im łaski chrztu świętego. Gorzej postąpić nie mogliby nawet poganie... Czy potrzebny wam aż przykład ptaków i dzikich zwierząt? Wniknijmy może w szczegóły, które zainteresują większą liczbę osób”. Tu następują wymówki i ponowne napiętowanie rozpasania seksualnego. Proboszcz parafii, zmartwiony zachowaniem uczęszczających na lekcje religii chłopców, postanawia powiadomić o wszystkim rodziców, co bez najmniejszego wahania czyni podczas mszy. Nawet domy nie są wystarczająco strzeżone. „Dla waszych córek i panien służebnych nie powinniście przeznaczać na spoczynek pomieszczeń, gdzie parobcy przychodzą rano po rzepe i ziemniaki. Ojcowie i matki, gospodarze i gospodynie, musicie wreszcie zrozumieć, że waszym córkom i służebnym wstyd będzie wstawać i ubierać się przy ludziach, którzy nie mają za grosz wiary, jakby nigdy nie słyszeli o Panu Bogu. Jakże często łóżka tych biednych dziatek nie mają nawet zasłon. Odpowiedź mi zapewne, że wszystko to wymaga zbyt wielkiej pracy. Powinniście ją jednak wykonać, przyjaciele, gdyż w przeciwnym razie zostaniecie za to osądzeni i ukarani”.

Dzieci rosną i po przekroczeniu wieku młodzieńczego wkraczają w świat dorosłych. Pierwszymi dorosłymi twarzami, które spotykają, są twarze ich rodziców. Proboszcz z Ars świetnie zaobserwował gest, z jakim niektóre matki zrywają z czoła przed swymi dorosłymi córkami leciutki welon, który krył ich kobiecość. „Matka opowiada swej córce, że pewna dziewczyna wyszła za mąż za takiego to a takiego chłopca, że znalazła dobrą partię i że córce również należy się podobne szczęście”. Tu włącza się ojciec: „Jeżeli będziesz posłuszna, albo dobrze wykonasz swą pracę, pozwolę ci pójść na jarmark w Montmerle lub na kiermasz”. „Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że nawet dzieci, które nie lubią chodzić na zabawy, namawiane są do tego przez proszących je wręcz rodziców: Jeżeli zawsze tylko będziesz siedzieć w domu, nigdy się w życiu nie ustawisz”. Zazwyczaj odnosi to skutek. Wieś dotknięta podobną gorączką, o chatach ciemnych nawet w południe, „rozpoczyna swe piekło już na tym świecie”, jej nieszczęśliwi mieszkańcy są bowiem zatwardziałymi grzeszni-



kami podobnymi do mułów. Słysząc, jak obrażają Boga przekleństwami nawet ci, którzy z trudem potrafią odmówić *Ojcze nasz*.

Mieszkańców tej małej wioski owładnął czar złych słów: bluźnierczych, kłamliwych i nienawistnych. Niektórzy nie potrafią sprzedać najdrobniejszej rzeczy bez wzywania Boga na świadka, „tak jakby ich przekleństwa podnosiły wartość towaru”. Większość kradnie bez najmniejszego skrupułu, z przyzwyczajenia i niemalże codziennie. Nawet robotnicy i biedacy wyrządzają sobie nawzajem krzywdę. Ludzie przystępujący do spowiedzi również nie rezygnują z tego zwyczaju. Pomiedzy grzesznikami i winnymi nie istnieją słowa przeprosin. Wszędzie króluje głucha zemsta. Ukoronowaniem tej fali nieczystości jest oczywiście gospoda, gdzie każdy po swojemu odgrywa łajdaka: „Boże mój, jak straszne jest pijaństwo!”. Tak też wśród sprośnych piosenek, okrutnych opowieści, niewłaściwych żartów i nieprzyzwoitych gestów kończy się „przy szatańskim stole” dzień tych biednych ludzi, którzy przecież urodzili się, by się modlić.

Zgodnie z dziewiętnastowieczną tendencją także proboszcz z Ars odwoływał się w kazaniach do pedagogiki strachu. Niezwykłe obrazowo zilustrował ewangeliczną scenę Sądu Ostatecznego, w której Król Chwały, oznajmia bezbożnym: „Idźcie precz ode Mnie, przekleńci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom”. Czasownik „straszyć” jest tam odmieniany we wszystkich czasach i trybach. Zdarza się nawet, że zapowiadając swe przyszłe kazanie, stwierdzał: „Postaram się opisać to wam z większą grozą”. Uzasadnienie dla siania strachu znajduje w braku bojaźni Bożej u swych parafian: „Gdybyście sami boleli nad faktem obrażania Pana Boga, duszpasterz nie musiałby bezustannie ukazywać wam wszystkich okropności kary, jaką Bóg zgotuje grzesznikom”.

## Chrześcijańskie wychowanie dzieci

Proboszcz z Ars nosił głęboko w sercu wielki plan chrześcijańskiej edukacji dzieci. Chcąc go zrealizować, starał się najpierw jak najlepiej przygotować przyszłe wychowawczynie: młodziutką, bo liczącą zaledwie siedemnaście lat, Katarzynę Lassagne i jej przyjaciółkę, Benedyktę Lardet. W końcu 1822 roku wysłał je do sióstr do Fareins, w celu uzupełnienia wiadomości i zdobycia praktyki. Troszczył się przy tym o nie jak o późniejsze współpracownice.

W marcu 1824 roku proboszcz z Ars kupił za wszystko, co posiadał, nowy dom w pobliżu kościoła. Już w listopadzie umieścił tam Katarzynę Lassagne i Benedyktę Lardet, jako nauczycielki nowej szkoły dla dziewcząt. Nazwał ją *Providence (Opatrzność)*. Istniejąca dotąd w wiosce szkoła była koedukacyjna, co zupełnie nie odpowiadało proboszczowi, a poza tym lekcje odbywały się tam tylko w zimie, gdy do Ars przybywał wędrowny nauczyciel. Uzyskawszy zgodę burmistrza, ks. Vianney starał się ulepszyć system nauczania. W swoich zamierzeniach nie ograniczył się jednak tylko do tego. Marzeniem jego była szkoła bezpłatna. Jego współpracownice i dzieci będą jadły jak sam proboszcz, czy-



li co Bóg da. Uczniowie przybywali nawet z sąsiednich parafii i już od pierwszego roku w szkole trzeba było zakwaterować szesnaścioro dzieci.

## Więzień konfesjonahu

Proboszcz z Ars zasłynął jako niezwykle spowiednik. Przybywano do niego z odległych stron Francji i innych krajów, aby się wyspowiadać. Od 1830 roku ks. Vianney spowiadał rocznie około 30 tysięcy osób, po 16-17 godzin na dobę. Spowiedź zajmowała szczególne miejsce w duszpasterskiej działalności Jana Marii Vianneya. Zazwyczaj spowiadał szybko. „W ciągu pięciu minut dusza moja pogrążyła się w jego duszy” – opowiadał pewien ksiądz. „Kochaj, kochaj Boga” – zalecał innemu. „Wyrażał się w sposób niezwykle zwięzły – potwierdza ks. Denis z Neuville-sur-Saône. – Wystarczyło słowo napomnienia”. Prostota jego sądu stała się przysłowiowa. Bez najmniejszego odpoczynku odpowiadał on setkom osób od razu, stanowczo, bez zastanowienia czy wahania, a jednocześnie bez najmniejszego pośpiechu. Jego odpowiedzi były nadzwyczaj sensowne, mądre, pożyteczne i łatwe w realizacji. W tych spontanicznych wypowiedziach proboszcz z Ars zawierał cytaty ze swych pierwszych jakże mozolnie przygotowywanych kazań. Czerpał z nich niczym ze spiżarni. Wyrwały mu się czasem głębokie westchnienia poruszające serca obecnych. „Płacę, ponieważ ty nie płaczesz” – oświadczył kiedyś pewnemu człowiekowi, którego zdziwiły łzy w oczach proboszcza. Wkrótce ustalili się jego wizjonerska sława: potrafi on czytać w sumieniach i widzieć poprzez ściany. Nawet w stosunku do swych najbliższych ksiądz Vianney przejawiał niezwykle wprost dar jasnowidzenia.

Już od północy oblegały go tłumy. Około pierwszej nad ranem ksiądz Vianney dzwonił na Anioł Pański. Był to znak dla pokutników, że mogą przybywać. Kościół, choć słabo oświetlony, stał dla nich otworem. Wkrótce jedynie kobiety dopuszczane były do tej dziwnej spowiedzi, nad którą czuwały aniołowie i gwiazdy. Proboszcz spowiadał je w kaplicy św. Jana Chrzciciela. Kobiety lubiły te nocne spowiedzi. Ks. Vianney nie był jeszcze zmęczony, ani też rozrywany przez tłum. Przyjmował je ze wzruszającą dobrocią, poświęcając im tyle czasu, ile tylko pragnęły, po czym odprawiał je, mówiąc: „A teraz idź odpocząć, córko, jesteś przecież bardzo śpiąca”.

W wyjątkowo przepelnione dni ks. Vianney rozpoczynał spowiedź jeszcze wcześniej, przed północą. Na niepokoje związane z brakiem spoczynku odpowiadał tylko, że wyśpi się następnego dnia, a gdy zarzucano mu, iż nie dotrzymywał słowa, śmiejąc się pokazywał palcem swe ciało, które nazywał „trupem”, mówiąc: „Jestem silniejszy od niego”.

Latem o szóstej, zimą zaś o siódmej godzinie wychodził ze swego „drewnianego więzienia”, aby odprawić mszę. Trwała ona trzydzieści minut. Ubrany w komżę i stułę był tak całkowicie pochłonięty celebrowaniem, że można było do niego podejść, przyjrzeć mu się ze zdziwieniem, czy nawet zrobić jakąś uwa-

gę na jego temat, a on i tak niczego by nie zauważył. Po mszy udawał się do zakrystii, gdzie podpisywał swymi inicjałami święte obrazki, błogosławił medaliki i różańce. Następnie biegł do sierocińca, aby wypić nieco mleka. Wyjątek stanowiły dni postu. Po tej krótkiej nieobecności wracał do zakrystii spowiadać mężczyzn. Około dziesiątej przeproszał kolejnego spowiadającego się, prosił, aby chwilę zaczekał, a sam klęcząc na posadzce, odmawiał brewiarz przez około dwadzieścia minut, po czym kontynuował spowiedź do jedenastej.

Powracał do *Opatrzności*, gdzie czekały już na niego zajęcia z religii dla dzieci i młodych dziewcząt. Tyle jednak ludzi biegło za nim, starając się go zatrzymać i pragnąc z nim porozmawiać, że z trudem udawało mu się przebyć ten niewielki odcinek drogi. Pielgrzymi tłoczyli się przed sierocińcem. Około południa, po pospiesznym przełknięciu, na stojąco, obiadu w *Opatrzności* i szybkim przejrzeniu korespondencji, wracał do siebie. W miarę możliwości starał się odpowiadać napotkanym ludziom, rozdając czasami medaliki, szybko jednak wymykał się tłumowi, ryglując za sobą bramę plebanii. Czasami między godziną dwunastą a pierwszą udało mu się posprzątać pokój, przystrzyc brodę, przespać się bądź odwiedzić chorych. Spieszył z pomocą nie tylko własnym parafianom, często wzywali go również kalecy pielgrzymi, którym nigdy nie odmawiał. Wracał do kościoła. Około piątej po południu kończył spowiadać kobiety, wstępował na plebanie dosłownie na pięć minut, po czym zamykał się w zakrystii, gdzie słuchał spowiedzi mężczyzn do siódmej lub ósmej wieczorem. Wchodził na ambonę, aby odmówić różaniec w intencji Niepokalanego Poczęcia i modlitwę wieczorną. Następnie wracał na plebanie, gdzie zazwyczaj przyjmował jeszcze kilka osób. Po czym zamykał się w swym pokoju. Co robił nocą? Po tak niezwykle przeciążonym dniu większą część czasu spędzał jeszcze na modlitwie.

Odmawiał matutinum i laudes na następny dzień lub czytał żywoty świętych. Oddawał się również cielesnym umartwieniom. Nie spał więcej niż trzy godziny. Jeden z wieśniaków stwierdza: „Zawsze widziało się go na nogach”, a inny: „W oknach jego zawsze paliło się światło”. Ksiądz Vianney lubił zostawiać zapaloną świeczkę: „Gdy nie śpię, oglądam obrazki – mówił o wiszących na ścianach podobiznach świętych. Przebywam w ich otoczeniu. Gdy budzę się nocą, mam wrażenie, że przyglądają mi się, mówiąc: Och! ty śpisz, leniuchu, podczas gdy my czuwamy i modlimy się do Boga”.

Począwszy od 1845 roku każdego dnia przybywało do Ars około trzystu lub czterystu podróżnych. Na największym dworcu Lyonu otwarte zostało specjalne biuro sprzedające bilety do Ars. Ważne były one osiem dni. Powszechnie bowiem wiedziano, że tyle czasu trzeba na dostanie się do księdza Vianneya. Z powodu braku czasu nie przygotowywał on już pisemnie swych kazań. Jego wystąpienia były niezwykle proste. Od 1845 roku wszelką działalność duszpasterską w parafii przejął ksiądz Raymond, z wyjątkiem odwiedzin u chorych i codziennej nauki o jedenastej. Tę ostatnią przeniesiono do kościoła, gdyż *Opatrzność* nie była w stanie pomieścić tak licznie przybywających mieszkańców Ars. Ksiądz Vian-

ney kazał zainstalować niewielką ambonę, z której w sposób niezwykle prosty przemawiał do wiernych. Czasami zebrani są tak liczni, że stoją w przedsiönku. Częstym tematem owych nauk były rzeczywista obecność Jezusa w Eucharystii i komunია święta. W kazaniach nie brak też przepowiedni, które sprawdziły się w różnych szerokościach geograficznych. Cud stał się dla ks. Vianneya taką codziennością, iż nie dostrzegał już swej zdolności widzenia.

Tłumy, a wśród nich i kapłani, przyjeżdżały, aby zobaczyć i usłyszeć ks. Jana Vianneya. 3 maja 1845 roku przybył do Ars także słynny kaznodzieja tych czasów o. Henryk Lacordaire. Towarzyszył mu jeden z pielgrzymów, pan Brac de la Perrière, którego już dwa lata wcześniej prosił o zaprowadzenie „do Świętego, którego wszyscy znają”. Po krótkim odpoczynku w zamku państwa des Garets, gdzie zaproszono go w chwili, gdy zamierzał właśnie zamieszkać u jednego z wieśniaków, odnowiciel zakonu dominikanów we Francji wstał o trzeciej nad ranem, by udać się na mszę do kościoła, gdzie już od dwóch godzin spowiadał proboszcz z Ars. Księża nie mieli okazji spotkać się wcześniej. Gdy o piątęj rano ojciec Lacordaire otworzył drzwi zakrystii, by przygotować się do odprawienia mszy, w tym samym czasie wszedł do niej proboszcz. To właśnie ksiądz Vianney zajął się przygotowaniem wszystkiego, otwierając i zamykając szuflady i szafy z niezwyklej werwą i zapalem. Słowny kaznodzieja miał okazję trzy razy wysłuchać nauk księzda Vianneya: podczas kazania na sumie, którego tematem był Duch Święty, podczas niedzielnej nauki dotyczącej pokuty, a także wieczorem, przed wspólną modlitwą, na temat Matki Boskiej. Po ich wysłuchaniu miał rzec: „Chciałbym tak mówić kazania, jak ten wiejski proboszcz”.

Rosnąca sława nie robiła na nim większego wrażenia, raczej wzbudzała niepokój. Od wizyt znamienitych osobistości wolał on nędzarza proszącego o jałmużnę. A przecież w starych księgach hotelowych z Ars widnieją najświetniejsze nazwiska z Francji, Belgii i Anglii, znakomitości z Londynu, Dublinu, Edynburga, Kolonii i Monachium, przybysze z nad brzegów Missisipi, Ohio i La Platy.

## Święty proboszcz

Wyczerpany pracą, postami i wewnętrznym niepokojem o niedoskonałość pełnionych zadań proboszcza ks. Jan Maria próbował bezskutecznie w 1843 roku, a następnie w 1855 roku opuścić Ars. Przeszkodził temu jego parafianie. Pozostał z nimi do śmierci, która nastąpiła 4 sierpnia 1859 roku. Grób proboszcza z Ars w kościele parafialnym stał się od razu celem licznych pielgrzymek.

Tajemnica sukcesu kazań ks. Jana Marii tkwiła w jego świętości. Na ambonę nie wnosił on rzeczy nowych i nie sięgał po żadne chwytory oratorskie. Żył w ścisłym zjednoczeniu z Bogiem, a jego kazania były tego wyrazem.

św. Jan Maria Vianney

## *O niegodnej Komunii Świętej*

„Dusza, która grzeszy, ta umrze” (Ez 17, 4).

Jeżeli każdy grzech pozbawia duszę życia, oddziela ją na zawsze od Boga i wtrąca w straszne nieszczęścia, to co dopiero mówić o skutkach świętokradztwa? Czy można sobie właściwie wyobrazić żaloszny stan człowieka, który dopuścił się grzechu świętokradztwa? To jest to straszne spustoszenie w miejscu świętym, o którym mówił prorok Daniel – spustoszenie, o którym wspomina też Zbawiciel świata! Jakież to straszny ból dla miłosiernego Boga, kiedy ludzie bezbożni znieważają Jego Przenajdroższe Ciało i Przenajświętszą Krew! Już św. Paweł groził świętokradcom strasznymi sądami Bożymi. Jaki to wielki ból dla Serca Jezusowego – Serca, które umiłowaliśmy nas aż do śmierci krzyżowej – kiedy widzi Ono, że wyrządzają Mu tak ciężkie zniewagi! I jak ciężka, jak surowa kara czeka chrześcijan, którzy dopuszczają się takiej zbrodni! Gdyby dzisiaj, w tym kościele, Bóg zrzucił zasłonę z serc wszystkich, którzy tu są, to okazałoby się, że na wielu z tych serc wyryty jest wyrok potępienia zaciągnięty z powodu niegodnych Komunii. Bo wiele osób przystępuje do Stołu Pańskiego po złej spowiedzi, jako że albo zataili swoje grzechy, albo nie mieli najmniejszego żalu i postanowienia poprawy. Inni znowu przystępują do Komunii Świętej w gniewie i z przywiązaniem do grzechów i w ten sposób znieważają Ciało i Krew Chrystusa. Sprawdzajcie sami siebie, czy przypadkiem nie popełniliście kiedyś świętokradztwa! Gdybym był w stanie wyciągnąć z płomieni piekła zdrajcę Judasza i pokazać wam, jak on tam okropnie jęczy i cierpi przez to, że niegodnie przyjął Ciało i Krew Pańską, to może choć trochę byście się przestraszyli! A co będzie z grzesznikami, którzy całe niemal życie dopuszczają się takich świętokradztw! Naprawdę, bracia moi – świętokradztwo jest najcięższą zbrodnią, bo jest napaścią na samego Boga; sprowadza też na człowieka ogromne nieszczęścia!

I.

Gdybym mówił do bałwochwalców albo do heretyków, to bym wam najpierw dowodził rzeczywistej obecności Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie. Ale o tej prawdzie nikt z was tutaj nie wątpi. Dla wzmocnienia waszej wiary przypomnę wam jednak pewien przykład. Jeden z kapłanów odprawiał kiedyś mszę świętą, powątpiewając przy tym jednak, czy Pan Jezus jest rzeczywiście obecny w Hostii Świętej. Otóż, po Podniesieniu i Konsekracji – Hostia okryła się krwią. Przez ten cud Pan Jezus chciał wzmocnić wiarę chrześcijan i usunąć powątpiewania Swojego sługi. Hostia wylała wówczas z siebie tyle krwi, że pokryły się nią: korporał, obrusy i ołtarz. Doniesiono o tym papieżowi, który nakazał przechowywać ten korporał w kościele i każdego roku uroczyste obnosić go w procesji Bożego Ciała.

Nie potrafię we właściwy sposób przedstawić wam tego, jak wielkim grzechem jest świętokradzka Komunia Święta. Zbawiciel świata tylko raz poniósł śmierć na ziemi, a tymczasem ludzie przewrotni wciąż odnawiają tę Jego mękę przez niegodne przyjmowanie Go do swoich serc. Święci ojcowie porównują niegodną Komunię do zdrady Judasza i do zniewag, jakich Pan doświadczył od żydowskich oprawców i od niegodziwych żołnierzy rzymskich. Kiedy zbliża się do stołu Pańskiego świętokradca, wydaje się jakby Zbawiciel mówił do niego, jak kiedyś do Judasza: „Po co tu idziesz, przyjacielu? Znakiem pokoju, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego. Zatrzymaj się, synu, zlituj się

nade Mną”. Ale te błagania nie pomagają, tak jak nie skutkują też wyrzuty sumienia. Przeniewiercy pomimo wszystko mają czelność dopuszczać się tego strasznego czynu! Już idą – chcą odebrać życie swojemu Bogu i Zbawicielowi. Czy może być większa zbrodnia, czy może być większe spustoszenie w miejscu świętym? Nawet piekło nie mogłoby okazać Bogu większej pogardy.

Jeden z cesarzy pogańskich umieścił na Kalwarii, a także na grobie Chrystusa, posągi bożka i w ten sposób znieważył te święte miejsca. Ale zły chrześcijanin postępuje gorzej. On każe Chrystusowi mieszkać wśród namiętności, a to są dla Niego prawdziwi kaci. Trudno o tym myśleć i nie drzeć z oburzenia, trudno się nie smucić. Mniejszym bólem jest dla Zbawiciela zło wyrządzone przez Żydów czy pogan, niż niegodne traktowanie rzeczy najświętszych przez zuchwałych chrześcijan. Kiedyś Pan Jezus skarżył się na Żydów i mówił do nich: „Czemu mnie prześladujecie? Czy dlatego, że przywracałem wzrok ślepych, uzdrawiałem chorych; że wskrzeszałem umarłych i że leczyłem różnych chorych?” – Taką pełną bólu skargę zanosi Pan teraz przez usta Proroka przeciwko nam (zob. Ps 54, 13-14). Gdyby ta zniewaga spotkała Go ze strony wrogów, mniej by była dla Niego bolesna. Ale niestety ci, których On pokochał najbardziej, zaciekle Go prześladują! Nienawidzą Go ci, których On umieścił w Swym Kościele i którym dał bogactwa tylu cennych darów! O, czarna niewdzięczności! Kto będzie w stanie cię pojąć i zrozumieć! Mało wam jeszcze, że Zbawiciel cierpiał dla was krwawe biczowanie, że Jego ciało poszarpano w kawałki, że dźwigał dla was ciężki krzyż? „Wy nie chcecie – zdaje się On mówić – nie chcecie uznać Mojej miłości. Wy Mnie od nowa prześladujecie i chętnie, gdyby to było możliwe, jeszcze raz odebralibyście Mi życie!”

I kto po tylu bolesnych wyrzutach miałby jeszcze odwagę iść do Stołu Pańskiego, mając serce zbrukane grzechami? Kto chciałby jeść i pić swój wyrok potępienia? Komu przyszyłoby do głowy, że świętokradcy, pomimo to, będą Chrystusowi przygotowywać nową Kalwarię!

W sercu pełnym grzechu Zbawiciel nie działa – jest On tam bez ruchu, ponosi tam duchową śmierć, która jest dla Niego w pewnym sensie bardziej bolesna niż śmierć na Krzyżu. Żydzi prześladowali Go okrutnie tylko w czasie Jego ziemskiej pielgrzymki – ci, którzy niegodnie przystępują do Komunii Świętej prześladują Go i znieważają nawet w Przybytku Chwały. Śmierć Chrystusa na Golgocie była wprawdzie straszna i bolesna, ale z jej powodu okryła się przynajmniej smutkiem cała natura, nawet nierozumne stworzenia współczuły Mu i dzieliły z Nim Jego ból. Tymczasem w świętokradzkiej Komunii znieważony Zbawiciel nie znajduje nikąd współczucia. Podły łajdak krzyżuje Zbawcę świata, a wokół zalega głuche milczenie i nie widać żadnego współczucia. Słońce się nie zaćmiewa, ziemia nie drży w posadach, nie przewraca się ołtarz. Czy w takiej sytuacji nie jest dużo bardziej prawdziwe to wołanie Chrystusa z Kalwarii: „Ojczy, dlaczego Mnie opuściłeś, dlaczego oddałeś Mnie na pastwę Moich zaciekłych wrogów? Dlaczego muszę umierać dzień w dzień?”.

Jak może chrześcijanin podchodzić do Stołu Pańskiego z grzechem ciężkim?! Piekło nie wymyśli nigdy nic gorszego niż świętokradztwa – bo one są najbardziej bolesnym ciosem dla Serca Boga.

I którzy ludzie popełniają ten straszny grzech?

Najpierw ci, którzy w konfesjonale spowiadają się obojętnie, bez najmniejszego żalu, jakby opowiadali jakąś historię. Potem ci, którzy po spowiedzi wcale się nie poprawiają i ciągle wracają do tych samych grzechów albo ci, którzy grzechy, ze strachu czy ze wstydu, ukrywają. I pytam: dlaczego idziecie do Stołu Pańskiego w takim stanie? Chcemy – odpowiadają – przestrzegać przykazania kościelnego o Spowiedzi i Komunii wielkanocnej. – Ale, kochani! W jakim miejscu – gdzie?! – znajdzie się Jezus, skoro wasze oczy są powalane brudnymi, cudzołożnymi spojrzeniami, wa-



sze ręce – haniebnymi dotknięciami, wasze usta i język – bezwstydnymi pocałunkami, skoro wasze serce jest czarne i potworne, podobne do zwęglonego drewna, które przez kilka tygodni leżało w ognisku? Chcesz iść do Komunii, przyjacielu? Idź, biedaku! Zachowaj się jak Judasz, który sprzedał Boskiego Mistrza i popadł w rozpacz! Idź, łajdaku, sprzedaj Chrystusa szatanowi, poukrywaj swoje grzechy na spowiedzi! Pobuduj krzyż w swoim sercu; masz tu w rękach swoją ofiarę, dokończ tej zbrodni, słum wyrzuty sumienia, podejdź do Stołu Pańskiego, otwórz te splamione usta, żeby przyjęły Chleb Aniołów... Ale pamiętaj: ciężka kara Boża cię dotknie. Mówi św. Cyprian, że kiedy podawał Komunię Świętą pewnej kobiecie, która miała serce zabrudzone grzechami, Bóg spuścił piorun z nieba, który na miejscu tę osobę zabił. Mówi św. Paweł, że Żydzi nie ukrzyżowaliby Zbawiciela, gdyby Go znali (por. 1 Kor 2, 8). A ty, przyjacielu, wiesz Kogo przyjmujesz, bo kapłan przed podawaniem Komunii Świętej mówi do ciebie: „Oto Baranek Boży, oto, który gładzi grzechy świata”. On – Święty i Czysty! Jeżeli więc poczuwasz się do grzechu, nie podchodź, bo Bóg mógłby cię strzaskać piorunami Swojego gniewu, a twoją duszę wtrącić do piekła!

## II.

Nie będę tu mówił o doczesnych nieszczęściach, które pociągają za sobą świętokradzkie Komunie. Żydzi za zabicie Boga, za targnięcie się na Jezusa Chrystusa, odpokutowali straszliwie. Ulice Jeruzolimy były pełne trupów i spływały krwią, a w czasie oblężenia miasta przez Rzymian panował taki głód, że matki zabijały swoje dzieci i w ten sposób ratowały się od śmierci głodowej.

Św. Jan Damasceński powiada, że w drugim życiu Chrystus wyleje pełną czarę Swego gniewu w sposób szczególnie na świętokradców. O pewnym świętokradcy opowiadają, że w godzinie śmierci podszedł do niego czart i powiedział: „Jako że za życia niegodnie komunikowałeś, dzisiaj przyjmiesz Komunię z moich rąk”. Konający, słysząc te słowa wystraszył się i zawołał w rozpacz: „Pomsta Boga na mnie spada!”. I tak nędznie zakończył życie. Gdyby człowiek zdawał sobie sprawę, jak wielkim złem jest świętokradztwo, wołałby tysiąc razy umrzeć, niż się go dopuścić, choćby tylko raz. Świętokradztwo jest najstraszniejszą niewdzięcznością względem Boga – zatrzuwa ono serce i umartwia w grzeszniku duszę, sprawiając, że staje się ona mieszkaniem i niewolnicą szatana. To straszne przestępstwo jest podobne do ostrego miecza, którym grzesznik zabija siebie samego, oddając się przy tym na łup piekła. Zła Komunia nie przynosi człowiekowi ani pożytku, ani pociechy, ani zaszczytu – wręcz przeciwnie, wyrządza mu największą szkodę, obarcza go strasznymi wyrzutami sumienia i przygotowuje mu nieszczęśliwą wieczność. Pewną kobietę, na przykład, po niegodnej Komunii opętał zły duch i ogarnął ją szal tak wściekły, że odgryzła sobie język i tak umarła w rozpacz.

Nic dziwnego, że święty Paweł przestrzega Koryntian przed świętokradzką Komunią i grozi sądami Bożymi tym, którzy znieważają Ciało i Krew Pańską (por. 1 Kor 11, 27). Z powodu świętokradztw Pan Bóg karze często ludzi wojną, głodem, chorobą i nagłą śmiercią. Św. Gotfryd, biskup Amiens, zabronił kiedyś udzielać na spowiedzi wielkanocnej rozgrzeszenia tym, którzy łamali wielki post. Pewien zakłamanym człowiekiem oszukał spowiednika i przyjął Chrystusa Pana niegodnie. I nagle powaliła tego grzesznika na ziemię niewidzialna moc, tak że zaczął wyrzucać z siebie pianę jak szaleniec i w takim stanie wyzionął ducha. Za świętokradzką Komunią postępując więc zwykle zatwardziałość serca i nieszczęśliwa śmierć.

Niektórzy powiedzą, że lepiej wcale nie iść do Stołu Pańskiego, niż narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwo. Bracia drodzy! Ja nie chcę was odwozić od przyjmowania Komunii Świętej. Chciałem wam tylko otworzyć oczy i dać chociaż słabe pojęcie o tym, jak strasznym grzechem jest święto-



kradztwo – żebyście się go wystrzegali i zawsze przyjmowali Pana Jezusa sercem czystym i niewinnym. Jeśli ktoś z was, tu obecnych, poczuwałby się do tej zbrodni, niech otworzy oczy póki jeszcze czas i niech się pojedna z Bogiem, niech naprawi zło! Oby od dzisiaj nasze Spowiedzi i Komunie były takie, jakimi pragnęlibyśmy je mieć w godzinie śmierci, kiedy stawać będziemy przed trybunałem Jezusa Chrystusa! I obyśmy wtedy mogli otrzymać z Jego rąk nagrodę niebieską! Amen.

Cytat za: św. Jan Maria Vianney, *Kazania wybrane*, Warszawa 1999, s. 144-150.





Henryk Lacordaire OP  
(1802-1861)



# Wielki konferencjonista

Turysta zwiedzający Luwr w galerii poświęconej francuskiemu malarstwu spotyka, obok osławionego płótna E. Delacroix *Wolność wiodąca lud na barykady*, portret Henryka Lacordaire'a (1802-1861), autorstwa Teodora Chasériau. Jest coś ujmującego w tej pięknej postaci mężczyzny ubranego w dominikański habit. Owalna twarz o regularnych rysach, czarne oczy, zachowujące jakiś niezwykle blask. Wszystko to zjednuje sympatię i przyciąga uwagę widza do jednego z najwybitniejszych kaznodziejów XIX stulecia, mistrza słowa, którego dzieło – *Konferencje Notre-Dame (Conférences de Notre-Dame)* – żyje do dziś.

## Dzieciństwo i młodość

Henryk Lacordaire przyszedł na świat 12 maja 1802 roku w burgundzkiej wiosce Recey-sur-Ource, niedaleko Châtillon-sur-Seine, w departamencie Côte-D'Or. Jego ojciec Mikołaj, miejscowy lekarz, słabo zachował się w pamięci syna. Zmarł bowiem już w 1806 roku, kiedy Henryk, drugi z czwórki rodzeństwa, miał zaledwie cztery lata. Ojciec Lacordaire'a był człowiekiem wykształconym, żywym, pełnym dowcipu, wrażliwym na potrzeby biednych. W swoim środowisku uchodził za liberała, co jednak nie przeszkadzało mu w najciemniejszych dniach Wielkiej Rewolucji Francuskiej przygarnąć i ukrywać miejscowego proboszcza ks. Magné, któremu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

O wiele głębiej niż ojciec w pamięci Henryka zapisała się matka Anna-Maria, z domu Dugied, córka adwokata z Dijon, osoba głęboko wierząca i prawa. Wychowana na lekturach Corneille'a, Racine'a i Bourdaloue potrafiła wpoić swoim dzieciom potrzebę obowiązku i wartość honoru. Po śmierci męża wróciła do swej rodziny w Dijon, dając swym synom – mimo szczupłych zasobów materialnych – solidne wykształcenie.

Kiedy Henryk miał dziesięć lat matka posłała go do szkoły średniej w Dijon. Panująca tam atmosfera naznaczona piętnem Woltera, Rousseau i Wielkiej Rewolucji była niechętna chrześcijaństwu. Sprawilo to, że Henryk szybko wyzbył się nie tylko swej prostoduszności, ale również gorliwości w wierze. Pierwsza Komunia Święta była jego ostatnim przeżyciem religijnym z czasu pobytu w tej szkole. Stopniowo całkowicie odszedł od Boga. Ze szkoły średniej wyniósł także wspomnienie wielkiej życzliwości profesora Delahaye. On jako pierwszy nauczył go smakować w lekturach La Fontaine'a, Racine'a i Woltera, co zaowocowało rozbudzeniem w wychowanku wielkiego talentu oratorskiego.

## Stowarzyszenie samokształceniowe w Dijon

W 1819 roku Henryk Lacordaire rozpoczął studia prawnicze w Dijon. Mimo rzetelnie ukończonej aplikacji, nie lubił tego przedmiotu, uważając go za mało otwarty na wielkie idee. Zaczął się bardziej interesować działalnością studenckiego stowarzyszenia samokształceniowego (*Société d'études*) w Dijon. Posiadało ono cztery sekcje: filozoficzną, historyczną, prawa i literatury. Każda z nich miała swój program. Henryk zapisał się do czterech sekcji, a jego sprawozdania, a zwłaszcza improwizacje oratorskie spotkały się z dużym uznaniem.

Uważał się wówczas za niewierzącego, ucznia Woltera i Rousseau, bonapartyście. Zebrania, przechadzki i przyjacielskie dyskusje wzbogacały Henryka, otwierały nowe perspektywy. Pasjonowały go wszystkie istotne problemy z dziedziny filozofii, polityki, literatury i religii. Dzięki dziełom René Chateaubrianda zaczął doceniać społeczną rolę religii. Był to pierwszy krok w kierunku nawrócenia.

## Nawrócenie

Dokonało się ono w czasie dwuletniego stażu adwokackiego w Paryżu (1822-1824). Burgundczyk, pan Guillemain, radca prawny i adwokat sądu kasacyjnego, nie tylko przyjął do siebie Henryka, ale też przedstawił go cenionemu filozofowi i teologowi ks. Filipowi Gerbet, z którym stowarzyszenie samokształceniowe z Dijon prowadziło korespondencję. W czasie stażu adwokackiego dostrzeżono wyjątkowe zdolności i elokwencję Lacordaire'a. Wszyscy przepowiadali mu wspaniałą przyszłość. Pewnego dnia po wysłuchaniu jego efektywnej mowy obrończej, prezes trybunału zwrócił się do pozostałych sędziów ze słowami: „Panowie, to nie Patru, to Bossuet”, na co Lacordaire odpowiedział: „Naprawdę nie obchodzi mnie sława, nie rozumiem, dlaczego ludzie zadają sobie tyle trudu, by zdobyć coś tak niedorzecznego”. Tak więc sukcesy w zawodzie adwokackim nie przynosiły zadowolenia Henrykowi. Sukcesy w zawodzie adwokackim nie przynosiły zadowolenia Henrykowi. W ruchliwym i gwarnym Paryżu czuł się coraz bardziej obco. Skłaniało go to do refleksji nad swoim życiem i poszukiwaniem Boga. Nie pochłaniały go już tak jak w Dijon książki, może z wyjątkiem jednej – Ewangelii według św. Mateusza. Zaczęto go widywać w kościołach. Wreszcie w końcu 1823 roku wrócił do wiary katolickiej, w jakiej został wychowany przez matkę.

## Seminarium duchowne w Paryżu

Radość z nawrócenia wzbudziła w Henryku pragnienie całkowitego poświęcenia się Bogu. Miał 22 lata i chciał dzielić się z innymi tą wiarą, którą sam odnalazł. Zaledwie 6 miesięcy po nawróceniu, w dzień swych urodzin 12 maja 1824 roku, wstąpił do seminarium duchownego w Issy-les-Moulineaux pod Paryżem, filii Saint-Sulpice.



Pobyt w seminarium Lacordaire uważał za wpłynięcie do pełnego pokoju portu. Umiłował panującą tam atmosferę ciszy i pogody. Jednakże jego niespokojna natura dawała znać o sobie. Śmiało dyskutował z profesorami o problemach swych czasów, do tego stopnia, że tracili oni grunt pod nogami nie znajdując przekonujących argumentów. Poziom nauczania w seminarium paryskim był wtedy bowiem bardzo niski. W kształceniu duchowieństwa dominowało nastawienie kazuistyczne i moralizatorskie; więcej było apologetyki niż prawdziwej teologii. Poza tym ze względu na potrzeby duszpasterstwa parafialnego skracano maksymalnie okres kształcenia seminarzystów. Studia trwały najczęściej trzy lata. Ten stan rzeczy usprawiedliwiano niekiedy stwierdzeniem, iż w seminarium ostatecznie chodzi o wychowanie dobrych kapłanów, a nie uczonych.

Postawa Lacordaire'a, jego idee liberalne, a nawet oczarowująca wszystkich elokwencja, budziły nieufność przełożonych. Wskutek tego odsuwano go od wyższych święceń. Zastanawiano się, czy Henryk w ogóle odpowiada ideałowi kleryka, czy ma wystarczającego ducha pobożności. W końcu 22 września 1827 roku arcybiskup paryski Hyacinthe Louis de Quélen († 1839) w swej prywatnej kaplicy spełnił gorące pragnienie Lacordaire'a – wyświęcił go na kapłana.

### Kapelan u wizytek i w Gimnazjum Henryka IV

Pierwszą posadą nowego księdza była kapelania paryskich wizytek, nieopodal Ogrodu Botanicznego. Siostry prowadziły tam szkołę, w której miał także katechizować trzydzieści dziewcząt w wieku od 12 do 18 lat. Spędzone tu w ciszy dwa i pół roku pozwoliły mu na lekturę Platona, Arystotelesa, Kartezjusza, Lamennais'go. Studiował historię Kościoła, św. Augustyna, no i oczywiście Biblię. Już tu zapadła decyzja zbierania materiału służącego obronie katolicyzmu. Po upływie roku do jego skromnej posady dołączono podobną. Został drugim kapelanem Gimnazjum Henryka IV. Funkcja wydawała się stworzona w sam raz dla niego, dawnego ucznia podobnego liceum, uzdolnionego, o dużej kulturze intelektualnej. Niemniej klimat panujący w tej szkole zgubnie oddziaływał na młodzież; prawie wszyscy tracili wiarę na skutek upadku obyczajów lub destrukcyjnego racjonalizmu. Nie mógł tu wiele zdziałać. Jednak poznanie młodzieży i jej problemów zaowocowało wkrótce w jego działalności kaznodziejskiej.

### Współpraca z Lamennais. Redaktor „L'Avenir”

Od czasu rewolucji lipcowej 1830 roku Lacordaire zbliżył się do F. R. Lamennais'go, jednej z najbardziej paradoksalnych i tragicznych postaci w dziejach dziewiętnastowiecznego katolicyzmu, szczerego i gorącego przyjaciela Polski. Była to osobowość bardzo pokrewna Henrykowi. Świetny publicysta, uczoney zadziwiający swą erudycją historyczną i teologiczną, działacz polityczny i społeczny, przeszedł w swym życiu niezwykłą ewolucję. W młodości niewierzący, potem fana-

tyczny katolik i zwolennik najbardziej konserwatywnego w katolicyzmie kierunku, stopniowo doszedł do przekonania o potrzebie uniezależnienia się Kościoła od ówczesnej opieki feudalnego państwa i zerwania nienaturalnego przymierza ołtarza i tronu. Stał się katolikiem liberalnym głoszącym hasła wolności i równości, obrońcą ludzi biednych i wyzyskiwanych, i to w imię chrześcijaństwa.

Wokół Lamennais'go zgromadziła się grupa młodych i wybitnych współpracowników, takich jak Lacordaire, wspomniany już F. Gerbet, de Montalembert, de Coux i inni. W październiku 1830 roku wydali oni pierwszy numer dziennika „L'Avenir”, który przyjął jako dewizę słowa: *Bóg i wolność* (*Dieu et Liberté*). Program ich zawarty został w manifestie opublikowanym w ostatnim numerze „L'Avenir” z 21 listopada 1831 roku i skierowanym do „przyjaciół wolności” w całym świecie. Entuzjazm i prowokująca gwałtowność, z jaką „L'Avenir” broniło swych ideałów, przysporzyła mu nie tylko zagorzałych zwolenników wśród części młodego kleru francuskiego, ale także spotkała się ze sprzeciwem hierarchii kościelnej, która wytknęła szereg błędów i oddała sprawę do Rzymu. Aby wydostać się z kłopotów, Lamennais zdecydował się na krok równie spektakularny, co niezręczny: w towarzystwie Lacordaire'a i Montalemberta udał się do Wiecznego Miasta. Trudno powiedzieć, czy naprawdę ci „Pielgrzymi Wolności” spodziewali się, że papież przyzna im rację wbrew francuskim biskupom i wbrew opinii konserwatywnych rządów europejskich? Poza tym nie był to właściwy moment, by w chwili gdy Państwo Kościelne narażone było na ataki rewolucyjnego liberalizmu, wysławiać przed papieżem dobrodziejstwa wolności? Lamennais został chłodno przyjęty i na początku lipca 1832 roku musiał opuścić Rzym, niczego nie osiągnąwszy. Oczekiwane oświadczenie papieża zostało zawarte w encyklice *Mirari vos*, z 12 sierpnia 1832 roku. Chociaż Lamennais nie był tu wymieniony z nazwiska, dokument potępiał – wśród wielu innych błędów – niektóre tezy głoszone przez „L'Avenir”, jak wolność prasy czy rozdział Kościoła od państwa.

Kościół tych czasów, zaprzątnięty walką z ideologią racjonalistyczną XVIII wieku, widzący w problemach społecznych jedynie aspekt polityczny, nie dostrzegał kluczowych dla przyszłości zagadnień, związanych z powstaniem nowej cywilizacji przemysłowej. Problemy społeczne wydawały się wtedy jeszcze całkowicie obce kapłańskiej misji. Zwracano uwagę jedynie na nędzę klasy robotniczej, a zwłaszcza na jej dechrystianizację.

Po ogłoszeniu encykliki Lamennais, zapiekły w swej dumie, wystąpił z Kościoła. Człowiek, który był bliski purpury kardynalskiej, przez kilka lat jeden z wodzów katolicyzmu, nie tylko francuskiego, przez pewien czas najgłośniejszy apologeta Kościoła, *nowy Bossuet* – jak go zwano – uchodzący za ozdobę Kościoła, umierał w 1854 roku bez księdza i poza Kościołem, a na jego grobie nie postawiono nawet krzyża.

Po tych burzliwych wydarzeniach Lacordaire podporządkował się Kościołowi, zerwał z Lamennais wydając w *Considérations sur le système philosophi-*

*que de Lamennais* krytyczną ocenę jego filozofii i wrócił do wizytek. Doświadczenie pracy w dzienniku „L’Avenir” miało także dobroczynne skutki. Ujawniło Henrykowi nie tylko potrzebę żywego zainteresowania i wyczucia żądań opinii publicznej, ale również potrzebę rozumnej wierności Kościołowi.

## Wielkie przyjaźnie. Wielcy przyjaciele

W życiu Lacordaire’a doniosłą rolę odgrywały liczne przyjaźnie. Ich wartość odkrył już w stowarzyszeniu samokształceniowym w Dijon i był im wierny przez całe życie. Henryk miał zresztą wielki dar pozyskiwania przyjaciół.

Najwspanialsza przyjaźń łączyła go z parem Francji Karolem de Montalembertem (1810-1870). Ta duchowa łączność narodziła się już w czasie prymicji, w których uczestniczył Karol, pogłębiła w okresie pracy w redakcji dziennika „L’Avenir” i przetrwała próbę czasu. Obaj podzielali tę samą miłość do Kościoła, walczyli o urzeczywistnienie jego ideałów. W niespokojnym czasie rewolucji dzielili te same radości, troski, niepokoje. I chociaż niekiedy zajmowali odmienne stanowiska, np. w czasie wydarzeń rewolucyjnych w lutym 1848 roku, kiedy to Montalembert wyrzucał Lacordaire’owi zbyt szybką akceptację faktów dokonanych, to jednak nigdy nie zdołały one zachwiać żywionymi do siebie uczuciami szacunku i przyjaźni. Pieczęcią utrwalającą te więzi było wzruszające pożegnanie na łożu śmierci Lacordaire’a. Karol de Montalembert przybył do Sorèze w końcu września 1861 roku, by po raz ostatni zobaczyć się ze swym najbliższym powiernikiem. To on nakłonił przyjaciela do napisania lub raczej poddyktowania swoich wspomnień. Ten piękny tekst, zresztą nie ukończony, opublikowano dopiero w 1870 roku, pod tytułem *Testament Ojca Lacordaire*. Tytuł istotnie odpowiadał zapisowi, będącemu owocem ostatniego wysiłku intelektualnego wielkiego kaznodziei, choć nie został mu nadany przez autora.

Przyjaźń ta okazała się mocniejsza niż śmierć. Montalembert napisał bowiem w rok po śmierci przyjaciela *Vie du Père Lacordaire* (*Życie o. Lacordaire’a*), wzruszające świadectwo ocalające od zapomnienia jedną z najwspanialszych osobowości religijnych XIX stulecia.

Całkiem inną była przyjaźń łącząca Lacordaire’a z Madame Swetchine. Ta dystygowana, świetnie wykształcona dama, z pochodzenia Rosjanka, podała mu przyjazną dłoń w trudnym dla niego okresie życia, po potępieniu przez Rzym Lamennais i dziennika „L’Avenir”. W swoim salonie przy ulicy św. Dominika gromadziła ona śmietankę paryskiej socjety tej epoki. Przełom XVIII i XIX wieku był we Francji okresem wrzenia myśli i kształtowania się nowego obrazu świata, ale swobodna wymiana idei dokonywała się jedynie w bezpośrednich kontaktach, w kręgu zaufanych osób. Stąd brała się tak ważna dla ówczesnej kultury rola salonu jako instytucji kształtującej opinię i propagującej nowy sposób myślenia o sprawach politycznych, społecznych czy artystycznych. Salony tamtych czasów tworzyły nieprzeciętne kobiety, skupiające wo-

kół siebie artystów, naukowców i filozofów. Tak było też w przypadku Madame Swetchine. Bywali u niej słynny historyk i polityk Alexis de Tocqueville, książę Fryderyk Albert de Falloux, jezuita Gustaw de Ravignan, zoolog i paleontolog baron Georges Cuvier i inne osobistości. Miała posłuch w najwyższych sferach rządzących, w tym także u arcybiskupa Paryża. Lacordaire został jej przedstawiony przez swego przyjaciela Montalemberta w styczniu 1833 roku i od razu spotkał się z serdecznym przyjęciem. Często zasięgał jej rady. Dyskutował o wszystkim, co zamierzał przedsięwziąć. Pani Swetchine była dla niego jakby drugą matką. Otworzyła mu dostęp do wyższych sfer. Była przy jego pierwszych konferencjach. Broniła go przed oskarżycielami. Do dzisiaj *Correspondance avec Mme Swetchine* (*Korespondencja z Panią Swetchine*), opublikowana przez księcia de Falloux, stanowi rodzaj autobiografii i interesujące źródło poznania duszy Lacordaire'a. Przyjaźń, która się nawiązała w trudnych latach trzydziestych, trwała nieprzerwanie aż do jej śmierci w 1857 roku. O przyjaźni Lacordaire także wiele pisał i nad nią medytował. W tym szlachetnym wzniesieniu duszy do drugiej osoby widział działanie łaski.

### Narodziny i sukces konferencji H. Lacordaire'a

Pierwsze kroki Lacordaire'a jako kaznodziei nie były obiecujące. Wizytki oceniały jego nauczanie religii za zbyt filozoficzne i abstrakcyjne. Kazanie wygłoszone przez niego w kościele św. Rocha w maju 1833 roku rozczarowało nawet jego przyjaciół. Kiedy jednak udało mu się zainteresować młodzież z Kolegium św. Stanisława jednym czy drugim wystąpieniem, prefekt studiów tej szkoły ks. Buquet poprosił go o serię konferencji na tematy religijne. Rozpoczęły się one 19 stycznia 1834 roku i trwały do 13 kwietnia. Ówczesne kaznodziejstwo było jeszcze bardzo zależne od osiemnastowiecznych wzorców. Cechowało je zamiłowanie do apologetyki, grandelokwencja, nierzadko także i sentymentalizm. Lacordaire porzucił rygory kazania klasycznego, w tym także obowiązek wygłaszania tekstu z pamięci; mówił bardzo żywo, a czując życzliwość i uwagę swoich słuchaczy, szybko pokazał, że włada w mistrzowski sposób królewskim darem wymowy.

Kaznodzieja doskonale rozumiał młodzież, gdyż sam przeszedł w młodości podobny kryzys. Czując się jej starszym bratem umiał określić jej „chorobę wieku”, objawiającą się aspiracjami bez celu, w oddaleniu od rzeczywistości, z jednoczesnym pragnieniem wiary w Chrystusa. To On mógł ją wyrwać z apatii i przygnębienia. Sukces tych pierwszych konferencji był tym większy, że nieoczekiwany. Sława Lacordaire'a jako mówcy zaczęła przyciągać elitę intelektualną. W małej kaplicy *Collège Stanislas* pojawiły się największe ówczesne osobistości francuskiego życia kulturalnego: François-René Chateaubriand, Wiktor Hugo, Pierre Antoine Berryer, Alphonse Lamartine. Podjęta tematyka rozważań należała do klasycznych, ale towarzysząca jej wymowa

i żar uczuć typowy dla romantyzmu stanowiły sekret tego człowieka, który odkrył drogę do umysłów i serc swoich współczesnych.

Nie obyło się bez przeciwności. Kaznodziejski sukces Lacordaire'a wywołał także falę zazdrości. Aby go zdyskredytować w oczach hierarchii, przypomniano związki z potępionym przez Rzym Lamennais. Także rząd niepokoił ten kaznodzieja, uchodzący za fanatycznego republikanina. Efektem tych działań było zawieszenie konferencji. Ale w tym momencie kanonik Dionizy Affre, późniejszy arcybiskup Paryża, obronił Lacordaire'a przed arcybiskupem Hyacinthem de Quélen. Co więcej, wobec niepowodzenia konferencji głoszonych przez księży z kręgu biskupów D. Frayssinouse i F. A. Dupanloup (1802-1878) arcybiskup paryski podjął niezwykle odważną decyzję: powierzył Lacordaire'owi najważniejszą ambonę stolicy. Zadanie to polegało na wygłoszeniu cyklu konferencji w katedrze Notre-Dame w okresie wielkiego postu 1835 roku. Od tej daty przyjmuje się zaistnienie swoistego fenomenu w historii kaznodziejstwa, fenomenu zwanego *Konferencjami Notre-Dame* (*Conférences de Notre-Dame*). Decyzji tej de Quélen nie żałował. Od pierwszej bowiem konferencji Lacordaire potrafił wstrząsnąć i zawładnąć słuchaczami. A nie było to zwykłe audytorium. W katedrze paryskiej owego pamiętnego dnia 8 marca 1835 roku zebrało się sześć tysięcy słuchaczy, sama elita stolicy Francji, wierzący i niewierzący, aby wysłuchać jego pierwszego wystąpienia. Bohaterzy 1830 roku, przeniknięci ideami rewolucyjnymi, słyszeli natarczywe wołanie Lacordaire'a, poruszeni do samego rdzenia swoich myśli i dążeń, czuli, że są rozumiani przez tego, który im głosi Jezusa Chrystusa i mówi o Jego Kościele. Sukces tego pierwszego wystąpienia kaznodzieja nie tylko powtórzył, ale utrwalił i pogłębił w następne niedziele. Poczytna gazeta „L'Univers” donosiła: „Konferencje ks. Lacordaire'a cieszą się taką popularnością i zainteresowaniem, że nawet pewien kolor nazwano «zielenią Lacordaire'a»”. W tych wystąpieniach było coś, co można by określić mianem kazanie-świadectwo.

Było coś w tych wystąpieniach, co można by określić mianem kazanie-świadectwo. Rozległa wiedza teologiczna i duchowa konfrontowana tu była z pytaniami i wątpliwościami audytorium, do którego kaznodzieja przynosił nie tylko słowo, ale i doświadczenie apostoła, nieprzejednanie w doktrynie, ale też pełny współudział sercem i duchem z tymi, do których się zwracał w pierwszej konferencji: „Widząc was tak licznie zgromadzonych, zapytuję: czego ode mnie żądacie? Chcecie ode mnie prawdy? Zatem, wy jej w sobie nie posiadacie, wy jej szukacie; pragniecie ją przyjąć”.

Po rewolucji lipcowej w roku 1830 ruch powrotu do Kościoła ogarnął burżuazję, a nawet młodzież studencką, uważaną jeszcze kilka lat wcześniej za całkowicie areligijną. Był to rezultat wspólnego działania takich księży jak Lacordaire i takich świeckich jak – błogosławiony już dzisiaj – Fryderyk Ozanam (1813-1853). Może też w pewnym stopniu oddziaływała tu naturalna skłonność przeciwstawiania moralnych postaw synów postawom ich ojców. Nie można jednak zaprzeczyć doniosłego wpływu konferencji Lacordaire'a na te postawę.



Podjęte przez Lacordaire'a konferencje były w gruncie rzeczy nowym rodzajem kazań. Przez konferencję rozumiano wtedy naukę filozoficzno-religijną, o silnym zabarwieniu polemicznym, skierowaną do ludzi wykształconych, ale religijnie obojętnych lub też nastawionych krytycznie do wiary i Kościoła. Materiał do takiego przemówienia czerpał autor nie tylko ze źródeł objawionych, lecz w równej mierze z filozofii, literatury pięknej, historii i nauk przyrodniczych. Problematyka była zatem bardzo szeroka.

Konferencje posiadały mocny wydźwięk apologetyczny. Musiały zatem uwzględnić z jednej strony zarzuty przeciw poszczególnym prawdom wiary i zasadom moralności chrześcijańskiej, a z drugiej dostarczyć przekonujących argumentów, by je obalić. Genezą swą w jakimś sensie konferencje te sięgały starochrześcijańskich apologii, a z bliższych nam czasów nawiązywały do średniowiecznych kazań-dysput lub polemicznych kazań z czasu reformacji. Ten rodzaj kazań powstał na początku XIX wieku we Francji. Powszechnie odczuwano tu potrzebę odpowiedzi Kościoła na pytania świata, który stracił swe podstawowe punkty odniesienia i swą elementarną pewność religijną i moralną. O takie konferencje upominał się znany historyk i pisarz Fryderyk Ozanam oraz studenci katolicy. Na Uniwersytecie Paryskim rozprzestrzenił się bowiem agnostycyzm, a filozofowie Victor Cousin († 1867) i Théodore Jouffroy († 1842) odrywali młode pokolenie od religii w imię rozumu, który – według nich – jedynie mógł dać odpowiedź na wszystkie pytania. Wychodząc naprzeciw temu pogładowi wspomniany wyżej biskup D. de Frayssinous rozpoczął już w 1803 roku pierwsze, nieśmiałe konferencje religijne i apologetyczne, pomimo zakazu Napoleona.

Henryk Lacordaire zastosował w swych konferencjach nową metodę apologetyki. Aby udowodnić swe tezy sięgał do argumentacji historycznej, nauk ścisłych i studiów porównawczych religii. Czerpiąc z wielu dziedzin chciał dostarczyć słuchaczom materiału niezbędnego do budowy chrześcijańskiego światopoglądu. Miał w sobie coś z inżyniera nadzorującego budowę. Uczestnicy konferencji pod jego okiem, tydzień po tygodniu, budowali zręby swojego światopoglądu. Obojętność i zwątpienie religijne były dwiema wielkimi chorobami XIX wieku. Wiedząc o tym, Lacordaire pracował usilnie, by przywrócić młodemu umysłom miłość do religii, wzbudzając w nich podziw dla nauki Chrystusa i bogactwa duchowego, jakie oferuje katolicyzm. Za cel postawił sobie zwalczenie poglądu, że religia katolicka jest nieprzyjaciółką nauki i wolności. Wielki zamysł Lacordaire'a zmierzał do pojednania chrześcijaństwa z duchem czasu, pokazując jego dobrodziejstwa i harmonię z nowoczesnymi aspiracjami wolności. W tym sensie był on prekursorem pozytywnego spojrzenia na świat głoszonego przez Sobór Watykański II.

Do 73 konferencji paryskich powstałych w latach 1835-1836, a następnie od 1843 do 1846 i od 1848 do 1851, trzeba dołączyć serie kazań wygłaszanych od 1838 do końca 1854 roku w Metz, Bordeaux, Nancy, Grenoble, Lyonie i Tuluzie. Wszędzie, nie tylko w Paryżu, odkrywał to samo – potrzebę głoszenia konferencji



apologetycznych. Lacordaire przeszedł przez zespół pytań stawianych przez ludzi jego czasów. Rozprawiał o potrzebie wolności, pewności, sprawiedliwości.

## Wielkie tematy konferencji Lacordaire'a

W konferencjach Lacordaire'a dominują dwa wielkie tematy: Kościół i Jezus Chrystus. Mówca wychodził od prawdy o Kościele; omawiał jego naturę, źródła i zadania. Wymagało to zarówno wielkiej odwagi, jak i roztropności, charyzmy kaznodziejskiej i osobistego świadectwa. Tematy te bowiem podejmował wkrótce po antyklerykalnej rewolucji lipcowej z 1830 roku. Dotknęła ona w równym stopniu nie tylko rządzący reżim, ale również kler. Gniew ludu wyładowywał się na seminariach, kościołach, krzyżach misyjnych. W Paryżu księża nie mogli pokazać się w sutannach na ulicach. Zalew niewybrednej literatury antykościelnej podsyczał namiętności. Rozmiary narastającej wrogości przeraziły hierarchię katolicką. W tej atmosferze Lacordaire dowodził z mocą, że obserwacja dziejów Kościoła prowadzi nieuchronnie do wniosku, że jest on dziełem boskim.

W 1843 roku, obejmując po przerwie ambonę paryską, Lacordaire pozostał wierny swej metodzie i tematyce. Wyszedł znów od problemu Kościoła, omawiając kolejno skutki i owoce, jakie rodzi przyjęcie nauki katolickiej przez umysł, duszę człowieka oraz całe społeczeństwo.

Drugi wielki temat konferencji Lacordaire'a stanowił odpowiedź na pytanie: kto jest twórcą Kościoła? Znakomity kaznodzieja odpowiadał: „Każdy zna to imię, bądź z miłości, bądź z nienawiści... Jezus Chrystus – oto jego twórca”. Konferencje Lacordaire'a o Jezusie Chrystusie należą do najpiękniejszych i najbardziej dopracowanych w całym jego dorobku oratorskim. O plastyczności i pięknie języka, o sile przekazu Bożych treści, promieniujących z tych kazań trudno zapomnieć. Chrystus to największy dowód miłości, jaką Bóg żywi do człowieka. Widać to zwłaszcza w tajemnicy zbawczego krzyża. Krzyż to wyznaczenie miłości, jaką Bóg nam przyniósł w Chrystusie. Lacordaire podkreślał trzy cnoty Chrystusa: czystość, miłosierdzie i pokorę. Stopniowo, z biegiem lat temat przyjaźni z Chrystusem stawał się centrum jego życia i nauczania.

W dorobku kaznodziejskim Lacordaire'a zastanawia brak nurtów właściwych dla pobożności tej epoki. Wyraża się to w nieobecności tematu Serca Jezusowego i, co jeszcze bardziej zadziwia, wątku maryjnego. O Sercu Jezusowym pozostawił jedynie jedno kazanie. Wygłosił je w kościele św. Rocha 10 lutego 1847 roku z okazji poświęcenia w Moulins pierwszego we Francji kościoła pod tym wezwaniem. W kulcie tym widział antidotum nie tylko na jansenizm i racjonalizm, lecz przede wszystkim przeciwstawienie się despotyzmowi. Można się też zastanawiać nad brakiem mariologii w pismach Lacordaire'a. Wiadomo bowiem, że modlił się do Maryi, „Królowej swego serca”, że wiele konferencji wygłosił w kościołach pod Jej wezwaniem. A mimo to nie mówił o Niej nigdy. Zastanawia to tym bardziej, gdy zestawia się go z większością jemu współ-

czesnych. Być może był to wynik samotnie podjętej formacji, próby stworzenia syntezy teologicznej, która domaga się zachowania proporcji ewangelicznych. A te niewiele miejsca poświęcają Maryi. Z mów pogrzebowych w pamięci słuchaczy najbardziej utkwiły dwie: po śmierci Ozanama († 1853) i po śmierci generała Drouot († 1847), bohatera wojen napoleońskich spod Wagram, Moskwy i Waterloo, który zmarł na wygnaniu, ociemniały i w biedzie.

Konferencji rekolekcyjnych Lacordaire'a nie można uważać za ściśle dogmatyczne nauczanie albo za rodzaj dysputy. Są bowiem połączeniem jednego z drugim: słów, które uczą, i słów, które dyskutują, przeznaczonych dla kraju, w którym na równi występują ignorancja religijna i kultura duchowa, gdzie błąd jest raczej zuchwały niż wystudiowany i głęboki. Jakie było to audytorium, które słuchało Lacordaire'a? Kto je tworzył? Lacordaire rozumiał swoich słuchaczy bez wątpienia lepiej niż oni sami siebie. Po pierwsze widział ich zróżnicowanie polityczne. Widać je było gołym okiem. Chcąc bowiem znaleźć siedzące miejsce, trzeba było przyjść do katedry odpowiednio wcześniej, dlatego też słuchacze zapełniali wolny czas lekturą ulubionych gazet, od „Les Débats” („Debaty”), przez „Le National” („Narodowy”), po „Le Constitutionnel” („Konstytucyjny”). Lacordaire był księdzem i wchodził na ambonę jako kapłan, by głosić słowo Boga. Nigdy nie udzielał poparcia takiej czy innej partii politycznej; starał się zachować niezależność. W swych wystąpieniach unikał zarówno ataku na rząd, jak również wszelkiego pochlebstwa pod jego adresem. Nie chciał, aby go posądzono o promocję aliansu tronu z ołtarzem. Nawet kiedy mówił o wolności, robił to jedynie używając terminologii chrześcijańskiej.

### Tajemnica wielkości kaznodziejskiej Lacordaire'a

Wspomniany wyżej znany publicysta i polityk broniący Kościoła Karol de Montalembert, w biografii poświęconej Lacordaire'owi, zastanawiając się nad tajemnicą oddziaływania jego wymowy stwierdza najpierw, iż Henryk kochał improwizację. Świadomie unikał bezpieczeństwa, jakie płynie z opanowania tekstu na pamięć, obawiając się, że brzmieć on będzie sztucznie i deklamatorsko. Preferując improwizację przygotowywał się do niej jednak długo i solidnie. Czynił notatki, medytował, modlił się, opracowywał zarys swego wystąpienia. Za najlepszą porę do pracy uważał poranek. W ciszy budzącego się dnia, czy to w pokoju, czy w ogrodzie, najpełniej dojrzywała jego myśl. Kiedy nadchodził odpowiedni moment wstępował na ambonę, ogarniał wzrokiem swoich słuchaczy i rozpoczynał głosem mocnym, od przypomnienia zarysu poprzedniej konferencji lub bezpośrednio przechodząc do kolejnej. Podkreślał dobitnie słowa, uwydatniając ich sens. Audytorium nie pozostawało obojętne na jego wysiłki, wyczuwało jego intencje, ustalał się pewien rodzaj wzajemnego kontaktu i komunikacji. Zmierzał, jak sam stwierdzał, do tego, aby „pochwycić swych słuchaczy w ramiona i zelektryzować swoimi oczami”. Błysk jego spoj-

rzenia, magia głosu, moc gestu, wszystkie elementy jego osobowości pracowały zgodnie na wielkość kaznodziejskiego oddziaływania Lacordaire'a.

Lacordaire mógł powtórzyć za Proboszczem z Ars: „Jestem tylko narzędziem w rękach Boga”. Wyznawał przecież, że „mówca jest jak góra Horeb: zanim Bóg weń uderzy, jest on twardą i nieurodzajną skałą, lecz gdy Pan go dotknie swym palcem, staje się źródłem wody żywej, użyźniającej pustynię”. Pan wtedy „w jednej chwili otwiera moje wnętrze i z jego głębi wydobywa ton, który mnie niepokoi, którego nie poznaję”. Sam mówca staje się echem głosu Pana i jako echo przekazuje tony przechodzące przez niego, ale pochodzące spoza niego.

Omawiając styl H. Lacordaire'a podkreśla się najczęściej wyraźne podobieństwo z kaznodziejstwem J. B. Bossueta. W obydwu przypadkach mamy bowiem do czynienia z porywającym sposobem wypowiedzania się. Zestawiając Bossueta z Lacordaire'm trzeba jednak pamiętać, że konferencjonista nie osiągnął tej szlachetnej prostoty, która cechowała biskupa Meaux. Poza tym Lacordaire nie ustrzegł się szeregu usterek i niedociągnięć. Wpadał czasem w emfazę i ton deklamatorski lub w sposób patetyczny i przesadny odtwarzał uczucia, używając o wiele silniejszych określeń niż to odpowiadało rzeczywistym wzruszeniom. Jednak oceniając ujemnie zamiłowanie Lacordaire'a do emfazy trzeba by w pewnym sensie poddać gruntownej krytyce epokę romantyzmu, która przecież w tej figurze retorycznej wyraźnie gustowała. Czasami jego rozumowanie było słabe i niejasne. Dorzucić do tego można lekkość ekspresji płynącej z żywej wyobraźni i wielkiej łatwości słowa mówionego.

Wszystko to jednak nie przeszkadza w uznaniu Lacordaire'a za największego kaznodzieję francuskiego XIX wieku. Poświadczają to liczne świadectwa. Uwielbienie, jakim darzyli go słuchacze, tak mężczyźni (dla nich zarezerwowana była nawa główna katedry) jak kobiety, spontaniczna, żywa reakcja, wszystko to tworzyło jakby orkiestrę, której dyrygentem był sam kaznodzieja. Brał w posiadanie swoje audytorium i prowadził je od obojętności lub wręcz pogardliwej wrogości wobec Kościoła do oczarowania pięknem religii katolickiej, nawrócenia lub pogłębienia słabej dotąd wiary. Przemozny wpływ na audytorium sprawiał, że starsza generacja duchownych oraz racjoniści widzieli w nim „Savonarolę współczesnej kazalnicy”, bardziej trybuna ludowego niż teologa.

Podjęte przez Lacordaire'a kazania nie należały do łatwych. Wymagały one od kaznodziei dobrego przygotowania i to nie tylko w aspekcie jednego przemówienia, ale całego, dobrze zaplanowanego cyklu. Były to kazania bardzo twórcze. Zmuszały do uważnego słuchania zarzutów pod adresem nauki objawionej, krytyki, pytań, a równocześnie wzywały do szukania coraz doskonalszych sposobów przekazu prawdy Bożej. Słuchacze zaś z uwagą i radością wędrowali drogą, która była przed nimi jasno wytyczona na długie miesiące, a nawet lata, wiedząc, że każda konferencja wniesie coś nowego i wzbogaci ich spojrzenie.

## Apostoł swego wieku

Zdarza się w dziejach Kościoła, że wtedy, gdy zewnętrzne okoliczności są mało przyjazne dla katolicyzmu, Bóg posyła kogoś, kto zwiastuje nową wiosnę. Po gwałtownej rewolucji lipcowej 1830 roku katolicyzm we Francji przestał być religią państwową. To właśnie w tej atmosferze, politycznie bardzo nieprzychylniej Kościołowi, wspomniany już wyżej historyk i pisarz Fryderyk Ozanam założył w 1833 roku w środowisku akademickim Paryża *Konferencje św. Wincentego à Paulo*, stowarzyszenie charytatywne katolików świeckich mające na celu niesienie materialnej, religijnej i moralnej pomocy ubogim i będącym w trudnej sytuacji życiowej. Członkowie *Konferencji* świadczyli bezpośrednią pomoc potrzebującym, nawiązywali osobiste kontakty z biednymi rodzinami i otaczali je stałą opieką, katechizowali ubogie dzieci.

Oprócz stowarzyszenia Ozanama *Konferencje Notre-Dame* stanowią drugie, podstawowe dzieło wiary pierwszej połowy XIX wieku. Zresztą inspiratorem tego drugiego dzieła była ta sama grupa, która dała początek dziełom miłosierdzia. Stanowili oni najbardziej ożywiony, najaktywniejszy i najbardziej wrażliwy człon audytorium Lacordaire'a. *Konferencje Notre-Dame* stworzył człowiek mniej więcej współczesny Ozanamowi, „apostoł swego wieku” – jak go nazywano, który rozprawiał na ambonie o potrzebie wolności, pewności, sprawiedliwości. Do dziś zastanawia, w jaki sposób ten „Savonarola współczesnej kazalnicy” potrafił zgromadzić już na pierwszej konferencji 6 tysięcy mężczyzn różnych orientacji światopoglądowych i zachęcić ich do rozważania prawd wiary. Rozumiał on dobrze potrzeby duchowe młodego pokolenia. Był człowiekiem swoich czasów, także w używanym języku, wyrosłym z ducha romantyzmu. O sprawach wieczności potrafił mówić w sposób nowoczesny, pełen życia i zaangażowania.

Cel konferencji był skromny. Lacordaire znał uprzedzenia narosłe przez lata wobec Kościoła. Wstępował więc na ambonę nie tyle, by nawracać, ile by usuwać niezrozumienia i budzić wiarę. W tym celu mówił tonem braterskim, słowami, które raczej błagały niż smagały. Otwierał nowe horyzonty patrzenia na religię. Mówił jak do chorego, z czułością i delikatnością. Dawny adwokat nie przypuszczał, że dzieło to osiągnie aż tak imponujące rozmiary. Z wieloma słuchaczami utrzymywał bezpośredni kontakt, bywał zapraszany do ich domów, prowadził rozległą korespondencję, podtrzymywał w pragnieniu nawrócenia lub doskonalenia swej wiary. Dzięki jego kaznodziejstwu wiele osób na nowo odnajdywało drogę do Boga. Podkreślił to zresztą pięknie biskup de la Bouillerie, w mowie wygłoszonej na pogrzebie wielkiego dominikanina, 28 listopada 1861 roku: „Konferencje Notre-Dame otwierają nowy rozdział w kaznodziejstwie chrześcijańskim. Odtąd każdego roku tysiące ludzi przychodzi do stołecznej katedry, by w dzień Wielkanocy uklęknąć do stołu Pańskiego. Spytaacie, kto ich uczynił chrześcijanami. Wielu wam odpowie, że pierwszą iskierką, która roznieciła ich wiarę był błysk, który wytrysnął z tego człowieka”.

Kiedy Lacordaire wstępował po raz pierwszy na ambonę katedry Notre-Dame, w 1835 roku, miał zaledwie trzydzieści trzy lata. Jego przeciwnicy mieli nadzieję, że szybko spotka go niepowodzenie, gdyż jego wiedza okaże się niewystarczająca do podjęcia tak wielkiego przedsięwzięcia. Mylili się jednak. Bagatelizowali bowiem fakt, iż Henryk już od piętnastu lat nie rozstawał się z poważnymi studiami filozoficznymi i dogmatycznymi. Jednakże Lacordaire zdawał sobie sprawę, iż jego wykształcenie teologiczne zawiera poważne luki. Mając tego świadomość opuścił paryską ambonę Notre-Dame i udał się w 1836 roku do Rzymu.

### Restauracja zakonu dominikańskiego

W Wiecznym Mieście Henryk Lacordaire podjął gruntowne studia dogmatyczne i patrystyczne. Nade wszystko odkrył dla siebie *Summę teologiczną* św. Tomasza z Akwinu, a spotkanie z opatem Prosperem Guérangerem z Solemes, odnowicielem zakonu benedyktyńskiego we Francji i inicjatorem ruchu odnowy liturgicznej, zachęciło go do starań o podobną restaurację zakonu dominikanów. Z tym zamiarem Lacordaire powrócił już w listopadzie 1837 na ambonę, rozpoczynając w Metz długą serię nauk, ogarnięty odtąd „ambicją ustanowienia we Francji takiego nauczania, jakiego jej brakuje”, to znaczy metodycznego wykładu wiary we wszystkich wielkich miastach. Zamiar ten mógł spełnić jedynie zakon, którego sama nazwa odpowiada tej potrzebie – Zakon Kaznodziejski. Powzięte postanowienie Lacordaire obwieścił swemu krajowi jesienią 1838 roku, a w marcu następnego roku uzasadnił w *Memoriale o przywróceniu na nowo we Francji Zakonu Braci Kaznodziejów*.

9 kwietnia 1839 roku przyjął habit dominikański i rozpoczął nowicjat w klasztorze Quercia, niedaleko Viterbo. Studiował życie św. Dominika, czego owocem stała się biografia świętego założyciela. 12 kwietnia 1840 złożył śluby zakonne i przyjął imię Henryk-Dominik.

Zajmując ponownie na ambonach Francji to szczególne miejsce, które tam sobie wyrobił, Lacordaire zdołał za sprawą swoich kazań przywrócić Francji Zakon Kaznodziejski. Dzięki powodzeniu głoszonych konferencji nie tylko wzbudzał nowe powołania, nie tylko zdobył prestiż potrzebny mu wobec opinii i władz publicznych, by stawic czoła obowiązującym prawom, ale również zawarł liczne przyjaźnie i znalazł środki finansowe niezbędne do realizacji swych przedsięwzięć. Kolejno powstawały fundacje klasztorne w Nancy (czerwiec 1843), w Chalais i w Grenoble (1844), gdzie po raz pierwszy głosił kazania w habitie dominikanina, we Flavigny (1848) i w Paryżu (1849).

15 września 1850 roku została oficjalnie przywrócona francuska prowincja dominikanów. Lacordaire pełnił w niej dwukrotnie obowiązki prowincjała (1850-1854 i 1858-1861). Założył wtedy klasztory w Tuluzie (1853), Dijon (1859) i Saint-Maximin (1859). Przejął także i prowadził kolegium w Oullins

(1853) i szkołę w Sorèze, niedaleko Tuluzy (1854). Ta ostatnia przeżyła wkrótce dzięki niemu czas wielkiej świetności. Sam Lacordaire rezydował do 1852 roku w klasztorze paryskim umieszczonym w budynkach pokarmelitańskich, przy ulicy Vaugirard. Dziś mieści się tam powstały w 1875 roku Instytut Katolicki. W przyległym do klasztoru kościele *S. Joseph des Carmes* krzewił słowo Boże. Pobyt ten odnotowuje pamiątkowa tablica, informująca o sukcesie nowej formy kazań głoszonych tu przez wielkiego dominikanina.

Na łożu śmierci, przechodząc w myśli na nowo całe swoje życie, uznał przywrócenie zakonu dominikańskiego we Francji za jedno z najważniejszych swoich dokonań.

### Deputowany w Zgromadzeniu Narodowym

Życie zakonne i działalność kaznodziejska nie przesłoniły Lacordaire'owi problemów bieżących. W lutym 1848 roku zaczęła się w Paryżu Wiosna Ludów i niczym powódź rozlała po wielu krajach Europy. Lacordaire, odwrotnie niż Montalembert, który unikał kontaktów z „podżegaczami nieporządku i niesprawiedliwości”, zaakceptował porządek rewolucyjny i określił się za osobę lojalną wobec Republiki. Było to tym łatwiejsze, iż jej rząd nie propagował antyklerykalizmu, tak charakterystycznego dla wydarzeń lipcowych 1830 roku. Przeciwnie, przejawiał czasami wzruszający szacunek wobec religii, co potwierdza chociażby uroczyste przeniesienie w trakcie rewolucji krucyfiks z kaplicy w Tuileries do kościoła św. Rocha.

W tych burzliwych dniach Henryk Lacordaire nawiązał kontakty z przyjaciółmi i wraz z Fryderykiem Ozanamem i ks. Maret założył katolicki dziennik „L'Ère nouvelle” („Nowa Era”), mający walczyć o prawa publiczne, o wolność wyznania, druku, słowa, zrzeszeń, zgromadzeń, nauczania oraz służyć zbliżeniu się Kościoła do mas robotniczych. Pisał w nim niewiele. Zgodził się również kandydować w wyborach, a nawet został deputowanym, jednakże nie w Paryżu, lecz w Marsylii. Wraz z trzema biskupami i dwudziestoma księżmi uczestniczył w pierwszej sesji Zgromadzenia Narodowego 4 maja 1848 roku. Proklamowano na niej Republikę.

Jednakże już 16 maja Lacordaire, zrażony partyjnymi walkami, wycofał się z życia politycznego, a wkrótce potem (26 maja) także z prac w redakcji „Nowej Ery”. Trzy lata później, po zamachu stanu (2 grudnia 1851) i ogłoszeniu się przez Ludwika Napoleona cesarzem Napoleonem III, Lacordaire usunął się z Paryża i definitywnie przerwał ciąg swoich wielkich kazań. Czuł się obco w Paryżu opanowanym przez dyktatora. Cierpiał też z powodu poparcia, jakie Drugiemu Cesarstwu udzieliło duchowieństwo.



## Członek Akademii Francuskiej

Do stolicy przybył jeszcze raz – 24 stycznia 1861 roku, z okazji uroczystego przyjęcia go do Akademii Francuskiej, prestiżowej instytucji grupującej ludzi pióra i uczonych, założonej przez kard. A. J. Richelieu w 1634 roku. Wielki kaznodzieja przyjął to wspaniałe wyróżnienie po pewnym wahaniu. Ostatecznie widział w nim hołd złożony Kościołowi i zakonowi, który reprezentował. Wchodzący w grono Akademii Francuskiej nowo wybrany członek miał za zadanie wygłosić mowę na cześć swojego poprzednika. Henryk Lacordaire wszedł w grono „nieśmiertelnych” po śmierci Aleksisa de Tocqueville’a († 1859), słynnego badacza ustroju społecznego i politycznego Stanów Zjednoczonych i doradcy dwóch republik, amerykańskiej i francuskiej. Dlatego też mowa Lacordaire’a w pałacu Mazarina, siedzibie Akademii, poświęcona była jego poszukiwaniom i dokonaniom. W czasie tego pobytu wszedł ostatni raz na ambonę paryską w kościele św. Rocha 10 lutego 1861 roku, by wygłosić jedno z najpiękniejszych kazań swego życia *Esto vir!* Była to zachęta do męstwa, oparta na pożegnalnych słowach umierającego Dawida skierowanych do swego syna Salomona: „Okaz się mężem!” (1 Krl 2, 2). „Przemawiałem aż do tej pory, teraz moje milczenie powie jeszcze głośniej to, co wyraziły słowa. [...] Cierpię; zstępuję ku nieśmiertelności i mocy grobu”.

## Wychowawca młodzieży

Pod koniec swego życia Henryk Lacordaire znalazł jeszcze jedno pole działania. Była nim edukacja młodzieży. Jeszcze w 1838 roku Lacordaire uzyskał zgodę generała zakonu na dwie formy apostołatu dla odradzającej się rodziny świętego Dominika we Francji: na kaznodziejstwo i edukację młodzieży. Przeznaczając Braci Kaznodziejów do misji głoszenia słowa Bożego, nosił się z zamiarem powołania III zakonu dominikańskiego (drugi tworzą zakonnice) – Zakonu Nauczającego. Jego zadaniem byłoby prowadzenie dzieła edukacji. Trzeci zakon, zachowując swoją autonomię, miał korzystać z duchowego wsparcia pierwszego. Zadaniem jego członków byłoby sprawne zarządzanie, administracja szkół i troska o wysoki poziom edukacji. W miarę potrzeb mieli także włączać w to dzieło nauczycieli świeckich.

Moment stosowny do rozwinięcia tego dzieła nadszedł z chwilą poznania ks. Cédoz, profesora w kolegium w Oullins niedaleko Lyonu. Lacordaire zabrał się szybko do pracy. Ks. Cédoz rekrutował w 1851 roku nauczycieli spośród swych kolegów. Dnia 25 lipca 1852 roku kolegium w Oullins za aprobatą kard. Bonalda, arcybiskupa Lyonu, stało się oficjalnie pierwszym kolegium dominikańskim. Początkowo dyrekcja pozostawała w rękach dawnej administracji, lecz Lacordaire i jego czterej bracia nauczyciele zbierali się co tydzień, by opracować przyszłe ustawy i omawiać wspólnie każdy szczegół. Niewystar-

czalność stanu rzeczywistego przeszkadzała mu. Był nawet moment, że chciał wziąć małe seminarium w Bourges, które oferował mu kard. Dupont, ale w maju 1854 roku, pojawiła się wspaniała oferta. Mógł przejąć na dobrych warunkach słynne kolegium w Sorèze, w departamencie Tarn-et-Garonne. Lacordaire przeniósł się tam w sierpniu, pod koniec sprawowania pierwszej kadencji urzędu prowincjała. Odtąd jego życie będzie ściśle związane z tym miejscem i z pracą dyrektora i wychowawcy. Ponownie powołany we wrześniu 1858 roku na stanowisko prowincjała rezydował na stałe aż do śmierci w Sorèze. Tak więc założenie III zakonu św. Dominika, poświęconego nauczaniu, nastąpiło we wrześniu 1852 roku i wiązało się z podjęciem obowiązków w szkołach średnich w Oullins (lipiec 1852), a następnie w Sorèze (lato 1854). Równocześnie z III zakonem nauczającym i zakonem świętego Dominika powstało zgromadzenie nauczycielek dominikanek.

Kolegium w Sorèze, powstałe w cieniu opactwa benedyktyńskiego założonego przez Pepina Małego w 758 roku, istniało już od 1680 roku. Należało do Zgromadzenia Świętego Maura. Ponownie otwarte w 1759 roku po trzydziestoosmioletniej przerwie, było kierowane przez wybitnych pedagogów. Uczyli tu m.in. Wiktor Fougères, Despeaux, uhonorowany przez Napoleona tytułem generalnego inspektora, a także bracia Ferlus, którym udało się utrzymać szkołę nawet podczas rewolucyjnych burzy.

Lacordaire przejął kolegium w 1854 roku z rąk ks. Bareille. Szkoła posiadała znamienitą przeszłość, przyjmowała uczniów ze znanych rodzin z całego świata i korzystała ze znakomitej tradycji pedagogicznej. Charakterystycznymi cechami był umiętny podział wykładów, ich zróżnicowanie nieznanne gdzie indziej w owej epoce oraz indywidualna organizacja studiów dla każdego ucznia, który nie musiał uczęszczać obowiązkowo na wszystkie wykłady w ciągu roku, lecz mógł chodzić na te, które odpowiadały jego zdolnościom czy upodobaniom.

Lacordaire nie podtrzymał tego skomplikowanego układu i zastosował szkolny system liceów. Ograniczył również niektóre urlopy i zlikwidował teatr, który zajmował zbyt dużo czasu. Trzeba było przygotować uczniów do matury i podjęcia studiów na uniwersytecie lub w politechnice, a więc należało faworyzować studia. Lacordaire usiłował harmonizować solidną klasyczną kulturę z liberalną sztuką, rysunkiem, muzyką i ćwiczeniami ciała, tj. gimnastyką i szermierką. Kolegium posiadało zresztą od 1771 roku tytuł „królewskiej szkoły wojskowej”, ćwiczyło się w manewrach wojskowych i kontynuowało przygotowanie oficerów.

Pobyt w Paryżu związany z przyjęciem go do Akademii Francuskiej był ostatnią większą podróżą Lacordaire’a. Szybko podupadał na zdrowiu. Wraz z postępowaniem choroby 20 maja 1860 roku zrezygnował z urzędu prowincjała. Po licznych cierpieniach znoszonych z heroizmem świętego oddał swą duszę Bogu 21 listopada 1861 roku. W pisanych tuż przed śmiercią *Notatkach autobiograficznych* stwierdzał: „Ośmielam się wyznać, iż otrzymałem od Boga łaskę rozumienia tego wieku, który tak ukochałem oraz łaskę, że byłem przez Niego

rozumiany”. Pochowany został w krypcie kolegium w Sorèze. Na znak żałoby, w paryskiej katedrze Notre-Dame ambona została nakryta długim czarnym płótnem. W ten sposób czczono pamięć kapłana, który z tego miejsca kierował żarliwe słowa porywające tysiące słuchaczy.

## Dzieło konferencji trwa

Patrząc z perspektywy lat niewątpliwie należy przyznać, iż oprócz restauracji francuskiej gałęzi dominikanów, największym dziełem życia Lacordaire’a pozostaje działalność kaznodziejska. Od czasu gdy w latach 1835-36 zapoczątkował on głośne konferencje dla mężczyzn, z ambony paryskiej katedry Notre-Dame rozbrzmiewa corocznie przez sześć kolejnych niedziel wielkiego postu głos mówców, uważanych we Francji za prawdziwych mistrzów głoszenia słowa Bożego.

Dzieło konferencji, które zrodził wiek XIX, rozwija się doskonale aż do naszych dni. Tak tedy od ponad 160 lat katedra Notre-Dame w Paryżu rozbrzmiewa kazaniami wielkich mówców Chrystusowego Kościoła, którzy w mistrzowski sposób starają się wyrazić piękno i głębię tajemnic chrześcijaństwa. Począwszy od H. Lacordaire’a do J.-R. Armogatha, głoszącego konferencje w roku 2000, było ich łącznie 34. W tym szeregu najwybitniejszych kaznodziejów francuskich wstępujących na ambonę katedry paryskiej wyróżniają się biskupi (np. kard. Henri-Marie Baudrillart, bp Louis Émil Bougaud), dominikanie (np. François Ollivier, Jacques-Marie Monsabré, Marie-Albert Janvier, Ambroise-Marie Carré, Bernard Bro, Jean-Louis Brugès) i jezuita (np. Gustave-Xavier de Ravignan, Joseph Félix, Pinard de la Boullaye, Michel Riquet). Swoisty rekord ciągłości głoszenia pobił M. A. Janvier, który z tego prestiżowego miejsca głosił nieprzerwanie przez 22 lata, od 1903 do 1924 roku. Na drugim miejscu znajduje się J. M. Monsabré – 19 lat głoszenia, od 1872 do 1890, na trzecim J. Félix – 18 lat, od 1853 do 1870. Jediną kobietą, jaka dotąd głosiła konferencje wielkopostne, była Marie-Hélène Mathieu, założycielka Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych (OCH). W 1988 wystąpiła z cyklem: *Marie, Notre-Dame*.

Wszyscy oni prowadzili, każdy na miarę swych zdolności, tę samą linię nauczania apologetycznego, którą kiedyś podjął H. Lacordaire, odpowiadając na nurtujące pytania swej epoki. Świetna ich wymowa, rozległa wiedza oraz wnikliwa znajomość człowieka i jego spraw przyciągała zawsze liczne grono słuchaczy. Już pierwszych konferencji H. Lacordaire’a słuchało od sześciu do ośmiu tysięcy mężczyzn. Za o. Sansona liczba ich dochodziła do czterestu tysięcy. Ambona katedralna gromadziła ich wszystkich: studentów uniwersytetu, urzędników, oficerów, inżynierów itd. Pozwala to pełniej uchwycić skalę zjawiska nazwanego skromnie *Conférences de Notre-Dame*. Zgodnie z przyjętym zwyczajem teksty konferencji są wydane drukiem w serii *Conférences de Carême*, jeszcze przed ich wygłoszeniem, aby słuchacze mogli za-

poznać się z ich problematyką. Od kilkudziesięciu lat z pomocą kaznodziejom przychodzi radio. Fale zasłużonej stacji *France Culture* i innych niosą słowo Boże daleko poza wąskie grono bezpośrednich słuchaczy. Dzieło Lacordaire'a nadal trwa.

Henryk Lacordaire OP

## *Konferencja o ustroju Kościoła*

Ze wszystkich rodzajów niewoli najcięższą, najzgubniejszą w swych skutkach jest niewola umysłu. Otóż umysł jest niewolnikiem zawsze wtedy, gdy jest poddany powagom indywidualnym; taki zaś jest los ludzkości, że rozum kształci się przez nauczanie i że wszyscy ludzie bez wyjątku są poddani od początku jakiejś powadze. Lud, czyli ogromna większość naszego plemienia, dźwiga zawsze jarzmo pierwszego swego wychowania; a ludzie, zwani oświeconymi, ulegają – co najmniej – wpływowi nauk swojego kraju i swego wieku. Cóż więc może uczynić człowiek, żeby wyswobodzić się z tej niewoli? Jakież na to sposob, żeby umysł jego zdobył sobie wolność? – Dwa są na to sposoby: trzeba, żeby on albo myślał sam przez się, albo, jeżeli jest rzeczą stwierdzoną, że myśl jego nie obejdzie się bez nauczania, jeżeli on nie może myśleć sam przez się, bo tylko Bóg tak myśli, wtedy koniecznie musi on mieć tu na ziemi jakąś powagę, która by przedstawiała mądrość nieskończoną Boga i która by odsłaniała każdemu człowiekowi myśl Bożą przez nauczanie, od Boga postanowione. Powaga ta istnieje i widzieliśmy, że można ją poznać po znamieniu powszechności. Dzisiaj trzeba nam posunąć się dalej w badaniu natury tej powagi, która wyswobadza umysł ludzki; trzeba nam zobaczyć, jaki jest jej ustrój, – ustrój, który otrzymała od Boga, żeby mogła żyć przez wszystkie wieki.

Otóż wszelka powaga składa się: po pierwsze, z hierarchii, tzn. z zastępu ludzi, zespolonych w dążeniu do jednego celu; a po drugie, z władzy, która jest tej hierarchii powierzona i którą ona posługuje się według swego upodobania. Treścią więc tej mowy będzie rozwój hierarchii Kościoła katolickiego i jego władzy.

Ponieważ prawda jest pierwszym dobrem i – można powiedzieć – jedynym dobrem człowieka i ponieważ nikt nie powinien być pozbawiony tego dobra, bez którego nie ma żadnego innego, więc pierwszym staraniem Boga musiało być, żeby Kościół Jego stał się powszechnym – tak, żeby mógł, podobnie jak światło słoneczne, oświecać każdego człowieka, przychodzącego na świat. To też Pan nasz rozpoczął od założenia apostołatu, tj. od wyboru pewnej liczby ludzi, którzy mieli być posłani do wszystkich krajów ziemi. Poganie zamknęły wiedzę kapłańską w swoich świątyniach. Tylko niewielu cudzoziemców, którzy przybyli z dalekich stron, aby od nich czegoś się dowiedzieć, dopuszczano do świętego przybytku. Filozofowie udzielali swych nauk tylko w szkołach, w ogrodach lub pod portykami, w otoczeniu oddających im cześć przyjaciół. Nie tak pojmuje nauczanie Jezus Chrystus; nie mówi On do tych, którym powierza swoje słowo nie stworzone do swych Apostołów: Będziecie czekali, aż ktoś przyjdzie zapytywać was o prawdę; nie mówi do nich: Będziecie przechadzali się w ogrodach i pod portykami, ale mówi do nich: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19). Nie obawiajcie się ani trudności języków, ani różnicy obyczajów, ani zwierzchności ziemskich; nie badajcie biegu rzek ani kierunku pasm górskich; idźcie prosto przed siebie; idźcie, jak idzie piorun Tego, który was posyła, jak szło słowo twórcze, które wniosło życie w chaos, jak idą orły i Aniołowie.

A jacyż to byli ci pierwsi Apostołowie, przez Niego wybrani. Mogliście widzieć, Panowie, w czasach nam bliskich, próby apostołatu, ludzi, którzy po całym stuleciu zniszczenia uznali za rzecz dobrą i piękną budowanie: gdzież oni szukali swoich apostołów? Na najwyższych stopniach

świata; pozyskiwali sobie mężów uczonych, przodowników przemysłu, urzędników państwa. Nie tak uczynił Chrystus: chodziło o uwolnienie rodzaju ludzkiego od błędu; On wybrał swoich Apostołów nie wśród ciemężycieli umysłu, ale wśród ciemężonych; nie wśród filozofów i uczonych, ale wśród ubogich i prostaków. Pewnego dnia, przechadzając się na brzegu Morza Galilejskiego, ujrzał dwóch rybaków i rzekł do nich: „Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi” (Mt 4, 19). I tacy to byli pierwsi wyswobodziciele ducha ludzkiego.

Kiedy apostołat był już założony jako pień episkopatu, rozeszli się ci ludzie na wszystkie cztery strony świata, żeby w różnych krajach głosić Ewangelię. Ale jeszcze Kościół nie posiadał wszystkich składników potrzebnych do powszechności: bo któż miał utrzymywać wszystkich tych Apostołów rozproszonych w jednym związku, w jednej nauce? Kto miał przeszkodzić temu, żeby między tymi oddzielnymi Kościołami nie wytworzyły się z czasem różnice i przeciwieństwa? Kto miał starać się o to, żeby one pozostawały ze sobą w łączności? – Nie ma powszechności bez jedności. A więc apostołat potrzebował jakiegoś centrum; Apostołowie i biskupi, ich następcy, potrzebowali jednej głowy, jednego wodza. Myśl ta była jeszcze śmielsza i jeszcze nowsza niż apostołat. Jak to? Jeden wódz dla całego świata? Jak to? Na głowę jednego człowieka włożyć powagę, przeciwko której mogliby kiedyś walczyć wszyscy władcy ziemi! Ześrodkować jedność Kościoła w jednej głowie, którą może strącić jedno cięcie miecza! To było nowe, śmiałe, niemożliwe, a jednak to jest. Niedaleko od miejsca, gdzie zasiadali niegdyś zbrojni władcy świata starożytnego, siedzi starzec, którego głos rozkazuje i znajduje posłuch nie tylko w granicach największego państwa ziemskiego, jakie kiedykolwiek istniało, ale i poza wszystkimi morzami. On przetrwał nie jeden wiek, ale 18 wieków. On widział podnoszące się przeciwko niemu odszczepieństwa, herezje, króle, republiki, a pozostał niezachwiany na grobie, który stanowi jego siłę, mając za całą straż te krótkie słowa: „Ty jesteś Piotr [czyli Skala], i na tej Skale zbuduję Kościół mój” (Mt 16, 18).

Ale jeszcze Kościołowi czegoś brakowało. Gdyby wszyscy jego słudzy byli biskupami, z Papieżem na czele, mogłyby łatwo zerwać się więzy jedności dlatego, że godność i niezawisłość każdego byłaby zbyt wielka. A więc Jezus Chrystus ustanowił kapłaństwo, które miało, posłuszne biskupom, rozszerzać słowa Ewangelii, składać ofiarę i rozdzielać część sakramentów; potem diakonat, który miał wspierać kapłanów w ich urzędzie.

Namiestnik Jezusa Chrystusa miał posiadać władzę związywania i rozwiązywania na całej ziemi; on sam mógł ustanawiać biskupów, wyznaczać im ziemie i owczarnie. Biskupi mieli otrzymać władzę związywania i rozwiązywania w swoich diecezjach; oni mieli wyznaczać kapłanom podwładnym ziemie i owczarnie. Kapłani mieli stykać się bezpośrednio i stale z wiernymi, składać za nich świętą ofiarę, rozdzielać sakramenty, z wyjątkiem bierzmowania i kapłaństwa, głosić słowo Boże. Orzeczenia w rzeczach wiary, przepisy karności ogólnej, rządu Kościoła były zastrzeżone Papieżowi i biskupom. Taki ustrój Kościoła zapewniał mu jedność monarchii, działalność rozszerzającą demokrację, a między nimi można niejako arystokrację i tak w jego łonie były zespolone wszystkie pierwiastki potęgi: jedność, która utrzymuje porządek, działalność, która zdobywa, umiarkowanie, które nie pozwala jedności stać się absolutną a działalności stać się nieogłędną. Jest to ustrój doskonały, jakiego żaden rząd nie posiadał, bo we wszystkich rządach ludzkich dążył zawsze każdy z owych trzech pierwiastków potęgi do zniszczenia innych pod wpływem namiętności ludzkich. Bóg sam dokonał przez Syna swego tego arcydzieła.



Taką jest, Panowie, hierarchia, która jest założona dla zabezpieczenia na zawsze interesów prawdy. Ale wyłuszczać środki, które służą do tego celu, spełniłem tylko część swojego zadania. Bo czymże jest hierarchia? Są to ludzie. A czym są ludzie, jeżeli nie mają jakiejś potęgi? Czymże jest sam rodzaj ludzki, jeżeli jest bezbronny? A więc oprócz hierarchii musi Kościół posiadać jakąś potęgę. Otóż są tylko dwa rodzaje potęgi: siła, która zabija ciało i siła przekonywania, która zabija duszę, aby ją odmienić i inną postawić na jej miejscu. Która z tych potęg dana jest Kościołowi przez Boga?

Pewnego dnia, w jednym z miast wschodnich modlili się ludzie w pewnej izbie i oczekiwali czegoś, co było im przyrzeczone. Nagle przyszedł z nieba szum jakby wichru gwałtownego i napełnił cały dom, w którym byli. Języki ogniste okazały się nad ich głowami i pełni Ducha Bożego zaczęli mówić wszystkimi językami, którymi mówi się na ziemi. A jeden z nich, imieniem Piotr, stanąwszy, podniósł głos swój i tak przemówił do rzeszy zgromadzonej: „Mężowie Judejczycy i wszyscy mieszkańcy Jeruzolimy, przyjmijcie do wiadomości i posłuchajcie uważnie mych słów. Ci ludzie nie są pijani, jak przypuszczacie..., ale spełnia się przepowiednia proroka Joela: «W ostatnich dniach – mówi Bóg – wyleję Ducha mego na wszelkie ciało, i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze, młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy – sny»” (Dz 2, 14-17). Potęgą więc, którą Bóg dał swojemu Kościołowi, była to potęga Jego Ducha. Ale to potęga niewidzialna. Bóg zaś chciał dać także Kościołowi, który miał działać w czasie, potęgę czasu, tj. albo siłę przekonywania albo siłę materialną, bo tylko te dwie działają na człowieka w czasie. Którą więc z nich otrzymał Kościół?

Nie jest to siła materialna. Kiedy Jezusa Chrystusa napadnięto w ogroju oliwnym, jeden z Jego uczniów dobył miecza, ale Pan rzekł do niego: „Schowaj miecz swój do pochwy, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną” (Mt 26, 52). A kiedy rozsyłał swoich Apostołów, żeby głosili słowo Boże, powiedział do nich: „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębice” (Mt 10, 16). – Widzicie, Panowie, że my nie jesteśmy uzbrojeni jako wojownicy, ale jako owce i gołębice; tylko roztropność jest nam zalecona, ponieważ nikt nie ma prawa obchodzić się bez niej w stosunkach z ludźmi. Jedyną zemstą, na którą nam pozwala Ewangelia, jest strząśnięcie prochu z nóg naszych: „Gdyby was gdzie nie chciano przyjąć i nie chciano słuchać słów waszych, wychodząc z takiego domu albo miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych” (Mt 10, 14). Proch – to, co jest najłabsze, najmniej szkodliwe, najbliższe nicości! Oto jest wszystko, na co nam pozwolono: strząśnąć na świat trochę kurzu!

A więc dana nam jest tylko siła przekonywania. Jakież jest jej działanie?

Podstawą tej siły jest rozum. Kościół więc musi posiadać najwyższy rozum, jaki istnieje pod niebem. Rozum ten powinien być najwyższą potęgą metafizyczną, najwyższą potęgą historyczną, najwyższą potęgą moralną, najwyższą potęgą społeczną.

Najwyższą potęgą metafizyczną, to znaczy na wszystkie zagadki i tajemnice przeznaczeń ludzkich, on ma podawać nawiązanie najrozumniejsze i najwznioślejsze, wobec którego nie może utrzymać się żadna z odpowiedzi, które dawały w różnych czasach nauki religijne i filozoficzne. Że Kościół posiada ten rozum najwyższy, tego będę starał się dowieść w tych konferencjach.

Najwyższą potęgą historyczną: przyszłość jest dla nas zasłonięta i nie wiemy, co przyniesie; ale przeszłość należy do tych, którzy ją posiadają rzeczywiście i nikt, największy nawet geniusz lub najmniejszy władca, nie może sobie wyrobić prawa obywatelstwa w przeszłości, jeżeli ona go nie nosiła w swych głębiach niedostępnych. Otóż nikt nie zajął w niej tyle miejsca, co Kościół. Kościół – to przeszłość ludzkości, to sama jej historia. Jeżelibyście więc chcieli zrobić się czymś po za nim,

musielibyście siebie, swój proch, postawić na początku i powiedzieć: „Oto prawda zaczyna się ode mnie!” Byłoby to uproszczenie, którego ludzkość nie zniesie nigdy. To znamię nowości właściwe jest sektom chrześcijańskim i to jest wyrok, który je potępia. Jak wczoraj, tak dziś i za tysiąc lat, jeżeli one jeszcze żyć będą, można będzie powiedzieć do ich założyciela: „Owego dnia, o tej godzinie, byłeś w Wittembergu, stanąłeś na placu publicznym, w habicie zakonnym; trzymałeś w rękach bullę twego papieża i wrzuciłeś ją w ogień!... Ale ludzkość wyprzedziła cię o kilkadziesiąt wieków, – to było za późno!”. – A kiedy do nas ktoś mówi, – do nas, którzy mamy za sobą tak długą przeszłość, że zrobilibyśmy dobrze, gdybyśmy stali się bardziej nowoczesnymi, jest to tak, jak gdyby ktoś powiedział do jednego z królów francuskich, żeby poszedł do kościoła św. Dionizego, wyjął stamtąd kości swoich przodków i wrzucił je do Sekwany, na to, żeby grobowiec był czystszy, gdy on sam tam spocznie! Ludzie rozumieją dobrze, że ta potęga historyczna jest naszą siłą, naszą chwałą i dlatego zaprzeczają nam jej zaciekle i wymyślają przeciwko nam bajeczne chronologie. Łatwo to zestawiać cyfry, ale człowiek nie stwarza dni, a kiedy zmęczy się układaniem kłamliwych rodowodów, znajduje niespodzianie na jakimś kamieniu albo na kawałku starego papieru coś, co wystarcza na zniweczenie jego wymysłów. My przeciwnie, my mamy swoją tradycję, swoją księgę, a jako świadka tej tradycji, jako stróża tej księgi, naród, żyjący od tyłu wieków. Są Żydzi wśród moich słuchaczy – i wszędzie znajduje się ten człowiek, którego język ludowy tak dobrze nazwał „Żydem wiecznym tułaczem”. Gdziekolwiek kapłan przemawia, musi obudzić jakiegoś człowieka wiecznego, Żyda, który powstaje, żeby powiedzieć: „Tak, to prawda, ja tam byłem!”.

Najwyższą potęgą moralną: Kościół bowiem jest czysty, on rodzi czystość, a nie ma moralności bez czystości. Czystość tworzy rodziny, dynastie królewskie, geniusz, narody długo żyjące i silne. Gdzie nie ma tej cnoty, tam jest tylko błoto w grobowcu. O, jeżeli tu są ludzie, którzy nie są moimi braćmi przez wiarę, chcę tylko odezwać się do ich sumienia i zapytać ich: Czy jesteście czyści? Jakże moglibyście wierzyć, jeżeli nie jesteście czyści? Czystość jest starszą siostrą prawdy; bądźcie czyści przez jeden rok a odpowiem za was przed Bogiem. Dlatego, że posiadamy tę cnotę, jesteśmy silni, ci zaś, którzy uderzają na beżeństwo kapłańskie, tę aureolę duchowieństwa katolickiego, wiedzą dobrze, co robią. Sekty heretyckie zniosły je u siebie; jest to termometr herezji: każdemu stopniowi błędu odpowiada stopień, jeżeli nie pogardy, to przynajmniej obniżenia tej cnoty niebiańskiej.

A wreszcie, najwyższą potęgą społeczną: żadna społeczność nie może istnieć, jeżeli nie jest oparta na poszanowaniu władzy przez ludy i ludów przez władzę. Otóż Kościół katolicki podnosi poszanowanie ludów dla władzy do najwyższego stopnia, on przemienia władcę w ojca – tak, że kiedy ojciec zbłądzi, postępują sobie dzieci jak synowie patriarchy i pokrywają jego błędy płaszczem swego powołania. A jednocześnie Kościół wlewa w serca władców cześć głęboką i tkliwą dla ich ludów; on nakłania ich do tego, że wypełniają w swoich pałacach i otoczeni przepychem królewskim, to słowo ewangeliczne: „Kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą” (Mt 20, 26).

Siła przekonywania, którą Kościół zawdzięcza temu światłu, udzielonemu przez Boga, okazała się niezmierną. Można było wydrzeć mu wszystko: jego dziedzictwo, pomoc władzy świeckiej, wolność wszystkim wspólną; można było wtrącać jego sługi do więzień, zamęczać ich na stosach; ale nie można uwięzić rozumu, spalić faktów, zbezczeszczyć cnoty, zamordować logiki. Jesteśmy więc silni, Panowie, najpierw przez Ducha Bożego, który w nas przemawia, ale także duchem ludzkim, który, gdy bada spokojnie naszą historię, nasze dogmaty, naszą etykę, musi przyznać, że nie ma nic ugruntowanego silniej.

Ale to jeszcze nie wystarczało. Historia oświeca tylko tych, którzy ją badają; myśli przemawiają tylko do tych, którzy mogą je porównywać; cywilizację potrafią ocenić tylko ludzie, którzy ją posiadają sami. Kościół potrzebował innego sposobu przekonywania, jeszcze bardziej ludzkiego, to znaczy, działającego ogólniej: Bóg dał Kościołowi swojemu *m i ł o ś ć*. Nie ma serca, do którego Kościół nie mógłby dotrzeć przez miłość; nieszczęście bowiem króluje na ziemi i prędzej czy później każde serce ulega jego berłu. Można opierać się łasce, rozumowi; – ale któż oprze się miłości? Czemuż miałoby się nienawidzić tych, którzy czynią dobrze? Czemu zabijać tych, którzy oddają swe życie? Odtąd mógł Kościół iść z otuchą na zdobycie świata; bo wszędzie na świecie wylewa się łzy i one są dla nas czymś tak naturalnym, że nawet gdyby nie miały żadnej przyczyny, płynęłyby bez przyczyny, dla samego czaru tego nieokreślonego smutku, którego dusza nasza jest studnią głęboką i tajemniczą. Metafizyka i historia są kolumnami prawdy: ale te kolumny są ukryte w podwalinach świątyni, ogląda się je tylko przy świetle pochodni i z ludźmi wybranymi. Proboszcz wiejski nie wejdzie z zasobem wiedzy naukowej do chaty ubogiego; – wejdzie tam z miłością. Znajdzie duszę cierpiącą i dlatego otwartą. A ubogi, widząc kapłana, który przychodzi do niego z poszanowaniem dla jego nędzy i współczuciem dla jego boleści, łatwo rozpozna prawdę pod szatą miłości.

Kiedy jednak mówię o miłości, nasuwa mi się pewna wątpliwość: O mój Boże! czy jest w nas taka miłość, jaka być powinna? Czy są między wami, którzy jesteście młodzi, dusze pełne ognia i czułości dla Boga i dla ubogich? Czy nie widzicie, że wokół was wzmaga się boleść, wypełnia się miara i świat już wisi nad straszliwą przepaścią? O Boże mój, daj nam świętych! Nie widzieliśmy ich od tak dawnego czasu. Niegdyś mieliśmy ich tak wielu! Spraw, żeby jeden powstał z ich popiołów: „Exoriare aliquis ex ossibus!” [Z mych kości powstań!].

Ponieważ więc Kościół, Panowie, tak jest zbrojny rozumem i miłością, najwyższym rozumem i najsilniejszą miłością, cóż można zdziałać przeciwko niemu? Można mu tylko albo zostawić wolność, albo mu używać opieki albo go prześladować.

Jeżeli mu zostawi się wolność, rozwinie on wszystkie siły swoje i będzie pozyskiwał jedną duszę po drugiej; rozszerzy się tak, że zdumieni książęta ziemi będą spoglądali na siebie, mówiąc: „Cóż to za potęga, co napęłnia wszystko, nasze miasta i wsie, nasze place publiczne i chce nas pozostawić samotnych w naszych pałacach?”. I książęta wybierają jeden z tych dwóch sposobów: używają Kościołowi opieki albo go prześladowają.

Jeżeli Kościół zażywa opieki jak za czasów Konstantyna, jest to potęga, złączona z drugą potęgą; płaszcz cesarski, osłaniający Kościół, nie może go hańbić, a może mu być pożytecznym.

Jeżeli zaś przeciwnie doznaje on prześladowania, wtenczas dopiero piękne dla niego nastają chwile! To chwile, które Bóg dopuścił w czasie męczenników i później nieraz, kiedy Kościół popadał w senną martwość. Czy wiecie, co powiedział na łożu śmiertelnym założyciel ostatniego wielkiego zakonu religijnego, św. Ignacy, do swoich uczniów strapionych, którzy go pytali: „Ojczy, czy nam niczego nie życzysz?” – „Dzieci moje” – odrzekł – „życzę wam prześladowań”. – Prześladowanie! Oto nasza kolebka. Ja sam wyszedłem z krwi, aby do was przemawiać. Gdzieżbym był, gdyby nas był wiek XVIII do końca pozostawił w spokoju? Ale prześladowanie przyszło i teraz, gdy nas szukają, my żyjemy, oto jesteśmy!

Wolny, protegowany, prześladowany, – Kościół nie traci nic pod żadnymi z tych rządów; wszystkie dają mu życie, potęgę i chwałę. Dzisiaj na całej ziemi Kościół jest pozbawiony swego dziedzictwa, którego nabył w ciągu wieków swoimi cnotami; władza świecka usunęła się od niego; nowa potę-

ga, – potęga prasy sprzysięgła się na jego zgubę, ale oto wśród zmiany powszechnej Kościół zawsze jeszcze uczy i przekonywa, a nieprzyjaciele jego zdumieni, nie mogąc pojąć jego żywotności, zabawiają się przepowiadaniem mu śmierci. Podobny do kurzu, który, przelatując obsypuje wędrowca, wiek ten zrujnowany łyż wieczność Kościoła, a nie spostrzega, że sama tegoż niewzruszoność jest dowodem jego siły. Wzniesiony wśród świata przez przekonywanie, trwające 18 wieków, na podwalinie starożytnej 40-wiekowej, Kościół katolicki jest niezwykły, bo to samo, co mógł zdziałać wszędzie, potrafi spełniać zawsze. To, co jest powszechne, jest wieczne, bo powszechnym może być w ludzkości tylko to, co jest w związku koniecznym z naturą ludzką, a ponieważ natura ludzka nie zmienia się, więc i to nie ulega zmianom, co jest z nią w związku koniecznym. Gdyby przekonanie, tak rozszerzone i tak długo trwające, jak to, które zawdzięczamy Kościołowi, mogło zagać w duchu ludzkim, byłby to koniec i rozumu ludzkiego. Cóżby było rzeczywistością, gdyby taka rzeczywistość była tylko złudzeniem? Przeciwnicy Kościoła najnowsi, dzisiejsi, utrzymują, że rozum ludzki jest to ciągły postęp, gdzie każda myśl nowa zabija dawniejszą, gdzie nie ma nic stałego i bezwzględego, gdzie wszystko musi ginać, z wyjątkiem tej niepojętej władzy, która daje życie na chwilę temu, co, niebawem umiera. Przez to wyznają oni nicość swoich nadziei i nicość rozumu, który tylko przesuwają się przez groby, pozostawiając w nich trochę popiołu. Ale, jak powiedział Bossuet, „ten dział nikczemny nie jest im zapewniony”; nigdy rodzaj ludzki nie zgodzi się na takie zwątpienie – on, który tyle się spodziewał! Nigdy nie zatraci się w nim siła przekonywania, a Kościół jest właśnie tą siłą, podniesioną do najwyższego stopnia, jest królestwem siły przekonywania.

O Panowie! jeżeli jest coś pięknego i świętego na ziemi, jest to ten ustrój boski, który wam opisałem. Cóż obok niego stawiają l u d z i e ? Oni tworzą przez użycie siły państwa, które też siła obala. Cyrus burzy dzieło Ninusa, Aleksander dzieło Cyrusa, Rzymianie dzieło Aleksandra. Siła prędzej czy później zderza się z siłą; siła przekonywania odosobniona, spotyka się także z innymi tego rodzaju: ale kiedy siła przekonywania zwyciężyła świat, nie schlebując jego namiętnościom, lecz głosząc potrzebę ofiary, wtedy dokonane jest dzieło boskie i nieśmiertelne. A jeżeli to byli rybacy, którzy to zrobili, jeżeli kilku Galilejczyków założyło to wielkie królestwo siły przekonywania, pomimo oporu wrogich sił fizycznych, wtedy mamy przed sobą dzieło boskie i nieśmiertelne, wznoszące się ponad wszystko, co jest stworzone. I oto ja, sługa tego dzieła, jeden z Galilejczyków, mówię do was, dzieci tego świata: Dokądże będziecie trudzili się nad tym, co przemija, a walczyli z tym, co trwa? Dokądże będziecie przenosili siłę fizyczną nad siłę przekonywania, materię ponad ducha? Mówicie ciągle: Nie trzeba Kościołowi pozostawiać swobody, bo stałby się zanadto potężnym, – to znaczy, trzeba przytłumiać siłę przekonywania, bo ona by i nas ujarzmiła wbrew naszej woli! Co moglibyście powiedzieć, co by lepiej poświadczyło boskość Kościoła? Zrozumieście nareszcie, czym on jest, z tego, co głosi nienawiść jego wrogów; niech was przekona cudowny jego ustrój i jego historia, że jego założenie i trwanie nie są dziełami możliwymi dla człowieka; zrozumieście, że wszystko, co dobrego dzieje się na świecie, pochodzi od niego wprost lub pośrednio i zapragnijcie stać się jego synami, jego apostołami i przyłączyć się do dobroczyńców rodzaju ludzkiego! Jest czas po temu; wszystko jest zburzone i wszystko trzeba odbudować na nowo: a sam tylko Kościół katolicki może założyć podwaliny gmachu niewzruszonego, bo tylko on posiada wszelki rozum i wszelką miłość, a człowiek jest zbyt wielki, żeby go mogło ocalić coś innego oprócz najwyższego rozumu i najsilniejszej miłości.

Cytat za: H. Lacordaire, *Konferencja o ustroju Kościoła*, „Miesięcznik Katechetyczny i Wychowawczy” 5 (1916) z. 10, s. 421-429.



Kardynał John Henry Newman  
(1801-1890)





## *Ex umbris et imaginibus in veritatem*

**D**ziewiętnastowieczne odrodzenie kaznodziejstwa widoczne było nie tylko we Francji i w Niemczech, lecz również w Anglii. Znaczącą rolę odegrali w tym kardynałowie: Mikołaj Wiseman (1802-1865) i Henry Edward Manning (1808-1892) oraz głośny konwertyta i kaznodzieja William Faber (1814-1863). Jednak najwybitniejszym reprezentantem myśli chrześcijańskiej i wybitnym kaznodzieją tego wieku będzie przede wszystkim John Henry Newman.

Ten członek zamożnej rodziny bankierskiej wyznania anglikańskiego, urodzony 21 lutego 1801 roku w Londynie, był niezwykle silną, świadomą swych celów, osobowością. Posłany do Oksfordu w 1816 roku podjął z zapałem studia teologiczne nabywając jednocześnie rozległą wiedzę we wszelkich dziedzinach humanistyki, z której słynął ten uniwersytet. Świetny wychowanek Oriel College, wcześniej wybrany tam na członka grona nauczającego (*fellow*), postanowił zostać duchownym. W czerwcu 1824 roku został wyświęcony na diakona w oksfordzkim Christ Church, a w maju następnego roku w tej samej świątyni na anglikańskiego księdza.

### Pastor parafii Panny Maryi

Kościół S. Mary the Virgin znajduje się w samym centrum Oksfordu, przy głównej ulicy, High Street, a zarząd i opiekę nad nim oraz parafią sprawuje rektor i członkowie Oriel College. Na zebraniu kolegium, które odbyło się na początku roku 1828, dwudziestosiedmioletni ksiądz John Henry Newman, od roku 1822 jego członek, został mianowany proboszczem na miejsce Edwar- da Hawkinsa, wybranego z kolei na stanowisko rektora. W chwili nominacji młody duchowny był już znany jako kierownik studiów. Niemniej teraz, w ciągu stosunkowo krótkiego czasu piętnastu lat, Newman zdobędzie taki wpływ na uniwersytecie, jakiego nie miał nikt przedtem ani potem. Należy dodać, iż mieć wówczas wpływ w Oksfordzie znaczyło oddziaływać w znacznej mierze na intelektualne i religijne życie całego kraju.

J. H. Newman głosił kazania co tydzień, w niedzielę, w czasie nieszporów o godz. 17. Były to kazania, które potem zebrał i wydał w ośmiu tomach jako *Parochial Sermons (Kazania parafialne)*. Oprócz tego piętnaście razy wystąpił jako kaznodzieja uniwersytecki. W Oksfordzie istniał bowiem zwyczaj gromadzenia się grona akademickiego dziesięć razy w roku w celu wysłuchania kazań specjalnie na tę okazję wybranego kaznodziei. W pierwszej połowie XIX wieku były to jeszcze wydarzenia szczególnie podniosłe: wicekanclerz i władze kolegiów przychodzili do kościoła S. Mary w togach, w uroczystej procesji. Czternaście tych *Kazań uniwersyteckich* Newman wydał w 1843 roku. W 1872 roku ukazało się trzecie wydanie (*Fifteen sermons preached before the Univer-*

sity of Oxford between A.D. 1826 and 1843), do którego autor dodał wtedy jeszcze jedno kazanie i przypisy, a całość opatrzył specjalną przedmową.

W czasach Newmana do parafii Panny Maryi przyłączona została wieś Littlemore, oddalona o około trzy mile od kościoła uniwersyteckiego, gdzie odprawiane były także wiejskie nabożeństwa. Newman zdecydował jednak, że wioska musi posiadać swój własny kościół. Otwarto go 22 września 1836 roku, w dniu, który zawsze zachował się w jego pamięci. W Littlemore czuł się bardzo szczęśliwy. Zamieszkał tam na początku roku 1840.

### *Oxford Movement*

W roku 1832 J. H. Newman wyruszył w podróż na południe Europy w towarzystwie jednego z przyjaciół z Oriel College, teologa Richarda Hurrella Froude. Na Sycylii ciężko chorował. Podczas tej choroby nawiedziła go myśl, że ma coś bardzo ważnego do zrobienia. Tym czymś bardzo ważnym stał się tzw. *ruch oksfordzki* (*Oxford Movement*), za którego początek uważał dzień 14 lipca 1833 roku, kiedy to jego kolega z Oriel College John Keble wygłosił do prawników kazanie o problemach anglikańskiego Kościoła.

Jako młody uczoney i kaznodzieja Newman stał się jedną z głównych postaci ruchu odnowy w łonie anglikanizmu, działającego poprzez pisanie i rozsyłanie traktatów (stąd zwano go też *Tractarian movement*) dotyczących najbardziej fundamentalnych problemów teologii i życia Kościoła panującego w Anglii. Uczestnikami ruchu oksfordzkiego byli: John Henry Newman, James Anthony Froude, teolog Edward Bouverie Pusey i inni intelektualiści, połączeni wspólnym pragnieniem odnowienia anglikanizmu poprzez mocniejsze oparcie go na chrześcijańskiej tradycji. Zagadnienie kluczowe dotyczyło tożsamości tego Kościoła i sprowadzało się do pytania: do jakiego stopnia jest on autentycznym spadkobiercą apostołowskiej tradycji i czy może tego spadku bronić z pozycji pośredniej między katolicyzmem a protestantyzmem? Przez dłuższy czas Newman był przekonany, że kroczy właściwą drogą środkową (*via media*).

Jednakże podczas gruntownych studiów stopniowo w myśli Newmana dokonywało się to, co on sam będzie nieraz ujmował w stwierdzeniu, że ojcowie Kościoła przyprowadzili go do katolicyzmu. Z największą żarliwością i trzeźwością zaczął pisać dzieło mające ująć historię chrześcijaństwa w ciągu dwóch tysiącleci: *An Essay on the Development of Christian Doctrine* (*Rozprawa o rozwoju nauki chrześcijańskiej*). Pracował nad nim przez osiemnaście godzin dziennie, stojąc przed pulpitem, zestawiając dokumenty i stare teksty. Dzieło to ukazało się w 1845 roku. Właśnie podczas pracy nad nim John Henry Newman postanowił wyrzec się swego miejsca w Oriel College, opuścić Kościół anglikański i przejść do Kościoła katolickiego.

25 września 1843 roku w małym kościółku w Littlemore wygłosił Newman swoje ostatnie kazanie w Kościele anglikańskim: *O rozstaniu przyjaciół*. Nie było

w kościele osoby, która by wtedy nie płakała. Jedyne mówca pozostał spokojny i pozornie niewzruszony. Dr Pusey i kilku innych płakali w głos, a ich płacz rozlegał się echem w całym kościele. Końcowe słowa kaznodziei skierowane były do tych, którzy byli jego kolegami i przyjaciółmi w szczęśliwszych dniach: „O, moi bracia, o moje oddane i czułe serca, kochani przyjaciele, jeżeli znaliście kogoś, którego udziałem było za pomocą pióra lub słowa mówionego pomóc wam w tym, żebyście postępowali tak, a nie inaczej; jeżeli ktoś powiedział wam kiedyś o czymś, o czym wy sami wiedzieliście lub czego nie wiedzieliście; czytał wam o waszych pragnieniach lub uczuciach i pocieszał was samym czytaniem; rozbudził w was świadomość życia doskonalszego niż to codzienne, i świata szczęśliwszego niż ten, który oglądacie; zachęcał was lub oświecał, wskazywał drogę pytającym o nią lub kołł wasze niepokoje; jeżeli to, co powiedział lub uczynił, zwróciło kiedykolwiek waszą uwagę na niego i sprawiło, że odnieśliście się do niego z prawdziwą życzliwością: pamiętajcie o nim i później, chociaż nie będziecie go już słuchać, módlcie się za niego, aby we wszystkim mógł poznać wolę Bożą i aby zawsze był gotów ją spełnić”. Po tym kazaniu opuściwszy ambonę Newman zdjął kaptur i zarzucił go na balustradę przed ołtarzem, jak gdyby na znak, że przestał już być nauczycielem w Kościele anglikańskim.

9 października 1845 roku angielską opinią publiczną wstrząsnęła wieść o przejściu głośnego oksfordczyka na katolicyzm. Decyzja była w najwyższym stopniu dramatyczna. Poprzedziło ją wielkie wewnętrzne zmaganie, a po niej nastąpiła konieczność rozstania się z umiłowanym Oksfordem. W ówczesnej Anglii nie mogło być mowy o zachowaniu posady w tym miejscu dla konwertyty tej orientacji. Tymczasem *ruch oksfordzki* trwał nadal w Kościele anglikańskim, pogłębiając zainteresowanie liturgią, ascetyką i doktryną chrześcijańską.

## W Kościele rzymskokatolickim

Rozpoczęła się druga część Newmanowskiej biografii. Przekroczenie życiowego Rubikonu nie było łatwe i z tego powodu, że grono katolików, do którego się przyłączył, nieliczne wtedy w Anglii i słabo wykształcone, niejednokrotnie patrzyło na niego z dużą nieufnością. 13 maja 1847 roku w Rzymie Newman przyjął katolickie święcenia kapłańskie. W Wiecznym Mieście wstąpił też do zgromadzenia oratorianów św. Filipa Neri. Wróciwszy do ojczyzny założył w 1848 roku angielską wspólnotę oratorianów w Birmingham. Miała ona być jego głównym środowiskiem do końca życia, ale od tej pustelni wypełnionej pracą pisarską odrywały go od roku 1854 obowiązki rektora świeżo założonego uniwersytetu katolickiego w Dublinie, które będzie dźwigał do roku 1858. Starał się o wprowadzenie do tej uczelni takiego modelu kultury humanistycznej, do jakiego przywykł w Oksfordzie, a który pogłębił swoją własną twórczością; koncepcję studiów wyższych sformułował w wygłoszonych do studentów i profesorów, a później wydawanych w zbiorach książkowych, cyklach wykładów.

John Henry Newman rok za rokiem publikował teksty, które miały być pokarmem wielu czytelników w XIX i XX wieku. W jego spuściznie pisarskiej obok wielkich dzieł filozoficznych (np. wyróżniająca się głęboką dojrzałością intelektualną *An Essay in Aid of a Grammar of Assent – Rozprawa mająca wspomóc gramatykę przyświadczenia*, 1870) i teologicznych znajdują się także utwory o charakterze bardziej literackim, jak dwie powieści, hymny i poematy. Najbardziej znany jest *The Dream of Gerontius (Sen Geroncjusza*, 1866) o wznoszeniu się sprawiedliwej duszy ku Bogu. Tekstami o dużym potencjale artystycznym i filozoficzno-teologicznym, nacechowanymi przy tym bardzo osobistymi wypowiedziami Newmana są, zapisywane przez niego w różnych latach, *Rozmyślenia i modlitwy*. Na końcu tego zbioru znajduje się testament. Podany jest w nim łaciński tekst, jaki miał być umieszczony na grobie: *Ex umbris et imaginibus in veritatem die – A. S. 18... Requiescat in pace (Spośród cieni i obrazów ku prawdzie w dniu... Roku Zbawienia Tysiąc Osiemset... Niech spoczywa w pokoju)*. Komentując ten tekst, Newman odwołuje się do greckich pojęć: *eikon* – obraz i *skia* – cień. Dwa te słowa w jego myśli określają świat, w jakim się egzystuje w tym życiu: jest on zarazem cieniem zasłaniającym rzeczywistość i znakiem, obrazem prawdy drugiego brzegu. Najślawniejszym dziełem Newmana miała się stać jego duchowa autobiografia *Apologia pro vita sua (Wythumaczenie się ze swego żywota*, 1864). Książka ta zrodziła się z doświadczonego cierpienia autora. Jego poglądy nie mogły być zaakceptowane przez wielu protestantów; został też przez jednego z ich grona, Charlesa Kingsleya, posądzony o zakłamanie. J. H. Newman zareplikował z niedościgną jasnością wywodu, utrwalając swoją reputację mistrza angielskiej prozy. Pisząc o swoim nawróceniu stwierdzał: „Było to jak wpłynięcie do portu po żegludze przez burzliwe morze, a radość moja z tego faktu do dziś trwa niczym nie zakłócona”.

Dawna jego uczelnia nie zapomniała o nim, a z czasem nawet przeciwnicy zaczęli szanować rzetelność jego umysłu; w grudniu 1877 wybrano go honorowym *fellow* Trinity College w Oksfordzie. 12 maja 1879 roku papież Leon XIII, wysoko ceniący prace Newmana, powołał go do kolegium kardynalskiego. Przyznanie mu tej godności było docenieniem ogromnego wpływu wywieranego przez niego nie tylko na Kościół katolicki w Anglii, ale i na szerokie kręgi angielskiego społeczeństwa. Późne lata życia John Henry Newman spędził w zaciszu swego oratorium, gdzie zmarł 11 sierpnia 1890 roku.

### Teoretyk nowoczesnego kaznodziejstwa uniwersyteckiego

W drugiej fazie swego życia Newman najszerzej udzielał się jako rektor katolickiego uniwersytetu w Dublinie. W cyklu klasycznych odtąd wykładów, wygłoszonych w roku 1852, wychowanek Oksfordu dał zarys swych teorii. Koncepcję studiów wyższych sformułował w wygłoszonych do studentów i profesorów dwóch cyklach wykładów. W drugim cyklu szósty wykład poświęcił zagad-

nieniom kaznodziejstwa uniwersyteckiego (*University Preaching*). Newman odpowiada tam na pytanie, jaki powinien być kaznodzieja uniwersytecki. Pojawia się tu charakterystyczny dla niego nacisk na to, co według niego jest istotne. Wprawdzie wylicza tak oczywiste walory mówcy jak talent, logika, uczoność, zasób słów, sposób bycia, głos, gestykulacja, ale swą uwagę skupia zasadniczo na jednym z głównych celów wszelkiego głoszenia kazań – na dobru dusz. Jego zdaniem kaznodzieja przypomina wprawnego strzelca, którego zadaniem jest trafić w środek tarczy. Pomagają mu w tym powaga i żarliwość, wysoki poziom życia moralnego, który słuchacze łatwo wyczują. Newman podaje następnie szereg obserwacji i wskazówek czerpanych z własnej, długiej praktyki kaznodziejskiej. W dużej mierze dotyczą one wszelkiego publicznego przemawiania, nie tylko „wymowy w kontekście sakralnym”, choć Newman obficie cytuje formuły z tradycji homiletycznej. Aby przezwyciężyć pokusę ornamentacyjnego pustosłowania domagał się od kaznodziei jasno sprecyzowanego tematu kazania. Mówca musi mieć świadomość, do jakiego słuchacza kieruje swe słowa. Jeśli głosi do audytorium uniwersyteckiego, musi wziąć pod uwagę jego specyficzne właściwości: męski ówczasnie skład słuchaczy, ich młodość i aktualnie nabywane wykształcenie. W tym wypadku bardziej od innych narzucają się te tematy, które uwzględniają niebezpieczeństwa młodego wieku, grożące cnotcie lub wierze. Uniwersyteckie audytorium nakłada obowiązek większej staranności w przygotowaniu kazań, rozległej wiedzy, dobrego przekazu – zawsze jednak w połączeniu z prostotą. Na końcu Newman próbuje odpowiedzieć na pytanie co do samego sposobu wygłaszania. Zdecydowanie zaleca napisanie całości kazania, które może być potem wygłoszone z pamięci lub częściowo odczytane.

### Ceniony kaznodzieja uniwersytecki

Życie J. H. Newmana było najważniejszym potwierdzeniem głoszonych przez niego kazań. Nie ma między nimi rozdźwięku; słowo, które głosił, płynęło z jego ducha i życia. W swym kaznodziejstwie Wielki Oksfordczyk umiejętnie łączył wskazania biskupa Regensburga Johanna Michaela Sailera († 1832) i duńskiego pastora protestanckiego Sørensa Kierkegaarda († 1855). Ten ostatni domagał się, aby przepowiadanie było ze strony głoszącego świadectwem egzystencjalnie przeżytej prawdy, natomiast w stosunku do słuchacza – osobistym wezwaniem, orędziem angażującym egzystencjalnie i personalnie. Tak ukształtowane kaznodziejstwo Newmana opiera się na fundamencie biblijnym i patrystyce, a zwłaszcza myśli filozoficznej i teologicznej dwóch intelektualistów z III wieku: Klemensa Aleksandryjskiego i Orygenesusa. Głoszone słowo Boże było dla Newmana quasi-sakramentem, orędziem skierowanym do sumienia słuchaczy. Przyjąwszy go podejmują oni odpowiedzialność za dalsze jego losy i z kolei sami stają się świadkami. Kazania Newmana charakteryzuje chrystocentryzm i do-



skonana znajomość ludzkiej psychiki. Dwa łacińskie sformułowania streszczają nie tylko jego życie, ale stanowią także myśli przewodnie jego kaznodziejstwa. Są to: nie dające się stłumić dążenie do prawdy ujęte najtrafniej w napisie na grobowcu: *Ex umbris et imaginibus in veritatem* oraz doskonała znajomość człowieka, co dobrze oddają jego słowa: *Cor ad cor loquitur*.

Żaden inny wielki kaznodzieja nie podlegał tak zróżnicowanej krytyce, jak Newman. Z jednej strony uważano go za wstrętne kazuistę, który, jako rzymski duchowny, chciał uprowadzić swoich anglikańskich przyjaciół do papistów, z drugiej krytykom tym przeciwstawiali się wybitni intelektualiści i szczerze podziwiający Newmana przyjaciele. William Thackeray i Edward Fitzgerald zaliczają jego kazania do najlepszych, jakie kiedykolwiek zostały napisane. Liberala Thomas Macaulay znał na pamięć *Drugą wiosnę Kościoła*, czyli kazanie, które zostało wygłoszone na synodzie w Oscott z okazji odnowienia katolickiej hierarchii w Anglii, a pozytywista G. Eliot nie mógł go cytować bez tęż.

Newman reprezentował typ nowoczesnego kaznodziei. Nie był to mówca w stylu św. Jana Chryzostoma, św. Bernarda z Clairvaux albo Hieronima Savonaroli, którzy przyciągali masy i zachwycali je wywołując duże poruszenie. Nie był kaznodzieją klasycznym jak J. Bossuet, L. Bourdaloue czy J. Massillon. Różnił się od nich kompozycją, rozwijaniem myśli, retoryką. Jego wystąpienia były bardzo skromne. Czytał czasem swoje kazania ledwo słyszonym głosem bez gestykulacji i podkreślania omawianych spraw. Podczas kazania nie widziano jego rąk. J. H. Newman rezygnował ze wszystkich zewnętrznych oznak. Jego uczciwe, głęboko pojmowane posłannictwo zbawienia napełniało i poruszało go wewnętrznie tak bardzo, że potrafił je przenosić na swoich słuchaczy. Pozwalał im brać udział w jego poszukiwaniu i zgłębianiu prawdy. Z całą mocą wiary wnikał w życie duchowe Chrystusa. Prawdziwym arcydziełem jest – zamieszczone poniżej – kazanie *Chrystus ponad wodami*. Zawarł w nim podziw dla Kościoła katolickiego, który na jego oczach odradzał się po wiekach prześladowań.

Większość kazań Newmana skierowana była do wykształconych słuchaczy, do wiktoriańskiego społeczeństwa owych czasów, a więc do ludzi, u których życie religijne prawie zanikło, których serca stały się zimne, a duch schorzał na liberalizm i nowoczesną tolerancję. Zawsze miał przed swymi oczyma określony typ słuchaczy. Uważał bowiem, iż „określoność jest istotą kaznodziejstwa. Określony słuchacz, nie cały świat; określony temat, a nie całość tradycji ewangelicznej, i podobnie, określony mówca” (*Idea of a University*). Dlatego swoich słuchaczy napominał i zachęcał do umiłowania chrześcijańskiej nauki. Wybierał tematy z dziedziny wiary i moralności i tak je kształtował, by w sercach swoich słuchaczy kruszyć samopodobanie się i odkrywać ich obyczajową lekkomyślność. W kazaniach tych dominuje idea grzechu i kary. Ma ciągle na uwadze cztery rzeczy ostateczne: „Musisz żyć w obawie i nadziei. Nie masz żadnej pewności zbawienia. Obawa zapewni ci to, czego się obawiasz” (*Parochial and Plain Sermons* 1, 24). Jednak ta obawa nie ma nic do czynienia



ze zwieszaniem głowy. „Smutek nie jest chrześcijańskim nastrojem. Musimy żyć w promieniach słońca nawet jeśli mamy troski”. W kazaniach moralizatorskich potrafił powiązać piękno i surowość życia chrześcijańskiego.

W odróżnieniu od Bossueta czy Massillona, którzy w swoich kazaniach podejmowali obszerne zagadnienia, Newman wybierał tematy cząstkowe. Nie mówił więc jak Bossuet o Opatrzności Bożej; rozwijał nie cały dogmat, lecz tylko podawał do wiadomości swoim słuchaczom, że Bóg troszczy się o każdego z nich z osobna. Newman porywał swoich słuchaczy nie tylko umiłowaniem prawdy i psychologicznym wycuciem, ale również mistrzowskim stylem. Wykwintna kultura literacka połączona z wielkim talentem pisarskim uczyni Newmana jedynym z najświetniejszych w literaturze angielskiej mistrzów stylu. Bez literackiego zamiaru pisał „królewską angielszczyzną XIX wieku”, pełną klasycznego umiaru, ale także najgłębiej poruszoną ruchliwością życia (J. Lortz). Siła jego stylu polega na rytmie, na mistrzowskiej budowie zdania. Jego język jest językiem człowieka wykształconego, który „w każdej społeczności czuje się jak u siebie, z każdą klasą posiada wspólny język, wie kiedy mówić i kiedy milczeć. Potrafi rozmawiać, potrafi słuchać” (*Idea of a University*). Nie jest to styl wyniosły czy błyszczący, przeciwnie jest on nastawiony na dialog. Przy czym to mówienie i pisanie w żadnym wypadku nie przychodziło mu łatwo.

Stylistyczne mistrzostwo Newmana pokazuje się także w formowaniu trafnych i wbijających się w pamięć sentencji. Przytoczmy tutaj kilka przykładów:

Wszyscy ludzie posiadają rozum, ale nie wszyscy potrafią go używać (*All men have a reason, but non all men can give a reason*).

Zdrowe ciało i duch jest wielkim błogosławieństwem, jeśli potrafimy to utrzymać (*Health of body and mind is a great blessing, if we can bear it*).

Rozum może zaledwie stwierdzić najgłębsze trudności naszej kondycji, nie może ich usunąć (*Reason can but ascertain the profound difficulties of our condition, it cannot remove them*).

Wyrachowanie nie czyni bohaterem (*Calculation never made a hero*).

Chłopcy są zawsze mniej lub bardziej niedokładni, a zbyt wielu, czy raczej większość, pozostaje chłopcami przez całe swoje życie (*Boys are always more or less inaccurate, and too many, or rather the majority, remain boys all their lives*).

## Newman w opinii słuchaczy kazań

Słuchacze kazań Newmana wspominają, że gotyckie wnętrze uniwersyteckiego kościoła S. Mary the Virgin było zawsze szczelnie wypełnione podczas jego wystąpień. Dokoła katedry Newmana stawały znakomitości Oksfordu. Z uderzeniem dzwonka Newman wychodził z zakrystii i szybkim, właściwym sobie krokiem zdążył do katedry. Był to wysoki, bardzo szczupły, nieco pochylony mężczyzna o ruchach pełnych wdzięku i elegancji. Błada, pociągła twarz o klasycznych rysach rozświetlały wielkie niebieskie, błyszczące oczy. Zdawały się patrzeć w zaświaty.

Ludzie po wielu latach pamiętali każdy szczegół tych wielkich wystąpień. Newman stał na ambonie niepozorny, szczupły, jakby ktoś z innego świata. Kazanie zaczynał w cichym i umiarkowanym tonie. Stopniowo, w trakcie rozwijania tematu, mówca podnosił nieco głos i niebawem cała jego dusza zdawała się wprost płonąć wzruszeniem i wewnętrzną mocą. Niekiedy w środku najbardziej poruszającego fragmentu kazania, nie obniżając głosu nagle urywał, może tylko na mgnienie i to wydawało się nader długą chwilą, potem zaś z nową siłą i powagą wygłaszał słowa, które przejmowały słuchaczy do głębi. Głos miał niski, o niezbyt wielkiej skali, ale przedziwnie czysty, oddający najłżejsze zmiany myśli i uczuć. Brzmiał jak delikatna melodia. J. H. Newman mówił milczeniem. Kazania jego zamieniały się we wspólne rozmyślenia, zapadały w głąb duszy, której udzielał się poważny spokój mówcy. Newman nie gestykulował, prawie nie odrywał oczu od tekstu, czasem lekki ruch głową zastępował gest. Silna, kształtna ręka tylko wtedy ukazywała się nad rękopisem, kiedy trzeba było odwrócić kartkę.

John Shairp, profesor poetyki w Oksfordzie, podkreślał, iż w przepowiadaniu Newmana nie było gwałtowności, deklamacji, napięcia, wzniosłego przytaczania przykładów, tak że ktoś, kto oczekiwał objawienia się wielkiego ducha musiał czuć się rozczarowany. Każde poszczególne zdanie albo przynajmniej każdy większy odstęp były wymawiane bardzo szybko i z jasnym akcentem. Na końcu każdorazowo była pauza trwająca przynajmniej pół minuty, a potem następowało kolejne szybko wymówione zdanie, później znowu pauza. Trzeba się było do tego przyzwyczaić, ale nawet jeśli się to uczyniło, to wtedy można było spostrzec cudowny urok tego sposobu. Zdawało się, że z samotności swych studiów, swej ascezy, swych modlitw, z ciągłego przebywania z Niewidzialnym Newman pragnie raz w tygodniu mówić innym o rzeczach, które widział i poznał. Dlatego sam dźwięk jego głosu zdawał się wyrażać, że tu było coś więcej, niż jego własne słowa. Gdy czytał Pismo Święte, było tak, jakby ktoś w duchu oglądał postanie z innego świata. Chociaż Wielki Oksfordczyk nie był przede wszystkim mówcą, stał się szybko dla współczesnych ideałem kaznodziei.

Historyk James Anthony Froude opowiada o nieodpartej sile Newmana na ambonie: „Nigdy nie widziałem postaci robiącej takie wrażenie. Nikt, kto słuchał w owych czasach jego kazań, nigdy o nich nie zapomni. Rzadko były one wprost teologiczne. Teologii wykładanej przez wybitnych mówców na uniwersytecie mieliśmy aż nadto. Newman obierając za temat pewne postaci z Pisma Świętego mówił nam o nas samych, naszych pokusach, naszych przeżyciach. Jego przykłady były niewyczerpane. Zdawał się zwracać do najskrytszych myśli każdego z nas tak, jak oczy portretu zdają się spoglądać na każdą osobę w pokoju. Nigdy nie wyolbrzymiał, nigdy nie był nierealny. Kazanie jego było poematem opartym na konkretnym temacie, fascynujące swoim polotem”. I dalej J. A. Froude wspomina o jednym kazaniu, które szczególnie utrwaliło mu się w pamięci. Było to kazanie szóste z *Parochial Sermons*, t. 6, pt. *The Incarnate Son, a Sufferer and Sacrifice*: „Newman opisywał dokładnie niektóre sceny z męki Pańskiej; potem urwał.

Przez kilka chwil panowało niczym niezamącone grobowe milczenie. Potem niskim, wyrazistym głosem, którego najłżejsza wibracja słyszalna była w najodleglejszym zakątku kościoła, powiedział: «Teraz, proszę, przypomnijcie sobie, że Ten, którego to wszystko spotkało, jest wszechmocnym Bogiem». Jak gdyby prąd przeszedł przez kościół, jak gdyby każdy obecny zrozumiał po raz pierwszy znaczenie tego, o czym mówił przez całe swoje życie. Sądzę, że była to epoka w życiu wewnętrznym wielu z moich oksfordzkich rówieśników”.

\*

Są w świecie przyrody zjawiska, które zmieniają cały krajobraz fizyczny. Newman był takim „zjawiskiem” w świecie religii, zmienił nie tylko krajobraz duchowy anglikanizmu, lecz także rzymskiego katolicyzmu (Paweł Kłoczowski). Od niego zaczął się trwający ponad sto lat nurt katolickiej odnowy w najnowszych dziejach Anglii. Chociaż Wielki Oksfordczyk nie stworzył systemu filozoficznego ani teologicznego, wypowiedział szereg ważkich poglądów, których wpływ nie ustaje, a jego kazania będące w nieustannym obiegu są najlepszym świadectwem ich wartości.

John Henry Newman

## *Chrystus ponad wodami*

„Łódź zaś była już sporo stadiów oddalona od brzegu, miotana falami, bo wiatr był przeciwny. Lecz o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze. Uczniowie, zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlekli się myśląc, że to zjawą, i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: «Odwagi! Ja jestem, nie bójcie się»” (Mk 14, 24-27).

### Część pierwsza

Ziemia pełna jest cudów potęgi Bożej, „dzień dniowi głosi opowieść, a noc nocy przekazuje wiadomość” (Ps 19, 3). Dowody wszechmocy Bożej są wszędzie dokoła nas, w świecie materii i w świecie ducha ludzkiego, w dziełach przyrody i w dziełach łaski. Mógłbym powiedzieć, że dokonywanie rzeczy niemożliwych jest przywilejem Tego, który wszystko wywiódł z nicości, który wszystko przewiduje zanim się stanie, i nie gwałcąc żadnej woli, ma władzę nad każdą. Na znak tej pełnej chwały doskonałości przyszedł do swych uczniów, (jak wam to przeczytałem), idąc przez morze – dla starożytnych obraz rzeczy niemożliwej – aby im pokazać, że co jest niemożliwe dla ludzi, możliwe jest dla Boga. Ten, który potrafił przejść po wodach, potrafi takie ujarzmić zwycięsko żywioł jeszcze bardziej zmienny, niestały, burzliwy i zdradziecki – burze ludzkiej woli, ludzkich zamysłów, ludzkich serc. Łódź Piotrowa walczyła z falami i nie posuwała się naprzód; przyszedł Chrystus i wstąpieniem swym ocalił ją. On nie powierzył siebie łodzi, lecz ją ku sobie przyciągnął; nie szukał w niej schronienia, lecz stał się jej siłą, obroną i rękojmą szczęśliwej przeprawy: „ale łódź znalazła się natychmiast przy brzegu, do którego zdążyli” (J 6, 21).

Taka była moc Syna Bożego, Zbawiciela człowieka, objawiona widzialnymi znakami w świecie materii, kiedy przyszedł na ziemię, i taka też okazywała się zawsze w historii tej mistycznej arki, którą wtenczas zbudował, by płynęła po oceanie sądów ludzkich. Kazał swym wybranym sługom zbudować arkę zbawienia dusz; nauczył, jak ją zbudować, podał jej rozmiary, wielkość wnętrza i okien, a świat, zaledwie spojrział na nią, natychmiast zaczął surowo ją sądzić: twierdził, że zbudowana jest wbrew naukowym zasadom budowy okrętów, wróżył – jak dotąd wróży – że nie będzie zdolna do żeglugi, że przepuszcza wodę, że nie utrzyma się na powierzchni, że rozpadnie się i zatoni. Więc dlaczego nie tonie, jeśli nie dlatego, że Bóg jest w niej? Któż powie, dlaczego taka stara budowa, powstała tysiąc osiemset lat temu, wbrew wszelkim ludzkim rachubom trwa do dziś? Dlaczego, wciąż zagrożona, nigdy nie ginie, wciąż miotana, zawsze odkrywa nowe morza i obce wybrzeża, jeśli nie dlatego, że Ten, który powiedział do wiosłarzy: „Ja jestem, nie bójcie się!”, a wodom nakazał pokój, jest jeszcze w swej barce, którą zbudował, kieruje jej biegiem i błogosławi mu?

Wiele można od tego czasu znaleźć w historii przykładów tryumfu łodzi Piotrowej wśród wszelkich przeciwności: „Podnoszą rzeki, o Panie, rzeki swój głos podnoszą. Ponad szum wód rozległych, ponad potęgę morskiej kipieli, potężny jest Pan na wysokościach” (Ps 93, 3-4). – On to, Pan niebios, jest naszym światłem w mroku, naszą nadzieją w burzy. Nic nie jest trudne dla Niego, który jest wszechmocny; nic dziwne Temu, który jest nieskończenie różnorodny w swoim działaniu i nieskończenie bogaty w środki. Chmury się dzielą, słońce zabłyśka, morze cichnie, kiedy On nakaże.

Taka to, moi bracia, myśl opanowuje nasze dusze w dni podobne dzisiejszemu, w którym zebrałiśmy się, aby podziękować miłosiernemu Bogu za przywrócenie wiernym tego kraju katolickiej hierarchii. Powoli i stopniowo objawiają się Jego dzieła. Rok za rokiem pracuje w milczeniu i wspomaga sprawę, którą zamierzył, a my tylko dla naszej wygody dzielimy sztucznie na okresy to, co dla Niego jest ciągłą, jednolitą całością. A jednak niekiedy zdarzają się doniosłe wypadki, które jakoby łączą przeszłość z przyszłością i choć wewnętrznie wielkie, mogą być wzięte za symbole czegoś jeszcze większego, niż są same w sobie, a przedstawiają perspektywę i trud całego szeregu lat. Takim jest ten wielki fakt, który teraz święcimy [instalacja biskupa Birmingham – przyp. red.]. Świadczy on o tym, jak wiele zrobiono, i zapowiada, że wiele jeszcze się stanie. Jest on autorytatywnym uznaniem i pieczęcią tych sukcesów, jakich nam Bóg udzielił, i narzędziem, które je spaja. Słusznie więc możemy radować się tym dniem, i szczęśliwie przypada on na uroczystość opieki Najświętszej Panny. Komuż bowiem po Bogu należy się słuszniej nasza wdzięczność? Do kogo z większą ufnością zwracają się nasze serca niż do Jego najświętszej i uwielbionej Matki?

Był czas, bracia moi, kiedy praojcowie naszego narodu byli dzikim plemieniem, zamieszkującym niegościnnie okolice daleko poza granicami tej części świata. Cokolwiek ich tam przyprzewadziło, nie mieli przywiązania do swych siedzib i nie czuli się polityczną całością. To niespokojne plemię opuściło swoje rubieże i przebywszy pasma górskie na granicy Azji, najechało Europę. Mijały pokolenia, a ciągle ta zuchwała i dumna rasa parła naprzód. Lecz zmiana miejsca nie mogła im przynieść ani prawdy, ani pokoju, ani nadziei, ani zadowolenia serca. Nie mogli uciec od siebie. Nieśli przed sobą swe przesady i grzechy, swe bogi z żelaza i gliny, swe okrutne ofiary, bezbożne czarodziejstwa, nienawiść ludzi i nieznanomość swego przeznaczenia, wreszcie zagrzebali się w głębokich puszczech Germanii i oddali się gnuśnemu spoczynkowi. Lecz nie znaleźli spokoju, byli jeszcze poganami, a potężne drzewa, te pierwsze twory Boga, i zwierzęta były przedmiotami i narzędziami ich bałwochwalstwa. Wreszcie przepłynęli cieśninę, opanowali tę wyspę i dali jej swe imię. Parli wciąż naprzód, jak daleko się dało, aż ujrzawszy wielki ocean zaczęli przygotowywać się do odkrycia świata, który leżał za nim.

Cóż więc miało się stać z tym niespokojnym plemieniem, które na próżno po całym globie szukało szczęścia i spokoju? Czy miało starzeć się tutaj i wędnać i spalać się w gorączce własnego nieuleczalnie chorego serca? Czy też pokonane miało się stać wielkim i używać jedynie prawdziwego ludzkiego życia, wznieść się do prawdziwej godności przez poddanie się jarzmu Pana? Czy Pan i Stworzyciel widział w nich coś dobrego, z czego pod Jego boskim kierownictwem korzyść mogła spłynąć na Jego wybranych, a chwała na Jego imię? Bóg patrzył na nich i nie widział nic, czym by zasługiwali na łaskę lub na zmniejszenie strasznej kary, jaką ściągnęły na siebie bezprawie i bezbożność. Było to plemię dumne, nie bojące się ani Boga, ani ludzi, plemię ambitne, samowolne i uparte, zatwardziałe w niewierze, wążące się na wszystko, nawet na piekło, jeśliby je wyzwano. Powtarzam, nie było w ich naturze niczego, co by mogło odwrócić los, jaki sprawiedliwy wyrok Boga przeznaczył tym, którzy Nim gardzą i rozmyślnie grzeszą. Lecz Wszechmocny Miłośnik dusz spojrział raz jeszcze i dojrzał w tej biednej, bezradnej, skażonej naturze, którą od początku obdarzył łaską i światłem, nie to, co zasługiwaloby na Jego łaskę, nie to, co dostatecznie odpowiadałoby boskiemu działaniu, nie to, co stanowiłoby niezbędne narzędzie Jego zamiarów, lecz coś, co wsławiłoby szeroko Jego łaskę, gdyby się nad nimi zlitował. Widział w nich wrodzoną szlachetność, prostotę, szczery charakter, zamiłowanie prawdy, głód sprawiedliwości, pogar-

dę zła, uwielbienie czystości, poszanowanie prawa, uznanie dla piękna i majestatu ładu, co więcej delikatność i czułość serca, o którym wiedział, że stanie się chwalebny narzędziem woli boskiej, jeśli je Bóg oświeci i ożywi swymi nadprzyrodzonymi darami. Tak więc Ten, który, gdyby Mu się spodobało, mógł był Abrahamowi wzbudzić z kamieni dzieci, postanowił w swym swobodnie wybierającym miłosierdziu połączyć w tym narodzie piękno ludzkiej natury z promiennością łaski, i tak jak gdyby ci biedni Anglosasi byli za dobrzy na to, by być poganami, uwolnił ich od służby szatana i zaprowadził do przybytku swojej świętości i na górę swego pokoju.

Jest to stara i dobrze znana opowieść, nie potrzebuję jej roztrząsać. Nie potrzebuję wam mówić, jak nagle świat prawdy otworzył się przed naszymi praojcami i poddał ich swym świętym prawom, jak łaska Boża spłynęła na nich i jak bez przymusu, według świadectwa dziejopisarza, rzęsze całe przyjęły chrześcijaństwo. A kiedy wszystko wokół było beznadziejne, burzliwe i ciemne, Chrystus zeszedł do nich po falach wód, niby zjawisko chwały. Potem nagle nastąpiła wielka cisza; wielka zmiana spłynęła na pogan w tej części kraju, do której Ewangelia najpierw dotarła. Stąd ten błogosławiony wpływ rozszerzał się po całej wyspie, aż wreszcie cały lud anglosaski został nawrócony. W sto lat dzieło było dokonane. Bożyszczka, ofiary, cały fałszywy blask pogaństwa rozwiały się i zniknęły, a ich miejsce zajęła czysta nauka i boska cześć Krzyża. Piękny obrządek chrześcijański rozszerzał się z północy na południe; był majestatyczny, poważny, promienny i miły, kołł smutki, budził nadzieję. Chrześcijaństwo było równocześnie nauką i kultem, miało własne dogmaty, tajemnice, rytuał i hierarchię. Braterski zastęp świętych pasterzy posuwał się błogosławiąc i rządząc rozradowanym ludem. Krzyż szedł na czele. Za nim kroczyli pokorni mnisi o sercach pogrążonych w modlitwie; rozbrzmiewał słodki śpiew i piękny język łaciński; chłopcy w bieli nieśli kadzielnice, wonny obłok wznosił się ku górze, śpiewano mszę, wzywano świętych, a jak niezmiennie dzień po dniu i w cichą noc ponad lesiste wzgórza i spokojne doliny ukazują się słońce, księżyc i gwiazdy na niebie, tak niewzruszenie i uroczyście postępował pochód służby Bożej na ziemi: wielkie uroczystości, wspaniałe procesje, kojące pienia, dźwięk dzwonu, wieczorne wezwanie do modlitwy; a tak zwyczajem został duch ciemności strącony do swego więzienia, tak przedziwnie niebo zbliżyło się do ziemi, że ci, którzy pamiętali dawne pogańskie czasy, myśleli, że to, co widzą i słyszą, jest wizją nieziemską.

Taką zmianę przeżyli nasi praojcowie, taka była religia, którą otrzymali jako drugi dar po nadaniu im tej ziemi. Była to jakby boska rękojmia jej posiadania; znacie dobrze jej imię, nie może tu być omyłki, wiecie, jak się ta religia nazywała. Nie nazywała się żadnym nowym imieniem, bo nowych religii jeszcze wtedy nie było. Wiecie, moi drodzy bracia, jaka to religia miała księży i ofiary, mistyczny rytuał i regułę klasztorną, i troskę o dusze zmarłych, i wyznanie dawnej wiary, idącej poprzez wieki od apostołów. Jedna jest i tylko jedna taka religia, znana wszędzie – każdy biedak na ulicy zna jej imię, a od chwili, w której powstała, nie było czasu, żeby jej nie znały tłumy. Imię jej – katolicyzm, imię znane po całym świecie i jedyne, związane z nami od początku, przyznawane nam przez naszych wrogów. Imię na darmo kradzione, nigdy nie odebrane nam przez współzawodników.

Taki to kult spłynął na lud angielski, gdy z mroków pogaństwa lud ów wynurzył się na światło Ewangelii. W historii jego nawrócenia chrześcijaństwo i katolicyzm to jedno. Jak w naturze swej, tak w historii imiona te są pojęciem odwracalnym. Wiara, którą to dzielne, młode plemię przyjęło, której śladami idąc wstecz dochodzimy aż do czasów apostoelskich, to była wiara kato-



licka; można ją rozpoznać już w mrokach najwcześniejszej starożytności, świadectwo o niej Kościoła, nawet gdy jest badana, w najpierwszych początkach, nie orzeka nic przeciwnego. Taka była religia szlachejnych Anglików; nie znali herezji, z postępem czasu religia wnikała coraz głębiej w ich naturę, w ich społeczną budowę i polityczne instytucje. Wzrastała z ich wzrostem, potężniała z ich potęgą, aż ujrano jedno z najpiękniejszych zjawisk, jakie dane było oglądać ludziom: co było wielkie w porządku naturalnym, stało się jeszcze większe przez podniesienie do porządku nadnaturalnego. Oba te światy zdawały się jakby stworzone dla siebie – to wrodzone usposobienie i dar łaski; co było bohaterskie, wspaniałomyślne i wielkoduszne z natury, znajdowało odpowiednie miejsce i zadanie w królestwie Bożym. Aniołowie w niebie radowali się widząc zbudzoną pod wpływem łaski pobożność i świątobliwość skruszonych grzeszników. Apostołowie, papięże i biskupi, od dawna wzięci do chwały, z uniesieniem składali swe korony u stóp tronu Bożego, patrząc zdumionymi oczyma na świętych, wyznawców i męczenników, których wydały hordy pogańskich łupieżców. Opiekuńcze duchy nie płakały już nad różnicą i przeciwieństwem, jakie były między nimi a duszami oddanymi ich pieczy. Stali się istotnie narodem szczególnym, o odrębnym charakterze i duchu, powiem rzecz śmiało – narodem swą statecznością, bystrością i prostotą bardziej pokrewnym duchowi, którym po wszystkie czasy kierowali się rzymscy arcykapłani, niż którykolwiek inny naród. Taki był bieg rzeczy przez wiele wieków. Pokolenia szły po pokoleniach, przewrót po przewrocie; ludzie wznosili się i upadali; przechodziły krwawe wojny, najazdy, podboje, zmiany dynastii, niewole, wyzwolenia, wewnętrzne zamieszki i układy; Duńczycy i Normanowie najechali kraj, lecz cały ten czas Chrystus był ponad wodami, a gdy ogarnęła je burza, na jedno Jego słowo powracał spokój. Zawsze łódź Piotrowa była ucieczką strwożonych, zawsze pocieszała i krzepiała tych, których uratowała z toni.

Z czasem jednak przysła znowu zmiana. Tysiąc lat prawie minęło i nasz wielki naród znudził się niebieskim Gościem, który wśród niego przebywał. Mieli dość błogosławieństw i rozgrzeszeń, dość wstawiennictwa świętych, dość łaski sakramentów, dość nadziei na przyszłe życie. Myśleli, że trzeba sobie najpierw zabezpieczyć to życie, a dopiero gdy czas i środki pozwolą, pomyśleć o przyszłym. I zobaczyli, że pracując na żywot wieczny, łatwo mogą postradać doczesny, gdy tymczasem – jak im się zdawało – pracując na to życie, można pracować także dla przyszłego. Poczęli zdążać do celów doczesnych i każdego, kto im stawał na drodze, uważali za wroga. Było to szaleństwo, ale szaleńcy są silni, szaleńcy są pomysłowi. Tak więc mieczem i strykiem, okaleczeniem, grzywną i więzieniem pozbywali się sług Najwyższego oraz ich nabożeństw lub wypędzali ich z granic kraju, jak niegdyś czynił Izrael: „pokruszyli jarzmo, potargali więzy” (Jr 5, 5), „jednego obili, drugiego zabili, trzeciego zaś ukamienowali” (Mt 21, 35), a wreszcie wypędzili dziedzica z winnicy jego i zabili go, aby osiąść dziedzictwo jego, zaś sługi jego, którzy jeszcze zostali, zapędzili w zakątki i jamy i skazali na wymarcie. A potem radowali się i posyłali sobie nawzajem dary (por. Ap 11, 10), bowiem trapiłi tych, co mieszkali na ziemi. I tak zwrócili się ku rozkoszom tego świata i starali się wyrobić sobie imię wśród ludzi i stało się im według ich życzenia. Przenosili pogańskie cnoty swej pierwotnej natury nad szatę łaski, którą ich Bóg obdarzył. W ciasnocie uczuć, w wyniosłej dumie, w wewnętrznym smutku powrócili do swej światowej nietykalności honoru, energii, rozsądku i wytrwałości. Cenili nade wszystko człowieka naturalnego i otrzymali swą zapłatę. Wkrótce wzniesli się wyżej niż starożytni Rzymianie i w ciągu trzech wieków stworzyli większe państwo niż oni, a teraz patrzą z pogardą na to, czym byli, i na religię, która ich odebrała pogaństwu.

Tak, drodzy bracia, takie były pokusy szatana, taki upadek jego ofiary, takie zrządzenie Najwyższego. „Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon” (Mt 4, 9) – powiedział kusiciel, a prawowity Pan i Bóg dopuścił, by ta przechwałka się spełniła. Dopuszczał dla swej większej chwały. Mógł przeszkodzić, jak może przeszkodzić wszystkiemu złu, lecz uważał za dobre, uważał za najlepsze pozwolić rzeczom iść swoją koleją. Nie przeszkadzał, milczał, odszedł od ludu, który chciał się Go pozbyć. I znaleźli się w tym rozstrzygającym czasie tacy, którzy nie rozumieli zamiarów Bożych i chcieli zbrojną ręką stanąć w obronie Boga. Byli to ludzie święci i wierni, oddani Bogu, pełni miłości dla Jego owiec, lecz nie odgadywali Jego woli. Wołają Boga było zostawić rozstrzygnięcie czasowi, powoli i bez gwałtu doprowadzić do ładu i zwyciężyć przy pomocy swych przeciwników. Chciał, by własna ich pycha doprowadziła ich do poprawy, niżeli się ugiąć bez użycia siły i rozsypać z powodu własnej niedoskonałości. Ten, który mógł zwołać miary aniołów w pomoc, który mógł uzbroić i błogosławić chrześcijaństwo na walkę z prześladowaniem, działał w cudowniejszy sposób. Pogardził użyciem broni cielesnej. Rozkazał, by wyciągnięty miecz powrócił do pochwy, odrzucił układy i broń ziemskich mocarzy. On, który od początku zna koniec, który jest usprawiedliwiony w słowach swoich i zwycięża, gdy bywa sądzony (por. Rz 3, 4), czekał. Czekał cierpliwie, Zostawił świat samemu sobie i nie brał pomsty za swój Kościół, lecz czekał aż do czwartych straży nocnych, gdy wierne dzieci Jego wyzwały się nadziei i myślały, że miłosierdzie Boże już się wyczerpało. Pozwolił wiatrom i burzom piętrzyć się przeciwko sobie i swoim. Cierpliwie znosił drwiny i bluźnierstwa, które wrożyły upadek Jego dzieła. Wszystko ma swój koniec – mówili ludzie – na wszystko jest czas właściwy, zarówno na urodzenie, jak na śmierć. Wszystko musi mieć własną kolej i przeznaczenie, może trwać długo, ale nie wiecznie. Tak sama ma się rzecz z człowiekiem. Nawet Matuzalem i Noe wyczerpali źródło swego istnienia, aż wreszcie dzban się rozbił i koło się złamało. Tak samo jest z narodami: powstają, kwitną i upadają jak jednostki; mają w sobie pierwiastek, który się wyczerpuje i ginie. Jakkolwiek potężne były w dniach pomyślności, jednak przychodzi na ostatek chwila, w której osiągnąwszy szczyt, dochodzą do pełni rozwoju i dobiegają mety. Tak samo dzieje się z wielkimi ideami: realizują się, zwyciężają i giną. Jak składniki zwierzęcego ciała na koniec rozpadają się, tak też narody, filozofie i religie tracą z czasem swoją jedność i podlegają ogólnym prawom rozkładu. Naród nasz bez wątpienia też kiedyś dojdzie do kresu jak inne, choć nie zaraz, lecz jego dawna wiara już zesłała na nice. Nie mamy powodu obawiać się przeszłości; przeszłości nie ma, przeszłość nie może odżyć, umarli nie mówią, groby się nie otwierają, możemy mieć jeszcze nowych przeciwników, lecz ze starą religią wzięliśmy rozbrat na zawsze.

Tak mówi świat, biorąc cierpliwość Chrystusa za słabość, a Jego miłość za nieprzyjaźń. A z drugiej strony wierni mieli również obawy, czy katolicyzm zakwitnie kiedyś na nowo w tym kraju. Czy zdarzyło się kiedy w historii Kościoła, by naród, który utracił wiarę, odzyskał ją na nowo? Jest to dar łaski i szczególnego miłosierdzia otrzymać ją raz – nie można oczekiwać go po raz drugi. Wiele narodów nie otrzymało go wcale; niektórym, nawet takim, które z niego robiły chwalebny użytek, został odebrany, pozornie bez ich winy. Tak było ze starym Kościołem perskim, który przeszedłszy przez dwa straszne prześladowania, za ledwie skrzepił się po drugim, bezpowrotnie stoczony został przez herezję. Tak było ze sławnym Kościołem afrykańskim. Wielki jego Święty i Doktor miał zatrute ostatnie chwile przez gwałty dzikich barbarzyńców, którzy stali się zgubą tego Kościoła. Czyż my jesteśmy lepsi niż oni? Jest to – jak mówi dotychczasowe doświadcze-

nie – na pewno przeciwne zrządzeniom Opatrzności, by dar, raz dany, mógł być dany raz drugi. I świat, i Kościół dają tego zgodne świadectwo.

A sprawiedliwy Sędzia człowieka uczynił, jakby chciał spełnić to, co człowiek przepowiedział: ustąpił z pola walki, zostawił je nieprzyjacielowi, lecz uczynił tak tylko po to, by móc na końcu zatryumfować tym chwalebniej. Przez trzysta lat stał na uboczu, by Jego wróg, tworząc swoje religie w miejsce religii boskiej, mógł wypróbować swą siłę. Darował mu trzysta lat na zrobienie czegoś lepszego, niż zrobił Bóg lub na zrobienie czegoś w ogóle, a wziął na siebie wszelkie kłęski: cierpiał, że ofiara mszy świętej była zaniechana, duchowieństwo wygnane, wychowanie katolickie wzbronione, że prześladowano rodziny i rabowano domy, że profanowano świątynie, znieważano relikwie, że prawa krajowe zakazywały wypełniania obrządków i obowiązków religijnych. Nie chciał zawdzięczać światu tego odrodzenia Kościoła, które miało nastąpić; działał tak, jak działał niegdyś za pośrednictwem proroka Eliasza, który w oczekiwaniu na ogień z nieba, mający pochłonąć jego ofiarę, trzykrotnie zalewał całopalną, „aż woda oblała ołtarz dokoła i napelniła też rów” (1 Krl 18, 35). Działał tak, jak przy wskrzeszeniu Łazarza. „Mimo że słyszał o jego chorobie, zatrzymał się przez dwa dni w miejscu pobytu. Trzeciego dnia powiedział im otwarcie: Łazarz umarł, ale raduję się, że Mnie tam nie było, ze względu na was, abyście uwierzyli” (J 11, 6. 14-15), a potem jednak poszedł i wskrzesił go z martwych. Tak było też z Jego własnym zmartwychwstaniem. Nie zmartwychwstał z Krzyża, nie zmartwychwstał w ramionach Matki; zmartwychwstał dopiero z grobu i to dnia trzeciego.

Tak samo, moi drodzy bracia, jest teraz: „Pan nas zranił i On też uleczy, On to nas pobił, On ranę zawiąże. Po dwu dniach przywróci nam życie, a dnia trzeciego nas dźwignie i żyć będziemy w Jego obecności” (Oz 6, 1-2).

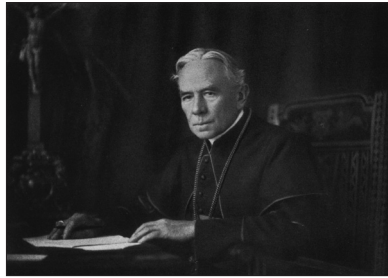
Trzy wieki przemienęły. Zegar wybił – raz, dwa, trzy. Wstawiennictwo świętych znalazło swój oddźwięk, zasłona okrywająca tajemnicę Opatrzności rozsunięta się, godzina przeznaczenia wybiła. I tak samo jak o zmartwychwstaniu Chrystusa ludzie nie wiedzieli, bo zmartwychwstał o północy i w ciszy, tak też, gdy miłosierdzie Jego chciało dokonać nowej pracy wśród nas, działał tajemnie i wstał, zanim się ludzie spostrzegli. Z miasta, gdzie umocnił swój tron, nie rozesłał apostołów i kaznodziej jak za pierwszym razem. Jego nieliczni i rozproszeni kapłani byli przy pracy, strzegli swych owiec nocą i nie mieli czasu zabiegać około dusz otaczających ich mas i nie myśleli o nawracaniu kraju. Lecz przyszedł On i jako duch ponad wodami krążył nad ciemną i mętną głębią. I o dziwo niewytłumaczone! Serca się wzruszyły, oczy rozblęskły nadzieją i stopy skierowały się ku wielkiej matce, która uważała ich prawie za straconych. Najpierw jeden i drugi szukał pokoju, który tylko ona mogła mu dać. Przyszedł pierwszy, i drugi, i trzeci, i czwarty po kolei, jak ich Łaska oświecała, nie razem, nie jakoby ich wzywało hasło partyjne lub polityczne porozumienie, lecz każdy z osobna, pociągnięty mocą Bożą wbrew swej woli, bo dobrze im było tam, gdzie byli, a jednak po ich woli, bo z miłosnym poddaniem szli za tajemniczym głosem, który ich wołał. Jeden po drugim, niepostrzeżenie, cicho, śpiesznie i coraz liczniej dawali unosić się prądowi, aż na koniec wszyscy spostrzegli, że kamień jest odsunięty i że Chrystus wstał i odszedł. Podobnie jak On wstał z grobu silny i uwielbiony, jakoby pokrzepiony swym snem, tak gdy wrota więzienia się otworzyły, Kościół objawił się niezmienny, równie cichy i odważny, równie krzepki i wspinały jak wtedy, gdy drzwi jego zamknięto. O świętym Atanazym, tym wielkim i świętym narzędziu Bożym, opowiadają legendy, że gdy się z śmiercią Juliana Apostaty skończyło prześladowa-

nie, świętego tego wyznawcę, który wędrował wówczas po świecie, znaleźli zdumieni jego uczniowie w katedrze aleksandryjskiej, siedzącego na tronie biskupim i ubranego w szaty kościelne. Tak samo jest teraz. Kościół wyszedł z niewoli taki zwarty w swej nauce, taki dokładny w swym postępowaniu, jaki był przed nią. Biskupi znowu zasiadają na swe trony z duchowieństwem dokoła, tworząc przed naszymi oczyma doskonałą wizję majestatycznej hierarchii.

Jakaż to zdumiewająca żywotność! Jaka przez niebo podtrzymana moc! Jak jasno objawia się tutaj boskość Kościoła! On nie szuka, nie pragnie doczesnej potęgi, nie walczy o nią, nie miesza się do Cezara ani do spraw Cezara; słucha go w jego sprawach, lecz jest od niego niezależny. Siła jego – jest w Bogu, władza – nad duszami, a chwała w ich chętnym poddaniu się i pełnym miłości posłuszeństwie. Od świata nie spodziewa się niczego i świata się nie boi. Świat go nie stworzył i nie może go zniszczyć. Kościół ofiaruje światu swe wielkie skarby, ale nie zmusza do ich przyjęcia. Świat może go prześladować, lecz on z prześladowań czerpie nowe siły; może go nie znać, przemilczać, spychać na ubocze, lecz tym więcej musi o nim myśleć. Oczerniajcie go, a wpływ jego wzrośnie; ośmieszajcie – uśmiechnie się tylko z tym większą powagą i przekonaniem. Cóż zrobicie z nim, synowie ludzcy, jeśli nie będziecie go kochać lub przynajmniej cierpieć? Niech odpowiedzą na to ostatnie trzy stulecia. Zostawcie go w spokoju, zaniechajcie go. Jeśli bowiem jego dzieła i słowa pochodzą od ludzi – obróćą się wniwecz; jeśli zaś od Boga – nie zdołacie go obalić i walczyć będziecie z samym Bogiem.

Tu mógłbym skończyć, gdyż doprowadziłem tok moich myśli do końca. Słuszną jednak jest rzeczą zapytać się, jak nasi nieprzyjaciele zapatrują się na te sprawy i jak my sami zapatrujemy się na nie. Dlatego jeszcze na dłuższy czas poproszę was o cierpliwą uwagę.

Cytat za: J. H. Newman, *Wybór pism kaznodziejskich*, tłum. K. Nawratilowa, Poznań 1939, s. 192-221 (tekst uwspółcześiono).



Biskup Paul Wilhelm von Keppler  
(1852-1926)





# Promotor homilijnego przepowiadania

Wielu autorów przyjmuje początek XX wieku za czas narodzin współczesnego ruchu homiletycznego. Tego samego 1917 roku ukazały się dwa doniosłe dla dalszego rozwoju kaznodziejstwa dokumenty: Kodeks Prawa Kanonicznego, który określił głoszenie kazań jako *gravissimum officium* (kanon 1329) i encyklika Benedykta XV *Humani generis redemptionem*, nazwana wtedy „wielką kartą kaznodziejstwa”. Papież nakreślił w niej wzorcowy obraz kaznodziei, ukazał cel kaznodziejstwa oraz rodzaje i sposób przepowiadania słowa Bożego. Oprócz omówienia pewnych elementów i podstaw teologicznych kaznodziejstwa, encyklika dawała równocześnie wiele wskazań praktycznych, stale aktualnych i pouczających dla kaznodziejów. Benedykt XV skoncentrował swą uwagę na problemie znalezienia i zastosowania nowych form homiletycznych, które przyczyniłyby się do podniesienia poziomu ówczesnego kaznodziejstwa. Jego stan bowiem pozostawiał wiele do życzenia skoro papież, ubolewając nad upadkiem wiary i moralności wśród społeczeństw pisał: „Różne i liczne są przyczyny tego zła. Nikt jednak nie zaprzeczy, że najbardziej pożałowania godne jest to, iż słudzy słowa Bożego nie potrafią należycie zaradzić tej chorobie [...]. Jest winą kaznodziejów nie używających właściwie miecza słowa, jeśli ten miecz nie wszędzie wywiera swą siłę”.

## Wołanie o nową formę kaznodziejską

Apel papieża Benedykta XV zachęcił kaznodziejów do poszukiwania nowych, skuteczniejszych od dotychczasowych, form homiletycznych. Za główny środek oddziaływania kaznodziejskiego uznano wtedy odnowioną formę i metodę przepowiadania. O ile katechetyka na początku XX wieku stała pod znakiem tzw. „ruchu metody”, to w homiletyce rozlegało się „wołanie o nową formę” kaznodziejską. Oczywiście nie zanedbywano całkowicie troski o należyłą treść i odpowiednie kwalifikacje duchowe i moralne kaznodziei. Częściej nawet uświadamiano sobie teologiczny charakter homiletyki jako teorii kaznodziejstwa, głoszono bowiem zgodnie z encykliką Benedykta XV, że kaznodziejstwo ma na celu „rozszerzać światło prawdy podanej przez Boga oraz budzić i rozwijać życie nadprzyrodzone”. Uświadomienie sobie tego celu powinno było prowadzić do traktowania homiletyki nie jedynie jako retoryki sakralnej, a kaznodziejstwa jako kościelnej wymowy, lecz – jako dziedziny i terenu teologii oraz Bożej ekonomii zbawienia. W praktyce jednak brak było właściwego, tj. w pełni teologicznego, ujmowania całości zagadnień kaznodziejstwa. W przepowiadaniu zwracano mniej uwagi na treść, a więcej na stronę formalną kazania, czyli jak przekazać słuchaczowi prawdę określoną przez teologię neoscholastyczną. Ważniejsze jest wówczas jak głosić od czego głosić. W takim ujęciu dominuje ruch retorycznej odnowy kaznodziejstwa.

Prace homiletów i kaznodziejów koncentrowały się głównie wokół znalezienia i zastosowania nowych form homiletycznych, które przyczyniłyby się do podniesienia poziomu i bardziej skutecznego oddziaływania ówczesnego kaznodziejstwa. Jego stan bowiem pozostawiał wiele do życzenia. Budząca się coraz powszechniej świadomość niedostatków czy wręcz niemocy ówczesnego kaznodziejstwa rodziła postulat jego należytej reformy. Próby odrodzenia działalności homiletycznej Kościoła podjęto w różnych krajach i ośrodkach. Na szczególną uwagę zasługują wysiłki Paula Wilhelma von Kepplera.

### Kaznodzieja i duszpasterz

Paul Wilhelm Keppler przyszedł na świat 28 września 1852 roku w Schwäbisch-Gmünd. Po studiach teologicznych w Tybindze i przyjęciu w 1875 roku święceń kapłańskich pracował jako wikariusz w kilku parafiach. Od 1883 roku prowadził wykłady z egzegezy Nowego Testamentu, a od 1889 roku z teologii moralnej i pastoralnej w katolickim wydziale teologicznym uniwersytetu w Tybindze. Od 1894 był profesorem teologii moralnej na uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim. W 1898 roku został mianowany biskupem diecezji Rottenburg, gdzie odznaczył się jako gorliwy kaznodzieja i duszpasterz, przyczyniając się m.in. do wybudowania wielu kościołów. Do 1922 roku sam konsekrował 72 świątynie.

Wygłaszał referaty na wielu kongresach i zjazdach teologów (m.in. w 1903 roku w Mergentheim), na Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Rzymie (1922) i podczas *Dni katolików* (*Katholikentagen*) w Akwizgranie (1912) i w Stuttgarcie (1925). Występował przeciwko modernizmowi, postulując jednocześnie wewnętrzną reformę w Kościele (*Wahre und falsche Reform*, Stuttgart 1902, 1903<sup>2</sup>). Dążył do wypracowania nowego modelu kaznodziejstwa połączonego z wiedzą biblijną, propagując homilię, m.in. w pracach: *Die Adventsperikopen* (Freiburg 1899, 1910<sup>4</sup>), *Homiletische Gedanken und Ratschläge* (Freiburg 1910, 1911<sup>5-6</sup>; *Ambona i jej zadanie w naszych czasach. Uwagi i rady homiletyczne*, Płock 1914), *Predigt und Heilige Schrift* (Freiburg 1926); opublikował też swoje kazania odznaczające się erudycją i kunsztem literackim (*Homilien und Predigten*, Freiburg 1911, 1921<sup>6-8</sup>); popierał badania nad sztuką chrześcijańską (*Aus Kunst und Leben*, Freiburg 1905, 1923<sup>8</sup>; *Die XIV Stationen des Heiligen Kreuzwegs. Eine geschichtliche und kunstgeschichtliche Studie. Zugleich eine Erklärung der Kreuzweg-Bilder der Malerschule von Beuron*, Freiburg 1891, 1904<sup>4</sup>); Keppler był też redaktorem „Archiv für christliche Kunst” (1885-1894); do najpopularniejszych dzieł Kepplera należy *Wanderfahrten und Wallfahrten im Orient* (Freiburg 1894, 1922<sup>8-10</sup>). Dzieła Kepplera tłumaczono na wiele języków europejskich, a także na japoński. W szerszych kręgach Keppler był znany i ceniony jako autor reportaży z podróży i eseista religijny. Zmarł 16 lipca 1926 roku w Rottenburgu. Został pochowany w Sülchenkirche bei Rottenburg am Neckar. Nagrobek zrobiony został według wzor-

ców średniowiecznych książęco-biskupich epitafiów. Wyraża pewność i świadomość misji pełnionej przez biskupa.

### Promotor kaznodziejstwa homilijnego

Paul Wilhelm von Keppeler był dobrym znawcą historii kaznodziejstwa. Cenne są jego opracowania na ten temat zamieszczane w *Wetzer und Weltes Kirchenlexikon* oraz w kwartalniku „Tübinger Quartalschrift”. Jednakże podstawową jego zasługą dla współczesnego kaznodziejstwa pozostanie utworzenie na nowo drogi kaznodziejstwa homilijnemu, tak znamiennej dla Soboru Watykańskiego II i okresu posoborowego. Sprawie tej poświęcił wiele uwagi od czasu, gdy opublikował na ten temat artykuł w „Tübinger Quartalschrift” w 1892 roku, aż do swego ostatniego wystąpienia podczas konwencji homiletycznej w 1926 roku, na krótko przed swą śmiercią. Zabiegał o przywrócenie homilii zaszczytnego miejsca i postawienie jej obok kazania tematycznego, które przez długi czas monopolizowało ambonę. Upierał się przy twierdzeniu, że homiletyka jest niezależna od ogólnej retoryki w swym pochodzeniu, zawartości treściowej i celu, że nie pochodzi z retoryki, podobnie jak katolicka teologia nie wywodzi się z filozofii scholastycznej, ale do wyrażenia treści Bożego Objawienia może podobnie jak ona, używać pojęć i zasad klasycznej retoryki jako narzędzi badania i form ekspresji. Praca P. Keppelera na ten temat *Predigt und Heilige Schrift (Kazanie i Pismo Święte)* została opublikowana już pośmiertnie w 1926 roku.

W swoich licznych publikacjach biskup Rottenburga propagował kazanie biblijne, oparte na tzw. homiletycznej egzegezie, która była nie tyle włączeniem ówczesnej naukowej egzegezy do przepowiadania, ile osobistą refleksją nad tekstem, celem wydobywania głównej myśli perykopy. Upowszechniał je w całej serii pozycji kaznodziejskich: *Die Adventsperikopen, exegetisch-homiletisch erklärt (Perykopy adwentowe, egzegetyczno-homiletycznie objaśnione, Freiburg 1899)*; *Homiletische Gedanken und Ratschläge (Homiletyczne myśli i rady, Freiburg 1910)*; *Homilien und Predigten (Homilie i kazania, 3 części, Freiburg 1912)*; *Die Armenseelenpredigt (Kazania do ubogich duchem, Freiburg 1913)*; *Wasser aus dem Felsen (Woda ze skał, t. 1-2, Freiburg 1927/1928)*. Te zbiory kazań są świadkami nie tylko jego niezłomnego zapału twórczego, lecz także dowodem dużych uzdolnień kaznodziejskich.

Zdaniem wybitnego dwudziestowiecznego homilety franciszkańskiego Thadäusa Soirona (1881-1957), jednego z twórców teologii przepowiadania i zwolennika odnowy kazania biblijnego w formie homilii, działalność homiletyczna P. W. Keppelera była w podwójnym znaczeniu misją opatrnościową. Sprowadziła ona kazanie na powrót do jego najważniejszego źródła, do Pisma Świętego. Kazanie stało się ponownie tym, czym być powinno ze swej istoty – przepowiadaniem słowa Bożego, nadprzyrodzoną funkcją w budzeniu i żądaniu wia-

ry oraz życiu łaski. Keppler stworzył też klasyczną teorię homilii z postulatem jedności i jednoznacznie określonego celu. Odtąd – dodaje Soiron – wszyscy, którzy interesowali się teorią homilii, musieli nawiązywać do koncepcji Kepplera bez względu na to, jakie w stosunku do niej zajmowali stanowisko.

Misji opatrnościowej P. W. Kepplera nie można sprowadzić tylko do nasycenia kazań elementem biblijnym i wypracowania teorii homilii. Główną bowiem zasługą biskupa Rottenburga polega na spokrewnieniu egzegezy z homiletyką i homiletyki z egzegezą. Niewątpliwą jego zasługą pozostanie fakt, że jako ordynariusz Rottenburga, biorąc udział w konferencji biskupów w Fuldzie (1918), przyczynił się w dużym stopniu do podjęcia uchwały wprowadzającej w seminariach niemieckich wykłady z egzegezy homiletycznej (obok egzegezy naukowej) i specjalnych ćwiczeń dla kleryków, które uczyły jak posługiwać się Pismem Świętym w czasie opracowywania kazań. P. Keppler przez praktyczno-homiletyczne kursy i przez tzw. „szkołę Kepplera” zainaugurował w Niemczech ruch homiletyczny. Idee te popularyzował w założonym przez Th. Soirona w 1918 roku czasopiśmie „Kirche und Kanzel” („Kościół i ambona”).

W całym „ruchu keppplerowskim” chodziło o odnowę homilii, w której dochodzi do głosu Pismo Święte, kaznodzieja zaś wyjaśnia i komentuje jego słowo. Niewątpliwie poglądy Kepplera przyjęte i realizowane w praktyce przez niektórych kaznodziejów XX wieku były – przez swój zwrot ku Biblii – czymś nader pozytywnym.

### *Mehr Freude*

Spośród dzieł Kepplera na czoło wybijają się dwa: *Leidenschule* (*Szkoła cierpienia*, Freiburg 1916) oraz *Mehr Freude* (*Więcej radości*, Freiburg 1904). O ile w pierwszym biskup Rottenburga cierpienie ludzkie przeświecił światłem z wysoka, o tyle w drugim starał się życie ludzkie nasycić słońcem radości chrześcijańskiej. Jak promienny i słoneczny dzień przynosi ulgę choremu, tak książka tryskająca prawdziwą radością wlewa do duszy pokój i ukojenie. Zresztą tytułowa idea *Mehr Freude* stała się najbardziej znamiennej cechą i zarazem ideą naczelną kaznodziejstwa P. W. Kepplera. Książka ta cieszyła się dużym uznaniem i została przetłumaczona na trzynaście języków.

Keppler ubolewa w niej nad współczesną ludzkością, która coraz mniej cieszy się życiem i darami Bożymi i dlatego coraz większą okazuje skłonność do ponurego pesymizmu i coraz bardziej ulega wpływowi agitatorów, podsycających jej niezadowolenie i wzywających do zburzenia całego porządku społecznego. Autor wypowiada wiele trafnych bardzo uwag o wychowaniu dzieci, o potrzebie zabaw ludowych, o śpiewie i sztukach pięknych, o zbawiennym wpływie religii, o wesołości, jaką odznaczali się święci itd. A to wszystko wyraża stylem wytwornym, świetnym, pełnym werwy retorycznej. Już same tytuły poszczególnych

rozdziałów reklamują dzieło: *Radość a czasy obecne*, *Radość a młodość*, *Radość a chrześcijaństwo*, *Radość a świętość*, *Galeria ludzi radosnych*, *Radość a wychowanie*, *Radość a duszpasterstwo* itp. Wreszcie autor sam powiada: „Smutku, bódy, boleści ludzie zawsze mają dosyć na świecie. Starajmy się, żeby zawsze było dosyć radości”. Przecież Ewangelia, jak sama nazwa wskazuje, jest dobrą, radosną nowiną o kochającym nas Bogu. Biskup Rottenburga domagał się więc, by głosić kazania z radością i o radości; ze względu na dzisiejszy sceptycyzm, realizm i krytycyzm należy mówić z uczuciem; wygłaszane kazanie ma być wyrażone, żywe, donośne, utrzymane w tonie rozmowy ze słuchaczem.

Retoryka Kepplera apeluje do rozumu i do uczucia, lecz ze szczególną siłą – do uczucia. Najbardziej poruszające kazania Kepplera są najwartościowsze pod względem artystycznej formy; naturalna głębia myśli łączy się w nich z siłą wyrazu. Kaznodziejstwo autora *Mehr Freude* tchnęło radością i optymizmem chrześcijańskim. Dbał on o drobiazgowy wykończenie stylistyczne i oratorskie; ustawicznie pracował nad artystycznym kształtem swych kazań. Z artyzmem stylistycznym łączył Keppler mistrzostwo retoryczne wyrażające się m.in. w upodobaniu do apostrofy, tak charakterystycznej dla klasyków retoryki. Oto słynna mowa z apostrofą do kończącego się dziewiętnastego stulecia: „Dzwony wydzwoniły już odejście wieku dziewiętnastego. Więc odejdz, w imię Boże, wieku dziewiętnasty. Odejdz wieku, dumny swymi wynalazkami, nauką i postępem, wieku pary i kolei żelaznej, maszyn i elektryczności. Odejdz ze swymi dumnymi tytułami i honorami, któreś sam sobie stworzył. Wiekowi tak wynoszący się nad swymi poprzednikami! Odejdz, minęła twoja godzina, czas twój należy już do przeszłości, nastał już inny czas. Wyda on o tobie inny wyrok, niż sam o sobie wydałeś. Nie zwróci na ciebie uwagi, jak ty nie zwróciłeś jej na swych poprzedników. Podniesie przeciw tobie ciężkie skargi z powodu dziedzictwa, które po tobie przyjąć będzie musiał. Czyż większość twych lat nie wypełniły wojny, spory i waśnie, czy nie wypełniały ich prześladowania wiary i Kościoła? W końcu zostawiłeś nie rozwiązane pytania, pogmatwane napięcie i trudności. Zaciągnąłeś wielką winę, zostawiłeś okropny ciężar następnemu stuleciu. Nie oddałeś czci Bogu. Ciężko dotknęła cię ręka Opatrzności w rozlicznych nawiedzeniach, nieszczęściach i klęskach. Dziękuj jednak Bożej cierpliwości, że nawiedzenia nie były cięższe. A jeśli twe ostatnie uderzenia i rozstanie były lekkie, to czyż nie zawdzięczasz to tym, których nienawidziłeś i prześladowałeś, modlitwie całego chrześcijaństwa, które idąc za głosem Najwyższego Pasterza, gromadziło się w ciągu trzech dni ostatnich wokół ołtarzy, aby dziękować, prosić i pokutować za twoje winy? Tak, odejdz w imię Boże!”

Swój złoty jubileusz kapłaństwa i srebrny biskupstwa Keppler połączył z *Dniem katolików* odbywającym się w 1925 roku w Stuttgarcie. Katolicy niemieccy złożyli hołd wielkiemu biskupowi i kaznodziei. Równie przejmująca i uroczysta był mowa dostojnego kaznodziei na tym jubileuszu. Oto jej istotny fragment: „Opre się pokusie wieku i nie dam dziś wyrazu falującym uczuciom i nastrojom jubi-

lata. Na to uroczystość ta, przy całej swej radosnej treści, za poważna. Z liczby lat życia i kapłaństwa mojego brzmi «memento mori». Obok gości z królestwa żywych są na tym jubileuszu i drodzy zmarli, którzy uczestniczyli w tej służbie Bożej, włączyli się w nasz orszak i tu się unoszą. Biskup, który mię poświęcił – nie żyje, arcybiskup, który mnie konsekrował – nie żyje, dwaj moi poprzednicy tak mi bliscy – nie żyją, cała kapituła, która przed dwudziestu sześciu laty wybrała mnie na biskupa nie żyje; papież, który mię zatwierdził – nie żyje, wszyscy biskupi, których powitałem wchodząc na konferencję w Fuldzie – nie żyją, zmarli; zmarli... Myślę więc i o własnej śmierci, czytam swe nekrologi, słyszę żałobne dźwięki Beethovena. Ale nie narusza to mej radości jubileuszowej; lecz ją pogłębia, nie umniejszą mej wdzięczności, tylko ją podnosi”.

Także w prezentowanej poniżej *Homilii na 4 niedzielę po Trzech Królach* P. Keppler w mistrzowski sposób kreśli przed słuchaczami dwa przeciwstawne w wyrazie i nastroju obrazy: obraz ciszy i obraz burzy na morzu. Jeden i drugi nastrojowy, zrodzony pod tchnieniem poezji, wykończony jakby ręką pisarza-artysty. Wywołują one tym silniejsze wrażenie, że są zestawione kontrastowo: błoga cisza nocna i gwałtowna burza morska. Całość daje chrześcijańskie oświetlenie dramatów życiowych człowieka.

\*

Biskup Rottenburga był człowiekiem przenikniętym głęboką wiarą i miłością, dlatego jego indywidualny styl i forma kaznodziejstwa posiadały niezwykłą moc oddziaływania na słuchaczy.

Właściwe dla drugiej połowy XX wieku przekonanie, iż homilia jest najwłaściwszą formą dla współczesnego przepowiadania kościelnego nie pojawiło się w homiletyce nagle, lecz wyłaniało się i krzepło stopniowo. Nowa refleksja teologiczna, odnowa biblijna, ruch liturgiczny, ruch katechetyczny, ekumenizm i Sobór Watykański II stały się czynnikami wpływającymi na rozwój odnowy kaznodziejstwa. Miał w tym swój znaczący udział Paul Wilhelm von Keppler.



bp Paul Wilhelm von Keppler

## *Homilia na IV niedzielę po Trzech Królach (do Mt 8, 23-27)*

„Któż jest ten, że mu i wiatry i morze są posłuszne?” W sposób podobny możemy również zapytać po wysłuchaniu ewangelii dzisiejszej. Któż jest ten? Czy jest On Bogiem? Widzimy, że jest zmęczony i wyczerpany, widzimy, że śpi jak inni ludzie, że jest poddany siłom przyrody, które w Jego łódź uderzają, sen mu zakłócając. Czy jest człowiekiem? Lecz azali może człowiek słowem swoim uciszyć wzburzone żywioły? Na pytanie powyższe jedna tylko może być słuszna odpowiedź: Jezus Chrystus jest Bogiem-Człowiekiem, którego natura ludzka podobnie jak nasza snu potrzebuje i podporządkowuje się prawom przyrody, którego natura boska ucisza swoją wolą i słowem burzę i piętrzącą się bałwany, albowiem stworzyła wszystkie siły przyrody wolą i słowem swoim.

Jezus Chrystus – to prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek, nasz bosko-ludzki Zbawca i Odkupiciel. On właśnie dopuszcza burzę na uczniów swoich, w burzy ich doświadcza i ratuje, a nie tylko ich, ale wszystkich swoich uczniów i wiernych, a zatem i nas również.

Najmilsi, otwórzcie oczy wasze, ażebyście Go poznali, otwórzcie umysł i serce, ażebyście Go mogli zrozumieć. Postarajcie się zagłębić w ewangelię dzisiejszą i zaczerpnąć stamtąd naukę mądrości życiowej. Jezus Chrystus jest naszym Zbawicielem również w burzach życiowych – to najgłówniejsza nauka, jaką nam daje dzisiejsza ewangelia; Jezus Chrystus naszym Zbawicielem, albowiem:

1. Dopuszcza na nas burzę.
2. Doświadcza nas w burzy.
3. Karci nas w burzy.
4. Przychodzi nam w burzy z pomocą.

Gdy uczniowie wstąpili onego wieczoru na żądanie Zbawiciela do łodzi, odpłynęli od lądu na środek morza, dalecy od wszelkiej myśli o burzy i niebezpieczeństwie, o nocy pełnej strachu i przeżalenia. Czyste niebo, jasna zorza wieczorna zdawały się być najlepszą zapowiedzią pięknej i pogodnej nocy. Fale morskie posnęły, wydając tylko cichy szelest jakby przez sen, gdy je łódź przerzynała. Głęboka cisza zapanowała również w samej łodzi, albowiem dobry Pan i Mistrz po trudach i znojach całodziennych na jej pomoście spoczął. Nie było rzeczą trudną nadawać kierunek łodzi lekkim sterem poprzez ciche wody jeziora. Podobnie jak w całej przyrodzie, również i w sercu apostołów musiał zapanować niczym niezamącony spokój wieczorny, chociaż poruszali wiosłami i sterem, przyglądając się ze czcią śpiącemu Zbawicielowi lub leż przyzymkając w półśnie oczy swoje.

Lecz naraz zmienia się wszystko, Oto potężny podmuch wiatru spada z wyżyn Hermonu, za nim drugi, trzeci. To zwiastuny strasznej burzy. Rozszalał wicher hen nad całą doliną; uderza o powierzchnię skał, od której się odbijając, spada z całą furją na morze, porusza fale, pędzi je i przerzuca jedną przez drugą, sięga do samych głębi i tam również wszystko jakby w zawieruchę zamienia. Fale wypowiadają człowiekowi posłuszeństwo; nie chcą już więcej dźwigać na swym grzbiecie łodzi, rzucają nią dokoła jak piłką, a wydaje się, iż dotąd nie spoczna, nim jej nie pogrąży w głębinach lub też nie rozbiją o skały. W takiej chwili ulata pokój, sen i cisza; bojaźń i trwoga ogarnia wszystkich. Tylko jeden śpi i wypoczywa pośród szalejącej burzy morskiej – a jest nim Chrystus Pan.

Czyż obraz powyższy nie przypomina nam i nie uprzytomnia wydarzeń i przeżyć z życia własnego? Płynęła nieraz nasza łódź życiowa wśród niczym niezamąconego pokoju; myśl o burzy wydawała się być od nas jak najdalszą. Lecz oto spada ona na nas nagle i niespodzianie. Przychodzi ciężkie doświadczenie jak burza z pogodnego nieba; krzyżują się i wniwecz obracają nasze plany i zamiary. Spotkało nas wielkie upokorzenie i strąciło z wyżyn do przepaści. Gorący wiatr ognisty, co się zdaje wydobywać z piekła, pozbawia nas pokoju duszy, a serce nasze czyni igraszką straszliwych doświadczeń. Śmierć zabrała nam bliską osobę, do której Ignęliśmy z całą miłością, a w sercu naszym rozpełtała burzę smutku i zwątpienia, co nie chciała się już więcej ukoić.

Co się stało? Czyż Pan Bóg nas niespodzianie opuścił? Czy staliśmy się łupem i ofiarą dzikich sił przyrody, nieszczęśliwego zbiegu okoliczności lub jakiejś ciemnej i złej potęgi? Tak się może nam niekiedy wydawać; lecz jest to tylko złudzenie. W takiej burzy Zbawiciel jest tak samo pośród nas, jak w ową noc pamiętną znajdował się pośród uczniów swoich. Jest on Tym, co nas przez burzę prowadzi, jaki wiódł niegdyś przez burzę uczniów swoich. Kto pragnie być uczniem Jego, wierzy weń i naśladuje Go, ten musi być przeświadczony, że Chrystus dopuszcza nań burzę i niebezpieczeństwa. Nie sięgamy wzrokiem w przyszłość i nie wiemy, co nam ona przyniesie – wiemy tylko jedno, pouczeni przez doświadczenie życiowe i samego Zbawiciela: podróż nasza poprzez morze tego życia i tego świata nie może się zawsze w ciszy i spokoju odbywać; raz w raz będzie się stawała podobną do nocnej jazdy apostołów przez morze Genezaret. Przyjdą burze, zagrożą łodzi życia naszego, poruszą głębie duszy naszej, a On, Pan i Zbawiciel nasz jest tym, który na nas te burze posyła.

Ale dlaczego? Po co? Dlaczego onej nocy dopuszcza Zbawiciel na uczniów swoich burzę i niebezpieczeństwo? Dla ich dobra własnego, by ich pouczyć. Owa burza nocna była dla apostołów prawdziwą szkołą przygotowawczą dla całego ich dalszego życia. Zaprawili się w burzy i niebezpieczeństwie, albowiem wśród burz i niebezpieczeństw nieustannych mieli szerzyć ewangelię oraz łodzią Kościoła przez morza wzburzone sterować.

Czego ich noc ta uczy? Uczy najpierw rachować na własne siły w czasie burzy i niebezpieczeństwa. Jako mężowie odważni i obeznani z morzem pokonują szybko paralizujący wpływ bojaźni i przerażenia, zwijają żagle, a z największym wyęczeniem sił ujmują ster i wiosła, czyniąc wszystko, by wśród burzy i fal nie dopuścić do zatonięcia łodzi. A Jezus spał.

Wkrótce jednak się okazuje, że siły ich własne nie wystarczają. Wiatr i fale drwią sobie z ich wysiłków i igrają w dalszym ciągu z łodzią w sposób straszliwy. Męstwo ich jeszcze jednak nie złamane; widok Zbawiciela, pośród nich się znajdującego, podtrzymuje wiarę apostołów. Chrystus jednak śpi.

Lecz oto naraz straszny wstrząs. Wysoko piętrzą się fale; ciężko uderzają w łódź; wznoszą się do góry i otwierają przed nią ciemną przepaść, która w każdej chwili grozi jej pochłonięciem. Wszystko wydaje się stracone, a Zbawiciel wciąż jeszcze śpi. Wyczerpują się wreszcie odwaga i siły apostołów; nie pozostaje im nic innego, jak pośpiesznie obudzić Zbawiciela; wśród nocy daje się słyszeć ich trwożne wołanie: „Panie, ratuj nas, ginimy”.

Godzina nawiedzenia i niebezpieczeństwa była szkołą, z jakiej mieli uczniowie zaczerpnąć naukę życiową. Mieli sobie uświadomić swoje własne winy, przekonać się o swojej słabości, mieli nabyć przeświadczenia, że w wielkiej potrzebie i niebezpieczeństwie tylko pomoc Pana i Mistrza może ich uratować.

I nas także ma wziąć do swej szkoły surowy wychowawca Boży – cierpienie i nieszczęście: stąd to właśnie powstają w naszym życiu niebezpieczeństwa, burze i utrapienia; dlatego się nie-

kiedy wydaje, że Pan śpi, chociaż cierpienia zewsząd nam doskwierają. Pozostawia nas samym sobie, pozbawia poczucia swej obecności, na pozór nas opuszcza i zmusza do borykania się z burzą i niebezpieczeństwem tylko o własnych siłach. Albowiem i dla nas nic nie jest bardziej pożytecznym i koniecznym, jak ćwiczenie i hartowanie naszych własnych sił, jak uświadomienie i przyznanie się do naszej słabości, jak wiara w pomoc płynącą z góry, a gdy nasze własne siły zawodzą, ucieczka do modlitwy i wołanie z głębi swojej niedoli: Panie, ratuj nas, giniemy.

Zaprawdę, jest to szkoła wielka i zbawienna, w której w ciągu kilku godzin częstokroć więcej się uczymy, niż w innych okolicznościach w ciągu tygodni i miesięcy, w której nam jakby łuski z oczu opadają, w której uczymy się nas samych poznawać i z której wychodzimy jakby innymi ludźmi. Dlatego to, chrześcijańskie, burze i niebezpieczeństwa w twym życiu się spotykają; mają one ciebie doświadczyć i wypróbować; wołają do ciebie: Staraj się wykorzystać twoje własne siły, ale wyłącznie na nich nie polegaj; staraj się jednocześnie pokładać nadzieję i budować na mocy płynącej z góry.

„Panie, ratuj nas, giniemy!” Wołanie o pomoc budzi śpiącego Zbawiciela. Jaką jest Jego odpowiedź? Czy pociesza uczniów? Czy uspokaja burzę? Czy natychmiast usuwa niebezpieczeństwo? Nie, zanim skarci wiatr i wodę, karci uczniów. Nie pociesza ich, lecz czyni im w ostrych słowach wyrzut: „Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary”.

Czy apostołowie zasługiwali na podobne skarcenie? Jakież człowiek nie uląkłby się tak wielkiego niebezpieczeństwa, które zagrażało śmiercią? Że się bali, była to rzecz naturalna; lecz, że bojaźń wzięła w nich górę nad wiarą, było to naganną słabością apostołów. Że ze strachu truchleli, jest zrozumiałem; lecz, że strach ich był bliskim zwątpienia, że wiara ich chwiejna i słaba o mało że nie została pochłonięta przez fale rozpacz, to było niedobre. Że wołanie o pomoc było raczej wyrazem strachu i przerażenia, niż głosem tchnącej wiary ufności, to właśnie karci Zbawiciel i wyrzuca apostołom.

Lecz Jego słowa karcące zmierzają tylko do obudzenia w nich zachwianej wiary, do wyzwolenia z więzów przestraszenia. Daje im Zbawiciel na całe życie naukę, że wobec cierpień i niebezpieczeństw wiara nie powinna ustępować, lecz przeciwnie, wziąć w swe ręce kierownictwo, pokonać zwątpienie i bojaźń serca, a chociaż wszystko chwieje się dokoła i pochyła, ma ona pozostać niewzruszoną jak skała, przenikać całego człowieka mocą nadprzyrodzoną. Oto jak Zbawiciel przez swe słowa karcące daje w dalszym ciągu naukę, jaką rozpoczęli słudzy jego – wiatr i fale.

Czy możemy sobie pochlebić, żeśmy przeszli w nieszczęściu naszą próbę wiary lepiej, aniżeli apostołowie? Czy i nam się nie przytrafiło, że w chwili większego niebezpieczeństwa modlitwa nasza była raczej wołaniem bojaźni niż głosem wiary? Oto być może z tego powodu Zbawiciel ociągał się ze swoją pomocą; na nasze wołanie w niebezpieczeństwie i potrzebie nie odpowiadał natychmiastowym ich usunięciem; być może na modlitwę naszą, pozbawioną silnej wiary, odezwał się słowami wyrzutu: Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? Być może odpowiedź Zbawiciela, dana przez głos sumienia lub też przez słowa Pisma Świętego albo słowa kapłana i spowiednika nie zadźwięczała łagodnie i pociągająco w sercu naszym, lecz przeciwnie, sprawiła nam przykrość i ostro dotknęła.

Ale stało się to tylko dla dobra naszego. I my również jak apostołowie mamy wśród burz i niebezpieczeństw przede wszystkim wiarę w siebie rozniecać, w nią się wsłuchiwać, iść za nią. Dlatego, najmilszy, jeśli w chwili nawiedzenia nie przychodzi rychło pomoc Zbawiciela, jeśli modlitwa nasza wydaje się być bezskuteczną, jeśli tak się czujemy, jakby na nas spoczywało nie miłe i łaskawe, lecz surowe i karcące wejrzenie Chrystusa Pana, pamiętajmy, że jest to czas, w którym mamy doświad-

czyć wiarę naszą, w którym z pełnią wiary i ufności mamy zanosić modły do Pana Boga, wzywać Go z wiarą za przykładem apostołów, odsuwając od siebie wszelkie wątplenie; albowiem kto wątpi, staje się podobnym „do fali morskiej wzbudzonej wiatrem i miotanej to tu, to tam” (Jk 1, 6).

Gdy Zbawiciel uspokoił wzruszone umysły apostołów przez potężne odwołanie się do ich wiary, ucisza je d n y m słowem żywioł wzbudzony. Zaprawdę, chwila wielka i cudowna. Chrystus Pan staje w łodzi, postać Jego zdaje się przewyższać zwykłą miarę człowieka, bije odeń godność i potęgą bóstwa. Wyciąga swoją rękę, karcąc wiatry, a one, co się przed chwilą srożyły, jakby pragnęły wszystko zniszczyć, ulatują z drżeniem w góry, skąd przyszły. Woła do wzburzonych fal: uciszcie się! I w tejże chwili bałwany morskie układają się u jego stóp na podobieństwo baranków, a morze staje się podobnym do tafli lustrzanej. Jakaż dziwna odmiana. Burza skończyła się prędej, niż rozpoczęła. Przed chwilą wszystko zdawało się być objęte szaleem wzburzenia, tchnęło grozą śmierci, a bojaźń i trwoga widniały na obliczu wszystkich – teraz zapanowała niezamącona cisza i spokój w przestworzach, spokój nad wodami, spokój w umysłach. Dopiero co dawało się słyszeć wśród nocy rozpaczliwe wołanie o pomoc, teraz ustępuje ono miejsca okrzykom radości. „Kimże On jest, że nawet wichry i jezioro są Mu posłuszne?” – wołają apostołowie, przejęci uczuciem bezpośredniej obecności potęgi Bożej i widokiem jej cudownego działania. Wiara apostołów wykwiła uwielbieniem, a uczczenie Jezusa Chrystusa staje się przepiękną konkluzją nocnej burzy na morzu.

Tak przychodzi Chrystus Pan ze swoją pomocą. W sposób podobny i nas również wspiera. Jeśli byliśmy pilnymi i pojętymi uczniami w twardej i burzliwej szkole cierpienia, a wiara nasza wyszła z tej szkoły zwycięsko, wówczas Chrystus Pan wyprowadzi nas tym niezawodnie z niedoli i cierpienia, a po wielu burzach i utrapieniach ześle nam ucieszenie i spokój. Zajrzyj tylko uważnie w twe życie: czy nie przynasz z wdzięcznością, że zostałeś niejednokrotnie w sposób prawie cudowny wyzwolony i wyrwany z objęć niedoli i niebezpieczeństwa? Gdyś stał stroskany i bezradny w obliczu twych ciężkich i smutnych kolei życiowych, nie widząc z nich żadnego wyjścia, przyszła ci nagle pomoc, a smutek w radość się zamienił tak prędko i niespodzianie, jak prędko i niespodzianie rozbłyska promień słoneczny poprzez ciemne chmury deszczowe. Zajrzyj raz jeszcze w ciężkie chwile twojego życia. Być może pomoc nie przychodziła ci niekiedy w tej formie, w jakiej sobie życzyłeś, cud się nie wydarzył, a śmierć dokonała swojego dzieła zniszczenia, wyrwijając życie drogiej tobie osoby, o której utrzymanie tak gorąco Pana Boga prosiłeś; kielich cierpienia musiał być aż do dna wychylony. Lecz modlitwa twoja nie pozostała nie wysłuchaną; wiara twoja cię nie zawiodła; Pan Bóg dokonał jeszcze większego cudu: obdarzył cię wewnętrzną pogodą i spokojem duszy, którego nie może pozbawić ani zakłócić żadna burza zewnętrzna. Podniosła się być może w twym sercu burza wraz ze swymi falami i wiatrem; ukazała swoje oblicze w ten sposób, iż jej bliskość odczułeś, a jednak pomimo wszystkie utrapienia zewnętrzne czułeś się wewnętrznie szczęśliwym i mogłeś powiedzieć z apostołem: „Pełen jestem pociechy, opływam w radość w każdym ucisku” (2 Kor 7, 4). Mogłeś wśród burzy zażywać błęgiego spokoju i śpiewać z Psalmistą: „Będę cię miłował, Panie, mocy moja; Pan twierdza moja i ucieczka moja, i wybawiciel mój. Bóg mój, wspomóżyciel mój, i w nim będę nadzieję miał. W utrapieniu moim wzywałem Pana i wołałem do Boga mojego, i wysłuchał głos mój z kościoła swego świętego, i wołanie moje przed oblicznością jego, weszło w uszy jego. Obrońcą jest wszystkich, mających nadzieję w sobie, bo któż Bogiem oprócz Pana, albo który Bóg, oprócz Boga naszego; ty rozświecasz pochodnią moją, Panie, i oświecasz ciemności moje” (Ps 17, 2n. 29-32).

Najmilsi, czytaliśmy w świętej księdze ewangelii jak również w księdze życia naszego. Jakież światło bije z tej stronicy ewangelii, co nam opowiada o uciszeniu burzy na morzu; na niej są wypisane pewne stronicy życia naszego, skreślone zgłoskami nieszczęść, nawiedzeń, chorób i śmierci. Dotąd wydawały się one nam zagadkowymi. Teraz je rozumiemy lepiej, teraz je zagadkowości poznajemy pełne łaski i błogosławieństwa wyroki Boże.

Psalmista Pański, czytając pewnego razu historię Izraela, chociaż w niej znalazł tyle wydarzeń smutnych, mógł jednak swoje uczucia i myśli w Psalmie 106 ująć w te krótkie słowa: „Wyznawajcie Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie Jego”, oraz wyrazić w życzeniu, które według niego nigdy nie mogło spowszednieć: „Niechajże wyznają Panu miłosierdzia Jego, i cuda Jego synom ludzkim”. Pomiędzy treścią powyższego Psalmu a opowiadaniem podanym przez naszą ewangelię zachodzi stosunek prorocstwa do jego wypełnienia. „Którzy zstępują na morze w okrętach i mają sprawy na wodach wielkich; ci widzieli dzieła Pańskie, i dziwy Jego w głębinie. Rzekł, i powstał wiatr burzliwy i podniosły się nawałności jego. Wstępują aż do nieba i zstępują aż do przepaści; dusza ich schła w złej przygodzie. Strwożyli się i zataczali się jako pijani, i wszystka ich mądrość pożarta jest. I wołali do Pana, gdy byli uciszeni i wywiódł je z ich potrzeb, I obrócił burzę jego w ciszę, i uspokoiły się nawałności jego. I uradowali się, że ucichły, i przyprowadziła je do portu woli ich” (w. 23-30).

Zaprawdę, widzimy, jak się to wypełnia w ewangelii dzisiejszej i sprawdza w naszym własnym życiu. Gdy się nad tym zastanawiamy, nie możemy się nie zgodzić z zachętą Psalmisty: „Niechaj wyznawają Panu miłosierdzia jego i cuda jego synom ludzkim” (w. 31). Lecz Psalmista kończy swoją pieśń wymownym pytaniem: „Któż mądry, a strzec będzie tego? a wyrozumie miłosierdzie Pańskie?” (w. 43). Najmilsi, bądźmy roztropnymi i starajmy się zrozumieć miłosierdzie Boże; przede wszystkim zaś miłosierdzie, na które najmniej się zwraca uwagi, miłosierdzie, które nam Stwórca zsyła w chwilach nieszczęścia, wśród srożącego się wiatru i chmurnych powiewów burzy. Nigdy, być może, nie mamy więcej powodów do dziękczynienia, jak w chwili, gdy te nawiedzenia na nas spadają.

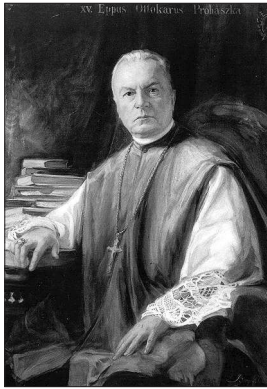
Gdy zaczynają szaleć burze życiowe, a fale, podnosząc się wysoko, grożą łodzi naszej, gdy musimy wszystkie swoje siły wyczerzyć, gdy coraz wyraźniej zaczynamy sobie zdawać sprawę, że siła nasza jest właściwie niemocą, że bez pomocy z góry nic zdziałać nie potrafimy – dziękujmy za to doświadczenie i tę cenną naukę; dziękujmy Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie Jego. Gdy cios nieszczęścia wstrząśnie całą duszą waszą, a z głębi jej wytrysnie gorące źródło modlitwy, bądźcie wdzięcznymi za to zbawienne wstrząśnienie; dziękujcie Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie Jego.

Gdy Pan Bóg upomina was przez burzę i budzi waszą wiarę uśpioną, gdy ratuje was w burzy i darzy po niej błogą ciszą i słodkim pokojem, dziękujcie wówczas Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie Jego.

Idźcie chętnie do Chrystusowej szkoły cierpienia; oddajcie się pod jej kierownictwo. Zbawiciel poprowadzi was od burzy do burzy, od walki do walki, lecz jednocześnie od łaski do łaski, od radości do radości, od zwycięstwa do zwycięstwa, poprowadzi po ostatniej najcięższej walce do wiekuiętego pokoju, w którym wszystkie okrzyki niedoli i wołania o pomoc zamienią się w jedną, nieskończoną pieśń wesela: „Wyznawajcie Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie jego”. Amen.







Biskup Ottokár Prohászka  
(1858-1927)



# Apostoł i nauczyciel Węgier

W pierwszej połowie XX wieku sławą wybitnego profesora i pisarza, cenionego mistrza życia duchowego, gorliwego biskupa Székesfehérvár, a przede wszystkim fascynującego kaznodziei cieszył się Ottokár Prohászka. Chociaż pochodził ze Słowacji, całe swe życie związał z Węgrami, zyskując niezwykłą popularność w ojczyźnie św. Stefana.

## Droga do sławy

Ottokár Prohászka urodził się 10 października 1858 roku w Nitrze na Słowacji, w rodzinie urzędniczej. Mały Ottokár chodził początkowo do szkoły ludowej w Ružomberku, gdzie później proboszczował sławny przywódca narodu słowackiego i obrońca jego autonomii ks. Andrzej Hlinka († 1938). Chłopiec zdradzał niezwykle zdolności, dlatego też uradowany tym ojciec wysłał go do najlepszego wówczas gimnazjum jezuickiego w Kalocsa, na Węgrzech. Po szóstej klasie Ottokár wstąpił do prymasowskiego małego seminarium w Ostrzyhomiu (węgierskie Esztergom), skąd po celująco zdanej maturze wysłano go na studia filozoficzne i teologiczne do rzymskiego *Collegium germanico-hungaricum*. Ukończył je doktoratami z obydwu tych dyscyplin. W 1882 roku otrzymał święcenia kapłańskie i pierwszą posadę wikarego w prymasowskim mieście Esztergom.

Ks. wikary Prohászka olśnił zaraz mieszkańców dawnej stolicy średnio-wiecznych Węgier swą zdumiewającą wiedzą i wspaniałym kaznodziejstwem. W dowód uznania kardynał-prymas Simor już po kilkumiesięcznej pracy duszpasterskiej powołał go do seminarium duchownego na stanowisko profesora. Wykładał najpierw grekę i łacinę, później teologię pastoralną i moralną, a w końcu dogmatykę szczegółową. W roku 1890 został ojcem duchownym w tymże seminarium, kształtując sumienia przyszłych kapłanów swymi wskazaniami i świętobliwym życiem.

Należy zauważyć, że sytuacja wyznaniowa na Węgrzech była dużo bardziej skomplikowana niż w Austrii, drugim członie monarchii austro-węgierskiej. Około roku 1895 w części węgierskiej mieszkało 11 milionów katolików (w tym 2 miliony obrządku wschodniego) wobec 3,7 milionów protestantów, których wpływy społeczne i kulturalne były niezwykle silne oraz 2,75 milionów prawosławnych i 800 tysięcy Żydów.

W roku 1904 senat uniwersytecki w Budapeszcie zaproponował Prohászce katedrę dogmatyki. Nie dane mu jednak było długo pełnić obowiązków profesora, gdyż już w 1905 roku mianowany został biskupem diecezji Székesfehérvár, w środkowych Węgrzech, w Kraju Zadunajskim. Jego miasto biskupie to dawna rzymska Herculea, miasto koronacyjne dynastii Arpadów.

## Wzorowy pasterz

Święcenia biskupie i ingres Prohászki do katedry w Székesfehérvár odbył się 11 stycznia 1906 roku. Związane jest z nimi pewne zabawne wydarzenie. Mieszkańcy miasta, uradowani z mianowania na stolicę biskupią znanego kapłana, pragnęli mu zgotować okazałe przyjęcie. Lubiący prostotę bp Prohászka pragnął uniknąć tych parad. Dlatego też przyjechał do miasta pierwszym rannym pociągiem, gdy nikt go się nie spodziewał. Nierozpoznany przez nikogo dotarł do pałacu biskupiego. O godzinie 8 zgłosił się u odźwiernego, nie mówiąc mu, że jest oczekiwanym biskupem. Furtian przyjął go grzecznie, ale kazał mu przyjść za godzinę, gdy „panowie przyjdą do biura” (Węgrzy, podobnie jak Niemcy czy Francuzi, nazywają księży „panami”). Ks. biskup zwiedził więc dokładnie katedrę, porozmawiał z kilku biednymi i o godzinie 9 zjawił się w pałacu biskupim wprowadzając wszystkich w zdumienie. Odtąd przez 21 lat sprawował posługę biskupią w Székesfehérvár. Poniekąd był jednak biskupem całych Węgier. Nie było bowiem znaczniejszego miasta, w którym by nie przemawiał. Tydzień męki Pańskiej poświęcał stale głoszeniu rekolekcji dla inteligencji stolicy. To była jego najbardziej ulubiona praca.

Jako biskup Prohászka nie był sprężystym administratorem; tę pracę powierzył innym. Starał się być przede wszystkim dobrym pasterzem. Wzruszające były jego niespodziewane odwiedziny w parafiach. Ze stacji kolejowej przychodził pieszo, wstępował do kościoła na adorację, popatrzył czy przypadkiem wieczna lampa nie wygasła, zajrzał do metryk u księdza proboszcza, porozmawiał po ojcowsku, odwiedził chorych, ubogich, nie zapominając nigdy o jałmużnie. Kler niższy patrzył na niego z uwielbieniem. Uczono się od niego umiłowania pracy oraz świętości. Życie prywatne biskupa nacechowane było ubóstwem i prostotą. Chodził zawsze skromnie ubrany. W swych częstych podróżach z Székesfehérvár do Budapesztu rzadko dojeżdżał do stolicy. Wsiadał zawsze na przedmieściu Kelenföld, wsiadał do tramwaju i jadących z nim robotników obdzielał jałmużną i słowem Bożym. W czasie tych podróży poznawał codzienne życie ubogich ludzi.

Dla biednych i opuszczonych miał serce zawsze miłosierne. Jako ojciec duchowny w seminarium duchownym w Esztergom, przez długie lata zbierał jedzenie ze stołu kłeryckiego, by je wcześniej rano, gdy miasto jeszcze spało, zanieść na stół nędzarzy. Jako biskup popierał gorąco wszelkie inicjatywy charytatywne wspierając je materialnie. Z jego poparciem powstało w Budapeszcie Socjalne Stowarzyszenie Misji, rodzaj zgromadzenia panien z uniwersyteckim wykształceniem dla niesienia czynnej pomocy materialnej i duchowej ulicy. Przyjrząwszy się jego wszechstronnej działalności, zrozumieć można jego surowe liczenie się z każdą minutą. Szanował najmniejszą chwilę, by coś przeczytać, napisać lub pomodlić się.

Bolesnym ciosem dla Prohászki było zamieszczenie w 1911 roku jednego z jego artykułów na indeksie książek zakazanych. Posądzono go o sprzyjanie moder-

nizmowi. Koła wolnomyślicielskie, protestanckie i żydowskie, a głównie masonskie, wzięły w „obronę” biskupa Prohászke. Napięcie opinii publicznej osiągnęło niespotykaną skalę. Prohászka mógłby wtenczas pociągnąć tysiące do walki z Kościołem katolickim. Tymczasem on wyszedł na ambonę, sam odczytał potępienie Kongregacji i dodał do niego kilka słów o swoim bezwzględny posłuszeństwie dla Kościoła. Było to najpotężniejsze kazanie świątobliwego biskupa.

W życiu politycznym nie brał czynnego udziału. Jedyne w czasie wojny światowej kilkakrotnie wyraził swój sprzeciw wobec szerzącego się zła. W niezrównanej działalności apostołskiej towarzyszył stale biskupowi jeden cel: zachęcić swych wiernych do prowadzenia głębokiego życia duchowego i do patrzenia na świat *sub specie aeternitatis*.

### Ceniony pisarz

Biskup Prohászka zostawił imponującą spuściznę pisarską. 25 tomów jego pism, starannie przygotowanych do druku przez ks. Antoniego Schütza, profesora dogmatyki na uniwersytecie w Budapeszcie, wydało na Węgrzech w zbiorowym wydaniu w latach 1928-1929 Stowarzyszenie św. Stefana. Do tego należy dodać jeden tom zawierający 600 listów biskupa, wydany przez Społeczne Stowarzyszenie Misyjne. A. Schütz porównuje Prohászke ze św. Augustynem i św. Franciszkiem, z Newmanem, Bossuetem i z Pascalem. Rzeczywiście, kto przeczyta ten przebogaty skarb, nie wie, co podziwiać bardziej w twórczości biskupa Székesfehérvár: czy filozofa i teologa, czy ascetę i mistyka, czy głębokiego znawcę nauk przyrodniczych i fizycznych, czy apostoła i niezrównanego kaznodzieję, czy reformatora ustroju społecznego i mistrza w kierownictwie dusz? W swej analizie prof. Schütz dochodzi do wniosku, że Prohászka posiadał bardzo dużo wspólnych rysów z wymienionymi geniuszami, lecz jednocześnie bogactwem uzdolnień i heroiczną pracą nad sobą różnił się znacznie od każdego z nich. Pod względem bogactw ducha i wybitnych zdolności pisarskich najbardziej był spokrewniony z 40-letnim Platonem (*Dzieła zebrane*, t. 25, s. 148-150).

Swą rozległą działalność pisarską Prohászka rozpoczął w seminarium duchownym. W roku 1891 wydał dzieło z zakresu nauk przyrodniczych *Bóg i świat*. W roku 1895 wyszła jego jedyna ściśle naukowa praca, która mu zapewniła katedrę dogmatyki na uniwersytecie w Budapeszcie: *Chrześcijańska pokuta i grzechów odpuszczenie*. W roku 1902 opublikował głośne dzieło *Ziemia i niebo*, na temat punktów styecznych teologii i geologii. W roku 1903 ukazał się *Zwycięski światopogląd*, jedna z najbardziej znanych jego książek, w której po mistrzowsku polemizował z materializmem i darwinizmem. W 1907 wydał dziełko *Minus Jesus*, zawierające osiem konferencji rekolekcyjnych. Jest ono jedynym cyklem konferencyjnym, który został ogłoszony drukiem (z dwudziestu kilku). Wydano go na podstawie trzech stenogramów, które Schütz porównał,

uzgodnił, przepisał i dał Prohászce do aprobaty. Dopiero po poprawkach autora zostały wydane w formie książkowej.

Nieśmiertelnym dziełem biskupa Prohászki są *Rozmyślenia o Ewangelii*, które ukazały się w 1908 roku. Widoczna jest tam głębia myśli, potężny powiew nadprzyrodzoności i bogactwo wskazówek w prowadzeniu życia duchowego, tak aby ono zmierzało do świętości. W roku 1912 ukazał się tom różnych jego artykułów pt. *Światło w ciemności*. W czasie I wojny światowej wydał zbiór różnych artykułów na temat wojny pt. *Dusza wojny* (1915). Artykuły z zakresu publicystyki i krytyki katolickiej zamieszczane w świetnym miesięczniku „Magyar Sion” redagowanym przez Prohászkę w latach 1888-1903 zajęły 5 grubych tomów w *Dzielałach zebranych*. W 1923 roku wydano tom opowiadań i nowel Prohászki, które również spotkały się z dużym uznaniem. Wspinałym świadectwem żmudnej pracy nad własnym uświęceniem i udoskonaleniem jest wreszcie dwutomowy pamiętnik Prohászki *Soliloquia*.

W *Dzielałach zebranych* Prohászki problematyka teologiczna zajmuje pięć tomów. Tworzą ją: naukowe dzieło dogmatyczne *Chrześcijańska pokuta i odpuszczenie grzechów*, tom listów pasterskich *Światłość w ciemnościach* oraz trzy tomy kazań i mów na kongresach katolickich zatytułowane *Słowa żywota*. Pierwszy z tych tomów (tom 13 wydania zbiorowego) zawiera mowy kongresowe i kilkanaście kazań okolicznościowych, drugi kazania na niedziele, trzeci zaś kazania na uroczystości Matki Boskiej, świętych, prymicyjne, pogrzebowe i inne. W zbiorowym, 25-tomowym wydaniu węgierskim, *Słowa żywota* biskupa Prohászki zajmują trzy woluminy. Ukazały się one także w polskim tłumaczeniu dzięki staraniom ks. doktora Ferdynanda Machaya. Dlatego też polski czytelnik może zrobić sobie zdanie o wartości i znaczeniu kaznodziejskim biskupa Prohászki, jednego z największych mówców wieku XX.

Z upływem czasu niektóre z dzieł Prohászki, takie jak: *Bóg i świat*, *Ziemia i niebo*, *Zwycięski światopogląd*, stawały się coraz bardziej przestarzałe. Inne znów są tak ściśle związane z zagadnieniami czysto węgierskimi, że chcąc je zrozumieć należałoby dobrze poznać ówczesne problemy tego kraju. Stałą aktualność posiadają natomiast jego dzieła ascetyczno-mistyczne, filozoficzne, teologiczne i społeczne. Zaś jego *Soliloquia* są wciąż niezrównanym pamiętnikiem, zapisem duchowej wspinaczki pokornego sługi Bożego zdążającego ku Bogu i widzącego wszystkie wydarzenia w perspektywie wieczności.

## Tajemnica kazań Prohászki

O swoim pierwszym kazaniu Prohászka tak pisze w swym pamiętniku: „27 sierpnia 1882. Dziś głosiłem słowo Boże po raz pierwszy... Im świętsze są wargi, im płomienniejsze serce, tym głębiej wruszy kaznodzieja dusze słuchaczy” (*Soliloquia* I, 33). Jednakże z pierwszych lat kapłaństwa Prohászki pozostało zaledwie kilka kazań. Najstarsze z wydrukowanych: *O św. Wojciechu*, pocho-



dzi z 1892 roku. W *Soliloquiach* znajdujemy natomiast kolejną ważną notatkę na temat kazania: „10 lipca 1888 roku. Miałem kazanie w parafii Nána, lecz ponieważ nie spisałem kazania, nie było w nim siły i namaszczenia, które jest zawsze moim wielkim uspokojeniem. Postanowiłem, że każde kazanie w miarę możliwości dokładnie spiszę” (I, 128).

Już wkrótce to postanowienie okazało się bardzo trudne do zrealizowania. Prohászka przemawiał coraz częściej. Prawie przez dwadzieścia lat dawał po kilka serii rekolekcji rokrocznie. Zabierał głos na każdej prawie znaczniejszej uroczystości patriotycznej, społecznej, stowarzyszeniowej i religijnej. Był tzw. „uroczystym” mówcą całych Węgier, a już szczególnie Budapesztu i swego miasta biskupiego, Székesfehérváru. Pod koniec swego życia wygłaszał każdego roku ponad sto mów i kazań. Zresztą słuchanie przemawiającego Prohászki uważane było na Węgrzech za obowiązek człowieka kulturalnego. Przy tak wszechstronnej działalności nie dziwi fakt, iż mówca nie miał czasu na pisanie kazań. W efekcie Prohászka zostawił zaledwie kilkadziesiąt starannie dopracowanych rękopisów. Pochodzą one z czasów, gdy był ojcem duchownym w seminarium w Esztergom. W czasie ferii świątecznych i wakacji chętnie wyjeżdżał wtedy do okolicznych parafii ze starannie opracowanymi kazaniem. Później, gdy sława jego dotarła do każdego zakątka Węgier, zapraszano go coraz częściej i na dopracowanie kazania brakowało już czasu. Kaznodzieja zawsze jednak starał się mieć przed sobą szkic kazania. Takich szkiców musiały być setki, jeśli nie tysiące. Redaktor *Dzieł zebranych* prof. Schütz nie wspomina jednak, co się z nimi stało. Trzy tomy *Słów żywota* nie zawierają bowiem żadnych szkiców. Zamieszczono tam natomiast piętnaście kazań (względnie mów na kongresach katolickich), które wydrukowano z rękopisów autora oraz stenogramy pisane przez kleryków i młodych księży, a przez Prohászkę autoryzowane i jeszcze za jego życia wydrukowane w węgierskich pismach homiletycznych: „Borromeus” i „Isten igéje” („Słowo Boże”). A. Schütz zapewnia, że w 3 tomach nie ma innych kazań i mów, tylko oryginalne opracowania i autoryzowane stenogramy.

Nadzwyczajną siłą przyciągającą słuchaczy do kazań O. Prohászki był sposób jego mówienia, gesty, mimika, mistrzowskie panowanie nad głosem i przede wszystkim namaszczenie nadprzyrodzone. Pewien lekarz tak scharakteryzował kazania Prohászki: „Nie rozumiem bardzo często, co mówi, lecz gdy się na niego patrzę i gdy go słucham mówiącego, czuję wyraźnie, że mówi prawdę” (tom 25, s. 85). W każdym kazaniu Prohászki widoczne jest jego bezgraniczne oddanie się Chrystusowi i niezłomna wola doprowadzenia słuchaczy do Chrystusa. Namaszczenie, ten cudowny powiew nadprzyrodzoności, tak charakterystyczny dla kaznodziejstwa Prohászki, sprawiało, że słuchacze, choć go często nie rozumieli, czuli jednak wyraźnie, że mówi prawdę. Nie oznacza to wcale, że Prohászka w swych kazaniach nie kładł nacisku na stronę doktrynalną i zadowalał się jedynie oddziaływaniem na uczucia. Przeczytanie któregośkolwiek z kazań przekonuje, że prawie każde z nich jest nieprze-

braną skarbnicą wiedzy teologicznej i świeckiej. Mowy głoszone przez niego na kongresach katolickich są prawdziwym arcydziełem oratorskim dotyczącym najważniejszych zagadnień współczesnych, na co wskazują już i same tytuły tych przemówień: *Zadania katolicyzmu wobec nauki*, *Dzisiejsza moralność męska i kobieca*, *Rola moralności chrześcijańskiej w rozwoju kultury*, *Drogi niewierzącego świata do Chrystusa*, *Dlaczego świat i dziś koniecznie potrzebuje Kościoła katolickiego*, *Apostolstwo ludzi świeckich* itd. Mowy kongresowe dają nam dokładne pojęcie o najbardziej ukochanym apostołstwie Prohászki, o apostołstwie wśród inteligencji. Odpowiada w nich w sposób naukowy, a mimo to zajmująco, gorąco i na wskroś religijnie, na wszystkie pytania trapiące współczesnego człowieka wykształconego.

Kaznodziejstwo Prohászki ma dwa wyraźne okresy. W pierwszych latach kapłaństwa trzymał się on dosyć wiernie utartych zasad homiletyki. Pochodzące z tego czasu kazania *O św. Wojciechu* i *O ślubach cywilnych* są starannie opracowane według wskazań homiletyki. W miarę upływu lat i zdobywania coraz to większego doświadczenia mówca ten mniej już dbał o przestrzeganie ścisłych kanonów homiletycznych w konstruowaniu swoich wystąpień. Dosyć często zapominał nawet o posługiwaniu się Pismem Świętym. Inne zaś wskazówki homiletyczne: co do długości wstępu, rozwinięcia tematu w tyłu i tyłu punktach, i co do zakończenia, dla Prohászki jakby wtenczas nie istniały. *Soliloquia* dowodzą, że Prohászka w swych kazaniach chciał podawać nową treść, a stare prawdy przyoblekać w nową, współczesną formę. Dbał więc pieczołowicie o „dobre” tematy, o „dobre przygotowanie”, dbał po mistrzowsku o ozdobne słowo, o piękną wymowę, ale główną jego troską, naczelnym celem wymowy było zawsze pomnożenie chwały Bożej przez ratowanie i uświęcenie dusz. „Po kazaniu św. Piotra nie mówiono, że «było piękne», lecz pytano się: «co mamy czynić». Czyńcie pokutę – odpowiedziano im” (*Soliloquia* I, 107). Wiekopomne znaczenie kazań Prohászki, głoszonych i drukowanych, polega właśnie na wnikaniu w dusze słuchaczy, na niepokojeniu obojętnych, leczeniu i dźwiganiu słabych i chorowitych, na wskrzeszaniu do życia łaski obumarłych.

Cechą znamionną kaznodziejstwa Prohászki jest namaszczenie płynące ze świętości osobistej oraz ogień miłości Chrystusowej. „Żyć święcie, oto źródło prawdziwego oddziaływania” (*Soliloquia* I, 109). Na fali swych uczuć i namaszczenia wyrwał się nieraz z tradycyjnych przepisów homiletycznych i wzbijał się na wyżyny nadprzyrodzone, zasypując słuchaczy żarem ognia wewnętrznego i porywając do Boga nawet najbardziej opornych i obojętnych. Nie zważał zbyt na układ poszczególnych części i punktów kazania, zapominał często o posługiwaniu się Pismem Świętym i innych przepisach kaznodziejskich, ale pilnował sam i od innych wymagał tego, co jest podstawowym warunkiem skuteczności kazania: dobrego przygotowania, doboru materiału i umiejętnego przedstawiania prawdy. Po należyтым uwzględnieniu tych momentów kazał duszy i zmysłowi kaznodziejskiemu pozostawić zupełną swobodę. Kazanie miało być kawałkiem życia, dzie-

łem żywym. Winno się rodzić *non ex penna, sed ex penu*. Dusza kaznodziei ma tworzyć w czasie kazania i tę twórczość powinien kaznodzieja sam odczuwać. Kto recytuje, czyta, albo zerka do rękopisu, nie jest kaznodzieją. Poszukiwaną nową formę kaznodziejską Prohászka widział również w wyborze aktualnych tematów kazań, w przytaczaniu dobrych i trafnych przykładów, od których chętnie rozpoczął kazanie oraz w bardzo żywym stylu i obrazowym języku.

Zarzucano kaznodziei upodobanie do neologizmów językowych, używanie nowych, nieraz dziwnych i rażąco brzmiących słów. Prohászka tak o tym pisze w swoich *Soliloquiach*: „Moja wina może polega na tym, że w kazaniach moich chcę dawać coś nowego i stare prawdy w nowej, dzisiejszej szacie chcę przedstawić. Unikam w tym celu dawnych, przyjętych szablonów, którymi niech inni uszczęśliwiają swych słuchaczy. Z tego powodu uważają mnie widocznie za nowatora” (t. 23, s. 245). Te na pierwszy rzut oka nowatorskie wyrażenia okazują się w gruncie rzeczy starą, niezmienną nauką Kościoła. Twórczość językową kaznodziei porównuje Prohászka do twórczości artysty rzeźbiarza. „Rzeźbiarz posiada marmur, idee, zna wydarzenia, w których zamknięte są idee, artyzmem swym daje tym ideom wyraz rzeczywisty. Naszym marmurem jest słowo, mowa, język. W przyrodzie, w wydarzeniach życiowych, w historii musimy odszukać myśl, ideę i musimy ją plastyczną bezpośredniością przedstawić” (*Soliloquia* I, 92).

## Apostoł inteligencji

W początkach XX wieku ks. Prohászka był już znany w całych Węgrzech. Sławę swoją zawdzięczał jednak nie tyle opublikowanym książkom, ile swym kazaniom i mowom, a szczególnie kazaniom rekolekcyjnym dla inteligencji, którą bardzo kochał. Była ona umiłowanym środowiskiem duszpasterskim Prohászki. Można go nazwać apostołem inteligencji. Podczas swych studiów rzymskich dowiedział się od swoich profesorów takich jak: Palmieri, Secchi, Ballerini, Kleutgen, że od XV wieku inteligencja świecka odgrywa niezmiernie doniosłą rolę w kształceniu i wychowaniu społeczeństw. Przejęty zjawiskiem spoganiaenia inteligencji, Prohászka postanowił jeszcze w Rzymie, że poświęci się szczególnie duszpasterstwu wśród tej grupy społecznej.

Szczególnie ważną rolę w kształtowaniu inteligencji pełniły prowadzone przez ks. Prohászkę rekolekcje wielkopostne. Pierwsze takie rekolekcje wygłosił w 1901 roku, w obszernej kaplicy zamku królewskiego w Budapeszcie. W następnych latach przeniósł się do kościoła uniwersyteckiego w śródmieściu. Głosił je rokrocznie, aż do swej bohaterskiej śmierci na ambonie.

Po wysłuchaniu jego pierwszych i drugich rekolekcji świat naukowy i literacki był zdumiony. Na początku XX wieku w Budapeszcie wielkie triumfy święcił bowiem racjonalizm i darwinizm. Do zwolenników tych kierunków Prohászka przemówił z doskonałą znajomością sprawy. Kpiącemu z wiary światu dowiódł, że pod biretem ukrywa się mądra, znająca wszystkie nowoczesne prądy

głowa. W kołach kościelnych te pierwsze nauki nie wszędzie zostały życzliwie przyjęte. Zarzucano im, że są ogólnikowe, że można by je spokojnie wygłosić w kościele kalwińskim lub w synagodze żydowskiej. Prohászka czynił to jednak rozmyślnie. Przyciągał w ten sposób do siebie zastępy uczonych. Wykazując, iż rozumie współczesne poszukiwania naukowe prowadził swych słuchaczy dalej, do odpowiedzi na pytania, których nie jest w stanie podjąć nauka. Ze skarbca swej olbrzymiej wiedzy i z głębi życia wewnętrznego ukazał piękno bycia chrześcijaninem-katolikiem. Jego kazania rekolekcyjne miały charakter leczniczy; ułatwiały zagubionym dotarcie do Chrystusa. Mimo iż był biskupem Székesfehérvár, miał w seminarium duchownym w Budapeszcie stały pokój z numerem 15, gdzie odbywały się szczere rozmowy inteligencji ze swym apostołem. To z myślą o niej wydał *Rozmyślenia o Ewangelii*. Pragnął, aby książka ta stała się modlitewnikiem inteligencji.

Postać Prohászki otoczona była legendą kaznodziei złotoustego i świętego. Rzeczywiście, był on pierwszorzędnym mistrzem na ambonie. Głęboka treść, niezrównanie piękny język, staranna wymowa, żywe gesty, gorące tętno akcji, a głównie jakiś czar nadprzyrodzonej duchowości, czyniły z niego przez wszystkich ulubionego kaznodzieję. O nadużyciach i błędach życia moralnego umiał mówić do profesorów w sposób surowy i wymagający, *suaviter in modo*, ale *fortissime in re*. Zresztą nie ograniczał się jedynie do pracy na ambonie, ale godzinami spowiadał także w konfesjonale.

Prohászka głosił dla inteligencji rekolekcje przez dwadzieścia kilka lat, zawsze na inny temat, zawsze w szczelnie wypełnionym kościele uniwersyteckim w Budapeszcie. Żydzi, kalwini, masoni, niedowiarkowie... każdy głębszy myśliciel spieszył w tygodniu męki Pańskiej do pięknej barokowej świątyni akademickiej. A gdy się złotousty i przez wszystkich ukochany, albo przynajmniej podziwiany, biskup zjawił na ambonie i wypowiedział z niewysłowioną miłością i troską dwa słowa: „Testvèrim, férfiak – Bracia, mężczyźni!”, gdy się rozejrzał przejmującym wzrokiem po kościele, dusze i serca obecnych już drżały pod wpływem uroku, jaki na swych słuchaczy wywierał. Uczeni z całego kraju zjeżdżali do Budapesztu na „tydzień rekolekcyjny”, by wysłuchać choćby kilku nauk, w które Prohászka wkładał całą swoją świętość, swój płomienny zapał i takie umiłowanie dusz, że porywał do Boga nawet najbardziej opornych. Te rekolekcje kochał nade wszystko. „Jaką wielką łaską – pisze w *Soliloquiach* – są dla mnie konferencje w kościele uniwersyteckim... Daj o Boże, bym je mógł zawsze wygłaszać, dopóki mi tylko tchu nie zabraknie” (*Soliloquia* I, 264). Bóg wysłuchał jego prośbę.

## Śmierć na ambonie

2 kwietnia 1927 roku podczas ukochanej konferencji do „braci-mężczyzn” po dziesięciu minutach od rozpoczęcia kazania załamał się nagle jego dźwięcz-

ny patos kaznodziejski. Kurczowo chwycił się krawędzi ambony, pot oblał jego twarz i po chwili opadły mu ręce. W kościele zapanowała trwoga. Po kilku sekundach olbrzymim wysiłkiem woli zaczął mówić dalej: „Odwiedza mnie jakaś pani, która dla Ojczyzny i wiary wychowała dziesięcioro kipiących zdrowiem dzieci. Jakież to piękne! Lecz odwiedziła mnie i inna pani, matka nowoczesna, jeżeli ją wolno zaszczycić nazwą matki, która dziewięciu dzieciom ukradła życie i promień słońca. Jakież to bolesne!...”. Przy ostatnich słowach już na ambonie byli lekarze i jego sekretarz. Błagali, by przestał mówić. A on ostatnim wysiłkiem woli i resztą sił chwycił się jeszcze raz ambony, twarzą zwrócił się do wielkiego ołtarza, i co chwila wydobywał z piersi urywane słowa: „Wytrwajcie w dobrym”... „spowiedź”... „sakrament ołtarza”... Wpatrzony w Najświętszy Sakrament ruszał jeszcze wargami, ale słów tych nikt już nie słyszał. Na wieży kościoła uniwersyteckiego biła godzina siódma; nieprzytomnego biskupa zniesiono z ambony. Jeden z obecnych profesorów uniwersytetu podjął modlitwę: „Za naszego umierającego złotoustego kaznodzieję odmówmy po bożnie *Anioł Pański*”. W tak niezwykle sposób Prohászka zakończył swe konferencje do „braci-mężczyzn”.

Konającego zaniesiono do jego pokoiku w seminarium duchownym. Obecni na kazaniu liczni lekarze spieszyli z pomocą. Gdy biskup zebrał resztkę sił, z uśmiechem na twarzy wypowiedział ostatnie słowa po łacinie, którą bardzo lubił: „Jesu, Jesu, favete linguis”. Gniewały go widać szept, wypytowania ciekawego tłumu. Po tym ostrzeżeniu, w pokoju i na korytarzu zapanowała cisza. Dwóch najlepszych lekarzy oraz bp Radnay i kilku księży nie opuściło go aż do skonania. Nastąpiło on o godz. 14 następnego dnia, tj. 3 kwietnia 1927 roku.

Wiadomość o śmierci ulubionego dostojnika okryła żałobą całe Węgry. W Budapeszcie do jego trumny spieszyły takie rzesze ludzi, że zatamowały zupełnie ruch uliczny w okolicach seminarium duchownego. Stolicę ogarnął jakiś szal religijny, ludzie podawali sobie z ust do ust, że przy łożu śmierci biskupa dzieją się cuda. Spieszył więc do budynku seminarium duchownego, kto tylko mógł.

6 kwietnia odbył się pogrzeb Prohászki w jego mieście biskupim. Dzień wcześniej, 5 kwietnia, doczesne szczątki wielkiego kaznodziei żegnała stolica Węgier. W kościele uniwersyteckim przy udziale najwyższych władz odśpiewano *Requiem*. Mimo iż biskup Prohászka był pochodzenia słowackiego, wszyscy uważali go za wielkiego patriotę węgierskiego, jedną z najcenniejszych perel ojczyzny św. Stefana.

## Chcę być świętym

W swym dwutomowym pamiętniku *Soliloquia* Prohászka powtarza wiele razy: „Chcę być świętym za wszelką cenę!”. Tak postanowił już w czasie rekolekcji przed święceniami kapłańskimi i konsekwentnie dążył do tego upragnionego celu przez całe życie. Nowa forma, zadziwiająco piękny język, wspaniałe gest, artystyczny pa-

tos, głęboka treść – wszystko było u Prohászki posłuszne „zmysłowi kaznodziej-skiemu”, który był niczym innym, jak tylko w Bogu zatopioną duszą świętego ka-znodziei. W *Soliloquiach* wypisał takie życzenie: „Gdybym posiadał moc słowa, wykrzyczałbym swoją duszę. Śmierć moja niech się stanie huraganowo grzmiącym wołaniem, które przesyje cały świat: Boże, kocham Cię gorąco!” (I, 85).

Prohászka był umysłem na wskroś filozoficznym, duszą bytującą na wyżynach mistyki, był niedoścignionym mistrzem słowa, poetą działania łaski Bożej. Nie dziwi więc, iż tego wielkiego rzecznika odnowienia katolicyzmu na Węgrzech w pierwszych dziesiątkach lat XX wieku, wybitnego uczonego, utalentowanego pisarza, a przede wszystkim znakomitego mówcę, nazwano *Apostolus et Praeceptor Hungariae* (Grabinschrift). Podkreślano przy tym, iż od czasu kardynała-pry-masa Pétera Pázmány’ego († 1637), wspaniałego teologa i kaznodziei katolickiego z czasów kontrreformacji, Węgry nie miały biskupa tej miary, takiego zasięgu pracy kapłańskiej i duszpasterskiej oraz nie słyszały takiego kaznodziei.



bp Ottokar Prohászka

## *O miłości Boga. Na niedzielę 17 po Zesłaniu Ducha Świętego*

*Miłować będziesz Pana Boga twego z całego serca swego!*

Miłować będziesz Boga z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich swoich sił – nakazuje Ewangelia. Czy rozumiemy ten nakaz? Jest to tajemniczy szept świętych i z trudnością pojmuje go człowiek zmysłowy! Kto idzie za wołaniem, które prowadzi na wyżyny i ginie aż w obłokach?

Wiemy, że Bóg, żądając od nas miłości z całego serca, często wymaga poświęceń, gdy tymczasem świat nęci nas radością, daje wiele złudzeń, wobec których to, co obiecuje nam Ewangelia, wydaje się smutne, przypomina jakiś ponury krajobraz jesienny. Czujemy, jak przejmujący chłód wstrząsa naszym ciałem, widzimy pożółkłe zwiędłe liście, opadłe kwiaty, a całą ziemię zasnutą ołowianą mgłą; choćbyś nie wiem jak wyteżał wzrok, nic ciekawego nie zobaczysz i zastanawiamy się, co wybrać. Czy świat, który nas nęci i wabi ku sobie, czy Boga? „Miłuj Boga” – mówi Ewangelia i to z całego serca! Waham się, bo nie jestem pewien, co to znaczy: kochać z całego serca? Umiem kochać, ale bardzo niedołąźnie, i dlatego nie znam słodczy Bożej miłości, nie rozumiem, co znaczy kochać całą duszą. Kocham zwyczajnie, po ludzku i dlatego miłość mię nuży; nie mam pojęcia, jak trzeba kochać z całej siły, ale Bóg przysłał mi na pomoc świetlane dusze, dla których surowa nauka Ewangelii była żywą prawdą, radością i siłą; ich oczy błyszczą, mowa płynie niby lawa ognista, z całej postaci promienieje światłość, wobec której blednie wszelka chwała ziemska. Ich droga to skrzyjący się blaskiem ślad spadającej gwiazdy. Cały świat wobec ich świętości, to szczypta popiołu; sława, zaszczyty ziemskie, którymi wzgardzili, stały się podnóżkiem ich chwały; Bóg ich kocha, dopiero po śmierci zaczęli żyć.

Ale nie będę wam przypominał duchów naszych braci – świętych, których przysłał nam Bóg na pomoc, nie będę tłumaczył, jak trzeba kochać Boga, bo i tak tego nie jesteśmy w stanie pojąć swym ograniczonym rozumem; nie będę wam nic tłumaczył, bo mamy zwyczaj bezmyślnie przekręcać sens słów, ale dam wam przykład żywy, jak należy kochać Boga z całego serca, pokażę, jak niezwykłą siłą jest miłość ku Niemu, na realnym przykładzie.

Wejdźmy na chwilę do Kartaginy, nie po to, by zobaczyć potężne mury grodu Dydony, ale by zatrzymać się na przedmieściu, przed małym pałacykiem, przed domem rodziny Ubia<sup>64</sup>. Czy nie słyszałeś nic o nich? Nie. Oto córka tej rodziny przed dwoma laty wyszła za mąż. Mając lat 22 została matką i bardzo kochała swoje dziecko. Wejdźmy do domu, nad którym w 203 roku zawiła chmura smutku; straszliwy ból przenika serce sędziwego ojca, starzec chwilami odchodzi niemal od zmysłów, bo oto jego córkę prokonsul kazał uwięzić wraz z przyjaciółką i trzema znajomymi młodzieńcami: Revocatusem, Saturniusem i Secundusem.

Co się stało? Dlaczego uwięziono dwudziestodwuletnią Perpetuę? Dlatego, bo kocha Boga całym sercem i nie chce wyrzec się swojej wiary, tylko mężnie wyznaje: kocham Jezusa Chrystu-

<sup>64</sup> Ubia Perpetua, ściślej: Wibia Perpetua, pochodziła z rodziny arystokratycznej z niewielkiego miasta Thuburbo Minus. Jej rodzina była greckiego pochodzenia. Męczeństwo Perpetui, jej niewolnicy Felicyty, Saturnina i Sekundulusa (ten zmarł w więzieniu), Saturusa oraz niewolnika Revokatusa miało miejsce w Kartaginie w 203 roku, w czasie przedstawienia danego z okazji urodzin Gety, syna Septymiusza Sewera, cesarza rzymskiego w latach 193-211. Zob. *Męczeństwo św. Perpetuy i Felicyty*, [w:] *Męczennicy*, opr. W. Wipszycka, M. Starowieyski, Kraków 1991, s. 244-268.

sa i nigdy o Nim nie zapomnę, raczej porzucę dom, męża, staruszka ojca i moją małą dziecinę, ale przenigdy nie wyprę się Boga. Podziwiamy jej bohaterstwo. Interesy rodzinne, miłość ojca, obowiązki małżeńskie, opinia publiczna, los dziecka mogłyby się wydawać ważniejsze, groza więzienia mogłaby odstraszyć od takiego postanowienia nawet najsilniejszego mężczyznę, a tymczasem słaba niewiasta, żona, matka i córka, Ubia Perpetua, wyznaje śmiało: kocham Boga z całego serca i nawet za cenę szczęścia mej rodziny, nie wyprę się Go nigdy!

Oto widzicie, jak trzeba kochać Boga naprawdę. Czy jesteś matką, ojcem, małżonkiem, czy dzieckiem, pamiętaj, że Boga musisz kochać ponad wszystko! Kochać Go bardziej, niż rodziców, niż ojca, matkę, a jeśli Bóg zażąda od ciebie tej ofiary i musisz porzucić dla Niego rodziców, to zrób bez wahania! On ci będzie ojcem i matką, – o, więcej jeszcze: On będzie całym twym światem! Może niejeden, słysząc te słowa, powie: Przecież to okrucieństwo, wyrzekać się miłości macierzyńskiej, zapominać o uczuciach dziecięcego przywiązania do rodziców. Nie, to nie nieludzkie, to nie nienawiść, to głoszenie najszczytniejszej miłości. Starajmy się tak kochać!

Oto do Perpetui przychodzi do więzienia ojciec i mówi: „Moje kochane dziecko, zlituj się nad mą siwą głową, przypomnij sobie, że wychowywałem cię na chlubę Kartaginy, nie wystawiaj mię teraz na pośmiewisko całego miasta. Miej wzgląd na matkę, na ciotkę i na swoje własne dziecko, nie bądź uparta, daj się ubłagać”. – Tak prosił mię ojciec – mówi Perpetua – ukląkł przy mnie i całował mię po rękach. Perpetua rozumie jego boleść i sama cierpi ogromnie, tym więcej, że ojciec nie potrafi być dumny z jej gotowości na męczeńską śmierć. „Ojczy, stanie się tak, jak Bóg chce” – może tylko powiedzieć rozpaczającemu starcowi.

Kochaj Pana Boga ze wszystkich swoich sił. Wszystko poświęć dla Niego, każdą myśl, każdy akt miłości, każdy zamiar i każdy uczynek. Niech Bóg będzie całą twą nadzieją tak, byś mógł powiedzieć w każdej chwili: Boże mój i wszystko moje! Biedne serce ludzkie, ile cię trudów, ile też kosztuje taki wysiłek, jak bardzo cierpisz kochając Boga!

Perpetua siedzi osamotniona w ciemnym lochu. Myślą jest przy swoich. Przypomina sobie swój rodzinny dom, żywo staje przed jej wyobraźnią całe dzieciństwo; widzi niby na jawie pokoje, wysłane bogatymi kobiercami, piękne obrazy na ścianach i tuli czoło do wilgotnych murów więzienia. Tam w domu zostawiła w szafach kosztowne szaty, biżuterię i wybrała więzienne łachmany... Tak, przypomina sobie... co też teraz robi w domu służba, gdzie jest matka; ach, przyszło jej na myśl, że zostawiła ptaszka w klatce, który tak słodko i pięknie śpiewał; nadśłuchuje... wydaje się jej, że słyszy szmer fontanny na pałacowym dziedzińcu. O, gdyby tak teraz mogła wrócić do domu, rzucić się w objęcia matki, ojca, przycisnąć do serca dziecko, – jaka byłaby radość! To od niej tylko zależy, wystarczy, by powiedziała tylko jedno słówko, a otworzą się bramy więzień i będzie znów wolna. Perpetua jednak tego nie uczyni. Chwyta się za serce, zadzwięczały kajdany; pociera kroplistym potem zroszone czoło i szepcze: nie, nie mogę tego zrobić, kocham Cię Boże! Kocham Cię ponad wszystko, kocham Cię tak, że jestem gotowa wyrzec się mego domu; wiem, co tracę w tej chwili, jestem młoda, mam 22 lata, porzuciłam mój dom rodzinny, zostawiłam swe niemowlę, trudno, zdaję sobie z tego sprawę, cierpię, ale Boga kocham z całego serca.

Co powie o tym świat, co mieszkańcy mego miasta rodzinnego Kartaginy? Co powiedzą moi znajomi, wytworne towarzystwo, które u nas bywało? Co powie służba, robotnicy? Co powie gawiedź uliczna i sąsiedzi? Powiedzą pewnie: „Ubja Perpetua jest bigotką, głupią i okrutną”. Pracunki, przepkupi i całe pospólstwo będzie wrzeszczeć: „Co za głupia niewiasta!”. Gdy stanę na rynku, przed try-

bunałem, który mię będzie sądzić, gdy mię będą prowadzić na stracenie, będą się gapić moi znajomi, a patrząc na mnie będą szeptać i trącać się łokciami, będą krytykować mój wygląd, moje zmięte, potargane ubranie, moje włosy, będą ciekawi, czy bardzo wymęczyło mię więzienie; posypią się na pewno docinki, że jestem złamana, blada, przestraszona; na wszystkich ustach będzie moje imię.

O, biedna Perpetuo, czy potrafisz to znieść? Czy twoja czysta, subtelną dusza znajdzie dość sił w modlitwie, by nie złamać się podczas tej ciężkiej drogi, która cię czeka? Może lepiej cofnij się, póki czas! O, nie, – mówi Perpetua – nie ruszę się stąd! Kocham Boga, rzucę wszystko dla Niego: świat, jego sądy, gniew i pochlebstwa, pochwały i urągania, nic mię nie obchodzi, gdy Bóg jest ze mną.

„Regnum mundi et omnem ornatum saeculi contempsi... contempsi...” dlaczego? „Propter amorem” dla miłości.

Miłować Boga! O, miłości Boża, władczyni świata, która zrobiłaś z młodej 22-letniej niewiasty męczennicę i bohaterkę i tak ośwładnęłaś jej sercem, duszą, że dziś jest ona wzorem dla świata, przykładem dla ludzi słabych, którzy nie wiedzą, jak trzeba kochać Boga.

Czy stać nas na takie bohaterstwo? Czy zdobylibyśmy się na takie ofiary, łyzy, które byłyby godne Boga? Kiedy kochaliśmy Boga z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił? Przypatrzmy się jeszcze Perpetui. Oto prócz ojca kochała jeszcze kogoś innego; więzienie i kajdany, to nie była dla niej najstraszniejsza ofiara, mogła się wyrzec wszystkiego, ale przecież nie swoich naturalnych uczuć macierzyńskich. Będąc w więzieniu dręczyło ją jedynie pragnienie, by własną pierśią karmić swe dziecko. Prosiła, by jej przyniesiono niemowlę. Spełniono jej prośbę, toteż gdy usłyszała kwilenie swego dziecka, zdawało się jej, że więzienie zamieniło się w pałac; ale prześladowcy pomyśleli, może przy pomocy dziecka uda się nam złamać opór Perpetui? Może ono sprawi, że ostatecznie wróci do świata? Może miłość do dziecka zgasi w jej sercu miłość do Boga? Jeśli się to uda, mamy dowód, że Perpetua nie kocha Boga z całego serca. Ojciec Perpetui pragnie, by niemowlę ją wzruszyło, toteż gdy Perpetua weszła na szafot, zbudowany na rynku, by zginać z ręki kata, ojciec jej, chcąc, by sędziowie ją ułaskawili, trzyma na ręku uśmiechnięte dziecko i podaje je Perpetui, mówiąc: „Córko moja kochana, zlituj się, jeśli nie nade mną, to nad swoim własnym dzieckiem!”. Jakież ból przeniknął serce biednej matki, westchnęła głęboko, ale podniosła mężnie czoło i powiedziała: „Nie mogę!”. Zwyciężyła, pokonała miłość do dziecka, opanowała swe uczucia macierzyńskie dla miłości Bożej. Odniosła wielkie zwycięstwo, poszła na śmierć. Czy mówić dalej? Czy mówić, jak dziki byk porwał na rogi jej niewinne ciało? Czy mówić, że została ścięta toporem? Perpetua zwyciężyła; i podobnie, jak na krzyżu Chrystusowym możemy napisać: „Oto wzór miłości”, tak wskazując na Perpetuę, możemy powiedzieć: oto żywy przykład miłości! Od 1600 lat kroczy Perpetua na czele chrześcijaństwa ze słowami na ustach: bracia, tak trzeba kochać Boga!

Św. Perpetua jest żywym wykładnikiem słów Pana Jezusa: kochaj Pana Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich. Bohaterka Perpetua jasno udowadnia nam tę prawdę. Zwracajmy często na nią oczy, im jesteśmy słabsi, tym bardziej napawajmy się jej duchem! O, jak słaba i niedołączna jest nasza miłość względem Boga! Mówimy, że jesteśmy gotowi umrzeć dla Boga i wszystko Mu oddać, a w rzeczywistości unikamy wszystkiego, co trudniejsze i czego od nas wymaga Bóg. Patrzymy na obrazki z życia męczenników i na krzyż, na którym zawisł Pan Jezus, dając przykład największej ofiary, a nie rozumiemy i nie chcemy zrozumieć, że powinniśmy kochać Boga z całego serca, że nigdy w żadnych okolicznościach nie wolno nam od Niego odejść. Jak myślicie, gdyby tak przyszło przelać dziś naszą krew dla Boga, gdybyśmy czu-

li ciepłe jej strumienie spływające po rękach, czy bylibyśmy gotowi? O, wtedy z pewnością czuli-  
byśmy, co znaczy kochać Boga naprawdę!

Są jeszcze innego rodzaju męczeństwa w naszym życiu, gdzie również możemy udowodnić, że kochamy Boga całą duszą. Nieraz serce nasze krwawi, oczy zachodzą łzami, zdaje się nam, że spadły na nas wszystkie nieszczęścia, że nigdzie nie ma dla nas ratunku, przyciśnijmy wtedy ręce do piersi i wołajmy: Kocham Cię o Boże z całego serca. Nigdy nie chcę Cię obrazić, jestem gotów dla Ciebie ponieść każdą ofiarę. Jeśli potrafimy tak kochać, wtenczas święci będą się rodzić nie tylko w Kartaginie, ale w każdym miasteczku, w każdej wsi węgierskiej. Będą święci nie tylko w pałacu Ubiów, ale i w chatach krytych słomą, bo kto kocha Pana Boga z całego serca, kto potrafi z miłości ponieść dla Niego ofiarę, w tym objawia się moc Boża. Amen.

Cytat za: Biskup Ottokár Prohászka, *Słowa Żywota*, przekł. E. Machay, R. Oleár, t. 2, Kraków 1938, s. 252-257.



Kardynał Michael von Faulhaber  
(1869-1952)





# Obrońca Starego Testamentu

**W**dramatyczne wydarzenia historii Niemiec pierwszej połowy XX wieku wpisana jest działalność wybitnego kaznodziei kard. Michaela Faulhabera, arcybiskupa Monachium i Freising.

## Patrolog i egzegeta Starego Testamentu

*Małą ojczyzną* przyszłego kardynała była wieś Klosterheidenfeld (dzisiaj Heidenfeld), w Dolnej Frankonii, gdzie urodził się 5 marca 1869 roku. Był trzecim z siedmiorga dzieci miejscowego piekarza. Michael szybko okazał się zdolnym i pilnym uczniem. Dzięki pomocy proboszcza po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczał w latach 1879-1883 do gimnazjum w Schweinfurcie, a w roku 1883 wstąpił do biskupiego seminarium dla chłopców *Kilianeum* w Würzburgu. Po maturze umocniła się jego decyzja zostania księdzem. Jednakże podczas pełnienia służby wojskowej w Würzburgu (1888-1889) znalazł upodobanie także w tej formie życia. Po pewnym czasie odrzucił jednak pokusę kariery oficerskiej, ponieważ – jak stwierdził – bardziej cenił porządek „wewnętrzny” niż „zewewnętrzny”. W roku 1899 ukończył jednak kurs sanitarny i jeździecki.

Tegoż samego roku wstąpił do seminarium duchownego w Würzburgu. Studiował na wydziale teologicznym tamtejszego uniwersytetu. W roku 1892 został wyświęcony na kapłana. Po roku pracy wikariuszowskiej w Kitzingen został mianowany prefektem *Kilianeum*. W roku 1895 zdał rygorozum, a praca o Euzebiuszu z Cezarei jako apologecie, napisana jeszcze w czasie studiów w roku 1891 i wyróżniona przez wydział teologiczny, została uznana za pracę doktorską. Zachęcony przez Hermana Schella Michael Faulhaber pogłębiał swoje patrystyczne studia. Stypendium, przyznane mu przez uniwersytet za wybitne osiągnięcia, umożliwiło mu podróż do Rzymu, gdzie przebywał z przerwami w latach 1896-1898. W kolegium niemieckim (*Collegio teutonico di Santa Maria dell'Anima*) pełnił także obowiązki duszpasterskie obejmując kapłańską troską mieszkających w Wiecznym Mieście Niemców. Był nawet wicerektorem tego kolegium.

Würzburski patrolog Albert Ehrhard zachęcił Faulhabera do podjęcia badań nad watykańskimi rękopisami katen. Problem ten zaciekał młodego Michaela. Kateny to objaśnienia wybranego tekstu Pisma Świętego przy pomocy całego łańcucha (stąd wzięła się nazwa, gdyż *catena* to po łacinie łańcuch), egzegez patrystycznych pochodzących z najrozmaitszych źródeł. Najczęściej wydobywano z komentarzy teologicznych ojców Kościoła lub innych pism odpowiednie miejsca i dołączano je jako objaśnienie biblijnych tekstów pod nazwiskami ich autorów. Przechodząc szczegółowo każdą księgę wiersz po wierszu, często słowo po słowie, autorzy opatrywali je wyjaśnieniami, interpretacjami, oryginalnymi ujęciami, które na dany temat znaleźli w dostęp-

nej sobie bibliotece patrystycznej. Zważywszy, że już Prokopiusz z Gazy (ok. 475-528) posługiwał się takimi łańcuchami egzegez, określenie *kateny* na te zbiory jest stosunkowo późne. Powstało ono w odniesieniu do dzieła św. Tomasza z Akwinu *Catena Aurea*. Sposób pisania również przypomina poszczególne człony łańcucha: w centrum jest tekst biblijny pisany dużą czcionką, od niego odchodzą komentarze, czyli *scholiae*. Tak np. Kodeks Watykański 762 dzieli się na 218 fragmentów i dołączonych jest do tego 1215 scholii pochodzących od 20 autorów. Kompilatorzy tych łańcuchów są bardzo rzadko wymieniani z nazwiska. Wartość katen polega na tym, że zachowały nam one ważne fragmenty oryginalnych komentarzy z okresu rozkwitu greckiej egzegezy. Były także bardzo przydatne w kaznodziejstwie; można by je nazwać ścianą dla kaznodziejów.

W końcu 1899 roku Faulhaber habilitował się w Würzburgu na podstawie pracy *Die Propheten-Catenen nach römischen Handschriften (Kateny o prorokach według rzymskich rękopisów)* i został docentem na wydziale teologicznym w Würzburgu. Swoje obowiązki profesorskie starał się łączyć z duszpasterskimi pracując w parafii Neumünster w Würzburgu. W wykładach sięgał do swych badań nad katenami koncentrując się jednak na Starym Testamencie, do którego postaci i motywów sięgał ciągle w swoich kazaniach i pismach przez całe życie. W roku 1900 odbył dłuższą podróż studyjną do Anglii, w roku 1902 do Hiszpanii. W roku 1903 został mianowany profesorem egzegezy Starego Testamentu i teologii biblijnej w nowo utworzonym katolickim wydziale teologicznym uniwersytetu w Strasburgu. W roku akademickim 1909/1910 pełnił obowiązki dziekana. Faulhaber miał duży krąg słuchaczy, a ponieważ chciał być zarazem profesorem i duszpasterzem, cieszył się dużym uznaniem także poza uniwersytetem.

### Ceniony mówca *Dni katolików*

M. Faulhaber działał także w różnych związkach katolickich i jako mówca w ramach *Dni katolików*, propagując potrzebę docenienia roli świeckich w Kościele. Pomysł zorganizowania *Dni katolików (Katholikentage)* zrodził się w krajach języka niemieckiego już w 1848 roku. Od tego czasu kongresy katolików odbywały się w różnych miastach Niemiec prawie każdego roku. Zakłóciły je jedynie burzliwe wydarzenia I i II wojny światowej. Dlatego nie organizowano ich w latach 1914-1920 oraz 1933-1950. W 1950 roku wrócono do tej koncepcji i odtąd *Dni katolików* przeżywano w Republice Federalnej Niemiec co dwa lata. Te kilkudniowe kongresy katolików wypełnia głośnie i rozważanie słowa Bożego, sprawowanie liturgii i mobilizacja uczestników do pełnienia dzieł miłosierdzia. Jakkolwiek program kolejnych *Dni katolików* w Niemczech jest zbliżony do siebie, to jednak zachodzące w międzyczasie przemiany nadają im dodatkowego znaczenia historycznego, politycznego i społecznego.

Tak było od początku. Historia *Dni katolików* zaczęła się bowiem w burzliwym roku 1848. Katolicy wykorzystali „zdobycze marcowe” rewolucji, a zwłaszcza wywalczoną wtedy wolność demonstracji i zebrań. Żywili nadzieję, że wraz ze zorganizowaniem związków odzyskane zostaną utracone w następstwie sekularyzacji prawa Kościoła i wprowadzone nowe ustawy wolnościowe. 23 marca 1848 roku dziekan kapituły mogunckiej kanonik A. F. Lennig, dążący do stworzenia katolickiego i narodowego zarazem ruchu niemieckich katolików, założył pierwsze *Stowarzyszenie Piusa na rzecz wolności religijnej* (*Pius-Verein für relig. Freiheit*). W ciągu kilku tygodni powstało 400 takich stowarzyszeń stawiających sobie podobne cele. Do Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie wpłynęło ponad 1100 petycji domagających się uwzględnienia spraw katolików. Dla optymalizacji ich dążeń politycznych Lennig zwołał do Moguncji przedstawicieli wszystkich *Stowarzyszeń Piusa*, na narodowe zgromadzenie. Te pierwsze *Dni katolików* odbyły się w dniach 3-6 października 1848 roku. Wtedy to – według wzoru irlandzkiego *Catholic Association* – ukonstytuował się *Katolicki Związek Niemiec*.

Tak zapoczątkowane *Dni katolików* odbywają się aż do naszych czasów. Michael Faulhaber był wysoko cenionym i poważanym mówcą na zjazdach katolików w roku 1911 w Moguncji i w roku 1913 w Metz. Wstawiał się tam za usunięciem resztek ustawodawstwa z okresu Kulturkampf, a tym samym za uwolnieniem Kościoła od kontroli państwowej.

## Biskup Spiry

W roku 1910 ks. prof. Michael Faulhaber, na wniosek bawarskiego ministra kultury, został mianowany biskupem Spiry, która w tym czasie była sufraganią arcybiskupstwa Monachium i Freising. Święcenia biskupie przyjął w roku 1911. Zawołaniem biskupim uczynił sobie zdanie: *Vox temporis vox dei* (*Głos czasu jest głosem Boga*). Herb biskupi Faulhabera przedstawiał siedmioramienny świecznik, symbol jego zainteresowań Starym Testamentem, a nad nim unoszącą się gołębicę, znak działania Ducha Świętego, połączoną siedmioma promieniami z poszczególnymi ramionami menory. W roku 1913 bp Faulhaber otrzymał tytuł szlachecki. W swojej diecezji, która od rekatolicyzacji obejmowała wyznaniowo mieszany Palatynat (Pfalz), dbał o to, by katolicy mieli wszędzie własne kościoły i kaplice, a nie korzystali z protestanckich, z drugiej jednak strony wstawiał się za niechętnie przez Rzym widzianymi chrześcijańskimi wspólnotami, w których razem pracowali katolicy i protestanci. Był też za dopuszczeniem kobiet do studiów i możliwością wykonywania przez nie różnych zawodów.

Od początku I wojny światowej Faulhaber został dodatkowo mianowany zastępcą generalnego kapelana armii bawarskiej. Urząd ten nominalnie przypadał arcybiskupowi monachijskiemu F. von Bettingerowi. Jednakże z powodu złego stanu jego zdrowia faktycznie obowiązki te spełniał M. Faulhaber. W licznych kazaniach z czasu I wojny wstawiał się on za „sprawiedliwą spra-

wą” strony niemieckiej, a także występował przeciw oskarżeniom francuskiego katolicyzmu, który dla niego – z powodu rozdzielenia państwa i Kościoła – w mniejszym stopniu niż Kościół niemiecki ucieleśniał „kulturę katolicką”. Faulhaber nie pochwałął gloryfikacji wojny. Widział w niej jednak środek wychowania do wierności i posłuszeństwa wobec monarchii i Kościoła. Działając w duszpasterstwie polowym zachęcał do gorliwego wypełniania obowiązków wojskowych. Był krytykowany za rojalistyczny konserwatyzm oraz za dostarczanie religijnej motywacji do prowadzenia wojny.

W latach 1915-1916 Faulhaber złożył trzy wizyty na froncie zachodnim i w tamtejszych lazaretach. W roku 1915 otrzymał za to żelazny krzyż II klasy. Faulhaber zreorganizował duszpasterstwo w armii i wśród jeńców wojennych, organizował także wysyłkę „darów miłosiernych” dla żołnierzy na froncie i wydał wzorcowe kazania dla kapelanów wojskowych.

### Arcybiskup Monachium i Freising

Po śmierci kard. F. von Bettingera (12.04.1917) Faulhaber został mianowany jego następcą. 3 września 1917 roku odbył uroczysty ingres obejmując urząd arcybiskupa-metropolity Monachium i Freising. Już jako generalny kapelan armii bawarskiej wyjeżdżał na front, odwiedzając żołnierzy niemieckich walczących na ziemiach polskich (1917) i na Bałkanach (1918) oraz rannych, internowanych w Szwajcarii (1918). Mimo starań papieża Benedykta XV zmierzających do zakończenia wojny abp Faulhaber nadal uważał sprawę niemiecką za słuszną i organizował imprezy propagandowe w gminach bawarskich na rzecz prowadzenia wojny aż do zwycięstwa. Jednakże rok 1917, nacechowany pokojowymi staraniami, rewolucją w Rosji i wewnętrznymi kryzysami w Niemczech, jak też coraz większymi okrucieństwami wojennymi, kazał mu spojrzeć na wojnę bardziej krytycznie.

Po zakończeniu wojny podstawowymi troskami Faulhabera było utrzymanie porządku publicznego, zabezpieczenie potrzeb bytowych ludności, integracja zdemobilizowanych żołnierzy ze społeczeństwem oraz zabezpieczenie interesów Kościoła w państwowej reorganizacji.

Dzięki postanowieniom konstytucji Republiki Weimarskiej z 11 sierpnia 1919 roku następował rozkwit katolicyzmu, choć istniały poważne trudności związane ze szkolnictwem, a wielkie miasta stawały się stopniowo „duchowymi cmentarzami”. Kościół katolicki, luźniej związany z władzą niż Kościół protestancki, w mniejszym też stopniu odczuwał skutki względnego rozdziału między Kościołem a państwem; wprost przeciwnie, zapewniał mu on wolność, której domagał się od dawna. O okresie tym mówi się jako o „wiośnie liturgicznej i monastycznej”. Katolicy zyskali poważny wpływ w świecie nauki i kultury; ruchy młodzieżowe rozpoczęły aktywną działalność, nastąpił rozkwit wielu stowarzyszeń katolickich, wzbudzających podziw w środowiskach rzymskich. W regionach prze-

mysłowych proces dechrystianizacji poważnie osłabł, a nawet zaczął się cofać, zwłaszcza w Westfalii i w Saksonii, głównie dzięki polityce społecznej prowadzonej przez partię Centrum, z której ramienia ministrem pracy w dwunastu kolejnych gabinetach w okresie 1920-1928 był ksiądz katolicki H. Brauns.

W okresie weimarskim abp Faulhaber zreorganizował duszpasterstwo wojskowe, a w kazaniach i przemówieniach ciągle analizował minioną wojnę, wyciągając z niej wnioski i domagając się wierności religii chrześcijańskiej. Przeróżające skutki zastosowania nowoczesnej broni skłaniały arcybiskupa Monachium do opowiedzenia się w kazaniach z lat 1928 i 1932 za politycznym rozwiązaniem konfliktów i za rozbrojeniem. Głosił hasła antywojenne, ale pozostał przy swojej ocenie wojny światowej jako legalnej obronie sprawy niemieckiej. Prowadził polemikę z ruchami bezwyznaniowymi i reformatorsko-pedagogicznymi oraz walkę o wyznaniową szkołę podstawową, która według tradycyjnego katolickiego ujęcia była zawsze szkołą moralności, o nauczanie religii jak też o odpowiedni udział duchownych w nadzorze szkolnym. Ten konflikt ciągle wybuchał przez cały czas trwania Republiki Weimarskiej i ciągnącej się dyskusji nad ustawą o szkolnictwie. Faulhaber nalegał na współpracę z protestantami przy jasnym wyodrębnieniu wyznań, domagał się katolickiego chrztu dzieci z wyznaniowo mieszanych małżeństw; prosił papieża Benedykta XV o wstawiennictwo na rzecz złagodzenia dla Niemiec postanowień traktatu wersalskiego. W dziedzinie duszpasterskiej realizował program odnowy papieża Piusa X. Wewnątrzkościelne zaangażowanie Faulhabera dotyczyło szczególnie wdrażania Kodeksu Prawa Kanonicznego i ostrożnego wprowadzania w życie Akcji Katolickiej, tak aby nie zniszczyć licznych niemieckich katolickich związków i stowarzyszeń.

Cieszący się dużym uznaniem Rzymu i rządu bawarskiego abp M. Faulhaber został kreowany kardynałem 7 marca 1921 roku. Jako arcybiskup Monachium i Freising był także przewodniczącym konferencji biskupów bawarskich, urzędującej we Freising. Biskupi bawarscy zaczęli bowiem dopiero od 1931 roku obradować wspólnie z pozostałymi biskupami niemieckimi w Fuldzie, chociaż przewodniczący obu konferencji, Michael von Faulhaber i Adolf Bertram († 1945), już w roku 1920 uzgodnili ścisłą współpracę.

Arcybiskup Monachium i Freising, mocno przywiązany do bawarsko-katolickich tradycji, pozostał zwolennikiem wittelbachskiego domu królewskiego. Jednakże w roku 1926 z rezerwą odniósł się do wspólnego protestu niemieckiego episkopatu przeciw plebiscytowi o wywłaszczeniu książąt. Był pełen wątpliwości wobec Berlina i „protestanckiej północy”, a nawet przeciw otwarciu dla protestantów partii Centrum. Był „republikaninem z rozsądku”, który potrafił zaakceptować weimarską konstytucję Rzeszy, chociaż nie podobało mu się w niej całkowite oddzielenie państwa i Kościoła. Porządek polityczny był dla niego nie do pomyślenia bez porządku moralnego kierującego się przykazaniami i nauką Kościoła; to założenie uważał za niezbędne i typowe dla nie-



mieckiego charakteru narodowego. Faulhaber zabronił bicia dzwonów zarówno po śmierci Friedricha Eberta, jak też z okazji osiemdziesiątych urodzin feldmarszałka i prezydenta Paula Hindenburga. Od 1920 roku Faulhaber stawał na rządzącą Bawarską Partię Ludową, jako gałąź Centrum, którą jednak krytykował z powodu jej niezdecydowania w szkolno-politycznych kwestiach.

Otwierając w roku 1922 *Dni katolików* w Monachium w swoim przemówieniu Faulhaber nazwał rewolucję 1918 roku „krzywoprzysięstwem i zdradą stanu”. Zdanie to, wielokrotnie później cytowane, wywołało sprzeciw kołońskiego nadburmistrza i polityka Centrum Konrada Adenauera, a w czasie *Dni katolików* doprowadziło do listowej dysputy z kanclerzem Rzeszy Josephem Wirthem (Centrum).

M. Faulhaber współpracował także z nuncjuszem apostolskim E. Pacellim, późniejszym papieżem Piusem XII, nad konkordatem bawarskim, zawartym 29 marca 1924, zabezpieczając w nim interesy Kościoła. W tym też czasie podróżował do USA na wykłady i zbiórki na cele charytatywne w Niemczech (1923), na eucharystyczne kongresy w Chicago (1926) i Buenos Aires (1934), jak też do Rzymu, gdzie dwukrotnie, w roku 1922 i w roku 1939, uczestniczył w konklawe. Kiedy w roku 1934 została zniesiona nuncjatura monachijska i bawarskie przedstawicielstwo w Stolicy Apostolskiej, Faulhaber pełnił rolę łącznika z Rzymem. Uznanie społeczne zdobył sobie także przez utworzenie wielu nowych parafii i popieranie inicjatyw budowy kościołów.

## Wobec hitlerowskiego neopogaństwa

Rozkwit katolicyzmu w okresie Republiki Weimarskiej, wzmocniony konkordatami zawartymi z Bawarią (1924), Prusami (1929) i Badenią (1932), został silnie zagrożony przez rozwój skrajnego nacjonalizmu w Niemczech po I wojnie światowej. Sprzyjały mu dotkliwe sankcje narzucone przez zwycięzców. Nie wchodząc w roztrząsanie pseudonaukowych teorii rozróżniających między tzw. rasami nordycko-aryjskimi a rasami rzekomo niższymi, wielu ludzi widziało w narodowym socjalizmie rozwiązanie problemów kraju i współpracowało politycznie z tym ruchem. Reakcją Kościoła w Niemczech było potępienie rasizmu lansowanego przez narodowy socjalizm. Już w lutym i marcu 1931 roku kard. Bertram z Wrocławia, kard. Faulhaber i biskupi bawarscy, biskupi metropolii kolońskiej i fryburskiej ogłosili listy pasterskie, potępiając narodowy socjalizm z jego bałwochwalczym stosunkiem do rasy i państwa. W roku 1923 Faulhaber potępił antyrządowy pucz hitlerowski narażając się siłom nacjonalistycznym. Sprzeciwił się także szerzeniu antysemityzmu.

Po 1930 roku dostrzegał, podobnie jak inni biskupi niemieccy, nowe problemy duszpasterskie w związku z akcesem wielu katolików do ruchu nazistowskiego. Bezkompromisowy w dziedzinie doktryny katolickiej piętnował neopogańską ideologię hitlerowską, nie występował jednak przeciwko takty-



ce politycznej hitleryzmu, w której widział skuteczny środek przeciw komunizmowi i liberalizmowi oraz wzmocnienie autorytetu władzy. Po objęciu kancerstwa przez Adolfa Hitlera przychylnie oceniał polityczny program nazizmu, oddzielając go od ideologii ruchu, a nadużycia reżimu narodowo-socjalistycznego tłumaczył samowolą władz niższych.

Nikt ani w kurii rzymskiej, ani w episkopacie Niemiec nie miał złudzeń co do antyreligijnego oblicza nazizmu. Do momentu zawarcia konkordatu z III Rzeszą, a więc do 20 lipca 1933 roku, ideologia NSDAP, partii wyraźnie wrogiej Kościołowi, była jednoznacznie potępiana. W sierpniu 1932 roku biskupi niemieccy oświadczyli, że przynależność do partii hitlerowskiej i jej popieranie są dla katolików zakazane, a jej program i doktryna są sprzeczne z religią katolicką. Bojówki SA prześladowały katolików, zarówno świeckich, jak i duchowieństwo, a podczas nocnych parad śpiewały pieśń ze słowami: „Wieszajcie Żydów, stawiajcie pod ścianę księży!” 13 marca 1933 roku nastąpiła nagła, w pierwszym momencie trudna do zrozumienia, zmiana stosunku Kościoła do nazizmu. Tego dnia arcybiskup Monachium kard. Michael von Faulhaber po powrocie z konsystorza przekazał episkopatowi Niemiec wolę Ojca Świętego: Pius XI życzył sobie zaprzestania działań wymierzonych w nowy rząd Rzeszy. Episkopat ustąpił i w atmosferze pozorowanej zgody i pozornych gwarancji zawarto konkordat, który podpisali wicekanclerz Franz von Papen i sekretarz stanu kardynał Eugenio Pacelli. Hitler łamał go bez mała od pierwszego dnia, widząc w nim jedynie wygodny sposób dla całkowitego opanowania kraju i spacyfikowania opozycji katolickiej. Konkordat, mający w założeniu zabezpieczyć interesy Kościoła, unormować stosunki prawne, nie tylko wywołał zamieszanie w środowiskach katolickich, ale i podziały wśród hierarchii kościelnej. Jedni, jak arcybiskup Wrocławia kard. Adolf Bertram, wyciągali ręce w hitlerowskim pozdrowieniu i nakazywali odprawiać msze i modlić się za führera. Inni, jak arcybiskup Münster hrabia Klemens von Galen († 1946), nie zaprzestali krytyki nazizmu za eutanazję, ograniczenia wolności Kościoła i terror. Była to jednak wyraźna mniejszość.

Biskupi przy różnych okazjach potępiali pogańską ideologię nazizmu i zabraniali wiernym przynależności do partii. Także kard. Faulhaber od samego początku uznał ruch narodowosocjalistyczny za sprzeczny z chrześcijaństwem, jednakże zgadzał się na dopuszczanie jego zwolenników do sakramentów, choć arcybiskup moguncki tego zabronił. Rzeczywiście w wyborach z lipca 1932 roku wszystkie dziesięć okręgów najbardziej wrogich NSDAP – z wyjątkiem Berlina – były katolickie. Wielu katolików bało się jednak okazać „złymi Niemcami” przeciwstawiając się jedynej partii, która dawała nadzieje uwolnienia ich upokorzonej ojczyzny od „dyktatu” wersalskiego i wcielenia Austrii do „wielkich Niemiec”. Inni katolicy, czy to z powodów ekonomicznych, czy także związanych z moralnością publiczną, nie byli głusi na antysemityczne hasła nazistów. Następował proces fascynacji narodowym socjali-

zmem wśród wiernych. Podobnie myślało zresztą wielu księży, którzy w obliczu wciąż pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego okazali najwyższą niepokoj w obliczu alternatywy komunizmu. Typowym przykładem była postawa kardynała Faulhabera w latach dwudziestych.

Wprowadzeni w błąd konstytucyjnym sposobem dojścia nazistów do władzy, przywódcy katolicy uznali za wskazane przyłączyć się do zwycięzców. Podczas gdy prałat Kaas, przewodniczący Centrum od roku 1928, jeden z kilku polityków kościelnych okresu międzywojennego w Europie Środkowej, zapewnił Hitlerowi większość dwóch trzecich głosów, niezbędnych do legalnego wygrania wyborów, konferencja biskupów w Fuldzie ostrożnie wycofała poprzednie zastrzeżenia wobec partii hitlerowskiej i kierowanych przez nią organizacji. Czyniono tak w nadziei, że obecność katolików w ich łonie wzmocni siły umiarkowane, po których oczekiwano, że okażą się jeszcze zdolne osłabić tendencje antyreligijne.

W Rzymie Pius XI, który od dawna doceniał żywotność katolicyzmu niemieckiego, i jego nowy sekretarz stanu, kardynał Pacelli, nuncjusz w latach 1917-1929 w Monachium, a później w Berlinie, również urzeczony przymiotami katolicyzmu niemieckiego, śledzili z niepokojem rozwój wydarzeń, sądząc, że lepiej jest spróbować ukierunkować ruch, który zdaniem wielu obserwatorów miał z chwilą dojścia do władzy osłabić swe ostrze ideologiczne. W tych warunkach rozpoczęły się w kwietniu 1933 roku rokowania z Watykanem. Ze strony niemieckiej prowadzili je wicekanclerz von Papen, prałat Kaas i arcybiskup Fryburga Gröber. Chodziło o konkordat z całą Rzeszą, który został podpisany 20 lipca i ratyfikowany 10 września. Był on niezwykle korzystny dla Kościoła katolickiego, ale zarówno papież jak i watykański sekretarz stanu byli ostro krytykowani z jego powodu. Nie tylko bowiem umacniał on pozycję Hitlera na płaszczyźnie międzynarodowej, lecz również usypiał sumienia katolików. Dekrety wprowadzające konkordat w życie nigdy nie zostały uchwalone, a najważniejsze przepisy systematycznie gwałcono. Walka z Kościołem, początkowo ukryta, później coraz bardziej jawna, przybierała na sile z roku na rok.

Po konkordacie z 1933 roku także abp Michael Faulhaber, podobnie jak cały episkopat niemiecki, w licznych kazaniach i memoriałach bronił Kościoła przed nadużyciami władz hitlerowskich. W sprawach wiary i katolickiej nauki o moralności bezkompromisowo występował przeciw neopogaństwu. W 1934 roku przyspieszył projekt listu pasterskiego dla odrzucenia „ustawy o zapobieganiu potomstwu obciążonego chorobami dziedzicznymi”, która przewidywała sterylizację i aborcję, ale nie mógł przeforsować jego publikacji przez opór innych biskupów. Nadal występował przeciw narodowosocjalistycznej szkole koedukacyjnej i przeciw wypieraniu duchownych ze szkolnictwa.

W listopadzie 1936 roku w Obersalzberg doszło do spotkania między kard. Faulhaberem i Hitlerem. Führer dowodził konieczności sterylizacji tzw. dziedzicznie chorych w celu zapobiegania narodzinom nowego chorego pokolenia. Kardynał poruszał sprawę stosunku państwa i Kościoła, narodowego socjali-

zmu i katolicyzmu. Następstwem tego był list pasterski biskupów niemieckich przeciw bolszewizmowi. Jednakże spotkanie Faulhabera z Hitlerem nie przyniosło poprawy sytuacji coraz bardziej prześladowanego Kościoła, a w prasie i w oficjalnej propagandzie Faulhaber był ciągle szyderczo krytykowany.

14 marca 1937 roku ukazała się encyklika Piusa XI *Mit brennender Sorge* (*Z palącą troską*), która punkt po punkcie przeciwstawiała ortodoksę katolicką neopoganizmowi hitlerowskiemu i przypominała rozliczne pogwałcenia konkordatu z 1933 roku. Na żądanie kardynała Pacellego pierwszy projekt dokumentu zredagował kardynał Faulhaber, a decyzja o publikacji zapadła w styczniu 1937 roku podczas dyskusji między papieżem, sekretarzem stanu i trzema kardynałami niemieckimi, którym towarzyszyli biskupi von Galen i von Preysing. Ostateczny kształt nadał tekstowi osobiście papież. Mimo zakazu gestapo encyklika została odczytana we wszystkich kościołach niemieckich w Niedzielę Palmową 1937 roku. Następstwem tego były ataki i sankcje wymierzone w duchownych. Odtąd rozpoczęła się otwarta wojna z hitlerowską ideologią. Zwracając się 6 września 1938 roku do grupy pielgrzymów belgijskich, Pius XI stwierdził: „Antysemityzm jest niedopuszczalny. Duchowo jesteście wszyscy Semitami”. Pius XII już w swojej pierwszej encyklice *Summi pontificatus* z 20 października 1939 roku przestrzegał przed teoriami negującymi jedność rodzaju ludzkiego oraz przed bałwochwalczym kultem państwa, w tym wszystkim bowiem dostrzegał zapowiedź prawdziwej „godziny ciemności”.

### Biskup milczeć nie może!

Kazania kard. Michaela von Faulhabera, głoszone i wydawane drukiem, czyniły z ich autora bardzo wybitnego i wpływowego kaznodzieję. Wystąpienia monachijskiego hierarchy odznaczają się pięknym, majestatycznym językiem oraz dobrą znajomością Pisma Świętego. Opublikował wiele zbiorów kazań. Do najważniejszych należą: *Zeitfragen und Zeitaufgaben. Gesammelte Reden* (*Problemy czasu i zadania czasu. Mowy zebrane*, Freiburg 1915), *Waffen des Lichtes, gesammelte Reden* (*Broń światła, zebrane mowy*, Freiburg 1915, 1918<sup>5</sup>), *Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart. Gesammelte Reden, Predigten, Hirtenbriefe* (*Głosy wołające na pustyni teraźniejszości, zebrane mowy, kazania i listy pasterskie*, Freiburg 1931, 1933<sup>2</sup>), *Zeitrufe, Gottesrufe, gesammelte Predigten* (*Wołania czasu, wołania Boga, zebrane kazania*, Freiburg 1932, 1933<sup>2</sup>), *Münchener Kardinals predigten* (*Monachijskie kazania kardynalskie, I-II*, München 1936/37).

Ważną rolę odegrały kazania adwentowe: *Judentum, Christentum, Germanentum, Adventspredigten... 1933* (*Żydostwo, chrześcijaństwo, germaństwo, kazania adwentowe... 1933*, München 1934), które kard. Faulhaber głosił w kościele św. Michała w Monachium przez cztery niedziele adwentu i na zakończenie 1933 roku. Zostały one wydane w okresie międzywojennym również po polsku. Kazań tych słuchali nie tylko katolicy, ale także protestanci i Żydzi.

Kardynał monachijski bronił w nich ważności Starego Testamentu jako źródła wiary, przeciwstawiając się atakom nazistów kwestionujących w imię rassistowskiego antysemityzmu jego wartość religijną. „W ojczyźnie naszej sroży się burza, która grozi usunięciem z Niemiec Pisma Świętego jako ksiąg żydowskich” – stwierdzał. Te 5 kazań wyrażało jednoznaczne odrzucenie antysemickiej propagandy nazistowskiej.

W otwierającym cykl kazaniu *Wartości religijne w Starym Testamencie i urzeczywistnienie ich w chrześcijaństwie*, stwierdzał m.in.: „W obliczu tego rodzaju haseł i takich prądów biskup milczeć nie może. Dziś, kiedy badania rasy – same przez się pod względem religijnym będące rzeczą obojętną – stają do walki z religią i wstrząsają podstawami chrystianizmu; kiedy niechęć do współczesnych Żydów przenosi się na święte księgi Starego Testamentu i potępia się chrystianizm z powodu pierwotnego jego związku z przedchrześcijańskim judaizmem; kiedy osobę Pana i Zbawiciela naszego obrzuca się kamieniami – biskup milczeć nie może. Dlatego w tych kazaniach adwentowych będę mówił o Starym Testamencie i jego wypełnieniu w chrześcijaństwie. Czuję się uprawnionym do zabrania głosu w tej kwestii jako specjalista, ponieważ w ciągu jedenastu lat mojego życia prowadziłem na ten temat wykłady na uniwersytecie w Würzburgu, zaś na uniwersytecie w Strasburgu zajmowałem katedrę Pisma Świętego Starego Testamentu”.

Kaznodzieja śledził w swych kazaniach łączenie procesu stopniowego narastania niechęci do Żydów z domaganiem się odrzucenia Starego Testamentu. Już w roku 1899, jednocześnie na wiecu antysemickim w Hamburgu i w książce Chamberlaina pt. *Zasady wieku XIX*, wysunięty został postulat odseparowania judaizmu od idei chrześcijańskiej i usunięcia z chrystianizmu wszystkiego, co żydowskie. Po upływie lat niespełna dwudziestu znowu ta sama myśl zajęła poważne stanowisko w umysłach i znalazła odzwierciedlenie w książkach: *Grzech przeciwko krwi*, *Wielkie oszustwo*, *Fałszywy bóg*. Autorzy wymienionych książek wyrażają przekonanie, że judaizm i chrystianizm nie mogą istnieć obok siebie, że miejsce Biblii żydowskiej powinna zająć Biblia germańska, dalej, że Marcin Luter dokonał swego dzieła tylko połowicznie, gdyż przejął do swej Biblii księgi Starego Testamentu. „Dziś – głosił kardynał monachijski – te pojedyncze głosy zlały się w jeden wielki chór, który donośnie woła: precz ze Starym Testamentem!”. Niemieccy chrześcijanie, zgromadzeni w dniu 13 listopada 1933 roku w Pałacu Sportowym w Berlinie, powzięli uchwałę: „Spodziewamy się, że nasz Kościół krajowy oswobodzi się ze wszystkiego, co nie jest niemieckie, a przede wszystkim uwolni się od Starego Testamentu i jego żydowskiej moralności płatnej”.

Kardynała monachijskiego przerażała eskalacja tych żądań, postępująca tak daleko, iż nie zawahano się nawet targnąć na osobę samego Chrystusa Pana. Znaleźli się co prawda tacy, co chcieli ratować sytuację przez przedstawienie fałszywej metryki urodzenia Pana Jezusa. Utrzymywali oni, że Je-

zus nie był wcale Żydem lecz Aryjczykiem, bo przecież Galilea była zamieszkała przez Aryjczyków. Dopóki jednak źródła historyczne mają przewagę nad domysłami, póty niepodobna wątpić o fakcie: pierwszy rozdział pierwszej Ewangelii przytacza rodowód Pana Jezusa, opatrzony następującym nagłówkiem: „Księgi rodzaju Jezusa Chrystusa, syna Dawidowego, syna Abrahama”. Tak samo list św. Pawła do Rzymian (1, 4) stwierdza pochodzenie Jezusa z rodu Dawidowego.

Neopogańska ideologia hitlerowska dążyła do usunięcia ze szkół historii biblijnej Starego Testamentu uważając, iż jest on „księgą pełną żydowskich kłamstw i oszustw”. Dlatego kaznodzieja uzasadniał ich wartość. W kazaniu *Wartości moralne Starego Testamentu oraz ich nadwartościowość w Ewangelii* stwierdzał m.in.: „Ostatnie ataki na naukę Biblii w szkołach uzasadnia się twierdzeniem, iż taki np. patriarcha Jakub, polujący na bogaty spadek, albo Józef egipski, uprawiający lichwę zbożową oraz inne tym podobne potwory biblijne nie mogą być dla dzieci wzorami moralności”.

Najcięższym zarzutem, jakim się dziś obarcza etykę Starego Testamentu, jest zarzut moralności płatnej, praktykowanej wyłącznie dla uzyskania nagrody. W ostatnich latach niejednokrotnie odrzucano czwarte przykazanie boskie, jako sprzeczne z ideologią niemiecką, ponieważ zawiera obietnicę: czcij ojca twego i matkę swoją, aby ci się dobrze powodziło i abyś długo żył na ziemi. „Prawda – mówił kard. Faulhaber – pobożni mężowie Starego Zakonu spodziewali się dóbr ziemskich, jako nagrody za swoją pobożność. Pragnęli tedy, by ich spichlerze pełne były zboża, by ich piwnice opływały winem (Prz 3, 10), rozumieli, że bojaźń Boża przyniesie im wieniec chwały (4, 8) i długie życie (10, 27). Nieprawdą jest wszakże, że przez czwarte przykazanie wpaja się w dzieci kupiecki stosunek do Boga i wychowuje się je w duchu usankcjonowanej, choć obcej narodowi niemieckiemu żądzy zysku. Niewątpliwie na najwyższym stopniu moralności stoi ten, kto z czystej miłości ku Bogu i szczerego zamiłowania w cnocie, nie licząc ani na doczesną, ani na wieczną zapłatę, kroczy drogą cnoty i nie zbaczając z niej wcale, przez swój tryb życia zbliża się do ideału moralnego. Ale na te wyżyny wzniosą się tylko święci, z których każdy modli się: „Panie, miłuję Cię nie dlatego, iż pragnę, abyś mnie zbawił i uchronił od piekła, ja Cię miłuję jedynie dla Ciebie samego”.

Z kazań adwentowych monachijskiego kaznodziei płynie żarliwe wołanie: „Miejmy w poszanowaniu święte pisma Starego Testamentu! ... Przez przejęcie tych ksiąg christianizm nie stał się bynajmniej religią żydowską, bo te księgi nie są wytworem ludzkim, lecz – jako natchnione przez Ducha Bożego – są słowem Bożym i księgami Bożymi. ... Niechęć do współczesnego żydostwa nie powinna być przenoszona na księgi judaizmu przedchrześcijańskiego... Szanujmy święte pisma Starego Testamentu! ... Tam w ziemi obiecanej będzie kiedyś przechodził drogą Zbawiciel, a cień Jego postaci padnie na grób patriarchy w Mambre. Jakaż wielkość moralna przebija z tej wiary



w słowo obietnicy Bożej! Niewiara jest ciemnością, wiara zaś światłem, które rozjaśnia nawet mroczną godzinę śmierci”.

Kazania adwentowe wraz z kazaniem sylwestrowym z roku 1933 wydrukowano w dużym nakładzie. Wystąpienia arcybiskupa monachijskiego zostały potraktowane przez państwo jako manifestacje jego sympatii wobec żydostwa. W pisemnych replikach została zganiona krytyka germańskiego neopogaństwa. Pod koniec 1934 roku oddano nawet dwa strzały w kierunku arcybiskupiego domu. W końcu lat 30. Faulhaber stał się w partii i państwie coraz bardziej znienawidzony. Po pogromach Żydów, a zwłaszcza po *Nocy Kryształowej* (*Kristallnacht*, 9/10 XI 1938) nagonka na Faulhabera doprowadziła prawie do szturmu na pałac biskupi.

To zmaganie kard. M. Faulhabera w ciemną noc hitlerowskiego neopogaństwa o prawdziwą historię zbawienia dobrze oddaje załączony niżej tekst jego kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa.

## Lata ciemności

W okresie II wojny światowej sytuacja katolików w Niemczech była niezwykle trudna. Wybuch wojny nie położył bynajmniej kresu ukrytym prześladowaniom księży i organizacji katolickich przez reżim hitlerowski, a katolicy niemieccy musieli drogo płacić za swój często heroiczny udział w różnych formach oporu. Bezstronny historyk zmuszony jest jednak stwierdzić, że liczba katolików, którzy – czy to z pobudek solidarności narodowej, czy z podziwu dla reżimów autorytarnych – trwali w błędach roku 1933, była znacznie wyższa, niż przyznawano ogólnie po roku 1945. Katolicy, którzy mieli odwagę narażać się w obronie praw ludzkich, powołując się na swą wiarę, nie zawsze mogli być pewni szczerego poparcia władz kościelnych, i nawet tacy hierarchowie jak biskup von Galen czy kardynał Faulhaber, znani z odważnego stanowiska w obronie Żydów, przez pewien czas ulegali nacjonalistycznemu uniesieniu i obawie przed zwycięstwem bolszewików.

Z drugiej jednak strony było wśród katolików wielu zdecydowanych przeciwników hitleryzmu, poczynając od biskupa von Preysinga, poprzez księży takich jak M. J. Metzger czy zakonników, jak jezuici A. Delp i R. Mayer, aż do prostych ludzi świeckich.

W trudnych latach II wojny światowej kard. Faulhaber ograniczył swą działalność do ściśle religijnej. Działał znowu jako duszpasterz żołnierzy, jeńców wojennych i robotników przymusowych. Tak jak w I wojnie światowej chodziło mu o kontakt z będącymi na polu walki bawarskimi duchownymi i seminarzystami. Wojnę nazywał „tajemnicą boskiego zrządzenia” i nie widział w niej, jak w poprzedniej, żadnych perspektyw dla narodu niemieckiego. W obliczu wspólnego ucisku Kościołów zrodziło się w nim uznanie dla wysiłków ekumenicznych. W roku 1940 listem do ministra sprawiedliwości Rzeszy, który ka-



zał rozpowszechnić w kopiach, protestował przeciw eutanazji dokonywanej na niepełnosprawnych i chronicznie chorych. Wstawiał się także za aresztowanym monachijskim jezuitą Rupertem Mayerem, jak też za jego kościelnym referentem Johannesem Neuhäuslerem, który w roku 1941 został wywieziony do Dachau. Podczas wojny protestował nieustannie przeciw ograniczeniom życia kościelnego przez konfiskaty i inicjował odpowiednie listy pasterskie episkopatu. Powołując się na prawo natury bronił elementarnych praw człowieka. W sierpniu 1944 przesłuchiwany był przez gestapo, ponieważ w roku 1943 miał rozmowę z Carlem-Friedrichem Goerdelerem.

### W latach powojennych

Po wejściu wojsk amerykańskich do Bawarii kard. Michael Faulhaber podjął natychmiast rokowania i tak jak po I wojnie światowej starał się o stabilizację warunków życia ludności w archidiecezji monachijskiej i o przywrócenie porządku publicznego. Administracja wojskowa i nowo ustanowiony rząd bawarski często konsultowały z nim nominacje wiarygodnych osób zdolnych doprowadzić do odnowy politycznej kraju.

Po zakończeniu wojny kardynał poświęcił się pracy charytatywnej i zabiegał o odbudowę zniszczonych kościołów, a wśród nich także monachijskiego Frauenkirche. Zorganizował duszpasterstwo wypędzonych i wspierał akcję sprawdzania niemieckich jeńców wojennych. W roku 1946 pierwszy raz po wojnie pojechał do Rzymu, szczególnie po to, aby zorganizować dostawy pomocy. Potępiając dokonane przez hitlerowców zbrodnie krytykował zarazem amerykańską politykę denacyfikacji i związane z tym ustawodawstwo. Przeciwstawiał się też tezie o zbiorowej winie narodu niemieckiego za zbrodnie narodowego socjalizmu.

W 1949 roku kardynał Faulhaber przyjął Josemarię Escrivę w Monachium i poprosił go, aby jego Opus Dei podjęła działalność również w Niemczech. Także w okresie powojennym główną troską arcybiskupa było utrzymanie wyznaniowej szkoły podstawowej. Na tym tle dochodziło często do konfliktów z amerykańskim rządem wojskowym. Faulhaber włożył dużo energii w odbudowę Kościoła i umocnienie jego pozycji prawnej. W poszczególnych kwestiach, jak denacyfikacja czy wstawianie się za jeńcami wojennymi, uzgadniał wspólne stanowisko z ewangelickim biskupem krajowym Hansem Meiserem. W roku 1949 Faulhaber otrzymał tytuł honorowego obywatela Monachium.

Kard. Michael von Faulhaber zmarł 12 czerwca 1952 roku w Monachium, podczas procesji Bożego Ciała. Zrozumienie tej postaci nie jest łatwe. Obraz tego hierarchy kościelnego jest bardzo złożony: z jednej strony po pierwszej wojnie światowej zamykał się on na wyzwania demokratyzacji społeczeństwa, z drugiej podjął światopoglądową walkę z narodowym socjalizmem. Fakt, że Faulhaber był przez lewicę łżony jako antydemokrata, a przez prawicę uznawany za przeciwnika ideologicznego i „przyjaciela Żydów”, że chwalony był przez

prześladowanych, a przez konserwatywnych demokratów uważany za sprzymierzeńca, pokazuje, że do końca życia pozostał on wierny swoim najbardziej osobistym, religijnym i kościelnym ideałom. Faulhaber widział swe główne zadanie w zachowaniu istoty Kościoła katolickiego i jego oddziaływania na kształtowanie życia publicznego i prywatnego. Wiele światła w zrozumienie jego wysiłków wnosi jego autobiografia napisana w latach 1940-1944 oraz apologia *Myrrhe meiner Bischofsjahre (Mirra moich lat biskupich)* z roku 1939. Do zrozumienia tej postaci oraz sytuacji Kościoła w okresie dyktatury nazistowskiej przyczyni się zapewne otwarte 6 czerwca 2002 roku w Monachium archiwum kard. Michaela Faulhabera liczące 10 tysięcy uporządkowanych akt.

kard. Michael von Faulhaber

## *Kazanie o rodowodzie Jezusa Chrystusa*

Pierwszy rozdział pierwszej Ewangelii, czyli tytułowa, że się tak wyrażę, kartka Pism świętych Nowego Testamentu, zawiera *rodowód Jezusa Chrystusa, Syna Dawidowego, Syna Abrahamowego*. Gdy czyta się tę Ewangelię niejedni mogą zadać sobie po cichu pytanie: A po co i na co ta długa i nudna litania 42 imion hebrajskich? Czyśmy to gdzie w jakiej synagodze albo na cmentarzu żydowskim, gdzie w długich rzędach na nagrobkach są powypisywane imiona Juda i Fares, i Salomon, i Roboam? Co za znaczenie dla Ewangelii może mieć to, że *Booz był ojcem Obeda, Obed ojcem Jessego, a Jesse ojcem Dawida*? Inny znowu tak sobie myśli: Jeżeli Ewangelię objawił *Ojciec nasz, który jest w niebiesiach, a nie ciało i krew, jeżeli synowie nowego królestwa łaski narodzili się z Boga, a nie z ciała* (J 1, 13), w takim razie jakże ten rejestr rodowodowy o pochodzeniu cielesnym nadaje się na napis nad bramą wiodącą do przybytków Ewangelii? Święty Mateusz, czyżbyś wbrew przykazaniu Mistrza i wbrew swoim własnym słowom (Mt 9, 17) zamierzał wino młode łąć w stare bukłaki, skoro Nowy Testament rozpoczynasz od imion starożytnych? Ktoś tam trzeci gotów zamknąć księgę Ewangelii, mówiąc do siebie samego: Niedawno na rekolekcjach powiedziano nam, że co dzień przez kwadrans powinniśmy czytać Ewangelię, zbierając przy tym słowa Chrystusa Pana jakby perły drogie i rozmyślając nad nimi, i ja właśnie chciałem zrobić dzisiaj początek z czytaniem jednego rozdziału Ewangelii na co dzień. Ale cóż, kiedy potknąłem się zaraz o pierwszy rozdział Ewangelii z tymi dziwnymi imionami żydowskimi. – Kto wie zresztą, czy nawet tego lub owego kaznodziei nie spotkało to samo i czy sobie nie powiedział: *O, już utknąłem tutaj, mój Boże, któż mi dalej pomoże?*

Chrześcijańscy słuchacze! Czy naprawdę myślicie, że to słowo wstępne do Ewangelii, skreślone pod natchnieniem Ducha Świętego, nie ma nam nic do powiedzenia? Wszak jeżeli Duch Święty przez Ewangelistów chciał nam przesłać wiadomość o osobie Zbawiciela i o dziele odkupienia – jeżeli tenże Duch Święty pisze przedmowę do podstawowej księgi chrześcijaństwa i w tej przedmowie ludzkości odkupionej przesyła pozdrowienie poranne, czyżby to miało nie mieć żadnego znaczenia? Skoro św. Paweł powiada: *Cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano* (Rz 15, 4), to czyżbyście naprawdę mieli wierzyć, że pierwszy rozdział Ewangelii według św. Mateusza nie ma żadnego znaczenia dla życia chrześcijańskiego? Z niejednym wszak miejscem Pisma Świętego rzecz ma się tak: na pierwsze wejrzenie powierzchnia zdaje się być zeschniętą, nieurodzajną rolę; zacznij jednak tylko kopać, to wnet dotrzesz do ukrytych w tej roli skarbów Bożych (Mt 13, 44). Myśli Boże nie leżą na powierzchni. Niechże tedy Duch Święty, który mówił przez Ewangelistów, spuści na nas promień swej światłości, żebyśmy w rozdziale pierwszym Ewangelii św. Mateusza znaleźli bogactwa Chrystusowe i z genealogicznego drzewa Odkupiciela zerwali dla siebie owoce dla życia chrześcijańskiego. Uważajcie, najmils! Oto bowiem już pierwszy rozdział Ewangelii jest *Ewangelią*, to jest radosną nowiną, radosną nowiną o Zbawicielu świata, radosną nowiną o wierności Boga i miłości Odkupiciela, radosną nowiną o Matce Odkupiciela.

## Pierwsza radosna nowina: o Zbawicielu świata

### Pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza – podstawowym dokumentem nowego królestwa

Jeżeli gdzie jaki kościół zaczyna się chylić do upadku tak, że trzeba go zburzyć, wówczas na jego miejscu, a także po części z tego samego materiału, o ile on nadaje się jeszcze do użycia, stawiają nowy kościół. Do kamienia węgielnego tego nowego kościoła wkłada się pergaminowy dokument, a na nim wypisują imiona i nazwiska tych mężczyzn i niewiast, co szczególne położyli zasługi w sprawie budowy nowej świątyni. Tak samo było wtedy, kiedy namiot Starego Przymierza zaczął się rozspływać i rozpadać, kiedy w pełni czasów wcielony Syn Ojca Przedwiecznego w miejsce Starego Przymierza, po części nawet z jego materiału, wznosił nowy przybytek mieszkania Boga między ludźmi. Do kamienia węgielnego nowego królestwa Bożego wpuszczono dokument z imionami mężczyzn i niewiast, którzy odegrali rolę w dziejach budowy Nowego Królestwa. Tym dokumentem w kamieniu węgielnym Nowego Testamentu jest pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza, czyli rodowód Jezusa Chrystusa, Syna Dawidowego, Syna Abrahamowego.

### Pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza – wyciągiem metrykalnym

Tą samą drogą, którą nieszczęście grzechu pierworodnego „dziedziczyło” się z pokolenia na pokolenie, miała być także z pokolenia na pokolenie przekazywana nadzieja, że Zbawiciel przyjdzie. Tak to było zamierzone w planach Bożych, żeby Zbawicielowi zgotować drogę do ludzi. Więc najpierw Bóg w tym celu wybrał cały szereg narodów, mianowicie szereg semicki, potem w łonie tego szczepu jeden naród, czyli potomków Abrahama, następnie w łonie tego narodu jedno pokolenie, to jest pokolenie Judy, w końcu zaś spośród tego pokolenia jeden ród, czyli ród Dawida. W jednym tego rodu potomku miały być błogosławione wszystkie narody ziemi (Rdz 12, 3). Każde dziecko szkolne wiedziało: Gdy przyjdzie Emanuel, to jest *Bóg z nami*, urodzi się on jako syn Abrahama i syn Dawida, i po tym poznają go i będą wołać na niego: *Zmiłuj się nad nami, Synu Dawidów* (Mt 9, 27; 20, 30n) i witać go będą słowy: *Hosanna Synowi Dawidowemu!* (21, 9. 15). Dlatego lewici w świątyni musieli prowadzić bardzo dokładne wykazy pokoleń domu Dawidowego i przechowywać je starannie w archiwach świątyni.

Potem przyszedł Pomazaniec Pański i przybył do swej własności, a swoi go nie przyjęli (J 1, 11). Po jego śmierci Mateusz dla Żydów napisał pierwszą Ewangelię, i w niej to przeprowadza dowód za pomocą dokumentów ze świątyni, że ten Jezus z Nazaretu, którego żydzi ukrzyżowali, jest jedną i tą samą osobą co Mesjasz, którego oczekiwali ich ojcowie. Godności mesjańskiej nie przywłaszczył on sobie przez manię wielkości, ani też godności tej nie przypisali mu zapaleni zwolennicy, lecz godność ta przysługuje mu z prawa jako potomkowi Dawida. Patrzcie, chce Mateusz powiedzieć, jak to Jezus przez swój rodowód, sięgający Dawida, a nawet Abrahama, jest zrośnięty z naszym narodem! Więc Mateusz w tym celu zestawiał rodowód Chrystusa, aby za pomocą tego wykazu nakłonić Żydów do wiary. Wywołuje on ojców z grobu, i oto przychodzą oni w długim szeregu, Abraham i Izaak i Jakub i Dawid i Salomon i Jozjasz i Jechoniasz i Zorobabel, istna chmara świadków, i zeznają głośno: Zaiste, ten ci jest, w którym miały być błogosławione wszystkie narody, na którego czekały całe wieki, o którym mówi Jeremiasz: *W cieniu twoim żyć będziemy* (Lm 4, 20).

## Pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza jest głosem herolda

Rodowód Jezusa Chrystusa będzie także naszym wiary podporą. Jednorodzony Ojca zstąpił z nieba, ale nie jako meteor spadający, lecz przez narodzenie się z Marii. Jest On zarazem owocem ziemi (Iz 4, 2; 4, 8), przez Swoją Matkę spokrewniony z domem Dawida, a także przez Józefa św. potomek domu królewskiego, ponieważ podług prawa adopcji w Zakonie Mojżesza także przodkowie ojca tylko legalnego, nie cielesnego, stawali się przodkami dziecięcia adoptowanego. Tym sposobem zaraz pierwszy rozdział Ewangelii poucza nas: Ewangelia Jezusa Chrystusa to nie jakaś pobożna legenda z mglistej dziedziny wyobraźni, to nie bajka z *tysiąca i jednej nocy*. Nie, Ewangelia to rzeczywiste dzieje, do których wstęp stanowią urzędowe dokumenty. Dokumenty, wystawione przez urząd stanu cywilnego, wszędzie zażywają wielkiej powagi, powinny więc cieszyć się powagą także w tym wypadku.

Nie potrzebujemy wprawdzie naśladować ludów Azji wschodniej w ich bałwochwalczej czci przodków, możemy jednak przyznać, że w takich rodowodach arystokratycznych rodzin jest coś godnego czci i szacunku. W długich galeriach wiszą portrety przodków, jeden obok drugiego, a oczy ich tak są namalowane, że wszystkie zdają się spoglądać na ostatnią latorośl rodu na końcu galerii. Tak też i w galerii przodków Mesjasza u św. Mateusza oczy ojców zwrócone są ku Temu, który stoi na końcu szeregu: *Jezusowi, którego zowią Chrystusem*. Tysiące lat kłaniają się Mu i upadają przed Nim. Gałęzie drzewa rodowego myślą: wyścielmy liściem naszym drogę przed Bogiem i Panem!

Któż wobec tego będzie mógł jeszcze pytać się: *Na co ta litania imion hebrajskich?* Skoro te imiona są imionami mężczyzn i niewiast będących antenatami Zbawiciela naszego, to już one nie mogą nam być zupełnie obce ani obojętne. Skoro są to postacie spokrewnione z Chrystusem, to także uczeń Chrystusa winien się nimi zainteresować ze stanowiska religijnego i winien przyznać, że posiadają one wartość większą aniżeli wartość muzealna mumii królów egipskich.

## Druga radosna nowina: o wierności Boga i miłości Zbawiciela

I jeszcze jedna radosna brzmi nowina poprzez gałęzie genealogicznego drzewa Chrystusa. Dźwięczy ona jakby jakaś *Pieśń nad pieśniami* o tym, jak wierny jest Bóg w swoich obietnicach i jak wielka jest miłość Zbawiciela.

### 1. Bóg jest wierny w swoich obietnicach

Bóg ze swej strony w samym zaraniu dziejów biblijnych obiecał odkupiciela. Z biegiem wieków obietnice te stawały się coraz liczniejsze i jaśniejsze: Poślę wam Odkupiciela, który będzie błogosławieństwem narodów, pragnieniem wzgórz wiekuistych, synem Dziewicy, ojcem przyszłości, księciem pokoju, kapłanem i królem w jednej osobie, odwieczną mądrością Bożą. Odkupienie po stronie Boga nie było owocem nagiego wzruszenia litości, ani nie pomysłem z dziś na jutro, lecz było ono przygotowane w odwiecznych zamiarach. Odkupiciel był zapowiedziany od wieków, a każdy z jego przodków, każda gałąź drzewa rodowodu powtarzała: Ja wam przyślę Zbawiciela.

Ze strony piekła i ziemi nie zabrakło żadnej próby pokrzyżowania boskiego planu odkupienia. Nadeszły takie czasy, że tylko jeden jedyny piastun obietnicy pozostawał przy życiu, i zdawało się, że się urwie nagle szereg przodków Zbawiciela. W Ziemi obietnic mesjańskich grze-

chy rozwieliżności się bardzo. Stary wąż wysilił się, żeby w zarodku udusić Zbawiciela obiecane. Nie mógł on go ugodzić w piętę, póki we własnej osobie Zbawiciela nie było jeszcze na tej ziemi, za to całą złość skierował przeciw Jego przodkom. Każdy zamach na jednego z nich właściwie był zamachem na kielkujące życie Zbawiciela.

Ze strony Boga wszystkie te zamachy zostały udaremnione. Bóg nieskończenie wierny nie żałował swego słowa. Na wypadek rzeczywistego przerwania szeregu przodków Mesjasza Pan niebios zrzucił tak, że w drodze ustawowej adopcji przez tak zwane małżeństwo lewiratu mógł być wskrzeszony nowy piastun obietnicy mesjańskiej. Ewangelia św. Łukasza (3, 23-38) w swej genealogii Chrystusa zapisała nam takie wypadki. Aż podziw bierze, gdy się widzi, jak to Opatrzność przeprowadzała plan odkupienia, gdy pokolenie za pokoleniem kładło się do grobu. Suwerennym ramieniem Wszechmocny wstawiał kamienie milowe po drodze do Betlejem, tak, że mimo wszystką potęgę piekła i mimo wszystką złość świata wybiła godzina, w której narodził się Jezus, zwany Chrystusem. Obietnice Boże wypełniły się co do joty. Czy słyszyście, jak to szum gałęzi drzewa genealogicznego nuci *Pieśń nad pieśniami*, że Bóg stateczny w słowie, co raz postanowi, wiecznymi czasy tego nie odmówił? Jeden z przodków Chrystusa, Zorobabel, w Piśmie Świętym nazwany jest sygnetem na prawej ręce Bożej (Ag 2, 24, Ecl. 49, 13). Nie tylko Zorobabel jest takim złotym sygnetem stateczności Bożej. Są nimi także wszyscy przodkowie Mesjasza.

## 2. Wielka jest miłość Zbawiciela

Między przodkami Chrystusa są mężowie, którzy pod względem etycznym krocyli na wyżynach doskonałości. Wielką była wiara Abrahama. Niewzruszony jak dąb z Hebronu, polegał on na słowie Bożym i stał się ojcem wierzących (Rz 4, 3. 11). Wielkim było posłuszeństwo Izaaka, gdy na własnych barkach dźwiżał na górę drzewo pod ofiarę z własnego młodego życia. Wielkim ze stanowiska etyki było rozmiłowanie się w modlitwie Dawida, który wszystkie przeżycia i nastroje swego życia, nawet swój grzeszny upadek, przełożył na psalm. Wielka była gorliwość Ezechiasza o dom Boży, gdy świątynię oczyszczał z obrzydliwości spustoszenia. Obok takich bohaterów cnoty i wśród nich między przodkami Chrystusa znajdują się jednak także postacie takich mężów, którzy stoczyli się na samo dno otchłani bezbożności, mężowie, którzy w Starym Testamencie odegrali rolę Judaszów, jak ów Achaz, co to Ziemię świętą zbezczeszczył bałwanami, albo jak Amon, który bałwany poustawiał nawet w świątyni. Tacy mężowie w genealogii Chrystusa znaleźli się jak Piłat w *Credo*. *A oni nie byli z pokolenia onych mężów, przez których się stało zbawienie w Izraelu* (1 Mch 5, 62).

W rodowodzie Chrystusa wymienione też są cztery niewiasty, które osobiście nie były godne tego zaszczytu, iżby Zbawiciel należeć miał do ich potomstwa. Niewiastami tymi są: Tamar, publiczna grzesznica, Magdalena Starego Testamentu, Rahab, która również wiodła żywot hańby, Rut, osobiście wprawdzie postać szlachetna, ale jako Moabitka podług Zakonu podlegająca wyklęciu (Pwt 23, 3), Betszeba, żona Uriasza, która zdradziła swego męża. Tych niewiast chciałoby się zapytać: Jakaście wy tu weszły, nie mając szaty godowej? A do Chrystusa Pana chciałoby się człowiek odezwać: *O, jakże mi przykro, Panie, że Cię muszę widzieć w takim towarzystwie!* Czyż Chrystus Pan nie musiał się wstydić takich przodków? Czyż się wobec tego Chrystus nie wydaje być jagodą winną na cierniach? (Mt 7, 16). Czy przez takich przodków nie jest dziedzicznie obciążony?

Tak pytają się ludzie, którzy nie znają ani Pisma ani tajemnic Bożych. Nieskończona miłość Boskiego Zbawiciela także grzeszników, wielkich grzeszników, przyjęła w poczet Jego przodków,



gdyż On właśnie dla grzeszników przyszedł na ten świat. *Nie potrzebują zdrowi lekarza, ale potrzebują go ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych ku pokucie* (Łk 5, 31. 2). Jak wisiał na krzyżu, w pośrodku między dwoma łotrami, tak już w kolebce chciał leżeć między Amonem i Manassesem. Jak u stóp krzyża pozwolił klęczeć takiej Marii Magdalenie, tak zezwolił, żeby u kolebki jego stała Tamar i Betszeba. Drzewo krzyża i drzewo genealogii zgodnym chórem nucą *Pieśń nad pieśniami* o miłości Zbawiciela ku grzesznikom.

### 3. Stateczność Boga w obietnicach

Tym to sposobem pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza każe nam wstępować w świat myśli Ewangelii z wielką ufnością w stateczność Boga w obietnicach i w miłość Zbawiciela. *Wszystkie drogi Pańskie miłosierdzie i prawda* (Ps 24, 10). *Wywyższone jest aż do niebios miłosierdzie twoje i aż pod obłoki prawda twoja* (Ps 56, 11). Może także w naszej rodzinie, u któregoś z przodków bliższych lub dalszych grzech wyrządził spustoszenie i potomstwo aż do trzeciego i czwartego pokolenia obciążał dziedzicznie. Miejmy ufność, iż nawet w takich razach wierność i miłość Boża tym, co było złe, może pokierować tak, że ono na dobre wyjdzie. Bo to nie przypadek ślepy tkanił marnego żywota, lecz miłociwa Opatrzność wszystko układa według planów zbawczej miłości. Mamy wszak jej obietnice: *Będę stróżem twoim, gdziekolwiek pójdziesz* (Rdz 28, 15). *Nie chcę śmierci grzesznika, mówi Pan* (Ez 18, 32). *Oto na rękach moich napisałem cię* (Iz 49, 16). Wszystkie drogi Pańskie, wszystkie kartki Ewangelii są zmiłowaniem i statecznością.

## Trzecia radosna nowina: o Matce Zbawiciela

Na samym końcu rodowodu czytamy imiona: J e z u s , M a r i a , J ó z e f . Są to te trzy święte Imiona, które także w każdej katolickiej książce do modlitwy stoją obok siebie: *Jezu, Mario, Józefie, wam polecam ciało i duszę moją*. Znaczy to, że zaraz na początku mówi nam Ewangelia święta: nie uwłacza to bynajmniej miłości winnej Panu Jezusowi, jeżeli my Jego Najświętsze Imię wymawiamy razem z imionami Józefa i Marii, a Pan Jezus odzywa się do nas: *Możecie pozdrawiać także i Matkę moją*. Z wierchołka tedy drzewa genealogicznego miło i słodko płynie ku nam głos trzeciej radosnej nowiny – o Matce Odkupiciela.

### 1. Wieść o Matce Niepokalanej

Po Tamar, Rahab, Ruth i żonie Uriasza na końcu galerii przodków Mesjasza jako piąta niewiasta uroczystie wymieniona jest *Maria, z której się narodził Jezus, zwany Chrystusem*. Cztery niewiasty w tym rodowodzie pełne zmały, piąta niewiasta, która jest ukoronowaniem i najpiękniejszym drzewa genealogicznego konarem, bez zmały! Cztery niewiasty, które nie przynoszą chluby rodowi niewieściemu. Maria, błogosławiona między niewiastami, która uratowała honor nie tylko swego rodzaju, rodzaju niewieściego, lecz także honor Zbawiciela. Ostatnia latorośl na drzewie rodowodowym, na której miał dojrzeć owoc błogosławiony, nie mogła być latoroślą zatrutą. Matka Zbawiciela nie mogła być żadną Tamar. Po trzykroć święty Emanuel w łonie Matki nie mógł wejść w styczność z grzechem. Dlatego Maria zachowana była od grzechu, dlatego urodziła się bez grzechu pierworodnego.

## 2. Wieść o Matce Nienaruszonej

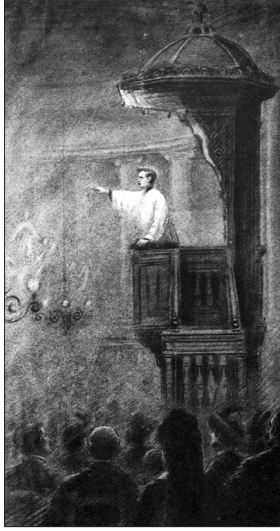
I jeszcze inne tajemnice palec Boży napisał na kartkach rodowodu. Tajemnicę o Matce Nienaruszonej. Poprzednio czytało się: *Eleazar był ojcem Matana, Matan ojcem Jakuba*, teraz zaś, na końcu, napisano jest: *Jakub był ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus*. Nie jest napisano Józef był ojcem Jezusa, lecz *Józef był mężem Maryi, z której narodził się Jezus*. Jezus nie miał ojca co do ciała, ale miał rzeczywistą, prawdziwą Matkę, która Go porodziła cudem łaski jako Dziewica. Rodowód sam głosi ten cud łaski. Niechże tedy nikt nie mówi, że pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza jest objawion, od ciała i krwi i nie nadaje się na to, żeby stanowić napis nad podwojami, wiodącymi do królestwa łaski.

## 3. Wieść o Matce łaski pełnej

Wszystką łaskę, jaką jeno otrzymali przodkowie Chrystusa, zawdzięczali oni swemu ostatniemu potomkowi, Zbawicielowi świata. Gałęzie innych drzew soki życiowe czerpią z korzenia. W drzewie genealogicznym Chrystusa wszystkie gałęzie życie biorą od szczytu, od korony. Tak tedy Chrystus był Zbawicielem w najwyższym tego słowa znaczeniu, bo zadatkowo zbawiał także tych, którzy już przed jego śmiercią poumierali. A skoro spośród wszystkich przodków Matka jest mu najbliższą, najbliższą w szeregu rodowodowym przez związek krwi i najbliższą duchem przez związek łaski, przeto strumienie łaski, jakie spływały na nią, były najobfitsze. Patriarchowie, którzy dawali świadectwo Zbawicielowi, witają więc także Matkę Odkupiciela: Tyś jest chwałą i chlubą naszego narodu. Tyś największą spośród córek Starego Testamentu. Ze szczytu drzewa genealogicznego płynie radosny hymn ku czci Matki Odkupiciela.

Dzięki tobie – święty Mateuszu, za radosną nowinę z Chrystusowego drzewa genealogicznego! Nie do synagogi zatem nas zaprowadziłeś, ani na cmentarz zawiodłeś żydowski, jeno przed kolebkę Zbawiciela. W tym rodowodzie Chrystusowym wszystko wesołą rozbrzmiewa nowiną o osobie Odkupiciela i o dziele odkupienia. Rodowód Jezusa Chrystusa jest Ewangelią Jezusa Chrystusa. Z pierwszego rozdziału świętych Ewangelii, który na pierwsze wejrzenie wydawał się nam spaloną od żaru i nieurodzajną pustynią, wydobyliśmy rzeczy świetlane i owocne dla życia chrześcijańskiego. Niechże nas tedy rozdział pierwszy Ewangelii św. Mateusza nie odstrasza od pilnego rozczytywania się w Ewangelii! Chwała Tobie, Chryste! Amen.

Cytat za: M. Faulhaber, *Pismo Święte na kazalnicy z przydaniem kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa*, tłum. J. Korzonkiewicz, Kraków 1928, s. 61-62.



Henryk Pinard de la Boullaye SI  
(1874-1958)



# Uczony konferencjonista i apologeta

Jezus Chrystus – wczoraj i dziś, ten sam także na wieki” (Hbr 13, 8). Te słowa zaczerpnięte z Listu do Hebrajczyków stanowiły myśl przewodnią Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Refleksja nad osobą i posłannictwem Jezusa Chrystusa wypełniała obchody milenijne. Wydarzenia Roku Świętego dowiodły stale aktualnej potrzeby gruntownej katechezy o jedynym Zbawicielu człowieka (por. Dz 4, 12). Umiejętność obrony swej wiary należy do podstawowych obowiązków człowieka wierzącego. Jest to także zadanie kaznodziejstwa apologetycznego, któremu przyświeca słynne wezwanie św. Piotra: „Bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest” (1 P 3, 15).

## Francuscy konferencjoniści

W poszukiwaniu argumentacji zdolnej przekonać współczesnego człowieka do przyjęcia Jezusa Chrystusa za osobistego Pana i Zbawcę warto sięgnąć do doświadczeń francuskich konferencjonistów. W pierwszej połowie XIX wieku, po spustoszeniach duchowych dokonanych przez Wielką Rewolucję Francuską z 1789 roku, wojny napoleońskie i rewolucję lipcową 1830 roku, podjęli oni trud odpowiedzi na najważniejsze problemy nurtujące człowieka. Czynili to w konferencjach apologetycznych głoszonych przede wszystkim w okresie wielkiego postu. Niezwykła skuteczność tych wysiłków rozpoczęła się z chwilą, kiedy na ambonie paryskiej katedry Notre-Dame stanął Henryk Lacordaire († 1861). Wystąpił on w 1835 roku z cyklem konferencji na temat Kościoła i Jego założyciela Jezusa Chrystusa.

Przez konferencję rozumiano wtedy rodzaj nauk filozoficzno-religijnych, o silnym zabarwieniu polemicznym. Były one kierowane do ludzi wykształconych, ale religijnie obojętnych lub też nastawionych krytycznie do wiary i Kościoła. Materiał do takiego przemówienia czerpał autor nie tylko ze źródeł objawionych, lecz w równej mierze z filozofii, literatury pięknej, historii i nauk przyrodniczych. Problematyka była zatem bardzo szeroka. Konferencje posiadały mocny wydźwięk apologetyczny. Musiały zatem uwzględnić z jednej strony zarzuty przeciw poszczególnym prawdom wiary i zasadom moralności chrześcijańskiej, a z drugiej dostarczyć przekonujących argumentów, by je obalić.

Od Henryka Lacordaire’a aż do czasów nam współczesnych przez paryską amboną katedry Notre-Dame przewinęła się duża grupa mówców, którzy przez sześć kolejnych niedziel wielkiego postu uwrażliwiali na religijny wymiar życia człowieka. Głównym odbiorcą tych konferencji była inteligencja paryska. Z czasem jednak dzięki falom radiowym i drukowanym tekstom kazań głos kaznodziejów dotarł daleko poza paryską katedrę.

## Uczony konferencjonista

W XX wieku do grona wielkich mistrzów ambony głoszących konferencje w katedrze Notre-Dame włączył się uczony jezuita Henryk Pinard de la Boullaye (1874-1958). Ten paryżanin z urodzenia, od roku 1910 był profesorem teologii w prowadzonym przez Towarzystwo Jezusowe Wyższym Instytucie w Enghien (Belgia). W 1918 roku został sekretarzem generalnym Międzynarodowego Tygodnia Etnologicznego. Od 1924 roku wykładał historię porównawczą religii na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Jego kazania oraz rekolekcje oparte były na rzetelnej wiedzy naukowej i umiłowaniu prawdy. Z wielkim powodzeniem głosił słowo Boże w Paryżu, Brukseli, Lowanium, Rzymie, Mediolanie, Wiedniu i Strasburgu.

Na zaproszenie paryskiego kardynała Jeana Verdiera ów wybitny uczony i mówca podjął sławne dzieło Lacordaire'a głosząc konferencje apologetyczne w paryskiej katedrze w latach 1926-1937. Przez wszystkie niedziele wielkiego postu w katedrze Notre-Dame głosił kazania, ściągające tłumy słuchaczy, nie tylko spośród katolików, ale także i z kół niewierzących. Powstało w ten sposób ogromne dzieło, o którym świadczą tytuły zbiorów najważniejszych konferencji wydanych drukiem: *La dévotion du devoir. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1929); *Jésus et l'histoire* (1929); *Jésus Messie* (1930); *La bonté de Dieu. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1930); *Jesus Messie. La Thaumaturge et le prophète* (1931); *Marie Chef-d'oeuvre de Dieu* (1931); *Les joies du mal. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1932); *Jésus, fils de Dieu* (1932); *La personne de Jésus. Conférences de Notre-Dame de Paris* (1933); *La vie divine dans l'âme du chrétien. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1933); *Jésus lumière du monde. Conférences de Notre-Dame de Paris* (1934); *L'héritage de Jésus. Conférences de Notre-Dame de Paris* (1935); *Aimez-vous! Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1935); *Jésus rédempteur. Conférences de Notre-Dame de Paris* (1936); *La montée des âmes. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1936); *L'autre vie. Retraite pascalle Notre-Dame de Paris* (1937).

Papież Pius XI, ceniący wysoko kazania Pinarda de la Boullaye, przyjmując tego francuskiego kaznodzieję na audiencji w Watykanie, powiedział doń w 1936 roku: „Najlepszą metodą apologetyki jest nie atakować teorii przeciwnika, lecz przedstawiać prawdziwą naukę Kościoła i jej działanie w ciągu stuleci”. Tej właśnie metody trzymał się w swych kazaniach wielkopostnych de la Boullaye. Dominującym tematem swych wystąpień uczynił zagadnienia apologii Jezusa, problemy dziejów ludzkości oraz wartości tradycji chrześcijańskiej. Wiele uwagi poświęcił też historyczności i bóstwu Jezusa Chrystusa oraz faktowi objawienia chrześcijańskiego. Głosząc konferencje po raz ostatni w 1937 roku kaznodzieja z Notre-Dame podjął temat: *Chrystus żyjący w Kościele*. Prowadząc człowieka do przyjęcia i wyznania wiary w Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga-Człowieka, uczony jezuita sięgał do argumentacji historycznej, filozoficznej i teologicznej.



Z bogatej problematyki apologetycznej, którą podejmował Henryk Pinard de la Boullaye, warto przeanalizować argumenty przemawiające za historycznością życia i dzieła Jezusa.

## Wartość historyczna Objawienia

Henryk Pinard de la Boullaye analizował pierwotną Tradycję, którą przekazał św. Paweł; zajmował się także nieskazitelnością zachowanych do dziś Ewangelii i Tradycji.

### Pierwotna Tradycja – św. Paweł

Chcąc zachować maksymalną siłę dowodu Henryk Pinard de la Boullaye analizował przede wszystkim te pisma św. Pawła, wobec których nie było kiedykolwiek najmniejszej wątpliwości co do ich autentyczności, a więc listy: pierwszy do Tesaloniczan, do Galatów, pierwszy i drugi do Koryntian oraz Rzymian. W tekstach tych nie brak jasnych aluzji do wydarzeń paschalnych, a zwłaszcza do męki i zmartwychwstania Zbawiciela. Dowodząc prawdziwości tych wydarzeń Apostoł Narodów odwoływał się nie tylko do prorocत्व mesjańskich, ale i do zgodności życia Jezusa z tym, co Żydzi mogli znaleźć na temat Mesjasza w księgach uznawanych przez nich za natchnione. Nadto widać zgodność w istotnych punktach jego nauczania z tym, co głosili inni apostołowie Chrystusa. Sam Paweł w swym Liście do Rzymian udziela im pochwały za nieskażoną wiarę. Wynika z tego, że ich wiara jest też i jego wiarą, mimo tego, że oni jej od niego nie otrzymali. Argumentem na to, że święty Paweł zachowywał zgodność z Dwunastoma, jest fakt, że nie nauczał już tam, gdzie pracowali inni apostołowie. Tym samym nie poddawał w wątpliwość ich ortodoksyjności. Ich przekaz uznał za nie różniący się od jego, przynajmniej w zasadniczych punktach. Nie ustępował im też w gorliwości i miłości do Jezusa oraz ludzi, co potwierdził swoimi cierpieniami dla Ewangelii. Taka postawa Apostoła Pogan jednoznacznie wskazuje na jego całkowite przekonanie odnośnie do prawdziwości tego wszystkiego, co głosił i nauczał, a co nam przekazał w swoich pismach.

Koronnym argumentem nadającym świadectwu Pawła Apostoła doniosłą wagę i wskazującym na jego rzetelność w przekazywaniu prawdy jest całościowy kształt jego życia po nawróceniu. Podjmował pracę we dnie i w nocy zarabiając na swe utrzymanie, aby nie obciążać dodatkowo braci. Słusznie więc stwierdził, że pracował więcej niż wszyscy inni (1 Kor 15, 10), ale chodziło mu wciąż o jedno, by poddać pod jarzmo Mistrza swego cały świat. Takie ustalenie sprawy i życia Pawła z Tarsu pokazuje niedwuznacznie, jak należy rozumieć to, czego dokonał i co przekazał.

Należy zwrócić również uwagę na fakt, iż św. Paweł dokonał w swych pismach syntezy tego, co dotyczy osoby i dzieła Jezusa Chrystusa. Nadto wypracował swój styl i ustalił wiele wyrażen teologicznych, które później na trwa-

łe weszły do myśli chrześcijańskiej. Był to więc człowiek, który swym niezwykłym poświęceniem (czego skondensowany opis znajduje się w 2 Kor 12), przypieczętował na koniec swe świadectwo trzydziestu lat apostołstwa przełaniem krwi. Tym samym nie można odmówić mu wielkiej powagi argumentacji przemawiającej za historycznością życia i dzieła Jezusa.

### Pismo Święte – Ewangelie

Kolejnym etapem potwierdzenia historyczności Jezusa zdaniem uczonego jezuity, jest przeprowadzenie dowodu stwierdzającego historyczną wartość Ewangelii. Są one pewnego rodzaju streszczeniem wydarzeń i pierwotnego nauczania, a co za tym idzie, nie należy żądać od ich twórców tego, czego nie zamierzali przekazać. Z drugiej jednak strony należy zauważyć, iż księgi te podają sprawdzone zdarzenia nie należące do mitologicznych mrzonek czy kruchych legend.

Rozpatrując wewnętrzne znamiona Ewangelii, trzeba zwrócić uwagę na charakter zgodności i łączności opowiadania ewangelicznego. Znajduje on swe podstawy w teorii o istnieniu dokumentu, który pojawił się około roku 50, a od którego zależały dwie lub trzy księgi. Tekst ten został nazwany przez niemieckich krytyków „źródłem” (*Quelle*). Przyznana mu została wysoka wartość, gdyż korzystali z niego św. Mateusz i św. Łukasz, jak również ze względu na jego umiarkowanie oraz starożytność. O. Henryk Pinard de la Boullaye nie przyjmował teorii źródła jako takiej, ale po zastrzeżeniu kilku jej punktów, zatrzymał zdarzenia przytoczone przez nie jako te, które przedstawiają prawdę. Stanowisko to potwierdzają również niezależni krytycy, co pozwala apologeticie przystać na takie podejście do tej kwestii.

Nauczanie Jezusa dzieliło słuchaczy na dwie grupy. Jedną była Mu przychylna. Należeli do niej prostaczkowie pociągnięci śmiałą i niosącą pociechę nauką Mistrza z Nazaretu, popartą na dodatek cudami. Grupę drugą, nastawioną nieprzyjaźnie do Jezusa, stanowili faryzeusze, uczeni w piśmie i książęta ludu. Byli oni chłostani nauką Nazarejczyka, gdyż nie potrafili jej przyjąć, a co za tym idzie, nie mieścili się w jej ramach. Ojciec Pinard ukazując konsekwencje istnienia takich relacji w ówczesnym środowisku, zarysował w zwięzły i logiczny sposób dzieje, mękę, śmierć i zmartwychwstanie Pana Jezusa. Wszystko to razem stanowi potwierdzenie tego, co przekazał św. Paweł.

Wysokiej rangi argumentem świadczącym o historyczności Ewangelii jest ich archaizm, polegający na tym, że elementy chronologicznie późniejsze nie pojawiają się w tekstach pochodzących z okresu wcześniejszego. W ramach tej kwestii należy zauważyć różne odmiany wspomnianego archaizmu, do których należy wpiąć archaizm instytucji. W tekście nie ma stwierdzenia o istnieniu hierarchii Kościoła w takim rozumieniu, jak to ma miejsce w późniejszych wiekach. Kolejną odmianą omawianego archaizmu to archaizm uczuć, w którym odzwierciedlają się odniesienia względem przeciwników. Można go też odnaleźć w ogólnikowych zapowiedziach prześladowań. Inny archaizm do-

tyczy spekulacji i dociekań na temat prerogatyw Chrystusa, Jego natury i posłannictwa oraz szeroko pojętej ekonomii Bożych planów.

Znaczącym elementem prowadzonego dowodu jest brak odmiennych od reszty tekstu wstawek, które świadczyłyby o podróbkach czy zmianach. Jednolitość stylu stanowi niejako pieczęć osoby w tekście. Takiego oryginalnego piętna nie da się podrobić. Cóż dopiero jeśli chodzi o styl Mistrza z Nazaretu. Zdaniem uczonego jezuita fałszerstwo z pewnością łatwiej dałoby się tu dostrzec, niż w arcydziełach sztuki. Jeszcze raz przemawia to na korzyść historyczności przekazu Ewangelii.

Bardzo ważnym znamieniem rozpatrywanych tekstów jest ich zgodność z ogólnymi dziejami ówczesnego świata. Należy zauważyć, iż tekst można uznać za historyczny, jeżeli przynajmniej nie zawiera sprzeczności z naukowo udowodnionymi faktami. Takie wymaganie w sposób zadowalający spełniają przyjęte przez Kościół Ewangelie w odróżnieniu do odrzuconych przekazów apokryficznych.

Kryterium historyczności analizowanej treści stanowi jednogłośnie potwierdzenie jej głównych przesłanek przez niezależnych świadków. Taka sytuacja ma właśnie miejsce w osobach ewangelistów, więc pozostaje tylko przyjąć, że Ewangelie spełniają to kryterium niezależności.

Biorąc pod uwagę rozważane powyżej cechy przekazów ewangelicznych narzuca się konieczność odrzucenia hipotez twierdzących, iż teksty te są prostym wytworem wyobraźni czy złożenia opowiadań na kanwie dziejów za pomocą ozdobników. Owocem takich zabiegów byłyby rozdzźwięki i sprzeczności, czego tu nie da się stwierdzić, gdyż obraz Jezusa, Jego słowa i gesty tworzą niczym nie zmąconą harmonię osoby oraz ujawniają prawdziwe mistrzostwo twórcy. W związku z tym należy przyjąć rozwiązanie, iż rozważane cztery przekazy wiernie odtwarzają Tradycję.

Dla potwierdzenia autentyczności Ewangelii Henryk Pinard de la Boulaye ukazał podwójną ich kontrolę przeprowadzoną przez dwie serie kompetentnych świadków. Do pierwszej należą sami ewangeliści, gdyż wzajemnie się niejako sprawdzają i potwierdzają przez to, że jedna prawda wyrażona jest na cztery sposoby. W ten sposób ujawniają, że każdy z nich miał własne, specjalne źródło informacji.

Trzeba też zauważyć, że nie można się wahać co do historyczności treści Ewangelii, gdyż zasadniczy rys, jak również nauka i wielkie zdarzenia z życia Jezusa, pozostają w zgodności ze sobą. Pewna względna niezgodność, czy pozorne sprzeczności, dają się zauważyć w szczegółach, które jednoznacznie wskazują na ścisłość i dbałość świadków. Wszak nie da się wymagać dwóch takich samych opisów od dwóch różnych osób, a co dopiero czterech. Tak więc trzeba uznać, iż wielość opisów tego samego faktu przemawia za historycznością tego faktu, pod warunkiem, że opisy te idą po tej samej linii, czy są tego samego typu. Wszystko to uprawnia do przyjęcia stanowiska, iż ewangeliczne dzieje są naukowo ustalone jako historyczne.

Drugą grupę kontrolującą autentyczność Ewangelii tworzą Kościoły i ich zwierzchnicy. Należy zauważyć, iż to nie Kościół, lecz poszczególne gminy, czyli Kościoły lokalne, same uznały rozważane teksty za kanoniczne. To one dokonały podziału, przez fakt jednozgodnego przyjęcia czterech Ewangelii, nie tylko jako prawomyślnych, ale i jako historycznych. Gdyby pisma czterech ewangelistów nie były zgodne z tradycjami gmin, te nie mogłyby ich przyjąć. Za tym wnioskiem przemawia fakt odrzucenia niektórych pism przypisywanych apostołom zawierających podejrzane treści. Warto wreszcie zaznaczyć, że cztery Ewangelie powstały później niż pisma Pawłowe, a co za tym idzie, one stanowiły materiał, weryfikujący nowe teksty przynoszące szczegóły elementarnych katechez św. Pawła. Pozostaje dodać jeszcze jeden znamieny fakt, iż nawet gminy później założone poszły w ślad za najstarszymi Kościołami, przyjmując cztery Ewangelie.

### Tradycja – Kościół

W ciągu wieków pojawiały się zarzuty dotyczące zniekształcenia bądź skażenia Tradycji. W swoich konferencjach Henryk Pinard de la Boullaye podjął także polemikę z tymi stwierdzeniami. To prawda – podkreśla konferencjonista – iż już około 61 lub 62 roku, niektórzy Kolosanie próbowali złączyć powszechną wiarę z żydowskimi oraz wschodnimi mrzonkami i wyobrażeniami o aniołach. Od drugiego wieku zaś pojawiały się różne ewangelie uzupełniające luki w opowiadaniach ewangelicznych. Były one pełne wdzięku i tkliwości, aby tym sposobem zdobyć popularność. Obok prawowiernych tekstów apokryficznych, które ukazały się po czterech Ewangeliach, pojawiły się również takie, które chciały usprawiedliwić nauki błędnowierców. Jednakże kształtowanie się Tradycji nie podzieliło losów zwykłych ludzkich podań, a Kościół z całą ostrością odrzucił i potępił wszelkie przekazy zawierające znamiona nieautentyczności.

Henryk Pinard de la Boullaye dowodząc czystości kultu chrześcijan podkreślał, że badając szczegółowo religie pogańskie nie znajdzie się w żadnej z nich wzmianki o męce boga, bądź o jego zmartwychwstaniu. Kościół więc nie mógł od nich przejąć tych wierzeń. Już u początków chrześcijaństwa zachęcano, by strzec Tradycji jako kanonu wiary, ze szczególnym akcentem na naukę apostołów, niczego w niej nie ujmując ani nie dodając. Wszystkim, którzy usiłowali to robić, groziły poważne konsekwencje. Św. Paweł domagał się wykluczenia głoszącego błędną naukę po podwójnym upomnieniu go (Tt 3, 10), a św. Jan pouczał, by nie tylko nie przyjmować do domu tych, którzy zniekształcają naukę apostołów, ale nawet zakazywał ich pozdrawiać (2 J 10-11). Także ojcowie Kościoła podążali tym samym szlakiem, czego dowodem św. Polikarp, biskup Smyrny oraz św. Justyn. Kościół odwołując się do faktów historycznych, zwalczał z bezwzględną surowością wszelkie przejawy nieortodoksyjności. Niekiedy czynił to z niezwykłą gwałtownością.

Należy wziąć pod uwagę zapewnienie Jezusa, mówiące o Kościele, że nie przemogą go nawet bramy piekielne. Jednocześnie jednak Zbawiciel mówił o próbach i doświadczeniach, jakich doświadczy wspólnota Kościoła. Miało to już miejsce wcześniej, gdy sam Jezus został wyłączony z synagogi i skazany na śmierć krzyżową. Panujące wśród jego uczniów przygnębienie rozproszyła dopiero radość poranka zmartwychwstania Pańskiego. Wierność Ewangelii, a co za tym idzie i Kościołowi, przypieczętowana została męczeństwem wielu znaczących chrześcijan.

Innym poważnym argumentem przemawiającym za brakiem skażenia Tradycji jest według Henryka Pinarda de la Boullaye kontrolna rola, jaką w początków chrześcijaństwa pełniło grono Dwunastu. Zapobiegali oni tworzeniu się legend, deformacji i wszelkim próbom naruszenia Tradycji. W swoją wiarę wkładali żarliwego ducha, wystrzegając się formalizmu zganionego przez Jezusa (Mt 7, 21). Zgodnie z nauką Mistrza kierowali się oni posłuszeństwem Ojcu, które Jezus utożsamiał z miłością znajdującą swe ukonkretnienie w strzeżeniu Tradycji. Dowodem tego było wyłączenie apokryfów z tekstów oficjalnych i potępienie sekt czy filozofii chcących skazić czystość nauki Kościoła.

Znamiennym świadectwem przemawiającym za nieskazitelnością Tradycji jest wystąpienie św. Piotra na tzw. soborze jerozolimskim rozstrzygającym wątpliwości związane z prawem. Również Klemens Rzymski interweniował w celu przywrócenia zgody pośród Koryntian. Widać zatem, że członkowie Kościoła wiernie wypełniali swe zadania w myśl tego, że wszechmocny Bóg nie troszczy się o ilość, lecz domaga się jedynie wierności Chrystusowi. Niemożliwą jest też rzecz, aby Tradycja uległa jednolitej ewolucji, przekłamaniom czy złudzeniom w tak wielu i jakże różniących się umysłowo i kulturalnie gminach. Henryk Pinard de la Boullaye podkreśla więc, iż należy wbrew wszelkim oczekiwaniom stwierdzić jednomyślność wszystkich Kościołów. Niezależnie od tego, przez kogo były one zakładane pozostawały jednomyślne co do nieskazitelności Tradycji, która nie podlegała wątpliwości w zasadniczych rysach i jako taka została zapisana w Ewangeliach.

Analiza argumentacji przemawiającej za historycznością osoby i dzieła Jezusa dowodzi, zdaniem Henryka Pinarda de la Boullaye, iż jej przeciwnicy nie potrafili poddać w wątpliwość przekazu ewangelicznego w żadnym z zasadniczych punktów.

Święty Paweł w swych tekstach dowodzi poprawności nauki Dwunastu zgodnej z nauką Jezusa i Kościoła. Z kolei ilość i jakość zachowanego przekazu Ewangelii w pismach Pawłowych w przypadku zaginięcia Ewangelii pozwoliłyby na odtworzenie jej w całości, więc nietrudno poddać weryfikacji przekaz ewangeliczny i stwierdzić jego ortodoksyjność. Tradycja ustna powstała w pierwotnym Kościele została w znacznej mierze spisana i jako taka strzeżona przed wpływami, które mogłyby ją zniekształcić. W takiej postaci przechowała się do czasów nam współczesnych.

\*

Henryk Pinard de la Boullaye to niewątpliwie jeden z najwybitniejszych kaznodziejów apologetycznych paryskiej ambony. Jego konferencje posługując się argumentacją historyczną, filozoficzną i teologiczną dowodziły, iż dzieje i nauka Jezusa Chrystusa zaczerpnięte ze źródeł biblijnych i pozabiblijnych są zgodne z tym, co podaje Tradycja Kościoła. Nadto badanie owej Tradycji na poszczególnych etapach jej kształtowania się świadczy o historycznej wartości Objawienia, które jest źródłem wiary Kościoła. Argumentacja teologiczna w konferencjach Henryka Pinarda de la Boullaye wykazała ponadto z jednej strony, iż to Jezus jest Mesjaszem zapowiedzianym przez proroków, a z drugiej uznała w Jezusie Chrystusie niezawodnego proroka. Potwierdzeniem definitywnym powyższych stwierdzeń okazał się cud zmartwychwstania Jezusa, rozstrzygający o Jego bóstwie. Przekonanie to zostało dodatkowo uprawomocnione świadectwami Boga Ojca i umiłowanego ucznia, a także Jezusa o sobie samym.

Jakkolwiek w ciągu XX wieku nastąpił daleko idący rozwój badań teologii fundamentalnej dystansujący w wielu punktach metody apologetyczne stosowane przez uczonego jezuitę, stale aktualną pozostaje jego wezwanie do rozwijania kaznodziejstwa apologetycznego. Jest ono potrzebne w dyskusji ze współczesnym postmodernistycznym światem.



Henryk Pinard de la Boullaye SI

## Konferencja 5: Świadectwo Ojca

„*Hic est Filius meus dilectus, in quo mihi complacui* – Ten jest Syn mój miły, w którym upodobałem sobie” (Mt 3, 17).

Eminencjo, Ekszelencje, Panowie!

Nikt z was nie może wątpić, że Boga obchodzi nasze postępowanie, że troską swą otacza cześć, jaką Mu oddajemy, kiedy ta cześć odpowiada Jego życzeniom. Należy wszakże przyznać, iż wielu ludzi wierzących wyprowadza z tych zasad wnioski dziwnie nielogiczne.

Niektórzy widzą dowód uznania Bożego w tym, że religia ich trwa od wieków. Zdają się nie myśleć o tym, że w takim razie nawet kultury bałwochwalcze, których początki gubią się w mrokach czasów, trzeba by uznać za prawowite. Zdają się nawet nie spostrzegać, że błędem jest mówić o długim trwaniu, skoro znaczne zmiany zniekształciły tymczasem wierzenia pierwotne: tak np. buddyzm, o którym słusznie można było powiedzieć, że zaczął od bezwzględnego ateizmu, uległ zalewowi wielobóstwa; podobnie i sekty chrześcijańskie, które początkowo niewiele różniły się od Kościoła katolickiego, dziś zachowują nieliczne zaledwie okruchy ewangelii.

Inni znów mniemają, że religia ich cieszy się błogosławieństwem Boga dlatego, że w krótkim czasie zdobyła niezliczonych wyznawców.

A przecież – o czym nigdy nie wolno zapominać – czyż nie ta właśnie nauka, która za mniejszą cenę obiecuje zbawienie, zwykła spotykać na swej drodze sympatie liczniejsze i żywsze? Czyż pewne ułatwienia w moralności i dogmacie nie wymagają mniej czasu, niż rzetelne reformy? Namietności można w jednej chwili rozpętać; ale by je ujarzmić, ileż na to potrzeba walki i wysiłków!

Otóż, Panowie, powierzchowny rzut oka mógłby wywołać wrażenie, że również apologeci i doktorowie katolickiego Kościoła podobnemu ulegli złudzeniu. Bo czy nie oni to twierdzili, że szybkość z jaką wiara chrześcijańska rozpowszechniła się na świecie, jest rękomią prawdy? Czyż szukając dowodu jasnego i krótkiego, który by nie pozwolił wątpić o bóstwie Chrystusa, nie odważyli się mówić: „O boskości Jezusa świadczy nam fakt, że wystarczyły trzy wieki, ażeby usunąć bałwany pogańskie i cały świat grecko-rzymski nawrócić na jego wiarę” (m.in. Klemens Aleksandryjski, Orygenes, Atanazy, Jan Chryzostom).

W gruncie rzeczy dowód to bardzo słuszny i wobec tego wielce przydatny do potwierdzenia wniosków, do jakich dotychczas doszliśmy. Podejmujemy go więc na nasz rachunek.

Trzech warunków potrzeba, ażeby mógł on przekonać umysły bardziej wymagające. Trzeba było, ażeby zwycięstwo chrześcijaństwa odbyło się z szybkością zadziwiającą; w istocie ta szybkość nie była nigdy, ani nie mogła być podana w wątpliwość. Ponadto bóstwo Jezusa musiało być wysunięte na pierwszy plan nowej wiary; i ten warunek ustaliły już mocno trzy nasze pierwsze konferencje. Nieodzowne jest wreszcie, ażeby powodzenie chrześcijaństwa nie dało się wytłumaczyć bez wyjątkowej zgoda pomocy Niebios: tego rodzaju pomoc jest równoznaczna z uznaniem; jeśli więc miała miejsce, Jezus prawdziwie jest Bogiem.

Dostrzegacie zapewne, Panowie, gdzie jest kulminacyjny punkt naszego zagadnienia. Racjonalisci utrzymują, że triumf Kościoła nie przedstawia w sobie nic nadzwyczajnego; apologeci są wprost przeciwnego zdania. Kto więc ma słuszność?

Ażeby się wypowiedzieć z jak największą roztropnością, zbadamy naprzód przeszkody, jakie chrześcijaństwo musiało pokonać – następnie zasoby, jakimi mogło rozporządzać – wreszcie przymioty, jakie posiadało z własnej swej istoty... Przeszkody były przerażające, zasoby najoczywiczniej niedostateczne; co się tyczy czynników zapewniających powodzenie, zobaczycie, do jakich to one odsyłają nas źródła.

## 1. Przeszkody zewnętrzne

Jezus powierzył uczniom misję nawrócenia świata (Mt 18, 19). Osądźcie, jakie musiało być ich przerażenie, kiedy zostawszy sami, ujrzeli trudności swego zadania! Gdyby wielobóstwo zarysowało się przed nimi jako ów posąg olbrzymi, o których mówi prorok Daniel (Dn 2, 1-45), mogliby w żarliwości swej wiary pomyśleć: „Kolos zdaje się być ze złota, srebra, żelaza i spiżu, wszakże niektóre przynajmniej jego części są zapewne pomieszane z gliną. Szukajmy zatem części słabych; powoli skruszymy go na kawałki! Połączmy nasze wysiłki; z czasem zdołamy go z pewnością ruszyć; a potem być może zwalimy go w całości z jego podstawy! Do dzieła więc dla miłości Chrystusa!”. Niestety, podobne złudzenie nie było możliwe! Były bowiem w każdym kraju całe lasy świątyń, które należało zburzyć, świątyń zbudowanych na skale, bronionych wiarą ludów i potęgą władców.

Wyjaśnijmy nasze stanowisko. Śmieszne byłoby utrzymywać, iż poganie byli tak przywiązani do swych mitologii, jak przywiązani do swych dogmatów chrześcijaństwo z przekonania. Paganie przecież pozostawili całkowitą swobodę poetom i kapłanom wprowadzania zmian w tych legendach. W wielu też wypadkach już sam zdrowy rozum musiał budzić podejrzenia co do wartości opowiadań, nawet jeśli by nie wiedzieli, ilu to ich filozofów okrywało je drwinami. Przynajmniej jednak wierzyli w swych bogów. Jeszcze więcej jest pewne, że przywiązani byli do swych obrzędów. Przyczyną tu była ich pycha narodowa i wychowanie o tyle drażliwsze i bardziej uporczywe, że opierały się raczej na uczuciu, niż na rozumowych podstawach.

Kulty narodowe szczególnie w Egipcie, w Grecji i w Rzymie korzystały z blasków wysokiej cywilizacji. Wspaniałość ich budowli, która dziś jeszcze napędza nas podziwem i uroczystości pełne przepychu, w których udział brali wszyscy obywatele, bez wątpienia silnie działały na wyobraźnię. Bogi zdawały się być wielkie, kiedy je oglądano w takiej okazałości. Zdawały się być czcigodne, skoro tak długie wieki uświęcały ich obrzędy. Sama ich starożytność była w pewnej mierze dowodem prawowitości, a raczej ponieważ to, co sumienie religijne pojmuje prawie spontanicznie (istnienie bytów nadprzyrodzonych i potęgi najwyższej), kojarzyło się z nawykami myśli i z praktykami czasów niepamiętnych, nic dziwnego, że tradycja przodków stawała się w całej swej treści, szczególnie dla mas ludowych, prawdą nietykalną i niepodlegającą dyskusji.

I musiała za taką uchodzić tym bardziej w oczach pogan, że religia przenikała całe życie prywatne i społeczne. Nie podejmowano wojen bez porady bogów, nie święcono zwycięstw bez dziękczynień, nie obchodzono rocznic narodowych bez uroczystości szczególnych. Każde ognisko domowe miało również swoje obrzędy dla uczczenia przodków; żywi zaś marzyli o zachowaniu ich ciągłości dla własnego pożytku, kiedy sami odejdą ze świata. Stąd przeto te dwa uczucia, tak głęboko zakorzenione w sercu człowieka: miłość kraju i miłość rodziców, tak ściśle złączyły się ze starym zwyczajem, że porzucenie tych obrzędów musiało uchodzić za niewierność wobec rodziny i państwa, niewierność, która mogła przecież ściągnąć na winowajców zemstę umarłych i odwet bogów.

W okresie zbliżania się i początków ery chrześcijańskiej ściśle zjednoczenie religii i lojalności politycznej pogłębiło się jeszcze przez wprowadzenie czci Rzymu i kultu panujących. Jakże nie uważać za wrogów dobra powszechnego, za buntowników lub co najmniej za podejrzanych tych, co nie chcieli oddawać czci takim bóstwom? W każdym razie było to naturalne, że zabobonne tłumy, że kapłani, kupcy i artyści zainteresowani w utrzymaniu politeizmu, zwracali się o pomoc do posiadaczy władzy. Kiedy królowie i cesarze zostali ubóstwieni, wystarczyło im powiedzieć: „Patrzcie, oto ludzie, którzy nie chcą składać ofiar na waszych ołtarzach”, ażeby wywołać prześladowanie chrześcijaństwa.

Otóż, co mogli tym kultom tak silnie utwierdzonym przeciwstawić wysłańcy ewangelii? Religię sięgającą co prawda poprzez judaizm aż do początków ludzkości, ale też dzielącą niepopULARNOŚĆ Żydów, zresztą przez nich znienawidzoną i wzgardzoną; religię, która pozornie wczoraj zaledwie na świat przybyła, pozbawioną świątyń, ograniczającą się do najprostszej liturgii, a zwłaszcza praktykowaną przez najprostsze warstwy; religię, która jakby na domiar szyderstwa, za przedmiot czci stawiała przed oczy wyznawców galilejskiego robotnika, ukrzyżowanego pomiędzy dwoma zbrodniarzami; religię, którą jednak wysuwała roszczenia niesłychane: daleka od żądania dla siebie jakiegoś tylko skromnego miejsca pod słońcem, jak to czyniły jej współzawodniczki świeżo przybyłe z Galii, Frygii, Tracji, Persji lub Egiptu, ośmieliła się ona potępić wszystkie inne i zapowiedzieć bliską ich zagładę. Nie byłże to środek najpewniejszy, ażeby je wszystkie sprzymierzyć przeciw sobie?

Lecz nie przestawajmy, Panowie, na tych powierzchownych rozważaniach. Nie był to ani kolos jedyny, ani nawet las świątyń, które chrześcijaństwo musiało obalić, ażeby na świecie już oczyszczonym rozblęsnąć mógł promieniami krzyż Chrystusowy. W istocie tyle było bożyszcz, ilu pogan do nawrócenia.

Można powiedzieć, że każda dusza ludzka jest świątynią. Na ołtarzu króluje w niej bóstwo, którego ciało w mniejszej lub większej mierze przeżarte jest rozpustą, głowa pychą, a serce pragnieniem niezależności. To bożyszczce samotne zgodzi się z wszelkim mistycyzmem, który mu okazuje ponad nim najwyższego władcę, byleby jeno ten władca nie krępował jego swobody w zaspokajaniu popędów; owszem ono przyjmuje obietnicę jakiegoś doskonalszego szczęścia, byleby tylko nie musiało zrzec się tych korzyści, które może otrzymać natychmiast. Bożkiem tym jest „moje ja”. Otóż, religie starożytne, każda na swój sposób, wynalazły sobie formuły mistyczne, które dokładnie odpowiadały jego upodobaniom. Kult bogów w najmniejszej przeciwieństwie mierze nie wyłączał adoracji własnego „ja”. Chrześcijaństwo przeciwnie, głosiło wbrew wszystkim i przeciwko wszystkim: „Jeden jest tylko Bóg, którego imię jest: Wiekuistość, Wszchemoc, Świętość! Od ciała żąda czystości, od rozumu poddania się Jego słowu, od woli posłuszeństwa Jego prawom. Nikt nie może równocześnie dwom panom służyć: Jemu i sobie”.

Wielu uczonych traktuje tę rozbieżność kodeksów religijnych jako rzecz małej wagi. Zestawiając niektóre pojęcia oderwane pogan i chrześcijan, np. o jedności Boga, i niektóre praktyczne zasady na temat sprawiedliwości i miłości, sądzą, że na podstawie tych podobieństw mogą już oświadczyć: „Patrzcie! Po jednej i po drugiej stronie myślano jednakowo; nie było więc tak trudno dojść do porozumienia!” To jest właśnie, Panowie, co nazywać można złudzeniem papieru.

Wyobraźmy sobie człowieka, który siedząc przy stole, przegląda mapę. Widzi zaznaczone wąwozy i łożyska wód. „Ba, powiada, przeskoczyłbym je jednym susem!” – Przyjacielu, udaj się tam na miejsce! W chwili skoku inne bez wątpienia wrażenie odniesiesz. Choćby i odległość nie była w istocie zbyt znaczna, zapewne odwagi ci zabraknie!

Moralista i krytyk zaznaczają starannie podobieństwo nauki pogańskiej i chrześcijańskiej: „Można by bardzo łatwo przejść od jednej do drugiej!” – Lecz proszę, czy próbowałeś przejścia? Jeśli ci to kiedykolwiek przyjdzie do głowy, przekonasz się bez trudu, że różnice także coś znaczą!

W istocie rzeczy, ruch czy ewolucja pojęć tak bardzo przygotowały teren dla chrześcijaństwa, że pogaństwo, zanim zgodziło się na tolerancję, rozpętało przeciwko niemu aż siedem kolejnych prześladowań!

Lecz powiecie może: „Na ten argument można znaleźć odpowiedź. W jednym i tym samym społeczeństwie mogą współistnieć umysłowości dość rozbieżne. Ta, której marzeniem było zagasić krwią religię Chrystusa, nie powinna usuwać z pamięci innej, która chrześcijaństwu była przychylna i przygotowywała jego zwycięstwo!”

Gdzież to mają zamiar znaleźć ową drugą umysłowość, jeśli nie u filozofów, których przytacza się nam zdania „całkiem chrześcijańskie”? Chrześcijańskie? Tak, one zdają się być chrześcijańskimi na papierze. Ale zobaczcie „w terenie” tych, co je wygłosili! Cytuje się nam neopitagorejczyka Celzusa; ale zapomina się o tym, że ten człowiek wydał przeciwko uczniom Jezusa jeden z najjadowitszych pamfletów! Ze stoików cytują nam Senekę, Epikteta, Marka Aurelego; ale zapomina się o tym, że ten cesarz zarządził prześladowanie jedno z najwłaściwszych! Czy chcecie faktów bardziej jeszcze znamienitych? Pod niejednym względem neoplatoniści filozofowie najbardziej byli zbliżeni do chrześcijaństwa. Św. Augustyn wyraźnie się z tym godzi. Wyznaje nawet, że gdyby ich poznał dopiero po swoim nawróceniu, sądziłby, że mogą mu zapewnić to, co dawała mu wiara chrześcijańska. Otóż ta właśnie szkoła dostarczyła politeizmowi najzawziętszych zapaśników, Juliana odstępce, Hieroklesa i Porfiriusza. Poproście Porfiriusza o list, jaki wysłał do żony Marcelli. Przyjdzie wam pokusa sądzić, że pominiawszy kilka szczegółów, jest to list wychowawczy, napisany przez jakiegoś ucznia Jezusa. A jednak ten sam autor wydał książkę pełną nienawiści, której już sam tytuł da wam pojęcie o jej duchu: *Przeciwko chrześcijanom*. Zrozumcie fałsz, jaki rodzaj owe zestawienia tekstów wyrwanych z całości, oderwanych od zasadniczych dogmatów i od ogólnych dążeń, które dopiero określają ich znaczenie. Zrozumcie ponadto wyrachowanie świadome czy nieświadome owych pogan, o których nam się mówi, że stoją tak blisko ewangelii.

W chwili, kiedy się ma przesadzić przepaść, a serce ze strachu ustaje, wszystkie preteksty zdają się dobre, byleby uwalniały od obowiązku skakania. Podobnie się dzieje w chwili przejścia do religii, która wymaga rzetelnego rozbratu z kultem własnego „ja”. Wówczas wszystkie zarzuty wydają się słuszne; nawet niektóre ustępstwa nie są zbyt drogie. Innymi słowy, człowiek chętnie się zgadza podnieść znacznie poziom życia, byleby mógł uwolnić się od ofiar rozstrzygających, które jedynie stanowią o nawróceniu. Ostatni obrońcy wielobóstwa używali tej podwójnej taktyki: najpierw atak, który stara się uwydatnić wszelkie słuszne czy niesłuszne zarzuty, następnie ustępstwa. Cesarz Julian pokusił się o tę nowość zaprowadzenia w świątyniach pogańskich nauki moralności i usiłował nakłonić kapłanów do zajęcia się chorymi i ubogimi; Porfiriusz napisał list do Marcelli. Ażeby uwolnić dusze od obowiązku przyjęcia wiary chrześcijańskiej, usiłowali je nieco uchrześcijanić. Oprócz pojęć i przykazań, które przyjmowali, widzieli więc inne, które uważali za nieznośne. Jakież to? Wy je znacie równie dobrze, jak ja.

Dodajmy wreszcie: religia Chrystusowa, której zadaniem było usunięcie tych oporów tak zasadniczych, występowała niezwykle osłabiona przez współzawodnictwo sekt chrześcijańskich. Powstające stale, od pierwszych prawie czasów: w Samarii, Syrii, Judei, Egipcie i w Azji Mniejszej,

rozpraszały one uwagę pogan, gorszyły ich widowiskiem rozszczępień i zwodziły. Gdzież znaleźć prawdziwe chrześcijaństwo w tej pstrokaciźnie? Każdy odszczepieńczy zespół nie mógł dać innej odpowiedzi prócz tej jednej: „U nas”! Konieczność usprawiedliwienia swych roszczeń musiała je popchnąć do miotania oszczerstw na Kościół, z którym zerwały, i tym bardziej utrudnić rozpoznanie prawowitej dziedziczki Jezusa Chrystusa. A niektóre nawet przez bezwstyd, na który pozwalały, zohydzały imię chrześcijańskie. Czyż pojmujecie teraz rozpaczliwe skargi najżarliwszych apostołów: „Jakżeż, Panie! Czy więc to nie dość, że przesąd powszechny wkłada na nas odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia publiczne? Tyber zaleje kampanię rzymską, Nil nie użyźni równin Egiptu, zdarzyło się trzęsienie ziemi, przyszedł głód albo zaraza, a natychmiast rozlegają się głosy: chrześcijanie, lwom na pożarcie! Czy trzeba jeszcze, żeby gorszące obyczaje fałszywych braci zawstydzaly nas wobec pogan?”.

Czy sądzicie, Panowie, że szansę Wielkiego Kościoła i religii współzawodniczących były równe? Nie jestże to raczej zagadką, że dwunastu ludzi miało odwagę pójść na podbój świata; zagadką, że wytrwali, nawet kiedy pierwsze próby apostołstwa i pierwsze prześladowania dały im poznać, jakiego oporu mają się spodziewać; zagadką jeszcze, że ich następcy podejmowali ich obowiązki bez chwili wahania aż do chwili, gdy cesarz Konstantyn, wypisawszy imię Chrystusowe na swoim sztandarze, zezwolił wreszcie na swobodne wykonywanie kultu, którego rozwoju żadna przeszkoda nie zdołała powstrzymać? W przeddzień Zesłania Ducha Świętego cały Kościół mieścił się w Wieczerniku; w trzy wieki później jego wierni liczą się na tysiące po wszystkich krainach cesarstwa. Kościół obezwładnił bożyszczą narodów; zwycięstwo jego, jeśli jeszcze nie jest całkowite, jest już zapewnione.

Cytat za: H. Pinard de la Boullaye SI, Konferencja piąta: *Świadectwo Ojca*, cz. 1, [w:] tenże, *Jezus Syn Boży. Konferencje głoszone w Notre-Dame de Paris*, Warszawa 1948, s. 141-152.







Arcybiskup Fulton John Sheen  
(1895-1979)



# Mistrz kaznodziejstwa radiowego i telewizyjnego

Wankiecie na najbardziej wpływowego katolika XX wieku, przeprowadzonej przez amerykańskie media, czwarte miejsce – po papieżu Janie Pawle II, Matce Teresie z Kalkuty i Padre Pio – zajął Fulton John Sheen. Warto przyjrzeć się temu wielkiemu kaznodziei, który swoją działalnością unaoczniał, iż także we współczesnym świecie kaznodziejstwo może odegrać ważną rolę.

## Naukowiec

Fulton John Sheen urodził się w El Paso, w amerykańskim stanie Illinois, 8 maja 1895 roku. Był jednym z czterech synów Newtona Morrissa i Delii (Fulton) Sheen. Na chrzcie otrzymał imię Piotr, przy bierzmowaniu zaś obrał sobie imię Jan, a później przyjął nazwisko panieńskie matki. Gdy był jeszcze dzieckiem, jego rodzina przeniósła się do miejscowości Peoria, gdzie uczęszczał do szkoły katedralnej (Saint Mary's Cathedral School) i szkoły średniej (Spalding Institute), prowadzonej wtedy przez Braci Maryi (Brothers of Mary). Szkołę tę ukończył w 1913 roku. Już w czasie studiów w Saint Viator College w Bourbonnais, w stanie Illinois, Fulton John Sheen ujawnił wielki talent oratorski. Będąc bowiem członkiem zespołu dyskusyjnego przyczynił się znacznie do zwycięstwa swej szkoły nad uniwersytetem Notre-Dame. Należał też do zespołu redakcyjnego czasopisma uczelnianego *The Viatorian*, założonego w 1865 roku przez duchownych z Saint Viator.

Po ukończeniu studiów podstawowych i otrzymaniu pierwszego stopnia naukowego (*bakalaureus*) wraz ze swym kolegą szkolnym i przyjacielem z dzieciństwa, Charlesem A. Hartem, przyszłym profesorem filozofii w Catholic University of America w Waszyngtonie, wstąpił w 1917 roku do seminarium duchownego w Saint Paul w Minnesocie. Ukończył je otrzymując święcenia kapłańskie 20 września 1919 roku.

Po uzyskaniu licencjatu z teologii oraz bakalaureatu z prawa kanonicznego w Catholic University of America w Waszyngtonie, Sheen został wysłany w 1920 roku przez biskupa Peorii Edmunda M. Dunne'a, na dalsze studia do Katolickiego Uniwersytetu w Louvain, w Belgii. Tam też w 1923 roku uzyskał stopień doktora filozofii na podstawie rozprawy naukowej *God and Intelligence in Modern Philosophy (Bóg i rozum w filozofii nowożytnej)*. Praca ta, ze wstępem G. K. Chestertona, została wydana drukiem i otrzymała w 1925 roku prestiżową nagrodę im. kardynała Merciera. Sheen był pierwszym Amerykaninem, który zdobył tytuł *agrégé en philosophie* Uniwersytetu Lowańskiego. Dalsze jego studia na paryskiej Sorbonie i w rzymskim Collegium Angelicum

zaowocowały doktoratem z teologii w 1924 roku. Jako młody kapłan F. J. Sheen głosił przez pewien czas słowo Boże w Anglii, po czym w 1926 roku powrócił do swojej rodzinnej diecezji. Pełnił tam najpierw przez 8 miesięcy obowiązki wikariusza w kościele św. Patryka w Peorii, po czym poświęcił się pracy naukowej. W latach 1926-1950 wykładał teologię oraz filozofię religii w Catholic University of America w Waszyngtonie.

W 1950 roku F. J. Sheen został mianowany dyrektorem generalnym Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (*Society for the Propagation of the Faith*), z siedzibą w Nowym Jorku. Odkrył wtedy misyjne korzenie Żywego Różańca. Fulton J. Sheen propagując tę modlitwę pragnął, aby wszyscy chrześcijanie modlili się w intencjach całego Kościoła. Pomagać miał w tym różaniec, którego każdy dziesiątek zrobiony był w innym kolorze, symbolizującym inny kontynent.

## Kaznodzieja

Swoją karierę kaznodziei radiowego Fulton John Sheen rozpoczął w 1930 roku w cotygodniowym programie radiowym zatytułowanym *The Catholic Hour* (*Godzina katolicka*). Wielką sławę przyniosły mu także kazania głoszone w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku. Wiele z tych przemówień zostało później wydanych drukiem. W czerwcu 1951 roku w bazylice św. Jana w Rzymie F. J. Sheen przyjął sakrę biskupią zostając biskupem pomocniczym archidiecezji nowojorskiej. Jesienią tego samego roku rozpoczął program telewizyjny w sieci NBC pt. *Life is worth living* (*Życie jest warte przeżycia*). Audycja ta uczyniła go znanym na całym świecie. Każdego tygodnia oglądało go ponad 30 mln widzów.

Z biegiem lat Fulton John Sheen otrzymywał coraz liczniejsze wyróżnienia w formie nagród i stopni honorowych. W 1952 roku otrzymał nagrodę Emmy, rodzaj telewizyjnego Oscara. W latach 1951-1957 Sheen osiągnął szczyty popularności w świecie angielskojęzycznym. Jego biuro w Nowym Jorku otrzymywało codziennie ponad 10 tysięcy listów, a jego artykuły były publikowane każdego tygodnia w prasie katolickiej, w rubryce *God loves you* (*Bóg kocha cię*) i w prasie świeckiej, w dziale *Bishop Sheen speaks* (*Biskup Sheen mówi*).

„Powiedział mi kiedyś – wspomina jego przyjaciel J. T. Ellis – iż świadomie porzucił życie naukowe na rzecz kaznodziejstwa, gdyż niemożliwe było dlań połączenie tych dwóch dziedzin. Okazało się, że była to mądra decyzja, gdyż Sheen bez wątpienia posiadał niezwykle uzdolnienia do publicznego przemawiania, czego dowodem były tysięczne rzesze słuchaczy. W okresie jego największej popularności dosłownie niemal miliony zwały go błogosławionym za inspirację religijną, za rozpalanie nowej nadziei i duchowe ubogacenie, jakie wnosił w ich życie”.

Przed, w czasie i po Soborze Watykańskim II F. J. Sheen był członkiem różnych komisji przedprzygotowawczych, przygotowawczych i soborowych. Spośród biskupów amerykańskich wniósł on największy wkład w prace tych

komisji. W dowód uznania papież Paweł VI mianował go członkiem pierwszego posoborowego synodu biskupów. W 1966 roku pasterskiej pieczy bpa F. J. Sheena powierzono diecezję Rochester. Był tylko trzy lata jej ordynariuszem. W październiku 1969 roku, składając rezygnację z rządów w tej diecezji, żartował, iż czyni to nie tyle z powodu ukończenia 75 roku życia, ile z powodu radości, jaką napawa go złoty jubileusz kapłaństwa. Doceniając jego zasługi papież mianował go wówczas arcybiskupem tytularnym Newport. Prawie do samej śmierci Sheen był aktywnym konferencjonistą, osobowością telewizyjną i cenionym rekolekcjonistą. Zmarł w wieku 84 lat, 9 grudnia 1979 roku w Nowym Jorku, na skutek niewydolności serca, na które był operowany 2 lata wcześniej. Dwa miesiące przed śmiercią wielką radość sprawiło F. J. Sheenowi spotkanie z papieżem Janem Pawłem II w czasie jego pierwszej pielgrzymki do Stanów Zjednoczonych. Ojciec Święty witając w katedrze nowojorskiej słynnego kaznodzieję radiowego i telewizyjnego pogratulował mu dzieła oratorskiego i podziękował za wierność i oddanie Kościołowi.

### Mistrz kaznodziejstwa radiowego i telewizyjnego

Kaznodziejstwo F. J. Sheena kształtowało się w dużej mierze pod wpływem ulubionego pisarza angielskiego G. K. Chestertona (1874-1936). Naśladując go bp Rochester używał w każdej swej mowie stylu kontrastowego, tworząc niekiedy ową atmosferę sensacji, w pozytywnym sensie tego słowa, która charakteryzuje całą jego twórczość kaznodziejską i literacką. Od swego wielkiego admiratora zapożyczył polemiczny temperament, błyskotliwy dowcip, operowanie paradoksem, posługiwanie się formami groteskowo-fantastycznymi, ironią i satyrą. W swoich konferencjach potrafił się śmiać sam z siebie. Opowiadał jak to pewnego razu przyjechał do jakiegoś miasta, gdzie miał zanoć w hotelu. Ponieważ znał tylko nazwę hotelu, a nie wiedział na jakiej on się znajduje ulicy, zapytał przechodzącego chłopca o wskazanie adresu. Ten, zainteresowany dziwnym przechodniem, spytał go kim jest. F. J. Sheen odrzekł, że jest biskupem. Ale ta odpowiedź nic nie mówiła młodzieńcowi. Wobec tego kaznodzieja zaczął mu wyjaśniać: – „No, wiesz, biskup to jest taki przewodnik ludzi do nieba”. Chłopak szybko przerwał mu w słowach: „Chcesz być przewodnikiem ludzi do nieba, a do hotelu trafić nie umiesz? Kiepski z ciebie przewodnik”.

Twórczość Sheena można podzielić na 3 okresy: w pierwszym przewagę miało jego przygotowanie filozoficzne; w drugim akcentował bardziej aspekt psychologiczny problemów ludzkich i wreszcie w trzecim okresie przewagę miała tematyka biblijna. Nie oznacza to, że w którymś z tych okresów brakuje jakiegoś spośród tych 3 aspektów; zauważa się jedynie większy akcent położony na jednym z nich.

Już od lat trzydziestych XX wieku w swoich pogadankach radiowych F. J. Sheen omawiał kwestie istotne dla katolicyzmu i protestantyzmu. W jego kazaniach i przemówieniach znalazła odbicie nie tylko problematyka do-

gmaticzna, moralna, liturgiczna i dziedziny historii Kościoła. Widoczne są w nich także rozważania filozoficzne, psychologiczne, socjologiczne, wreszcie znajduje swe odbicie literatura piękna. F. Sheen głosił także wymowne i poruszające przemówienia dotyczące aktualnych problemów świata, m.in. ukazując zagrożenie ze strony komunizmu. Poruszał również problemy sprawiedliwości, wolności, miłości, pracy, modlitwy, cierpienia, małżeństwa, namiętności, kultury, przestępstw młodzieży i tym podobne. W swej twórczości Sheen głosił potrzebę optymizmu moralnego i afirmacji życia.

Piękny, żywy i pogładowy styl pogadarek Sheena oraz humor, który mu zawsze towarzyszył przed mikrofonami radiowymi i kamerami telewizyjnymi, wywoływały żywe zainteresowanie u wszystkich słuchaczy. Jego metoda głoszenia była raczej prosta, ale przy tym również skuteczna. Był przekonany, że audytorium przez pierwsze 5 minut jest zbyt rozproszone, by przyjąć głębokie przesłanie. Dlatego też zawsze rozpoczynał kazanie od krótkiego dowcipnego opowiadania lub epizodu, który mógł wszystkich zainteresować. Dopiero po takim wstępie przechodził do istoty swego przemówienia. Nie był nigdy rozwlekły. Jego wystąpienia zasadniczo nie przekraczały 30 minut, z wyjątkiem jakichś szczególnych okazji. Taką była trzygodzinna konferencja w Wielki Piątek.

Na czoło bowiem posłannictwa kaznodziejskiego F. J. Sheena wysuwał się dramat życia historycznego Jezusa, jako Zbawiciela świata, i tajemnica Jego krzyża. Głoszenie radosnej nowiny zbawienia ludzkości przez Chrystusa na krzyżu uważał biskup za najistotniejszą prawdę ewangeliczną dla współczesnego świata. Toteż swe przemówienia o historycznym Jezusie kontynuował on z roku na rok przez radio i telewizję amerykańską.

Publikacje autorstwa F. J. Sheena przekraczają liczbę 70 książek. W większości są to światowe bestsellery. W tej spuściźnie dominują zbiory kazań. Bp Sheen był też znany w Europie. Jego prace homiletyczne spotkać można w przekładach na języki: niemiecki, francuski, hiszpański i polski. Każda okazja była dobra, aby głosić orędzie Ewangelii. Często rezygnując z własnego odpoczynku F. J. Sheen przyjmował zaproszenia do wygłoszenia konferencji, prowadzenia rekolekcji, zwłaszcza dla kapłanów, a także do udziału w wydarzeniach pozornie świeckich, w czasie których poruszał różne aspekty życia społecznego swojego narodu i innych krajów języka angielskiego.

Wpływ Fultona Sheena był bezsprzecznie bardzo rozległy: od księży, zakonników i zakonnice, którym polecał swój zwyczaj codziennej, godzinnej modlitwy, aż po szerokie rzesze słuchaczy świeckich, zarówno katolików, jak i niekatolików, którym przybliżał religijne spojrzenie na życie i jego znaczenie. Sheen posługiwał się eleganckim, a jednocześnie zrozumiałym przez wszystkich językiem. Jego gorącym pragnieniem było zawsze zainteresowanie przesłaniem ewangelicznym jak największej liczby słuchaczy. Udało mu się dotrzeć do wierzących i niewierzących, do Żydów i protestantów. W kraju zdominowanym



przez protestantów audytorium Sheena obejmowało u szczytu jego popularności 40 proc. katolików, 30 proc. Żydów i 30 proc. protestantów.

Poruszał swoich słuchaczy nie tylko swym pięknym i ujmującym głosem, ale również dobrze przemyślaną i skomponowaną treścią. Wśród tych, którzy swe nawrócenie przypisywali słowu wielkiego kaznodziei, były postacie znane w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki, jak dziennikarz Heywood Brown, Clare Boothe Luce i inni. Tytuł nawróconych z różnych stanów społecznych pozwala zrozumieć, jak głęboko potrafił on wnikać w dusze swoich słuchaczy przekształcając ich egzystencję dzięki łasce Pana. Ta świadomość działania Bożego w duszy ludzkiej kazała Sheenowi na pytanie papieża Piusa XII: „Ilu nawróciłeś?”, odpowiedzieć: „Wasza Świętobliwość, nigdy ich nie liczyłem, aby nie narazić się na pokusę i nie powiedzieć że są moi”.

Treści dzieł i transmisji radiowo-telewizyjnych F. J. Sheena są głębokie, a zarazem interesujące. Wykształcenie filozoficzne zmuszało go do bycia zawitym jakby z natury, on jednak rozumiał potrzeby audytorium, do którego się zwracał. Zaslugą Sheena było umiejętne przedstawienie trudnych prawd wiary, tak że stawały się one zrozumiałe dla wszystkich. Kosztowało go to wiele pracy. Aby uczynić przystępnym to, co miał powiedzieć w ciągu 27 minut przekazu telewizyjnego, biskup opracowywał i doskonalił swoje przemówienie nieraz przez 23 godziny. Mimo to często był niezadowolony ze swego wystąpienia.

W przedmowie do zbioru swych pogadanek telewizyjnych pt. *Decyzja za Bogiem. Chrześcijanin dzisiejszy i jego świat* (wyd. niem. *Entscheidung für Gott*, Luzern 1957) F. J. Sheen zauważa, iż istnieje niewiele rzeczy, które czynią własne „ja” bardziej skromnym, niż słuchanie samego siebie w radio, czy też oglądanie się w filmie bądź w telewizji. Ujawniają się tam tysiące błędów, a z nimi niezliczone możliwości bardziej zrozumiałego przedstawienia tej samej idei i przybrania jej w lepszą formę. Słuchacze i widzowie przyjęli przychylnie te audycje telewizyjne nie tylko dlatego, iż były one na wysokim poziomie artystycznym, lecz także dlatego, że odpowiadały one ich rzeczywistej potrzebie. Ludzie posiadają większe pragnienie prawdy, niż to się na ogół przypuszcza. „Kto pragnie – wychwala wodę. Gdy jednak zaspokoi pragnienie, pożyda winą” – dodawał kaznodzieja.

\*

13 grudnia 1979 roku, podczas pogrzebu arcybiskupa Fultona Johna Sheena w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku, kaznodzieja przypomniał trzem tysiącom zebranych jego postać i dzieło. Stwierdził między innymi: „W Kościele i w naszym narodzie zgasnął głos, który nie znajdzie już odpowiednika za naszych dni”. Rzeczywiście głos F. J. Sheena był głosem jednego z największych mówców naszych czasów.

Papieżę XX wieku, Paweł VI (w adhortacji *Evangelii nuntiandi*, nr 41) i Jan Paweł II (w encyklice *Redemptoris missio*, nr 42), podkreślają, iż czło-

wiek współczesny bardziej wierzy świadkom aniżeli nauczycielom. Niewątpliwie abp Fulton John Sheen był nauczycielem i świadkiem, jednym i drugim w nieprzeciętnie wielkim stopniu. Dzięki prowadzonemu z niezwykłym mistrzostwem kaznodziejstwu radiowemu i telewizyjnemu dowiódł, iż świat środków przekazu może się stać „współczesnym areopagiem”, poprzez który Kościół może z powodzeniem głosić Ewangelię.

abp Fulton John Sheen

## *Drugie słowo z krzyża: „Dziś będziesz ze Mną w raju!”*

Istnieje legenda, że kiedy św. Józef i Najświętsza Panna uciekali z Bożą Dzieciną przed złością Heroda do Egiptu, zatrzymali się w pewnej gospodzie. Matka Boska poprosiła właścicielkę zajazdu o wodę, aby wykąpać swoje dzieciątko. Gospodyni zapytała wtenczas, czy może własne dziecko, chore na trąd, zanurzyć w tej samej wodzie, w której kąpał się Jezus. I natychmiast po kąpeli dziecko wyzdrowiało. Po latach zaś, gdy syn dorósł, stał się zbrodnią. Oto ten Dyzma, który wisi obecnie na krzyżu po prawej ręce Chrystusa.

Czy wspomnienie opowiadania słyszanego od matki przyszło teraz na myśl łotrowi i kazało mu przychylnie spojrzeć na Chrystusa, tego nie wiemy. Może pierwsze jego spotkanie ze Zbawicielem datuje się od chwili, kiedy usłyszał historię o pewnym podróżnym, który szedł z Jeruzalem do Jerycha i wpadł w ręce zbójców; może już wtedy serce łotra napełniało się skrucą? Możliwe także, że pierwsza świadomość, iż cierpi z Odkupicielem przyszła nań w chwili, gdy podniósł umęczoną głowę i przeczytał napis, głoszący Jego imię: „Jezus!” – Jego miasto: „Nazaret” – Jego zbrodnię: „Król żydowski!”. W każdym razie nagromadziła się dostateczna ilość materiału w duszy łotra, aby teraz, gdy padła nań iskierka z krzyża środkowego, wywołać wspaniałą pożar wiary. Widzi tylko krzyż, a wielbi tron, widzi skazańca, a wzywa Króla: „Panie wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do Królestwa Twego!”. Nareszcie Chrystus został wyznany!

Wśród wrzawy szalejącego motłochu i okropnego zgrzytu grzechu, w całym tym szale buntu człowieka w stosunku do Boga, żaden głos się nie podniósł, aby chwalić i uznać Pana, prócz głosu tego przestępca. Był to krzyk wiary w Tego, którego wszyscy się zaparli. Wyznanie – ale tylko łotra!

Gdyby wskrzeszony syn wdowy z Nain wyrzekł jakieś słowo, że wierzy w Królestwo Tego, który traci je pozornie, gdyby wyznał Go Piotr, który na Górze Przemienienia widział Oblicze Chrystusa jaśniejące jako słońce, a szaty Jego białe jako śnieg, gdyby ślepy z Jerycha, którego oczy zostały otwarte na światło Boże otwarły się teraz ponownie i usta głosiły Bóstwo Jezusa, nie dziwilibyśmy się temu. Gdyby bowiem ktoś z nich przemówił, może opamiętaliby się nieśmiali uczniowie i przyjaciele Chrystusa, może nawet uczeni i faryzeusze by uwierzyli!

Ale w tej chwili, kiedy śmierć zawisała nad Zbawcą, kiedy zagładała Mu w oczy, tylko jeden, poza małą gromadką u stóp krzyża, uznał Go jako Pana Królestwa i Wodza dusz, a tym jednym był łotr po prawej ręce Chrystusa. I w tym momencie, kiedy świadectwo łotra zostało złożone, Zbawiciel odniósł największe zwycięstwo. Tracił życie, zbawiając dusze. Tego więc dnia, kiedy Herod i cały jego dwór nie mógł Go nakłonić do przemówienia, ani cała potęga Jerozolimy nie mogła Go zmusić, by zstąpił z krzyża, ani niesprawiedliwe oskarżenie nie sprawiło, żeby przerwał milczenie, ani tłum wołający: „Innych wybawiał, niechże sam siebie wybawi”, nie zdołał wydobyć z piekących warg żadnej repliki – tego dnia Chrystus zwraca się do gasnącego życia obok siebie, przemawia i zbawia łotra: „Dziś będziesz ze mną w raju!”. Nikt dotąd nie usłyszał takiej obietnicy, ani Mojżesz, ani Jan, ani Magdalena, ani Maryja. Była to ostatnia modlitwa łotra. Może i jego pierwsza. Zakolał raz, poszukał raz, poprosił raz, odważył się na wszystko i – znalazł wszystko!

Gdy duchem jesteśmy z Janem na Patmos, widzimy niebiańską armię biało odzianą, jadącą ze zwycięskim Chrystusem; gdy stoimy z Łukaszem na Kalwarii, widzimy tego, który idzie pierw-

szy w tej procesji świętych. Chrystus, który był ubogim, umarł bogatym. Dłonie miał przybite do krzyża, a jednak otwierał wrota raju i zdobywał dusze. Eskortę Jego do nieba stanowił łotr. Możemy twierdzić, że łotr umarł złodziejem, bo ukradł raj!

Jakież na świecie może być większe zapewnienie miłosierdzia Bożego? Zgubiona owca, marnotrawny syn, załamana Magdalena, pokutujący Piotr, oczyszczony łotr! Oto różaniec boskiego przebaczenia i odpuszczenia.

Bogu więcej zależy na zbawieniu nas, aniżeli nam samym.

Mówią, że Zbawiciel pokazał się raz św. Hieronimowi i zapytał go, co chce mu dać? Św. Hieronim odpowiedział, że da swoje pisma, a na to usłyszał odpowiedź Chrystusa, że to za mało! Cóż Ci dam więc, Panie? Życie moje pełne pokuty i umartwień? – I to za mało, rzekł Jezus. – Cóż więcej mam do oddania? – zawołał Hieronim. – Możesz mi dać swoje grzechy – odparł Chrystus.

Drogi Jezu! Twoja dobroć względem pokutującego łotra przypomina prorocze słowa Starego Testamentu: „Chociaż grzechy twoje są jak szkarłat, nad śnieg wybieleją”. Odpuszczenie łotrowi tłumaczy mi także znaczenie innych Twoich słów: „Nie przyszedłem dla sprawiedliwych, ale dla grzeszników!”. „Zdrowi nie potrzebują lekarza, ale źle się mający!”. „Większa będzie radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika, aniżeli z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych!”. Rozumiem teraz, że Piotr dopiero gdy upadł trzykrotnie, został Twoim zastępcą na ziemi, a to dlatego, aby Kościół, którego był głową, zrozumiał na zawsze odpuszczenie i przebaczenie. Jezu, widzę, że gdybym był nigdy nie zgrzeszył, nie mógłbym nigdy nazwać Ciebie Zbawicielem. Łotr nie jest jedynym grzesznikiem. Oto jestem tutaj i ja. Ale Ty jesteś jedynym Zbawcą!

Cytat za: F. J. Sheen, *Siedem słów z krzyża*, Warszawa 1947, s. 7-8.



Ksiądz Noël Quesson  
(1923-2002)





# Kaznodzieja z Angers

Jednym z tych, którzy na obszarze języka francuskiego propagowali zalecenia Soboru Watykańskiego II odnośnie do przepowiadania homilijnego, był Noël Quesson. Zanim zostanie przedstawiona koncepcja jego kaznodziejstwa należy wpieryw poznać główne linie jego *curriculum vitae*, jego formację teologiczną oraz dorobek kaznodziejski.

## *La douceur angevine*

Poeta francuski Joachim du Bellay († 1560) wychwala w swej twórczości krainę Anjou. Szlachetność ludzi łączy się tu z pięknem przyrody, miłym klimatem, dorodnymi owocami pól i winnic, błękitem nieba rozjaśnionym promieniami słońca. Wszystko to tworzy *la douceur angevine*. To właśnie w tym regionie żył i pracował Noël Maria Leonard Quesson.

Urodził się on 17 grudnia 1923 roku w Saint Laurent de la Plaine. Miał sześcioro rodzeństwa, z którego jedna z siostr została karmelitanką. Szkołę podstawową ukończył w 1935 roku. W tym czasie aktywnie uczestniczył w życiu parafialnym: był ministrantem oraz członkiem chóru. Następnym etapem w życiu młodego Noëla Quessonona była nauka w Niższym Seminarium Duchownym w Beaupréau. Po jego ukończeniu w 1943 roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Angers.

W 1948 roku Noël Quesson otrzymał święcenia kapłańskie. Początkowo pracował w Kolegium Katolickim dla chłopców w Saumur (*Collège Catholique à Saumur*). Uczył tam języka francuskiego, łaciny, greki oraz dwa razy w tygodniu prowadził lekcje katechezy. Po 10 latach pracy został profesorem Kolegium Katolickiego dla dziewcząt w Angers. Następnie ks. Quesson pełnił funkcję katechety w parafii Saint-Laud w Angers. W 1961 roku został mianowany kapelanem Akcji Katolickiej w Angers, a wkrótce potem w Paryżu.

W lipcu 1969 roku został proboszczem katedry S. Maurice w Angers. Widząc ogromną potrzebę pogłębienia usłyszanego w czasie niedzielnej Eucharystii słowa Bożego Noël Quesson pisał rozważania na temat niedzielnych Ewangelii, kopiował je i wręczał wiernym przychodzącym do tego prestiżowego, dwunastowiecznego kościoła. Z czasem zostały one zebrane i wydane w formie książkowej. W 1982 roku ks. Noël Quesson został dyrektorem Diecezjalnego Centrum Duchowości (*Le Centre Diocésain de Spiritualité*). We wrześniu 1983 roku wyjechał do Jerozolimy, gdzie był kapelanem i wykładowcą homiletyki w Domu Abrahama (*Maison d'Abraham à Jérusalem*). W początkach 1985 roku został mianowany wikariuszem w parafii Notre-Dame w Beaupréau. Od 1998 aż do swej śmierci w 2002 roku przebywał w domu dla księży emerytów w Angers.

## Dorobek kaznodziejski

Noël Quesson od wielu lat głosił homilie, nie tylko w niedziele, ale także i w dni powszednie. Proklamowane orędzie zbawcze łączył zawsze z modlitwą. Każdą Eucharystię poprzedzał godzinnym rozmyśleniem. Wygłaszana w czasie mszy świętej homilia stawała się częścią jego modlitwy. Stopniowo utrwałała się jego sława jako wybitnego „sługi słowa Bożego” (por. Łk 1, 2), a jego książki tłumaczone na hiszpański i angielski ukazywały się w Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, Ameryce Łacińskiej i Indiach.

Na dorobek kaznodziejski Noëla Quessaona składają się homilie i medytacje do tekstów biblijnych zawartych w lekcjonarzu niedziel i dni powszednich całego roku liturgicznego. Homilie Noëla Quessaona zawarte są przede wszystkim w trzech tomach zatytułowanych: *Les entretiens du dimanche. Brèves conversations sur l'évangile de chaque dimanche (Rozmowy niedzielne. Krótkie konwersacje na temat Ewangelii każdej niedzieli)* na rok A, B i C. Powstanie tych homilii wiąże się z zaproszeniem, jakie Noël Quesson otrzymał od lokalnej stacji radiowej. Pracując jako wikariusz w Beaupréau, został poproszony o wygłoszenie każdej niedzieli krótkiej homilii zawierającej kwintesencję Ewangelii. Te teksty, odpowiednio dopracowane, zostały później wydane drukiem. Homilie te są osnute na samej tylko niedzielnej Ewangelii.

Drugą grupę opublikowanych homilii N. Quessaona stanowią teksty, zamieszczone w czasopiśmie diecezjalnym „La Semaine Religieuse d'Angers”, w latach 1989-2000. Redagując je francuski homileta odpowiadał na prośby wielu kapłanów, proszących by przyszedł im z pomocą w przygotowaniu niedzielnej homilii.

Jeśli chodzi o medytacje nad słowem Bożym zawartym w lekcjonarzu na poszczególne niedziele i dni powszednie, to ich początki – jak wspomniano wyżej – wiążą się z posługą N. Quessaona w katedrze w Angers. Opracowywane przez wiele lat rozważania biblijne wydawał on sukcesywnie drukiem pod wspólnym tytułem: *Parole de Dieu pour chaque jour (Słowo Boże na każdy dzień)*, bądź: *Parole de Dieu pour chaque dimanche (Słowo Boże na każdą niedzielę)*, roku A, B i C, bądź też *50 Psaumes pour tous les jours (50 Psalmów na wszystkie dni)*. Autor podkreśla, że celem tych medytacji było przyjście z pomocą wiernym w ich osobistej modlitwie.

Kaznodziejski dorobek Noëla Quessaona nie doczekał się jak dotąd większych opracowań czy też analiz naukowych i to nie tylko w Polsce, ale również w jego ojczyzynie. Wciąż jednak wznawiane są jego homilie i medytacje nad słowem Bożym. Świadczy to o ich wielkiej wartości i nieprzeciętności ich autora.

## Umiłowanie Pisma Świętego

Kaznodziejstwo Noëla Quessaona jest głęboko zakorzenione w Biblii i z niej czerpie swą treść. Owo zwrócenie się ku Pismu Świętemu i uczyńnienie z niego

głównego tworzywa kaznodziejskiego zawdzięcza Noël Quesson dwom czynnikom, a mianowicie gorącemu, osobistemu umiłowaniu Biblii oraz przemianom, jakie przyniósł Sobór Watykański II.

Gorące umiłowanie Biblii kaznodzieja z Angers zawdzięcza w dużej mierze ks. prof. André Feuilletowi, wybitnemu dwudziestowiecznemu bibliście francuskiemu, wieloletniemu wykładowcy w Wydziale Teologicznym Instytutu Katolickiego w Paryżu (1952-1973). Ten wybitny specjalista w dziedzinie egzegezy jest autorem cennych studiów z zakresu biblistyki, takich jak: *Le Cantique des cantiques. Étude de théologie biblique et réflexion sur une méthode d'exégèse* (1953), *Le mystère de l'amour divin dans la théologie johannique* (1972) oraz *Christologie paulinienne et tradition biblique* (1973). Do Biblii Jerozolimskiej przetłumaczył także Księgę Jonasza. W latach 1937-1947 André Feuillet był także wykładowcą Starego i Nowego Testamentu w Wyższym Seminarium Duchownym w Angers. Wtedy to doszło do spotkania z Noëlem Quessonem, przygotowującym się w tej uczelni do kapłaństwa. Profesor A. Feuillet wywarł niezatarty ślad na formacji intelektualnej młodego kleryka. Po latach Noël Quesson wspominał o tym w wykładzie wygłoszonym do alumnów Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu, 28 kwietnia 1992 roku: „Gdy uczestniczyliśmy w jego wykładach byliśmy podobni do tych uczniów, którzy szli do Emaus, gdyż nasze serca były tak pełne żaru”.

Zapoczątkowane przez A. Feuilleta umiłowanie Pisma Świętego zostało później utrwalone w Quessonie przez dwuletnie studia biblijne w Jerozolimie. Pobyt w Ziemi Świętej pozwolił mu nie tylko zgłębić swoją wiedzę, ale zetknąć się z bogactwem, różnorodnością i złożonością palestyńskiej kultury. Wszystko to znalazło wyraz w jego kaznodziejstwie. W homilii na święto Chrztu Pańskiego roku A, pt. *Celui-ci est mon Fils bien-aimé, en Lui j'ai mis tout mon amour...* [To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie...], kaznodzieja z Angers nawiązał do tego pobytu. Opisując ukryte życie Jezusa w Nazarecie stwierdza, że podczas swego dwuletniego pobytu w Palestynie, dwa dni każdego miesiąca spędzał w Nazarecie. Wtedy to właśnie odkrył, że trzydzieści lat ukrytego życia Jezusa nie były czasem niepotrzebnym. Jak każdy gorliwy Żyd, Jezus zgłębiał Pisma, zabierał głos w synagodze, przygotowywał się, aby „wypełnić to co sprawiedliwe”.

W czasie pobytu w Jerozolimie Noël Quesson zapoznał się również z historią i geografią biblijną. W późniejszej swojej twórczości homiletycznej będzie on często nawiązywał do zdobytych wówczas doświadczeń. Będą one pomocne do szerszego zobrazowania słuchaczom omawianych wydarzeń biblijnych oraz usytuowania ich w konkretnym kontekście geograficzno-historycznym.

Drugim ważnym czynnikiem mającym doniosły wpływ na biblijny charakter kaznodziejstwa Noëla Quessona był Sobór Watykański II. Dowartościowując rolę i znaczenie Biblii w Kościele wskazał on na homilię jako podstawową formę wśród innych sposobów proklamacji słowa Bożego (KO 24, KL

52). Dokumenty *Vaticanum II* wywarły ogromny wpływ na twórczość kaznodziejską Noëla Quessaona i skłoniły go do propagowania homilii, w której – zgodnie z adhortacją *Evangelii nuntiandi* papieża Pawła VI – widział „ważne i sprawne narzędzie w prowadzeniu ewangelizacji” (nr 43).

Te dwa elementy, a więc umiłowanie Pisma Świętego i przemiany soborowe, w dużej mierze rzutowały na charakter przepowiadania Noëla Quessaona. Nie był on teoretykiem kaznodziejstwa. Nie wydał żadnych większych rozpraw na temat homilii. Był on przede wszystkim praktykiem, kaznodzieją, który do roku 2000 głosił i publikował teksty homilii. Spotkały się one z ogromnym zainteresowaniem i są nadal szeroko rozpowszechnione nie tylko we Francji. Jedną z podstaw tego sukcesu jest właśnie ich głęboko biblijny charakter.

Noël Quesson podkreślał, że Biblia jest źródłem naszego poznania Boga. To właśnie z jej kart dowiadujemy się nie tylko o istnieniu Boga, ale również o Jego przymiotach i oczekiwaniach w stosunku do człowieka. Pismo Święte jest także miejscem spotkania objawiającego się Boga z człowiekiem. To Bóg pozwalając się poznać człowiekowi, kieruje do niego swoje zbawcze orędzie.

### Cztery myśli na niedzielę

Proklamacja orędzia zbawczego w homiliach Noëla Quessaona ma swoje źródło w perykopach biblijnych przeznaczonych na daną niedzielę. Autor ściśle trzymał się tej zasady w całej swojej twórczości homiletycznej. Stół słowa Bożego każdej niedzieli zastawiony jest perykopami zaczerpniętymi z czterech ksiąg Pisma Świętego. Pierwsze czytanie, z wyjątkiem okresu wielkanocnego, jak też komentujący je psalm, wzięte są ze Starego Testamentu. Drugie czytanie pochodzi z Nowego Testamentu. Całość wieńczy proklamacja Ewangelii. W wielu homiliach Noël Quesson starał się ująć przesłanie wszystkich czterech tekstów, nie wyłączając psalmu. W jego dorobku kaznodziejskim są również homilie oparte wyłącznie na orędziu Ewangelii.

Wyjaśniając wszystkie cztery teksty biblijne składające się na niedzielną czy świąteczną liturgię słowa Noël Quesson starał się wprawdzie dokładnie rozpoznać, co stanowi zasadniczą myśl czytań mszalnych. By to osiągnąć, stosował zasadę jedności obu Testamentów. Jako biblista pamiętał, że Stary Testament zmierza ku Chrystusowi i w nim się wypełnia. Pragnąc więc wydobyć z tekstów czytań niedzielnych główne orędzie, dokonywał analizy wszystkich czterech perykop. Jest to szczególnie widoczne w homiliach publikowanych na łamach „*La Semaine Religieuse d'Angers*”, w których cytował fragmenty zarówno ze Starego, jak i Nowego Testamentu. Natomiast w tych homiliach, w których głównym źródłem i przedmiotem rozważań jest Ewangelia, Noël Quesson często odwoływał się do tekstów starotestamentowych. Uwzględniał także miejsca paralelne Ewangelii.

W poszukiwaniu myśli przewodniej w poszczególnych tekstach Pisma Świętego przypadających na daną niedzielę, kaznodzieja ten korzystał z ich sche-

matu treściowego. Posoborowy układ czytań biblijnych zawiera bowiem pewną synchronizację. I tak np. w niedziele adwentu, wielkiego postu i w święta uroczyste, wszystkie trzy czytania zawierają jeden motyw treściowy. Myśl biblijna rozwija się w nich na zasadzie: starotestamentowa zapowiedź (czytanie I), realizacja tej zapowiedzi w życiu Chrystusa (czytanie III) i aktualizacja Chrystusowych wydarzeń zbawczych w życiu pierwotnego Kościoła (czytanie II). W okresie paschalnym zaś, kiedy pierwsze czytanie zaczerpnięte jest z Dziejów Apostolskich, rozwijany jest głównie drugi i trzeci ze wspomnianych elementów, aczkolwiek w przytaczanych tam przemówieniach apostoelskich często jawią się wspomnienia obietnic starotestamentowych. Natomiast w niedziele okresu zwykłego w ciągu roku zsynchronizowane jest jedynie pierwsze czytanie z Ewangelią. W takim układzie czytanie pierwsze stanowi zapowiedź lub antytezę wydarzenia z życia Chrystusa, bądź głoszonej przezeń prawdy.

Większość homilii Noëla Quesson oparta jest na wzajemnej korelacji przesłania czterech niedzielnych perykop biblijnych. Kaznodzieja z Angers uważa bowiem, że niedzielny i świąteczny stół słowa Bożego zastawiony jest nie trzema (jak przyjęło się mówić), lecz czterema tekstami biblijnymi. Autor dowartościowuje w ten sposób Księgę Psalmów. Podkreśla i przypomina, iż jest to jedyna księga Pisma Świętego obecna każdego dnia w liturgii słowa. Nawet Ewangelie się zmieniają. Niestety, Księga Psalmów często bywa niezauważona przez kaznodziejów.

Dowartościowując rolę psalmu w homilii Noël Quesson traktował go na równi z innymi czytaniem mszalnymi. Kaznodzieja z Angers podkreśla, że Księga Psalmów jest częścią Biblii, a więc jest słowem Bożym. Spisana pod natchnieniem Boga, stanowi odzwierciedlenie ludzkich pytań, radości i niepokojów, buntów i niewierności. Świadectwa ewangelistów wskazują, że sam Jezus znał psalmy, śpiewał je oraz dostrzegał w nich zapowiedzi mesjańskie (por. Łk 22, 44. 46). Ich dowartościowanie w liturgii nastąpiło w ramach reformy przeprowadzonej przez Sobór Watykański II. W wyniku tych zmian w trzyletnim cyklu czytań występuje 80 psalmów. We wszystkich okresach roku liturgicznego psalm responsoryjny został tak dobrany, aby rozwijał myśl pierwszej lektury lub był pomocą do odnalezienia idei przewodniej wszystkich tekstów biblijnych. Pełni on także funkcję łącznika pomiędzy Starym a Nowym Testamentem. Oprócz tego psalm w homilii wypracowanej przez Noëla Quesson spełniał jeszcze jedną funkcję: podsumowywał orędzie trzech czytań biblijnych wchodzących w skład liturgii słowa. Był on więc swoistym *résumé* analizowanych perykop, uzupełniał je o własne widzenie danej kwestii lub też podawał konkretne sposoby jego aktualizacji. Wyprowadzając swe homilie z czterech tekstów biblijnych niedzielnej liturgii słowa Noël Quesson przeprowadzał przez ten zestaw jakby złotą nić, wydobywając bogactwo Bożego słowa i konfrontując je z życiem współczesnego człowieka.

Uwzględniając synchronizację czytań biblijnych wchodzących w skład liturgii słowa i czyniąc ją podstawą swoich homilii, Noël Quesson akceptował i rozwijał



w praktyce zalecenia Vaticanum II. Jednakże w poszukiwaniu myśli przewodniej niedzielnych czytań, a zarazem głównego tematu niedzielnych homilii, autor ten nie trzymał się jednego, raz przyjętego schematu. Stosował własny dobór i kolejność cytowanych tekstów przypadających na daną niedzielę. Dążenie do uchwycenia wspólnego przesłania niedzielnych perykop biblijnych sprawiało, że kaznodzieja z Angers nie stosował sztywnego schematu. W wielu przypadkach zaczynał on swoje homilie od analizy Ewangelii lub pierwszego czytania (Stary Testament), listów apostoelskich (drugie czytanie), bądź też orędzia psalmu, by w dalszym etapie dokonać już indywidualnego doboru tekstów.

Usilna troska, z jaką Noël Quesson starał się odnaleźć myśl przewodnią czytań biblijnych wchodzących w skład liturgii słowa wynikała również i z tego, że w proklamacji orędzia zbawczego jedno czytanie komentuje i pogłębia zrozumienie następnego. Kaznodzieja z Angers wykorzystywał tę metodę w przepowiadaniu słowa Bożego. Kaznodzieja spełnia w tym przypadku rolę narzędzia, umiejętnie dobierającego czytania, wyjaśniającego zawarte w nich orędzie i odnoszącego je do życiowej sytuacji słuchaczy. Wzajemna korelacja poszczególnych perykop biblijnych owocuje konkretnym przesłaniem. Niemniej autor uwzględniając cztery teksty biblijne liturgii słowa i komentując jednym fragmentem inny daje słuchaczom „cztery myśli na niedzielę”. Tak też brzmi tytuł polskiego wydania homilii Noëla Quessaona.

### Interpretator tekstu biblijnego

W swojej posłudze kaznodziejskiej Noël Quesson starał się spełnić wskazania współczesnego Kościoła na temat Pisma Świętego. Napisane pod natchnieniem Ducha Świętego, zawiera ono w sobie zbawcze słowa i czyny, skierowane do człowieka. Mając Boga za autora jest autentycznym słowem Bożym (KK 104). Zostało jednak przedstawione przez autorów natchnionych w odpowiedniej dla ówczesnego stanu kultury szacie językowej. Oprócz tego zostało ono zdeterminowane wieloma okolicznościami, takimi jak język, styl, sposób wyrażania przez autorów swoich myśli, a także środowiskiem, w którym powstawały poszczególne księgi Pisma Świętego.

Noël Quesson był tego świadom. Sam czytał biegle Pismo Święte w języku greckim, wykazywał się także dobrą znajomością języka hebrajskiego. W ten sposób, odpowiednio przygotowany, przystępował do tekstu natchnionego, by odczytać zawarte w nim autentyczne słowo Boże. Wykorzystując znajomość języków biblijnych Noël Quesson przybliżał wiernym oryginalne brzmienie istotnych słów i wyrażeń biblijnych. Chciał w ten sposób ukazać słuchaczom głębię tego przesłania. Mówiąc o świętości Boga w homilii na VII niedzielę zwykłą roku A, pt. *La sainteté de Dieu, c'est l'amour absolu. La sainteté de l'homme, c'est d'aimer jusqu'à ses ennemis* (Świętość Boga jest absolutna. Świętość człowieka – to kochać nieprzyjaciół) odwoływał się do hebrajskiego znaczenia tego słowa. „Trze-



ba wiedzieć – stwierdza – że słowo «święty», «ofiarowany» w języku hebrajskim tłumaczy się jednym słowem «Qadosh». Jest to znana aklamacja, którą śpiewamy w każdej mszy świętej w jedności z głosem serafinów jaśniejących w obliczu Boga: „Święty, Święty, Święty Pan Bóg Wszechmogący” (Iz 6, 2).

Świadomy, iż imię w Biblii jest kluczem do rozpoznania ukrytych tajemnic, N. Quesson tłumaczył w homilii na święto narodzenia Jana Chrzciciela znaczenie imion osób występujących w perykopie Ewangelii (Łk 1, 57-66. 88). „Elżbieta, pochodzi od «Eli-shaba» i znaczy po hebrajsku: Bóg przyrzekł. Zachariasz, pochodzi od «Zakar-Yah», znaczy: Bóg pamięta. Jan, pochodzi od «Yo-hanan», znaczy, Jahwe okazał łaskę”.

Autor *Les entretiens du dimanche* wykazywał się w opracowywanych przez siebie homiliach znajomością geografii i historii biblijnej oraz uwarunkowań kulturowych danej epoki. Omawiając wydarzenia zbawcze opatrywał je niekiedy krótkim komentarzem historyczno-geograficznym, pragnąc w ten sposób umiejscowić je w określonej sytuacji lub dać słuchaczom szersze spojrzenie na omawiane kwestie. W homilii na III niedzielę zwykłą roku A, pt. *Je vous ferai sauveurs d'hommes* [Uczynię was zbawcami ludzi], autor rysuje sytuację społeczno-kulturową, w jakiej przyszło Jezusowi rozpocząć swoją publiczną działalność. Ewangelista Mateusz mówi nam, że „prowincja, którą Jezus uczyni swoją parafią”, to pogańska Galilea. Jezus opuszcza Nazaret, który był bez wątpienia maleńką osadą ludzi praktykujących, na rzecz Kafarnaum, miasta granicznego, przez które przechodziły karawany. Było to miejsce handlu drogimi towarami ze Wschodu, które potem morską drogą transportowano do wielu portów Morza Śródziemnego w całym Imperium Rzymskim. W tym właśnie mieście widział mieszankę wielu ras, religii i pogaństwa. Podając te informacje kaznodzieja z Angers pragnął ukazać słuchaczom okoliczności, w jakich przyszło Jezusowi głosić Dobrą Nowinę. W tym kontekście bardziej zrozumiałym się staje, dlaczego pierwsze wystąpienie Mistrza z Nazaretu rozpoczyna wezwanie do nawrócenia.

W kaznodziejskiej posłudze słowa N. Quesson uwzględnił również literackie zasady interpretacji tekstów biblijnych. Ich stosowanie pozwala bowiem dotrzeć do właściwego sensu Pisma Świętego. Wśród nich ważne miejsce zajmują gatunki literackie. Uwzględnienie ich stanowi nieodzowny warunek poprawnej interpretacji tekstów biblijnych. Analiza homilii N. Quesson potwierdza obecność tej zasady w jego twórczości. Widoczne jest to chociażby w homilii na I niedzielę wielkiego postu roku B, *Il n'est pas le Dieu des morts, mais des vivants* [Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych]. Jej wiodącym tematem są dzieje przymierza Boga z ludźmi. Tematem pierwszego czytania (Rdz 9, 8-15) jest obraz potopu. Komentując ten opis Księgi Rodzaju, autor stwierdza: „W celu ukazania rozległości katastrofy, która sieje śmierć, Pismo Święte, wykorzystując starożytnie legendy, mówi o kataklizmie potopu, który spowodował zniszczenie wszelkiego życia. Autor używa języka an-

tropomorficznego, mówiąc wprost, że Bóg poczuł wstręt do ludzkiego grzechu, do tego stopnia, że żałował iż stworzył ludzi” (Rdz 6, 8-11). Kaznodzieja wyjaśniając opis potopu podkreśla, że jest to rodzaj legendarnego opowiadania. Zostało ono wykorzystane przez redaktora biblijnego w celu przedstawienia zbawczych treści. Oto Bóg od początku świata umiłował całe stworzenie i zawarł z nim przymierze życia. Bóg zresztą już od samego początku objawia się jako Bóg życia. Grzech pierworodny spowodował łańcuch zniszczenia i śmierci. Obrazem tego jest właśnie tragedia potopu.

Te i inne przykłady homilii świadczą, że Noël Quesson poprzez analizę zwrotów, pojęć oraz imion biblijnych pragnął przedstawić słuchaczom istotne treści orędzia zbawczego. Nie było w tym nic z chęci popisania się swoją erudycją. Autor wzorem talmudystów oraz ojców Kościoła, zwracając uwagę na istotne szczegóły danej perykopy biblijnej, szukał tam przede wszystkim pokarmu duchowego, by móc nim karmić zgłodniałych słowa Bożego.

### Kontynuator żydowskich tradycji interpretacji tekstu biblijnego

Kilkakrotne pobyty na sesjach biblijnych oraz dwuletnie studia, jakie Noël Quesson odbył w Jerozolimie, zaowocowały pogłębieniem jego wiedzy biblijnej. Miało to duży wpływ na charakter jego posługi słowa. Oprócz tego kaznodzieja z Angers zetknął się tam z żydowskimi tradycjami interpretacji Pisma Świętego Starego Testamentu.

W interpretacji orędzia zbawczego Noël Quesson korzystał z wyjaśnień Talmudu. Przykładowo, w homilii na III niedzielę wielkiego postu, roku B, *Que ta volonté soit faite (Bądź wola Twoja!)* kaznodzieja z Angers, komentując fragment Księgi Wyjścia (Wj 20, 1-17) mówiący o zawarciu przymierza na Synaju, odwoływał się do wyjaśnień Talmudu. Dotyczy to „przymierza miłości”, wyrażonego w trzech pierwszych przykazaniach dekalogu i opatrzonego zastrzeżeniem, że Bóg karze występki do czwartego pokolenia, zaś łaskę okazuje do tysięcznego tym, którzy Go miłują (Wj 20, 1-6). Autor homilii stwierdza: „Komentarze tradycji żydowskiej interpretują taki tekst w sposób bardzo pozytywny: Bóg ma urazę do trzech lub czterech pokoleń, ponieważ serce nie może się zablżyć przez zamknięcie oczu na skutek nienawiści... ale czułość miłości odwzajemnia się do tysiąca pokoleń. To znaczy, że jest dwieście razy więcej konsekwencji pozytywnych”. Przytaczając komentarz Talmudu N. Quesson pragnął wskazać słuchaczom, że język dekalogu, pomimo pozornej ostrości, jest językiem miłości. Bóg ofiaruje człowiekowi swoją przyjaźń i miłość. W zamian oczekuje tego samego. Mimo iż przymierze opatrzone jest sankcjami kary do czwartego pokolenia, to jednak łaska Boża wobec tych, którzy Go miłują, wielokrotnie przewyższa negatywne skutki niewierności.

Oprócz korzystania z Talmudu w wyjaśnianiu tekstów biblijnych, Noël Quesson odwoływał się również do dorobku i metody egzegezy biblijnej rabiego

Chelomo ben Itzhaka, zwanego Raszim. Jest on nazywany księciem komentatorów Biblii, a zwłaszcza Tory. Urodził się w 1040 roku w Troyes, we Francji. W młodości uczęszczał do szkoły talmudycznej w Wormacji, a następnie w Moguncji. W wieku dwudziestu pięciu lat powrócił do rodzinnego Troyes i założył tam słynną szkołę biblijną. Ostatnie lata życia Rasziego naznaczone były głębokim smutkiem z powodu pogromów Żydów nad brzegami Renu w czasie pierwszej krucjaty. Przygnieciony chorobą oraz osobistymi troskami umarł w Troyes w 1105 roku. Cała egzystencja Rasziego to przede wszystkim studiowanie i nauczanie Tory oraz wprowadzanie jej znajomości w swoje życie. Najważniejsze jego dzieła to komentarze do Talmudu i Biblii.

Z twórczością rabiego Chelomo ben Itzhaka Noël Quesson zetknął się w czasie swojego pobytu w Jerozolimie. Tam właśnie odkrył on sposób podejścia do Pisma Świętego polegający na komentowaniu go zdanie po zdaniu. Tego rodzaju komentarz tradycyjnie stosował Talmud żydowski, zaś jednym z najważniejszych takich komentarzy do Biblii jest właśnie komentarz autorstwa Rasziego. Od dziewięciu wieków – jak mówi Noël Quesson – nauka Chelomo ben Itzhaka jest każdego szabatu chętnie studiowana przez religijnych Żydów. Komentarze tego wielkiego rabiego tłumaczą słowo po słowie, zdanie po zdaniu, każdy szczegół świętych ksiąg. Komentarz Rasziego jest więc przepojony ogromną troską o jak najwierniejsze oddanie pełnego sensu Pisma Świętego.

Powyzsza metoda egzegetyczna znalazła swoje odzwierciedlenie w twórczości Noël Quesson, który posługiwał się nią przede wszystkim w komentarzach do czytań mszalnych. Doskonale ilustruje to tom *Parole de Dieu pour chaque dimanche (Słowo Boże na każdą niedzielę)* oraz cykl medytacji na każdy dzień *Parole de Dieu pour chaque jour (Słowo Boże na każdy dzień)*. Biorąc w nich za podstawę tekst Ewangelii na daną niedzielę lub dzień, opatrywał on każde zdanie niezbędnym komentarzem. Słowa Pisma Świętego zostały przytoczone niemalże w całości. Komentarze zaś są pewnym dodatkiem dla lepszego zrozumienia Ewangelii i zasugerowania pewnych ścieżek jej urzeczywistnienia czy też modlitwy.

Wpływy metody rabiego Chelomo ben Itzhaka zauważalne są także w homiliach niedzielnych N. Quesson. W niektórych z nich odszedł on od zasady „czterech myśli na niedzielę” na rzecz egzegezy samej Ewangelii. Nie czynił tego dosłownie zdanie po zdaniu. Znając specyfikę homilii, słowem komentarza opatrywał jedynie główne przesłanie Ewangelii. Doskonałym zobrazowaniem tego jest homilia na Boże Narodzenie roku A, pt. *Le peuple qui marchait dans les ténèbres a vu se lever une grande lumière...* (*Naród kroczący w ciemnościach, ujrzał światłość wielką...*). Jej analiza pozwoli bliżej przyjrzeć się tej kwestii. Na samym początku kaznodzieja z Angers wyjaśnia słuchaczom, że Boże Narodzenie jest to święto światła. Jest nim Jezus Chrystus, prawdziwy *Sol Invictus* – słońce zwyciężające ciemności. Z tej to racji Kościół wybrał dzień 25 grudnia – zimowe zrównanie dnia z nocą – jako datę Jego narodzin. Aby zro-

zrozumieć sens tego wydarzenia, Noël Quesson zachęca słuchaczy do głębszej refleksji nad ewangelijną perykopą zbudowaną z trzech równych części.

Pierwszy etap obejmuje wiersze 1-8 z drugiego rozdziału Łukaszej Ewangelii. Autor homilii tytułuje je: *Dans un monde de ténèbres...* [*W świecie ciemności...*]. Komentując ewangeliczny opis kaznodzieja z Angers wskazuje słuchaczom, iż czas, w którym przyszło narodzić się Zbawicielowi, nie był wcale przyjazny. Kraj znajdował się pod okupacją rzymską. Ludności narzucono spis, który pociągał za sobą dużo niedogodności oraz konieczność żmudnej wędrówki do miejsca pochodzenia. Był to także trudny okres dla narodzin dziecka młodego małżeństwa Maryi i Józefa. Brak miejsca w gospodzie sprawił, że musieli się oni zadowolić żłobem i słomą. W tym kontekście Noël Quesson ukazuje analogię pomiędzy światem z czasów narodzenia Jezusa a współczesnymi trudnymi sytuacjami ludzkimi.

W drugim etapie homilii Noël Quesson poddaje analizie wiersze 9-14. Mówią one o pasterzach przebywających w polu i o obwieszczeniu im przez anioła Pańskiego radosnej nowiny o narodzeniu Mesjasza. Kaznodzieja wyraźnie uwypukla ten fragment Ewangelii. Mówi, że bez tych sześciu wierszy, opowiadanie o Bożym Narodzeniu byłoby niezrozumiałe. Gdyby je bowiem usunięto z Ewangelii, wówczas trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego to dziecko urodzone w stajni, porusza dzisiaj, ponad dwadzieścia wieków później, miliony ludzi. Cała zaś cudowność tego wydarzenia (aniołowie, światło na niebie, wizje i niebiańska muzyka) jest po to, aby „krzyczeć do nas: Uwaga! Uwaga! Nie pomylcie się, to dziecko na słomie, owinięte w pieluszki – znak raczej «nędzny» – to Zbawiciel, Mesjasz, Pan”. Znak aniołów i światła służy więc podkreśleniu tego najważniejszego faktu, że Bóg daje nam swego Syna, aby wyprowadzić ludzkość z ciemności śmierci.

Trzecia część omawianego fragmentu Ewangelii (wiersze 15-20) zawiera w sobie opis pobytu pasterzy w szopie betlejemskiej. Autor homilii zwraca uwagę słuchaczy na fakt, że opowiadanie Ewangelii w sposób realistyczny schodzi na ziemię. Nie ma już tu żadnych cudowności. Rozpoczyna się czas wiary. Dobra Nowina o nowo narodzonym Zbawicielu zaczyna krażyć z ust do ust. Mimo tak wielkiej wymowy tego wydarzenia, wielu ludzi wcale nie wie lub nie rozumie sensu przesłania, że Bóg jest miłością i przyszedł po to, by na ziemi zapalić światła miłości.

W powyższej homilii i w wielu innych widoczne są te cechy, na które szczególnie kładł nacisk rabbi Chelomo ben Itzhak: troska o jasność i prostotę wyjaśnienia oraz wierność tekstowi Pisma Świętego. Cechy te, przyjęte przez Noëla Quessona sprawiają, że słowo Boże proklamowane w ramach homilii staje się bardziej zrozumiałe dla wiernych.

Pismo Święte odgrywa bardzo ważną rolę w posłudze słowa Noëla Quessaona. Jest ono podstawą i głównym twórczym homilii tego wybitnego kaznodziei francuskiego XX wieku. Odnosi się on do Biblii ze szczególnym pietyzmem, gdyż zawiera ona orędzie Boże – zbawcze słowa i czyny samego Boga, skierowane do człowieka. Z tego też powodu stara się on z przypadających na daną niedzielę perykop biblijnych wydobyć i przekazać słuchaczom Boże przesłanie. Francuski kaznodzieja wykorzystuje do tego wszystkie cztery teksty biblijne liturgii słowa, łącznie z psalmem. Uwzględniając jedność obu Testamentów i posoborowy układ czytań, jednym fragmentem komentuje drugi; wynikające zaś z tego wnioski aplikuje do życiowych sytuacji słuchaczy. Warunkiem skutecznego przepowiadania słowa Bożego jest bowiem nie tylko zrozumienie orędzia biblijnego, ale również dobre poznanie odbiorcy tego przekazu. Człowiek jest dla siebie nieustannym pytaniem: „Kim jestem? Skąd przybyłem? Dokąd zmierzam?”. Wychodząc naprzeciw temu zapotrzebowaniu Noël Quessaon poświęcał wiele uwagi słuchaczowi i jego egzystencjalnym pytaniom. Tak jak pragnął tego Sobór Watykański II, umiejętnie łączył w homilijnym przepowiadaniu wierność Bogu z wiernością człowiekowi.

ks. Noël Quesson

## *Barka Szymona-Piotra*

*Homilia na V niedzielę zwykłą roku C (Łk 5, 1-11)*

Ta rybacka barka sprzed dwudziestu wieków, przycumowana w małej zatoczce maleńkiego jeziora Imperium Rzymskiego, nie jest zwyczajną barką. Dokonała się na niej zadziwiająca historia.

### Barka Słowa

Zamiast służyć tylko do łowienia ryb, została użyta przez pewnego człowieka imieniem Jezus za... trybunę do przemawiania. Dzisiaj powiedziano by, że została użyta jako system nagłaśniający, jako głośnik! „Wszedłszy do jednej z łodzi, która należała do Szymona, poprosił go, żeby nieco odbił od brzegu. Potem usiadł i z łodzi nauczał tłumy”, które cisnęły się wokół Niego, by słuchać Bożego Słowa. Jezus mówi. Tłumy siedzące na brzegu słuchają. Ale Łukasz mówi, że słuchały Słowa Bożego. Tylko tego! I dorzuca, że właściciel tej barki, o imieniu Szymon, rzucił się w przygodę „nowego połowu” na Słowo Jezusa, który mu powiedział: „Wy płyn na głębię i zarzuć sieci na połów”.

Nie przez przypadek pierwsze czytanie mówiło nam o zupełnie wyjątkowym powołaniu proroka Izajasza jako rzecznika Boga, obdarzonego jednakże ustami zupełnie ludzkimi, nawet grzesznymi. Jest to okazja do przypomnienia sobie, że jednym z podstawowych zadań Kościoła jest głoszenie słowa Bożego. Kościół, każdego dnia, poprzez katechezę, a szczególnie w niedzielę, poprzez homilie staje się „barką Szymona-Piotra”, z której są głoszone myśl i słowo Jezusa, tak jak tamtego dnia na jeziorze Tyberiadzkim.

### Barka Szymona-Piotra?

Jezus wybrał ją spośród innych, będących w tym samym porcie. Szymon przeżywał jeszcze nieudany połów – „całą noc pracowaliśmy i niceśmy nie ułowili”. Odważył się jednak uwierzyć słowu Jezusa, który mówił mu, by znów rozpoczął połów, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. I oto wśród ogromnego tłumu słuchaczy, Jezus wybrał dwunastu mężczyzn... Spośród nich zaś wybrał Szymona, centralną postać tej sceny, pięć razy nazwaną swoim imieniem na jednej tylko stronie Pisma Świętego.

To wydarzenie daje nam okazję do przypomnienia sobie, jaką rolę spełnia kapłaństwo służebne w Kościele. Kapłan nie jest szefem, ani zwierzchnikiem w hierarchii, ani głównym dyrektorem przedsiębiorstwa. Jest to ktoś, kto otrzymał misję reprezentowania Jezusa, by mówić w Jego Imieniu, jest znakiem Jezusa. Spośród tłumu uczniów, to właśnie Piotr otrzyma później misję „utwierdzenia braci w wierze”. Czy nie mamy dzisiaj niebezpiecznej tendencji do dewaluacji homilii, sakramentów, widząc w kapłanie za bardzo człowieka, a zbyt mało „Tego, którego on reprezentuje”? W liturgii, na przykład, kapłan-celebrans nie tylko jest przewodniczącym spotkania lub odpowiedzialnym za grupę, lub animatorem, ani nawet głównym aktorem w swojego rodzaju teatrze... ani jeszcze delegowanym w imieniu Zgromadzenia. Jest wśród nas jako Jezus we własnej osobie. Jest „sakramentem”, „znakiem” tego, że nie zdobywamy sami łaski Boga, że nie odkrywamy słowa Bożego, ale że otrzymujemy je od Kogoś, od samego Jezusa. Stąd szczególne



szaty liturgiczne, stąd ceremoniał, który kapłan musi przyjąć, a nie wymyślać go według własnego gustu, stąd święte i tajemnicze słowa, które wypowiada w imię Jezusa: „To jest Ciało Moje”.

Wielka tajemnica Kościoła, „barka Szymona-Piotra”, tak bardzo ludzka, a jednak Boża! Szczególnie powołanie! Ta biedna barka, z pewnością łamana w wielu miejscach dla usunięcia awarii... Jezus wszedł do niej i z niej przemawiał!

## Barka niemożliwości

Łukasz kładzie nacisk na wyjątkowy charakter tego nadludzkiego połowu. Sieci się rwą! Przywołuje się sąsiednie barki, napętnia się je! Niebezpiecznie się zanurzają! Piotr zapamięta to sobie na całe życie: tam, na jego własnym polu zawodowym, tam gdzie czuł się kompetentny, Jezus pokazał mu jego ludzkie ograniczenia. Tego dnia dowiedział się, że bez Jezusa jest niczym.

I my dzisiaj jesteśmy zaproszeni do „zarzucenia sieci” tam, gdzie wydaje się, że niczego nie można złowić. Wiara, to właśnie to: zaryzykować, uwierzyć Słowu Jezusa... posuwać się ku niemożliwości... zaufać... zaryzykować szalony gest, który proponuje Jezus: „Bierzcie i jedzcie, to jest ciało Moje... pójście za Mną, a uczynię was rybakami ludzi”. Tak, jesteśmy zaproszeni do porzucenia postawy: tu się nic nie da zrobić... Bo mówi Bóg: „Jestem Panem tego, co wydaje się niemożliwe”.

Kościół nie jest tylko ludzkim stowarzyszeniem, instytucją. Został niewątpliwie założony przez Jezusa. Dzisiaj, wielu ludzi jest skłonnych powiedzieć: „Jezus – tak... Kościół – nie...”. Co robię, by pokochać Jezusa i Kościół? Aby uczynić go piękniejszym, wierniejszym Ewangelii?

Cytat za: N. Quesson, *Homilie od Adwentu do Wielkiego Postu*, Warszawa 1991, s. 89-90.



# Zakończenie

Podjmując lekturę tej książki Czytelnik spotkał się z dwudziestoma pięcioma wielkimi mówcami Kościoła, od św. Jana Chryzostoma i św. Augustyna z Hippony poprzez kaznodziejów średniowiecza i czasów nowożytnych, aż do wielkich mistrzów ambony dwudziestowiecznej. Przed jego oczami, niczym w niepowtarzalnym korowodzie historii, przesunęła się cała plejada znakomości: biskupów, kapłanów diecezjalnych i zakonników złączonych jedną troską, aby „słowo Pańskie rozszerzało się i rozsławiało” (2 Tes 3, 1).

Stworzona w starożytnej Grecji sztuka publicznego mówienia, rozwinięta przez autorów rzymskich i dostosowana do wymogów chrześcijaństwa przez ojców Kościoła, przede wszystkim przez św. Augustyna, rozkwitła zwłaszcza w dojrzałym średniowieczu, głównie dzięki powstaniu uniwersytetów oraz powołaniu do życia przez Kościół zakonów mendykantkich, przygotowujących braci do pracy duszpasterskiej, której ważnym elementem stało się mówione słowo. Technika perswazji i jej narzędzia – nakaz, groźba, anegdota, żart i budowanie wizji odmiennej, choć zakorzenionej w rzeczywistości, nadawało dyskursowi kaznodziejskiemu cechy wysoce funkcjonalne, podporządkowane dydaktyce, mające na celu utrwalanie systemu wartości, nauczanie podstaw etyki praktycznej i aprobowanego kanonu społecznych zachowań.

Charyzmatyczni mówcy towarzyszyli rozwojowi Kościoła od najdawniejszych czasów, przenikając światłem Ewangelii rzeczywistość ziemską i wyjaśniając słuchaczom prawdy nieznane, niezrozumiałe lub niedostępne. W kulturze chrześcijańskiej postać kaznodziei zajęła miejsce uprzywilejowane, a jego funkcja wykracza często poza rolę nauczyciela. Wielki mówca – niezależnie od epoki – miał znaczny wpływ nie tylko na duchowy rozwój swoich słuchaczy: niczym Savonarola dyktował rozwiązania o dalekosiężnych skutkach społecznych, niczym św. Jan z Avili pocieszał i doradzał, niczym św. Wawrzyniec z Brindisi pomagał w rozwiązywaniu konfliktów, niczym św. Jan Vianney budził sumienia słuchaczy.

Spotkanie z wybitnymi mówcami Kościoła powszechnego dowiodło prawdy zawartej w podręcznikach retoryki, które wyróżniały 3 warunki dobrego oratora: wrodzony talent (*ingenium*), znajomość sztuki (*ars*) oraz wprawę, osiąganą dzięki częstej praktyce (*exercitatio*). Unaoczniała się jeszcze jedna sprawa, o której pisał już św. Jan od Krzyża: „Jeśli chodzi o kaznodziejów, to powinni oni wiedzieć, że kaznodziejstwo jest pracą więcej duchową niż słowną... Chociaż bowiem kazanie wygłasza się słowem na zewnątrz, to jednak jego siła i skuteczność pochodzi z wewnętrznego ducha”.

Kończąc spotkanie z 25 wielkimi mówcami Kościoła powszechnego należy życzyć, by w ich ślady wstępowały współczesne pokolenia kaznodziejów. By dokonało się to, o czym pisał papież Paweł VI w adhortacji *Evangelii nuntiandi*: „Oby świat współczesny, który szuka już to w trwodze, już w nadziei, przyjmował Ewangelię nie od głosicieli zgnębionych, lub bojaźliwych, ale od sług Ewangelii, których życie jaśniałoby zapałem, od tych co pierwsi zaczerpnęli swą radość od Chrystusa i nie wahają się poświęcić życia, byle tylko głosić Królestwo i zaszczepiać Kościół w sercu świata” (EN 80).

# Wskazówki bibliograficzne\*

## Ogólne

G. Longhaye, *La prédication. Grandes maîtres et grands lois*, Paris 1927<sup>4</sup>; A. Zawart, *The History of Franciscan Preaching and of Franciscan Preachers 1209-1927*, New York 1927; L. Génicot, *Les lignes de faite du Moyen-Âge*, Paris 1952 (*Powstaje nowy świat*, Warszawa 1964); M. Rzeszewski, *Kaznodziejstwo*, Warszawa 1957; J. B. Schneyer, *Geschichte der katholischen Predigt*, Freiburg 1969; W. Schütz, *Geschichte der christlichen Predigt*, Berlin-New York 1972; M. Zink, *La prédication en langue romane avant 1300*, Paris 1975; J. Longère, *La prédication médiévale*, Paris 1983; *Predigten der Barockzeit: Texte und Kommentar*, in Zusammenarbeit mit Heinrich Kabas und Roswitha Woytek hrsg. und durch Zeugnisse zur Predigt in der deutschen Literatur vom 18. zum 20. Jahrhundert erg. von Werner Welzig, Wien 1995; *Dizionario di omiletica*, a cura di M. Sodi, A. M. Triacca, Torino-Bergamo 1998; K. Panuś, *Zarys historii kaznodziejstwa w Kościele katolickim*, cz. 1: *Kaznodziejstwo w Kościele Powszechnym*, Kraków 1999; *Zarys historii kaznodziejstwa w Kościele katolickim*, cz. 2: *Kaznodziejstwo w Polsce*, t. 1: *Od średnio-wieczia do baroku*, Kraków 2001, t. 2: *Od oświecenia do XX wieku*, Kraków 2001.

## św. Jan Chryzostom

Kazania: *Wykład Ewangelii św. Mateusza w 90 homiliach* zawarty, przekł. J. Krystyniacki, t. 1-3, Lwów 1903; *Homilie na Ewangelię według św. Mateusza*, cz. 1: *Homilie 1-40*, cz. 2: *Homilie 41-90*, przekł. J. Krystyniacki, uwspółcześnienie tekstu A. Baron, E. Buszewicz, Kraków 2000; *Homilie i kazania wybrane*, Warszawa 1999.

Opracowania: S. Skimina, *De Ioannis Chrysostomi rhythmo oratorio*, Cracoviae 1927; W. Kosiński, *Św. Jan Chryzostom*, „Przegląd Homiletyczny” 10 (1932), s. 161-173, 249-254; W. Kania, *Ideał mówcy kościelnego według św. Jana Chryzostoma*, „Ateneum Ka-

---

\* Przy każdym kaznodziei, bezpośrednio po nazwisku, podano tylko polskie tłumaczenia (o ile takie istnieją) wydanych drukiem kazań i innych tekstów oratorskich danego mówcy.

płańskie” 47 (1947), s. 113-131, 225-240, 329-339; B. H. Vandenberghe, *S. Jean Chrysostome et la parole de Dieu*, Paris 1961; L. Brottier, *Le prédicateur, émule du prophète ou rival de l'acteur? Jean Chrysostome: un pasteur déchiré entre ses auditeurs et son Dieu*, „Connaissance des Pères de l'Église” 74 (1999), s. 2-19; F. Drączkowski, *Jan Chryzostom*, [w:] *Encyklopedia katolicka*, t. 7, Lublin 1997, s. 766-769; J. N. D. Kelly, *Złota usta. Jan Chryzostom – asceta, kaznodzieja, biskup*, Bydgoszcz 2001.

## św. Augustyn

Kazania: *Wybór mów: kazania święteczne i okolicznościowe*, tłum. J. Jaworski, Warszawa 1973; *Homilie na ewangelie i pierwszy list św. Jana*, tłum. W. Szoldrski, W. Kania, Warszawa 1977; *Objaśnienia Psalmów*, tłum. J. Sulowski, Warszawa 1986. Tłumaczenia kazań i mów św. Augustyna były także publikowane w: *Starożytne teksty chrześcijańskie*, t. 1: *Kazania i homilie na święta Pańskie i Maryjne*, red. L. Małunowiczówna, Lublin 1976, oraz w: „Vox Patrum” i w: „Currenda”.

Opracowania: M.-F. Berrouard, *Saint Augustin et le ministère de la prédication. Le thème des anges qui montent et qui descendent*, „Recherches Augustiniennes” 2 (1962), s. 447-501; A. Hamman, *Portrety Ojców Kościoła*, Warszawa 1978, s. 193-203; W. Eborowicz, *Funkcja modlitwy w homiliach św. Augustyna*, „Tarnowskie Studia Teologiczne” 8 (1981), s. 197-199; J.-P. Bouhot, *Introduction*, [w:] *Les plus beaux sermons de saint Augustin*, réunis et traduits par G. Humeau, t. 1, Paris 1986, s. VII-XXXII; A. Trapé, *Święty Augustyn*, Warszawa 1987; P. P. Verbraken, *Lire aujourd'hui les sermons de saint Augustin*, „Nouvelle revue théologique” 109 (1987), s. 829-839; E. Staniek, *Sekrety dobrego kaznodziejstwa w ujęciu św. Augustyna*, „Ruch Biblijny i Liturgiczny” 4 (1989), s. 302-308; G. Lawless, *Augustyńskie brzemie posługi pastoralnej*, „Ruch Biblijny i Liturgiczny” 4 (1989), s. 294-301; P. Brown, *Augustyn z Hippony*, Warszawa 1993; O. Pasquato, *Agostino d'Ipbona*, [w:] *Dizionario di omiletica*, a cura di M. Sodi, A. M. Triacca, Torino-Bergamo 1998, s. 7-14; *Augustin prédicateur (395-411). Actes du Colloque International de Chantilly* (5-7 septembre 1996), édités par G. Madec, Paris 1998; I. Bochet, *L'expérience spirituelle du prédicateur selon s. Augustin*, „Connaissance des Pères de l'Église” 74 (1999), s. 46-53; G. Madec, *L'École du Christ. Menus propos sur la prédication d'Augustin*, „La Maison Dieu” 3 (2001) nr 227, s. 67-78; A. Eckmann, *Osobowość dobrego katechety w świetle „De catechizandis rudibus” świętego Augustyna*, „Keryks” 1 (2002), s. 53-60; H. R. Drobner, *Die Predigtkunst Augustins*, „Theologie und Glaube” 1 (2004) nr 94, s. 22-32.

## św. Bernard z Clairvaux SOCist.

Teksty: *Kazania o Najśw. Marji Pannie*, tł. I. Bobicz, Kielce 1924; *O miłowaniu Boga*, Kraków 1991; *O stopniach pokory i pychy*, Kraków 1991; *O obyczajach i obowiązkach biskupów*, Kraków 1992; *O rozważaniu*, Kraków 1992; *Kazania o Najświętszej Maryji Pannie*, Warszawa 2000.

Opracowania: P. Bernard, *Saint Bernard et Notre Dame*, Paris 1953; J. Mirewicz, *Geniusz w habitcie*, [w:] tenże, *Współtwórcy i wychowawcy Europy*, Kraków 1982, s. 222-



229; S. Kiełtyka, *Święty Bernard z Clairvaux*, Kraków 1983; B. Billet, *Św. Bernard (1090-1153)*, [w:] *Mały słownik maryjny*, Niepokalanów 1987, s. 81; H. Graef, *Bernard z Clairvaux*, „Znak” 9 (1992) nr 448, s. 42-53.

### św. Antoni z Padwy OFM

Kazania: *4 kazania maryjne św. Antoniego na uroczystości Narodzenia, Zwiastowania, Oczyszczenia i Wniebowzięcia NMP*, tłum. C. Niezgoda, [w:] C. Niezgoda, *Św. Antoni Padewski. Życie i nauczanie*, Warszawa 1984; *Niektóre kazania maryjne św. Antoniego z Padwy*, tłum. C. Niezgoda, „Studia Franciszkańskie” 7 (1996), s. 45-87; *Kazania Niedzielne i Świąteczne*, t. 3: *Kazania Świąteczne, od Narodzenia Pańskiego do Uroczystości świętych Piotra i Pawła*, przetłum. C. Niezgoda, Kraków 2003.

Opracowania: C. Niezgoda, *Św. Antoni Padewski. Życie i nauczanie*, Warszawa 1984; *Nauczyciel Ewangelii. Św. Antoni z Padwy*, Kraków-Asyż 1988; *Święty Antoni z Padwy. Życie, myśl, dzieło*, red. Z. J. Kijas, S. C. Napiórkowski, t. 1, Kraków 1998.

### Jan Tauler OP

Teksty: *Ustawy duchowe. Dzieło z XIV wieku*, przekł. Z. Golian, Kraków 1852; *Kazania*, przeł. i opr. W. Szymona, Poznań 1985; *Ścieżka do Boga. Wybór pism*, oprac. i przekł. W. Szymona, Poznań 1996.

Opracowania: *Johannes Tauler, ein deutscher Mystiker. Gedenkschrift zum 600. Todestag*, Hrsg. von E. Filthaut, Essen 1961; W. Szymona, *Jan Tauler – kaznodzieja XIV wieku*, [w:] Jan Tauler, *Kazania*, Poznań 1985, s. 5-41; M.-A. Vannier, *Rekolekcje z Janem Taulerem*, przekł. A. Kuryś, Kraków 2001.

### św. Wincenty Ferrer OP

Kazania: *Teksty o Matce Bożej, Dominikanie średniowieczni*, Niepokalanów 1992.

Opracowania: H. Fages, *Histoire de s. Vincent Ferrier*, Paris-Louvain 1901; tenże, *Notes et documents sur l'histoire de s. Vincent Ferrier*, Paris-Louvain 1905; tenże, *Oeuvres de s. Vincent Ferrier*, Paris 1909; V. Forcada, *Vincente Ferrer, predicador de la reforma en la „cristianidad”*, „Escritos del Vedat” 10 (1980); M. M. Gorce, *Saint Vincent Ferrier*, Paris 1924; tenże, *Les bases de l'étude historique de s. Vincent Ferrier*, Paris 1935; M. Pachucki, *Św. Wincenty Fereriusz*, Poznań 1936; P. T. Dobrowolski, *Wincenty Ferrer. Kaznodzieja ludowy późnego średniowiecza*, Warszawa 1996.

### św. Bernardyn ze Sieny OFM

Kazania: *Franciszkanie średniowieczni. Teksty o Matce Bożej*, opr. M. S. Wszolek, Niepokalanów 1992.

Opracowania: K. Hefele, *Der hl. Bernardin von Siena und die franziskanische Wanderpredigt in Italien während des XV Jahrh.*, Freiburg im Breisgau 1912; P. Bargellini, *San Bernardino da Siena*, Brescia 1933; V. Fachinetti, *S. Bernardino da Siena. Mistico sole del secolo XV*, Milano 1933; A. D'Antonio, *S. Bernardino da Siena*, Montesilvano 1980; R. Rusconi, *Il sacramento della penitenza nella predicazione di san Bernardino da Siena*, „Aevum” 47 (1973), s. 235-286; S. J. Kafel, *Św. Bernardyn ze Sieny – mistyk i misjonarz (1380-1444)*, „Studia Franciszkańskie” 6 (1994), s. 197-203.

## Hieronim Savonarola OP

Teksty: *Ostatnie rozmyślanie*, „Znak” 1 (1973) nr 223, s. 825-835; *O miłości Jezusa i inne pisma*, Poznań 2003.

Opracowania: R. Ridolfi, *Vita di Girolamo Savonarola*, t. 1-2, Roma 1952; V. Romano, *Predicazioni savonaroliane e attività redattrice dei primi editori*, „Bibliofilia” 69 (1967), s. 277-308; R. de Maio, *Savonarola e la Curia romana*, Roma, 1969; G. di Agresti, *Bibliografia Ricciana-Savonaroliana*, „Memorie domenicane” 89 (1972), s. 229-301; L. Grygiel, *Hieronim Savonarola*, „Znak” 1 (1973) nr 223, s. 62-93; A. Ostrowski, *Savonarola*, Warszawa 1974; P.-J. Salazar, *Savonarole: une dictature de la voix*, „Cahiers internationaux de sociologie” 64 (1978), s. 5-34; N. Hugede, *Savonarola i Florentyńczycy*, przeł. H. Olędzka, Warszawa 1988; J. Kracik, *Savonarola – prorok tragiczny*, [w:] tenże, *Święty Kościół grzesznych ludzi*, Kraków 1998, s. 58-73.

## św. Jan z Avili

Opracowania: L. Castan, *Destellos sacerdotales. Vida del beato maestro Juan de Avila*, Saragossa 1947; L. Marcos, *El beato Juan de Avila maestro de santidad sacerdotal*, Vitoria 1948; J. E. Bifet, *Escuela sacerdotal española del siglo XVI: Juan de Avila 1499-1569*, Roma 1969; *Historia de la espiritualidad*, t. 2, Barcelona 1969; R. Arce, *San Juan de Avila y la reforma de la Iglesia en España*, Madrid 1970; J. Del Rio Martin, *Santidad y pecado en la Iglesia. Hacia una eclesiología de san Juan de Avila*, Córdoba 1986; N. G. Ruiz, J. L. Gutiérrez, *Juan de Avila, apóstol de Andalucía*, Madrid 1961; S. Gryga, *Złoty wiek mistyki hiszpańskiej*, t. 2, Kraków 1996, s. 21-55.

## św. Wawrzyniec z Brindisi OFMCap.

Kazania: *Kazania maryjne (Mariale)*, Biała Podlaska 1993.

Opracowania: A. Michel, *Św. Wawrzyniec z Brindisi, doktor Kościoła*, „Homo Dei” 29 (1960), 383-394; J. Korzeniowski, *Tematyka eucharystyczna w homiliach św. Wawrzyńca z Brundisium*, „Współczesna Ambona” 4 (1987), s. 119-125; E. Szelachowski, *Wstęp*, [w:] *Święty Wawrzyniec z Brindisi, Kazania maryjne (Mariale)*, Biała Podlaska 1993; E. Lindner, *Św. Wawrzyniec z Brindisi*, [w:] tenże, *Święci zakonu OO. Kapucynów*, Gdańsk 1984, s. 113-159; J. Huscenot, *Doktorzy Kościoła*, Częstochowa 2002, s. 391-402.

## św. Franciszek Salezy

Teksty: *Kazania na niektóre święta i niedziele...*, Warszawa 1693; *Wybór pism*, tłum. J. Rybałt, Warszawa 1956; *Łabędź Sabaudii*, wybór pism świętego i o nim przełożył i zestawiał M. Sambor, Londyn 1958.

Opracowania: A. de Margerie, *Św. Franciszek Salezy*, Kraków 1927; A. J.-M. Hamon, *Żywot świętego Franciszka Salezego, biskupa i księcia Genewy, Doktora Kościoła*, t. 1-2, Kraków 1934; M. Miller, *O radosnym miłowaniu Boga. Religijno-moralny ideał św. Franciszka Salezego*, Poznań 1949; P. Lajeunie, *Saint François de Sales, maître spirituel*, Paris 1967; C. Roffat, *Saint François de Sales (1567-1622). Une spiritualité pour tous*, Paris 1980; F. Corrigan, *Droga życia. Duchowość św. Franciszka Salezego*, Warszawa 1994; M. Wójcik, *Święty Franciszek Salezy i jego dzieło – Zakon Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny*, Jasło 1996; C. Morel, *Święty Franciszek Salezy*, Kraków 1999; J. Huscenot, *Doktorzy Kościoła*, Częstochowa 2002, s. 403-416.

## Paweł Segneri Starszy SI

Teksty: *Człowiek chrześcijański w swoim prawie y powinności wyuczony, albo nauki chrześcijańskie wszystkim wiernym do wiadomości pasterzom, spowiednikom, nauczycielom, kaznodzieiom do wypełnienia swego urzędu wielce potrzebne*, Warszawa 1761; *Penitent nauczony dobrej spowiedzi albo Książeczka Duchowna, z której się każdy nauczyć może sposobu powrócenia do łaski Bożej i wytrwania w niej*, Połock 1796; *Kazania wielkopostne*, przeł. J. Górka, t. 1-2, Tarnów 1906; *Nauka o dobrej spowiedzi*, Pelplin 1870.

Opracowania: J. Górka, *Krótki życiorys O. Pawła Segneri'ego sławnego kaznodziei włoskiego*, Tarnów 1902; N. Risi, *Il principe della eloquenza sacra in Italia: p. P. Segneri*, Bologna 1924; G. Orlandi, *Missioni parrocchiali e drammatica popolare*, „Spilegium Historicum” 22 (1974), 313-348; E. N. Chavarria, *Ideologia e comportamenti familiari nei predicatori italiani tra Cinque e Seicento. Tematiche e modelli*, „Rivista Storica Italiana” 100 (1988), s. 679-723.

## Antoni Vieira SI

Kazanie: *Głowa i serce Societatis Iesu to jest s. Ignacy z Loiola patriarcha i b. Stanisław Kostka: Nieba i ziemi kochanie, trzema panegirykami kościelnymi wstawieni* [m.in. mowa A. Vieiry], Wilno 1703.

Opracowania: M. C. Gotaas, *Bossuet and Vieira: a Study in National, Epochal and Individual Style*, Washington 1953; A. Vieira, *Predica ai predicatori*, red. A. Guidetti, Milano 1957; R. Cantel, *Les Sermons de Vieira. Étude du Style*, Paris 1959; J. Van Den Besselaar, *António Vieira: o Homem, a Obra, as Ideias*, Lisboa 1981; J. L. Azevedo, *História de António Vieira*, t. 1-2, Lisboa 1992; M. Vieira Mendes, *A Oratória Barroca de Vieira*, Lisboa 1989; A. Pecora, *Teatro do Sacramento. A Unidade Teológico-retórico-política dos Sermões de António Vieira*, São Paulo 1994; M. V. Mendes, *Vieira Antonio*, [w:] *Dizionario di omiletica*, a cura di M. Sodi, A. M. Triacca, Torino-Bergamo 1998, s. 1657-1660.

## bp Jacques-Bénigne Bossuet

Kazania: *Wybór pism kaznodziejskich*, tłum. M. M. Paciorkiewicz, Poznań 1931; *Kazanie o Aniołach Stróżach wygłoszone przy poświęceniu kościoła Aniołów*, „Miesięcznik Katechetyczno-Wychowawczy” 6 (1917), z. 6-7, s. 287-292; z. 8-9, s. 347-351; z. 10, s. 400-405.

Opracowania: M. M. Paciorkiewicz, *Bossuet i Fénelon. Studium*, Warszawa 1908; M. Paciorkiewicz, *Skarga i Bossuet*, Tarnów 1913; J. Truchet, *La prédication de Bossuet*, t. 1-2, Paris 1960; G. Bacon, *Mystère de l'eucharistie et mystère de la parole dans l'oeuvre de Bossuet*, „Revue de sciences religieuses” 42 (1968), s. 39-61; tenże, *La pensée de Bossuet sur l'eucharistie mystère d'unité*, „Revue de sciences religieuses” 45 (1971), s. 209-239; G. D. Balsama, *The Eagle of Meaux in Retreat*, „The Catholic Historical Review” 61 (1975), s. 516-538.

## Abraham a Sancta Clara CRSA

Opracowania: T. G. Karajan, *Abraham a Sancta Clara*, Wien 1867; K. Bertsche, *Die Werke Abraham a Sancta Clara in ihren Frühdrucken*, Schwetzingen 1922; W. Brandt, *Schwank und Fabel bei Abraham a Sancta Clara*, Heidelberg 1924; K. Schmidt, *Studien zu den Fabeln Abraham a Sancta Clara*, München 1928; H. Hoffmann, *Die Metaphern in Predigten und Schriften Abraham a Sancta Clara*, Köln 1933; F. Loidl, *A. a Sancta Clara als Vorkämpfer für deutsche Art wieder Türken und Fremdländerei*, „Unsere Heimat” 14 (1941), s. 1-16.

## św. Leonard z Porto Maurizio OFM

Kazania: *Kazanie o sądzie ostatecznym*, „Gazeta Kościelna” 26 (1919), s. 160-161; *O grzechu powszednim*, „Gazeta Kościelna” 18 (1910), s. 382-384.

Opracowania: A. Chmielowski, *Żywot św. Leonarda wyznawcy*, Częstochowa 1883; E. Frascadore, *Il Patrono dei sacerdoti che si consacrano olle missioni al popolo. S. Leonardo da Porto Maurizio*, [w:] *Missioni al popolo per gli antii '80* (atti del 1° Convegno Nazionale Roma, 2-7 Febbraio 1981, Roma 1981), s. 497-518; G. Siwek, *Wzór i patron misjonarzy ludowych (św. Leonard z Porto Maurizio)*, „Homo Dei” 1-2 (1990), s. 54-63.

## św. Jan Maria Vianney

Kazania: *Kazania niedzielne i świąteczne*, t. 1-2, przekł. J. Górka, Lwów 1906; *Kazania wybrane poprzedzone encykliką Ojca Świętego Jana XXIII o św. Janie Marii Vianney w setną rocznicę śmierci Proboszcza z Ars*, Warszawa 1999.

Opracowania: J. Genêt, *L'enigme des sermons du Curé d'Ars. Étude sur la prédication de saint Jean suivie de l'analyse critique et du texte de six sermons transcrits à partir des originaux*, Paris 1961; A. Monnin, *Żywot ks. Jana Maryi Vianney proboszcza z Ars*, t. 1-2, Poznań 1883; tenże, *Esprit du Curé d'Ars. M. Vianney dans ses catéchismes, ses homélies et sa conversation*, Paris 1903; H. Gheon, *Szafarz łask bożych. Św. Jan Vianney*, Warszawa 1903.

ney, *proboszcz z Ars*, przekł. K. Bobrowska, Poznań 1931; F. Trochu, *Proboszcz z Ars*, Warszawa 1932; tenże, *Le Curé d'Ars. Saint Jean-Marie Baptiste Vianney (1786-1859)*, Montsûrs 1983<sup>2</sup>; W. Nigg, *O wielkich świętych inaczej*, Poznań 1980; W. Huenerman, *Święty i diabeł*, Kraków 1982; D. Pezeril, *Proboszcz z Ars. Opowieść o Janie Marii Vianey*, Warszawa 1984; B. Bro, M. Carrouges, *Vianney Jean-Marie Curé d'Ars*, Paris 1986.

## Henryk Lacordaire OP

Konferencje: *O Jezusie Chrystusie. Konferencje miane w kościele N. P. Maryi w Paryżu przez o. Henryka Dominika Lakordera*, przekł. A. Nowosielski, Naumburg 1870; *Konferencje wypowiedziane w Notre-Dame de Paris*, Warszawa 1914; *Jezus Chrystus, myśli wybrane z różnych przemówień*, tłum. K. Bobrowska, Poznań 1927. Niektóre konferencje Lacordaire'a były publikowane w *Pamiętniku Religijno-Moralnym*, „Miesięczniku Katechetycznym i Wychowawczym” oraz *Wyborze kazań celniejszych mówców kościelnych* J. Mętlewicza.

Opracowania: R. Zeller, *Lacordaire*, Paris 1929; M. Escholier, *Lacordaire ou Dieu et la liberté*, Paris 1959; F. Mauriac, *Lacordaire*, Paris 1976; A. M. Carré, *Lacordaire et la liberté*, Paris 1978; B. Bonvin, *Lacordaire, Jandel. La restauration de l'ordre dominicain en France*, Paris 1989; B. Cattaneo, *Petite vie de Lacordaire*, Paris 1991; *Lacordaire, son pays, ses amis et la liberté des ordres religieux*, Paris 1991; H. Duthu, *Lacordaire. Le pouvoir de la liberté*, Montsûrs 1995; K. Panuś, *Henryk Lacordaire*, Kraków 2005.

## kard. John Henry Newman

Kazania: *Wybór pism kaznodziejskich*, tłum. K. Nawratilowa, Poznań 1939; *Newman i jego dzieło*, wybór pism J. H. Newmana, oprac. na podstawie dzieła Waltera Lipgensa *John Henry Newman* ks. Jarosław Klenowski, Warszawa 1965; *Słowo, które nie przemija. Ewangelia w kazaniach kardynała J. H. Newmana*, przeł. T. Mieszkowski, Warszawa 1969; *Idea uniwersytetu*, tłum. i przedmowa P. Mroczkowski, Warszawa 1990; *Rozmyślenia i modlitwy*, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1995<sup>4</sup>; *Kazania uniwersyteckie. Piętnaście kazań wygłoszonych przed Uniwersytetem Oskfordzkim między 1826 a 1843 rokiem*, przeł. P. Kostyło, Kraków 2000.

Opracowania: H. Brémond, *Les sermons de Newman*, „Études religieuses” 1897; J. H. Hardt, *Kardinal Newman als Prediger*, Wien 1928; C. F. Harrold, *John Henry Newman, an expository and critical study of his mind, thought and art*, London 1945; O. Chadwick, *From Bossuet to Newman. The idea of doctrinal development*, London 1957; S. Brzozowski, *John Henry Newman*, „Znak” 10 (1961) nr 88, s. 1323-1347; R. D. Middleton, *Kardynał John Henry Newman 1801-1890*, przeł. T. Mieszkowski, Warszawa 1967, s. 140-155; C. S. Dessain, *John Henry Newman. Pionier odnowy Kościoła*, Poznań 1989.



## bp Paul Wilhelm von Keppler

Teksty: *Homilie i kazania*, Poznań 1924; *Ambona i jej zadanie w naszych czasach. Uwagi i rady homiletyczne*, przeł. P. Dmochowski, Płock 1914; *Więcej radości*, Warszawa 1913, Poznań 1932<sup>3</sup>; *Szkola cierpienia*, Wilno 1935<sup>3</sup>.

Opracowania: J. K. Brechenmacher, *Keppler als Pädagoge*, „Magazin für Pädagogik” 88 (1925), s. 173-213; *Dr. Paul Wilhelm von Keppler. 25 Jahre Bischof – 50 Jahre Priester. Festschrift...*, opr. J. Baumgärtner, Stuttgart 1925; F. Egger, *Bischof Paul Wilhelm von Keppler. Leben und Werk des sechsten Bischofs von Rottenburg*, Reutlingen 1928; G. Hassl, *Paul Wilhelm von Keppler, Rottenburgs grosser Bischof*, Stuttgart 1928; A. Donders, *Paul Wilhelm v. Keppler. Bischof von Rottenburg. Ein Kündler katholischen Glaubens*, Freiburg 1935.

## bp Ottokár Prohászka

Kazania: *Rozmyślenia o Ewangeliu*, t. 1-2, przeł. H. Libiński, Kraków 1926; *Słowa Żywota*, przeł. E. Machay, R. Oleár, t. 1-2, Kraków 1938; *Pochód Ducha Świętego*, przeł. R. Oleár, Kraków 1939; *U źródła żywych wód. Rozmyślenia o Najśw. Sercu Jezusa*, Warszawa 1947.

Opracowania: G. Maggi, *Un grande mistico ungherese, O. Prohászka*, „Thabor” 5 (1950), s. 357-366; F. Machay, *Mortuus loquitur... (wspomnienie o śp. biskupie Prohászce)*, „Przegląd Homiletyczny” 6 (1928), s. 99-107; tenże, *Kazania biskupa Prohászki po polsku*, „Przegląd Homiletyczny” 10 (1932), s. 32-36; tenże, *Słowa żywota biskupa Prohászki*, „Przegląd Homiletyczny” 10 (1932), s. 93-103; tenże, *Współczesny apostoł inteligencji (wspomnienie o śp. biskupie Prohászce)*, Kielce 1928; M. Rzeszewski, *Dwie rocznice: o. Piotr Leppert TJ, bp Ottokár Prohászka*, „Ateneum Kapłańskie” 54 (1957), s. 103-116; A. Sik, *Un grand mystique hongrois*, „Nouvelle revue de Hongrie” 55 (1936), s. 228-240.

## kard. Michael von Faulhaber

Teksty: *My akademicy a Kościół*, Lwów 1913; *Na co się to przyda? Czyli znaczenie Sakramentów Św. dla kwestji socjalnej*, Brody 1912; *Ksiądz czym jest i czego dziś chce?*, Kraków 1912; *Pismo Święte na kazalnicy z przydaniem Kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa*, przeł. J. Korzonkiewicz, Kraków 1928; *Żydostwo i Chryścianizm. Kazania adwentowe*, tłum. ks. S. Grelewski, Poznań 1936.

Opracowania: A. Donders, *Michael Kardinal Faulhaber, der Prediger. Zum 25. Jahrestag der Bischofsweihe*, „Kirche und Kanzel” 19 (1936), s. 41-45; S. Irschl, *Michael Kardinal von Faulhaber*, München 1952; H. Lang, *Michael Kardinal Faulhaber zum Gedächtnis. Erzbischof von München und Freising zum Gedanken*, München 1952; A. Martini, *Il cardinale Faulhaber e l'enciclica „Mit brennender Sorge”*, „Archiwum Historiae Pontificiae” 2 (1964), s. 303-320; L. Volk, *Der bayerische Episkopat und der Nationalsozialismus 1930-1934*, Mainz 1966<sup>2</sup>; D. Katte, *Wort und Antwort. Eine Untersuchung*



*der Predigten, die Kardinal Faulhaber in der Zeit zwischen dem 1. Januar 1933 und dem 30. April 1945 gehalten hat*, t. 1-2, Salzburg 1976; H. Berger, *Kardinal Faulhaber. Kampf gegen den Nationalsozialismus*, „Communio” 8 (1979), s. 462-475; P. Ritter-Müller, A. Wouters, *Die Adventspredigten Kardinal Michael von Faulhabers im Jahre 1933. Eine kritische Betrachtung, [w:] ... und über Barmen hinaus. Studien zur kirchl. Zeitgesch.*, red. J. Mehlhausen, Festschrift für Carsten Nicolaisen zum 4. April 1994, Göttingen 1995, s. 234-252.

## Henryk Pinard de la Boullaye SI

Konferencje: *Jezus Chrystus wobec historii*, Kraków 1929; *Jezus Chrystus obiecany Mesjaszem*, Kraków 1931; *Chrystus Mesjaszem. Cudotwórca i prorok*, Kraków 1933; *Jezus Syn Boży*, Warszawa 1948; *Obowiązek. Konferencje wygłoszone w paryskiej katedrze Notre Dame*, Kraków 1930; *Maria arcydzieło Boże*, Kraków 1932.

Opracowania: N. Cieszyński, rec. H. Pinard de la Boullaye, *Jésus et l'histoire*, Paris 1929, „Wiadomości dla duchowieństwa” 17 (1930), s. 153; L. Wasilkowski, rec. ks. Pinard de la Boullaye TJ, *Chrystus wobec historii*, Kraków 1929, „Ateneum Kapłańskie” 25 (1930), s. 294-295; Z. Pilch, rec. H. Pinard de la Boullaye SI, *Maryja arcydzieło Boże*, Kraków 1932, „Przegląd Homiletyczny” 10 (1932), s. 307-308.

## abp Fulton John Sheen

Kazania: *Siedem ostatnich słów*, Warszawa 1947; *Sursum corda (Lift up your heart)*, przeł. W. Pisarczyk, Londyn 1956; *Decyzja za Bogiem* (mps w Bibliotece Księży Jezuistów w Krakowie).

Opracowania: J. T. Ellis, *Sheen, Fulton John*, [w:] *New Catholic encyclopedia*, t. 18, New York 1989, s. 475; J. Dajczak, *Czy стоимy u progu nowej homiletyki na Zachodzie?*, „Studia Theologica Varsaviensia” 2 (1963) r. 1, s. 71-73; H. Franco, *Fulton John Sheen*, [w:] *Dizionario di omiletica*, a cura di M. Sodi, A. M. Triacca, Torino-Bergamo 1998, s. 1454-1456.

## ks. Noël Quesson

Homilie: N. Quesson, *Homilie. Od Adwentu do Wielkiego Postu, rok C*, tłum. S. Kawecki, Warszawa 1991; *Cztery myśli na niedzielę, rok A*, tłum. S. Kawecki, S. Grabowski, Warszawa 1993; *Cztery myśli na niedzielę, rok B*, tłum. S. Kawecki, S. Grabowski, Warszawa 1993; *Cztery myśli na niedzielę, rok C*, tłum. S. Kawecki, A. Nieciecka, Warszawa 1995; *Słowo Boże na każdy dzień. Medytacje do Ewangelii na dni powszednie*, t. 1: *Ewangelie od Adwentu do Zesłania Ducha Świętego*, tł. S. Kawecki, A. M. Sudolska, Warszawa 1995.

Opracowania: D. Miąsik, *Aktualizacja kerygmatu cudów Jezusa w homiliach Noël Quesson*, Rzeszów 1995 (mps pracy magisterskiej); K. Kida, *Koncepcja przepowiadania Noël Quesson*, Kraków 2003.



# Spis treści

Wstęp.....	5
Święty Jan Chryzostom (349-407)	
Złote usta .....	11
Święty Augustyn z Hippony (354-430)	
<i>Karmię was tym, czym sam żyję</i> .....	35
Święty Bernard z Clairvaux SOCist. (1090-1153)	
Kaznodzieja z Jasnej Doliny.....	51
Święty Antoni z Padwy OFM (1195-1231)	
Nauczyciel Ewangelii .....	67
Jan Tauler OP (ok. 1300-1361)	
Głos niemieckiej mistyki.....	85
Święty Wincenty Ferrer OP (1350-1419)	
Kataloński mistrz kaznodziejstwa wędrownego i pokutnego.....	99
Święty Bernardyn ze Sieny OFM (1380-1444)	
Kaznodzieja i reformator zakonu .....	119
Hieronim Savonarola OP (1452-1498)	
Kaznodzieja tragiczny .....	133

Święty Jan z Avili (1499-1569) Apostoł Andaluzji .....	147
Święty Wawrzyniec z Brindisi OFMCap. (1559-1619) Kaznodzieja ewangeliczny .....	171
Święty Franciszek Salezy (1567-1622) Kaznodzieja dobroci i miłości Bożej.....	197
Paweł Segneri Starszy SI (1624-1694) Wielki misjonarz Italii.....	221
Antoni Vieira SI (1608-1697) Kaznodzieja Starego i Nowego Świata.....	241
Biskup Jacques-Bénigne Bossuet (1627-1704) <i>Orzeł z Meaux</i> .....	259
Abraham a Sancta Clara CRSA (1644-1709) Mistrz barokowego kazania.....	279
Święty Leonard z Porto Maurizio OFM (1676-1751) Patron misjonarzy ludowych .....	299
Święty Jan Vianney (1786-1859) Kaznodzieja ewangelicznej prostoty .....	315
Henryk Lacordaire OP (1802-1861) Wielki konferencjonista.....	335
Kardynał John Henry Newman (1801-1890) <i>Ex umbris et imaginibus in veritatem</i> .....	361
Biskup Paul Wilhelm von Keppler (1852-1926) Promotor homilijnego przepowiadania .....	379
Biskup Ottokár Prohászka (1858-1927) Apostoł i nauczyciel Węgier .....	393

Kardynał Michael von Faulhaber (1869-1952)	
Obrońca Starego Testamentu.....	409
Henryk Pinard de la Boullaye SI (1874-1958)	
Uczony konferencjonista i apologeta .....	431
Arcybiskup Fulton John Sheen (1895-1979)	
Mistrz kaznodziejstwa radiowego i telewizyjnego.....	447
Ksiądz Noël Quesson (1923-2002)	
Kaznodzieja z Angers .....	457
Zakończenie .....	471
Wskazówki bibliograficzne .....	473







Niniejsza publikacja prezentuje sylwetki 25 wybitnych kaznodziejów Kościoła powszechnego, którzy – zdaniem autora – wnieśli istotny wkład w głoszenie ewangelii Chrystusowej. Mówcy ci to wielkie osobowości, bohaterzy wiary, nierzadko kanonizowani święci: biskupi, zakonnicy, kapłani diecezjalni. Pełniejsze spotkanie z nimi umożliwia załączony do każdej sylwetki, reprezentatywny dla niej, tekst kaznodziejski. Nie ma w tym opracowaniu mistrzów polskiej ambony, gdyż będzie im poświęcony odrębny tom.

Przywołując wielkich mistrzów ambony, od początków chrześcijaństwa do końca XX wieku, autor poświęca szczególną uwagę kaznodziom czasów nowożytnych i najnowszych. Wieloletni brak zainteresowania kazaniem przez ośrodki badawcze, przez historyków, filologów i badaczy kultury sprawił bowiem, iż nadal – nawet wykształconemu Polakowi – niewiele mówią tak ważni dla kaznodziejstwa niemieckiego kaznodzieje, jak: Jan Tauler, Abraham a Sancta Clara, Paul Wilhelm von Keppeler czy Michael von Faulhaber, dla kaznodziejstwa francuskiego: Jacques-Bénigne Bossuet, Henryk Lacordaire, Henryk Pinard de la Boullaye czy Noël Quesson, dla kaznodziejstwa angielskiego: John Henry Newman, dla kaznodziejstwa hiszpańskiego: św. Wincenty Ferrer czy św. Jan z Avili, dla kaznodziejstwa włoskiego: św. Wawrzyniec z Brindisi, Paweł Segneri Starszy czy św. Leonard z Porto Maurizio, dla kaznodziejstwa portugalskiego: Antoni Vieira, dla kaznodziejstwa węgierskiego: Ottokár Prohászka, dla kaznodziejstwa amerykańskiego: Fulton John Sheen. Z tymi i z innymi wielkimi mówcami Kościoła będzie się można spotkać na kartach tej książki. Warto także podkreślić, iż Czytelnik polski ma po raz pierwszy okazję zapoznać się z kazaniem św. Jana z Avili i Abrahama a Sancta Clara. Dotąd bowiem ci charyzmatyczni mówcy skutecznie unikali *szkiełka i oka* polskich badaczy.

wydawnictwo  
**UNUM**

ISBN 83-89256-44-4



9 788389 256447 >